

# Jedwabna tajemnica

Mary Jo Putney

Tytuł oryginału: Silk and Secrets

Przekład: Małgorzata Stefaniuk

*Pamięci mojego ojca, Laverene Putneya,  
który kochał historię i zaczytywał się w książkach historycznych.  
Byłby zachwycony, gdyby wiedział, że zostałam pisarką,  
i z pewnością pragnąłby, abym napisała książkę  
o wojnie secesyjnej.  
Może kiedyś, Tato.*

*O zachodni wietrze, kiedy się pojawisz  
I przyniesiesz ze sobą choćby mały deszcz?  
Chryste, tak pragnę, by ma miłość znowu  
w ramionach mych spoczęła,  
a ja wraz z nią w moim łóżku!  
Anonim, ok. 1530*

# Prolog

*Jesień 1840*

**N**oc zapadła szybko. Wąski rąbek półksiężyca wisiał nisko na bezchmurnym granatowym niebie. W wiosce muezin nawoływał wiernych do modlitwy, jego przeszywający głos mieszał się z drażniącym miło nozdrza aromatem pieczonego chleba i nieprzyjemnym zapachem gryzącego dymu. Krajobraz tchnął spokojem; kobieta oglądała go już wcześniej niezliczone razy, a jednak zatrzymała się przy oknie, czując się dziwnie zagubiona, niepokodzona z losem, który przywiódł ją do tej obcej krainy.

Zazwyczaj była tak zajęta, że nie miała czasu myśleć o przeszłości, ale teraz ogarnął ją przejmujący żal. Tęskniła za dziką przyrodą, zielonymi wzgórzami, wśród których spędziła dzieciństwo i, choć zawarła nowe przyjaźnie, a zaraz miała zasiąść do posiłku ze swoją nową rodziną, brakowało tutaj ludzi sercu najbliższych. Wiedziała, że dla nich jest stracona na wieki.

Nie potrafiła zapomnieć o mężczyźnie, który był kimś więcej niż przyjacielem, kimś najważniejszym w jej życiu. Zastanawiała się, czy on czasami myśli o niej. A jeśli tak, to czy myśлом tym towarzyszą nienawiść i gniew. Miała nadzieję, że wspomina ją obojętnie.

Byłoby prościej, gdyby nic nie czuła, jednak po tylu latach nadal dokuczał jej ból – wierny towarzysz codziennego życia. Ostatni ślad po dawnej miłości, której nie chciała pogrzebać.

Tego co straciła, już nie odzyska. Dostała więcej, niż jakakolwiek kobieta mogłaby zamarzyć. Gdyby tylko była mądrzejsza, a przynajmniej nie tak popędliwa. Gdyby tylko nie poddała się zwątpieniu. Gdyby tylko...

Zdała sobie sprawę, że znowu pograża się w znanej i daremnej litanii żalu, nabrała więc głęboko powietrza i zmusiła się, by pomyśleć o zajęciach, które nadawały jej życiu sens. Nic nie zdoła odmienić przeszłości.

Dotknęła ukrytego pod suknią wisiora. Potem odwróciła się plecami do pustego, czarnego okna. Sama sobie zgotowała taki los i teraz musi go znoś. Samotnie.

# 1

*Londyn Październik 1840*

**L**ord Ross Carlisle, popijając brandy w towarzystwie Sary i Mikahla, myślał z lekkim rozbawieniem: prawie zawsze, gdy patrzę na zakochaną parę, mam ochotę uciec na koniec świata. Być może właśnie tam doprowadzi go szlak egzotycznej podróży, w którą się wybierał. Mimo że parą zakochanych były osoby mu bliskie i z przykrością się z nimi rozstawał, nie zmieniło to jego odczuć.

Panowie pili brandy, lady Sara lemoniadę – była w drugim miesiącu ciąży i nie miała ochoty na alkohol. Ta trójka już nieraz w podobny sposób spędzała razem wieczory. Ross wiedział, że będzie tęsknił za rozmowami i towarzystwem przyjaciół.

W końcu, przypomniawszy sobie o obowiązkach, gospodarz przerwał wymianę spojrzeń z żoną i sięgnął po karafkę.

– Jeszcze brandy, Ross?

– Tylko trochę. Nie za dużo, bo jutro wyruszam.

Mikahl Connery nalał bursztynowego napoju do dwóch kryształowych szklaneczek.

– Ekscytującej i owocnej podróży – powiedział, unosząc swoją szklankę.

– A po wszystkich przygodach bezpiecznego powrotu do domu – dodała lady Sara Connery.

– Z przyjemnością za to wypiję. – Ross popatrzył na nią ciepło. Małżeństwo bardzo Sarze służyło. Była jego kuzynką, oboje mieli brązowe oczy i lśniące jasne włosy – kombinacja rzadko spotykana – ale z Sary emanował wewnętrzny spokój, którego Ross rzadko kiedy zaznawał. No może tylko czasami, podczas wypraw. – Nie martw się o mnie, Saro. Lewant jest całkiem bezpieczny. Dużo groźniejsze były dzikie góry, w których poznałem twojego okropnego męża.

Mikahl dopił brandy i odstawił szklaneczkę.

– Może już czas, Ross, porzucić te wieczne wędrówki i się ustatkować. – W jego intensywnie zielonych oczach pobłyskiwały wesole iskierki. Dużą dłonią przykrył dłoń małżonki. – Kobiety są o wiele bardziej ekscytujące niż pustynie czy stare ruiny.

Ross się uśmiechnął.

– Nie masz na świecie większego fanatyka od nawróconego. Kiedy przed półtora rokiem zjawiałeś się w Anglii, śmiałeś się tylko na wzmiankę o małżeństwie.

– Ale zmądrzałem. – Mikahl objął żonę ramieniem. – Oczywiście jest tylko jedna Sara, ale z pewnością mógłbyś znaleźć odpowiednią dla siebie narzeczoną.

– Nie wątpię, ale nawet najwspanialsza narzeczona nie wchodzi w grę – odpowiedział Ross tajemniczo. – Nie wspominałem ci, że mam już żonę? – Poczł satysfakcję, że choć raz udało mu się zadziwić przyjaciela.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Mikahl najwyraźniej mu nie dowierzał. Sara kiwnęła głową.

– To prawda, mój drogi. Byłam druhną na ich ślubie. – Spojrzawszy ze smutkiem na kuzyna, dodała: – Dwanaście lat temu.

– Fascynujące. – Mikahl nie krył zaskoczenia, ale ponieważ brakowało mu typowo angielskiej powściągliwości, rzucił z ożywieniem: – Doskonale ukrywałaś ów fakt. Co to za historia? A może nie powinienem pytać?

– Nie powinieneś. – Sara skarciła go wzrokiem.

Ross uśmiechnął się swobodnie.

– To żadna tajemnica, nie musisz go tak ganić. Stare dzieje. – Dolał sobie brandy. – Właśnie skończyłem Cambridge i poznałem Juliet Cameron, szkolną koleżankę Sary. Wysoka, rudowłosa lisica, zupełnie inna niż kobiety, które wcześniej znałem. Była córką szkockiego dyplomaty, sporą część dzieciństwa spędziła w Persji i Libii. A mnie, dobrze się zapowiadającego orientalistę, bardzo do niej ciągnęło. Pobraliśmy się zaślepieni pożądaniem. Wszyscy mówili, że nam nie wyjdzie, i mieli rację.

Ross opowiadał o klęsce swojego małżeństwa obojętnym tonem, a Mikahl, sądząc po minie, przyjmował to dość sceptycznie. Jednak nie zamierzał namawiać przyjaciela do głębszych zwierzeń. Zapytał tylko:

– I gdzie jest teraz ta twoja Juliet?

– Już nie moja i nie mam pojęcia, gdzie jest. – Ross opróżnił zawartość szklaneczki jednym haustem. – Po sześciu miesiącach małżeństwa uciekła, zostawiając wiadomość, iż nie chce już widzieć ani mnie, ani Anglii. Prawnik Juliet twierdzi, że dobrze się jej powodzi. Tyle wiem. Może stworzyła na Saharze własne państewko i ma jedyny na świecie męski harem. – Wstał. – Robi się późno. Czas na mnie, bo chcę wyruszyć przed świtem.

Sara także wstała.

– Będę za tobą tęsknić, Ross – powiedziała ciepło. – Uważaj na siebie.

– Zawsze na siebie uważam. – Pocałował ją w czoło, potem się odwrócił do Mikahla.

Zamierzał podać mu dłoń, ale ten, gestem przeczącym angielskiej powściągliwości, objął go i uścisnął serdecznie.

– Jeśli ostrożność nie wystarczy, bądź odważny i groźny. Dobrze ci to wychodzi, przynajmniej jak na angielskiego dżentelmena.

Ross się uśmiechnął i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Miałem dobrych nauczycieli.

Wszyscy się śmiali, kiedy wychodził. Zawsze wolał pożegnania, którym nie towarzyszyła przygnębiająca atmosfera smutku.

*Konstantynopol*

*Styczeń 1841*

Brytyjski ambasador Wysokiej Porty mieszkał kilkanaście mil za Konstantynopolem w dużej wsi przy Bosforze. Kiedy Ross przybył do ambasady z kurtuazyjną wizytą, stwierdził ze zdziwieniem, że wewnątrz nie różni się niczym od mieszkań na Mayfair. Jako bastion angielskości rezydencja ambasadora musiała świecić przykładem i być bez zarzutu, choć na zewnątrz wyglądała jak inne domy bogatych Turków.

Służący odebrał od Rossa wizytówkę i już po kilku minutach pojawił się ambasador, sir Stratford Canning.

– Lord Ross Carlisle! – wykrzyknął, podając mu dłoń. – To wielka przyjemność móc wreszcie pana poznać. Czytałem obie pańskie książki. Nie mogę powiedzieć, że zgadzam się ze wszystkimi pana wnioskami, ale wiele

informacji bardzo mnie zainteresowało.

Skromność nakazywała Rossowi odpowiedzieć:

– Dla pisarza najważniejsze jest, że ktoś czyta jego książki, sir Stratfordzie. Żywić nadzieję, że czytelnik przyjmie punkt widzenia autora, to już przesada. Niedawno skończyłem pisać następną, więc już wkrótce będzie pan miał więcej powodów, żeby się ze mną nie zgadzać.

Ambasador się roześmiał.

– Czy długo pan zostanie w Konstantynopolu, lordzie?

– Jakies dwa tygodnie, aż przygotuję się do podróży na południe, do Libanu. Później zamierzam odwiedzić południową Arabię. Mam zamiar podróżować z Beduinami.

Canning wstrząsnął się z odrazą.

– Dobrze, że to pan, a nie ja. Prawdę mówiąc, jak najwięcej czasu chciałbym spędzać w Anglii, niestety Ministerstwo Spraw Zagranicznych uparło się, żeby wysłać mnie za granicę. To już moja trzecia misja w Konstantynopolu. Schlebiają mi, mówiąc, że nikt inny nie sprawdza się na tym stanowisku tak dobrze jak ja.

– Bardzo prawdopodobne, że ministerstwo się nie myli – odparł Ross, wiedząc, jakim uznaniem cieszył się dyplomata.

– Właśnie zamierzałem napić się herbaty w moim biurze. Dołączy pan do mnie? – Przeszli przez hol do eleganckiego gabinetu, w którym pod każdą ścianą stały regały wypełnione książkami. – Od kilku tygodni czekają u mnie na pana listy.

– Miałem dotrzeć do Konstantynopola w pierwszych dniach grudnia – wyjaśnił Ross, siadając. – Ale zmieniłem plany: postanowiłem na kilka tygodni zatrzymać się w Atenach. Taka jest korzyść z podróżowania dla własnej przyjemności.

Canning wydał polecenie służbie, potem przemierzył pokój i otworzył szufladę w gablocie. Chwilę szperał między dokumentami, aż w końcu wyciągnął pakiecik listów przewiązanych wstążką. Podał je gościowi.

– Obawiam się, że jeden z nich może zawierać złe wieści, bo ma czarną obwódkę – powiedział z powagą.

Na te słowa Rossa przeszedł dreszcz.

– Wybacz pan, jeśli otworzę go od razu?

– Ależ oczywiście. – Canning podał gościowi nożyk do papieru, potem usiadł za biurkiem i zajął się przeglądaniem dokumentów.

Ross pospiesznie przerzucał listy; kilka zaadresowanych było ręką Sary, Mikahla i matki. Kiedy zobaczył kopertę z czarną obwódką, odetchnął z ulgą, rozpoznając zamaszyste pismo matki. Przynajmniej jej nic się nie stało.

Przed złamaniem pieczęci zamarł. Jego ojciec, książę Windermere, zbliżał się do osiemdziesiątki i, mimo podeszłego wieku, czuł się zupełnie dobrze, ale nie byłoby dziwne, gdyby śmierć się o niego upomniała. Jeśli tak, Ross miał nadzieję, że koniec nastąpił szybko.

Przygotowany na pogodzenie się ze stratą ojca, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że list wcale nie zawiera informacji, których się spodziewał. Kiedy wreszcie treść do niego dotarła, przymknął oczy i potarł czoło, zastanawiając się, w jaki sposób to, co się stało, wpłynie na jego życie.

– Czy mogę coś panu podać, lordzie? Może brandy?

Ross otworzył oczy.

– Nie, dziękuję. Czuję się dobrze.

– Czy chodzi o pańskiego ojca? – zapytał z wahaniem ambasador. – Poznałem księcia kilka lat temu. Wielce czcigodny człowiek i prawdziwy dżentelmen.

– Nie, nie chodzi o ojca. – Ross westchnął. – Ale o brata, a dokładniej o brata przyrodniego – markiza Kilburna. Zmarł nagle w zeszłym miesiącu.

– Przykro mi. Nie znałem markiza, ale rozumiem, że to dla pana wielka strata.

Ross wpatrywał się w list, odczuwając lekki żal, że jego jedyny brat żył i umarł jak ktoś zupełnie mu obcy.

– Był ode mnie sporo starszy i nigdy nie mieliśmy dobrych relacji. – Prawdę mówiąc, rzadko ze sobą rozmawiali, a teraz już za późno, by pokonać niechęć, której podłożem stały się duma i gniew. Starszy brat nie zaakceptował drugiego małżeństwa ojca ani dziecka z tego małżeństwa. Księcia bardzo smuciło, że nowy związek, choć przyniósł mu tyle szczęścia, zarazem rozdzielił go z synem pierworodnym i dziedzicem.

Chwilę milczenia przerwał ambasador:

– Nie znam historii pańskiej rodziny. Czy brat zostawił po sobie syna?

W tym właśnie tkwiło sedno problemu.



– Miał córkę z pierwszego małżeństwa. Przed kilku laty, po śmierci pierwszej żony, ożenił się powtórnie. Kiedy opuszczałem Anglię, jego żona była w ciąży. Dziecko urodziło się kilka dni po śmierci Kilburna. Niestety znowu dziewczynka.

– A więc teraz pan jest markizem Kilburn. – Canning uważnie przyglądał się gościowi. – Dla pana to niepomysłna wieść? Proszę wybaczyć, lordzie Carlisle, ale większość mężczyzn nie żałowałaby, że odziedziczyła księżęcy tytuł. To przecież nie pana wina, że brat nie miał syna.

– Nigdy nie pragnąłem zostać księciem Windermere. – To, że przejmie tytuł po przyrodnim bracie, wprowadziło Rossa w konsternację. – Taki obrót spraw oznacza, że moje podróże muszą się zakończyć. Rodzice chcą, żebym natychmiast wracał do Anglii; ojciec się obawia, iż może utracić drugiego syna. Trzeba się też zająć formalnościami związanymi z nową sytuacją.

Canning powoli kiwał głową.

– Rozumiem. Przyzna pan jednak, że do tej pory odwiedził już takie miejsca na świecie, o których inni mogą tylko marzyć.

– Tak. – Ross starał się panować nad emocjami. – Było mi dane cieszyć się wolnością i przywilejami. Teraz przyszła pora na spłatę długów.

Służący przyniósł herbatę i przez następne pół godziny panowie rozmawiali o innych sprawach.

– Mam nadzieję, że przed wyjazdem z Konstantynopola zje pan z nami obiad – powiedział ambasador, kiedy Ross zamierzał się pożegnać. – Lady Canning bardzo pragnie pana poznać. – Wstał, żeby odprowadzić gościa do wyjścia. – Może jutro wieczorem?

– Z wielką przyjemnością.

Wyszli z gabinetu i gdy dochodzili do holu, lokaj zaanonsował następnego gościa. Canning przeklął pod nosem, ale zaraz przywołał na twarz wyraz dyplomatycznej uprzejmości.

– Proszę mi wybaczyć, lordzie Carlisle. To zajmie mi tylko chwilę.

Ross zatrzymał się w zacienionym rogu holu, wpatrując się z niedowierzaniem w rudowłosą damę, która właśnie wchodziła. Szybko jednak dostrzegł, że rude włosy przetykane są siwymi, a twarz kobiety znaczą liczne zmarszczki. Pojawienie się w ambasadzie dobrze mu znanej starszej pani było tak samo zdumiewające, jak zdumiewające byłoby spotkanie w tym

miejscu jej córki.

Canning podszedł do kobiety.

– Witam, lady Cameron. Przykro mi, ale od czasu pani ostatniej wizyty nie dotarły do mnie żadne nowe wieści.

– Za to do mnie dotarły. Od perskiego kupca, który dopiero co przybył do Konstantynopola. Spędził w Blicharze kilka miesięcy i przysięgał, że nie słyszał o żadnej egzekucji. – Lady Cameron piorunowała wzrokiem ambasadora. – Mój syn żyje, sir Stratfordzie. Czy rząd brytyjski nie uczyni nic, żeby uratować człowieka, który został uwięziony w trakcie wypełniania misji związanej z interesami brytyjskiej królowej?

– Lady Cameron – zaczął spokojnie Canning. – Na temat pani syna krąży mnóstwo pogłosek, niestety prawda jest taka, że został stracony. McNeill, ambasador brytyjski w Teheranie, nie ma co do tego wątpliwości. On jest najbliżej Buchary. Przykro mi. Rozumiem, co czuje matka, ale pani synowi nikt już nie może pomóc, nawet przedstawiciele naszego rządu.

Ross wyłonił się z cienia i podszedł do nich.

– Lady Cameron, proszę wybaczyć, ale przypadkowo słyszałem całą rozmowę. Co się stało?

Kobieta drgnęła i odwróciła się gwałtownie.

– Ross! – wykrzyknęła radośnie, wyciągając do niego ręce. – Jesteś odpowiedzią na moje modlitwy.

– Państwo się znacie? – zapytał zdumiony Canning.

– Tak. – Ross, ująwszy jej dłonie, pocałował kobietę w policzek. – Lady Cameron jest moją teściową.

Canning się skrzywił.

– W takim razie ten dzień jest dla pana podwójnie niepomyślny. Rozumiem, że wieść o tragicznym losie majora Camerona nie dotarła do Anglii przed pana wyjazdem.

– Nic o nim nie wiem. – Minęło kilka lat od czasu, kiedy Ross widział się z Jean Cameron; zawsze lubił teściową i był wdzięczny, że nie wini go za rozpad związku z Juliet. Zmarszczył czoło, patrząc na wymizerowaną twarz kobiety; zamiast zwykłej obojętności, dostrzegł zaciętość i upór. Bardzo teraz przypominała swą przebojową córkę. – Czy coś się stało Ianowi?

– Obawiam się, że tak. Miał talent do popadania w kłopoty. A Juliet

może nawet większy. Pozwalając jej na zadawanie się z bratem, popełniłam wielki błąd. – Lady Cameron zacisnęła dłonie na ramieniu zięcia. – Jak wiesz, Ian stacjonował w Indiach. Na początku zeszłego roku został wysłany z misją do Buchary. Miał prosić o wypuszczenie przetrzymywanych w Bucharze rosyjskich więźniów. Anglii zależało na tym, żeby Rosja nie miała pretekstu do zaatakowania chanatu. Zdaniem naszego rządu Bucharą powinna pozostać niezależna. Niestety emir nie tylko nie zgodził się wypuścić jeńców, ale zatrzymał także Iana. – Kobieta posłała ambasadorowi zjadliwe spojrzenie. – A teraz rząd, który wysłał tam mojego syna, przestał się interesować jego losem.

Canning patrzył na nią ze współczuciem.

– Gdyby tylko można było coś zrobić w tej sprawie, wykorzystalibyśmy każdą szansę, żeby mu pomóc. Musi pani, lady Cameron, pogodzić się z faktem, że syn nie żyje. Emir Buchary to niebezpieczny i nieprzewidywalny człowiek, i nie lubi Europejczyków. Pani syn, jadąc tam, wykazał wielką odwagę, dobrze wiedział, jakie ryzyko podejmuje.

Lady Cameron otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tej chwili zaanonsowani zostali nowi goście, tym razem bogato odziani otomańscy dygnitarze. Rzuciwszy w ich stronę krótkie spojrzenie, Canning zwrócił się do Rossa:

– Przepraszam, muszę państwa teraz opuścić, ale jeśli chcielibyście dłużej porozmawiać, możecie wykorzystać pokój po drugiej stronie holu.

– Tak, Ross, musimy porozmawiać – przytaknęła z entuzjazmem lady Cameron.

Kiedy szli do pokoju recepcyjnego, w głowie Rossa odezwał się dzwonek alarmowy, ostrzegający, że szykują się kłopoty.

Gdy tylko zamknął drzwi, Jean zaczęła krążyć niespokojnie po całym pomieszczeniu.

– Jakże miło jest zobaczyć przyjazną twarz. – Uśmiechnęła się smętnie. – Canning i jego ludzie są uprzejmi, ale traktują mnie jak osobę niezrównoważoną, która nie potrafi pogodzić się z faktami. Wzdrygają się na mój widok, kiedy tylko się tu pojawiam.

– Znaleźli się w kłopotliwej sytuacji, wiedzą, że są bezradni – odparł cicho Ross. – Canning uważa, że dowody na to, iż Ian nie żyje, są bardzo moc-

ne.

–Ale Ian nie umarł! Czułabym, gdyby nie żył. – Spojrzała na Rossa hardo. – To matczyne instynkt, rozumiesz? Mimo że bardzo tęsknię za Juliet, w ogóle się o nią nie martwię, bo znam swoją córkę, jej nic nie grozi, przynajmniej fizycznie, Ian nie jest w dobrej formie, ale nie umarł, wiem to na pewno.

Ross milczał chwilę.

–Biorąc pod uwagę fakt, jak w tej części świata traktowani są jeńcy – zaczął ostrożnie – Ian miałby szczęście, gdyby zginął szybko.

Lady Cameron zmierzyła go wzrokiem.

– Łatwo ci mówić. Czy ciebie w ogóle obchodzi to, czy on żyje, czy nie?

– Dzisiaj dowiedziałem się, że umarł mój brat. – Ross przywołał w pamięci twarz rudowłosego szwagra. Ian, tylko rok starszy od Juliet, tak samo jak siostra tryskał energią i był pełen życia. Patrząc Jean prosto w oczy, oświadczył: – Nie żałuję jego utraty nawet w połowie tak bardzo jak utraty Iana.

Lady Cameron, której złość od razu minęła, pocierając dłonią czoło, powiedziała:

–Racja, sir Stratford mówił, że ten dzień jest dla ciebie podwójnie nie-szczęśliwy. Przykro mi, Ross. Nie powinnam była na ciebie napadać. – Znając historię rodziny Carlisle'ów, spytała: – Czy nowa żona Kilburna urodziła mu syna?

Kiedy Ross zaprzeczył, zmrużyła oczy w zamyśleniu.

– A więc zostaniesz księciem. Przypuszczam, że powinnam teraz zwracać się do ciebie Kilburn.

– Zbyt długo się znamy, żeby się bawić w takie formalności. – Zaciśnięła usta. – Nie podnieca mnie perspektywa odziedziczenia książęcego tytułu. Za kilka dni płynę do Londynu.

– Zazdroszczę twojej matce. Moje dzieci nie miały na tyle rozsądku, żeby pozostać w Szkocji. Rozjechały się po świecie, nie bacząc na czyhające nań niebezpieczeństwa. Dlatego właśnie jestem teraz sama. – Lady Cameron usiadła na sofie, rozkładając z gracją fałdy sukni. Powracając do tematu bliższemu jej sercu, ciągnęła: – Sir Stratford wydaje się przekonany, że istnieją niezbita dowody potwierdzające śmierć Iana, ale w rzeczywistości takich

brak. Dobrze wiesz, jaka jest ta część świata: Konstantynopol od Buchary dzielią tysiące mil. Nie ma możliwości, żeby się dowiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło. Najbliższy brytyjski konsul to sir John McNeill w Teheranie, także tysiące mil stąd.

– Jakie informacje zebrali McNeill i Canning?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Że w Bucharze od lat nie było gości z Anglii, że jest tam jakiś Anglik, który przeszedł na islam i dowodzi teraz artylerią emira, i że w zeszłym roku zjawił się Anglik, który został zastrzelony albo ścięto mu głowę czy też uwięziono go w Czarnej Studni emira. Mówi się również, że emir trzyma co najmniej tuzin europejskich więźniów, prawdopodobnie wszyscy są Rosjanami. Ale to plotki, żadnych wiarygodnych informacji. Perski kupiec, z którym rozmawiałam dzisiaj rano, był ostatnio w Bucharze i przysięgał, że nie słyszał nic, co mogłoby wskazywać, iż jakiś Europejczyk został stracony. Jednak ambasada woli wierzyć, że Ian nie żyje, bo tak jest wygodniej.

– Myślę, że wyciągasz błędne wnioski. Nawet jeśli nie było żadnej publicznej egzekucji, nie znaczy to wcale, że Ian żyje.

Kobieta odeła usta pogardliwie.

– Ten twój rozsądek zawsze mnie denerwował, Ross. Porywczym Szkotom trudno jest coś takiego znosić ze spokojem.

Przemierzył niewielki pokój i zatrzymał się przed nieciekawym obrazem przedstawiającym angielski krajobraz.

– Nie przeczę. Tak samo działał on na Juliet.

Lady Cameron wciągnęła powietrze, a Ross pomyślał, że pożałowała swojej uwagi. Pomimo sympatii, jaką do siebie żywili, łatwiej było się nie spotykać, bowiem ich rozmowom zawsze towarzyszyło napięcie, kiedy się starali, zazwyczaj nieskutecznie, unikać drażliwych tematów.

– Porzuciłam już nadzieję, że uzyskam pomoc od tutejszej ambasady. Myślałam o powrocie do Londynu i zwróceniu się do kogoś na miejscu, ale liczy się czas; zanim bym coś załatwiła, minęłyby miesiące. – Westchnęła ciężko.

–Wiem, że nie chcesz tego słyszeć – zaczął Ross, odwracając się do teściowej – jednak najlepiej będzie, jeśli pogodzisz się z myślą, że nic już nie możesz uczynić. Jak powiedział Canning, Ian wiedział, czym ryzykuje. Ja-

dąc do Buchary, każdy Europejczyk musi zdawać sobie sprawę, iż może zostać przyjęty z otwartymi ramionami, ale równie dobrze może zginąć. Mimo wszystko nie sędzę, żeby wysłannik rządu brytyjskiego był tam witany z radością, bez względu na rangę jego misji.

Lady Cameron odezwała się dopiero po dłuższej chwili zastanowienia:

– Ach, zagubiłam się, zupełnie zapomniałam, że przecież byłeś w Bucharze kilka lat temu razem z porucznikiem Burnesem. Dziwiłam się nawet, iż nie opisałeś tej podróży tak jak zwykle.

– Wyprawą kierował Alex Burnes i on opisał całą ekspedycję. Nie miałem nic do dodania. Prawdę mówiąc, w owym czasie bardziej interesowało mnie podróżowanie po Saharze, nie myślałem o powrocie do domu i pisaniu. – Ross, patrząc teściowej w oczy, powiedział z naciskiem: – Byłem w Bucharze, i dlatego mam podstawy, by twierdzić, że sytuacja jest beznadziejna. Emir to kapryśny i bezzwzględny władca. Uważa, iż pustynia ochroni go przed odwetem. Bez wahania zlikwidowałby każdego niewygodnego dla siebie Europejczyka.

Jean Cameron, jeszcze przed chwilą bardzo przygnębiona, odzyskała energię.

– Ross, jesteś chyba jednym z niewielu Anglików, którzy byli w Bucharze – mówiła jednym tchem. – Pojedziesz tam jeszcze raz, wybadasz, co się stało z Ianem? Jeśli żyje, będziesz mógł poprosić o jego uwolnienie. Jeżeli nie... – Zadrżała lekko. – Lepiej poznać najgorszą prawdę niż spędzić resztę życia, karmiąc się złudzeniami.

A więc Jean wcale nie była taka pewna, że syn żyje, jak się wydawało. Ross jej współczuł, ale to nie zmieniało faktów. Nie wierzył już w cuda.

– Przykro mi, ale nie mogę jechać. Po śmierci brata potrzebny jestem w Anglii. Co innego, gdyby moja wyprawa miała jakiś sens, ale nie ma. Los Iana został przesądzony już dawno temu.

– Podróż do Buchary ma sens – upierała się Jean. – Zresztą nie tylko dla mnie jest to ważne, Ian zaręczył się w Indiach z Angielką, córką pułkownika. Wyobraź sobie, jak ona się czuje, nie wiedząc, czy jej narzeczony żyje, czy nie.

Do tej pory Ross zachowywał kamienny spokój, ale słowa teściowej mocno go ubodły.

– Jestem pewny, że czuje się jak w piekle – rzucił szorstko. – Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Jednak na pierwszym miejscu stawiam zobowiązania wobec mojej rodziny.

Lady Cameron poczerwieniała, ale nie poddawała się.

– Proszę cię, Ross – powiedziała przymilnie. – Błagam cię. Nie zniósłabym utraty następnego dziecka.

Jej nieustępliwość ożywiła przykre wspomnienia o Juliet. Ross przecha-dzał się nerwowo po pokoju. Dużo myślał o swoim nieudanym małżeń-stwie, szukając odpowiedzi na wciąż dręczące go pytanie, dlaczego Juliet od niego odeszła. I zawsze tym rozpamiętywaniom towarzyszyło poczucie winy. Zastanawiał się, jakich to przestępstw musiał się dopuścić, że jego młoda żona postanowiła od niego uciec. Gdyby nie byli małżeństwem, nie potrzebowałyby zaznaczać swojej niezależności w tak dramatyczny sposób.

Nigdy nie zwierzał się teściowej, ale lady Cameron wiedziała, jak bardzo Ross obwinia się o to, co się wydarzyło. A teraz używa tej wiedzy, żeby skłonić go do podjęcia niebezpiecznej i niemającej żadnych szans na powodzenie misji.

Zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na zewnątrz, gdzie ukośne promienie słońca padały na kopuły meczetów i minarety. Próbując odzyskać spokój i kontrolę nad emocjami, skupił się na konstrukcji okna. W przeciwieństwie do tureckich domów, okna ambasady miały szyby chroniące wnętrze przed zimowymi chłodami. Wykonana artystycznie krata za szybą stanowiła za-równo dekorację, jak i zabezpieczenie, w razie gdyby miejscowa ludność czynnie skierowała swój gniew przeciwko innowiercom.

Obcokrajowiec mógł zginąć tu, zapadając na jakąś chorobę, z powodu piekielnego upału, chłodu, odwodnienia, z rąk bandytów, rozwścieczonego tłumu. Ross podejmował takie ryzyko wielokrotnie, jednak teraz, ze względu na rodziców, musiał bardziej się troszczyć o swoje życie.

Odetchnął głęboko. Prawdę mówiąc, dopiero co opuścił Anglię i nie miał ochoty do niej wracać. Poza tym, choćby nawet jak najlepiej starał się wypeł-niać swoje zobowiązania wobec rodziny, i tak poniesie porażkę. Dopóki żyje Juliet, nie ma szans na poczęcie potomka, który odziedziczyłby po nim na-zwisko i tytuły. Jednak, mimo wszystko, nie mógł życzyć żonie śmierci tyl-ko po to, by móc się ponownie ożenić. Szkoda, że starszy brat doczekał się

samych dziewczynek.

Zawiodłem żonę i zawiodłem rodzinę; być może, myślał ze znużeniem, zyskam jakieś rozgrzeszenie, godząc się na prośbę Jean Cameron. Zdawał sobie sprawę, że gdyby wyjechał do Buchary i tam zginął, rodzice byliby niepokieszeni; a gdyby to ojciec zmarł przed jego powrotem do ojczyzny, on byłby niepokieszony. Niemniej poczucie winy, towarzyszące mu od lat, przeważało.

Odwrócił się i oparł plecami o framugę okna, krzyżując ręce na pierśsiach.

– Jesteś bezwzględna, Jean. – Popatrzył na nią z wyrzutem. – Dobrze wiesz, że nie mogę ci odmówić, kiedy prosisz w ten sposób.

Lady Cameron przytknęła oczy, żeby ukryć łzy ulgi.

– Oczywiście nie przynosi mi to chluby, że wykorzystuję każdą okazję – powiedziała drżącym głosem. – Ale nie prosiłabym cię o pomoc, gdybym wiedziała, że możesz zapłacić życiem.

– Chciałbym podzielać twój optymizm. Byłem w Bucharze i jakoś udało mi się stamtąd wydostać. Ale powtórna wyprawa do tego kraju jest kuszeniem losu.

– Wrócisz bezpiecznie – zapewniła gorąco. – I jeszcze jedno: mam silne przeczucie, że ta misja wyjdzie na dobre nie tylko Ianowi, ale także tobie.

Ross uniósł brwi, obrzucając Jean ironicznym spojrzeniem.

– Jeśli sobie przypominasz, dokładnie takie samo przeczucie kazało ci wierzyć, że ja i Juliet jesteśmy dla siebie stworzeni. Gdybyś nie wyraziła zgody na ślub, uniknęlibyśmy wielu przykrości. Wybacz więc, że wątpię w niezawodność twojego instynktu macierzyńskiego.

Lady Cameron spuściła oczy.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego tak się stało – powiedziała niemal szepem. – Ty i Juliet bardzo do siebie pasowaliście. Nawet teraz w głębi serca czuję, że wasz ślub nie był błędem.

– Niech nas Bóg chroni przed nocnymi zjawami i duchami oraz przed pozbawionymi skrupułów Szkotkami z opaczną intuicją – wyrecytował Ross, parafrazując starą szkocką modlitwę, ale w jego głosie nie było złości, a raczej życzliwość. Gdyby miał dziecko, na pewno z taką samą determinacją jak Jean starałby się mu pomóc. Położył dłoń na ramieniu teścia-



wej. – Przysięgam, że uczynię, co w mojej mocy, żeby wyjaśnić sprawę, i jeśli to możliwe, sprowadzę Iana do domu.

Nie powiedział głośno, że największym sukcesem, jaki sobie wyobrażał, będzie powrót do Anglii ze zwłokami majora Camerona.

Ross sięgnął po zawieszony u siodła bukłak i pociągnął kilka łyków wody, tylko tyle, żeby wypłukać kurz z ust, a potem odwiesił worek na miejsce. Na wysoko położonym płaskowyzu północno-wschodniej Persji było zimno, sucho i pusto, ale miejsce to można by nazwać rajem w porównaniu z pustynią Kara-Kum, do której mieli dotrzeć następnego dnia.

Mimo że Ross dokładał starań, by wyruszyć jak najszybciej, od chwili gdy za namową Jean Cameron zdecydował się na podróż do Buchary, minęły ponad trzy miesiące. Opóźnienia spowodowane były trudnościami w uzyskaniu listów polecających od wpływowych otomańskich urzędników w Konstantynopolu. Bardzo pomógł ambasador Canning, choć nie pochwalał jego misji.

Ross zaszył dokumenty w połach płaszcza. Miał przy sobie listy od sułtana imperium otomańskiego i od *reis-effendi*, ministra stanu spraw zagranicznych. Jeszcze ważniejsze mogły się okazać listy polecające od szejka islamu, najwyższego muzułmańskiego kapłana w Konstantynopolu, skierowane do różnych wpływowych osób, łącznie z emirem i kapłanami Buchary. Ross wystarczająco dobrze znał tę część świata, żeby wiedzieć, iż takie listy mogą uratować życie.

W końcu mógł wyruszać – parowcem przez Morze Czarne do Trebizond. Stamtąd podążał już lądem, potem na niemal trzy tygodnie z powodu zamieci śnieżnych utknął w wysokich górach tureckich przy Erzurum. Jedyłą jasną stroną kłopotliwej sytuacji było to, że wśród uwiezionych podróżników znajdowała się grupa uzbeckich handlarzy. Ross wykorzystał opóźnienie do przypomnienia sobie uzbeckiego, głównego języka używanego w Bucharze. Perskim posługiwał się biegle, tak więc językowo był dobrze przygotowany do podróży.

Kiedy pogoda się poprawiła, znowu mógł wyruszyć w drogę. Dotarcie

do Teheranu zajęło mu następne trzy tygodnie. Tam zatrzymał się w ambasadzie brytyjskiej. Ambasador, sir McNeill słyszał wystarczająco wiele plotek, żeby uważać, iż Ian Cameron nie żyje, jednak przytoczył także opowieść o wysokim bucharskim urzędniku, który podobno został stracony, a jednak po pięciu latach odnaleziono go w więzieniu emira. Ross doszedł do wniosku, iż może poznać prawdę tylko w Bucharze.

Mając już listy od szacha i jego premiera, wynajął dwóch Persów, Murada i Allahdada, jako przewodników i służących. Prawie sześćset mil dzielących Teheran od Meszhedu przebyli bez większych trudności. Jako *ferengi* Ross wszędzie przyciągał uwagę, ale był do tego przyzwyczajony. Słowo *ferengi* pochodziło z czasów krucjat. Była to po prostu arabska wymowa słowa Frank, które z czasem zaczęło oznaczać wszystkich Europejczyków. W trakcie swoich podróży Ross nazywany był *ferengi* z najróżniejszymi odcieniami, od ciekawości do obrazy.

Meszhed od Buchary dzieliło tylko pięćset mil. Ross liczył, że pokonanie tej odległości zajmie mniej więcej miesiąc. Była to jednak najbardziej niebezpieczna część trasy, przez pustynię Kara-Kum, na której nie tylko brakowało wody, ale roiło się od bandyckich grup turkmeńskich koczowników.

Należało być czujnym i ostrożnym. Dlatego też po wjechaniu na pustynię Ross nie spuszczał oka z poprzecinanych wąwozami wzgórz.

– Powinniśmy byli zaczekać w Meszhedzie na następną karawanę, Kilburn – mówił Allahdad zrównując się z koniem Rossa. – Trzej samotni jeźdźcy nie są tutaj bezpieczni. Mogą na nas napaść bandyci. – Splunął na ziemię. – To handlarze ludźmi. Są hańbą dla naszej religii. Sprzedadzą mnie i Murada na niewolników w Blicharze. Ciebie, panie, prawdopodobnie zabiją, bo jesteś *ferengi*.

Ross westchnął; od wyruszenia z Meszhedu słyszał to po raz setny.

– Dogonimy karawanę w Sarakhs, a może jeszcze wcześniej – powiedział stanowczo. – Jeśli napadną na nas Turkmeni, uciekniemy im. Kupiłem w Teheranie najlepsze konie.

Allahdad przyjrzał się trzem wierzchowcom i koniowi jucznemu, którego prowadził Ross.

– Są wspaniałe – przyznał. – Ale Turkmeni rodzą się w siodle. W przeciwieństwie do uczciwych ludzi, żyją z grabieży. Nie uda nam się uciec.

Ross zakończył dyskusję jak zwykle:

– Może w ogóle się nie pojawia. A jeśli już, to im umkniemy. Zresztą, jeżeli zapisane jest, że mamy zostać pojmani, to się tak stanie.

– To prawda – odparł ponuro Allahdad.

Wódz twierdzy Serevan przechadzał się po murach, bystrym okiem lustrując równiny poniżej, kiedy w twierdzy pojawił się młody pasterz przynoszący wieści.

Skłonił się głęboko, po czym oznajmił:

– Gul-i Sarahi, dziś rano widziałem na drodze do Bir Bala trzech podróżników jadących na wschód. Są sami, nie z karawaną.

– To głupcy, jeśli podróżują po tej ziemi bez licznej eskorty – padła beznamiętna odpowiedź. – Podwójni głupcy, bo znajdują się tak blisko granicy.

– Masz rację, Gul-i Sarahi. Ale jest z nimi *ferengi*. Bez wątpienia to jego głupota im przewodzi.

– Czy wiesz, gdzie dokładnie się znajdują?

– Teraz pewnie zbliżają się do małego solnego jeziorka. Dziś rano słyszałem od przyjaciela mojego kuzyna, że jego wuj widział wczoraj w okolicy bandę Turkmenów.

Wódz zmarszczył czoło. Odesłał pasterza, dając mu przed odejściem srebrną monetę. Przez kilka minut wpatrywał się zamyślony w horyzont.

A więc na drodze do Bir Bala znajduje się *ferengi* i to na dodatek głupi *ferengi*. Trzeba coś w tej sprawie zrobić.

Teren stał się bardziej górzysty i Ross wzmógł czujność, wiedząc, że teraz bandyci mogą ich łatwo podejść. Z uwagi na biedę panującą na terenach przygranicznych, wydawało się mało prawdopodobne, żeby bandyci tracili czas na penetrowanie ubogiej okolicy. Zerknął na jałowe wzgórza, myśląc, że powinny już być widoczne jakieś ślady ludzkich osiedli. Przyjrzał się drodze, która nie wyglądała na często uczęszczaną.

– Murad, jak daleko stąd do następnej wsi?

– Może jakieś dwie godziny, Kilburn – odpowiedział niepewnie młody Pers. – Jeśli tylko jest to właściwa droga. Zima była ciężka i wzgórza nie wyglądają tak samo.

Poprawnie interpretując uwagę służącego, która oznaczała, że znowu się zgubili, Ross jęknął. A jeszcze w Teheranie Murad się zarzekał, że zna każdy kamień i krzew we wschodniej Persji. Gdyby Ross nie pilnował drogi, sprawdzając ją z mapą i kompasem, pewnie byłoby już teraz w Bagdadzie.

– Może powinniśmy wrócić po własnych śladach, aż wzgórza zaczną wydawać ci się znajome – zasugerował.

Murad obrzucił go ponurym spojrzeniem, urażony brakiem zaufania, potem zerknął przez ramię i wrzasnął, przerażony tym co zobaczył.

– *Allamans!* Uciekajmy!

Ross i Alkhdad obrócili się w siodłach. Zza zakrętu, jakąś milę od nich, wyłoniło się kilkunastu jeźdźców w charakterystycznych turkmeńskich strojach.

– Do diabła! – krzyknął Ross. – Galopem!

Ruszyli z kopyta. Ross modlił się, żeby szlak, którym podążali, nie okazał się ślepią uliczką. Uważał, że jeśli tylko droga przed nimi dokądś prowadzi, powinni zdołać uciec bandytom, bo wierzchowce, które zakupił w Teheranie, były duże, szybkie i dobrze odżywione. Turkmeni też mieli konie silne i wytrzymałe, ale mniejsze, no i pod koniec zimy z pewnością dał im się we znaki brak paszy. Jeśli sama szybkość nie wystarczy, Ross miał jeszcze strzelbę; choć wolałby nikogo nie zabijać, w ostateczności sięgnie po broń.

Wydawało się, że taka strategia ma sens, ponieważ odległość między dwiema grupami, choć powoli, to jednak się zwiększała. Niestety, jego koń trafił kopytem w niewidoczną norę w ziemi. Zwierzę szarpnęło się, potem runęło na ziemię, rżąc przeraźliwie z bólu, pociągając za sobą konia jucznego. Ross błyskawicznie wyswobodził nogi ze strzemion i, zeskakując z siodła, rzucił się na bok, tak żeby padający koń go nie przygniół. W ułamku sekundy zdarzyło się kilka rzeczy naraz. Kiedy zgiął się wpół i skulił, by nie paść na ziemię na płask, ale się potoczyć, Murad, krzycząc, powściągnął swojego konia. Ze zmarszczonym czołem zastanawiał się, czy udzielić pomocy swojemu panu. Wygrał instynkt samozachowawczy i Murad wbił pięty w boki konia, zmuszając go do galopu. W tym momencie Ross padł na kamienistą ziemię i nagle jakby zatonął w ciemnej pustce.

Odzyskał świadomość po kilku chwilach. Leżał na plecach, oddychał z

trudem, w lewym boku, którym walnął o ziemię, odczuwał przeszywający ból. Ziemia drżała od dudnienia kopyt. Dostrzegł, że w jego stronę pędzi sześciu jeźdźców.

Przy upadku zgubił kapelusz i teraz, na widok jego jasnych włosów, ktoś krzyknął: *ferengi!*

Konie zatrzymały tuż przy Rossie, wierzgając kopytami. W powietrze wzbijały się chmury żwiru i kurzu. Jeźdźcy otoczyli leżącego.

Turkmeni w wysokich czarnych czapach z owczej skóry przypominali żołnierzy z królewskiego oddziału huzarów. W ich żyłach płynęła mongolska krew przodków, a ciemne, zwężone oczy zdradzały różne emocje, od zaciekawienia, poprzez chciwość, do nienawiści.

Ross, oszołomiony, próbował analizować sytuację. Miał przed sobą młodych mężczyzn, a młodzi mniej sobie cenią życie niż starsi. Potrafią zabić pod wpływem impulsu. Jego strzelba była przytwierdzona do konia, który leżał jakieś dwadzieścia stóp od niego, rżąc z bólu, z prawą nogą wygiętą pod nienaturalnym kątem. Juczny koń wstał i wyglądało, że jest sprawny. Za kilka minut Turkmeni zaczną przeszukiwać oba konie, ale na razie interesował ich przede wszystkim jeniec.

Kiedy próbował się unieść, jeden z napastników wysyczał „rosyjska świnią”, a potem strzelił z bata.

Zdażył osłonić ramieniem twarz, ale siła uderzenia rzuciła go znowu na ziemię. Koń bandyty odskoczył, co Ross natychmiast wykorzystał i szybko poderwał się na nogi. Język turkmeński niewiele się różni od uzbeckiego, więc rozumiał bandytów i mógł im odpowiadać.

– Nie jestem Rosjaninem, tylko Brytyjczykiem – wycharczał, bo gardło oblepiał mu kurz.

Jeździec z batem splunął.

– Ha! Brytyjczycy to takie same ścierwa jak Rosjanie.

– Gorsze, Dil Assa – rzucił inny. – Zabijmy tego szpiega białych i wyślijmy jego uszy brytyjskim generałom w Kabulu.

– Po co go zabijać. W Blicharze sprzedamy go za ładną sumkę – wtrącił trzeci jeździec.

– Pieniądze kiedyś się skończą. A zabijając poganina, zyskamy miejsce w raju na wieczność – powiedział Dil Assa.

– Ale nas jest wielu – zaproponował któryś. – Wszyscy pójdziemy do nieba za zabicie tylko jednego pogańskiego szpiega?

Ross przerwał dyskusję, która zapowiadała się na prawdziwą debatę teologiczną.

– Nie jestem szpiegiem – oświadczył. – Jadę do Buchar, żeby się dowiedzieć, co stało się z moim bratem. Mam list polecający od szejka islamu, w którym nakazuje wszystkim wierzącym pomagać mi w mojej szlachetnej misji.

– Szejka islamu nic nas nie obchodzi – odparł butnie Dil Assa. – Zależy nam tylko na błogosławieństwie naszego kalifa.

Powołanie się na szejka nic nie dało, więc Ross postanowił wykorzystać chciwość napastników.

– Pomiędzy *ferengi* jestem lordem. Za pomoc zostaniecie sownie wynagrodzeni.

– Jesteś brytyjskim psem i zdechniesz jak pies. – Kiedy Dil Assa odbezpieczył karabin i wycelował w Rossa, wśród kompanów powstało zamieszanie; wykrzykiwali coś jeden przez drugiego i Ross nie mógł zrozumieć słów. Przypuszczał, iż kilku chce, mając na względzie zysk, żeby zachował życie, inni obstawali za zabiciem innowiercy. Ignorując tę wyraźną różnicę zdań, Dil Assa ze wzrokiem pociemniałym z gniewu, żądny krwi, szykował się do oddania śmiertelnego strzału.

Rosowi otwór na końcu strzelby wydał się tak samo wielki jak otwór lufy armatniej. Wielokrotnie w różnych częściach świata ocierał się o śmierć i udawało mu się wyjść z opresji, jednak tym razem szczęście się od niego odwróciło. Nie było czasu na strach; myślał teraz o Jean Cameron i o tym, że intuicja ponownie ją zawiodła.

Ponieważ wolał umrzeć w walce, a nie dać się ubić jak wieprz, zebrał siły i rzucił się na Dil Assę. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału z karabinu, a po tym poszła cała seria. Dolina drżała od kanonady dźwięków, których echo rozchodziło się po okolicznych wzgórzach. Konie Turkmenów, rżąc z przerażenia, stawały dęba; Ross poczuł silne uderzenie w ramię. Padając, nie wiedział, czy został postrzelony, czy tylko draśnięty kopytem.

Jeden z Turkmenów wrzasnął ostrzegawczo i wskazał na pobliskie wzgórze, skąd pędziła grupa dwunastu strzelających jeźdźców. Rosowi

udało się poderwać na nogi. Pobiegł do rannego konia, chwycił strzelbę i amunicję. Chciał wskoczyć na konia jucznego i uciec z tego miejsca jak najszybciej, zanim znalazłby się w samym środku potyczki między dwiema grupami lokalnych bandytów.

Widząc, że poganin ucieka, Dil Assa krzyknął; nie miał już amunicji i trzymał teraz strzelbę za lufę. Podjechał do Rossa i zamachnął się nią jak pałką. Ten zdążył się uchylić, unikając uderzenia, które roztrzaskałoby mu czaszkę.

Turkmeni wycofywali się w popłochu. Kiedy ich konie pędem mijały Rossa, jeden z jeźdźców zdzielił go batem, powalając na ziemię.

Tym razem Ross nie stracił przytomności, choć w oczach mu pociemniało. Pomyślał, że nie miał tak złego dnia od czasu pamiętnego wydarzenia, kiedy to spotkał Mikahla w górach Hindukuszu. Leżał odrętwiały po cięgach, nie wiedząc, czy jest śmiertelnie ranny, czy tylko poturbowany i oszłomiony.

Z miejsca, w którym się znajdował, dobrze widział, co się działo. Grupa nowoprzybyłych rozdzieliła się, część pognała za uciekającymi, kilku podjechało do niego. Sądząc po ubiorach, byli to Persowie, na szczęście nie tak krwiożerczy jak Turkmeni.

Kiedy znaleźli się tuż przy nim, Ross, nie wierząc własnym oczom, aż zamrugał ze zdumienia. Co, do diabła, robi Tuareg w Azji Środkowej, trzy tysiące mil od Sahary?

Wysocy, krewcy i dumni Tuaregowie byli legendarnymi koczownikami pustyni; byli też jedynymi plemionami muzułmańskimi, w których to mężczyźni, a nie kobiety zasłaniaли twarze. Ross dobrze znał Tuaregów, ponieważ mieszkał z nimi kilka miesięcy, kiedy podróżował po Afryce Północnej. Bardzo się zdziwił, że spotkał jednego z nich tak daleko od rodzinnej ziemi.

Ross podniósł się z trudem, obolały. Przez rozcięcia na płaszczu widać było pokrwawione plecy. Wyglądało jednak na to, że nie odniósł większych obrażeń, przynajmniej na razie.

Mężczyźni wpatrywali się w niego z zaciekawieniem. Ross także się im przyglądał, zwłaszcza jeźdźcowi w środku, który miał na sobie obszerny czarny strój i charakterystyczną zasłonę na twarzy. Długi, niebiesko-czarny kawałek tkaniny, nazywany tagelmoustem, luźno spowijał głowę i szyję



mężczyzny, oczy widać było tylko przez wąską szparkę. Wyglądem mógł budzić lęk.

Poza Tuaregiem w grupie znajdowało się jeszcze trzech Persów i dwóch Uzbeków. Była to niezwykła mieszanka narodowościowa; możliwe, iż przyjechali z jakiegoś nadgranicznego perskiego fortu i służą szachowi. Ross nie wyczuł w nich wrogości, mimo że jeźdźcy nie wyglądali przyjaźnie, zwłaszcza Tuareg, od którego niemal promieniowała siła, chociaż twarz miał niewidoczną.

Subtelne oznaki poważania ze strony reszty bandy kazały się domyślać, że Tuareg jest przywódcą, więc Ross postanowił posłużyć się właśnie językiem Tuaregów – tamaszkiem.

– Za uratowanie skromnego podróżnika z rąk Turkmenów zyskałeś wieczną wdzięczność mego serca.

Tuareg, słysząc swój język ojczysty, zamarł. Ponieważ twarz miał zasłoniętą, jej wyrazu można się było tylko domyślać.

Odezwał się po dłuższej chwili milczenia:

– Pański tamaszek jest dobry, monsieur, ale wole mówić po francusku, jeżeli nim pan włada.

Zawołowany mężczyzna mówił prawie szeptem, głosem lekko zachrypniętym, i nie można było wywnioskować, czy jest młody, czy stary. Spokojnie przeładował broń, bardzo nowoczesny brytyjski karabin wielostrzałowy, po czym odłożył go na siodło. Choć broń nie była skierowana na Rossa, wyczuwał on, że Tuareg nie zawaha się jej użyć w razie potrzeby.

– Towarzyszyło panu jeszcze dwóch ludzi. Gdzie oni są?

– Pojechali dalej, kiedy mój koń upadł – wyjaśnił Ross, nie widząc powodu, by ukrywać prawdę.

Tuareg wykonał szybki gest ręką i dwóch jego ludzi pognało w kierunku, w którym odjechali służący Rossa.

– Powinien pan, monsieur, z większą ostrożnością dobierać sobie służących – napomniął go oschle wojownik z Afryki. – Ich lojalność pozostawia wiele do życzenia.

– Koń przewożący podwójny ładunek nie uciekłby przed Turkmenami. Nie widzę sensu w daremnym ryzykowaniu życiem.

– Jest pan racjonalny do przesady, monsieur. – Tracąc zainteresowanie

tematem, Tuareg zsiadł z konia i przeszedł do rannego wierzchowca Rossa, który leżał na boku i ciężko dyszał. W jego oczach widać było cierpienie. Po krótkich oględzinach złamanej przedniej kończyny Tuareg spokojnie podniósł strzelbę, przyłożył ją do głowy zwierzęcia i pociągnął za spust. Koń drgnął spazmatycznie, a potem znieruchomiał.

Ross z trudem pohamował mdłości. Zabicie rannego wierzchowca było koniecznością i sam by to uczynił, gdyby tylko mógł, ale beznamiętne zachowanie Tuarega sprawiło, że poczuł się nieswojo.

Zawołowany mężczyzna jeszcze raz szybko przeładował broń, a potem odwrócił się do Rossa. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, co sprawiało, że wśród Arabów wydawał się wysoki, choć był kilka centymetrów niższy od Rossa. Szczupła, jak się wydawało, sylwetka i lekkie ruchy wskazywały, że jest młody, ale bijąca od niego jakaś osobliwa moc czyniła zeń człowieka bez wieku.

– Krwawi pan. Czy jest pan ranny?

Ross dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ciągle pociera obolałe ramię. Natychmiast opuścił rękę.

– To nic wielkiego.

– Pojedzie pan z nami do Serevanu. – Nie była to prośba.

– Jako wasz gość czy jeniec?

Sposób, w jaki Tuareg zignorował pytanie, sam w sobie stanowił odpowiedź. W perskim wydał jakiś rozkaz najniższemu z kompanów, nastoletniemu chłopcu.

– Tak jest, Gul-i Sarahi – odparł młodzik. Zsiadł z konia i oddał wodze *ferengi*. Ross skinął głową, dziękując.

– Proszę o chwilę, żebym mógł zabrać swoje siodło i uzdę – zwrócił się do Tuarega.

Mężczyzna z zakrytą twarzą machnął ręką ze zniecierpliwieniem na znak zgody. Ross zdjął uprząż z martwego konia. Sądził, że siodło przyda mu się jeszcze, a co ważniejsze, była w nim ukryta spora ilość złota. Przytwierdził siodło do konia jucznego, potem wgramolił się na użyczonemu wierzchowca, podczas gdy młody chłopak usiadł za Gul-i Sarahim.

Kiedy ruszyli na wschód, w stronę granicy, Persowie otoczyli Rossa, uniemożliwiając mu tym samym ucieczkę. Rozwahał, czy nie wdać się w

rozmowę z najbliższym z jeźdźców, ale uznał, że lepiej nie zdradzać się jeszcze ze znajomością perskiego. Poza tym, zawsze kiedy miał jakieś wątpliwości, wolał trzymać język za zębami.

Podróż zajęła im jakąś godzinę; szlak stawał się coraz węższy i coraz bardziej stromy, aż w końcu zaczęli się wspinać po zboczu góry pojedynczo. Na szczycie droga ostro skręcała i nagle przed nimi pojawiła się otoczona murami forteca. Ktoś z tyłu powiedział głośno: „Serevan”.

Ross z wrażenia aż wstrzymał oddech. Nie miał przed sobą, jak się spodziewał, nędznych wiejskich chałup, ale okazała budowlę przypominającą feudalny zamek, wraz z całym kompleksem budynków. Dzięki wyrafinowanemu systemowi irygacji na każdym kawałku zdatnej do uprawy ziemi, w każdym zakątku wzgórze i w dolinie poniżej rozpościerały się zadbane pola i sady. Pracujący tam ludzie tryskali energią i wyglądali na zadowolonych, w przeciwieństwie do innych mieszkańców tych niebezpiecznych, nieustannie łupionych przez bandytów nadgranicznych terenów.

Jak większość budowli w środkowej Azji masywne mury i budynki fortecy zrobione były z otynkowanych cegieł błotnych, które pobłyskiwały bladozłoto w popołudniowym słońcu. Kiedy minęli bramę i wjechali na teren twierdzy, Ross zauważył, że budynki, choć wyglądały na stare, musiały całkiem niedawno przejść gruntowny remont. W tej części świata jest wiele porzuconych starożytnych bastionów; Serevan należał do jednych z nich, przynajmniej do niedawna.

Gul-i Sarahi podniósł rękę i jego ludzie zatrzymali się naprzeciwko pałacu, który stanowił serce twierdzy. Kiedy Tuareg zsiadł z konia, ze stajni wybiegli młodzi chłopcy, żeby odebrać od jeźdźców wierzchowce, a z pałacu wyszedł siwobrody mężczyzna. Gul-i Sarahi rozmawiał z nim chwilę, po czym się odwrócił i wydał rozkaz:

–Za mną.

Ross wykonał polecenie. Reszta jeźdźców poszła za nim. Pałac, zapewne bardzo stary, był dobrze utrzymany, z bielonymi ścianami i ładną kafelkową posadzką. Gul-i Sarahi wprowadził grupę do dużej sali recepcyjnej. Wzdłuż białych ścian stały miękkie, wyłożone poduchami otomany, podłogę przykrywały jaskrawe, wzorzyste dywany.

Mężczyźni otoczyli Rossa luźnym kręgiem, a Tuareg przyglądał mu się

uważnie. Bawił się batem, przeciągając jego skórzany koniec między szczupłymi palcami.

– Turkmeni to handlarze ludźmi – wychrypiął szeptem. – Czy chcieli zrobić z ciebie niewolnika?

– Podzielili się. Jedni chcieli mnie pojmać, inni zabić na miejscu. Rozrzutni ludzie – odparł swobodnie z typową angielską obojętnością. W sali panowała atmosfera niepewności i, nie wiedząc, co go czeka, Ross posłużył się metodą sprawdzoną w podobnych okolicznościach: nie okazywać strachu. – Mam przy sobie listy polecające od szacha i kilku szacownych mułłów; przez co jestem więcej wart żywy niż martwy.

– Domyślam się, że jest pan wiele wart, monsieur. – Gul-i Sarahi krążył wokół Rossa, poruszając się miękko niczym kot. – Niech pan zdejmie płaszcz i koszulę – rzucił nagle.

Powodów takiego rozkazu mogło być kilka. Rossa przeszedł dreszcz. Zastanawiał się, czy nie odmówić, ale uznał, że postąpiłby głupio; choć najwyższy spośród mężczyzn znajdujących się w pomieszczeniu, był sam przeciwko sześciu. Wiedział, że ludzie Tuarega nie będą się cackać i dopilnują, żeby wypełnił rozkaz przywódcy.

Czując się jak niewolnik na targu, rozebrał się do połowy, rzucając poszarpane ubranie na ziemię. Kiedy odsłonił tors, usłyszał pomruk stojących wokół ludzi. Nie wiedział, czy zrobił wrażenie bladości skóry, ranami i siniakami, czy też dużą szramą, pozostałą po kuli. Prawdopodobnie wszystkim naraz.

Gul-i Sarahi zatrzymał się przed nim. Po raz wtóry Ross przeklął tagelmoust – nie mógł nic wyczytać z wyrazu twarzy przeciwnika.

Tuareg przesunął powoli końcówką bata po brzydkiej, pomarszczonej szramie, w miejscu wyjścia kuli. Potem prześliznął batem po poharatanej piersi i ramionach. Ross wyczuł w tym geście jakąś dziwną delikatność, która zaniepokoiła go bardziej, niż gdyby był traktowany brutalnie.

Zawołowany mężczyzna znowu go obszedł i dotknął innej blizny. Gdy bat przesunął mu się po żebrach, Ross zadrżał. Nie wiedział, czy ma oczekiwać pieszczoty, czy nagłego smagnięcia biczem; każda ewentualność wydawała się tak samo prawdopodobna i tak samo odrażająca.

– Proszę wybaczyć, że jestem tak pokiereszowany – powiedział na pozór

swobodnie. – Zdaję sobie sprawę, że blizny mogą obniżyć moją cenę, jeśli zdecydujesz się mnie sprzedać.

– Dla odpowiedniego kupca nawet z nimi będziesz sporo wart, *ferengi* – odparł twardo Gul-i Sarahi.

Ross wpatrywał się w niego osłupiały. Pod wpływem emocji Tuareg przestał szeptać i mówił normalnym głosem, który wydał się Rossowi za-trważająco znajomy. Pomyślał, że nic bardziej zaskakującego nie mogło mu się tego dnia przydarzyć.

Powtarzając sobie w duchu, że to co sobie wyobraża, jest niemożliwe, obrócił się i spojrzał na Tuarega. Wzrost się zgadzał, podobnie lekka budowa i miękkie, płynne ruchy. Chciał dojrzeć przysłonięte przez tagelmoust oczy. Czy są ciemne, tak jak oczy większości Tuaregów, czy raczej szare, których kolor się zmienia, przybierając różne odcienie błękitu?

– Co się stało, *ferengi*? – rzucił kpiąco Gul-i Sarahi. – Zobaczyłeś ducha?

Już nie miał wątpliwości co do głosu. Zrobił krok do przodu i, nie zważając na nic, chwycił z wściekłością za welon. Zdarł go, odsłaniając twarz Gul-i Sarahi.

Niemożliwe okazało się faktem. Stała przed nim żona, zdrajczyni, Juliet.

Juliet nie cofnęła się, tylko obrzuciła Rossa chłodnym, uważnym spojrzeniem. Płomiennorude włosy opadały jej na plecy, związane swobodnie w węzeł. Wyglądała elegancko i pięknie; jak świetnie hartowane ostrze miecza, pomyślał ze złością.

– Ponieważ jesteś w mojej fortecy, Ross – mówiła po angielsku, unosząc brwi – otoczony moimi ludźmi, nie uważasz, że byłoby rozsądniej, gdybyś zachował nieco większą ostrożność?

Ogarnięty wściekłością, nie zastanawiał się, co może mu grozić.

– Dalej, Juliet, zrań mnie. To twoja specjalność – wycedził. Machnęła dłonią i jej ludzie opuścili pomieszczenie. Starszy Uzbek wychodził z wyraźną niechęcią, aż Juliet powiedziała po persku:

– Nie martw się, Saleh. *Ferengi* i ja jesteśmy dobrymi znajomymi. Każ, proszę, przynieść tu gorącą wodę, bandażę i maść, i może jeszcze herbatę.

– Twój przyjaciel, Saleh, słusznie się martwi – powiedział Ross ze złością. – Z chęcią skrzyłbym ci kark.

Juliet ściągnęła z głowy tkaninę, która miała co najmniej sześć metrów długości.

– Nonsens – odparła spokojnie, rzucając zwój ciemnego materiału na otomanę. – Może i kusi cię, żeby coś mi zrobić, ale przecież jesteś dżentelmenem i potrafisz nad sobą panować; nie skrzywdzisz mnie, nawet jeśli nie zasługuję na dobre traktowanie.

Miała rację. Nawet tamtej tragicznej nocy nie tknął jej palcem, a przecież gniew, który ogarnął go teraz, był tylko cieniem odczuwanego wtedy.

– Jaki był cel tej całej maskarady? – Wkładając koszulę, spojrzał z pogardą na żonę. – Zamierzasz mnie zatrzymać dla okupu? To raczej zbyteczne, biorąc pod uwagę wysokość alimentów, które ci wypłacałem przez ostatnie dwanaście lat.

– Nigdy cię nie prosiłam o pieniądze. – Przybrała ostry ton. – To była twoja decyzja.

– Jesteś moją żoną. Odpowiadam za ciebie finansowo. – Objął ją wzrokiem. Luźna szata sprawiała, że nie można było poznać, czy ukryte pod nią

ciało należy do kobiety. Gdyby nadal miała zasłoniętą twarz i mówiła zmienionym głosem, nigdy by się nie dowiedział prawdy. – Poza tym martwiłem się, jak będziesz zarabiać na życie, gdybym cię nie wsparł.

Pojeła obraźliwą sugestią i poczerwieniała.

– Ross, przepraszam cię za moje niestosowne poczucie humoru.

– A więc to małe przedstawienie było właśnie tym: żartem?! – wykrzyknął dławiony wściekłością. – Masz osobliwe poczucie humoru. Chore.

– Bałeś się? Nie wyglądałeś na przestraszonego.

– Tylko dureń by się nie bał, otoczony obcymi, uzbrojonymi i zapewne wrogo nastawionymi ludźmi. Uznałem jednak, że płaszczenie się nie poprawi mojej sytuacji.

Juliet zagryzła usta.

– Wybacz. Postąpiłam okropnie.

– Odnoszę wrażenie, że to moja osoba wyzwała w tobie takie okrutne skłonności.

Juliet zamierzała chyba odplącić się mężowi jakąś ostrą ripostą, ale wejście małej dziewczynki kazało jej powstrzymać język. Służąca wniosła tacę z medykamentami i herbatą. Postawiła ją na niskim, okrągłym stoliku, ukloniła się i wyszła.

Przerwa dała Juliet czas na opanowanie nerwów.

– To prawda, że wyzwalasz we mnie wszystko co najgorsze – stwierdziła z żalem. Nalała parującej herbaty do filiżanek i dosypała do niej cukru. Podając filiżankę Rossowi, mówiła dalej z poważną miną: – Zanim cię poznałam, byłam skromnym, dobrze ułożonym dziewczęciem.

Kłamstwo było tak rażące, że Ross zachłystnął się pierwszym łykiem herbaty. Był wściekły, ale i rozbawiony.

– Chyba szwankuje ci pamięć, Juliet – zaczął po chwili, kiedy już znowu mógł mówić. – Nawet wtedy byłaś córką szatana, tylko brakowało ci doświadczenia, żeby zaprezentować w pełni swoją diabelskość.

– Nie jesteś aż tak wielkim dżentelmenem, jak myślałam, skoro o tym wspominasz. – Posłała mężowi ulotny, niepewny uśmiech.

Ross poczuł w sercu dziwne ukłucie. Jakie to typowe dla Juliet; potrafi być i denerwująca, i rozbijająca. Najpierw traktuje go jak niewolnika, a za moment podaje mu jego ulubioną herbatę. Powoli odzyskiwał równowagę,

gniew zaczynał słabnąć. I dobrze, bo będzie potrzebować dużo spokoju, żeby poradzić sobie z tą niesamowitą kobietą. Nagle znużony, usiadł na otomanie.

Juliet wzięła tacę z medykamentami i przysiadła obok.

– Zdejmij koszulę – powiedziała rzeczowym tonem.

Ross wzdrygnął się, kiedy zrobiła gest, jakby chciała mu pomóc. Jej dotykanie zaniepokoiło go już wcześniej, kiedy jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia. Teraz tym bardziej chciał go uniknąć. Pokazywanie poranionego ciała lekarzowi to jedno; robienie tego samego przy żonie, z którą jest się w separacji, z którą miało się namiętny, obsesyjny związek, to całkiem co innego. Jednak obrażeniami należało się zająć, a wstydlivość w tej sytuacji zakrawała na śmieszność. Ściągnął koszulę.

– Zjawiłaś się dzisiaj w samą porę. Jak do tego doszło?

– Dowiedziałam się, że w okolicy znajduje się jakiś Europejczyk tylko z dwoma służącymi i że w pobliżu widziano bandę Turkmenów – wyjaśniła. Namoczywszy kawałek materiału, zaczęła delikatnie oczyszczać ze żwiru i zaschniętej krwi pokaleczony nadgarstek. – Postanowiłam zainterweniować, nim mało rozsądni podróżnicy skończyliby na targu niewolników w Bucharze.

Ciepła i słodka herbata działała na Rossa uspokajająco. Siedział wygodnie oparty o aksamitne poduchy, starając się odprężyć ciało. To był chyba najdziwniejszy dzień w jego życiu. Nie mógł uwierzyć, że po tylu latach siedzi obok Juliet, która łąta mu skórę jak podarte palto. Czuł ciepło jej palców, lekko korzenny zapach perfum. Ona natomiast zdawała się zupełnie nie przejmować ich bliskością.

– Często ci się zdarza odgrywać rolę anioła stróża wobec nierozsądnych podróżnych? – zapytał, nie mogąc znieść ciszy.

– Jeśli dochodzą mnie słuchy o potencjalnym zagrożeniu, robię, co w mojej mocy.

Zaczęła rozsmarowywać masę na jego otartym ramieniu, ale choć robiła to ostrożnie i delikatnie, rana piekła tak silnie, że syknął z bólu.

Juliet przesiadła się i zajęła ranami po prawej stronie.

– Byłam zaskoczona, kiedy się okazało, iż tym *ferengi* jesteś ty.

– Wierzę. Ale dlaczego od razu się nie ujawniłaś? Twoje gierki wcale nie



były zabawne.

Zawahala się.

– Nie zamierzałam się ujawniać. Chciałam cię puścić, nie mówiąc, kim jestem.

– W takim razie trzeba było nie poddawać się pokusie i nie upokarzać mnie na oczach twoich ludzi. – W głosie Rossa znowu zabrzmiała złość. – Wtedy jeszcze nie miałem żadnych podejrzeń.

Na policzki Juliet wypłynęły rumieńce. Ze wzmożoną uwagą oczyszczała głęboką, nadal krwawiącą ranę na dłoni męża.

– Nie chciałam cię upokorzyć. Wierz lub nie, ale głównym powodem, dla którego kazałam ci zdjąć koszulę, było to, że się martwiłam. Kiedy podjechaliśmy blisko, wyglądałeś na poważnie rannego. Myślałam, że nie żyjesz. Turkmen strzelał do ciebie z bliska.

– Niełatwo trafić do ruchomego celu z siodła. – Ross zaśmiał się słabo. – Mimo to mam nadzieję, że Dil Assa przeklina siebie za brak celności.

– Przypuszczam, że nie ma na to czasu, bo ucieka przed moimi ludźmi. – Juliet mówiła lekkim tonem, ale tamta scena, kiedy zobaczyła leżącego na ziemi mężczyznę, w którym rozpoznała swojego męża, ciągle się pojawiała. Nie sądziła, że kiedykolwiek ujrzy Rossa, a już z pewnością nie przypuszczała, że będzie świadkiem jego śmierci. – Wprawdzie dość szybko się okazało, że żyjesz, byłeś jednak porządnie potłuczony i ledwie się poruszałeś. Nie wiedziałam, czy udajesz, czy naprawdę jesteś ciężko ranny. Więc postanowiłam to sprawdzić.

– Może rzeczywiście głównym powodem twojego zachowania była troska, ale nie jedynym. O co ci chodziło?

Juliet poczuła, że znowu się czerwieni. Przeklęła w duchu swoją jasną cerę; na twarzy o takiej karnacji rumieńce były bardziej widoczne.

– Byłeś tak... tak diabelnie niewzruszony, pomimo okoliczności, że uległam pokusie i postanowiłam sprawdzić, czy zdołam zmusić cię do jakiejś reakcji. – Zakończywszy opatrywanie ran, odłożyła przybory medyczne na tacę.

– No i udało ci się. – Wciągając koszulę, dodał w zamyśleniu: – Doprawdy interesujące, że tak cię zirytował mój spokój. Już raz z tego samego powodu o mało nie straciłem życia. Czyżby zachowywanie angielskiej rezer-

wy było niebezpieczne?

– Całkiem możliwe. – Stoicka postawa męża mogła wyprowadzać z równowagi. Kiedy byli małżeństwem, nieraz widziała, jak się wycofywał, dystansował, odgradzał murem, ale tak się zachowywał w stosunku do innych, nigdy wobec niej. – Czy kula, która trafiła cię w pierś, znalazła się tam właśnie przez to twoje opanowanie?

– Nie, tę akurat zaliczyłem, kiedy ktoś próbował zastrzelić mojego przyjaciela, a ja, jak głupek, wszedłem na linię ognia.

Juliet, choć bardzo była ciekawa szczegółów, nie dociekała. Ross, dżentelmen w każdym calu, nigdy nie przyznałby się do czegoś tak zawstydzającego jak bohaterstwo. Poza tym nie było powodów, by musiała wiedzieć, co mu się przytrafiło.

– Zapewne byłoby prościej – mówił, zapinając mankiety – gdybyś się nie ujawniła, ale skoro już się stało, mam ci do zadania mnóstwo pytań. Przypuszczam, że ty też. Zaczniemy?

Gdy prawda wyszła na jaw, Juliet nie mogła ukrywać przed mężem, jakim cudem znalazła się na tym końcu świata. Jednak nie czuła się jeszcze na siłach, by mówić o przeszłości.

– Nie teraz. – Wstała. Czarny strój Tuarega zafalował. – Mam po południu kilka rzeczy, którymi muszę się zająć. Zjesz ze mną wieczorem kolację? Przy niej będziemy mogli rozmawiać do woli, aż ochrypniemy z wściekłości.

– Co z pewnością się zdarzy. – W orzechowych oczach Rossa pojawiły się figlarne iskierki.

– A tymczasem – ciągnęła Juliet, ignorując uwagę męża – powinienes odpocząć i może odwiedzić łaźnię. Gorąca woda dobrze podziała na niektóre skaleczenia. – Podała mu słoiczek z maścią, żeby mógł jej użyć w razie potrzeby.

– Dziękuję. – Ross podniósł się i wciągnął poszarpany płaszcz. – A przy okazji, jestem twoim więźniem?

Juliet spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Oczywiście, że nie. – Zagryzła usta, wiedząc, że nie ma żadnych „oczywiście”, przynajmniej nie po tym, jak go wcześniej potraktowała. – Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Rzeczy, które miałeś, pewnie już tam są.

Ross poszedł za żoną przez korytarze do wyznaczonych dla niego pomieszczeń. Przyniesiono już tam siodło i bagaże zdjęte z jucznego konia.

– Spotkamy się godzinę po zachodzie słońca – powiedziała Juliet po wydaniu rozkazu przygotowania kąpieli w męskiej łaźni. – Przyślę kogoś po ciebie.

Przemknęło jej przez myśl, że do tej pory, ilekroć stali w drzwiach do sypialni, wchodzili do niej razem, a nie oddzielnie. Być może, sądząc po dziwnym spojrzeniu, jakim Ross ją obdarzał, on myślał o tym samym.

Odeszła, nie odwróciwszy się; szła spokojnie, równym krokiem, choć tak naprawdę miała ochotę uciekać, jak przed śmiercią. Na rogu skrzyżowania w następny korytarz, minęła go i znowu skrzyżowała. Czas żniw miał to do siebie, że w pałacu panowały pustki, a w części, do której dotarła, prawie nigdy nie było żywego ducha. Tak jak teraz.

Pewność siebie, która pomagała jej przetrwać kilka ostatnich godzin, gdzieś się ulotniła. Juliet oparła się o ścianę. Nogi miała jak z waty. Dobry Boże, Ross miał rację, byłoby o wiele łatwiej, gdyby się nie dowiedział, kim ona jest... Na domiar złego nie mogła nikogo obwinić za ujawnienie swojej tożsamości.

Przywarła do ściany, drżąc, z policzkiem przyciśniętym do chropowatego tynku. Oddech miała urywany. Gdyby tylko nie próbowała podjudzać męża! Prawda, martwiła się, że jest ranny, i nie mogła znieść chłodnego spokoju Rossa, jednak właściwą przyczyną jej oburzonego zachowania był gniew. Przez lata starała się odbudować swoje życie, próbowała odzyskać dobre samopoczucie, a mąż w jednej chwili sprawił, że cały wysiłek poszedł na marne. Może podróżować po całym świecie; dlaczego, do diabła, musiał pojawić się tutaj?

Wiedziała, że gdyby ona i jej ludzie nie zjawili się w porę, Ross już by nie żył, więc nie mogła żałować takiego obrotu sprawy. Jednak to nie zmniejszyło jej złości na niesprawiedliwość losu – prawdę mówiąc. Wbrew swoim intencjom potraktowała męża niczym niewolnika wystawionego na sprzedaż. Co więcej, zaskoczona widokiem brzydkiej blizny po kuli, niepotrzebnie przedłużyła całą scenę, która wypadła dużo groźniej, niż ona zamierzała. W rezultacie doprowadziła do furii człowieka, który znany był z łagodnego usposobienia, i skazała się na coś, co zapowiadało się na bardzo ostrą i

bolesną, dla nich obojga, konfrontację. A najgorsze, że gdy dotknęła męża, ożyły w niej uczucia, które pogrzebała przed dwunastu laty...

Juliet nadal odczuwała ból, kiedy wspominała swój londyński debiut. Była wówczas dziewczyną wysoką, niezgrabną, a jej rude włosy przypominały płonąca pochodnię. Ze względu na pochodzenie nie mogła liczyć na sukces. I chociaż jej na nim nie zależało, ból poniżającej porażki wcale nie był bardziej znośny.

Gdyby nie Sara St. James, Juliet oszalałaby w czasie sezonu. Lady Sara była popularna, choć nie dysponowała wielkim majątkiem. Miała jednak wszystko to, czego brakowało Juliet: była drobna, piękna, pełna wdzięku i, wykorzystując osobisty urok, łatwo zjednywała sobie ludzi – każdy, z kim rozmawiała, czuł się ważny i doceniony.

Ich szkolna przyjaźń z łatwością mogła się rozbić na mieliznach życia towarzyskiego. Ale Sara robiła, co mogła, żeby pomóc Juliet zaadaptować się w środowisku ludzi należących do śmietanki towarzyskiej. Pilnowała, by zapraszano ją na przyjęcia, podsyłała zalotników. Juliet czuła się skrępowana, jak ktoś przyjmujący jałmużnę, ale nie protestowała, korzystała z szansy, poza tym wiedziała, że Sarą kieruje szczerą życzliwość.

Juliet nieraz słyszała o ulubionym kuzynie Sary, lordzie Rossie Carlisle'u, choć nie znała go osobiście. Kiedyś została zaproszona na wielki bal do pewnej rezydencji. Sarę porwał do tańca atrakcyjny młodzieniec, w którym dziewczyna już się podkochiwała. Juliet natomiast znalazła sobie ustronny kącik, starając się nie wyglądać tak niezręcznie i niepewnie, jak się czuła.

Później ciotka Juliet, Louise, będąca jej sponsorką i przyzwoitką na sezon, przyprowadziła do niej młodego mężczyznę. Nieznajomy o płowych włosach był bardzo wysoki, wręcz nieprzyzwoicie przystojny i emanował pewnością siebie. Sądząc po zachowaniu ciotki, która wręcz mu nadskakiwała, musiał być bogaty i dobrze urodzony.

W sali panował taki hałas, że Juliet nie dosłyszała imienia młodzieńca, kiedy ten został jej przedstawiany. Chociaż nie miała specjalnej ochoty z nim zatańczyć, stanie w kącie było jeszcze gorsze, więc nie starając się o zbytnią uprzejmość, przyjęła zaproszenie.

Tańczył bardzo dobrze, co raczej nie zrobiło na niej wrażenia. Domyślała się, że ma do czynienia z jednym z zalotników Sary i właśnie ona kazała mu

zatańczyć z podpierającą ścianę przyjaciółką. Myśl ta nie pozwoliła Juliet cieszyć się chwilą; może mogłaby, gdyby okoliczności były inne.

Na każdą próbę nawiązania rozmowy odpowiadała mężczyźnie lakonicznie, a nawet niezbyt grzecznie, dopóki nie powiedział:

– Słyszałem, że znasz arabski?

Pytanie przykuło jej uwagę i po raz pierwszy spojrzała partnerowi prosto w twarz.

– Tak. Chcesz, żebym coś powiedziała w tym języku? – zapytała, zamierzając zażartować z bawidamka.

Zapewnił, że będzie zachwycony, więc Juliet zatopiła się w myślach, zasłaniając przy tym oczy długimi ciemnymi rzęsami. Potem słodkim głosem wyrecytowała w klasycznym arabskim:

– Jesteś nic niewartym słabeuszem i gadającą małpą bez cienia rozumu.

Ciemnobrązowe oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe. Potem z szelmowskim uśmiechem, płynnym arabskim, odpowiedział:

– A ty, córo pustyni, posiadasz język jaszczurki, ale ponieważ jestem małpą bez rozumu, dałem się uwieść twojej urzekającej urodzie.

Juliet była tak zszokowana, że stanęła jak wryta na samym środku parkietu, gapiąc się na partnera. Silny kontrast między blond włosami i orzechowymi oczami, znajomość arabskiego... Już po chwili zdała sobie sprawę z czegoś, co powinna była wiedzieć od samego początku.

– Jest pan kuzynem Sary, prawda? – wysapała. Mężczyzna uśmiechnął się, nie okazując urazy za nieuprzejme słowa, spojrzał ciepło i przyciągnął partnerkę do siebie.

– We własnej osobie. Domyślam się, że z powodu hałasu nie usłyszałaś mojego imienia.

– No właśnie. Sądziłam, że jesteś jeszcze jednym bawidamkiem.

Roześmiał się na tę niepochlebną szczerłość, a Juliet, żeby zatuszować afront, dodała pośpiesznie:

– Sara mówiła, że studiowałaś orientalistykę i chcesz podróżować po egzotycznych krajach.

– Zgadza się. – Powrócili do tańca. – Czekałem na spotkanie z panią, panno Cameron, bo wiele słyszałem od kuzynki o pani fascynującej przeszłości. Proszę mi opowiedzieć, jak się mieszka w Trypolisie.

Podobnie jak Sara potrafił sprawiać, że rozmówca czuł się przy nim kimś wyjątkowym. Kiedy tańczyli, Juliet powoli rozkwitała niczym kwiat, który rozwiera kielich pod wpływem słońca. Z zapałem opowiadała o Trypolisie i Teheranie, i o frustracji, związanej z powrotem do Anglii. Zatańczyli ze sobą trzy tańce pod rząd, aż w końcu ciotka Louise odciągnęła siostrzenicę na bok, karcąc ją za zbyt śmiałe, nieskromne zachowanie.

Juliet po raz pierwszy w życiu była zakochana – całkowicie, cudownie, ekstatycznie zakochana. Z wzajemnością. Wrogość, którą czuła do Anglii, rozplynęła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zrozumiała, że niechęć do ojczyzny wynikała z tego, że czuła się w Anglii jak odmieniec. Teraz, kiedy była szczęśliwa, nie zamieszkałaby nigdzie indziej. Pokochała siłę i pewność siebie Rossa, jego uprzejmość, sposób, w jaki się śmiał z jej żartów i sprawiał, że czuła się piękna i mądra.

Do końca sezonu stanowili nieustanną pożywkę dla plotek, bo spędzali ze sobą bardzo wiele czasu. Razem bywali na przyjęciach, razem jeździli konno i powozem. Czuła się przy Rossie swobodnie, jak przy bracie, tyle tylko że łączyła ich gorąca, zmysłowa namiętność. Szybkie pocałunki w ustronnych miejscach, słodkie i podniecające, zapowiadały rozkosz, której jeszcze nie zaznała. Drżąc z pożądania, chłoneła pieszczoty Rossa całą sobą. Potem odbyło się przyjęcie w Norfolk.

Na tę myśl Juliet niemal wbiła palce w mur.

Delikatny dotyk na ramieniu przywrócił ją do rzeczywistości.

–Gul–i Sarahi, co cię trapi?

To był Saleh. Z trudem zebrała się w sobie, potem odwróciła twarz do mężczyzny, który sprawił, że mogła zadomowić się w Serewanie.

–Nic mnie nie martwi, wuju. Zamyśliłam się tylko.

Uzbek nie odważyłby się zarzucić jej kłamstwa wprost, ale uniósł krzaczaste brwi i spoglądał z niedowierzaniem.

– Czy ten *ferengi* cię obraził?

– Nie! – zapewniła szybko. Po chwili zastanowienia westchnęła, uświadamiając sobie, że musi powiedzieć Salehowi prawdę. – *Ferengi*, Ross Carlisle, to wielki angielski lord. Tak się składa, że jest też moim mężem.

– Ty masz męża? – Saleh wciągnął z sykiem powietrze. – Przybył tu, żeby cię nam wykraść? Wprawdzie napisane jest, iż żona powinna być po-

słuszna mężowi, ale twoi pokorni słudzy nie pozwolą mu cię zabrać, nie bez twojej zgody.

– Lord nie przyjechał po mnie. Przywiały go do nas wiatry przypadku. Był tak samo zdumiony naszym spotkaniem jak ja, i tak samo niezadowolony. – Juliet roześmiała się nerwowo. – Wcale nie pragnie zabrać mnie do swojego domu. Nie widzieliśmy się dwanaście lat. Nic nas nie łączy oprócz umowy, którą zawarliśmy, kiedy jeszcze byliśmy bardzo młodzi. Zbyt młodzi.

Saleh w zamyśleniu gładził gęstą, siwą brodę.

– Wiatry przypadku są często wiatrami przeznaczenia, moje dziecko.

– Nie tym razem – zaprzeczyła stanowczo. – Chodźmy do stajni. Wybiorę wierzchowca dla mojego męża, żeby już jutro mógł wyruszyć w dalszą drogę.

Jeśli chce zachować spokój serca i umysłu, nawet jeden dzień zwłoki to dla niej za wiele.

Rutynowe zajęcia związane z Serevanem pomogły Juliet odzyskać równowagę. Najpierw przeprowadziła z Salehem i wójtem rozmowę na temat przebudowy zrujnowanej sekcji kanału irygacyjnego, potem wybrała konia pasującego do wzrostu Rossa, a na koniec wydała rozkazy w kuchni dotyczące przygotowania specjalnego posiłku dla dwóch osób.

Rozmawiała też ze swoimi ludźmi, ścigającymi Turkmenów.

Niestety nie odnieśli sukcesu; bandyci uciekli na otwartą pustynię. Dogoniono natomiast służących Rossa. Ucieszyli się na wieść, że ich pan przeżył upadek. Byli szczęśliwi, że pojedą do bezpiecznej perskiej twierdzy i nie grozi im ponowne spotkanie z Turkmenami.

Popołudnie mijało szybko i należało już rozpocząć przygotowania do kolacji. Juliet najpierw poszła do kobiecej łaźni, żeby się wykapać i umyć głowę, potem jedna służąca rozczesywała jej włosy, a druga osuszała.

Po powrocie do swojego pokoju stwierdziła, że umycie włosów było błędem, bo przypominały teraz zmierzwioną strzechę. Chcąc nad nimi jakoś zapanować, bezlitośnie związała je w węzeł. Przejrzała się w wysokim lustrze. Ubrana w długi tuareski strój, ze związanymi włosami, wyglądała nijako, surowo i mało pociągająco.

Bóg jej świadkiem, że nie pragnęła podobać się Rossowi. Była jednak ko-

bietą i nie chciała wyglądać jak wiedźma. Rozpuściwszy włosy, patrzyła krytycznie na swoje odbicie, zastanawiając się, co mogłaby zrobić, żeby poprawić wygląd. Przede wszystkim chyba inaczej ułożyć włosy, tak żeby bardziej okalały twarz i przysłaniały zbyt wydatne kości policzkowe.

Co na siebie włożyć? Jako Gul-i Sarahi zawsze nosiła się po męsku i nie miała żadnych kobiecych strojów. Jednakże...

Przeszła do małego pokoiku, znajdującego się na tyłach sypialni. Tam trzymała zniszczony kufer, a w nim relikty swego europejskiego życia, także dwie suknie w zachodnim stylu. Nie zaglądała do skrzyni od lat, ale coś nie pozwalało Juliet pozbyć się jej zawartości.

Europejskie suknie już od nowości nie należały do tych, które były lansowane w żurnalach mody. Zaraz po ślubie Juliet głośno wypowiedziała swoje zdanie na temat gorsetów: są wstrętne i niewygodne. Dziwiła się, dlaczego kobiety w Europie nie cenią sobie naturalnej sylwetki. Ross zapewnił żonę, że uwielbia kształty jej ciała; następnie, z zapierającą dech prostotą zaproponował, żeby zamówiła sobie suknie pasujące do jej sylwetki. Dodał też, że nie potrzebne są jej gorsety, bo ma wystarczająco szczupłą talię.

Juliet nie zamierzała wcześniej aż tak bardzo przeciwstawiać się konwencji, ale usłyszawszy propozycję męża, przyjęła ją z entuzjazmem. Oczywiście krawcowa była oburzona pomysłem uszycia sukni bez gorsetu, jednak, nie chcąc tracić dobrej klientki, żony samego lorda Carlisle'a, zaprojektowała i uszyła dwie, jedną dzienną, drugą wieczorową. Ross podziwiał efekt, a Juliet nosiła suknie tylko wtedy, kiedy byli sami. Kazałaby uszyć takich więcej, gdyby nie uciekła. Teraz były to jedyne angielskie stroje, jakie posiadała.

Wahała się chwilę, zanim uklękła i otworzyła zamek, a potem podniosła wieko. W powietrze uwolnił się zapach lawendy. Wciągnęła go mocno w płuca. Kiedyś obłożyła stroje lawendą dla ochrony przed molami. Ta słodka woń miała odurzającą moc.

Drżącymi rękami zdjęła pergamin, osłaniający niebieską wieczorową suknię. Jedwabna tkanina migotała delikatnie, rozlewając się zmysłowo na jej dłoniach. Zapach lawendy stał się intensywniejszy, a wraz z nim ożyły wspomnienia. Juliet, oddychając nierówno, zanurzyła twarz w miękkiej materii. Dobry Boże, lawenda z Norfolk...



Sezon właśnie się skończył i Juliet, wraz z ciotką i matką, świeżo po powrocie do Anglii, udały się na przyjęcie do wiejskiej rezydencji księcia i księżnej Windermere. Choć ani słowem nie wspomniano jeszcze o małżeństwie, wizyta była spotkaniem, podczas którego rodziny młodych bacznie się sobie przyglądały. Ciotka Louise promieniała, ciesząc się, że jej mało obiecująca protegowana połączy się z synem samego księcia, lady Cameron zaś wprost zakochała się w Rossie i uważała, że będzie on wspaniałym zięciem. Windermere'owie byli sceptyczni i, choć traktowali dziewczynę życzliwie, wyraźnie dawali do zrozumienia, że ich zdaniem oboje są za młodzi na małżeństwo.

Dla Rossa i Juliet pobyt w Norfolk oznaczał możliwość spędzania więcej czasu razem, ponieważ na wsi nie obowiązywały tak surowe zasady jak w mieście. Mimo to przez pierwsze trzy, cztery dni nie mieli okazji na bycie sam na sam. W końcu jednak taka okazja się nadarzyła i wybrali się we dwójkę na konną przejażdżkę.

Pogoda była idealna – angielskie lato, z gorącym słońcem, lekką bryzą, pierzastymi chmurami przepływającymi po ciemnobłękitnym niebie. Po godzinie jazdy zsiadli z koni przy bukowym zagajniku otoczonym polami norfolkskiej lawendy. Tego roku wiosna nadeszła wcześniej i lawenda była już w pełnym rozkwicie; pola mieniły się fioletem i niebieskością, powietrze przesycił słodki zapach wonnych kwiatów.

Ross przyniósł koc i kosz piknikowy ze świeżym chlebem, swoim serem, piwem i tartą owocową. Choć między młodymi można był wyczuć napięcie, zachowywali się bardzo poprawnie, jedli i rozmawiali, nie dotykając się, ale spoglądali na siebie z pożądaniem. Właśnie strzepywała z koca okruchy, gdy Ross ujął jej dłoń i z czcią ucałował.

Juliet się nie broniła, kiedy zamknął ją w ramionach. Potem były gorączkowe pocałunki, magiczne i niewinne, takie, które się przyjmuje i oddaje, z radością kochając pierwszy raz. Gdy poczuła dłoń Rossa na piersi, zadrżała, pragnęła, by posunął się dalej, choć miała nikłe pojęcie, co to „dalej” mogło oznaczać.

Leżeli na kocu, smakowali słodczy coraz bardziej namiętnych pocałunków. Przyciągnęła mocniej Rossa.

Oszołomiony jej bliskością, jęknął, gdy otarła się o niego biodrami. Z tru-

dem nad sobą panował. Juliet poczuła, jak fala gorąca przelewa się przez jej ciało; ognista lawa, wspaniała i przerażająca.

Zdobywszy się na nadludzki wysiłek, Ross znieruchomiał z policzkiem wtulonym w policzek narzeczonej, otaczając ją ramionami może nawet zbyt mocno. Juliet z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w bicie serca swojego i Rossa. Oddychał szybko, czuła ciepło jego ust na swoich.

Była wstrząśnięta i lekko przestraszona. Już rozumiała, dlaczego dziewczęta potrzebują przyzwoitek. Namiętność jest jak szalejąca bestia; Juliet nigdy nie doświadczyła silniejszych emocji. Zakochana kobieta, przebywając sam na sam ze swoim mężczyzną, naraża się na ogromne ryzyko. A jednak, nawet w takiej sytuacji, ona całkowicie ufała Rossowi.

Leżeli obok siebie, milcząc, a ciszę przerywały tylko brzęczenie pszczoł, śpiew ptaków i miękki szelest liści poruszanych wiatrem niosącym zapach lawendy. Oddech Rossa stopniowo się wyrównywał, uścisk jego ramion zrelaksował się, stał się czuły, a nie miażdżący.

– Juliet – wymamrotał.

Kiedy otworzyła oczy, dotknął jej policzka drżącą dłonią.

– Myślę, że powinniśmy się pobrać – mówił ochrypłym głosem. – Im szybciej, tym lepiej.

– To oczywiste — odpowiedziała.

I tak się stało. Nie było żadnych formalnych oświadczeń ani przyjęcia tych oświadczeń, a tylko absolutne przekonanie obojga, że należą do siebie.

Kiedy poinformowali o swojej decyzji, rozpętała się burza. Jednak Ross wkrótce kończył dwadzieścia jeden lat i nie musiał mieć pozwolenia rodziców na ślub. W dwudzieste pierwsze urodziny miał też odziedziczyć spadek, więc był w stanie utrzymać rodzinę, nawet gdyby ojciec odciął mu dietę.

Ponieważ ojciec Juliet nie żył, potrzebowali tylko zgody lady Cameron, której ta udzieliła bez wahania, choć księżę jej odradzał. Na koniec, ustępując przed nieuniknionym, rodzice Rossa poddali się i przystali na małżeństwo, nie okazując młodemu większej niechęci.

Od tamtej pory, bez względu na okoliczności, zapach lawendy zawsze przenosił Juliet do Norfolk; wracała myślami do chwil, gdy po raz pierwszy odkryła namiętność, i kiedy wiedziała, co to znaczy całkowita pewność.

Odłożyła jedwabną suknię, wracając do rzeczywistości. Nie znajdowała się na lawendowej łące oblanej letnim angielskim słońcem, a w Persji, drżąc z zimna z powodu wieczornej wiosennej bryzy dochodzącej od okna. Za kilka minut ma się spotkać z mężczyzną swojego życia. Kochała go. Wiedziała też, że ma prawo nią gardzić.

Strzepnęła suknię, która o dziwo nie była mocno pognieciona. Choć uszyta z luksusowego materiału, miała prosty krój. W kufrze znajdowały się też podkoszulka i halka. Juliet w pośpiechu, bo już i tak zmarnowała sporo czasu na wspomnienia, przebrała się, ściągnęła włosy i część spięła na czubku głowy pozwalając, by reszta opadła na plecy.

Zdjęła z szyi złoty łańcuszek z wisiorkiem, który nie pasował do sukni i przyjrzała się swojemu odbiciu. Po latach noszenia luźnych, zapinanych pod szyję szat, w dopasowanej i wydekoltowanej sukni czuła się, jakby była goła. Juliet musiała przyznać, że piersi się jej powiększyły, choć figura niewiele się zmieniła; wyglądała prawie tak samo, jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat. Z powodu opiętego staniczka sukni odniosła wrażenie, że wygląda wyzywająco, a nie o taki efekt jej chodziło.

Przypomniała sobie o wzorzystym kaszmirskim szalu, który dostała kiedyś w prezencie od jednego z gości. Udrapowała go na ramionach, stojąc przed lustrem. Przydymione niebieskości i szarości szala pasowały do sukni. Wyglądała skromnie, może nawet za bardzo. Nie jest przecież angielską guwernantką, ale ekscentryczną właścicielką perskiej posiadłości.

Uznała, że świetnym dopełnieniem całości byłaby turkmeńska biżuteria. Otrzymywała od wdzięcznych podróżnych mnóstwo różnych świecidełek; do tej pory jakoś nie miała okazji nosić tych ozdób. Dziś wybrała ekstrawaganckie kolczyki, sięgające prawie do ramion, w komplecie z naszyjnikiem. Wszystko wykonane z przetykanego złotem srebra, w połączeniu z nieregularnymi w kształcie paciorkami z karneolu i turkusów.

Narażając się znów na odurzenie lawendą, wyszukała w kufrze mały słoiczek z błyszczkiem do ust. Rózu nie potrzebowała, bo na policzkach pojawiły się już rumieńce. Podmalowała nieco oczy, używając lokalnego kosmetyku, zwanego surmą.

Spojrzała w lustro. Spodobała się sobie. Wyglądała z pewnością nie prowokacyjnie, ale też nie męsko lub beznadziejnie nijako.

Potem, przygotowana na wszystko, poszła na spotkanie z mężem.

**W** godzinę po zachodzie słońca, bardzo uprzejmy, młody chłopak o kocich ruchach odeskortował Rossa do komnaty, gdzie gość miał zasiąść do kolacji w towarzystwie Juliet. Oświetlony lampami pokój okazał się gabinetem, którego funkcję na potrzebę chwili zmieniono, i teraz stał się jadalnią w zachodnim stylu. Na drewnianym stole przykrytym lnianym obrusem była europejska zastawa.

Służący uklonił się i wyszedł, pozostawiając Rossa samego. Nie przeszkadzało mu to, bo miał ochotę rozejrzeć się po pomieszczeniu, które bardzo przypominało jego gabinet w Anglii.

Poza zwyczajnymi bibelotami znajdowały się tam książki i rękopisy w co najmniej dwunastu językach, zarówno europejskich, jak i wschodnich. Kilka azjatyckich tekstów było tak cennych, że w Rossie natychmiast obudził się naukowiec. Rozmyślał, czy istnieje jakaś szansa na wypożyczenie ich od Juliet. Mógłby nawet przedłużyć swój pobyt w Serevanie, żeby je przetłumaczyć. Potem przypomniał sobie o swojej misji. Zanim pożyczy jakiegokolwiek książki, najpierw musi wrócić z Bucharzy żywy.

Jeszcze bardziej interesujące okazały się mapy Juliet i notatniki, w których zapisywała swoje uwagi na temat Persji i zamieszkującej ją ludności. Notatników było więcej niż dwanaście i Ross przewertował pospiesznie kilka z nich. Wnikliwe i często ironiczne spostrzeżenia w nich zawarte mogłyby, zebrane i wydane w Londynie, stanowić poczytną książkę, noszącą tytuł w rodzaju *Podróże po Persji* lub *Perskie podróże angielskiej damy*. Notatki stałyby Juliet w nowym, interesującym świetle – pokazywały, jaką kobietą się stała.

Ross sięgnął po ostami notatnik i go otworzył. Zobaczył zdanie napisane charakterystycznym dla żony kanciastym pismem: „Wolałabym, Boże, żeby Ross Carlisle nigdy nie pojawił się w moim życiu”.

Serce mu się skurczyło, jakby ktoś wbił w nie lodowy odłamek. Zatrzasnął notatnik i odłożył go na półkę. Potem stanął nieruchomo, nabierając głęboko powietrza. A więc oprócz notatek ze swoich obserwacji, Juliet pisała też pamiętnik, na którego stronach mogła pozwolić sobie na pełną szcze-

rość.

Spojrzał posępnie w stronę obłożonego w skórę dziennika. Przypuszczał, że znajdują się w nim odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania, na przykład, dlaczego ich małżeństwo okazało się klęską – nie miał jednak odwagi jeszcze raz do niego zajrzeć.

Słyszając kroki, odwrócił się i przybrał niedbałą pozę, jakby był w swojej bibliotece. W drzwiach stanęła Juliet. Rossa zamurowało. Zawsze potrafiła go czymś zaskoczyć i teraz znowu jej się udało. Wcześniej, ubrana w strój Tuarega, przypominała wojownika. Teraz, odziana trochę jak guwernantka, trochę jak turecka tancerka, wyglądała bardzo kobieco.

Była nieco zażenowana.

– Dobry wieczór, Ross. Wybacz, że się spóźniłam.

– Nic nie szkodzi – odparł lekkim tonem. – Założyłem, że albo zatrzymało cię coś niespodziewanego, albo nabrałaś wschodniego poczucia czasu.

– I to, i to.

Ross przyglądał się żonie, porównując jej wygląd z wyglądem Juliet z przeszłości. Kiedyś miała pełniejszą twarz, teraz raczej pociągłą, a kości policzkowe mocniej zaznaczone. Nie była kobietą słodką i delikatną, której uroda zniewala mężczyzn. Jej wdzięk polegał na oryginalności.

– Pomyślałam, że będziesz wołał jeść w stylu zachodnim, a stół w moim gabinecie najlepiej się do tego nadaje – powiedziała.

– To miła odmiana, jeśli tylko przez ostatnie trzy miesiące nie zapomniałem, jak się używa sztucców.

Juliet się uśmiechnęła. W tej samej chwili do pokoju wszedł mężczyzna, a za nim dwóch chłopców wniosło tace wypełnione jedzeniem, które odstawili na stojący pod ścianą stoliczek.

– Czy potrzebujesz czegoś jeszcze, Gul-i Sarahi? – zapytał mężczyzna.

– Nie, Ruhollahu. Sami się obsłużymy. Możesz już udać się na spoczynek.

Trójka służących ukloniła się i wyszła.

– Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zadbam, żeby nikt nam nie przeszkadzał – wyjaśniła Juliet.

– Zgadza się. Pojąłem też właśnie, co oznacza twoje imię. Na początku sądziłem, że chodzi o jakieś tuareskie słowo, którego nie rozpoznałem, ale

to musi być perski zwrot *gul-i sara-i*: kwiat pustyni.

– To z powodu koloru moich włosów. Już przy pierwszym spotkaniu Saleh nazwał mnie kwiatem pustyni, a potem imię już jakoś do mnie przylgnęło.

– Dlaczego wolałaś mówić po francusku, a nie w języku Tuaregów? Sądziłem, że w Trypolisie opanowałaś tamaszek.

– To prawda, ale ponieważ wiem, że biegle się nim posługujesz, mogłeś przyłapać ranie na jakimś błędzie. Nie używałam tego języka od lat, więc uznałam, że francuski będzie bezpieczniejszy. – Uniosła butelkę. – Napijesz się wina?

Ross uniósł brwi.

– Musi być trudno o wino w tej części świata...

– Tak, ale staram się zawsze trzymać kilka butelek i wina. i brandy dla moich gości. – Otworzyła butelkę i rozlała wino, pilnując, żeby przy podawaniu kieliszka nie dotknąć dłoni męża. – Ponieważ muzułmanie nie mogą pić wina, nie ma kłopotu ze służbą podbierającą je z piwniczki, co często się zdarza w Anglii.

Przyniosła koszyczek z chlebem, nalała zupy do talerzy i rozstawiła inne dania na stole.

Ross przyglądał się temu w milczeniu, co jakiś czas tylko biorąc łyk wina. Bardzo dobrze pamiętał niebieską jedwabną suknię Juliet, w której teraz wyglądała nawet lepiej niż kiedyś, ponieważ trochę się zaokrągliła. Wyglądała tak prowokująco, że zastanawiał się, czy umyślnie postanowiła się z nim droczyć, czy stara się go uwieść, a jeśli tak, co trudniej mu będzie znieść ze spokojem.

Podniosła na niego wzrok; płomieniste włosy wiły się i tańczyły wokół jej szyi, kiedy okręcała głowę. Ross poczuł, że traci nad sobą panowanie. Jednak, gdy ich spojrzenia się spotkały, w jasnoszarych oczach Juliet dostrzegł niepewność.

To tylko gra, powiedział sobie w duchu, biorąc pod uwagę pogrom, jaki poczyniła wśród śródziemnomorskiego rodu męskiego zanim zniknęła w Azji Mniejszej. Plotki, które do niego docierały, były tak odrażające, że nigdy nie dałby im wiary, gdyby nie posiadał mocnego dowodu. Uznał jednak, że Juliet nie zamierza go uwieść tego wieczoru; jeżeli miałyby taki plan, wie-

dział, że stać ją na więcej. Pomyślał, że żona jest tak samo zmieszana jak on.

– A przy okazji – odezwała się, nieświadoma jego rozważań – są tu twoi dwaj służący. Umieściłam ich w części dla mężczyzn.

– Cieszę się, słysząc to. – Przywykły do uprzejmości w każdych okolicznościach, Ross odsunął dla niej krzesło. Gdy Juliet siadała, suknia musnęła jego dłoń. Cofnął gwałtownie rękę. Lekcje etykiety odebrane od matki nie nauczyły go, jak się zachowywać w stosunku do żony, z którą jest się w separacji, a która na dodatek niezmiernie żałowała, że go poznała.

– Długo tu mieszkasz? – zapytał, zajmując swoje miejsce.

– Dziewięć lat. Po tym jak... – zawahała się, a następnie wybrała neutralny zwrot – opuściłam Anglię, podróżowałam po obszarze śródziemnomorskim, a później po imperium osmańskim. Wiesz, że w dzieciństwie mieszkałam w Teheranie. Pragnęłam znowu odwiedzić Persję, więc jakiś czas spędziłam, przemierzając ten kraj. Planowałam już powrót do Konstantynopola, kiedy odkryłam Serevan.

Ross spróbował zupy. Smakowała wyśmienicie, z ryżem, doprawiona jogurtem i miętą.

– Czy wtedy twierdza była w ruinie?

– Tak. Wschodnie tereny graniczne Persji są bardzo ubogie, wyniszczone ciągłymi najazdami Turkmenów. Wielu mieszkańców wziętych w niewolę zostało wywiezionych do Buchary, a inni przenieśli się w bezpieczniejsze rejony.

Ross oderwał kawałek płaskiego chlebka i użył go do nabrania garstki hummusu, mieszanki ciecierzycy i przypraw.

– Serevan sprawia wrażenie twierdzy, która zdolna jest się obronić.

– Teraz na pewno, ale kiedy tu przybyłam, mury kruszały, główna studnia była zatruta, a we wsi zostało tylko kilku mieszkańców. – Juliet popijała wino, zamyślona. – Mimo że to miejsce sprawiało przygnębiające wrażenie, zakochałam się w nim. W górach i pustyni jest coś czystego, prostego. We wsi mieszkał Saleh. Jest Uzbekiem pochodzącym z Buchary.

To przykuło uwagę Rossa; będzie musiał przed wyruszeniem w dalszą drogę porozmawiać z nim, żeby sprawdzić, czy przypadkiem buharczyk nie posiada jakichś użytecznych informacji. Zastanawiał się też, czy Uzbek jest kochankiem Juliet; jest stary, mógłby być jej ojcem... Szybko jednak zre-



zygnował z rozważania kwestii, która przecież nie miała dla niego znaczenia.

– Zawsze podziwiałaś lady Hester Stanhope, więc postanowiłaś pójść w jej ślady i stworzyć swoje własne małe królestwo? – zagadnął.

– Chyba można tak powiedzieć. – Juliet wstała, żeby odstawić puste naczynia. Przyniosła półmisek z pieczoną jagnięciną i ryżem zmieszany z orzechami i suszonymi owocami. – Byłam już zmęczona ciągłym podróżowaniem i chciałam się gdzieś osiedlić na stałe. Pieniądze to władza, a za moje tysiąc pięćset funtów rocznie mogłam naprawić studnie, odbudować twierdzę, kupić trzodę i nasiona. Ludzie zaczęli wracać, wiedząc, że będą tu bezpieczni. Teraz jest ich tu dość dużo. Głównie Persów, ale są też Uzbegy, Afgańczycy, a nawet kilku Turkmenów. Wszyscy są mile widziani, jeśli tylko zechcą żyć w zgodzie z sąsiadami. To raczej feudalna wspólnota, ze mną w roli właściciela ziemskiego.

Acz niechętnie, Ross musiał przyznać, że Juliet zrobiła dobry użytek z jego pieniędzy. Bez trudu mogła wszystko przepuścić na własne potrzeby; stworzyła jednak na obszarze niebezpiecznej krainy bogatą oazę spokoju. Żeby tu rządzić, potrzeba czegoś więcej niż tylko funduszy: mieszkańcy Serevanu nie słuchaliby jej rozkazów, gdyby nie zyskała sobie ich szacunku.

– Nawiązując do lady Hester Stanhope. Słyszałaś, że nie żyje? Zmarła jakieś półtora roku temu.

– Nie, nie słyszałam. Miała już swoje lata. Tak długo była legendą, iż trudno uwierzyć, że odeszła. – Juliet wydawała się zmartwiona informacją. – Kiedy byłam na Cyprze, myślałam o wybraniu się do Syrii, żeby się spotkać z tą kobietą, ale postanowiłam odłożyć wizytę do powrotu z Persji. Zostałam tu i teraz już nigdy jej nie poznam.

– I może lepiej – stwierdził Ross. – Była fascynującą osobą, ale lubiła mężczyzn o wiele bardziej niż kobiety. Przypuszczam, że nie okazywałyby sympatii młodej kobiecie, tak bardzo do niej podobnej. Dzięki temu, że jej nie poznałaś, zachowasz swoje iluzje.

Oczy Juliet stały się okrągłe.

– Ty naprawdę spotkałaś się z lady Hester Stanhope? – Kiedy skinął głową, wykrzyknęła: – Błagam, opowiedz mi o niej!

– Nie dzisiaj. – Ross rozlał wino do końca. – Dlaczego strój Tuarega?

Juliet się uśmiechnęła.

– Dodaje aury tajemniczości, co nie jest złe w kraju, w którym mit ma tak potężną moc. Poza tym tagelmoust chroni twarz przed słońcem i pomaga ukryć to, że jestem kobietą.

– Wygląda, że uwiłaś tu sobie ciepłe gniazdko. – Ross zamilkł, ale zaraz zapytał łagodnym tonem: – Czy jesteś szczęśliwa, Juliet?

Spochmurniała i spuściła wzrok.

– Mogę powiedzieć, że jestem zadowolona. To ważne, aby robić w życiu coś wartościowego. – Potem, najwyraźniej chcąc zmienić temat, zagadnęła: – Co u Sary, jak ona się miewa?

– Bardzo dobrze. Spodziewa się dziecka na początku lata.

– A czy ma już dzieci? Do tej pory mogła ich urodzić nawet z tuzin.

– Nie ma i nie mogła urodzić tuzina, bo jest zamężna dopiero od dwóch lat – odparł Ross. – To jej pierwsze.

– Nie wyszła za tego młodzieńca, w którym tak się zakochała? – zdziwiła się Juliet. – Wszystko wskazywało na to, że staną razem przed ołtarzem. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale jego ojciec był wicehrabią, a wuj ministrem.

Ross nie zapomniał imienia mężczyzny, lecz nigdy go nie wymienił.

– Nie. Uznał, że nie powinien się żenić z kobietą, która może być kaleką do końca życia. Ponieważ nie było oficjalnych zaręczyn, nie miał trudności z wycofaniem się po wypadku Sary. Niezbyt to honorowe, ale łatwe.

Juliet już unosiła kieliszek, ale energicznym ruchem odstawiła go na stół.

– Po jakim wypadku?

– Nic nie wiesz? Sądziłem, że twój prawnik przekazuje ci nowiny wraz z potwierdzeniami przelewów z banku.

– Kazałam mu ograniczyć się tylko do wiadomości o zgonach w mojej najbliższej rodzinie. Nigdy nie wspominał o Sarze. – Tak zdecydowała, ponieważ nie chciała dać się osłabiać tęsknotą za przyjaciółmi i rodziną. Teraz, wstrząśnięta, uświadomiła sobie, że popełniła błąd.

– W kilka tygodni po twoim wyjeździe z Anglii Sara miała wypadek podczas konnej przejażdżki. Omal nie umarła i groziło jej, że nigdy nie będzie chodzić; doszła do siebie, jest uparta i silna. Piękna szara klacz, Babie Lato, została zabita. – Twarz Rossa stwardniała. – Czasami się zastanawiałem, czy przyczyną wypadku nie było roztargnienie Sary, która wciąż się

martwiła o ciebie i o mnie. Bardzo przeżywała nasze rozstanie. Sara z natury jest ostrożna, zawsze uważała, jeżdżąc konno.

Juliet wciągnęła głęboko powietrze. Chciała zacząć się bronić, ale nie mogła, ponieważ Ross miał rację: jej przyjaciółka rzeczywiście była zawsze bardzo ostrożna. Z trudem przełknęła ślinę. Przez wszystkie te lata myślała, że Sara jest szczęśliwa, a okazało się, że cierpiała, prawdopodobnie była zrozpaczona i czuła się samotna po stracie mężczyzny, którego kochała – i możliwe, że część winy za nieszczęścia, które ją dotknęły, spadała na Juliet. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie pozna wszystkich konsekwencji szalonej ucieczki z Anglii.

– Jak ona się teraz czuje? – zapytała ze ściśniętym gardłem. Twarz Rossa się rozpuściła.

– Nie mogłaby lepiej. Poślubiła mojego znajomego i tworzą nad wyraz udane małżeństwo. Mikahl pasuje do niej o wiele bardziej niż ten młody głupiec, który ją opuścił.

Przynajmniej teraz Sara jest szczęśliwa, pomyślała Juliet.

Pograżona w zadumie nawet nie zauważyła, kiedy na stół jednym zgrabnym susem wskoczył czarny kot o lśniącej sierści. Intruz, zahaczając o obrus, zrolował go, pośliznął się i wylądował przednimi łapami w półmisku z jagnięciną. Wyglądał na tak samo zdumionego jak Ross.

– Szecherezada! – zawołała zmieszana Juliet. Pochwyciła kota w ramiona. – Wybacz, Ross. Kiedy piszę, ona zazwyczaj śpi na tym stole zwinięta w kłębek. Zapewne myślała, że pracuję, i chciała mi towarzyszyć. Nie sądzę, żeby zamierzała dostać się do półmiska, bo nigdy tego nie robi.

Uśmiechnęła się, widząc, że kotka bardzo się zainteresowała stojącym na stole jedzeniem.

– Rzeczywiście mogła nie mieć takiego zamiaru, ale zdaje się, że te smakołyki bardzo ją kuszą. – Ross, sięgnąwszy po mały kawałek jagnięciny, pochylił się nad stołem i podał mięso kotce, której najwyraźniej posmakowało.

– Rozpuszczasz ją – stwierdziła z z troskaniem Juliet, kiedy kotka wyrywała się jej z objęć. – Jeśli będzie się ją nagradzać za przeszkadzanie w czasie posiłku, zrobi się nieznośna.

Na szczęście niezręczną sytuację przerwało pojawienie się Fatimy, sześćioletniej ulubienicy Juliet.

– Przepraszam, Gul-i Sarahi – wyrzuciła z siebie jednym tchem dziewczynka, która wpadła do pokoju jak burza. – Szecherezada mi uciekła. – Stała jak wryta, wpatrując się w Juliet okrągłymi oczami. – Gul-i Sarahi? – Zawiesiła głos, nie będąc pewna, kim jest ta dziwnie ubrana kobieta.

– To naprawdę ja, Fatimo – zapewniła ją Juliet. – Włożyłam strój mojego narodu, żeby uhonorować przybycie tego dżentelmena, lorda Rossa Carlisle'a. To mój... stary przyjaciel z ojczyzny.

Fatima przeniosła zaciekawione spojrzenie na Rossa. Zarumieniła się i naciągnęła welon na dolną część twarzy, tak że widać było tylko jej błyszczące oczy. Nie spuszczała z niego wzroku, zafascynowana. Juliet pomyślała, że zachowanie ulubienicy potwierdza, iż mąż dość często wywiera na kobietach takie właśnie oszałamiające wrażenie. Oczywiście też było, że w tej części świata jego wzrost i złote włosy sprawiały, iż wydawał się kimś więcej niż tylko zwykłym śmiertelnikiem.

– Proszę, moja droga. – Odciągnęła Szecherezadę wczepioną pazurkami w kaszmirski szal. – Zabierz ją i wracaj do łóżka.

Kiedy Fatima wzięła kotkę, Juliet uściśnęła małą i dała jej kawałek ciasta. Dziewczynka, wychodząc, zatrzymała się przy drzwiach i wdzięcznie dygnęła, ponownie wracając spojrzeniem do Rossa.

– Czy to twoja córka? – zapytał.

– Na Boga, nie – zaprzeczyła Juliet. – To najmłodsze dziecko Saleha. – W gruncie rzeczy nie powinna być zaskoczona, bo przecież Ross nie wiedział, co robiła przez ostatnie dwanaście lat. A raczej, w tym wypadku, czego nie robiła.

Wytracona z równowagi własnymi myślami, wstała od stołu i sprzątnęła nakrycia.

– Masz ochotę na kawę? Przyrządzona jest po francusku, a nie po turecku lub arabsku.

Kiedy skinął głową, napełniła płynem dwie filiżanki. Spojrzała na Rossa – w świetle lampy wyglądał jak uosobienie swobodnej angielskiej elegancji. Było tak jak podczas wieczorów w Chapelgate, kiedy potrafili godzinami rozmawiać ze sobą, pijąc popołudniową kawę, a rozmawiali dosłownie o wszystkim.

– To dziwne – powiedziała, niejako wbrew sobie. – Ja w takim stroju i

ty, siedzący naprzeciwko. Znowu się czuję jak lady Carlisle.

– Ale nią już nie jesteś – odparł Ross beznamiętnie. – Już nie.

Juliet zdrętwiała. Te słowa były nawet bardziej szokujące niż scena z rana, gdy zobaczyła go leżącego na ziemi, myśląc, że nie żyje. Choć w liściku, który napisała do Rossa przed odejściem, namawiała męża, żeby się z nią rozwiódł, czuła egoistyczną radość, że jednak takiej decyzji nie podjął. Przez te wszystkie lata i mimo braku kontaktu, świadomość, że nadal są mężem i żoną, że niewidzialna nić nadal łączy ją z Rossem, dawała jej dziwne zadowolenie. Utrata tego połączenia bolała bardziej, niż mogła sobie wyobrazić.

– A więc w końcu otrzymałeś rozwód, co zresztą sama sugerowałam. – Starła się zachować spokój. – Jestem zaskoczona, że mój prawnik nie poinformował mnie o twojej decyzji, ale przypuszczam, że to zrobił, tylko list zaginął gdzieś po drodze. – Postawiła na stole półmisek z ciastami, potem znowu usiadła, kryjąc dłonie, żeby nie było widać drżenia. – Ożeniłeś się powtórnie?

– Nie rozwiódłem się z tobą. Angielskie prawo nie zmieniło się przez te lata, tak więc nadal jedyną podstawą do rozwodu jest zdrada. – Zamieszał cukier w filiżance. – Twoja przeprawa przez obszar śródziemnomorski wywołała wiele plotek – mówił bez emocji – i jeśli choć część z nich opierała się na prawdzie, zaopatrzyłaś mnie w dość krępujący zestaw dowodów na niewierność. Jednakże przeprowadzenie rozwodu to publiczne pranie brudów. Nie chciałem stawiać w tak trudnej nieprzyjemnej sytuacji ani siebie, ani tym bardziej mojej rodziny. I tak nasze rozstanie wywołało skandal, a ja stałem się pośmiewiskiem. – Mimo że ton głosu Rossa był bardzo spokojny, dało się w nim wyczuć pulsujący gniew i ból.

Juliet, choć zdarzało się jej to dość rzadko, zabrakło słów. Słuchała go ze zdumieniem i poczuciem winy. Biorąc głęboki oddech, skupiła się na tym, co mąż powiedział wcześniej.

– Jeśli się ze mną nie rozwiódłeś, dlaczego powiedziałeś, że nie jestem już lady Carlisle? Wątpię, żeby udało ci się anulować nasze małżeństwo.

– Nie, nie udało mi się. Nadal formalnie jesteśmy mężem i żoną. – Jego spojrzenie było ironiczne, jakby się domyślał, że nieźle namieszał jej w głowie. Być może rzeczywiście się domyślał. – Zeszłej jesieni zmarł mój brat.

Ponieważ nie miał syna, jesteś teraz markizą Kilburn. Jeśli odpowiednio długo pożyjemy, zostaniesz kiedyś księżną Windermere.

O dziwo, jej pierwszą reakcją nie było ani uczucie ulgi, że nadal są małżeństwem, ani gniew na męża, że umyślnie ją zwodził. Ogarnęło ją współczucie.

– Ross, tak mi przykro. – Odruchowo dotknęła jego dłoni. – Wiem, że nigdy nie chciałeś zostać dziedzicem.

Choć ręka męża nawet nie drgnęła, Juliet wyczuła, że Ross się spiął. Bardzo ostrożnie, jakby miała do czynienia z odbezpieczonym granatem, cofnęła dłoń.

– A może zmieniłeś zdanie w tej kwestii? Coś, co wydawało ci się więzieniem, gdy miałeś dwadzieścia jeden lat, teraz, kiedy jesteś starszy, możesz traktować jako dar losu. Większość mężczyzn nie płakałaby, odziedziczywszy książęcy tytuł.

– Nie, nie zmieniłem zdania. – Ross westchnął i uśmiechnął się smętnie. – Byłaś jedyną osobą, która mnie rozumiała. Gdy inni słyszą, że zostałem markizem Kilburn, gratulują mi, tak jakby przeżycie brata było moim wielkim osiągnięciem.

– Co za ironia, że teraz wszystko dostanie się tobie, mimo że wcale tego nie chcesz. Jestem jednak przekonana, że zrobisz lepszy użytek z majątku i wpływów wynikających z tytułu niż twój brat. To był człowiek o małej duszy. – Po chwili milczenia dodała: – Oczywiście w takich okolicznościach będzie ci zależęć na dziedzicu. Wcale się nie dziwię, że chciałeś uniknąć złej sławy związanej z rozwodem. Ale jeśli pragniesz powtórnie się ożenić, mogę przysiąc, że nigdy nie pojawię się w Anglii ani nie będę w żaden sposób ci przeszkadzać.

– Zbyt długo mieszkasz na Wschodzie, Juliet. – Uniósł brwi. – To muzułmanie mogą mieć po kilka żon, w Anglii taki proceder nazywa się bigamią i jest zakazany.

– Nie to miałam na myśli! – rzuciła z rozdrażnieniem. – Możesz ogłosić, że umarłam. Wynajdziesz na to jakiś dowód dla angielskich władz. Wtedy staniesz się oficjalnie wdowcem i już bez skandalu będziesz mógł ponownie się ożenić.

Ross patrzył na nią uważnie.

– Mój ojciec zawsze twierdził, że kobiecy ród jest bezlitośnie praktyczny, i miał rację. Szczerze mówiąc, gdybym nawet mógł się ożenić, nie uczyniłbym tego, bo nie mam ani siły, ani ochoty na następny związek. Odwieczny tytuł Windermere'ów i ich wielka fortuna może przejść na jednego z moich kuzynów, kiedy zajdzie potrzeba. – Niespodziewanie się roześmiał. – Ale dziękuję za propozycję. Dowodzi twojej wielkoduszności.

Juliet nagle uświadomiła sobie, jakie mogłyby być następstwa takiego działania. Poczła się głupio. Jej rodzina myślałaby, że umarła. No, ale przynajmniej rozweseliła Rossa. Sięgnąwszy po dzbanek z kawą, uzupełniła filiżanki.

– Jakie masz plany? Wracasz do Teheranu? Mam nadzieję, że nie do Heratu. Afganistan jest teraz bardziej niebezpieczny niż zwykle.

– Nie udaję się do żadnego z tych miejsc. – Sięgnąwszy do półmiska z ciastami, wybrał przyprawione kardamonem i ugryzł. – Doskonałe. Naprawdę masz tu dobrych kucharzy. Tak naprawdę to jadę do Buchary.

Juliet popatrzyła na męża ze zdumieniem.

– Żartujesz. To dla Europejczyków najbardziej niebezpieczne miejsce w całej Azji. Jeśli już koniecznie musisz jechać w głąb Azji Środkowej, jedź do Kokandu albo do Oliwy, skąd może uda ci się wyjechać.

– Niestety w grę wchodzi tylko Buchara. – Ross wytarł palce w serwetkę. – To nie jest wyprawa dla przyjemności, Juliet. Słyszałaś może, że emir przetrzymuje w swoim więzieniu brytyjskiego oficera?

– Docierały do mnie jakieś plotki, ale mówiono też, że ten oficer został stracony.

– Może tak, a może nie. W każdym razie zamierzam sprawdzić, jak się rzeczy mają, a potem coś z tym zrobić.

Juliet zmarszczyła brwi.

– To brytyjski rząd powinien coś z tym zrobić, a nie ty. Chyba nie masz żadnego oficjalnego statusu, prawda?

– Żadnego. Jadę jako osoba prywatna.

– Jesteś szalony. – Obrzuciła go karcącym spojrzeniem. – Jeśli zamierzasz udać się do pałacu emira i prosić go o uwolnienie oficera, sam wylądujesz w więzieniu albo zginiesz.

– Masz rację. Mimo wszystko spróbuję. Prosiła mnie o to matka oficera,

której nie potrafiłem odmówić.

– A trzeba było – sarknęła Juliet, oburzona, że Ross tak beztrąsko podchodzi do niebezpiecznej misji. – Sam dzisiaj mnie przekonywałeś, że nie było sensu, aby twój służący ratował cię przed Turkmenami i nadaremnie ryzykował życie. W twoim wypadku sytuacja jest beznadziejna. Persom groziło najwyżej to, że Turkmeni sprzedadzą ich na niewolników, ty, jeśli pojedziesz do Buchary, zginiesz. Pytanie tylko, czy od razu, czy będziesz gnąć latami w Czarnej Studni. Chcesz się poświęcić dla człowieka, którego nie ma już na tym świecie!

– Obie sytuacje są nieporównywalne – odparł spokojnie. – Po pierwsze, wcale nie wiadomo, czy ten brytyjski oficer został stracony. Jeśli tak, może uda mi się przekonać emira, żeby wydał ciało, bym mógł je przekazać rodzinie.

– Nie wątpię, że rodzina byłaby wdzięczna, ale to nie jest warte twojego życia.

Ross spojrzał żonie głęboko w oczy.

– Nawet jeśli tym oficerem jest twój brat, Ian?

Juliet wstrzymała oddech. Czuła się tak, jakby otrzymała cios w samo serce.

– Dobry Boże, tylko nie Ian – wyszeptała. Drżąc, ukryła twarz w dłoniach. Może ten dzień jest tylko nocnym koszmarem; kiedy się obudzi, wszystko będzie jak zawsze, przekona się, że życie w Serevanie nie uległo zmianie. Albo jeszcze lepiej: okaże się, że snem było całe ostatnie dwanaście lat, a ona nadal znajduje się w Chapelgate, śpiąc bezpiecznie w ramionach męża.

– Och, do diabła – rzucił bezradnie Ross.

Usłyszała, że wstał z krzesła i obszedł stół. Dotknął delikatnie jej włosów.

– Przykro mi, Juliet. Nie powinienem był mówić o tym tak obcesowo.

Odwróciła się do męża, który objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do jego boku. Przez chwilę, walcząc ze łzami, pozwoliła sobie na napawanie się tą niebezpieczną bliskością. Tęskniła za męskim dotykiem. Za dotykiem Rossa.

W końcu odsunęła się, ale nie za szybko, w obawie żeby nie poczuł się



odtrącony.

– Nie musisz przeproszać – odezwała się drżącym głosem. – Nie istnieje delikatny sposób na przekazywanie takich wieści. – Wierzchem dłoni przetarła oczy. – Nie potrafię uwierzyć, że Ian nie żyje. Zawsze był taki pełen energii. Uważałam, że jeśli ktoś kiedyś osiągnie nieśmiertelność, będzie to Ian.

Ross wrócił na swoje miejsce.

– Nie chcę ci robić złudnych nadziei, ale jest szansa, że Ian żyje.

– Naprawdę tak myślisz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wykluczam takiej możliwości. Jadąc tu, spotkałem po drodze wielu ludzi. Rozmawiałem z każdym, kto twierdził, że ma jakieś informacje. Jednak w większości były to relacje z trzeciej, a nawet czwartej ręki. W Teheranie pewien człowiek utrzymywał, że przed kilkoma miesiącami był świadkiem egzekucji jakiegoś *ferengi*, ale opis wyglądu straceńca pasował do niemal każdego Europejczyka.

– Nawet jeśli nie był to Ian, wcale nie znaczy, że on nadal żyje – powiedziała Juliet ze smutkiem. – Mógł umrzeć w więzieniu albo wcześniej zostać stracony. I nawet jeśli, jakimś cudem, dotrzesz do Buchary i znajdziesz Iana żywego, nie ma podstaw sądzić, że emir go wypuści... lub ciebie.

– Tak czy inaczej przyrzekłem, że uczynię, co w mojej mocy, i dotrzymam zobowiązania.

– To wszystko sprawka mojej matki, prawda? – zapytała Juliet nie bez gniewu.

Ross skinął głową.

– Spotkałem ją w brytyjskiej ambasadzie w Konstantynopolu. Próbowałam, bez skutku, przekonać sir Stratforda Canninga do podjęcia jakichś działań przy wykorzystaniu oficjalnych kanałów.

– Skoro Canning odmówił, to znaczy, że rząd jest przekonany, iż Ian nie żyje. – Zmarszczyła brwi. – Do diaska, moja matka nie miała prawa prosić cię, żebyś jechał do Buchary, będąc świadoma czym to grozi.

– Przeczuwała, że Ian żyje i obaj wrócimy bezpiecznie – wyjaśnił z lekkim rozbawieniem. – Miałem się sprzeciwić kobiecej intuicji?

– Chyba nie dajesz wiary chorej wyobraźni mojej matki. Na Boga, Ross,

zrezygnuj z tej szalonej misji! Szlachetne samobójstwo to żadna chluba.

– Bez względu na wszystko, temat nie podlega dyskusji – uciął Ross. – Byłem już kiedyś w Bucharze i jakoś udało mi się przeżyć. Może i tym razem mi się poszczęści. Jeśli nie – wzruszył ramionami – trudno.

– Byłeś w Bucharze? Ale...

Wszedł jej w słowo bezceremonialnie:

– Zdziwiona, że taki uczony i zasiedziały osobnik jak ja odważył się na niebezpieczną przygodę?

Juliet zarumieniała się, wiedząc, że jeśli odpowie na zaczepkę, znowu dojdzie do kłótni; być może zresztą o to chodziło mężowi. Postanowiła zachować spokój i nie dać się sprowokować. Sądząc po jego zaciętym wyrazie twarzy, którego nienawidziła, domyślała się, że nie przekona Rossa do zmiany zdania. I choć ją kusilo, nie mogła też uwięzić małżonka w Serevanie, nawet dla jego dobra.

Wymamrotała pod nosem siarczyste perskie przekleństwo. Teraz już tylko myślała o tym, jak może zwiększyć szanse męża na przeżycie misji.

– Dobrze więc – oświadczyła bardzo stanowczym tonem. – Skoro się upierasz przy wyprawie do Buchary, jadę z tobą.

**D**o diabła. Ross patrzył na żonę ze zdumieniem. Mógł się tego spodziewać.

– Nie zgadzam się – oświadczył dobitnie. Juliet uniosła brwi.

– Nie prosiłam cię o pozwolenie, Ross. Wiem, że wiele podróżowałaś po Azji Środkowej, ale ja mieszkam tu na stałe, od dziewięciu lat. Znam zwyczaje i ludzi lepiej od ciebie, a poza tym mam do dyspozycji więcej środków.

– Nie gadaj bzdur – prychnął ze złością. – Dobrze wiesz, że w tej części świata kobiety w ogóle się nie liczą. Sama nic nie zdołałaś, a twoja obecność tylko pogorszy sytuację. Mnie nie pomożesz, jeśli będę musiał się martwić nie tylko o swoje, ale także o twoje bezpieczeństwo.

– Zachowaj swoje zmartwienia dla siebie – odparowała. – Grozi ci większe niebezpieczeństwo niż mnie, ponieważ pojedę jako mężczyzna.

Rossa zamurowało. Odezwał się po chwili:

– Z twoim wzrostem, w stroju Tuarega i zasłoną na twarzy może i ujdiesz za tubylca, jeśli tylko ustrzeżesz się większych błędów w zachowaniu. Wprawdzie Tuaregów traktuje się w Azji Środkowej z podejrzliwością, będziesz bezpieczniejsza w roli wojownika z Sahary, niż gdybyś podróżowała jako kobieta *ferengi*. Ale to i tak nie ma większego znaczenia. Nie widzę żadnych korzyści z twojej obecności; same minusy. Użyję argumentu, o którym oboje już dzisiaj wspominaliśmy: nie ma sensu niepotrzebnie narażać się na ryzyko.

– Mówią, że Buchara to jama żmij pełna szpiegów i informatorów. Jeśli się tam zjawię jako muzułmanin, będę miała o wiele więcej swobody w poruszaniu się po mieście niż ty, i dowiem się rzeczy, których *ferengi* nigdy by się nie dowiedziały. – Zamyśliła się na chwilę, przygryzając dolną wargę. – Myślę, że powinnam występować w roli twojego służącego, tak żebym mogła, bez wzbudzania podejrzeń, zbierać dla ciebie potrzebne informacje.

Ross o mało się nie zachłysnął ostatnim łykiem kawy.

– Ty, służącą? Zdumiewające doprawdy. Łatwiej uwierzyć, że możesz uchodzić za mężczyznę, niż że będziesz wykonywać czyjeś rozkazy.

Juliet niespodziewanie się uśmiechnęła.

– Racja. Przyznaję, że wykonywanie rozkazów nie stanowi mojej mocnej strony, ale przecież nie jestem idiotką. Wiedząc, że na szali leży nasze życie, postaram się być wzorem posłuszeństwa.

– Nie obchodzi mnie, czy potrafisz wykonywać polecenia jak tresowany pies. Powtarzam, nie zamierzam zabierać cię do Buchary, ani w roli mojego służącego, ani w żadnej innej.

– Jesteś nierozsądny – tłumaczyła cierpliwie. – Ludzie, których wynająłeś w Teheranie, mogą być najlepszymi służącymi, jakich miałeś w życiu, ale znają cię tylko kilka tygodni i nigdy nie będą tak lojalni wobec ciebie jak ja. Nie popisali się dzisiaj, pozostawiając cię na pastwę Turkmenów. A mnie możesz zaufać.

–Zaufać, że mnie nie opuścisz? – rzucił Ross lodowatym tonem. – Biorąc pod uwagę przeszłość, byłbym szalony, gdybym na to stawiał.

Krew odpłynęła z twarzy Juliet, ujawniając piegi na policzkach.

–To jasne, że popełniłeś błąd, zawierając mi swój honor – powiedziała prawie szeptem. – Ale spokojnie możesz zawierzyć mi swoje życie. Dobrze o tym wiesz.

Mimo wszystko, Ross wierzył zapewnieniom żony. Wprawdzie złamała przysięgę małżeńską, ale nigdy nie była tchórzem i z pewnością nie dopuści się zdrady, gdy w grę wchodzi życie jej brata.

Jednak przystanie na jej propozycję było nie do pomyślenia. Rzadko się zastanawiał nad życiem pośmiertnym, przypuszczał jednak, że kilka miesięcy spędzonych w towarzystwie Juliet może przypominać męki piekielne.

– Nie mogę zakazywać ci czegokolwiek – mówił ze znużeniem – ale ty też nie zmusisz mnie, żebym zabrał cię ze sobą jako mojego sługę.

– W takim razie pojedę zamiast ciebie – oświadczyła twardo. –W gruncie rzeczy tak właśnie powinno być. Ian to mój brat, a nie twój. I tak już wystarczająco wiele się nacierpiąłeś z powodu rodziny Cameronów.

Posłała mężowi wyzywające spojrzenie i nagle atmosfera w pokoju uległa dziwnej zmianie. Na chwilę zapomnieli o Bucharze. Gniew i napięcie, towarzyszące im przez cały wieczór, miały swoje źródło w czymś, co dotąd nie zostało wyjaśnione. Porażka ich małżeństwa była otwartą raną. Nadszedł czas, by o tym porozmawiać.

– Jeżeli mamy razem jechać do Buchary, chcąc, żeby nasza misja się powiodła, będziemy musieli ze sobą współpracować – zaczął Ross ostro. – Nie uda nam się to, jeśli nie przestaniemy się nawzajem prowokować. Od pierwszej chwili spotkania jesteśmy w zwarciu i wyszukujemy u przeciwnika słabych punktów.

– Masz rację. – Juliet westchnęła. – Nie jestem dumna ze swojego zachowania. A i twoje pozostawia wiele do życzenia. Czas zawrzeć rozejm.

Przedtem jednak Ross musiał uzyskać odpowiedzi na pytania, które dręczyły go od dwunastu lat.

–Dlaczego mnie opuściłaś, Juliet? – zapytał cicho. – Zakochałaś się w innym mężczyźnie?

Odwróciła wzrok.

–Nie – odpowiedziała prawie szeptem. – Nie było nikogo innego.

Czekał, aż powie coś więcej. Ponieważ tak się nie stało, mówił w zamyśleniu:

– Zawsze byliśmy razem, więc chociażby z tego powodu nie miałaś możliwości, żeby zakochać się w kimś innym. Skoro nie odeszłaś do kochanka, zrobiłaś to może dlatego, że nie chciałaś być z jednym mężczyzną przez całe życie? Uciekłaś, pragnąc postąpić uczciwie i nie dopuścić się zdrady. – Biorąc pod uwagę namiętną naturę Juliet i to, co robiła po ucieczce, sądził, że ostatnie wyjaśnienie jest najbardziej prawdopodobne.

– Nie wiem, czy mam się cieszyć z twojej opinii na temat mojej uczciwości, czy się obrazić za ocenę moralną. Nie, Ross, mylisz się. Nie opuściłam cię, żeby się oddać rozwiązłości. Istnieją jeszcze inne powody do zerwania małżeństwa.

– W takim razie, dlaczego odeszłaś? – Starając się zachować obojętność, jakby temat rozmowy nie miał z nim nic wspólnego, ciągnął: – Byłem szczęśliwy i ty też na taką wyglądałaś. Pokłóciliśmy się tylko kilka razy i, przynajmniej dla mnie, sprzeczki te nie były poważne. Co takiego zrobiłem, że nie mogłaś mi wybaczyć?

W jego głosie wyczuła ciekawość i ból.

– Nie zrobiłaś nic złego, Ross. To ja miałam problem. Nie powinnam była wychodzić za męża ani za ciebie, ani za kogokolwiek innego. – Odsunęła energicznie krzesło od stołu i wstała. Przeszła w głąb pokoju, z dala od

światła lampy. – Właśnie to starałam się wyjaśnić w liście, który zostawiłam. Widocznie nie wyraziłam się jasno, inaczej nie dociekałbyś powodów mojego odejścia.

– Doceniam, że się starałaś zaoszczędzić mi bólu, jednak pomimo twoich wyjaśnień, trudno nie odczuć odejścia żony osobiście – rzeki Ross z goryczą. – To było niemożliwe, zwłaszcza że tak szybko poprosiłaś o rozwód. W Anglii jest mnóstwo nieszczęśliwych małżeństw, niestety parlament udziela najwyżej jednego rozwodu rocznie, wyglądało to tak, jakbyś nie mogła się doczekać, kiedy się mnie pozbędziesz.

Juliet odwróciła się do męża, ale nic nie mógł wyczytać z jej twarzy.

– Przykro mi, że odebrałaś to w taki sposób. Przysięgam, że nigdy nie zależało mi na kimś bardziej niż na tobie. Zaproponowałam ci rozwód, żebyś mógł się związać z kimś innym. Z lepszą kobietą, która dałaby ci szczęście.

Ale on nigdy nie pragnął nikogo innego. Nabrawszy głęboko powietrza, zapytał po raz drugi:

– Jeśli więc nie odeszłaś z powodu kochanka, żądy ani niechęci do mnie, to co tobą kierowało? Proszę, daj mi jasną odpowiedź. Muszę wiedzieć.

Zapadła męcząca cisza. Juliet, czując ucisk w gardle, odezwała się po dłuższej chwili:

– Najprostsza prawda brzmi tak: bałam się. Ogarnął mnie lęk, że jeśli zostanę w Anglii, utracę siebie. Nie wiem, jak można to jeszcze lepiej wyjaśnić.

Ross powoli wypuścił powietrze. Prawdopodobnie odpowiedź żony zawierała tylko część prawdy. Za jej decyzją musiało się kryć coś więcej. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że Juliet zamierza na takim wyjaśnieniu po prostu przestać.

Pozostała jednak jeszcze jedna kwestia, którą chciał poruszyć, zanim się zgodzi wyruszyć z żoną w trudną i niebezpieczną podróż. Przemierzył pokój, podchodząc do Juliet na odległość ramienia. Stał tak blisko, że czuł bijące od niej ciepło. W przyćmionym świetle, wysoka i pełna gracji, wyglądała zjawiskowo.

– Zanim zawrzemy rozejm, muszę się dowiedzieć czegoś jeszcze – po-

wiedział cicho.

Szal, pięknie udrapowany, osunął się, odsłaniając dekolt. Kiedy owiał ich lekki, zmysłowy zapach lawendy, Ross położył dłonie na ramionach żony i przyciągnął ją do siebie, kciukiem gładząc skórę pod misternie zdobionym turkmeńskim naszyjnikiem.

Juliet nie próbowała uniknąć pocałunku. Poddała się bezwolnie, a ich usta pośpiesznie szukały drogi do siebie. Wtuliła się w niego, jakby znalazła schronienie, kiedy brał ją w objęcia.

Dwanaście lat zamieniło się w nicość w czasie jednego uderzenia serca, a coś, co zaczęło się czułym, trochę nieśmiałym pocałunkiem, stało się nagle wszechświatem doznań. Pragnął Juliet bardziej niż samego życia. Błądził dłońmi po zagłębieniach i wypukłościach jej ciała. Pod jedwabną suknią wyczuwał napinające się mięśnie. Juliet wcale nie była pasywna. Tuliła się do męża z gorączkową tęsknotą, niespokojnymi dłońmi odnajdywała znajome miejsca na jego ciele, oszołomiona pożądaniem. Zachowywała się tak, jakby chciała wykorzystać tę chwilę bliskości do cna, bojąc się, że już nigdy się nie powtórzy.

Nagle oderwała się od męża. Drżała, oczy miała zamglone.

– Nie, Ross – wyszeptała. – Nie. Nigdy więcej.

– Dlaczego nie? Nasze małżeństwo nie pod każdym względem było złe.

– Pogłodził Juliet po policzku i czubkiem palca obwodził kontury jej twarzy.

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam. – Głos jej się załamał. – Choć wolałabym nie pamiętać.

Opuścił rękę. Przez sekundę Juliet stała nieruchomo. Potem, jakby uwolniona od zaklęcia, które na moment połączyło ją z mężem, odwróciła się i podniosła jedną z lamp. Sztywnym krokiem, nie oglądając się za siebie, wyszła z pokoju.

Ross przymknął oczy, przekonując sam sobie, że nie umiera się z powodu frustracji po miłosnym niepowodzeniu, nawet jeśli życzyłby sobie tego. Co do odrzucenia, to przez ostatnie dwanaście lat przekonał się, że ono także nie jest śmiertelne. Umyślnie skupił się na swoich ranach i bliznach, wiedząc, że fizyczny ból będzie lepszy od tego, który teraz rozdzierał mu duszę. Choć został mocno poturbowany, starcie z Turkmenami uważał za czystą przyjemność w porównaniu z wieczorem spędzonym w towarzystwie

żony. Wydawało się niemożliwe, że od wspólnej kolacji minęło tylko kilka godzin, czuł się bowiem tak, jakby przez pół dnia postarzał się o pół wieku.

Musiał odrzucić ponure myśli, żeby dojść do równowagi. Kiedy temperatura uczuć nieco opadła, i miał już dystans do sprawy, spojrzał na żonę nawet z pewnym podziwem, chociaż nie bez ironii; za pomocą tylko kilku słów nie tylko go odtrąciła, ale zaprzeczyła także ich wspólnej przeszłości. Poczynaniom tej niesamowitej kobiety z pewnością nie można odmówić skuteczności.

Zgasił wszystkie lampy poza jedną, potem podniósł ją i wyszedł z gabinetu. Gdy prowadzono go do tego pomieszczenia, starał się zapamiętać drogę, ale teraz miał kłopoty z jej odnalezieniem, przez co dotarcie do pokoju zajęło mu trochę czasu. Kiedy tak przemierzał długie i puste korytarze, jego ścisły umysł pracowicie analizował to, co się wydarzyło.

Wprawdzie podróże pasjonowały Rossa od zawsze, zdawał sobie sprawę, że jednym z powodów jego częstych wypraw była skrywana głęboko nadzieja, iż pewnego dnia natknie się gdzieś na Juliet. Nie szukał jej z miłości, a już z pewnością nie z powodu nienawiści, a dlatego, że swoim odejściem sprawiła, że czuł się w środku pustki.

Dzisiaj, gdy za sprawą czystego przypadku wreszcie ją odnalazł, okazało się, że powrót do przeszłości nigdy nie będzie możliwy. Kiedyś myślał, że być może Juliet, która uciekła pod wpływem nagłego impulsu, po prostu nie wiedziała, jak do niego wrócić. Dlatego żywił nadzieję, że istnieje szansa, iż zejdą się na nowo, gdyby ponownie się spotkali.

Teraz jednak musiał się pozbyć złudzeń. Idąc do pokoju, Ross myślał z goryczą, że – sam nie chciał się do tego przyznać – nie potrafi rozkochać w sobie kobiety i zatrzymać jej, stworzyć trwałego intymnego związku.

Jego pochodzenie i majątek stanowiły gwarancję, że znalezienie nowej żony, jakiejś znudzonej damy z towarzystwa, nie będzie problemem. Ale on pragnął czegoś więcej; pragnął żony, która by mu dorównywała, towarzyszki życia na dobre i na złe. Taki związek tworzyli jego rodzice i tylko taki uważał za normalny, choć kiedy rozejrzał się po świecie, przekonał się, że małżeństwo może funkcjonować na różnych zasadach. Pozostał jednak wierny stworzonemu przez siebie modelowi związku.

Istniały tylko dwie kobiety, z którymi chciałby założyć rodzinę. Jedną



była jego kuzynka Sara. W dzieciństwie nie odstępowali się na krok, Sara jednak widziała w nim tylko przyjaciela. Wtedy sądził, iż to dlatego, że razem dorastali. Z czasem pogodził się z myślą, że nigdy nie obdarzy go romantycznym uczuciem.

Juliet wydawała mu się zupełnie inna niż Sara. Myślała, że go kocha, i zawierzyła mu całkowicie. To jej oddanie, wzajemna bliskość wytworzyły między nimi więź dokładnie taką, o jakiej marzył. Jednak po kilku miesiącach wszystko się zmieniło. Radosna z natury Juliet nagle przygasła i zaczęła się od niego oddalać.

Ross wiedział, że coś jest nie tak, ale wtedy jeszcze nie pojmował, że miłość żony do niego umiera. A może Juliet nigdy prawdziwie go nie kochała?

Zaczęły się kłótnie, których powodem stała się planowana przez nich podróż na Środkowy Wschód. Juliet nie mogła się doczekać wyjazdu, a Ross go opóźniał, bo jego ukochany ojciec chrzestny był chory. Ona ciągle wspominała mu zwłokę, być może obawiając się, że nigdy nie wyruszą. Potem Ross popełnił poważny błąd i wyjechał do ojca chrzestnego, zostawiając żonę samą; nie chciała mu towarzyszyć, twierdząc, że nie czuje się najlepiej. Kiedy wrócił, jej już nie było.

Po latach zrozumiał, że Juliet, młoda i niedoświadczona, pomyliła pożądanie z miłością. Przynaglił ją do małżeństwa, zanim zdążyła się zastanowić, ale i tak dość szybko zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki. Inna kobieta zostałaby z nim ze względu na majątek i obyczajność, ale nie Juliet. Choć dzisiaj zaprzeczyła, że to on ponosi winę za rozpad ich małżeństwa, Ross wiedział swoje. Uczciwa do bólu, opuściła go, nie chcąc żyć w kłamstwie.

Ross spotykał się czasami z innymi kobietami, wtedy, gdy był bardzo spragniony fizycznej bliskości. Żadna jednak nie obdarzyła go miłością. W tamtym czasie nie przywiązywał do tego większej uwagi, teraz jednak uznał, że przyczyna tkwi w jego, najwyraźniej ułomnej, naturze.

Zatopiony w myślach, dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że dotarł już na miejsce i stoi jak słup na środku pokoju. Odstawiwszy lampę, rozebrał się, rzucając ubrania na sofę. Potem zgasił lampę. Czuł się zmęczony, umysł miał otępiały. Położył się na grubym bawełnianym materacu i nakrył narzutą.

Myślał o Juliet nie bez zdziwienia, że nadal budzi w nim tak samo silne

pożądanie jak przed laty. A nawet silniejsze; czas zatarł różnicę między wspomnieniami a marzeniami, aż do dzisiejszego wieczora, kiedy to wspomnienia odżyły z drażniącą wyrazistością.

Jeszcze bardziej zaskoczył go fakt, że w Juliet także odezwało się pożądanie, choć nie na tyle silne, by przeważyc niechęć do niego. A więc zdanie, które przeczytał w jej pamiętniku, iż żałuje, że go poznała, nie było poddyktowane tylko chwilowym nastrojem. Tak, lepiej by się stało, gdyby się nie spotkali. Mimo że przed laty w ich związku nie brakowało namiętności i można by sądzić, że się rozumieją, zawsze byli sobie obcy – i tak już zostanie.

W Anglii wypicie butelki bordo we dwójkę nie byłoby przesadą, jednak kiedy Juliet odsunęła narzutę ze spoconego ciała, uświadomiła sobie, że obojgu zabrakło rozwagi. Wprawdzie żadne z nich się nie upiło, niemniej alkohol zrobił swoje. Mieszkając w kraju islamskim, w którym obowiązywał zakaz spożywania mocnych trunków, Juliet prawie w ogóle nie piła, Ross zaś, który nigdy nie przesadzał z alkoholem, prawdopodobnie nie tknął go przez wszystkie miesiące swojej podróży. W rezultacie parę kieliszków wystarczyło, żeby i ona, i mąż poluzowali kontrolę, w wyniku czego Ross zapragnął ją pocałować – a ona była na tyle głupia, że na to pozwoliła.

Pozwoliła. Uśmiechnęła się gorzko, przekręciła na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Omal nie powaliła męża na orientalny dywan. Jeszcze pół kieliszka i z pewnością by to zrobiła. Na dodatek, o dobry Boże, żałowała, że tak się nie stało. Rano będzie sobie wdzięczna za to, że zachowała przytomność umysłu, ale teraz jej ciałem targało pożądanie.

Najżywsze i najbardziej zmysłowe wspomnienia łączyły się z nocą poślubną. Zdecydowali, że ślub będzie skromny, bo nie chcieli z nim zwlekać, co byłoby konieczne, gdyby zdecydowali się na ceremonię z pompą. Już w trakcie narzeczeństwa Juliet proponowała – by nie tracić czasu – żeby skorzystali z pradawnej szkockiej tradycji i przeskoczyli razem nad mieczem. Nie zrobili tego jednak, nie tyle ze względów obyczajowych, ile z powodu tego, że wtedy jeszcze nie mieli gdzie się podziąć.

Ceremonia odbyła się w Szkocji, w wiejskim kościółku, na terenie posiadłości wuja Juliet. Potem młoda para odjechała do pobliskiego domku my-

śliwskiego, własności jednego z przyjaciół księcia Windermere. Tam byli wreszcie naprawdę sami. Po lekkiej kolacji Ross wyszedł, zostawiając Juliet, żeby mogła się umyć, przebrać i przygotować. Mimo że marzyła o tej nocy od tygodni, ogarnęło ją przerażenie. Kiedy jej świeżo poślubiony mąż wszedł do pokoju, nie czekała na niego w łóżku. Siedziała na parapecie w skromnej białej koszuli nocnej, skulona, rękami obejmowała podciągnięte pod brodę kolana i drżała.

Ross podszedł do niej. Patrząc na półksiężyc, zdobiony czarne aksamitne niebo, objął Juliet ramieniem i zapytał:

– Zimno?

Pokręciła głową.

Gładził ją po karku, a ciepło dłoni powodowało, że napięte mięśnie stopniowo się rozluźniały.

– Zdenerwowana?

Przełknęła ślinę i odwróciła się do męża.

– Wszyscy ciągle nam powtarzali, że jesteśmy za młodzi na małżeństwo. Może mieli rację?

– Nie – odparł po prostu.

Potem pochylił się i wziął ją na ręce. Zaskoczona, złapała go za szyję, żeby nie stracić równowagi. On zaś usadowił się na parapecie, a ją posadził sobie na kolanach.

– Wszyscy – ciągnął – kimkolwiek są, mylą się. Kocham cię, a ty kochasz mnie. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. – Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. – Może oprócz tego, że młodzi chętniej podejmują ryzyko.

Jego pewność rozwiała wątpliwości Juliet. Powiedziała sobie, że wprawdzie ona jest młoda i niedoświadczona, ale nie Ross. On jest silny, opanowany i mądry; ma wszystkie zalety, których jej brakuje.

Rozluźniona wtuliła się w męża jak kotka, wciskając twarz w jego szyję. Po kąpieli pachniał świeżością i tym męskim zapachem, który był charakterystyczny tylko dla niego. Ciepłym, cichym głosem mówił o rzeczach, które będą razem robić, o miejscach, które zwiedzą, wspólnych odkryciach. Cały czas ją pieścił; delikatnie, czule, zmysłowo.

Choć czekali na tę noc z gorączkową niecierpliwością, teraz nie musieli się spieszyć. Pieszczoty Rossa były mistrzowskim popisem wirtuozerii, za-

chęcały też Juliet, by poznawała jego ciało. Trochę zawstydzona, wsunęła dłoń pod szlafrok i pogładziła delikatnie ciepłą, pokrytą miękkimi włosami pierś męża. Czuła, jak mocno bije mu serce i – co ją zdumiało – pod jej dotykiem puls jeszcze przyspieszył.

Gdy Ross niósł ją do szerokiego łóża, była spokojna i rozluźniona. Matka mówiła, że pierwszy raz jest bolesny. Jednak Juliet nie odczuła żadnego bólu, a tylko chwilowy dyskomfort. Była oszołomiona nieznanym doznaniami, a potem uczuciem czystej radości.

Nigdy nie uwierzyłaby w siłę namiętności, gdyby jej sama nie doświadczyła. Kiedy się kochali, ich serca biły jednym rytmem. Zrozumiała, dlaczego w czasie ceremonii ślubnej mówi się o małżeństwie jako o połączeniu ciał i dusz.

Po tej magicznej nocy Juliet sądziła, że już nigdy nie przeżyje czegoś tak wspaniałego. Ale przyszły następne, jeszcze piękniejsze, bo z czasem lepiej poznawali swoje ciała, wzajemne pragnienia. I trwało to do chwili, gdy nagle Juliet uzmysłowiła sobie, co się z nią dzieje. Wtedy przerażenie sprawiło, że jej świat zaczął się rozpadać.

Nie mogła winić nikogo poza sobą. Gdyby nie była taka słaba, zostałaby w Anglii. Zamiast tego, ze strachu, zniszczyła własne życie. Gorzej, dotkliwie zraniła Rossa; aż do tego wieczora nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Chociaż wiedziała, że zasmuci męża odejściem, wierzyła że – zawsze był silny psychicznie – dość szybko zdoła wyrzucić ją z pamięci.

Ale tak się nie stało, inaczej nie powiedziałaby dzisiaj, że nie ma ani siły, ani ochoty na kolejne małżeństwo. Kiedy się pobierali, nie brakowało mu zapału. Może zamiast uciekać, powinna była sprowokować jakiś fatalny wypadek. Gdyby umarła, Ross odbyłby żałobę, a potem powrócił do normalnego życia.

Zastanawiała się, jakie plotki na jej temat musiały docierać do Anglii; z pewnością takie, że brała udział w dzikich orgiach i pławiła się rozpuście. Oczywiście nie była to prawda, ale wystarczyło, żeby Ross uznał, iż nie ma sensu jej szukać i skłaniać do powrotu.

Tego wieczoru uzmysłowiła sobie jeszcze jedną rzecz: porzucając męża, ugodziła w jego męską dumę. Poza tym, Ross, ogromnie dbający o prywatność, z pewnością cierpiał katusze, gdy stał się obiektem plotek. Jej było ła-

twiej, ponieważ zostawiła elegancki świat za sobą. Nie musiała znosić ukradkowych spojrzeń i szeptów znajomych.

Ciekawa była, co Ross o mej myśli. Zastanawiała się, czy pragnął czegoś więcej, czy pocałował ją tylko ot tak, dla zabawy. Nie potrafiła wyczuć jego intencji.

Jaka szkoda, że nie da się oddzielić ciała od uczuć, myślała. Dlatego wołała nie ryzykować. Wiedziała, że gdyby nawiązali romans, nie zniosłaby jego zakończenia, a tak by się stało, bo przecież nie uporali się jeszcze z przeszłością.

Leżała na boku zwinięta w kłębek, przyciskając do siebie poduszkę jak koło ratunkowe. Jej róg był mokry od łez. Nabrawszy powietrza, obróciła się na plecy i próbowała rozluźnić mięśnie, każdy po kolei, zaczynając od stóp.

Postanowiła, że będzie się pilnować, inaczej wyprawa do Buchary okaże się katastrofą. Nie czas teraz na miłostki. A gdy wróca do Serevanu, musi zachować opanowanie i godność, aby pozwolić mężowi odejść z jej życia.

Następnego dnia Ross obudził się z niespokojnego snu, czując się jak człowiek, który przeżył katastrofę. Pomyślał, że zmierzenie się z emirem Bucharą to nic w porównaniu z uświadomieniem sobie własnych życiowych porażek.

Właśnie kończył się ubierać, kiedy służący wezwał go na posiłek. Ross poszedł za nim z pewną niechęcią, zastanawiając się, czy idą do Juliet. Z ulgą stwierdził, że jedyną osobą siedzącą w małej, słonecznej jadalni był stary Uzbek, który, zdaje się, pełnił w Serevanie funkcję nadzorcy.

Mężczyzna miał biały turban i odziany był w bogato zdobioną szatę z jedwabiu tkanego techniką *ikat*. Na widok Rossa uprzejmie skinął głową.

– *Salaam Aleikum*, lordzie – powiedział, witając się tradycyjną formułą, która wyrażała życzenia pokoju. – Nazywam się Saleh i jestem pokornym sługą Gul-i Sarahi. Proszę wybaczyć, że nie wstaję na powitanie, ale moje kolana, stare i słabe, protestują, gdy je nadwerżam.

Ross dzięki długiej praktyce bez trudu usiadł po turecku na poduszce leżącej przy stole.

– *Aleikum Salaam* – odparł. – To dla mnie zaszczyt, że pragniesz podzielić się ze mną chlebem i solą. Byłbym niepokieszony, gdyby twoje kolana miały przy tym ucierpieć.

Saleh wybuchnął śmiechem, a jego jasne oczy zdradzały zaciekawienie. Wyglądało na to, że chciał o czymś porozmawiać, ale najpierw poczęstował gościa herbatą, serem i świeżym chlebem.

– Bardzo biegle władasz perskim, lordzie – odezwał się, kiedy Ross skończył jeść i popijał drugą filiżankę herbaty.

– Piękno tego języka wynagrodziło mi trudy nauki. — Jak większość wschodnich języków, ten także zachęcał do używania kwiecistych zwrotów. Przechodząc na uzbecki, dodał: – Ale jeśli wolisz, możemy zmienić go na inny.

Twarz Salcha pojaśniała.

– Och, mówisz też językiem mojej ziemi ojczystej. To ci się przyda w Bucharze.

Ross rzucił rozmówcy czujne spojrzenie.

– A więc Juliet, to znaczy Gul–i Sarahi, już ci o tym powiedziała?

– Tak. Poinformowała mnie dzisiaj, że emir uwięził jej brata i razem zamierzacie dowiedzieć się czegoś o jego losie. – Saleh podniósł brzoskwinię i zabrał się do obierania jej ze skórki nożem o cieniutkim ostrzu. – Przemyślałem wszystko i doszedłem do wniosku, że powinienem wam towarzyszyć.

Ross uniósł brwi, zadając sobie pytanie, czy przypadkiem zaraz się nie okaże, że cały Serevan zechce się wybrać wraz z nim do Buchary. Niemniej rodowity mieszkaniec Buchary może się przydać.

– Podróż będzie długa, ciężka i niebezpieczna. Przemyślałeś dobrze, panie, swoją decyzję?

– Prawdę mówiąc, nie. – Uzbek skończył obierać brzoskwinię i pokroił ją na części. – Jestem stary i przyzwyczajony do wygód. Ale jestem też dłużnikiem Gul–i Sarahi. Jadąc z nią do Buchary przynajmniej w pewnym stopniu się jej odwdzięczę.

– Tak? – Ross się zaciekawił.

– Pochodzę z dobrej bucharskiej rodziny. Byłem obiecującym młodym naukowcem – mówił Saleh. – Niestety emir zapalał do mnie niechęcią. Nie ten obecny, Nasrullah, ale jego ojciec, którego zresztą Nasrullah zamordował. Tak jak zamordował też swoich braci, na wszelki wypadek, gdyby któryś chciał zająć jego miejsce. Trudny człowiek z tego emira, ale tacy są już możnowładcy. Masz, lordzie, ochotę na brzoskwinię? To pierwsze w tym sezonie. Są bardzo delikatne. – Saleh nadział na koniuszek noża część owocu i z wdziękiem podał ją gościowi. – Ze względu na moje bezpieczeństwo postanowiłem opuścić ojczyznę. Odbyłem pielgrzymkę do Mekki, odwiedziłem Konstantynopol i Teheran. Zwiedziłem sporo świata. Na koniec ożeniłem się i osiadłem tutaj, w Serevanie; wtedy był kwitnącą osadą. Potem litościwy Allah, który działa w tajemniczy sposób, cofnął swoje błogosławieństwo. Plagą były susze i najazdy Turkmenów. Wioska ginęła, aż do pojawienia się Gul–i Sarahi. Ona na nowo tchnęła w Serevan serce, siłę i zdrowie.

Ross przyjął część brzoskwini.

– Nadzwyczajna kobieta.

– Tak, to prawda. – Dłonie Saleha znieruchomiały, wzrok mu się za-

mglił. – Nie tylko wioska umierała. Z powodu wysokiej gorączki umierał też mój jedyny syn, Ramin. Wtedy w Serevanie pojawiła się Gul-i Sarahi. Podała Raminowi jakieś angielskie lekarstwo i sama się nim opiekowała, dopóki gorączka nie minęła. Twierdziła, że to nie ona wyleczyła naszego syna, a łaska Allaha. Dziękowaliśmy z żoną Allahowi, że nam ją przysłał. Dlatego też pojedę z nią do Buchary.

Ross myślał sobie, że opowieść starca oznacza ni mniej ni więcej tylko to, że będzie on lojalny wobec Juliet, ale już niekoniecznie wobec jej męża.

– Znasz, panie, miasto i jego zwyczaje. Według ciebie, możemy liczyć na powodzenie?

Uzbek wzruszył ramionami.

– Będzie ciężko. Przede wszystkim czeka nas przeprawa przez Kara-Kum, co w obecnych czasach jest bardzo niebezpieczne. Niedawno Turkmeni zabili gubernatora, którego nadał im emir Chiwy. Turkmeńskie plemiona podzieliły się i teraz część jest za Chiwą, część za Bucharą, a wielu po prostu działa na własną rękę. I nawet jeśli przeżyjemy podróż przez pustynię, w Bucharze może się okazać, że wasz brytyjski oficer już dawno został stracony. A gdyby nawet ocalał, to emir zapewne nie zgodzi się go uwolnić. No ale może, z łaską Allaha, dowiemy się przynajmniej czegoś o jego losie, a potem bezpiecznie wrócimy do Serevanu. – Westchnął. – Obawiam się, że wtedy zabierzesz od nas nasz kwiat pustyni.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Czyż nie jesteś jej mężem?

– Tylko formalnie – odparł Ross, zdziwiony, że Juliet wyjawiała prawdę Salehowi. – Od lat żyjemy w separacji. Domem Juliet jest teraz Serevan. Nie sądzę, żeby chciała go porzucić.

Saleh popatrzył na gościa z powątpiewaniem, ale nic nie powiedział. Specjalnie poruszył ten temat, ciekaw reakcji Rossa. Jego obojętność bardzo go zastanowiła. Gul-i Sarahi i jej przystojny mąż mogą zaprzeczać, że nie żywią już do siebie żadnych uczuć, jednak ich zachowanie zdawało się mówić coś innego.

– Zapewne nie potrzebuję się upewniać – kontynuował Ross – ale zapytam. Kobieta, którą znałem jako Juliet Cameron, była uparta i odważna do granic szaleństwa. Wierzę, że będziesz jej pilnować i że użyjesz swojego



wpływu, nie pozwalając, by bez potrzeby ryzykowała życie?

To dopiero zastanawiająca prośba, pomyślał Saleh.

–Miałeś rację. Nie musiałeś o to pytać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją ochronić. I ciebie także. – Uśmiechając się tajemniczo, dolał gościowi i sobie herbaty. Zawsze uważał, że Gul-i Sarahi powinna mieć u swego boku jakiegoś mężczyznę. Okazało się, że go ma i to na dodatek takiego, którego warto przy sobie zatrzymać.

Po załatwieniu najpilniejszych spraw dnia Juliet postanowiła dla uspokojenia nerwów postrzelać do celu. Szybkim krokiem poszła za pałac do głębokiego wąwozu, w którym ona i jej ludzie ćwiczyli się w strzelaniu. Naturalny rozkład okolicznych wzgórz stanowił idealne miejsce do takich zajęć, bo pagórki tłumyły odgłos wystrzałów do tego stopnia, że słyhać je było tylko w pobliskiej twierdzy i wsi.

Jako tarcza służył Juliet liść wielkości dłoni. Położyła go na zrobionym z ziemi nasypie i zaczęła strzelać. Tłumacząc sobie, że to dobry trening przed wyprawą, strzelała bez opamiętania przez następne pół godziny.

A jednak pomimo skupienia i huku wystrzałów od razu usłyszała, kiedy na ścieżce za nią rozległy się kroki. Wiedziała też, kto się do niej zbliża, bo rozpoznała osobę po sposobie chodzenia i rodzaju obuwia – buty wykonane w Europie skrzypiały głośno na żwirze.

Poczuła mrowienie na karku. Nie wiedząc, co mogłaby powiedzieć mężowi, nie przestawała strzelać, aż zużyła wszystkie naboje, które trzymała w ręku. Kiedy skończyła, z liścia został tylko poszarpany skrawek.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Ross, gdy rozwiała się chmura dymu wisząca nad nasypem, gdzie leżał liść. – Chyba po raz pierwszy widzę kogoś, kto strzela tak szybko i celnie zarazem.

– Mam dobrą strzelbę. – Juliet wdzięczna była mężowi, że poruszył neutralny temat. Kiedy się odwróciła, żeby podać mu broń, przypomniała sobie coś, co zawsze u niego ceniła: Ross bez zastrzeżeń akceptował jej „męskie” umiejętności. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, którzy uważali, że jej talent jeździecki i strzelecki stanowi dla nich pewnego rodzaju zagrożenie.

– Piękna – stwierdził Ross ze znanstwem, zabezpieczając broń; oglądał ją dokładnie z każdej strony. – Domyślam się, że to ręczna robota jakiegoś

brytyjskiego rusznikarza?

– Tak, ulepszona wersja fergusona. Jest bardzo precyzyjna. W tej części świata dobra broń to podstawa. Chcesz ją wypróbować?

Kiedy skinął głową, Juliet sięgnęła do woreczka z nabojami, wyjęła kilka i podała mężowi. Oboje uważali, żeby przy wymianie nie dotknąć się palcami. Czyż to nie ironia losu, że stanowili tak zgrany duet w unikaniu kontaktu? A przecież w dzieleniu się bronią było coś wielce intymnego; Juliet nigdy nikomu jej nie dawała.

Ross jeszcze chwilę zaznajamiał się ze strzelbą, po czym wycelował w jeden z pozostałych na nasypie liści. Zaczął strzelać, a Juliet w myśli mierzyła czas. W niecałą minutę wystrzelił sześć razy, mniej niż ona – ale za to po liściu prawie nic nie zostało.

– Jestem trochę szybsza – oceniła. – Za to ty dokładniejszy.

– Być może. – Oddał żonie strzelbę. – Cała sztuka polega na tym, żeby tak strzelać, kiedy to się naprawdę liczy. Wczoraj moja broń na nic mi się nie przydała. Nie mogłem jej użyć, bo była przytroczona do konia, a ja leżałem na ziemi.

Juliet, przyglądając się mężowi, doszła do wniosku, że coś się w nim przez noc zmieniło. Poprzedniego dnia na jego twarzy widziała zaciekawienie i może lekką niepewność, ale zarazem otwartość na nieznaną. Teraz ta otwartość zniknęła. Jakby zamknął się w sobie, kryjąc głęboko wszelkie uczucia. W jego brązowych oczach nie było gniewu ani czułości, jedynie chłodna uprzejmość, z jaką odnosił się do wszystkich.

Postanowiła, że także spróbuje zachować dystans, bo tak będzie łatwiej im obojgu. Miała jednak wątpliwość, czy to się uda, bowiem kontrolowanie emocji nie należało do jej mocnych stron.

Ross oparł się niedbale o głaz i skrzyżował ramiona.

– Czy aż tak dziwnie wyglądam? A może masz nadzieję, że zniknę, jeśli wystarczająco długo będziesz mi się przyglądać?

– Wybacz, nie chciałam się w ciebie wpatrywać. – Juliet poczuła, że się rumieni; ostatnio czerwieniła się częściej niż przez cały zeszły rok. Kusiło ją, żeby się wycofać na neutralny grunt, ale się pohamowała. Opanowanie nie było jej silnym punktem, za to bezpośredniość tak. Powiedziała więc wprost: – Nie wiem, jak się mam przy tobie zachowywać, Ross. Jesteś zara-

zem kimś bliskim i obcym. Może ty masz jakiś pomysł?

Odniosła wrażenie, że zeszywniał.

– Wrażenie bliskości to czysta iluzja. Przed dwunastu laty żyliśmy razem jakiś czas, ale nasz związek, choć bardzo emocjonalny, był, można powiedzieć, powierzchowny. Większość dorosłego życia spędziliśmy oddzielnie, zajmując się różnymi rzeczami w zupełnie odmiennych środowiskach. Jesteśmy sobie obcy, Juliet, choć przez kilka następnych miesięcy będzie nas łączyć wspólny cel. Przypuszczam, że powinniśmy traktować się jak dalecy krewni, którzy nie są ze sobą mocno związani, ale są dla siebie życzliwi.

Skrzywiła usta w ironicznym grymasie. Na dobre i na złe, miłość do Rossa zdefiniowała jej życie, a teraz on mówi, że ich małżeństwo było „poверхowne”.

– Bardzo dobrze – rzuciła, przybierając lekki ton. – Będę myślała o tobie jak o kuzynie.

– Kuzynie, którego przed laty odrzuciłaś – dodał niby żartobliwie. – A kiedy już wyruszymy w podróż, zamienisz się w wiernego sługę, z całych sił pragnącego zadowolić swojego pana.

Spojrzała na niego dumnie.

– Planowałam być sługą krnąbrnym i niesolidnym, który jednak czuwałby, aby nikt oprócz mnie cię nie oszwabił.

– To mi przypomina twoje zwyczajne zachowanie – zauważył Ross z rozbawieniem. – A co do służących: postanowiłem zwolnić tych dwóch, których wynająłem w Teheranie. Po nocy spędzonej w twierdzy z pewnością słyszeli już o tajemniczym Gul-i Sarahi, a kiedy się dowiedzą, że Serevanem zarządza wysoka kobieta *Jeren-gi*, istnieje prawdopodobieństwo, że się domyślą, kim jest mój zawołowany sługa.

– Nie pomyślałam o tym. – Juliet zmarszczyła czoło. – Moi ludzie raczej nie opowiadają o mnie obcym, ale masz rację, mądrzej będzie zwolnić twoich służących. Choć zazwyczaj ubieram się jak mężczyzna, nigdy jeszcze nie używałam tego przebrania przez dłuższy czas i może być mi trudno ukrywać moją tożsamość przed ludźmi, z którymi będę blisko. Lepiej rzeczywiście zapłać im już teraz i odeślij. – W myślach zastanawiała się nad innymi sprawami, które należało przedyskutować. – Czy Saleh z tobą rozmawiał?

– Tak. Jego obecność przyda się nam w Blicharze. Rozumiem, że można

mu zaufać. Czy ty i Saleh będziecie gotowi do drogi przed południem? Jeśli dotarlibyśmy do Sarakhs przed nocą, przy odrobinie szczęścia moglibyśmy złapać karawanę, którą przegapiłem w Meszhed.

Juliet zaskoczona była pośpiechem, ale tego nie okazała. Ross miał rację: jeśli jest szansa, że Ian żyje, nie powinni tracić czasu. Spojrzała na słońce i oceniła, że do południa zostały jeszcze dwie godziny.

– Zdamy się przygotować.

– Dobrze. Do podróży przez Kara–Kum będziemy potrzebować wielbłądów. Przypuszczam, że dostaniemy jakieś w Sarakhs?

Skinęła głową.

– Znam tam człowieka, który sprzeda nam porządne sztuki za niezbyt wygórowaną cenę. Mogą z nami pojechać moi ludzie, którzy odprowadzą nasze konie z powrotem do Serevanu.

Kiedy to ustalili, Juliet obrzuciła wzrokiem ubranie męża: dobrze skrojone kurtka i spodnie. Zmarszczyła czoło. Po latach oglądania luźnych, wielowarstwowych wschodnich szat odzież dopasowana do sylwetki wydawała się jej jakaś dziwna. Trochę zmieszana widokiem szczupłego, muskularnego ciała męża, nabrała głębiej powietrza. Jednak jej zainteresowanie odzieżą Rossa wynikało z innych, mniej osobistych pobudek.

– Myślę, że nie powinieneś wyruszać w drogę w takim stroju.

– To ubranie wkalkulowane jest w ryzyko – wyjaśnił. – W Bucharze mogę coś zdziałać tylko jako *ferengi*, który przebył długą drogę, aby błagać o łaskę dla pobratymca. Uważam, że nie powiniennem wychodzić z tej roli, a poza tym, przebierając się w azjatycki strój, mogę być oskarżony o szpiegostwo. Nie mam szans, by uchodzić za tubylca.

– To, co mówisz, jest słuszne. Ale uważam, że dopóki nie dojedziemy do Buchary, powinieneś nosić się na wschodnią modłę. Oczywiście trudno byłoby ukryć fakt, że jesteś obcokrajowcem, gdybyś podróżował sam, tylko ze służbą, ale w karawanie będzie to łatwiejsze. Musisz jednak ubrać się tak jak inni i zasłonić włosy turbanem. Znajdę ci coś do przebrania i przyślę przez służącego.

– Zgoda. Wprawdzie angielskie ubranie dobrze sprawdzało się na początku, jednak wczoraj o mały włos z jego powodu nie zginąłem; przypuszczam, że czas na zmianę strategii. – Jego wzrok padł na ciemnoniebieski ta-

gelmoust. Chcąc wystawić twarz do wiosennego słońca, Juliet zsunęła go na szyję. – Skoro już jesteśmy przy temacie ubrań, zastanawia mnie twoja zasłona na twarz. Jak to robisz, że nie barwi ci skóry na niebiesko?

Juliet uśmiechnęła się; to podobne do Rossa, myśleć o takich sprawach.

– Przyłapałeś mnie: to nie jest oryginalny tuareski tagelmoust. Żeby uniknąć plam, wykorzystałam materiał sprowadzony z Europy, tego samego koloru i faktury.

– Cieszę się, słysząc, że nie do końca wyzbyłaś się próżności.

– Nie trzeba być próżnym, żeby nie lubić niebieskich plam na skórze – odparowała, zadowolona, że słyszy kpiarski ton w głosie męża. – A co do skóry, dobrze się składa, że twoja jest opalona. Pobrudź ją jeszcze i nikt się nie domyśli, że jesteś *ferengi*.

– Twoim zdaniem jestem za czysty? – Zaśmiał się. – Popatrz na siebie. Jeszcze nie widziałem tak schludnego Tuarega.

– To nie ma większego znaczenia, bo prawdopodobnie nie spotkam w Turkiestanie nikogo, kto kiedykolwiek widział Tuarega na oczy. – Spojrzała w dół na swoją ciemną szatę. – Niemniej, mając na względzie precyzję... – Podała Rossowi strzelbę, a potem rozciągnęła się na ziemi i zaczęła się turlać. Wybuchnął śmiechem.

– Jesteś szalona.

Przeturlała się kilka razy, potem wstała i otrzepała kurz. Rezultatem tarzania były piękne ciemne plamy na jej ubraniu.

W oczach męża dostrzegła rozbawienie – stał się jakby bardziej przystępny.

– Całe szczęście, że mało kto wie, jak wygląda prawdziwy Tuareg, bo każdy, którego widziałem, miał brązowe oczy. Ale szare też się spotyka w Azji Środkowej, więc twoje nie powinny przyciągać zbytnio uwagi. Myślę natomiast, że przydałoby ci się inne imię. Gul-i Sarahi ma perskie pochodzenie. Ktoś mógłby się zdziwić, że wybrał je sobie mężczyzna z północnej Afryki.

Juliet zmarszczyła nos.

– Tyle już mam imion, że się gubię. Ale trudno odmówić ci racji. Przychodzi ci coś na myśl?

Ross się zastanowił.

– Co powiesz na Jalal? Brzmi trochę jak Juliet i Gul-i Sarahi, więc nie będziesz miała kłopotów, żeby na nie reagować.

– Dobrze. Ale ty też musisz zmienić imię.

– Moi służący zwracają się do mnie Kilburn, co brzmi dostatecznie egzotycznie, więc niech tak zostanie. – Popatrzył na żonę z namysłem. – Powinnaś udawać, że prawie nie znasz perskiego i jak najmniej się odzywać.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli będę trzymać buzię na kłódkę, nie wpakuję się w kłopoty?

– Właśnie.

Juliet się roześmiała.

– Przyznaję to z bólem, ale masz słuszość. Dobrze, będę milcząca i ekscentryczna przy wszystkich oprócz ciebie i Saleha. Ale ty też musisz na coś uważać, Ross. A raczej, Kilburn. Zapomnij o manierach, których nauczyła cię matka. Nie pomagaj mi nosić ciężarów, nie przepuszczaj pierwszej przez drzwi i nie traktuj z uprzejmością, jaką zazwyczaj okazujesz kobietom. W ogóle zapomnij, że jestem kobietą.

– Kiedy spowijesz się od stóp do głów w ciemny strój Tuarega, nie będzie to trudne – skwitował oschle, po czym wstał i oddał żonie strzelbę. – Nie marnujmy czasu, jeśli chcemy wyruszyć za dwie godziny, Jalal. Nie mam ze sobą wielu rzeczy, ale wyobrażam sobie, że ciebie i Saleha czeka dużo pakowania.

– Mało powiedziane. – Juliet zarzuciła strzelbę na plecy i wciągnęła tagelmoust na głowę. W drodze powrotnej milczeli. Teraz byli dla siebie nie jak dalecy krewni, a bardziej jak cioteczne rodzeństwo. Taka relacja jej odpowiadała. Bliższa byłaby już niebezpieczna.

Plany Rossa musiały ulec zmianie, gdy doszło do zwalniania służących. Wprawdzie Allahdad pogodził się z odprawą i zapłatą na odchodne z mało chwalebnyim zadowoleniem, ale Murad stanął okoniem.

– Wiem, panie, że chcesz mnie ukarać za to, że zostawiłem cię na pastwę Turkmenów, ale błagam, Kilburn, nie zwalnij mnie –mówił młody Pers, kiedy Allahdad opuścił pokój.

– Wcale nie chcę cię ukarać. Nie mam do ciebie pretensji, bo nie było sensu, żebyś ryzykował niepotrzebnie życie – oświadczył Ross, trochę zdumio-

ny pasją w głosie młodzieńca. – Jednak wczoraj, kiedy myślałem, że odszedłeś, wynająłem dwóch nowych służących. Ponieważ lepiej znają Kara-Kum i Bucharę, rozsądniej zrobię, zatrzymując ich, a zwalniając ciebie i Allahdada. Nie będziesz miał kłopotu ze znalezieniem jakiegoś zajęcia w Meshed, a z odprawą wyjdiesz na tym lepiej, niż gdybyś został ze mną.

– Nie chcę innego zajęcia! – wykrzyknął Murad. – Chcę jechać z tobą do Buchary.

Ross przyjrzał mu się z uwagą. Murad, dwudziestolatek, był przystojnym, sympatycznym młodzieńcem, choć kiepskim przewodnikiem. Niestety Ross miał poważny powód, by zwolnić służących, o którym zresztą wspominał żonie.

– Przykro mi, ale twoje usługi nie będą mi już potrzebne.

– Nie ufasz mi, Kilburn, i słusznie. – Murad miał rozpacz w oczach. – Ale przysięgam, że więcej cię nie zawiodę.

Ross się zamyślił. Wierzył w szczerść słów służącego, ale niestety chłopak był młody i raczej nieodpowiedzialny.

– Nie chodzi tylko o lojalność wobec mnie, Murad, ale także wobec reszty członków wyprawy. Postanowiłem podróżować dalej w przebraniu Azjaty, żeby nie budzić zbędnego zainteresowania, jednak istnieje niebezpieczeństwo, że zostanę uznany za szpiega. Poza tym, jednym ze służących, których wynająłem, jest Tuareg z północnej Afryki. Poznałem go wiele lat temu i wiem, że przyda mi się w czasie podróży, choć jego zwyczaje są niezwykłe. Jeśli niechcący wyjawisz komuś z karawany, że jestem *ferengi* lub będziesz opowiadać o dziwactwach Tuarega, narazisz na niebezpieczeństwo całą grupę. Nie mogę podjąć takiego ryzyka.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Kilburn, mimo że *ferengi*. Przysięgam, że nie powiem nic, co mogłoby ci zaszkodzić. Co do Tuarega.. . – Murad wzruszył ramionami. – W Azji żyje wiele różnych plemion. Poznałem Ujgurów, Kafirów, Beludżów, Kirgizów; wątpię, żeby Tuareg był od nich dziwniejszy.

– Mężczyźni z plemienia Tuaregów zawsze mają zasłonięte twarze. Wywierają na ludziach niesamowite wrażenie, bo nie można po ich oczach poznać, co myślą. Nawet w swoim pustynnym kraju są legendą.

– Jeśli ten Tuareg jest bogobojny, a nie jakiś szaleniec, wchodzić w drogę mu nie będę. Wczoraj okryłem się hańbą i honor odzyskam, tylko dalej ci

służąc – mówił z przejęciem. – Błagam, żebyś dał mi szansę.

Poza tym, że lubił Murada, intuicja mu podpowiadała, że chłopak może się przydać, a Ross nauczył się ufać swoim przeczuciom.

– Dobrze, możesz z nami jechać. Mów do mnie Kilburn i staraj się nie myśleć o mnie jak o *ferengi*. Jeśli wrócimy bezpiecznie do Serevanu, a ty dobrze się spiszesz, dostaniesz dodatkową zapłatę poza tą, którą ustaliliśmy w Teheranie.

Murad się pokłonił.

– Będę ci dobrze służyć nie dla zapłaty, a ze względów honorowych. – Uśmiechnął się szeroko. – Choć nie odmówię premii. Nie pożałujesz, że mnie zatrzymałeś, Kilburn.

Ross miał nadzieję, że słowa chłopaka się sprawdzą

Murad poszedł się pakować, a Ross wezwał służącego i kazał przekazać Juliet wiadomość, że do ich grupy dołączy młody Pers: żona już od samego początku będzie musiała wejść w rolę Tuarega. Uważał, że im szybciej Juliet przywdzieje tuareski strój, tym lepiej, nie widząc jej pięknej twarzy i ciała, łatwiej mu będzie nad sobą panować. Tam w wąwozie, kiedy zobaczył żonę w ciemnych szatach, z rozpuszczonymi włosami, aż się cofnął, żeby instynktownie nie wyciągnąć do niej rąk.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył przygotowaną na potrzeby wyprawy nową odzież. Przyjrzawszy się jej, uznał, że jest dobrej jakości, niezbyt bogata, ale też nie łachmaniarska. Nie powinien się dziwić; Juliet zawsze działała sprawnie, nawet kiedy miała na to mało czasu, tak jak teraz.

Luźne, wielowarstwowe odzienie nosiło się w całym świecie islamskim. Jednakże, pomimo nieskończonej ilości wariacji, północno–afrykańskie stroje były zwyczajowo nieco skromniejsze, często składały się tylko z sukni, którą wkładało się przez głowę, i ze związywanej w pasie opończy. Właśnie dlatego, że szaty luźno opływały ciało, Juliet mogła z powodzeniem udawać Tuarega. Natomiast azjatyckie stroje były już bardziej skomplikowane i zazwyczaj składały się z jednej lub więcej długich, luźnych kufajek z rękawami, noszonych na tunice lub koszuli i spodniach.

Po pozbyciu się angielskiego ubrania Ross włożył swoje nowe przebranie. Na szczęście Juliet udało się znaleźć białą bawełnianą tunikę na tyle szeroką w ramionach, że mógł się w nią zmieścić. Obszerne szare spodnie były



trochę za krótkie, ale nie aż tak, żeby budzić zdziwienie. Okrycie wierzchnie w zielono–czarne pasy nazywane czapan, narzucone na tunikę sięgało mu do kolan. Przewiązał je w pasie długą białą szarfą, następnie na wszystko zarzucił płaszcz sięgający kostek. Ucieszył się, że ubrania są wygodne, bo przypuszczalnie przez następny miesiąc będzie musiał nosić je nieprzerwanie dzień i noc.

Nie zdziwił się, że nie znalazł żadnego obuwia. Rozmiar jego stopy odbiegał od standardowego w tej części świata. Ale ciemne skórzane buty, które nosił, wyglądały na tyle zwyczajnie, zwłaszcza że były zniszczone, iż nie powinny budzić zaciekawienia.

Pod stertą odzieży znalazł też pięknie rzeźbiony nóż. Wyciągnąwszy go z pochwy, przekonał się, że nie jest to tylko dekoracyjna atrapa, ale ostra śmiercionośna broń. Wsunął sztylet za szarfę, a wraz z nim strzelbę i pistolet. Z nożem schowanym za cholewką buta czułby się jak uzbrojony po zęby bandyta. Miał tylko nadzieję, że, jeśli szczęście im dopisze, żadnej z tych broni nie użyje; już dawno uznał, że jedyna dobra walka to taka, do której nie doszło.

Skupił uwagę na zwoju długiego białego muślinu, przeznaczonego na turban. To bardzo praktyczne nakrycie głowy, chroni ją przed słońcem i chłodem, absorbuje pot. Można nim ponadto osłonić usta przed kurzem i piaskiem. A na dodatek, dzięki długości, jeśli zajdzie taka potrzeba, można nim owinąć całe ciało i użyć jako całunu.

Jednak znaczenie turbanu nie polega wyłącznie na jego praktyczności: stanowi on także symbol plemienia, grupy społecznej, mody i jest wyrazem osobowości właściciela. Po dogłębnym zastanowieniu Ross postanowił związać turban na styl afgański. Afgańczycy często bywają wysocy, więc jego wzrost będzie budził mniej podejrzeń. Poza tym, jak większość Azjatów ze środkowej Azji, Afgańczycy byli sunnitami, członkami największej ortodoksyjnej gałęzi islamu, podczas gdy Persowie należeli do sekty szyickiej. Poza własnym krajem szyici byli często prześladowani, nawet ich zabijano. Ross uznał, że nie powinien upodabniać się do Persa, bo to zagrażałoby bezpieczeństwu całej grupy.

Zabrał się do przygotowania turbanu. Najpierw na głowę wsadził mykę przysланą przez Juliet, następnie złożył długi muślin w równe plisy. Mi-

nęło już kilka lat od czasu, gdy miał na głowie turban, a wtedy był to turban noszony na styl hinduski. Jednak nie zapomniał, jak się go składa, i po kilku nieudanych próbach udało mu się bardzo zgrabnie pozwijać muślin, a nawet zostawić wiszącą z boku i opadającą na szyję końcówkę.

Juliet pamiętała nawet o małym woreczku z surmą. Choć rzęsy i brwi miał o kilka odcieni ciemniejsze od włosów, nadal jednak jak na standardy azjatyckie wydawały się jasne, i Ross przyciemnił je surmą.

Potem przyjrzał się sobie w małym lustrze. Całkiem nieźle. Szkoda tylko, że nie ma długiej ciemnej brody, ale i tak raczej nikt nie rozpozna w nim *ferengi*.

Trudniejsza od zmiany wyglądu zewnętrznego była zmiana sposobu myślenia. Musiał się zachowywać jak człowiek Wschodu, a nie jak angielski dżentelmen, inaczej jego tożsamość szybko wyjdzie na jaw. Zdarzało mu się już kiedyś z powodzeniem odgrywać podobną rolę, sądził więc, że zdoła to powtórzyć.

Następnie wy dostał spod podszewki płaszcz listy polecające. W naoliwionej materiałowej kopercie z łatwością dały się ukryć w wyściółce czapana. Spakował część do garderoby, której miał użyć w Bucharze, reszta została w Serevanie.

Był już gotowy do drogi. Spoglądając na bagaż, uśmiechał się ponuro. Podróż będzie ryzykowna. Jednak, jak na razie, największym wyzwaniem wydawało się Rossowi przebywanie w pobliżu kobiety, która jako jedyna na świecie miała na niego przemożny wpływ. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, modlił się w duchu.

Wielbłąd pochylił głowę i zaryczał wrogo. Ross, domyślając się, że zwierzę zaraz na niego plunie, cofnął się przezornie.

– Też uważam, że jesteś brzydki – burknął.

Zza pleców doszedł go czyjś cichy chichot. Potem, szeptem, żeby nikt inny nie słyszał, Juliet powiedziała:

– W gruncie rzeczy, jeśli chodzi o wielbłądy, ten akurat jest naprawdę ładny.

Ross pohamował uśmiech.

– I jeśli chodzi o wielbłądy, ten się nada. – Podał wodze Juliet, żeby mogła zaprowadzić zwierzę do innych, które chcieli kupić. Żona miała rację: wielbłąd był niczego sobie, jeśli gustuje się w bestiach, które wyglądają tak, jakby Bóg stworzył je w wolnym dniu.

Wielbłądy żyjące w Mongolii i Turkiestanie należą do rodzaju dwugarbnych, nazywanych baktrianami. Są niższe, mocniej zbudowane i bardziej kudłate od jednogarbnych dromaderów spotykanych najczęściej w północnej Afryce i zachodniej Azji. Baktriany są doskonale dostosowane do klimatu Azji Środkowej, na której terenie zdarzają się ekstremalne warunki pogodowe, od niesamowitych upałów do przejmujących chłódów, tak więc Bóg najwyraźniej wiedział, co robi, rozmieszczając poszczególne gatunki tych zwierząt na odpowiednich terenach.

Pozostawiwszy najnowszy okaz pod strażą Murada, Juliet wróciła do Rossa, żeby pomóc mu wybrać ostatniego wielbłąda. Następny którego oglądali, był niczym rozjuszony byk. Juliet ze znanstwem obmacała dłońmi garby, potem pokręciła głową.

– Za mało tłusty. Trzeba go wysłać na pastwisko na kilka miesięcy. Prawdopodobnie nie przeżyłby drogi do Buchar.

Ross zaakceptował jej ocenę. Znał się co nieco na wielbłądach, ale Juliet miała większe doświadczenie. Pomimo fenomenalnej wytrzymałości tych stworzeń, pod pewnymi względami potrafią być ogromnie wrażliwe i potrzebują dużo czasu na odpoczynek po wysiłku. Tylko najsilniejsze zniosą ciężką przeprawę przez Kara-Kum, i dlatego do tej pory Juliet odrzuciła już

wiele proponowanych przez handlarzy sztuk.

Następnym kandydatem była wielbłądzica z lśniącym futrem i gęstymi, kręconymi włosami pod szyją. Na widok Rossa zamrugła uwodzicielsko oczami, potem odchyliła głowę i dmuchnęła mu śmierdzącym oddechem prosto w twarz. U wielbłąda była to oznaka łagodnego usposobienia.

Ross z uwagą obejrzał szerokie kopyta zwierzęcia, a Juliet w tym czasie sprawdzała jego siłę.

– Ten się nadaje – stwierdziła po dokładnych oględzinach garbów.

– Lubię ją. – Ross przyjaźnie poklepał wielbłądzicę po boku. – Wezmę ją dla siebie i nazwę Julietta.

Oczy żony załśniły złowrogo w wąskim otworze osłony, ale nic nie powiedziała, bo zbliżał się właśnie właściciel wielbłądów, Mustafa Khan.

Z Serevanu wyruszyli tylko z półgodzinnym opóźnieniem. Saleh zrezygnował ze swoich kolorowych jedwabi na rzecz stonowanych szat handlarza, a Juliet, z zasłoną na twarzy i w powiewnym czarnym stroju, wyglądała jak prawdziwy służący, choć hardy i szorstki w obyciu. Murad nie krył zainteresowania tuareskim towarzyszem, ale powstrzymał się od komentarzy, zwłaszcza że jego żywiołowe powitanie zostało skwitowane zimnym spojrzeniem i gburowatym burknięciem.

W eskorcie półtuzina służących po opuszczeniu twierdzy w Serevanie zjechali w suche, rozległe doliny i nie zatrzymując się, do Sarakhs dotarli jeszcze przed zachodem słońca. Sarakhs okazało się mało ciekawą osadą, gdzie przeważały domy z błotnych cegieł, położoną na granicy pustyni, nad płytką, mulistą rzeką. Osadę, formalnie pod perską kontrolą, zamieszkiwały dwa tysiące turkmeńskich rodzin.

Chcąc wybrać zwierzęta za dnia, Ross zmusił Juliet, by zaprowadziła go do handlarza wielbłądami zaraz po dotarciu na miejsce. Wieczorem spotkał się z handlarzem, żeby napić się z nim herbaty i wytargować najlepszą cenę. Targowanie się jest na Wschodzie zarówno sztuką, jak i zabawą; Mustafa Khan przystąpił do tego zajęcia z wyraźną radością, na początek żądając astronomicznej kwoty.

Rossa stać było na zapłacenie podanej sumy, ale obawiał się, że jeśli na nią przystanie, ściągnie na siebie uwagę, a już z pewnością udowodni, że nie pochodzi z Orientu. Zbił proponowaną cenę pięciokrotnie, po czym z

głębokim uznaniem przyglądał się, jak Mustafa Khan, jęcząc, przymyka oczy, dając wyraz rozpacz, i targa się za ciemne wąsiska.

Turkmeński handlarz dowodził, że szacowny Kilburn wybrał najlepsze okazy z całego stada, a następnie, po elokwentnej opowieści o tym, jak to kocha on wielbłądy prawie jak własne dzieci i wystawia je na sprzedaż tylko dlatego, że chce pomóc braciom podróżnikom, zgodził się obniżyć cenę o dziesięć procent.

Lata doświadczeń zebranych na bazarach Azji i Afryki wyrobiły w Rossie talent do targowania się, tak więc na słowa kupca odpowiedział długą przemową o wadach wybranych wielbłądów. Na koniec dodał, że choć zrobiłby lepszy interes, kupując wielbłądy gdzie indziej, to sympatia i szacunek, które poczuł do Mustafy Khana, kazały mu zaoferować o wiele więcej, niż wyliniałe stworzenia były warte.

Kiedy zaproponował nową sumę, handlarz złapał się za serce, po czym ponownie obniżył cenę. I tak to się ciągnęło, całkiem przyjemnie, przez dwie godziny i sześć filiżanek herbaty, a w tym czasie reszta grupy Rossa, wykazując się wschodnią cierpliwością, spokojnie czekała na zakończenie targu. Poza groźnie wyglądającą Juliet, która krążyła nerwowo po dziedzińcu.

Wreszcie targu dobito. Ross kupił pięć wielbłądów, dwa siodła i jeszcze kilka sztuk przydatnego oprzyrządowania. Handlarz pokierował ich do miejsca, gdzie karawany zatrzymywały się na noc.

Juliet, jako Jalal, miała się zajmować wielbłądami, ale najpierw musiała je osiodłać i rozmieścić załadunek. Po osiodłaniu pierwszego, dwukrotnie mocno zaciągnęła popręg, potem zmusiła zwierzę do ukłęknięcia, aby objąć je bagażami. Zrobiła to nad wyraz sprawnie, choć rzecz nie należała do łatwych. Najpierw wkręciła palce w długie włosy pod gardłem zwierzęcia, potem pociągnęła za nie i za uzdę nosową, jednocześnie kopiąc wielbłąda w goleń. Ten ryknął, ale opadł na kolana. Ross przyglądał się scenie z rozba-wieniem. Gdyby ktoś tak potraktował konia, uznano by to za znęcanie się: z wielbłądami jednak należy postępować ostro, inaczej nie słuchają.

– Jak mi poszło z targowaniem się? – zapytał ściszym głosem, donosząc bagaże.

– Zapłaciłeś kilka dinarów więcej, niż ja bym zapłaciła – stwierdziła Juliet, odskakując w bok, bo wielbłąd podrzucił głową, prezentując przy tym

imponujący garnitur zębów trzonowych. – Ale i tak nieźle sobie poradziłeś z takim zdziercą jak Mustafa Khan.

Ross uśmiechnął się i poszedł przygotować następnego wielbłąda do drogi. Przyszło mu na myśl, że on i Juliet powinni być bardziej ostrożni; wyglądało na to, że oboje nie potrafią się powstrzymać, by nie dzielić się ze sobą myślami i kpiącymi uwagami. Nie obawiał się, że ktoś ich zrozumie, używali bowiem tamaszku, przeplatając go angielskimi słowami, wtedy gdy w tuareskim języku brakowało odpowiednich zwrotów, niemniej nie postępowali rozsądnie, okazując sobie poufałość.

Ich odjazd z dziedzińca Mustafy Khana odwlekał się, drugi wielbłąd podczas pakowania wstał i zrzucił z siebie cały bagaż. Ross westchnął tylko, bo znów musiał skłonić zwierzę do klęknienia i załadować bagaże. Ponieważ jedyną oznaką inteligencji u wielbłądów jest to, że potrafią zrzucić z siebie ładunek, umieszczenie go na ich grzbietach wymaga wprawy, a Ross nie robił tego od lat. Pocieszał się jednak, że w ciągu kilku dni odzyska dawną biegłość.

Z pomocą Juliet, która niczego nie komentowała, zdołali wreszcie załadować bagaże i ruszyli do miejsca postoju karawan, prowadząc wielbłądy, bo odległość nie była duża, a ulice, im bliżej celu, tym bardziej stawały się zatłoczone. Karawana w mieście oznaczała ruch na bazarach i stoiskach handlarzy, mających nadzieję, że zarobią na przyjezdnych, zanim ci ponownie wyruszą w drogę.

Handlarze i potencjalni kupcy dobijali głośno targów, stojący na rogach gawędziarze czarowali słuchaczy bajecznymi opowieściami, skrybowie pisali listy niepiśmiennym, powietrze przesycone było wonią potraw, niemytych ciał, przypraw i zwierzęcych odchodów, a wszystko to przebijał ostry zapach dymu z małych ognisk, na których piekły się kebaby. Nawet z zamkniętymi oczami Ross wiedziałby, że jest w Azji Środkowej.

Choć wzrost i brak brody ściągnęły w jego stronę kilka spojrzeń, z zadowoleniem stwierdził, że nikt specjalnie się nim nie interesował. Za to Juliet, z zasłoniętą twarzą i w ciemnym stroju, przyciągała uwagę, ale była to na szczęście raczej zwykła ciekawość niż podejrzliwość czy wrogość. Trasami azjatyckich i afrykańskich karawan podróżują najróżniejsi ludzie z odległych krain, tak więc „Jalal” był tu tylko następnym egzotycznym gościem.

Wyższa niż większość mężczyzn wokół, doskonale naśladowująca męski chód, Juliet zdawała się czuć w tym otoczeniu bardzo swobodnie. Gdyby zobaczył ją w tuareskim obozie na Saharze, nie domyśliłby się, kim jest naprawdę.

Kiedy już wyruszą na szlak, racje żywieniowe będą spartańskie, więc postanowił, że muszą przed wyjazdem porządnie się najeść. W trakcie przedzierania się przez tłum, kupił u sprzedawcy kebabów kilka baranich szaszłyków, potem świeży chleb u piekarza i ciasto u cukiernika. Murad niósł żywność wraz z małą torbą węgla drzewnego na ognisko.

Hotele, w których się zatrzymywały karawany, przeznaczone były dla ludzi i dla zwierząt. Pełno ich było wzdłuż szlaków karawaniarskich od Atlantyku po Chiny. Ross i jego ekipa weszli na podwórzec takiego właśnie przybytku, który rozkładem przypomina większość podobnych miejsc – znajdowały się tam małe pokoiki dla ludzi i stajnie dla zwierząt, wszystkie otwarte na duży położony w środku dziedziniec.

Ponieważ hotel był przepełniony, zwierzęta, dla których zabrakło miejsc w stajniach, leżały na zewnątrz; gdzieś tam paliły się małe ogniska – gotowano na nich i grzano się przy nich, bo noc była chłodna. Głośne rozmowy i porykiwania zwierząt, odbijające się od murów z glinianej cegły, sprawiały, że hotel wydawał się miejscem bardzo hałaśliwym. Siedzący przy ogniskach podróżnicy popijali herbatę, dzieląc się nowinkami, podczas gdy handlarze krążyli po całym dziedzińcu, szukając kupców na swoje towary. Można było rozpoznać co najmniej tuzin języków i narodowości.

Nad wejściem do biura właściciela wisiała latarnia. Wszedł tam Saleh, żeby wynająć dla nich miejsce. Szczęśliwie znalazło się jeszcze coś wolnego i po chwili szli do przydzielonej im kabiny znajdującej się na końcu budynku. Po przeniesieniu bagażu do małego pokoju Murad zabrał się do rozpalania ogniska, Juliet do oporządkowania wielbłądów, a Ross i Saleh poszli szukać *ka-fila-baszi*, dowodzącego karawaną.

Kiedy przedzierał się przez zatłoczony dziedziniec, Ross w duchu przyznał rację Juliet, która napominała go, żeby pohamował swoje rycerskie odruchy. Mimo wszystko trudno mu było stać i patrzeć, jak żona przeładowuje bagaże. Zdawał sobie jednak sprawę, że nic nie może zrobić.

Oczywiście największym problemem było to, że po prostu nie potrafił zapomnieć, iż Juliet jest kobietą.

*Kafila-baszi* zajmował duży pokój tuż przy wejściu do hotelu. Kiedy Ross i Saleh weszli do pomieszczenia, dowodzący karawaną rozmawiał z wodzem grupy afgańskich kupców, którzy właśnie nadjechali z Heratu i chcieli dołączyć do większej karawany. Po ustaleniu zasad i marszruty *kafila-baszi* pożegnał się z Afgańczykiem i zajął gośćmi.

– *Salaam Aleikum*. – Machnął ręką, pokazując, żeby usiedli. – Nazywam się Abdul Wahab. Jak mogę wam pomóc?

Ross odpowiedział grzecznie na powitanie i zajął miejsce na ubitej ziemi, następnie przyjrzał się *kafila-baszi*; strój i rysy twarzy wskazywały, że jest Uzbekiem. Był to mężczyzna o szerokich ramionach, w średnim wieku, z bystrymi ciemnymi oczami, od którego aż biła naturalna siła przywódcy.

Ross przedstawił się jako Kilburn, potem zaprezentował Saleha i ustalił z dowodzącym warunki przyjęcia ich do karawany, która miała wyruszać w drogę następnego dnia z rana. Oceniając pozytywnie Uzbeka, powiedział:

– Chyba powinieneś wiedzieć, że jestem *ferengi*. Pochodzę z Anglii.

Brwi Abdula Wahaba uniosły się wysoko.

– Jak na *ferengi* bardzo dobrze posługujesz się perskim. Wyczułem tylko lekki obcy akcent. Myślałem, że jesteś Beludzem z południowego Afganistanu. – Przeniósł wzrok na Saleha. – Ale ty nie jesteś *ferengi*?

Saleh pokręcił głową owiniętą w biały turban.

– Nie, jestem Uzbekiem, tak samo jak ty. Reszta naszej grupy to Pers i Tuareg z Sahary. Tylko Kilburn jest *ferengi*.

Pełen zastanowienia wzrok *kafila-baszi* wrócił do Rossa.

– Dlaczego mi o tym powiedziałeś?

– Odpowiadasz za bezpieczeństwo karawany. Nie chciałem ukrywać faktu, który mógłby przysporzyć ci kłopotów.

– Szczytny motyw. – Marszcząc czoło, Abdul Wahab pogładził czarną brodę. – Nie jedź do Buchary, Kilburn. Możesz zginąć, bo emir nienawidzi wszystkich Europejczyków. Jeśli zaczekasz kilka dni w Sarakhs, następna karawana zawiezie cię do Chiwy. To moje rodzinne miasto i wiem, że jest bezpieczniejsze dla *ferengi*.

Wszyscy odradzają mi wyprawę do Buchary, pomyślał z przekąsem Ross.

– Nie mam wyboru. Musze wiedzieć, co się stało z moim bratem, brytyj-



skim oficerem, który pojechał do Bucharzy z oficjalną misją i został uwięziony przez emira.

Krzaczaste brwi Wahiba się złączyły.

– Czy jest wysokim blondynem, tak jak ty?

Ian miał raczej rudobrzazowe włosy, bardzo jasną karnację, ale był wzrostu Rossa. Skinął głową.

– Tak.

– Kilka miesięcy temu na tyłach pałacu emira w Bucharze widziałem na własne oczy egzekucję kogoś podobnego do opisu twojego *ferengi*. Gapie mówili, że był żołnierzem. – Uzbek nie krył współczucia. – Przykro mi, że słyszysz to z moich ust, ale jestem przekonany, że tym skazańcem był twój brat. Do Bucharzy przyjeżdża bardzo niewielu *ferengi* – jeszcze mniej z niej wyjeżdża. Nie jedź tam, bo nie ma po co.

Słowa *kafila-baszi* sprawiły, że Ross poczuł ucisk w okolicach serca. Poza plotkami i informacjami z trzeciej ręki po raz pierwszy rozmawiał z kimś, kto twierdził, że był świadkiem egzekucji obcokrajowca, najprawdopodobniej Iana. Słaba nadzieja, którą żywił od chwili wyruszenia z Konstantynopola, zamigotała i zgasła. Wahał się nawet, czy nie zrezygnować z dalszej podróży. Nie tylko, że byłoby to rozsądne, ale, co może ważniejsze, uniknąłby konieczności przebywania w pobliżu Juliet.

Kiedy już miał podjąć decyzję o przerwaniu podróży, przed oczami stała mu jak żywa zrozpaczona Jean Cameron. Słyszał jej błagalny głos: „Proszę, Ross, błagam cię”. Nawet teraz nie mógł powiedzieć z pewnością, co się stało z Ianem. Jeśli tego nie sprawdzi, Jean do końca życia będzie się zadrezczać nadzieją.

Poza tym z bolesną jasnością uświadomił sobie, iż wcale nie jest tak do końca przekonany, że chce się pozbyć towarzystwa żony.

– Twoja porada jest rozsądna, Abdulu Wahabie, ale nie mogę wrócić bez jakiegoś dowodu. Jeśli mój brat nie żyje, może emir pozwoli mi zabrać jego ciało do Anglii.

Dowodzący karawaną miał sceptyczną minę, ale skinął głową.

– Niech więc tak będzie.

– Ten mężczyzna, którego stracono – zagadnął Ross, pragnąc się dowiedzieć czegoś jeszcze o *ferengi* – w jakim był stanie?

–Bardzo kiepskim. Zostały z niego prawie same kości. Na całym ciele miał straszliwe rany. Wyglądał na starca, choć sądzę, że był młody. – Abdul Wahab się skrzywił. – Słyszałeś, że emir hoduje w Czarnej Studni specjalny rodzaj robactwa, tylko po to, by więźniowie bardziej cierpieli? Nie przypuszczam, żeby mógł wytrzymać w niej przez dłuższy czas. Miecz przynajmniej skrócił jego cierpienie.

– Mój brat umierałby dzielnie.

– O tak, tak właśnie było. Choć osłabiony, stał prosto, a prawą ręką zrobił na piersi znak krzyża i modlił się we własnym języku. Nie jestem pewien, ale sądzę, że powierzył swoją duszę chrześcijańskiemu Bogu. – *Kafila-baszi* z szacunkiem pochylił głowę. – Jako żołnierz z pewnością wolałby zginąć na polu walki, ale zapewniam, że nie zhańbił ani siebie, ani swojej rodziny.

Ross się zdumiał, bo jego szwagier nigdy nie był religijny, a znak krzyża nie stanowił standardowego symbolu dla szkockich prezbiterian. Jednak po chwili zastanowienia pojął znaczenie gestu. Poza tym, że wielomiesięczne więzienie może każdego doprowadzić do zmiany przekonań, przeżegnanie się wyglądało jak ostatnia oznaka buntu Iana, publiczna proklamacja jego pochodzenia i religii. Nawet pod koniec nie dał się złamać. Być może przyniesie to jego rodzinie jakieś pocieszenie.

– Dziękuję za informacje, Abdulu Wahabie. – Ross wstał. – Wiem, iż moja obecność w karawanie może wszystkim przysporzyć kłopotów, pragnę jednak zapewnić, że ja i mój służący, Jalal, jesteśmy dobrze uzbrojeni i w razie potrzeby staniemy w obronie reszty podróżnych.

– Jeśli Bóg da, wasza broń nie będzie potrzebna, ale cieszę się, wiedząc, że ją posiadacie. – Do pomieszczenia weszło dwóch ludzi, więc dowódca karawany skinieniem głowy pożegnał się i zajął następną sprawą.

Ross i Saleh wyszli na dziedziniec. Wyglądało na to, że jak na razie wszystko układa się pomyślnie. *Kafila-baszi* sprawiał wrażenie praktycznego i tolerancyjnego, więc jeśli tylko szczęście im dopisze, powinni przebyć Kara-Kum bez większych kłopotów. Ross czekał już na rozpoczęcie ostatniego etapu podróży.

Niestety, przedtem będzie musiał powiedzieć Juliet, czego się dowiedział o jej bracie.

Juliet siedziała oparta o ścianę budynku i objąwszy rękami kolana, przyglądała się Muratowi, który rozniecał ognisko, żeby przygotować wieczorny posiłek. Pers porzucił już próby nawiązania rozmowy ze swoim towarzyszem, bo Jalal był mrukliwy i wciąż go zbywał. Juliet źle się czuła, zachowując się tak nieuprzejmie, wiedziała jednak, że zaprzyjaźnienie się z chłopakiem nie byłoby rozsądne; im mniej Murad o niej wiedział, tym lepiej.

Zmieniła pozycję, chcąc poluzować opaskę, którą włożyła pod szaty Turega, żeby spłaszczyć biust. Wcześniej nigdy tego nie robiła; choć z przyzwyczajenia nosiła męskie stroje, miała na względzie przede wszystkim wygodę, a nie to, aby ukryć płeć. Teraz sytuacja się zmieniła, więc przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności, by nikt się nie domyślił, że jest kobietą. Wybrała jak najdelikatniejszą opaskę, wiedząc, że będzie musiała nosić ją stale, ale i tak było jej niewygodnie. Pomyślała z niechęcią, że opaska będzie jeszcze bardziej dokuczliwa w letnim upale.

Spoglądając na dziedziniec, zobaczyła Rossa i Saleha, którzy z trudem torowali sobie drogę pomiędzy ogniskami i drzemiącymi wielbłędami. Ross nosił azjatycki strój tak swobodnie, jakby nigdy się z nim nie rozstawał; trudno było uwierzyć, że jest angielskim arystokratą. Z twarzą bezpiecznie ukrytą za zasłoną, Juliet lekko się uśmiechnęła, mówiąc sobie w duchu, że teraz jej mąż jest nie angielskim, a orientalnym arystokratą. Nie mógł nic na to zaradzić, że zawsze zwracał uwagę dystynkcją.

Wszyscy się już zebrali i nadszedł czas na posiłek. Kiedy Ross, Saleh i Juliet zasiedli za niskim okrągłym stołem, Murad postawił przed nimi duży półmisek. Zakupione na bazarze baranie szaszłyki leżały na kupce gotowanego ryżu, który zdobyli w hotelowej kuchni. Był też świeży płaski chlebek.

W świecie islamskim je się palcami, ale tylko prawej ręki, bo lewa uważana jest za nieczystą. Nie wolno nią sięgać do wspólnego półmiska. Juliet już od tak dawna jadła na sposób muzułmański, że był on dla niej całkiem naturalny. Bardzo zręcznie rolowała ryż w kulki, a potem zgrabnie jednym mlaśnięciem języka ściągała je z ręki – wkładanie palców do ust urąga do-

brym manierom. Jednakże jeszcze nigdy nie próbowała jeść z zasłoniętą twarzą, a okazało się to zaskakująco trudne. Nawet pomiędzy Tuaregami tylko najbardziej zagorzali ortodoksi pozostawiali twarz zasłoniętą podczas jedzenia.

Poluzowała tagelmoust, aby móc wsunąć pod niego rękę, ale okazało się, że musi nieustannie pilnować, żeby nie spadł jej z głowy. Dwukrotnie nie trafiła i ryż rozsypał się jej na piersi. Podejmując kolejną próbę, dostrzegła rozbawione spojrzenie Rossa. Spiorunowała go wzrokiem.

Na szczęście zwyczaj dzielił wspólny półmisek na umowne strefy. Niegrzecznością było podbierać jedzenie z innej. Gdyby nie to, Juliet nic by nie zjadła. Do czasu, gdy skończyła, reszta półmiska była już pusta, a mężczyźni pili herbatę.

Juliet też przyjęła małą filizankę i szybko mogła się przekonać, że picie z zasłoniętą twarzą jest jeszcze trudniejsze niż jedzenie. Uzmysłowała sobie, że w tagelmouście nie da rady pić z bukłaków, co znaczyło, iż pragnienie będzie musiała zaspokajać tylko w towarzystwie Rossa i Saleha lub po kryjomu. Miała wprawdzie nadzieję, że jeśli nawet ktoś zobaczy jej twarz, pomyśli, że jest młodym chłopcem, ale wołała nie ryzykować.

– Wyruszamy przed świtem – powiedział Ross Muradowi, kiedy skończyli. Potem zerknął w stronę Juliet. Użył języka Tuaregów, udając, że powtarza tę samą informację: – Spotkajmy się za hotelem za jakieś piętnaście minut.

Juliet mruknęła, co miało oznaczać potwierdzenie, ciekawa, dlaczego mąż chce porozmawiać z nią na osobności. Cóż, istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, więc wstała i bez słowa wyjaśnienia wyszła na dziedziniec. Udawanie opryskliwego Tuarega pozwalało jej zachowywać się jak niegrzeczny uczeń. Musiała przyznać, że nawet ją to bawiło.

Robiło się coraz później i ludzie udawali się na spoczynek. Nie spiesząc się, jakby po prostu spacerowała, Juliet poszła sprawdzić, co się dzieje z wielbłędami, a potem wolnym krokiem przemierzyła dziedziniec, minęła łukowatą bramę i znalazła się na obrzeżonej straganami ulicy. Poszła w lewo, wzdłuż murów hotelu i skręciła za budynek.

Tutaj sceneria była zupełnie inna niż przed hotelem: Juliet miała przed sobą wyludnioną pustynię ciągnącą się na wschód aż po horyzont. Na nie-

bie jaśniał wąski rożek półksiężyca, z północy zawiewał niespokojny wiatr, wywołując szelest ostrych krzewów porastających żwirowe podłoże.

Zaciągnęła się głęboko suchym, pachnącym pustynią powietrzem, a potem odetchnęła głęboko. Czuła, jak opada napięcie i powraca spokój; najwyraźniej udawanie Tuarega było o wiele bardziej stresujące, niż sądziła, o czym mogła się przekonać dopiero, kiedy przestała się kontrolować. Noszenie męskich strojów w obecności własnych ludzi, którzy wiedzieli, kim jest, to jedno. Co innego chodzić w przebraniu tygodniami lub miesiącami. Ale skoro udało jej się przetrwać jeden dzień, każdego następnego będzie łatwiej.

Stała nieruchomo w cieniu sękatego drzewa, przyzwyczajając wzrok do rozświetlonego gwiazdami nieba. W pobliżu nie było nikogo, bo ludzie podróżujący po pustyni wolą, kiedy to tylko możliwe, cieszyć się towarzystwem swoich pobratymców, nie lubią samotności.

Jakieś dziesięć minut później zza rogu wyłonił się Ross. Nie spieszył się. Nawet w ciemności Juliet rozpoznała go bez kłopotu.

Nie zdradzała swojej obecności, ciekawa, czy ją odnajdzie. Jakieś sto kroków od niej zawahał się, a następnie ruszył prosto na nią.

Pełna podziwu zastanawiała się, w jaki sposób zlokalizował ją tak szybko; szedł z wiatrem, więc nie pomógł mu węch, nie mógł też jej usłyszeć, bo nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Ciemny strój był niewidoczny. Pomimo ciekawości nie dała mężowi satysfakcji i nie zapytała, jak mu się to udało.

– Czy stało się coś złego, Ross? – zapytała po angielsku, gdy znalazł się jakieś dziesięć kroków od niej.

– Obawiam się, że tak. – Prostymi zdaniem, bez emocji powiedział jej, że *kafila-baszi* widział egzekucję *ferengi* i powtórzył całą rozmowę ze szczegółami.

Juliet przyjęła wieści ze stoickim spokojem, bo w gruncie rzeczy nie były one dla niej żadnym zaskoczeniem. Jednak, kiedy Ross opisał fizyczny stan straceńca i to, jak umierał, wstrzymała oddech.

– Przykro mi, Juliet.

– Ta relacja uwiarygodnia śmierć Iana. Pamiętam go jako dwudziestolatka, pełnego energii i optymizmu. Zupełnie nie potrafię wyobrazić

go sobie wychudzonego, wyniszczzonego torturami, słabego tak, że nie mógł się utrzymać na nogach... To takie straszne. – Z trudem oddychała. – Kiedy byliśmy dziećmi, marzyliśmy o zwiedzaniu świata, o przeżywaniu najbardziej niesamowitych przygód. A teraz to wszystko Ian ma za sobą; zakończył życie na oczach tłumu gapiów, ludzi całkowicie mu obcych.

Głos się jej załamał. Obraz cierpiącego brata zastąpił wspomnienia o Ianie silnym i tryskającym zdrowiem. Przygnębiona zastanawiała się, czy wszystkie przygody kończą się właśnie tak – tysiące mil od domu, bezsensownym cierpieniem.

Ross ze współczuciem dotknął ramienia żony. Ten gest sprawił, że z trudem panowała nad uczuciami. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach, płakała, bo los doświadczył ją okrutnie i tego, co straciła, już nie odzyska; płakała z powodu śmierci brata, z powodu zmarnowanej młodości i braku nadziei, z powodu utraty miłości. Najbardziej z powodu utraty miłości.

Przeciągnęła z gniewem wierzchem dłoni po oczach, wycierając piekące łzy. Potem opuściła tagelmoust, pozwalając, by po raz pierwszy od wielu godzin wiatr owiał jej twarz.

– Chcesz przerwać naszą wyprawę? – zapytała, kiedy się nieco uspokoiła. – Jeśli tak, wracajmy zaraz.

– Zastanawiałem się nad tym – odparł wolno Ross. – Jednak, choć Abdul Wahab widział egzekucję, nadal nie wiemy, dlaczego Ian został zabity. Dokładne informacje będą ważne zarówno dla rządu, jak i dla waszej rodziny, ale, żeby je pozyskać, musimy dotrzeć do Bucharu. Jestem prawie pewien, że twoja matka pragnęłaby, aby ciało Iana sprowadzić do Szkocji.

– Ja także. – Juliet chciała dodać coś jeszcze, ale gardło miała ściśnięte.

– Chodź. Przejdźmy się. – Kładąc delikatnie rękę na plecach żony, Ross skierował ją w stronę otwartej pustyni.

Idąc obok niego zastanawiała się, czy mąż uświadamia sobie, że jej dotyka. Prawdopodobnie nie: był to gest zatroskanego przyjaciela, a nie kochanka. Zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru, kiedy między nimi naprawdę iskrzyło. Dzięki Bogu, że przynajmniej łączy ich jeszcze nic sympatii. Dzisiaj, walcząc z wizją śmierci brata, jak nigdy potrzebowała życzliwości męża.

Po długiej chwili ciszy, maconej tylko chrzęstem żwiru pod ich stopami i

szumem wiatru, Ross zapytał:

– Czy tęsknisz czasami za Wielką Brytanią, Juliet?

– Czasami. Brakuje mi zieleni. Brytyjczycy najczęściej narzekają na deszcz, a tutaj woda to prezent od Boga.

Ross się roześmiał.

– Na Wschodzie wszyscy narzekają na słońce i upał, a Anglicy modlą się o to podczas brzydkiego lata.

Juliet także lekko się uśmiechnęła.

– Tak. Pożądanie tego, czego brak, leży w ludzkiej naturze. – Potem zamilkła, zastanawiając się, ile może powiedzieć, bez wyjawiania więcej, niż pragnęłaby wyjawić. – Choć bardzo kocham Serevan, zawsze będę w Persji obca. Nie miałam pojęcia, do jakiego stopnia przesiąkałam europejskością, dopóki nie zamieszkałam wśród ludzi z innej kultury. Co dziwne, łatwiej mi się dogadać z mężczyznami niż z kobietami.

–Przypuszczam, że to za sprawą twojego stylu życia: jeździsz konno, nosisz broń, wydajesz rozkazy, nie różnisz się więc od tutejszych mężczyzn. Nigdy nie byłaś tak ograniczana, jak kobiety Wschodu, więc niewiele cię z nimi łączy.

– Nigdy nie myślałam w ten sposób, ale chyba trafiłeś. – Juliet zaśmiała się z goryczą. – Na początku chciałam przeprowadzać zmiany, uwolnić kobiety Serevanu, przekonać je, żeby nie zasłaniały twarzy, żeby domagały się dla siebie więcej szacunku.

– Z tonu twojego głosu wnioskuję, że nie odniosłaś większych sukcesów.

– Żadnych. – Westchnęła. – Kobiety Serevanu są szczęśliwe z ich kwefami, odrębnymi pomieszczeniami, z ich oddzielnym kobiecym życiem. W końcu się poddałam. Nawet żona Saleha, która jest przecież mądra i odważna, kiedy mnie słuchała, robiła zdziwioną minę i mówiła, że życie Europejki musi być bardzo „niewygodne”.

–Kultura ma większą siłę niż ideologia – zauważył Ross. – Większość ludzi jest szczęśliwszych, kiedy żyją zgodnie ze zwyczajami, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Urodzeni rebelianci, tacy jak ty, należą do rzadkości.

–Na to wygląda. Ale i tak żal mi, że tak mało łączy mnie z tutejszymi kobietami, bo to zmniejsza szanse na zawarcie przyjaźni. Brakuje mi przyjaciół-

łek, zwłaszcza brakuje mi Sary. – Juliet zamilkła, uświadamiając sobie, że niechęć nawiązała do przeszłości.

Być może myśląc to samo, Ross zmienił temat.

– Fakt, że lubisz towarzystwo kobiet, odróżnia cię bardzo od lady Hester Stanhope. Nienawidziła przedstawicielek własnej płci i wolałaby urodzić się mężczyzną. Byłby z niej wybitny generał albo polityk.

Juliet podjęła temat z entuzjazmem.

– Racja, przecież odwiedziłaś lady Hester. Kiedy? Jaka ona jest?

Ross się zawahał. Najwyraźniej lata nie zmniejszyły naiwnego podziwu żony dla samozwańczej „królowej Arabów”. Może nie powinien niszczyć wyidealizowanego obrazu.

– Byłem u niej z wizytą jakieś sześć, siedem lat temu. Wydała mi się dowcipna i zarozumiała. Kapryśna. Godna podziwu, ale zbyt egzaltowana.

– Egzaltowana? – zawołała Juliet ze zdumieniem. – Nie ma na świecie drugiej takiej jak ona.

– Z całą pewnością. – Ross uświadomił sobie, że musi bardzo uważać na to, co mówi; żona otrzymała dziś wystarczająco dużo złych wieści i nie potrzebna jej była następna dawka. – Ale kiedy ją odwiedziłem, lady Hester już chorowała i prawie nie opuszczała swojej twierdzy. Dla tej kobiety, wytrawnego jeźdźca i podróżnika, taka sytuacja musiała być bardzo trudna do zniesienia.

– Kiedy postanowiłam zamieszkać w Serevanie – zaczęła Juliet z lekkim zmieszaniem – przyrzekłam sobie, że postaram się żyć tak, jak żyła lady Hester: będę przyjmować wszystkich uchodźców, bez względu na pochodzenie i wiarę, dam im schronienie pod moim dachem, nikogo nie odeślę spod drzwi głodnego. – Rozmarzyła się. – Nadal mnie to zdumiewa, że kobieta, która była siostrzenicą Williama Pitta, która znajdowała się w samym centrum brytyjskiej polityki, mogła odwrócić się plecami do społeczeństwa i stworzyć w Syrii własne królestwo.

– W pewnym sensie jest to całkowicie zrozumiałe – powiedział w zamyśleniu Ross. – Lady Hester urodziła się, by rządzić, ale cała jej moc brała się z tego, że była siostrzenicą premiera. Po śmierci Pitta w Anglii nie czekało ją nic więcej oprócz zapomnienia, a ona z pewnością tego nie chciała. Na Wschodzie mogła robić, co tylko zapragnęła i znowu miała władzę.



– Była niesamowicie odważna. – Juliet znów się rozmarzyła. – Słyszałeś o tym, że ona, pierwsza kobieta z Europy, odwiedziła ruiny Palmiry? Miała odwagę oddać się pod ochronę Beduinom... – Juliet niespodziewanie przerwała. – Wybacz... Z pewnością o tym wiesz. Opowiedz lepiej, co się działo podczas odwiedzin.

– Byłem na Cyprze i postanowiłem pojechać do Libanu, z nadzieją, że lady Hester mnie przyjmie. W końcu nieczęsto się zdarza okazja, by poznać kogoś, kto jest żywą legendą.

Znajdowali się teraz w sporej odległości od hotelu i usiedli na łacie miękkiego piasku, osłonięci od wiatru wzniesieniem wzgórza.

– Chociaż wszyscy goście traktowani byli z życzliwością – kontynuował Ross – lady Hester często nie chciała spotykać się z nimi osobiście. Ale mnie się poszczęściło: pamiętała mojego ojca z lat, kiedy jeszcze brała czynny udział w polityce, więc postanowiła mnie przyjąć. – Zaśmiał się kpiąco. – Było to niezłe doświadczenie. Choć lady Hester miała już wtedy sześćdziesiąt lat, nadal była na tyle próżna, że zapraszała do siebie gości tylko po zmroku, bo w świetle lamp wyglądała lepiej. Najpierw kazała służbie poczęstować mnie wspaniałym obiadem, a potem po mnie posłała.

– O czym rozmawialiście? – pytała podekscytowana Juliet.

– Ja nic nie mówiłem – odparł sucho Ross. – Moim zadaniem było słuchać, a lady Hester cały wieczór wykladała mi swoje metafizyczne teorie. Choć zdrowie jej szwankowało, mówienie nie sprawiało kłopotu. Wypuściła mnie dopiero nad ranem.

– Słyszałam, że była świetnym mówcą i tak inteligentna, że Pitt twierdził, iż nigdy nie wyjdzie za mąż, bo nie znajdzie mądrzejszego od siebie mężczyzny. Jak wyglądała?

– Miała imponujący wzrost. Była nieco wyższa od ciebie. Nosiła strój tureckiego paszy i stosownie do tego się zachowywała. – Wracając pamięcią do przeszłości, Ross opisał bardziej interesujące aspekty wyglądu lady Hester i jej twierdzy Djoun. Chciał, by żona choć przez chwilę nie myślała o śmierci brata. Byli sobie tak samo bliscy jak on i Sara. Mimo że nie widzieli się całe lata, śmierć Iana wstrząsnęła Juliet.

Opowiadając, kątem oka spoglądał na żonę. Miała spuszczone na szyję tagelmoust, jej twarz wydawała się blada – na tle czarnego nieba przypomi-

nała kameę. Co za ironia losu, pomyślał sobie Ross. Jesteśmy sami, na pustyni, w odległym, egzotycznym zakątku świata. Dokładnie o takim romantycznym miejscu kiedyś marzyliśmy. Zanim Juliet uciekła od niego, planowali długą podróż po Środkowym Wschodzie.

Po dwunastu latach znaleźli się w miejscu, o którym wcześniej marzyli, robiąc dokładnie to, co planowali – ale tylko do pewnego stopnia. Taka scena jak ta powinna się zakończyć namiętym aktem miłosnym. Jednak teraz, gdy wymarzony sen się ziścił, są sobie obcy, nie pragną zbliżenia.

A jednak Ross nieustannie o tym myślał. Wiedząc, że jeśli nie zmieni pozycji, nie powstrzyma się, by dotknąć Juliet. Wstał niespodziewanie i otrzepał piasek z ubrania.

– Wystarczy tych opowieści o lady Hester na jeden wieczór. – Zacisnął dłoń w pięść, powstrzymując się, by nie podać ręki żonie. – Pora na sen. Do brzasku nie zostało wcale tak wiele czasu.

Juliet też wstała.

– Co zamierzasz robić, kiedy wrócisz do Anglii, Ross? – zapytała, gdy wracali. – Zarządzanie majątkiem rodzinnym jest ważną sprawą, ale domyślałam się, że będzie to dla ciebie zajęcie nużące i z pewnością nie poświęcisz mu całej swojej energii.

Ross wahał się chwilę, zanim odpowiedział.

– Od lat chodzi mi po głowie, żeby stworzyć instytut badań orientalnych; miejsce spotkań naukowców ze Wschodu i Zachodu, gdzie mogliby wymieniać się swoją wiedzą. Chciałbym się tym zająć po zakończeniu wszystkich podróży. Ten czas właśnie nadszedł, nieco wcześniej niż zakładałem. – Zerknął na żonę. Nadażać za nim bez wysiłku, choć musiała robić długie kroki. – Słyszałaś o nowych kolejach w Europie?

– Czytałam, ale odniosłam wrażenie, że to przemijająca moda. Taka modernizacja wymaga czasu i pochłonie ogromne pieniądze. To stwarza pewne ograniczenia.

– Rzeczywiście jest to przedsięwzięcie kosztowne, ale nie niemożliwe. W ciągu następnych kilku dekad kolej zmieni oblicze świata – mówił Ross. – Już wkrótce nie tylko powstaną trasy łączące każdą część Europy ze sobą, ale będą one przebiegały przez całą Azję i Amerykę. Świat robi się mniejszy, a w przyszłości zainteresowanie innymi narodami oraz ich kulturą stanie się

sprawą bardzo istotną. W pewnym niewielkim stopniu mój instytut mógłby się do tego przyczynić. – Zamilkł, speszony. Pomyślał, że głupio tak rozgadywać się o czymś, co było tylko mglistym marzeniem.

– To wspaniały pomysł – powiedziała Juliet ciepło. – I nikt bardziej niż ty nie nadaje się do zarządzania takim instytutem. Zawsze doskonale dogadujesz się z ludźmi i umiesz ich przekonać, żeby dogadywali się też między sobą. – Uśmiechnęła się. – Czasami ta twoja zdolność dostrzegania każdej strony zagadnienia bardzo mnie złościła, jednak taka bezstronność to niewątpliwie zaleta. Cieszę się, że użyjesz jej dla dobrej sprawy.

Ross poczuł absurdalne zadowolenie z powodu aprobaty żony; pamiętał, że Juliet nigdy nie chwaliła czegoś, co uważała za zły pomysł. Zbliżali się do hotelu, więc podciągnęła tagelmoust. Zamieniła się w służącego Jalała. Spacer zakończyli w milczeniu.

W łukowej bramie hotelu nadal paliła się lampka oliwna, ale na dziedzińcu panował spokój, po ogniskach zostały tylko dogasające bursztynowe kupki żaru. Tu i ówdzie słychać było chrapanie wielbłąda lub ludzki kaszel. Ostrożnie przechodzili przez labirynt śpiących ciał, ludzi i zwierząt.

Kiedy dotarli do ich pokoju, drzwi były otwarte, a słabe światło dochodzące z zewnątrz wystarczyło, żeby oświetlić wnętrze. Pod tylną ścianą pomieszczenia leżały ich bagaże i zapasy, resztę pokoju zajmowały maty do spania dla czterech osób. Murad i Saleh leżeli obok siebie po lewej stronie pokoju, zostawiwszy dwa miejsca po prawej dla Rossa i Juliet. Nawet pościelili im maty, żeby po powrocie mogli od razu się położyć.

Ross zaklął siarczyście pod nosem. Dlaczego Saleh nie ułożył materaców tak, żeby starzec znalazł się między nim a Juliet? Spojrzał na żonę. Nie mógł nic wyczytać z jej twarzy, ale nie ulegało wątpliwości, że też jest zawiedziona. Poczucie swobody, które jeszcze przed chwilą ich łączyło, zamieniło się w skrzępowanie.

Ross położył się na środku, zostawiając matę pod ścianą dla Juliet. Owinął się w gruby wełniany koc i odwrócił na bok, plecami do żony.

Zachowując się bardzo cicho, Juliet takie się położyła, jak najdalej od męża i okryła kocem. A jednak, mimo że leżał odwrócony do niej plecami, czuła jego bliskość.

Rossowi też nie było łatwo. Postanowił wyciszyć umysł za pomocą tech-

niki relaksacyjnej, której się nauczył w buddyjskim klasztorze w Indiach. Rozluźniał mięsień za mięśniem, kontrolując oddech. Jego klatka piersiowa unosiła się wolno, potem opadała. Powtarzał sobie w myślach, że obok nie leży kobieta, której pragnie, piękna, wciąż pociągająca go żona, ale młody, opryskliwy Tuareg o imieniu Jalal. . .

Szybciej by uwierzył w to, że ryby potrafią fruwać.

Zawinięta w koc i wciśnięta pod ścianę, Juliet długo nie mogła zasnąć. Zawsze miała lekki sen, nawet gdy nie nękał jej żaden niepokój. Kiedy Ross leżał obok, każdy miesiąc miała napięty jak struna. W końcu przysnęła, ale męczyły ją koszmary, w których albo uciekała przed czymś w panice, albo traciła coś cennego.

Jednak w którymś momencie nocy zmory znikły. Kiedy o wczesnym poranku przedryfowała w mglisty stan między snem a jawą, uświadomiła sobie, iż odczuwa spokój. Było to takie ciepłe, przyjemne uczucie, że nawet nie chciała myśleć o wstawaniu.

Choć nadal jeszcze panował mrok, wiedziała, że zbliża się pora pobudki. Pozwoliła sobie jednak na delektowanie się rozleniwieniem, wiedząc, że najśłabszy odgłos lub poruszenie wyrwą ją z tej złotej mgiełki spokoju.

Do diabła! Nagle całkowicie się rozbudziła, ogarnięta tak przemożnym zdumieniem, że nie przyszło jej nawet na myśl, żeby się odsunąć. Znajdowała się w objęciach Rossa! Leżał obok niej, swobodnie otaczając ją ramionami. Ona natomiast trzymała rękę na jego pasie, twarz przytulała do szerokiej piersi męża, a lewe kolano wetknęła pomiędzy jego nogi.

Fakt, że obydwójce mieli na sobie wielowarstwowe stroje, nic nie zmienił, ponieważ ta bliskość działała na nią silniej, niż gdyby leżeli obok siebie nadzy. Była tym wszystkim lekko przestraszona, zwłaszcza że czuła coraz większe podniecenie.

Drżąc, wstrzymywała oddech, w obawie, że obudzi męża. Dzięki Bogu miał zawsze mocny sen. Teraz oddychał głęboko i równomiernie; najwyraźniej nie był świadom, że w nocy przytulili się do siebie. Zawsze spali tak spleceni i wspólnie zmieniali pozycje, żeby ani na chwilę nie tracić fizycznego kontaktu. Najwyraźniej poprzedniego wieczoru, kiedy ich umysły pograżyły się we śnie, ciała natychmiast powróciły do tego, co było tak naturalne przed dwunastu laty.

Zachowując wyjątkową ostrożność, Juliet wyplątała się z objęć męża, ale się nie odsunęła. Tak naprawdę po raz pierwszy od czasu spotkania w Serevanie miała okazję dokładnie mu się przyjrzeć.

Naprawdę był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu poznała. Lata oczywiście zrobiły swoje, teraz sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie, odpowiedzialnego mężczyzny. Pomyślała, że miała skarb i sama go odrzuciła.

Pod wpływem impulsu pochyliła się i delikatnie, żeby nie obudzić Rossa, pocałowała zagłębienie w miejscu, gdzie broda przechodzi w szyję. Na ustach poczuła łaskotanie wąsów i nawet kiedy się odsunęła, wciąż czuła słonawy smak skóry męża.

Nie powinna tego robić, mimo ostrożności, oddech Rossa się zmienił. Gorzej, poczuła – udo miała między nogami męża – że się podniecił. Powolny, leniwy akt miłosny z rana zawsze był jedną z najprzyjemniejszych chwil w...

Zagryzła usta, czując ogarniające ją pożądanie. Odsunęła się jak najdalej i odwróciła twarzą do ściany. Ross westchnął i zmienił pozycję, ale nadal spał. Dzięki Bogu za małe błogosławieństwa.

Juliet naciągnęła na twarz tagelmoust, potem znieruchomiła, nasłuchując porannych nawoływań do modlitwy. Otuliła się szczelnie kocem, ale nic nie mogło zastąpić ciepła, bijącego od ciała męża.

Wciąż zadawała sobie pytanie, przepełniona żalem, dlaczego życie musi być takie skomplikowane.

Po czterech dobach przedzierania się przez pustynię przyjęli stały rozkład dnia. Latem, żeby uniknąć zabójczego upału, karawany ruszają w drogę późnym popołudniem, kontynuując wędrówkę nocą. Teraz była wiosna, temperatura umiarkowana, wstawali więc o świcie i na postój zatrzymywali się dopiero przed zachodem słońca. Większość ludzi odprawiała swoje modły, jadąc, bo Koran pozwalał na to podróżnikom, najzagorzalsi wierni jednak się zatrzymywali, a potem doganiali resztę.

Wielbłądy poruszały się wolno; ponieważ przez godzinę pokonywali mniej więcej dwie mile, karawana musiała wędrować bez przystanku, jakieś dwanaście do czternastu godzin dziennie. Wielbłądy nieustannie coś przewożyły; Europejczycy myślą, że karawana idzie gęsiego, ale tak nie jest, zwierzęta, szukając pożywienia, rozchodzą się.

Dla Rossa było zrozumiałe, że takie rozbieżności jest konieczne, by zwierzęta

mogły wyszukać sobie coś do jedzenia, lecz z tego powodu włosy stawały mu dęba. Gdyby napadli ich Turkmeni, karawana nie byłaby w stanie się obronić. Poza nowoczesnymi strzelbami, jego i Juliet, broń podróżnych stanowiły tylko noże, sztylety i kilka starodawnych odpalanych na lont muszkietów.

Na szczęście, jak dotąd nic nie zapowiadało kłopotów, przynajmniej nie ze strony najeźdźców. Pogoda to już inna historia; drugiego dnia po opuszczeniu Sarakhs podróżnicy obudzili się w mieszance mgły i kurzu tak gęstej, że nie można było zobaczyć punktów orientacyjnych, przez co karawana zgubiła szlak i kilka godzin błądzili.

Kiedy niebo się roz pogodziło, przewodnik odnalazł szlak. Potem, następnego dnia z rana okazało się, że obozowisko pokryte jest kilkucentymetrową warstwą śniegu, co było nienaturalne o tej porze roku i znacznie opóźniło wymarsz.

Ross uśmiechnął się przekornie, myśląc o tym, jak bardzo wielbłądy nienawidzą śniegu. Kiedy spadł, ryczały chrapliwie, opierając się, gdy zmuszono je do ruszenia w drogę. Ale prawdę mówiąc, wielbłądy są niezadowolone prawie ze wszystkiego. Z poczuciem winy poklepał Juliette po kudłatej szyi. Odwróciła łeb i posłała mu życzliwe spojrzenie; jak na wielbłąda miała bardzo słodką naturę.

Rozejrzał się dokoła, lustrując okolicę. On i Juliet mieli po dwa wielbłądy do pilnowania, jednego do jazdy i jednego do niesienia bagaży. Ponieważ tempo było wolne, jechali na nich lub szli obok.

Na piątym wielbłądzie, po obu jego bokach wisiała para głębokich koszy. W jednym siedział Saleh, równoważony siedzącym po drugiej stronie Muradem. Ponieważ obaj niezbyt dobrze radzili sobie z powożeniem wielbłądami, wydawało się rozsądne umieścić ich razem; gdyby zwierzę poniosło, a jeden nie umiał go okiełznać, udać się to mogło drugiemu. Jednak jak na razie potulne stworzenie niosło ich na swoim grzbiecie i nie przysparzało kłopotów.

Ross zerknął w stronę Juliet, która znajdowała się jakieś sto jardów przed nim. Z twarzą osłoniętą tagelmoustem kroczyła dumnie niczym księżką pustyni; długa tuareska szata falowała jej wokół nóg. Doskonale odgrywała rolę Jalala; poza poganiaczem wielbłądów, który z pewnością był Uz-

bekiem i od czasu do czasu zaczepiał Juliet, nikt nie poświęcał większej uwagi mało rozmownemu Tuaregowi. Juliet okazała się też zaskakująco dobrym służącym; Ross podejrzewał, że pomimo pełnego szacunku, który mu okazywała, żona w duchu nieźle sobie z niego podkpiwa, ale swoim zachowaniem starała się udowodnić, że potrafi słuchać rozkazów, kiedy jest to konieczne.

Patrząc na nią, zamyślił się. To, co się wydarzyło w hotelu, wytrąciło go z równowagi. W trakcie podróży po niebezpiecznych krainach nauczył się spać czujnie, tak więc lekkie dotknięcie w ramię od razu go rozbudziło. Ale nie było zagrożenia; Juliet, która przekręciła się w jego stronę, we śnie zarzuciła mu ramię na szyję. Kiedy się do niej odwrócił, westchnęła i wtuliła się w niego ufnie. To sprawiło, że odezwały się w nim bolesne wspomnienia.

Objął żonę ramieniem i pozwolił sobie na udawanie, że dwanaście lat rozłąki było tylko złym snem, i teraz śpią spokojnie w ich własnym łóżu. Bliskość Juliet była jak niespodziewany dar od Boga. Chciał się nim nacieszyć.

Kiedy Juliet się obudziła, zeszywniała w jego ramionach; jej reakcja podpowiedziała Rossowi, że uczyni rozsądniej, jeśli uda, że śpi. Delikatny, niemal czuły pocałunek żony tak go zszokował, że jeszcze chwila, a wyszłoby na jaw, że jest przytomny. Na szczęście jednak zdołał nad sobą zapanować. Nie czuł się winny za tę grę, bo dla obojga przyznanie się do tego, w czym bądź co bądź oboje uczestniczyli, byłoby ogromnie krępujące.

Niestety podobny epizod już się nie powtórzył; każdej następnej nocy Juliet pilnowała, żeby jej poślanie znalazło się jak najdalej od materacy mężczyzn i zawsze kładła się najbliżej Saleha. Mimo wszystko Ross przez cały czas analizował to, co się wydarzyło. Może Juliet brakowało kochanka, którego zostawiła w Serevanie, a on był niejako pod ręką. Odrzucił natychmiast tę myśl. A może zachowanie żony oznaczało, że więzów małżeńskich nie da się tak łatwo rozerwać?

Przebywając w pobliżu Juliet. Ross nieustannie odczuwał seksualne napięcie, choć od wieczoru w Sarakhs ani razu nie znaleźli się ze sobą sam na sam. Sądził, że skoro Juliet w stroju Tuarega sprawia wrażenie niemal niewidzialnej, będzie mu łatwiej, ale rzeczywistość, niestety, wyglądała inaczej.



W gruncie rzeczy było coś szalenie podniecającego w tym, że wiedział, co się kryje pod ciemną szatą. Za każdym razem, kiedy patrzył na żonę, widział jej szczupłe, gibkie ciało, wspaniałe długie nogi, płonące czerwienią włosy, jasną, jedwabistą skórę...

Nie powinien folgować wyobraźni. Podążanie myślami w takim kierunku, może doprowadzić go do szaleństwa.

Kilka minut później do Rossa podjechał Abdul Wahab. *Kafila-baszi* dosiadał małego pustynnego konia, wytrzymałego i mocno umięśnionego. Wciągu dnia krążył nim pomiędzy podopiecznymi, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku, i udzielając pomocy tam, gdzie było to konieczne.

– *Salaam Aleikum*, Kilburn.

Ross uśmiechnął się i oddał powitanie.

– Pokój niech będzie z tobą. Czy wkrótce rozbijemy obozowisko?

– Nie tak prędko. – *Kafila-baszi* zmarszczył czoło. – Przez to, że pobłądziliśmy, trasa się wydłużyła i wielu ludziom zapasy wody niebezpiecznie się zmniejszyły. Uważam, że powinniśmy zatrzymać się dopiero późną nocą, kiedy dotrzemy do studni w Karagosz.

Ross machnął ręką w stronę północnego horyzontu, gdzie widać było zbierające się chmury burzowe.

– Wkrótce może zacząć padać.

*Kafila-baszi* przyjrzał się chmurom, a potem pokręcił głową.

– Tam wprawdzie pada, ale nie sądzę, żeby nam się poszczęściło. Choć, być może, Bóg w swej łaskawości udowodni, że się mylę. – Uniósł rękę na pożegnanie i odjechał do innych podróżnych.

Ross rozumiał troskę Abdula Wahaba, ponieważ najważniejszym obowiązkiem przewodnika karawany jest zadbanie o to, żeby nikomu nie zabrakło wody. Jednakże nie uważał, że należy się już martwić; zapasy wody może i są małe, ale niedobory nie stanowiły zagrożenia w czasie umiarkowanych wiosennych temperatur. Co innego, gdyby mieli środek lata. Nawet jeśli by nie dotarli dzisiaj do studni, wytrzymają.

Gdzieś na północy rozległy się grzmoty, ale tak jak przewidział *kafila-baszi*, burza nie zbliżała się do nich. Ponieważ mieli jechać jeszcze kilka godzin, Ross wyciągnął z torby garść suszonych daktyli i dał po kilka swoim towarzyszom. Kiedy odsunął się na bezpieczną odległość od Juliet, zauwa-

żył, iż żona o wiele lepiej radzi sobie z jedzeniem pomimo tagelmoustu na twarzy. Obecnie nawet autentyczny Tuareg nie domyśliłby się, że ma do czynienia z kimś, kto tylko udaje jego pobratymca.

Przedzierali się teraz przez obszar niskich piaskowych wzgórz, będących domem tylko dla jaszczurek i rzadkich kępek traw. Wzgórza z czasem stawały się wyższe, co zmusiło podróżnych do zbicia się w bardziej zwartą grupę. Szlak prowadził teraz wąwozem, który w pewnej chwili przecięło suche koryto rzeki, nazywane wadi. Ross zobaczył, że Abdul Wahab, dotarłszy na drugi brzeg koryta, zatrzymał się i ze zmarszczonym czołem spoglądał najpierw na burzowe chmury widoczne w oddali, a potem w miejsce, gdzie, kilkaset jardów dalej, rzeka zakręcała i ginęła z widoku. Odwróciwszy się do karawany, przewodnik głośno nawoływał do pośpiechu.

Ross wiedział, czym może się martwić *kafila-baszi*; choć na karawanę nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu, istniała możliwość, że wadi nagle wypełni się wodą, jeśli w dalszym odcinku rzeki zebrało się jej odpowiednio dużo. To typowe na pustyni – podróżnym raz zagraża brak wody, a za chwilę jej nadmiar.

Mimo że burza toczyła się daleko i Ross nie zakładał, by doszło do zalania wadi, to jednak pociągnął silniej za uzdę Julietty, zmuszając ją do zwiększenia tempa. Wielbłądzica, obrzucając go urażonym spojrzeniem, przyspieszyła, a wielbłądy bagażowe ruszyły za nią. Poganie karawany opłacało się; przejście wadi i wspięcie się na stromy przeciwległy brzeg zajęło im tylko kilka minut.

Kiedy strumień ludzi i zwierząt przelewał się przez piaskowy kanał, Ross przeczesywał tłum wzrokiem, chcąc odnaleźć swoich towarzyszy. Wielbłąd wiozący Murada i Saleha wspinał się właśnie po spadzistym zboczcu. Jednakże Juliet nadal znajdowała się w samym środku wadi, ponieważ wielbłąd bagażowy stawiał opór.

Gdy Juliet walczyła z wielbłądem, zza zakrętu wylała się niska fala zamulonej, brązowej wody.

– Szybciej! Szybciej! Woda ciągle napływa! – krzyczał *kafila-baszi*, który siedział na koniu.

Krew w żyłach Rossa ścięła się lodem, kiedy zobaczył, że wielbłądy Juliet spuściły głowy, żeby napić się wody. W każdej chwili mogły się w niej

położyć i tarzać. Często tak robią, kiedy mają dostęp do zbiornika wodnego.

Już chciał się rzucić żonie na pomoc, ale Juliet, okładając je bezlitośnie batem po bokach, zmusiła w końcu zwierzęta do ruszenia z miejsca. Nawet pomimo odgłosu rwącej wody i okrzyków innych podróżnych, Ross słyszał, jak rzuca przekleństwa w różnych językach.

Wielbłądy, porykując gniewnie, poddały się i wspięły na brzeg. Kiedy opuszczały wadi, poziom szybko się podnosił. Jakiś mężczyzna na osle cudem uniknął katastrofy, bo choć napływająca fala uderzyła w niego całą siłą, nurt nie porwał go ze sobą tylko dzięki temu, że jego niski wierzchołek oparł się o cielsko przechodzącego obok wielbłąda i mógł utrzymać równowagę.

Jedno po drugim, ludzie i zwierzęta przedzierali się przez bulgoczącą wodę. Na brzeg wyciągali ich inni podróżni. Wkrótce w wadi pozostał tylko starszy Uzbek, handlarz herbata. Ross miał przyjemność poznać Muhammada Kasema, który sprawił na nim wrażenie człowieka spokojnego, pełnego godności i niezwykle pogodnego.

Widząc, że starszy mężczyzna zbliżył się do brzegu na wyciągnięcie ręki, Ross odetchnął z ulgą. Wtedy, zanim jeszcze Kasem zdążył pochwycić się czyjejś pomocnej dłoni, jego osiołek potknął się i upadł, zrzucając jeźdźca. W tym momencie do kanału wpłynęła następna fala z prędkością dorównującą prędkości biegnącego człowieka, a poziom wody znacznie się podniósł.

Piskliwe okrzyki handlarza zagłuszał ryk wody. Widok jego łysej czaszki połyskującej wśród ciemnych fal budził grozę. Kiedy mężczyzna zniknął pod powierzchnią, panika ogarnęła ludzi.

– Ojczy! – zawołał jakiś stojący na brzegu mężczyzna. Sądząc po jego desperacji, Ross się domyślił, że jak większość mieszkańców terenów pustynnych, człowiek ten nie umiał pływać. Pewnie i tak by skoczył do rzeki, gdyby nie powstrzymało go dwóch innych mężczyzn. Nikt inny nie próbował pomóc Muhammadowi Kasemowi, nikt nawet nie rzucił mu liny.

– Widocznie taka była wola Boża – rzekł ze smutkiem jakiś człowiek stojący obok Rossa.

– A na nią nic się nie da zaradzić – zgodził się inny. – Błogosławmy Panu.

Ross zdał sobie sprawę, że ma właśnie do czynienia z jedną z tych sytuacji, w której wschodni fatalizm zderza się z zachodnią skłonnością do walki ze złym losem. Myśl ta jeszcze w nim nie przebrzmiała, a on już biegł po zboczu, mijając stojących na nim ludzi, wiedział, że nie powinien zwracać na siebie nadmiernej uwagi, ale nie potrafił stać tak i patrzeć na tonącego człowieka, jeśli mógł mu jakoś pomóc.

Osiół jakoś się wygramolił na ląd, ale kupiec pozostał w wodzie, której nurt wyciągnął go na środek kanału. Ross przez chwilę się zastanawiał, czy jego turban jest na tyle długi, że po rozwinięciu mógłby posłużyć za linę ratowniczą. Jednak mężczyzna znajdował się zbyt daleko od brzegu.

Biegając co sił, zdołał prześcignąć nurt i wyprzedzić Muhammada Kasema. Potem zatrzymał się, wyjął nóż i zrzucił z siebie wierzchnie ubranie. Butów też się pozbył, nie chcąc, by cokolwiek go obciążało.

Skoczył do rzeki. Porwał go silny nurt i rzucił daleko w kanał. Woda była zdradziecko zimna, ale Ross we wczesnej młodości dużo pływał w Morzu Północnym, tak więc szybko się znalazł w miejscu, gdzie po raz ostatni widział łysą głowę handlarza.

Ponieważ staruszek znów znalazł się pod wodą, Ross musiał zanurkować. Szukał topielca po omacku, płynąc wraz z prądem. Wynurzał się dwukrotnie, by nabrać powietrza, potem nurkował, aż w końcu wyczuł w rękach rąbek ubrania. Chwytnąjąc za niego, szarpnął się w górę.

Przez chwilę po wypłynięciu na powierzchnię Muhammad Kasem unosił się na wodzie nieruchomy jak kłoda, twarz miał bladą. Potem otworzył oczy i zaczął kaszleć.

Ułga Rossa trwała krótko, bo handlarz, oprzytomniawszy, dostał ataku paniki. Od ciosu kolanem w brzuch, Rossowi zabrakło tchu. Nie zdążył ochłonąć, gdy starzec zacisnął mu ramiona na szyi, ciągnąc go za sobą pod wodę.

Ross miał wrażenie, że za chwilę pękną mu płuca, gdy walczył z duszącym uściskiem Kasema. W pewnej chwili zachłysnął się słoną wodą i pomyślał, że to koniec, że zginie w Azji Środkowej na oczach żony.

Nie chciał, by zapamiętała go tak, jak teraz wygląda. To dodało mu energii na tyle, że uwolnił się ze śmiertelnego uścisku handlarza. Ostatkiem sił zdołał się wynurzyć, okręcił staruszką, unieruchamiając go i podtrzymał

ramieniem przełożonym przez jego pierś.

Wydostanie się na powierzchnię i napełnienie płuc powietrzem było tak błogim doświadczeniem, że Ross nie umiałby porównać go z żadnym innym. Przez kilka chwil dryfował swobodnie na wodzie, delektując się możliwością swobodnego oddychania, dopóki Muhammad Kasem nie zaczął się rzucać i walić na oślep rękami.

– Spokojnie, wuju, nie ruszaj się – mruknął Ross. – Nic ci już nie grozi.

Choć przerażony, staruszek posłuchał, a Ross, ciągnąc go za sobą, płynął w stronę brzegu. Źle widział, bo muł dostał się do oczu, ale zdołał dostrzec rząd mężczyzn, którzy dopingowali go okrzykami.

Płynął wolno, używał tylko jednego ramienia, a woda była tak bystra jak w górskim strumieniu. Uderzały w niego kamienie, szczątki przedmiotów, jakieś odpady, a poskręcany pień drzewa wepchnął obu mężczyzn ponownie pod wodę. Ross z trudem wyplątał się z gałęzi.

Kiedy znalazł się blisko brzegu, ktoś ześliznął się ze stromego zbocza, pochwycił go za ramię, wyciągając jego i topielca na twardy grunt. Nawet gdyby nie usłyszał przekleństw wypowiedzianych po angielsku, i tak domyśliłby się, kim jest pomocnik.

– Ty skończony idioto. Mogłeś się utopić – warknęła Juliet. Podniosła Muhammada Kasema i przeniosła na szczyt, gdzie zajęli się nim inni podróżni.

– Ale tak się nie stało – wysapał Ross, zbyt zmęczony, by zdobyć się na wymyślniejszą odpowiedź.

– Przekłety bohater – odburknęła. Ponieważ nie mógł się ruszyć, objęła go ramieniem w pasie i podciągnęła w górę.

Przyklęknął i zaczął zwracać połkniętą słoną wodę. Juliet cały czas była przy nim, przytrzymując go ramionami; jej dotyk był o wiele czulszy niż słowa. Przystawiła mu bukłak do ust, żeby mógł wypłukać słony smak.

Ross przy pomocy żony zdołał podźwignąć się na nogi. Drżał z zimna. Lodowata bryza przedzierała się przez nasączone wodą ubranie przyklejone do ciała. Juliet, która przyglądała się mężowi z rozdrażnieniem, też była mokra, ale na szczęście jej luźna szata nie uwydatniała kobiecych kształtów.

Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że ludzie z karawany zebrali się wokół, a większość wgapia się w niego. Woda przyciemniła mu włosy, niewystarcza-

jąco; ich barwa nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że jest obcokrajowcem. W tłumie rozległy się pomruki, składające się na słowo *ferengi*.

Juliet była spięta. Zdjęła rękę z ramienia męża i położyła na trzonku noża. Nic nie powiedziała, ale kiedy przesuwiała wzrokiem po obserwatorach, w szparze tagelmoustu dało się zauważyć lodowaty błysk szarych oczu. Przypominała w tej chwili Rossowi rozwścieczoną kotkę broniącą swoich kociąt; nazwała go wprawdzie skończonym idiotą, ale była gotowa stanąć do walki z każdym, kto spróbowałby mu zagrozić.

Na szczęście jej gotowość nie okazała się potrzebna, bo tłum zdawał się bardziej zdumiony i zaciekawiony niż nastawiony wrogo. Groźną minę miał jedynie opryskliwy uzbecki poganiacz wielbłądów o imieniu Habib, który często czepiał się innych służących, w tym także Jalala. Juliet zawsze ignorowała jego docinki, ale mężczyzna był wicherzycielem, może nawet takim, który mógłby wpaść na pomysł, żeby poszczuć tłum na obcokrajowca.

To, że Ross okazał się Europejczykiem, nie oznaczało automatycznie problemów; on i Alexander Burnes, podróżując po Turkiestanie, nie mieli z tego powodu kłopotów. Jednak od tamtego czasu minęło wiele lat. Wtedy Azja Środkowa była miejscem spokojniejszym i mniej niebezpiecznym. Teraz do rozpętania awantury wystarczył jeden człowiek nienawidzący *ferengi*.

Habib splunął na ziemię.

– Nie tylko *ferengi*, ale też innowierca i szpieg.

Zdezorientowani ludzie zaczęli szemrać, potem rozległy się okrzyki, przerwane nagłym pojawieniem się Abdula Wahaba, który przedarł się przez tłum.

– Wiatr jest zimny – powiedział, podając Rossowi kawałek szorstkiego materiału. – Wytrzymaj się, zanim się przeziębisz. – Potem odwrócił się i zawołał: – Ponieważ jest woda, rozbijemy się tu na noc.

Przychyłość *kafila-baszi* wobec Rossa uspokoiła tłum, a polecenie rozbicia obozu przypomniało wielu ludziom, że trzeba się rozejrzeć za odpowiednim miejscem na rozpalenie ogniska i na przywiązanie zwierząt.

Ross akurat wycierał głowę, kiedy pojawił się Murad, który wcześniej zebrał porozrzucane ubrania swojego pana. Ross włożył na mokrą tunikę ciepły płaszcz. Naciągał właśnie buty, gdy podszedł do nich Muhammad Kasem, wspierający się na ramieniu syna.

– Jestem starym człowiekiem i moje życie nie jest wiele warte, ale i tak jestem ci wdzięczny za uratowanie mnie. – Handlarz nadal był jeszcze osłabiony, ale w jego głosie pobrzmiwały wesołe nutki. – Wykazałeś się odwagą i siłą lwa. A ja w zamian niemal cię utopiłem.

– Zaiste, Kilburn – dodał syn Kasema, poważny mężczyzna około trzydziestki. – To łaska boża, że tu byłeś. – Ukłonił się nisko. – Za uratowanie życia mojemu ojcu ja, Hussajn, a także inni moi bliscy, mamy u ciebie dozgonny dług.

– Nie ma mowy o żadnym długu, bo zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy, gdyby mógł. – Ross wsunął nóż za szarfę. – Dzięki łasce boskiej wychowałem się nad morzem i już w dzieciństwie nauczyłem się pływać. Posiadając tę umiejętność, popełniłbym grzech, nie wykorzystując jej do uratowania pańskiego ojca.

– Twoja skromność jest godna podziwu, Kilburn – odpowiedział Hussajn. – Mimo wszystko jednak ryzykowałeś życiem i ja o tym nie zapomnę. – Potem odwrócił się i odszedł wraz ze starcem, podtrzymując go ramieniem.

Ross spojrzał na Abdula Wahaba.

– Przykro mi. Nie chciałem ściągać na siebie uwagi, ale uznałem, że nie mam wyboru. Spodziewasz się jakichś kłopotów?

*Kafila-baszi* pokręcił głową.

– Nie, ponieważ narażałeś życie, żeby uratować jednego z wiernych. Rozpowiem o sprawie, z powodu której udajesz się do Buchar, co przysporzy ci jeszcze więcej szacunku. – Popatrzył z zastanowieniem za oddalającym się handlarzem. – Zyskałeś dziś także wpływowego przyjaciela. Choć w podróży ubierają się skromnie, Kasemowie należą do jednej z najbogatszych rodzin w Bucharze. Być może ich wpływy przydadzą ci się w twojej misji. – Abdul Wahab skinął głową, wracając do swoich obowiązków.

W tym momencie do reszty kompanów dołączył Saleh, prowadząc ze sobą wszystkie pięć wielbłądów, które przywiązał jeden za drugim. Cztery z nich wyrywały się do wody, ale Julietta, prowadząca grupę, zainteresowana była tylko swoim panem. Na widok Rossa przyspieszyła kroku. Kiedy do niego dotarła, pochyliła łeb i uderzyła nim w jego pierś, bardziej jak koń niż wielbłąd.

Gest był tak czuły, że Ross prawie stracił równowagę.

– No już, spokój – rzucił ze śmiechem. Wielbłądzica zaczęła szarpać zębami za jego wilgotną tunikę, więc klepiąc ją po nosie, dodał: – Rozumiem, podoba ci się to, że jestem mokry.

– Głupie kobiety zawsze tracą głowę na widok bohaterów – usłyszał ciche słowa.

Ross uśmiechnął się kwaśno. Kiedy jeszcze ze sobą żyli, Juliet wytykała mu, że jest nadopiekuńczy, ale tak naprawdę nie on był marudny, ona więcej zrzędziła. Wyglądało na to, że wzajemna troska stanowiła następną nić ich małżeństwa, której nie dawało się łatwo przerwać.

– Kilburn – odezwał się Saleh. – Ty i Jalal jesteście mokrzy i potrzebujecie coś zjeść i się rozgrzać. Jeśli zajmiecie się napojeniem wielbłądów i napełnieniem bukłaków, ja i Murad zbierzemy chrust i rozpalimy ognisko.

Godząc się na propozycję, Ross i Juliet poprowadzili wielbłądy wzdłuż brzegu wadi, aż znaleźli płytką odnogę, gdzie zwierzęta mogły bezpiecznie się napić, bez ryzyka, że padną ofiarą niebezpiecznego nurtu. Na szczęście wielbłądy nie były spragnione, inaczej trudno byłoby je utrzymać.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać rozmowę, więc Juliet nie omieszkała tego wykorzystać.

– Bardzo ryzykowałeś, Ross. Ja także dobrze pływam, ale nie odważyłabym się tam wskoczyć.

– To jeden z tych przypadków, kiedy liczą się gabaryty i siła. Nie skoczyłbym, gdybym wiedział, że sobie nie poradzę.

– Może masz rację, ale wydaje mi się, iż źle oceniłeś ryzyko. Niewiele brakowało, żebyś stracił życie. – Uświadomiwszy sobie, że zrzędzi niczym stara baba, Juliet umilkła. Ciągle jeszcze nie mogła dojść do siebie. Ogarnęło ją przerażenie, kiedy Ross na długo zniknął pod wodą. Chciała krzyczeć w niebo, że nie wolno mu umrzeć, że nadal między nimi są sprawy, które muszą być wyjaśnione. Tragizm sytuacji podkreślała świadomość, iż niezakończone sprawy nie mają żadnego wpływu na to, czy mąż przeżyje, czy umrze.

Ross pociągnął mocno wielbłąda, który zaszarżował na swego towarzysza.

– Wolalabyś, żebyśmy pozwolił Muhammadowi Kasemowi umrzeć?

– Nie – odparła po chwili wahania. – Zwłaszcza że twoja akcja ratunko-



wa zakończyła się sukcesem. Ale to nie znaczy, iż podoba mi się, że się narażasz. Tym bardziej, że chodziło o obcego.

Ross uniósł brwi.

– Zabawne, doprawdy, bałaś się, że zginę w rwącej rzece, a przecież grozi mi o wiele gorsza śmierć w Bucharze.

– Wolalabym, żebyś w ogóle nie umierał.

– Zauważ dobre strony. Jeśli tak się stanie, przynajmniej znowu będziesz wolna.

– Ja jestem wolna – odparła twardo. – Niepotrzebna mi do tego twoja śmierć. Kiedy zobaczyłam, jak Kasem wciąga cię pod wodę... – Zagryzła usta, wdzięczna, że tagelmoust zakrywa jej twarz.

– Przykro mi. Przypuszczam, że trudniej było się temu przyglądać niż ratować topielca. A przecież mogą nas spotkać jeszcze gorsze rzeczy. Bardzo żałuję, że nie zostałeś w Serevanie – dodał poważnie.

Miał rację. W Bucharze mogą ich spotkać jeszcze gorsze rzeczy. Juliet postanowiła, że będzie bardziej opanowana. Dziwne. Nieraz w życiu była w opałach i zawsze reagowała z wielkim spokojem, który wzbudzał szacunek u jej poddanych. Zanim się odezwała, wzięła głęboki oddech.

– Nie mogłeś mnie powstrzymać.

– Wiem. Tylko dlatego tu jesteś. – Podniósł jeden z napełnionych bukłaków i zarzucił go na jucznego wielbłąda. – Chcę, żebyś mi coś przyrzekała, Juliet.

Właśnie miała przywiązać bukłaki, ale zatrzymała się i popatrzyła na męża niepewnie. Stał od niej o krok, a jego bliskość była impulsem, by pamięć odtworzyła obraz, gdy wyłonił się z rzeki, w mokrej tunice i spodniach opinających umięśnione nogi. Z trudem przełknęła ślinę, próbując pozbyć się rozprasających wizji.

– Co mam ci przyrzec?

Ładując następny bukłak, powiedział:

– Domyślałem się, że na nic się nie zgodzisz, zanim się nie dowiesz, o co chodzi.

– To chyba oczywiste. Należy wiedzieć, pod czym składa się podpis. Pierwsza zasada obowiązująca przy zawieraniu umów. – Zabrała się do zabezpieczania bukłaków.

– Nie mówię o umowach. – Wyciągnął rękę i przykrył dłoń żony swoją, unieruchamiając jej palce zaciśnięte na linie. – Juliet, spójrz na mnie.

Uczyniła, jak prosił, choć niechętnie. Wprawdzie twarz miała zasłoniętą, ale widać było jej oczy i obawiała się, że mąż zbyt wiele z nich wyczyta.

– Jeśli nam się nie powiedzie – zaczął ze śmiertelną powagą – prawdopodobnie nie opuszczę Buchar żywy, ale ty, jako muzułmański służący, możesz uniknąć mojego losu. Przyrzeknij mi, że zrobisz wszystko, co trzeba, żeby się ratować. Masz mnie porzucić, a nawet zadenuncjować ludziom emira, jeśli okaże się to konieczne. I, na Boga, nie próbuj żadnych sprytnych sztuczek, żeby przyjść mi z pomocą. Nie chcę, żebyś zginęła z powodu uporu, brawury czy poczucia winy.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzmocnił uścisk na dłoni żony.

– Przyrzeknij mi to, Juliet. Proszę.

– Czy nie mam prawa sama zdecydować, jak zakończę życie? – Spojrzała na niego hardo.

– Może i tak, ale nie w tym rzecz. – Ross westchnął i puścił jej rękę. – Czy coś to zmieni, jeśli powiem, że będę umierać trochę szczęśliwszy, wiedząc, że jesteś bezpieczna?

– Zmieni – rzuciła szorstko. – Dobrze. Przyrzekam, że jeśli zostaniesz pojmany, a ja nie, pogodzę się z sytuacją i nie zrobię nic głupiego.

Długie opalone palce Rossa znów lekko dotknęły jej dłoni.

– Dziękuję.

Odwróciła się, powracając do przywiązywania bukłaków. Złożyła obietnicę – ale nie była pewna, czy zdoła jej dotrzymać, tak jak Ross nie potrafił się powstrzymać przed rzuceniem się do niebezpiecznej rzeki. Łatwiej jest udzielać pomocy, nawet z narażeniem życia, niż stać z boku i nic nie robić, patrząc, jak ktoś, na kim nam zależy, znajduje się w niebezpieczeństwie.

Powiedz to, Juliet, przyznaj się, choćby sama przed sobą. Nie będziesz umiała stać z boku. Będziesz musiała ratować mężczyznę, którego kochasz.

**P**odczas powodzi Juliet musiała patrzeć, jak jej mąż naraża życie. Nie minęło jednak wiele czasu, bo tylko tydzień, a teraz Ross został postawiony w bardzo podobnej sytuacji – tym razem żona znalazła się w niebezpieczeństwie.

Karawana zatrzymała się na nocny postój przy niewielkiej, prawie wyschniętej studni z gorzką wodą, a podróżnicy rozkładali właśnie namioty i rozpalali ogniska, gdy przygalopowała banda Turkmenów.

Wszyscy porzucili swoje zajęcia i wpatrywali się w przejeżdżających koczowników. W porównaniu z handlarzami Turkmeni sprawiali wrażenie dzikich i niebezpiecznych.

Murad przygotowywał akurat pustynny chleb, to znaczy mąkę zmieszaną z wodą umieścił w dołku wykopanym w piasku i wszystko przykrył następną warstwą piasku z gorącymi węglami.

– To chyba nie bandyci, bo nie wjechałoby tak śmiało do obozowiska – powiedział z lekkim niepokojem.

– Chyba nie – zgodził się Saleh. – Może to urzędnicy z Chiwy albo Buchar. Przybyli zebrać podatek od karawan. To też grabież, ale w łagodniejszej formie.

Ponieważ najbardziej z całej grupy mógł budzić zaufanie, Saleh poszedł sprawdzić, co się dzieje. Wrócił mniej więcej po półgodzinie i zdał raport.

– Przywódca nazywa się Khosrow Khan i jest *yuz-bashi*, „dowódcą setki”. To oficer emira Chiwy i przybył ściągnąć podatek, jedną czterdziestą część dobytku. – Przykucając, Saleh przyjął od Murada filiżankę herbaty. – Każda grupa ma zrobić spis dóbr. Potem *yuz-bashi* objedzie wszystkie ogniska i sprawdzi spisy, a następnie ściągnie podatek.

Ross skinął głową.

– Domyślam się, że niektórzy handlarze są zawiedzeni. Między chanatami toczy się wojna, więc pewnie liczyli na to, że unikną płacenia podatku.

Saleh się uśmiechnął.

– Tak, niektórzy rzeczywiście są zawiedzeni. W Charjui, kiedy wjedzie-

my do królestwa Buchary, czeka nas następna opłata, a potem jeszcze jedna w urzędzie podatkowym w samym mieście. Trzeba jednak przyznać, że te podatki chronią karawany przed grabieżami. – Upił herbaty, a na jego twarzy pojawił się smutek. – Abdul Wahab powiedział mi, że ten Khosrow Khan znany jest z tego, że nienawidzi *ferengi*. Najlepiej, Kilburn, jeżeli nie będziesz zwracać na siebie uwagi.

– Będę trzymać się z boku – przyrzekł Ross.

Przez następną godzinę Abdul Wahab oprowadzał *yuz-bashi* i jego ludzi po obozowisku. Podróżnicy nie przerywali swoich rutynowych zajęć, choć wszyscy byli świadomi obecności chiwańczyków. Juliet i Ross doglądali wielbłądów, a Murad przyrządzał sos cebulowy do chleba. Saleh sporządzał inwentarz dóbr.

Chociaż Turkmeni nie otwierali bagaży, ich przerażający wygląd zmuszał do rygorystycznej uczciwości. W obozie wyczuwało się napięcie. Nikt nie chciał rozzłościć *yuz-bashi*; ludzie się bali, że zapomni, iż jest urzędnikiem z Chiwy i powróci do zachowań swoich dzikich turkmeńskich kuzynów, którzy zabraliby niejedną czterdziestą dóbr, a wszystko.

Juliet z uwagą obserwowała swojego męża. Wcale się nie przejmował obecnością Turkmenów. Jeśli jest książka, która uczy, jak osiągnąć legendarny brytyjski spokój, autorem takiego poradnika musiał być Ross, myślała. Nie, nie brytyjski – angielski. Jako Szkotka także była Brytyjką, a jednak nie miała tak rozwiniętej umiejętności panowania nad sobą, jak Ross.

Kiedy chleb był gotowy, Murad wyciągnął go z dołka. Otrzeptał z piasku i przywołał resztę grupy na posiłek. Gorący, z dodatkiem sosu cebulowego, smakował wyśmienicie, choć niełatwo się go jadło z zasłoniętą twarzą.

Kończyli właśnie posiłek, kiedy Juliet podniosła wzrok i zobaczyła, że Habib, wrogo nastawiony poganiacz wielbłądów, i jeden z żołnierzy odchodzą na bok. Turkmen, wyraźnie zdziwiony, spojrzał w stronę ogniska grupy Rossa, po czym podbiegł do swojego przełożonego. Juliet zmarszczyła czoło, ale zanim zdążyła powiadomić towarzyszy o tym, co zobaczyła, *yuz-bashi* i jego kompanii podążali już w ich kierunku.

*Yuz-bashi* był przysadzistym, silnie zbudowanym mężczyzną z oczami jak szparki, co jest częste u Turkmenów.

–Dajcie mi listę waszych towarów – rozkazał gniewnie, patrząc złowro-

go na siedzące przy ognisku osoby.

Saleh milcząco wykonał polecenie. Podczas gdy *yuz-bashi* odczytywał spis, Juliet, rozejrzawszy się, spostrzegła, że nieopodal stoi Habib i minę ma triumfującą. Wokół ogniska zaczęli się też zbierać inni podróżni, jakby przeczuwali, że dojdzie do jakiegoś dramatycznego zajścia, ale bardziej byli przejęci niż zaciekawieni.

*Yuz-bashi* spojrział na Juliet i poza lekkim zainteresowaniem jej tagelmo-ustem, nie poświęcił jej większej uwagi, uznawszy zapewne, że jest tylko zwykłym służącym. Juliet doszła do wniosku, że może się już oddalić, wstała więc i mieszając się z tłumem, wyszukała w nim Hussajna, syna Muhammada Kasema.

Zwięźle, mocno zaakcentowanym perskim wyjaśniła, że wszystko wskazuje na to, iż Habib próbuje sprowadzić na Kilburna kłopoty i może Jalal i Hussajn powinni wspólnie przypilnować, żeby do nich nie doszło. Hussajn, przejęty, podążył za nią i stanęli razem za plecami Habiba.

W tym czasie *yuz-bashi* zdążył już pobrać od Saleha podatek. Ross nadal siedział przy ognisku i całkiem spokojnie, jakby nic ważnego się nie działo, popijał herbatę.

*Yuz-bashi* zamiast przejść do następnego ogniska, podszedł do niego i popatrzył z góry podejrzliwie.

–Mówią, że jesteś Europejczykiem. Czy to prawda?

Ross bez pośpiechu podniósł wzrok na urzędnika z Chiwy. Tylko ktoś, kto znał go tak dobrze jak Juliet, dostrzegłby za tym spokojem napięcie.

Otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale nim zdążył to uczynić, odezwał się Abdul Wahab.

–Kilburn jest Armeńczykiem i mirzą, skrybą.

Zawtórował mu Muhammad Kasem stojący w tłumie.

–Tak, tak, Kilburn jest Armeńczykiem. Wprawdzie chrześcijaninem, ale to człowiek bogobojny. Każdy, kto mówi inaczej, jest kłamcą.

*Yuz-bashi* zmierzył Rossa groźnym spojrzeniem.

–To prawda, że jesteś Armeńczykiem?

– Tak – odparł Ross spokojnym, pewnym tonem.

– Czy czcisz jednego Boga?

– Tak, zgodnie ze zwyczajem mojego ludu.

– Co twój lud mówi o Proroku i jego naukach?

– Szanujemy Proroka, niech będzie błogosławiony, bo prawo, które dał wiernym, jest takie samo jak prawa naszego proroka, Jezusa – tłumaczył Ross z powagą. – I nie mogłoby być inaczej, bo prawo boskie jest wieczne i uniwersalne.

Wyraźnie usatysfakcjonowany *yuz-bashi* skinął głową.

– Podatek dla chrześcijan wynosi jedną dwudziestą, a nie jedną czterdziestą, więc musisz podwoić zapłatę. Ile złota wiesz ze sobą?

– Mam dwadzieścia złotych rillah. Już ci damę moją część. – Ross wyciągnął zza pazuchy małą sakiewkę i podał urzędnikowi monetę. Juliet wiedziała, że mąż ma więcej pieniędzy, które były ukryte w bagażach, ale *yuz-bashi* przyjął opłatę bez dalszych pytań, być może z powodu skromnego odzienia Rossa.

– Kto mówił, że ten mężczyzna jest *ferengi*? – zapytał *yuz-bashi*, rozglądając się po tłumie gapiów. – Niech teraz tu wystąpi i powie to na głos.

Juliet, wstrzymując oddech, popatrzyła po twarzach ludzi z karawany. Młodzi i starzy, Uzbeki i Kurdowie, Persowie i Afgańczycy – wszyscy patrzyli na *yuz-bashi* w milczeniu, choć przecież doskonale wiedzieli, że Ross jest Europejczykiem. Kiedy już jego pochodzenie przestało być tajemnicą, Ross w czasie ostatniego tygodnia pozwolił sobie na większą swobodę i zaprzyjaźnił się z wieloma osobami z karawany. Nikt nie chciał go zdradzić – poza Habibem, który uśmiechając się ze złośliwą satysfakcją, otworzył usta, żeby się odezwać.

Juliet rzuciła się w jego stronę, żeby go powstrzymać, ale Hussajn stał bliżej i dopadł go pierwszy. Na sekundę zalśniło ostrze noża, potem uzbecki handlarz wbił jego czubek w plecy poganiacza wielbłądów.

– Szacowny Kilburn jest Armeńczykiem – wycedził Hussajn. – Nie pamiętasz, psi pomiole?

Habib zamarł, a na twarzy pojawiły mu się kropelki potu.

– Dlaczego ochraniaasz innowiercę?

– Dlaczego prześladujesz człowieka, który nie zrobił ci nic złego? – odparował Hussajn. – Czyż Prorok nie nakazuje tolerancji, zwłaszcza dla wyznawców Pisma?

Habib splunął na ziemię, ale bał się odezwać.

*Yuz-bashi* uznawszy, iż plotka, że Kilburn jest *ferengi*, musiała być zwykłą złośliwością, przeszedł do następnego ogniska. Kiedy Turkmeni znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Hussajn schował nóż do pochwy.

– Chodź, Habib, przyłącz się do naszego ogniska. Nie będę się dzielić chlebem i solą z kimś takim jak ty, ale do odjazdu chiwańczyków chcę cię mieć na oku.

Poganiacz wielbłądów był wściekły, ale wykonał polecenie. Przed odejściem posłał Juliet złowieszcze spojrzenie, słusznie obwiniając ją o to, że przyczyniła się do interwencji Hussajna. Juliet domyślała się, że Habib nie odważy się mścić na Hussajnie, bogatym i wpływowym, za to później może wyładować gniew na niej.

Wzruszywszy ramionami, wróciła do ogniska. Cóż, jeśli do tego dojdzie, trudno.

Czas zemsty przypadł na późny wieczór, kiedy połowa karawany już ułożyła się do snu. Studnia, wokół której rozbito obozowisko, była słabo nawodniona i bardzo szybko źródło się wyczerpało. Ponieważ przez kilka ostatnich godzin studnia zdążyła już nabrać wody, Juliet poszła tam, by uzupełnić zapasy na następny dzień.

Właśnie kończyła napełniać bukłaki, kiedy za plecami usłyszała kroki. Przygotowana na kłopoty, odwróciła się i zobaczyła Habiba.

W ciemności nie widziała jego twarzy, ale w głosie słychać było wściekłość.

– Nabrałeś więcej wody, niż przysługuje na twoją część, Jalal. To dlatego, że Tuaregowie są złodziejami. A może nauczyłeś się ograbiać wiernych od swojego pana *ferengi*?

– Mielesz ozorem jak wściekły pies ogonem. – Juliet mówiła chrapliwym głosem po persku.

– Przynajmniej nie hańbię się, służąc tej białej świni – szydził Habib, podchodząc bliżej.

– Mój pan może i jest innowiercą – powiedziała z pogardą – ale w przeciwieństwie do ciebie ma honor. – Podniósłszy bukłaki, chciała obejść poganiacza.

Habib zastąpił jej drogę.

– Kilburn to biała świnia, a ty, służąc mu, jesteś pchłą na świńskim tyłku.

Juliet przystanęła i przyglądając się uważnie przeciwnikowi, oceniała sytuację. Nie czuła się ani bezradna, ani przerażona, ale i tak wolała uniknąć walki z tym prostakiem, który wyraźnie uwielbiał burdy i nienawidził każdego, kto się od niego czymś różnił. Niestety wyglądało na to, że dojdzie do starcia.

– Co się stało, chłopcze – drwił poganiacz, sprowokowany jej milczeniem. – Przestraszyłeś się mnie? Może powinieneś zawołać swojego *ferengi*, żeby cię obronił. – Splunął na ziemię. – Jesteś tchórzliwym psem. I twój pan też.

Westchnąwszy, Juliet pogodziła się w duchu z nieuniknionym, dochodząc do wniosku, że jeśli nie zmierzy się z Habibem teraz, bez wątplenia będzie ją to czekało później. A choć poganiacz przewyższał ją wagą, nie martwiła się, wiedziała, że jest głupi i zwycięży go sprytem.

– Tuaregowie są wojownikami – oświadczyła z kamiennym spokojem. – Ale nie brudzą sobie rąk walką ze śmierdzącymi gnojem poganiaczami wielbłądów.

Habib tylko czekał na takie słowa. Z rykiem rzucił się na Juliet. A kiedy jego dłoń przecinała ciemność, promień księżyca odbił się od ostrza opadającego noża.

Ross wprawdzie przymierzał się już do snu, ale też wciąż czekał na powrót Juliet. Starał się przez cały czas mieć żonę na oku, choć robił to bardzo dyskretnie. Domyślał się, że ona także go obserwuje. Zabawne.

Już miał ściągać bury, kiedy usłyszał krzyk dobiegający od studni.

– Kilburn, chodź szybko!

Zamarł. Czy to głos Juliet? Nie, raczej Murada. A jednak, mimo że nie miał racjonalnych powodów, by tak myśleć, był przekonany, iż żonie zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Zerwał się i pochwycił z ogniska palące się polano, które miało służyć za latarnię.

Saleh drzemał już na swoim posłaniu, ale obudziły go coraz głośniejsze okrzyki.

– Jakieś kłopoty, Kilburn?



– Być może. Pójdę sprawdzić.

Poruszając się tak szybko, jak tylko mógł po zoranej ziemi, dobiegł do studni, wokół której zbierało się coraz więcej ludzi. Nie mógł dostrzec, czemu się tak przyglądają, ale z łatwością rozpoznał zgrzytliwy odgłos metalu ocierającego się o metal. Noże.

Zdjęty przerażeniem Ross przepchnął się przez tłum i ujrzał pole walki oświetlone jarzącymi się polanami. Na placu zobaczył dwie pochylone postaci z nożami w dłoniach. W powietrzu czuło się napięcie podobne do tego, które towarzyszyło zajściu z urzędnikami z Chiwy.

Była to też chwila, w której sprawdziły się obawy Rossa. Ale, na szczęście, żona nie wyglądała na ranną. Jednak właśnie w tym momencie Habib pchnął nożem, celując prosto w serce Juliet. Ta błyskawicznie zablokowała atak własnym sztyletem, potem go cofnęła i przy okazji zacięła poganiacza w nadgarstek.

Rossowi pociemniało w oczach. Widział tylko Juliet i grożące jej niebezpieczeństwo. Ruszył przed siebie, chcąc się rzucić między walczących. Wtedy czyjaś ręka pochwyciła go za ramię, tak mocno, że stanął w miejscu.

– Nie, Kilburn – powiedział cicho Saleh. – Twoja pomoc tylko bardziej jej zagrozi.

Ross chciał się wyrwać, ale po sekundzie zdał sobie sprawę, iż Saleh ma rację: gdyby teraz zdekoncentrował Juliet, mogłoby to oznaczać podpisanie na nią wyroku śmierci. Jednak stanie i przyglądanie się walce, bez możliwości zadziałania, było najstraszliwszym doświadczeniem w jego życiu.

Juliet była o wiele szybsza od poganiacza i zręcznie odpierała ataki, czujnie wypatrując chwili, w której będzie mogła zadać decydujący cios. Zrzuciła oponczę i tylko w ciemnej szacie i zasłonie na twarzy wyglądała jak duch wojownika, obdarzony nadprzyrodzoną mocą. W przeciwieństwie do niej Habib nie szczędził przeciwnikowi obelg i wulgarnych przekleństw, a w jego oczach płonęła żądza krwi.

Juliet miała już okazję pozbawić Habiba życia, bo ten, rzucając się jak w ukropie, odsłaniał nieostrożnie pierś, ale czekała na moment, w którym będzie mogła go tylko poważnie zranić, a nie zabić. W Rossie narastał niepokój. To nie była zabawa; podczas starcia z zabójcą każdy błąd może się okazać śmiertelny.

Rozejrzał się po rosnącym tłumie widzów z nadzieją, że dostrzeże w nim Abdula Wahaba, jedyne go człowieka, który mógłby przerwać walkę. Ale *kafila-baszi* jeszcze się nie pojawił. Ross wpatrywał się w walczących. Długie ostrza noży zwały się ze sobą, rękojeść przy rękojeści, w pozycji, w której Habib, jako silniejszy, miał przewagę.

Juliet coraz bardziej opadała z sił, aż w końcu poganiacz wielbłądów z taką mocą przygiął jej nóż, że musiała wypuścić go z dłoni, inaczej Habib złamałby jej nadgarstek. Poganiacz zakrzyknął triumfalnie i rzucił się przed siebie, żeby zadać ostateczny cios.

Na wytrącenie broni Juliet zareagowała z kocią zwinnością i błyskawicznie uchyliła się przed atakiem. Ponieważ nie mogła odzyskać noża, bo poganiacz na nim stał, pochyliła się i złapała leżący za nią bukłak. Jednym zręcznym ruchem otworzyła go i chlusnęła wodą na przeciwnika, krzycząc: „Wymyj się, ty świnió!”

Widzowie wybuchnęli szyderczym śmiechem, bo Habib upadł na wznak, trąc oczy rękawem. W tym czasie Juliet zdążyła odzyskać nóż.

Jeszcze bardziej wściekły, że stał się obiektem kpin, poganiacz rzucił się na nią jak rozjuszony byk. Odparowała jego cios bez większego wysiłku, jednak tym razem przeciwnik przyjął inną strategię. Podciął Juliet nogi i przygniótł ją do ziemi.

Przez chwilę Juliet leżała nieruchomo, zamroczona po upadku. Szybko jednak podjęła walkę. Tarzali się po ziemi w chmurze kurzu. Habib cały czas próbował dosięgnąć Juliet nożem. Nie udało mu się zadać śmiertelnego ciosu, ale trafił ją w ramię. Słyszając krótki, zduszony okrzyk bólu, Ross zareagował tak, jakby sam został trafiony.

W tym momencie Habib popełnił błąd, choć zrozumieli. Uniósł się nieco nad przeciwnikiem, a następnie walnął go kolanem między nogi. Takie uderzenie sparaliżowałoby każdego mężczyznę.

Widzowie aż jęknęli ze współczucia, ale Juliet nie znieruchomiała. Korzystając z chwili nieuwagi poganiacza, zdołała zrzucić go z siebie, a on wyładował na plecach, dwa kroki od niej.

Dokonując czegoś, co tłum uznał za nadludzki wyczyn, Juliet podciągnęła się na nogi i kilkoma zręcznymi, precyzyjnymi ruchami zakończyła walkę. Najpierw kopnięciem wytrąciła Habibowi nóż z ręki, a potem zadała

mu stopą cios w to samo miejsce, w które wcześniej on ją uderzył. Poganiacz zawył i zwinął się wpół.

Zbolały, nie myślał już o obronie. Juliet pochyliła się nad nim i jednym bezlitosnym ruchem przecięła mu ścięgno u prawej nogi. Ciężko dysząc, nadal stała nad pokonanym przeciwnikiem z wyciągniętym nożem. Ross całym sobą czuł jej ostry oddech i radość ze zwycięstwa.

Wtedy pojawił się Abdul Wahab.

– Co się tu dzieje? – warknął. – Kto zaczął tę bójkę?

Ponieważ ani Juliet, ani Habib nie byli w stanie udzielać wyjaśnień, odezwał się Murad.

– Sir, wracałem właśnie z wizyty u przyjaciela przy innym ognisku i tak się złożyło, że byłem obok studni, kiedy walka się zaczynała. – Wykonał obraźliwy gest w stronę Habiba. – Ten pomiot skorpiona zaczepił Jalala. Jalal go zignorował, chcąc spokojnie wrócić do swojego ogniska, a wtedy Habib zaatakował go bez ostrzeżenia.

– Czy tak było, Jalal?

– Tak. – Zmęczenie sprawiło, że Juliet mówiła swoim normalnym głosem, kilka tonów wyższym od tego, którego używała jako Tuareg. Ross był zdumiony, że nikt nie zwrócił na to uwagi, ale już po chwili dotarło do niego, że obserwując walkę, nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, że jest kobietą. Odezwał się kurdyjski handlarz:

– Habib w czasie walki próbował zabić Jalala. A Tuareg łaskawie oszczędził mu życia. – Pomruk tłumu potwierdził jego słowa.

*Kafila-baszi* spojrzał gniewnie na poganiacza wielbłądów.

– Masz to, na co zasłużyłeś – podsumował krótko. – Zostawimy cię w Mary, bo nie chcę w karawanie wichrzycieli. – Wydawszy wyrok Abdul Wahab odszedł.

Tłum zaczął rzednąć, ale gwar nie ustawał, podekscytowani ludzie komentowali walkę. Bez wątpienia faworytem wszystkich był Jalal. Nawet dwaj koledzy Habiba, którzy odnosili go do jego ogniska, robili to z wyraźną niechęcią.

Ross miał ochotę podejść do żony i wziąć ją w ramiona, ale się powstrzymał. Poszedł za Salehem, który właśnie przedzierał się przez tłumek osób otaczających Juliet.

–Pogratulujecie Jalalowi jutro – oświadczył Saleh głośno. – Teraz trzeba się zająć jego ranami.

W świetle pochodni Ross zobaczył, że ramię żony mocno krwawi. Bez słowa oddał pochodnię Salehowi, potem zdjął z głowy turban i, wykorzystując go zarówno jako opaskę uciskową, jak i bandaż, owinął nim ramię Juliet. Ta drżała, a jej skóra była wilgotna i chłodna; Ross domyślił się, że żona jest w stanie wstrząsu.

Dołączył do nich Murad.

– Byłeś wspaniały, Jalal! – zawołał entuzjastycznie. – Nauczysz mnie posługiwać się nożem?

– Zostaw to na później, Murad – rzucił Ross, zanim Juliet zdążyła odpowiedzieć. – Przyniesiesz wody? Obawiam się, że Jalal teraz nie da rady.

Przywołany do rzeczywistości, młody Pers poszedł po opróżnione butelki. Saleh wziął Juliet pod zdrowe ramię i poprowadził do ich miejsca postoju.

Kiedy tam dotarli. Ross rozłożył poślanie tuż przy ognisku, tak żeby żona mogła się ogrzać. Potem dorzucił polan do ognia. Gdy Juliet usiadła ze skrzyżowanymi nogami, Saleh uklęknął przy niej i rozwinął zastępczy bandaż, chcąc ocenić zranienie. Juliet syknęła, choć Saleh starał się być bardzo delikatny. Rozcięcie było długie i biegło ukośnie po zewnętrznej stronie ramienia. Nawet z opaską uciskową rana nadal krwawiła.

– Myślę, że trzeba ją zdezynfekować na gorąco – stwierdził starzec po zakończeniu oględzin.

Ross zaklął pod nosem i zerknął na żonę. Juliet odwróciła głowę. Wiedziała, co oznacza propozycja Saleha i zaakceptowała tę konieczność, ale Ross nie.

– Może jednak przypalanie nie jest konieczne – zwrócił się do Saleha.

– Nie proponowałbym przypalania, gdybym uważał, że jest niepotrzebne. Habib to brudna świnia. Jego nóż też z pewnością był brudny. Rana będzie się jątrzyć, jeśli jej nie zdezynfekujemy.

Nim Ross zdążył się odezwać, uprzedziła go Juliet.

– Jeśli uważasz, że należy przypalić ranę, trzeba to zrobić. – Napięcie w głosie wskazywało, że z trudnością nad sobą panuje. – Niech Kilburn się tym zajmie.

Ross poczuł się tak, jakby lodowata dłoń zacisnęła się mu na sercu. Czy ta przeklęta kobieta umyślnie chce doprowadzić go do szaleństwa? Zdarzało mu się w przeszłości przypalać rany, a raz nawet sam musiał się temu poddać; myśl, że mógłby zadać żonie taki ból, była nie do zniesienia. Dobry Boże, przecież nie potrafił nawet dla zabawy stanąć z nią do walki na szable, choć te były osłonięte i oboje mieli na sobie kamizelki ochronne.

Chciał już powiedzieć, że to Saleh powinien dokonać dezynfekcji, ale spojrzawszy na żonę, powstrzymał język. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, nieruchoma, z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w dywanik. Jak zawsze jej twarz skrywał tagelmoust.

– Dobrze więc – rzucił szorstko. – Użyję mojego noża.

Wydawało się, że to właściwy wybór, bo nóż, który otrzymał od Juliet w Serevanie, był dobrej jakości. Położył ostrze na żarzących się węglach. Wyjął z bagażu skrawek grubego papieru, zwinął go w trąbkę i zaczął dmuchać na węgle, żeby temperatura jeszcze się podniosła. Zasada była taka, jak w kowalskich miechach. Jednak Ross nie zamierzał podkuć konia, tylko przypalić ranę na ramieniu żony.

Przez następne kilka minut nikt się nie odzywał. Murad przyniósł wodę i bez słowa część zagotował na herbatę. Saleh jeszcze raz przemył ranę i wytarł krew z ubrania Juliet.

W końcu ostrze rozgrzało się do czerwoności, Ross nie mógł już dłużej zwlekać. Żałował, że nie znajdują się w kraju chrześcijańskim, bo wtedy miałby dostęp do alkoholu, którym wzmocniłby Juliet przed tym zabiegiem. Sam zresztą też napiłby się czegoś mocniejszego, bo na myśl, co zaraz się stanie, serce waliło mu jak oszałałe.

Przygotowana na ból Juliet, skuliwszy się, oparła się na prawym boku. Saleh położył ręce na jej ramionach i biodrze, żeby ją unieruchomić, w razie gdyby mimowolnie próbowała się wyrwać.

Ross uklęknął przy żonie, uważając, by cień, który rzucał, nie przysłonił mu ramienia. Było blade, płonące szkarłatem w miejscu zranienia. Z kamienną twarzą podniósł z ogniska nóż. Żeby ochronić rękę, trzonek owinał materiałem. Ale, mimo zabezpieczenia, i tak parzył.

Podnosząc nóż, zadrżał. Na myśl, że musi położyć je na otwartej, krwawiącej ranie, skurczył się w sobie, a zacisnięte mięśnie odmówiły mu posłu-

szeństwa.

– Kilburn! – ponaglił go ostro Saleh.

Głos starca wyrwał Rossa z odrętwienia. Odwlekanie tylko pogarszało sytuację, więc lewą ręką złapał Juliet za łokieć, żeby go unieruchomić, potem szybko przyłożył ostrze na płask, przykrywając nim całą długość rany.

Kiedy rozgrzana do czerwoności stał dotknęła skóry, kobieta szarpnęła się gwałtownie. Saleh i Ross trzymali ją mocno. Juliet oparła drżącą lewą rękę na nodze męża, wbijając mu paznokcie w kolano.

Trzy sekundy, przez które Ross trzymał nóż przy ranie, trwały wieczność. Żeby nie krzyknąć, Juliet włożyła między zęby skrawek tagelmoustu, ale kiedy zapach przypalanej skóry rozszedł się w powietrzu, nie mogła się już powstrzymać. Zduszony krzyk rozdarł Rossowi serce.

Oderwał nóż od ramienia żony, ale poczucie ulgi nie trwało długo, bo zaraz przyszła myśl, że dla Juliet cierpienia jeszcze się nie skończyły. Zmęczona i otumaniona bólem nie wiedziała, że wciąż ścisła kolano męża.

Saleh przyniósł mały słoiczek z maścią.

– To trochę ulży w bólu.

Z nadzieją, że starzec ma rację, Ross czubkami palców bardzo delikatnie rozprowadził maść po ranie. Dla ochrony położył na nią cienki bandaż. Krwawienie wreszcie ustało. Jeśli Bóg da, nie dojdzie do infekcji, choć Juliet już do końca życia będzie miała na ramieniu szpecącą szramę.

Murad, który przyglądał się wszystkiemu ze współczuciem, pomógł Juliet usiąść, po czym włożył jej w dłonie kubek mocno osłodzonej herbaty. Juliet tylko się w niego wpatrywała, jakby picie bez zdjęcia zasłony było dla niej zbyt dużym wysiłkiem. Ale po nabraniu oddechu zdołała go opróżnić dwoma haustami.

Zauważywszy, że biała skóra żony widoczna przez rozdarty materiał bardzo rzuca się w oczy, Ross postanowił zaszyć dziurę jeszcze tej nocy. Zawsze brał w podróż podstawowy zestaw do szycia, więc teraz wygrzebał go z bagaży, a następnie zaszył rozdarcie, mało artystycznie, ale starannie. Juliet przez ten czas nie odezwała się do niego ani słowem. Milczące cierpienie żony przywodziło Rossowi na myśl zranione zwierzę.

– Jalal, zażyj opium, żebyś mógł zasnąć – zasugerował Saleh.

– Nie – ostro sprzeciwiła się Juliet. – Maszę tylko odpocząć. – Podniosła

się, dość niepewnie, potem przeszła do swojego posłania. Biorąc to za sygnał, że pora się kłaść, Murad i Saleh także ułożyli się do snu.

Ross zdecydował, że ten jeden raz może sobie pozwolić na zrezygnowanie z dyskrecji, i po przygaszeniu ognia rozłożył swoje posłanie tuż przy materacu Juliet. Wątpił, że uda mu się zasnąć, poza tym uważał, że będzie bezpieczniej, jeśli się położy w pobliżu żony, ponadto dręczyło go przemożne, irracjonalne pragnienie, by być przy niej tak blisko, jak to tylko możliwe.

Juliet nie zaprotestowała. Zresztą od czasu utarczki wypowiedziała co najwyżej tuzin słów.

Reszta obozowiczów już spała i wkrótce także oddechy Saleha i Murada stały się wolniejsze i regularniejsze. Ross leżał na plecach i przyglądał się nocnemu niebu, boleśnie świadomy bliskości żony. Ona też leżała na wznak, bo w tej pozycji najlepiej mogła chronić ramię przed urazem.

Po mniej więcej półgodzinie Ross pomyślał, że on i Juliet są zapewne jedynymi osobami w obozie, które jeszcze nie śpią. Wyczulony na każde jej westchnienie i lekkie, niespokojne ruchy, wiedział, że żona jest przytomna i że cierpi z bólu.

– Sprytnie zrobiłaś, że wdałaś się w bójkę z Habibem – powiedział czule i tak cicho, że tylko Juliet mogła go usłyszeć. – Jeśli chciałaś się zemścić za to, co musiałaś przeżyć przeze mnie, kiedy rzuciłem się do rwącej rzeki, to wiedz, że ci się udało.

Odpowiedziała mu urywanym, ledwo słyszalnym śmiechem.

– No to znaczy, że było warto. – Już poważniej dodała: – Przepraszam, że poprosiłam, żebyś ty zdezynfekował ranę. Nie wiem, co sobie myślałam, ale wyobrażam sobie, że spełnienie mojej prośby nie sprawiło ci szczególnej przyjemności.

– Nie większą niż tobie – odparł sucho. – Tak czy inaczej, ktoś to musiał zrobić.

– Jak na markiza nieźle dajesz sobie radę z igłą i nitką – szepnęła.

Ross uśmiechnął się w ciemności.

– A ty, jak na markizę, zupełnie nieźle się bijesz.

Westchnęła.

– Żaden mój talent nie pasuje do damy.

Te słowa całkowicie rozbroiły Rossa. Nie potrafił już zachować spokoju, do którego zmuszał się przez ostatnie dwie godziny.

Musiał dotknąć żonę. Leżała tak blisko, na wyciągnięcie ręki; bez kłopotu odnalazł jej dłoń i zaniknął w swojej.

Poruszyła palcami, więc pomyślał, że Juliet chce cofnąć dłoń. Ona jednak tylko przekręciła ją tak, że splotły się ich palce. Gestem tym lepiej wyraziła napięcie i ból, niż opisałyby to słowa.

I znów przeszłość wydawała się bardziej rzeczywista od terażniejszości. Gdy chłodna dłoń żony ocieplała się od jego ręki, Ross poczuł, jak powraca do niego spokój.

Oboje zdołali nawet zasnąć.



Juliet rozłożyła kilka pledów, które utworzyły w piasku wygodne gniazdko, wyciągnęła się wygodnie na plecach i z siodłem pod głową obserwowała przygotowującego obiad Murada.

To był leniwy dzień. Żeby wypocząć przed ostatnim i najbardziej wyczerpującym etapem podróży, Abdul Wahab zarządził, że karawana zatrzyma się w oazie w Mary aż na trzy dni. Ich grupa była zbyt liczna, by wszyscy zmieścili się w małym hotelu dla karawan, więc wielu podróżnych musiało się rozbić na zewnątrz pod palmami. Juliet to nie przeszkadzało; wolała spać na dworze zamiast w zatłoczonym hotelu.

Rozglądając się po obozowisku, zobaczyła nadchodzących Rossa i Saleha. Nieśli zapasy zakupione na miejskim bazarze. Oszczędzali Juliet, choć ramię bolało ją dziś o wiele mniej. Za kilka dni nie będzie na nie zwracać uwagi.

Po schowaniu zakupów obaj mężczyźni, siedząc przy ognisku, gawędzili o mieście. Przy poprzedniej podróży przez Kara-Kum Ross nie odwiedził Mary, więc było to dla niego zupełnie nowe miejsce.

Juliet nie interesowała treść rozmowy; o wiele zabawniej było przyglądać się mężowi. To następna korzyść płynąca z tagelmoustu: jeśli tylko uważała, nikt nie potrafił się zorientować, na co patrzy. Korzystała z tej przewagi zawsze, kiedy znajdowała się w pobliżu Rossa. Ponieważ jasny zarost mógłby budzić podejrzenia, był starannie ogolony, i z ładną opalenizną na twarzy, w azjatyckim stroju wyglądał jak pełen fantazji badacz pustyni. Juliet pomyślała z niechęcią, że mąż musi wzbudzać sensację na londyńskich salonach, kiedy się na nich czasami zjawia.

Przekonała się, że znowu – a zdarzało jej się to dość często – zastanawia się nad ich związkiem i jego osobliwością. Nie wiedziała na przykład, co ma sądzić o tym, że po walce na noże ona i Ross trzymali się za ręce. Oboje zasnęli wtedy jak zabici, a obudziło ich poranne nawoływanie do modlitw; tak więc dopiero nad ranem rozłączyli dłonie. W następnych dniach żadne z nich nie komentowało tego, jakby cisza ta miała oznaczać, że nic takiego się nie zdarzyło. Juliet była nawet Rossowi wdzięczna za jego gest, ale i tak cała

ta sytuacja wprawiała ją w zdumienie.

Pogratulowała sobie tylko, że tym razem nie owinęła się wokół męża niczym bluszcz. Chciała myśleć, że to dlatego, iż coraz mniej ją pociąga, ale wiedziała, że tak nie jest. Bardziej prawdopodobne, że ramię bolało ją tak bardzo, iż nawet przez sen je chroniła.

Znowu ziewnęła, zastanawiając się, kiedy wreszcie obiad będzie gotowy. Po raz pierwszy od Sarakhs mieli jeść świeże mięso; kawałek jagnięciny był niewielki, stosowny do skromnego stylu, w jakim podróżowali. Duszona jagnięcina z ryżem i warzywami pachniała wspaniale, ale Juliet przypuszczała, że minie jeszcze trochę czasu, zanim Murad poda obiad. Mając to na względzie, pomyślała, że równie dobrze może zachować się jak wzorowy poganiacz wielbłądów, naciągnęła więc końcówkę tagelmoustu na oczy i zasnęła.

Ross przyglądał się śpiącej żonie z rozbawieniem. Absolutny brak charakterystycznej dla wielu kobiet kapryśności zawsze stanowił jedną z jej najbardziej pociągających cech, a na dodatek tak przekonująco udawała poganiacza wielbłądów, że nawet on czasami zapominał, że ma do czynienia z markizą.

Z rozmyślań wyrwał go Saleh.

– Z rana rozmawiałem z *kafila-baszi* na temat Habiba – oznajmił.

Ross odwrócił się do towarzysza.

– I?

– Abdul Wahab powiedział, że kiedy wyrzucił Habiba zeszłej nocy z karawany, zabronił mu prześladować ciebie i Jalalą. Podobno poganiacz wyglądał na bardzo wystraszonego.

– Wątpię, żeby jego strach długo się utrzymał. Ale i tak mamy tu zostać tylko jeszcze jeden dzień. Jeśli nam szczęście dopisze, Habib będzie zajęty kurowaniem nogi i nie zdąży przed naszym wyjazdem narobić więcej szkód.

Murad zaparzył właśnie przedobiednią herbatę i trzej mężczyźni popijali ją teraz w milczeniu. Mimo wszystko Ross nie był zadowolony, że będą musieli spędzić w Mary jeszcze jeden dzień. Habib wprawdzie musi do poruszania się używać kul, ale żeby napytać im biedy, wystarczy jego złośliwy

język, a ten działał u niego bez szwanku.

Ktoś delikatnie odchrząknął, więc Ross uniósł głowę i zobaczył niskiego, obdartego Turkmena z rozwichrzoną brodą. Człowiek wałęsał się po obozowisku, zatrzymując się to tu, to tam, wdając się z handlarzami w pogawędki. Teraz podszedł do ich ogniska. Wyglądał na jakiegoś duchownego, chociaż Ross nie rozpoznawał w jego stroju żadnego znanego mu bractwa derwiszy.

Turkmen się pokłonił.

– *Salaam Aleikum.*

– I pokój z tobą – wymamrotali trzej mężczyźni.

– Słyszałem, że jesteś *ferengi* i że przybyłeś z dalekiej Anglii, żeby w Bucharze dowiedzieć się o losach brata – zaczął nieznajomy, zwracając się do Rossa. – Nazywam się Abd. Nigdy nie miałem okazji rozmawiać z kimś z twojego narodu. Czy opowiesz mi o cudach twojego kraju?

Ross zmrużył oczy. Wyglądało na to, że Habib już o nim rozpowiedział na mieście, co znaczyło, że Ross będzie musiał przejść następny teologiczny test. Cóż, zawsze dobrze sobie radził z takimi rzeczami, a ten derwisz wydał się mu raczej nieszkodliwy.

– Nazywają mnie Kilburn. Zapraszam do naszego ogniska. Z przyjemnością opowiem ci o moim kraju, ale poproszę, żebyś w zamian opowiedział mi też trochę o swoim.

Kiedy Ross przedstawił gościowi resztę towarzyszy, a Murad dolał wszystkim herbaty, Turkmen ukląkł przy ognisku z miną, jakby szykował się na dłuższą dyskusję.

– Jesteś chrześcijaninem, lordzie, tak? – Kiedy Ross skinął głową, Abd powiedział: – Opowiedz mi o swojej wierze, żebym mógł lepiej zrozumieć, na czym polegają różnice między naszymi religiami.

– Wolałbym raczej porozmawiać o podobieństwach między nimi – odparł Ross, trochę zaniepokojony zaproponowanym tematem.

Twarz derwisza się rozświeciła.

– Doprawdy jesteś mądrym człowiekiem. Więc, na czym, twoim zadaniem, polegają te podobieństwa?

– Pustynia jest domem dla trzech wielkich religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu – zaczął Ross. – W tej surowej, ale pięknej krainie prawie nic

nie przeszkadza człowiekowi w uświadomieniu sobie boskiej potęgi. Myślę, że właśnie z tego powodu wszyscy ludzie Księgi tak bardzo wierzą w jednego Boga.

Abd pochylił głowę na jedną stronę, jak zaciekawiony czymś ptak.

– Ponieważ nie znam krain leżących poza pustynią, nie do końca rozumiem, co miałeś na myśli.

– Brytania, gdzie dorastałem, jest krainą wilgotną, bogatą, tętniącą życiem. Wszędzie są drzewa, rośliny i zwierzęta. Może właśnie z tego powodu w dalekiej przeszłości ludy z tych terenów oddawały cześć wielu bóstwom – otaczało ich przecież ogromne bogactwo bożej kreacji. Widzieli bóstwo w każdym strumieniu i każdym drzewie, a nie widzieli samego stwórcy, który krył się za nimi – wyjaśniał Ross swoją teorię. – Trzeba surowości pustyni, żeby pojąć jednego Boga.

– Och, cóż za nową i intrygującą myśl mi podsunąłeś. – Derwisz z zachwytu przymknął oczy. – W prostocie pustyni człowiek rzeczywiście może być sam na sam z Bogiem, jak to odkryli moi przodkowie, nomadzi. A zrozumienie, które się wzięło z tej prostoty, zostało przez nich rozniesione po całym świecie.

– Tak właśnie było, i to jest to, co łączy twoją i moją wiarę – mówił Ross. – Wszyscy ludzie Księgi nadal noszą w swoich sercach wizję boga pustyni. Jak większość Anglików czują bliższą więź z synami Proroka niż z hindusami, którzy wyznają wielu bogów, lub z buddystami, których Bóg wydaje się abstrakcyjny i bardzo odległy.

– To dobrze – zgodził się Abd. – Zastanawiał się nad czymś chwilę. – Czy twoim zdaniem hindusi i buddyści czczą fałszywych bogów?

Ross pokręcił głową.

– Tego bym nie powiedział, bo nie znam dostatecznie dobrze ich religii, żebym mógł rozsądnie ocenić, a poznałem hindusów i buddystów, którzy byli bardzo pobożnymi ludźmi. Być może, na swój sposób, oni też wierzą w jednego Boga. Jednak Boga Proroka pojmuję od razu i nikt nie musi mi nic wyjaśniać, bo jest on także bogiem moich ojców.

Wyglądało na to, że Ross zdał egzamin, bo kilkakrotnie skinąwszy głową, Abd rozpoczął entuzjastyczną przemowę na temat natury ognia i wody, i czy Bóg mógł je stworzyć, skoro niosą zniszczenie, a przecież Bóg jest sa-

mym dobrem. Derwisz przedstawiał swoje poglądy, a Murad w tym czasie sprawdzał, czy potrawa z jagnięciny nadaje się już do podania. Ponieważ była gotowa, młody Pers zerknął pytająco na Rossa.

– Zaraz będziemy spożywać nasz wieczorny posiłek – powiedział Ross do derwisza, domyślając się, o co chodzi Muradowi. – Czy uczynisz nam zaszczyt i dołączysz do nas?

– To ja czuję się zaszczycony – odparł z radością Abd. Wydawał się tak zadowolony, że Ross pomyślał, iż powodem wizyty duchownego mogła nie być teologia, a po prostu chęć wyłudzenia darmowego posiłku. Rossowi to nie przeszkadzało. Abd był przyjemnym starszkiem, któremu z pewnością przyda się pożywna strawa.

Murad z zalem popatrzył na jagnięcinę, którą musiał podzielić na więcej części, ale nie zaprotestował, tylko przełożył jedzenie na wspólny półmisek. W islamie obowiązywała zasada dzielenia się jadłem ze wszystkimi. Przejęcie jej przez świat chrześcijański dobrze by mu zrobiło, pomyślał Ross.

Kiedy już posiłek znalazł się na półmisku, Juliet natychmiast się obudziła i zasiadła przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami. Ross przedstawił ją jako Jalalę, zaznaczając, że Tuareg zna trochę perski.

– Rzadko widuje się Tuaregów w Turkiestanie – zauważył Abd, po wymamrotaniu błogosławieństwa.

– Dziwię się, że w ogóle jakiegoś widziałeś.

– Tak, w Mary jednego lub dwóch. Szlaki karawan są siłą napędową islamu i przenoszą dzieci Proroka z jednego krańca ziemi na drugi. – Derwisz zaczął wyjaśniać, jak to karawany oraz pielgrzymi promują jedność w świecie muzułmańskim, i temat przemienił się w ogólną dyskusję dotyczącą transportu. Po tym, jak Ross opisał kolej, starszy mężczyzna zapytał z zakłopotaniem:

– To bardzo dziwnie brzmi. Komu potrzebna taka prędkość?

– Dzięki nowoczesnej kolei czas podróży będzie krótszy, szybciej będzie się przewozić towary, co pozwoli ludziom wieść lepsze życie.

Abd pokręcił głową.

– Spokój wielbłąda albo osła daje człowiekowi czas na patrzenie, na zastanowienie się, na zrozumienie... – właśnie te rzeczy tworzą lepsze życie. W oczach takiego prostego człowieka jak ja, wy, *ferengi* za bardzo zajmujecie

się robieniem i posiadaniem. Nas w islamie bardziej interesuje bycie.

Dobra opinia Rossa na temat derwisza jeszcze zyskała.

– Tak jak ja wcześniej wypowiedziałem myśl, którą uznałeś za nową i intrygującą, tak teraz ty zrobiłeś to samo. Jestem ci wdzięczny, dobry wuju.

Ogólnie biorąc, był to całkiem miły posiłek. Właśnie go kończyli, kiedy na teren obozowiska w chmurze kurzu, i przy wtórze dzikich okrzyków i rżenia koni wjechała grupa Turkmenów. W wysokich czarnych czapach z owczej skóry jeźdźcy wyglądali jak zastęp lekkiej kawalerii. Przemieszczali się od ogniska do ogniska, a przerażone kozy i kury uciekały spod kopyt koni; ludzie z karawany przyglądali się im w milczeniu i z przestraczem. Mimo że strój Turkmenów świadczył o tym, że należą do lokalnego plemienia Tekke, a nie do jakiejś innej wrogiej turkmeńskiej bandy, Ross pomyślał, że trzeba zachować czujność.

Jego niepokój wzrósł, kiedy się zorientował, że Turkmeni chyba czegoś albo kogoś szukają. Kiedy przywódca jeźdźców podjechał na tyle blisko, że Ross mógł rozróżnić twarze osób siedzących przy ognisku, przeklął pod nosem.

– Ten mężczyzna na czele to Dil Assa, wódz Turkmenów, których spotkałem w pobliżu Serevanu – powiedział na głos.

Pamiętając, że Ross omal nie stracił życia przy tym spotkaniu, Saleh i Juliet podnieśli głowy, podczas gdy Murad, który mógł wtedy zostać wzięty do niewoli, usunął się w kąt, żeby nie rzucać się w oczy. Tylko Abd nie wyglądał na poruszonego. Siedząc plecami do nadjeżdżających, spokojnie sięgnął do półmiska i nabrał kawałkiem chleba resztkę sosu po jagnięcinie.

Dil Assa dostrzegł szybko swoją zwierzynę. Z okrzykiem triumfu skierował konia w stronę ogniska, zatrzymując się tuż za plecami derwisza.

– Brytyjski szpieg! – ryknął, wbijając wzrok w Rossa. – Doprawdy Bóg jest miłościwy, bo znowu wydał cię w moje ręce. Tym razem cię zabiję, *ferengi*.

Juliet sięgała już po strzelbę, która leżała tylko jard od niej, ale Ross powstrzymał ją gestem dłoni. Strzelanina w tym miejscu zagroziłaby zbyt wielu ludziom. Podnosząc się, powiedział:

– Ja także coraz bardziej pamiętam. Dlaczego tak ci zależy na zabiciu Anglika?

– Nie potrzebuję powodu. Przygotuj się na śmierć, psie!

Dil Assa podnosił już swoją strzelbę, ale wtedy wstał Abd i odwrócił się twarzą do Turkmena. Na oczach zdumionego Rossa duchowny jakby nagle urósł, a wokół niego pojawiła się aura, jaka otacza tylko ludzi świadomych potęgi swojej władzy. Przemówił głosem ostrym, który się rozszedł po całym obozowisku:

– Jeśli chcesz zabić tego *ferengi*, najpierw będziesz musiał zabić swojego kalita.

Ross wstrzymał oddech. Dobry Boże, ich obszarpanym gościem był sam kalif Mary, duchowy przywódca Turkmenów i jedyny człowiek mający wpływ na ich zachowanie.

W ciszy, która zapadła po słowach starca, wyraźnie dało się słyszeć sapnięcie Dil Assy.

– Abd Urrahman! – Turkmen natychmiast zeskoczył z konia i nisko się pokłonił. Reszta jego bandy uczyniła tak samo. – Jaśnie panie, nie rozpoznałem cię.

– Nie, bo byłeś za bardzo pochłonięty czynieniem zła – odpowiedział oschle starzec. – Przynosisz mi wstyd, Dil Asso. Łamałem się chlebem z tym *ferengi* i przekonałem się, że jest człowiekiem honoru. Jeśli coś mu zrobisz, obłożę klątwą ciebie i twoich kompanów.

Dil Assa pobladł.

– Wasza wysokość, nigdy przedtem nie sprzeciwiałeś się, kiedy braliśmy niewolników spośród Persów – przypomniał niepewnym głosem. – A nawet łaskawie przyjmowałeś dziesiątą część naszych łupów.

– To zupełnie inna sprawa – odparł z godnością kalit. – Turkmeńscy jeźdźcy nie odbierają życia swoim jeńcom, tylko opiekują się nimi jak ojciec dziećmi. Martwy jeńiec nie ma wartości. Poza tym Persowie są szyitami i zwalczanie ich jest nawet większą przysługą Bogu niż pielgrzymka.

Murad, który jako Pers był szyitem, cofnął się jeszcze bardziej, przysuwając do Saleha, sunnity tak jak Turkmeni. Ross uznał to za ironię losu, że Abd Urrahman okazywał więcej tolerancji chrześcijanom niż braciom muzułmanom, ale był zbyt wdzięczny za interwencję kalifa, aby wytykać mu brak logiki i konsekwencji w sposobie myślenia.

– Chcę, żebyś mi przyrzekł, że już nigdy więcej nie skrzywdzisz tego *fe-*

*rengi*, jego służących lub przyjaciół – ciągnął Abd Urrahman. Kłujący wzrok starca zatrzymał się na kompanach Dil Assy. – Wszyscy macie mi to przyrzec, także za resztę waszych ludzi z hordy.

Dil Assa przełknął ślinę.

– Przyrzekam, wasza wysokość. Przekażę twoje życzenie całemu plemienu.

– Masz słowa dotrzymać. – Kalif się rozpogodził. – To dobrze, że boisz się Boga, Dil Asso, bo wiem, że nie boisz się żadnego człowieka.

Biorąc słowa kalifa za komplement, Dil Assa nieco złagodniał, choć nadal, kiedy spoglądał na Rossa, w jego spojrzeniu była dzikość.

Potem ciemne oczy Dil Assy rozbłysły, a na twarzy pojawił się chytry uśmiech. Powiódł wzrokiem po otaczających ich ludziach, bo jak to na Wschodzie, całemu zająsciowi towarzyszyła publika.

– Aby udowodnić moją przyjaźń do tego *ferengi*, zaproszę go do udziału w jednym z najwspanialszych wydarzeń turkmeńskiego życia – zaczął Dil Assa i zaraz zamilkł, aby wywołać większy efekt. – Jutro urządzę na jego cześć specjalny mecz *buzkaszi*. A *ferengi* weźmie w nim udział.

Kiedy Turkmen wypowiedział słowo *buzkaszi*, w tłumie rozległy się pomruki. Obce słowo raz za razem rozbrzmiewało echem po obozowisku. Ross znał je i pamiętał, że odnosi się do gry rozgrywanej na koniach, ale to było wszystko, co o niej wiedział.

– Co to jest *buzkaszi*? – zapytał nieufnie. Dil Assa uśmiechnął się podstępnie.

– To wspaniały sport, którym nasz lud ekscytuje się od niepamiętnych czasów. Nazwa oznacza „łapanie kozła”, bo mężczyźni na koniach walczą o pozbawione głowy ciało kozła. Ścierwo musi być przeniesione do odległego stanowiska, potem sprowadzone z powrotem i wrzucone do koła sprawiedliwości. Ten, kto wrzuci kozła do koła, jest zwycięzcą. Oczywiście nie masz najmniejszych szans na wygraną, ale i tak pozwolę ci do nas dołączyć.

Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, iż w krótkim opisie gry Dil Assa pominął fakt, że jest ona jedną z najbardziej brutalnych zabaw, jakie można sobie wyobrazić.

– To dla mnie zaszczyt, ale niestety nie posiadam konia ani nie znam zasad tej gry – powiedział Ross.



– Nieważne – rzucił beztrąsko Dil Assa. – *Buzkaszi* to prosta gra, której nawet *ferengi* może się nauczyć. A co do konia, to ci pożyczę.

Ross popatrzył na twarze ludzi z karawany; czekali w napięciu na jego decyzję. Okazywali mu wiele życzliwości, ale odmawiając Dil Assie udziału w barbarzyńskiej grze, mógł to wszystko utracić. Nie miał dobrego wyjścia z tej sytuacji; nawet kalif zdawał się aprobeować pomysł Turkmiena.

– W takim razie z radością do was dołączę.

– Wspaniale! – Dil Assa wskoczył na konia. – Przyjedź jutro do naszych namiotów, kiedy słońce wzniesie się do połowy zenitu. I przyprowadź swoich przyjaciół, żeby mogli podziwiać twój jeździecki talent. – Wycofał konia i odgalopował, a za nim jego ludzie.

Dil Assa wygrał tę rundę, pomyślał Ross. Odwrócił się i pokłonił kalifowi.

– Wielki dzięki za twoją interwencję, wasza wysokość. Widzę rękę Boga w tym, że pojawiłeś się przy naszym ognisku.

W ciemnych oczach Abd Urrahmana zamigotały wesołe ogniki.

– Nie był to czysty przypadek, choć z pewnością pozostawałeś, lordzie, pod boską opieką. Dzisiaj rano w moim domu zjawił się pewien poganiacz wielbłądów i opowiadał, jakimi złymi ludźmi jesteście, ty i twój służący Tuareg. Chciał, żebym rozkazał was ukamienować, ale uznałem, że najpierw sam sprawdzę, co z was za jedni. Pomyślałem też, że Dil Assa będzie was szukał, kiedy się dowie, że w Mary jest *ferengi*, bo jego brat został zabity w Afganistanie przez Brytyjczyka. Dobry chłopak z tego Dil Assy, tylko impulsywny. – Starszy mężczyzna z gracją pochylił głowę. – Rozmowa z tobą, Kilburn, sprawiła mi wielką przyjemność. Twoja teologia jest nowatorska, ale płynie z pełnego czci serca. Baw się dobrze na jutrzejszym meczu *buzkaszi*.

Nawet po odejściu kalifa Ross nadal pozostawał w centrum zainteresowania członków karawany, którzy podchodzili do niego, żeby z entuzjazmem opisać mu widziane przez nich rozgrywki *buzkaszi*. Perspektywa meczu następnego dnia wprawiła wszystkich w dobry nastrój.

Było już po zmroku i większość obozowiczów udała się na spoczynek, kiedy Juliet wstała i przechodząc obok niego, mruknęła:

– Idę na spacer. Dołącz do mnie.

Kilka minut później Ross także wstał i wolnym krokiem opuścił teren obozowiska. Tak jak w Sarakhs, miejsce postoju dla karawan znajdowało się na skraju miasta, Ross spotkał się z Juliet za jego granicami, na pustyni.

– W co ja się wpakowałem? – zapytał, kiedy przy blasku księżyca szli między piaskowymi wydrami.

– *Buzkaszi* to coś między polowaniem na lisa a bitwą o Waterloo – objaśniła Juliet rzeczowo.

Ross się roześmiał.

– Aż tak źle?

– Gorzej. Wprawdzie Dil Assa przyrzekł kalifowi, że cię nie zabije, ale może się postarać o to, żeby w czasie meczu przydarzył ci się śmiertelny wypadek.

– Nie będzie rozpaczać, jeśli do tego dojdzie – rzucił kpiąco Ross. – Wydaje mi się, że tak naprawdę pragnie tylko mnie poniżyć, żeby ulżyć zranionej dumie. Widziałaś kiedyś rozgrywki *buzkaszi*?

– Tylko raz. Byłam wtedy przebrana za mężczyznę. Nie poszłam więcej na następne, bo wolałam nie kusić losu. Turkmeńskim kobietom nie wolno oglądać tych rozgrywek, więc groziło mi niebezpieczeństwo, gdyby wyszło na jaw, kim jestem. – Zatrzymała się i zerwała kwiat o białych płatkach, który zakwitł po krótkim deszczu z poprzedniej nocy. – Mężczyźni uwielbiają *buzkaszi*. Sądzę, że wieść o nim roznosi się już przez pustynię. Przybędą jutro setki, a może tysiące widzów. To sport zimowy, więc będzie to z pewnością ostatni mecz tego sezonu, aż do jesieni. W lecie jest za gorąco na tę grę.

– Na czym polegają zasady?

– Nie ma żadnych zasad. Nawet liczba graczy nie jest ustalona. Może być ich od tuzina do setek, a każdy gra na własną rękę. Sądzę, że *buzkaszi* było początkowo treningiem na wypadek napaści mongolskich plemion. To brutalna gra. Liczy się w niej siła i umiejętność jazdy konnej. – Zerknęła z powątpiewaniem na męża. – Jeździsz doskonale, ale sam widziałeś, jacy są Turkmeni.

– Wiem, rodzą się w siodle. No i z pewnością nie zawracają sobie głowy czymś takim jak uczciwość w grze. – Wzruszył ramionami. – Nie zamierzam wygrać. Wystarczy, że uda mi się utrzymać na koniu do końca, a wte-

dy uznam, że uratowałem swój brytyjski honor.

– Będziesz o tym pamiętał jutro, w ferworze walki?

Ross uśmiechnął i zerwał następny biały kwiat, po czym zatknął go za załamek tagelmoustu, tuż nad uchem Juliet.

– Będę. Nigdy nie przepadałem za grami zespołowymi.

– A ja myślałam, że w Eton byłeś czymś w rodzaju sportowego idola – przypomniała Juliet, ignorując gest męża.

– Zgadza się. Tyle że w Eton nie miałem wyboru, ale nie wkładałem w grę serca.

– Mój ojciec byłby zszokowany, słysząc takie wyznanie – stwierdziła Juliet z rozbawieniem. – Nie miał szacunku dla mężczyzn, których nie interesował sport.

Zaciekawiony i nie gotowy, by zakończyć tę cenną dla niego chwilę intymności, Ross usiadł pod jednym ze wzniesień, gdzie w oddali wiła się rzeka płynąca przez Mary. Wziął żonę za rękę i pociągnął, sadzając ją obok siebie. Nie sprzeciwiła się, więc pomyślał, że mógłby nie puszczać jej dłoni, ale uznawszy, że tak będzie rozsądniej, zmienił zdanie.

– Czy wiesz – zaczął, przybierając obojętny ton – że chyba po raz pierwszy usłyszałem od ciebie cokolwiek na temat twojego ojca. Wiem tylko, że pełnił misję dyplomatyczną w egzotycznych krajach i że zmarł, kiedy miałaś szesnaście lat. O ile dobrze pamiętam, to nawet twoja rodzina niewiele o nim mówiła.

Juliet westchnęła. Nad wydmami powiała lekka bryza, więc ściągnęła tagelmoust, żeby ochłodzić twarz.

– Był trudnym człowiekiem. Dzieci traktował tylko jak spadkobierców nazwiska – nie interesował się zbytnio synem, a tym bardziej córką. Pod wieloma względami naprawdę godny podziwu, ale też niezły tyran. Przypuszczam, że przed dwunastu laty rodzina jeszcze nie do końca pogodziła się z jego śmiercią i dlatego niezbyt chętnie o nim mówiono.

– Co do niego czułaś?

Zawahała się.

– Bardzo chciałam zasłużyć sobie na jego aprobatę, ale ponieważ był tyranem, nieustannie się z nim kłóciłam. Wszyscy się z nim kłócili, oprócz biednej matki, która stała między mężem i dziećmi.

– Ciekawe – mruknął Ross, nie spuszczać wzroku z twarzy żony. Tak bardzo pragnął jej dotknąć, że bał się, iż dłoń sama się do niej wysunie. Umyślnie więc nabrał garść piachu i przesypywał przez palce. – Czy to z powodu braku zainteresowania ze strony ojca zawsze towarzyszyłaś bratu, uczyłaś się tego samego, co on i wpadałaś w takie same jak on tarapaty?

Juliet przez chwilę milczała, chyba zdziwiona pytaniem.

–Bardzo możliwe, choć nigdy nie przyszło mi to do głowy. Wtedy po prostu wydawało mi się, że chłopcy zajmują się o wiele bardziej interesującymi rzeczami niż dziewczynki. Kiedy mieszkaliśmy w Teheranie, nie było tam innych dzieci poza moim bratem. Nie miałam koleżanek w swoim wieku.

Bardziej niż kiedykolwiek Ross pragnął jej dotknąć, ale nie chciał ryzykować. Juliet opowiedziała mu o swoim dzieciństwie więcej niż w czasie, gdy się do niej zalecał i w trakcie ich krótkiego małżeństwa. Może, kiedy już przetrawi nowe informacje, lepiej zrozumie swoją zagadkową żonę.

–Nic dziwnego, że było ci trudno, kiedy po śmierci ojca wysłano cię do angielskiej szkoły dla dziewcząt.

–Było strasznie – rzuciła gwałtownie. – Chciałam się tam z kimś zaprzyjaźnić, ale nie wiedziałam jak. Przynajmniej do chwili, gdy Sara wzięła mnie pod swoje skrzydła. Fakt, że się ze mną zaprzyjaźniła, bardzo poprawił mój status, bo była jedną z najbardziej popularnych dziewcząt w szkole. Co więcej, Sara nauczyła mnie, jak mam się zachowywać. W angielskich wyższych sferach obowiązuje mnóstwo skomplikowanych rytuałów i zasad postępowania. Jeśli choć raz popełnisz błąd, zostajesz na zawsze odrzucony.

–Ale ty nie odstawałaś od wzorca. Oboje twoi rodzice pochodzili z tak zwanych dobrych rodzin. Miałaś takie samo prawo zająć swoje miejsce w społeczeństwie, jak każda inna uczennica z twojej szkoły.

Roześmiała się gorzko.

– Teoretycznie. Praktycznie wyglądało to inaczej. Nie tylko nie znałam reguł i plotek ze świata śmietanki towarzyskiej, które znali inni, ale na dodatek byłam Szkotką, najwyższą dziewczynką w całej szkole, ze straszliwie niemodnym kolorem włosów. Nawet nie umiałam odpowiednio chichotać! Gdyby nie Sara, uciekłabym stamtąd.

– Historie szkolne, które mi opowiadałaś, były zawsze bardzo zabawne.

Nie miałem pojęcia, że czułaś się w szkole aż tak źle. – Ross poczuł współczucie dla dziewczynki, którą opisała żona.

– Narzekanie nie jest pociągające, więc go unikałam. Poza tym, byłam przekonana, że mnie nie zrozumiesz. Należałeś do elity towarzyskiej, a poprawne zachowanie miałeś tak opanowane, że zawsze instynktownie wiedziałeś, co powinienesz zrobić lub jakie czekają cię konsekwencje, jeśli złamiesz jakąś zasadę – mówiła trochę z przekąsem. – Z czasem, na tyle poznałam reguły obowiązujące w wielkim świecie, iż mogłam udawać, że do niego należę, ale i tak popełniałam błędy.

– Nigdy tego nie zauważyłem.

– Och, zauważyłeś. Kiedy posuwałam się zbyt daleko, delikatnie pokazywałeś mi, gdzie popełniłam błąd. Wyrzucałeś mi, że jestem zbyt zadufana albo za mało poważna, albo coś jeszcze. – Teraz to ona podniosła garść piachu, żeby potem przyglądać się, jak sypie się przez palce.

Choć w tonie żony nie wyczuwał oskarżenia, poczuł się tak, jakby kopnęła go w żebra, ponieważ ujawniała jedną ze spraw, która doprowadziła do ich separacji. I choć bardzo pragnął zrozumieć Juliet, jej słowa bolały.

–Do diabła. Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek krytykował, ale jeśli tak było, bardzo cię tym skrzywdziłem.

Juliet energicznie obróciła głowę w jego stronę. W bladym świetle księżyca jej oczy były jak dwie ciemne studnie.

– A ja cię krzywdzę tymi wspomnieniami. Przepraszam, Ross, nie powinnam o tym mówić. Nawet wtedy wiedziałam, że problem nie leży w tobie, a w mojej niepewności i przewrażliwieniu. Kiedy Sara uczyła mnie, jak mam się zachowywać, byłam jej wdzięczna, ale kiedy ty mnie krytykowałeś, czułam się... upokorzona. Zrozumiałam, iż żałujesz, że się ze mną ożeniłeś.

– Nawet jeśli byłaś przewrażliwiona, to mnie z pewnością zabrakło wrażliwości. Powinienem był wiedzieć, że moje zachowanie cię przygnębia.

– Sfrustrowany uderzył dłonią w piasek. Lepiej, że się o tym dowiedział, niż gdyby miał pozostać w niewiedzy, a jednak zadanie następnego pytania sprawiało mu trudność, bo już się bał odpowiedzi. – Czy porzuciłaś mnie z powodu mojego krytycyzmu?

– To też miało swój wpływ, ale niewielki – odparła, dbając o dobór słów.

– Doszłam w pewnym momencie do wniosku, że nigdy nie stanę się żoną, jakiej pragnęłaś, a próby zmiany mnie zabijały.

– Nie chciałem, żebyś się zmieniała – mówił z goryczą. – Odpowiadałaś mi taka, jaka byłaś. A jednak z młodzieńczej głupoty odepchnąłem cię od siebie.

Dotknęła jego dłoni.

– Nie obwiniaj się, to było o wiele bardziej skomplikowane. Czułam się zagubiona... I nie miało znaczenia, co robiłaś albo czego nie robiłaś. Rezultat byłby taki sam.

Nie potrafiąc dłużej się powstrzymać, Ross uniósł rękę i bardzo delikatnie pogłaskał żonę po policzku.

– A więc nasze małżeństwo od początku skazane było na niepowodzenie – rzekł w zamyśleniu.

Na gładkim policzku Juliet pojawiły się ciepłe łzy. Szybko wstała i się odsunęła.

– Nie ma sensu dyskutować o odległej przeszłości, to przykre i niczego nie zmienia – powiedziała łamiącym się głosem. – Młoda Juliet Cameron nie nadawała się ani na żonę, ani na damę. Szkoda, że tego nie wiedziała, bo wychodząc za angielskiego lorda przysporzyła niepotrzebnych cierpień kilku osobom. – Na chwilę zamilkła, żeby potem dodać pośpiesznie: – Dostałam od losu lekcję. Żałuję tylko, że pojęłam ją tak późno, karząc ci cierpieć za moje grzechy.

Ross także się podniósł, choć uczynił to wolniej.

– I dlatego zakopałaś się w kraju, w którym znowu możesz być wyobcowana i gdzie nikt nie oczekuje od ciebie czegoś innego. Czy to rozwiązało problem twojego poczucia wyobcowania?

W ciszy, która nastąpiła, Juliet odcięła się od ich krótkiej chwili intymności, co było niemal namacalne; ujawniła tyle, ile chciała, przynajmniej tego wieczoru. Zaśmiała się teatralnie. Zupełnie tak, jak śmieją się damy z towarzystwa.

– Najgorsze w tobie, Ross, jest to, że zawsze masz rację. To takie denerwujące.

Jeżeli trzymałaby teraz w rękach wachlarz, mogłaby go nim uderzyć po ramieniu. A jeśli by to uczyniła, złamałby ten przeklęty przedmiot na pół.

Gdyby rzeczywiście zawsze miał rację, Juliet nigdy by go nie opuściła.

–Czas na odpoczynek. Będę potrzebować siły, jeśli nie chcę się zhańbić w oczach Dil Assy.

Juliet naciągnęła tagelmoust na usta i wyrzuciła kwiat zatknięty za uchem.

–Tylko pamiętaj, że nie bierzesz udziału w grze po to, żeby wygrać – powiedziała. – I tak mieliśmy już dotąd wystarczająco wiele ekscytujących przeżyć.

Ross całkowicie zgadzał się z żoną.

Poza kilkoma mężczyznami, którzy zostali w obozowisku na straży, cała karawana przeniosła się do obozu Dil Assy, rozłożonego kilka mil za miastem w górę rzeki. Ross, jadąc przez jałowy krajobraz w luźnej grupie rozweselonych współtowarzyszy, zerknął w stronę Juliet, której wielbłąd człapał obok jego wielbłąda.

– Miałaś rację, że *buzkaszi* jest bardzo popularne. Wszyscy są w wyśmienitych nastrojach.

– W Turkiestanie przyglądanie się zwierzętom, rozrywającym się nawzajem na strzepy, uważane jest za wspaniałą rozrywkę. Tutejsi ludzie uwielbiają walki psów, kogutów czy przepiórek. Nawet wielbłądy wystawia się do walki, kiedy są w okresie godowym. Co to ci mówi o *buzkaszi*?

Ross się roześmiał.

– Że się ucieszę, kiedy będzie już po wszystkim i znajdę się z powrotem w naszym obozowisku, najlepiej z całymimi kończynami.

Ich celem było zbiorowisko porzucanych jurt, okrągłych namiotów zrobionych z filcu. Wyglądały jak skupisko uli z czarnym zadaszaniem. Wszędzie kręciły się dzieci, następne pokolenie łupieżców. Większość mieszkańców jurt miała na sobie jaskrawe stroje, przeważała czerwień. Ku zdziwieniu Rossa kobiety nomadów nie nosiły zasłon na twarzach, co w islamie jest rzadkością. Zamiast tego z ich głów zwieszały się, opadające aż do pasa, czerwone albo białe szarfy.

Gdy Ross wjeżdżał do obozowiska, mieszkańcy zatrzymywali się i patrzyli na niego z zaciekawieniem. Ponieważ i tak wiedzieli, że jest *ferengi*, postanowił włożyć europejskie ubranie, w którym czuł się swobodnie. Biała koszula i skórzane spodnie mocno kontrastowały z powiewnymi, kolorowymi szatami Turkmenów. Jedynym azjatyckim elementem jego stroju był biały turban, który włożył, żeby ochronić się przed słońcem.

Kiedy zsiadł z wielbłąda, przez tłum przedarł się Dil Assa. Turkmen miał na głowie czapkę obszytą wilczym futrem, która symbolizowała czapendoza, uznanego mistrza *buzkaszi*.

– Och, mój przyjaciel *ferengi* – odezwał się drwiąco, wcale nie udając



szczeroci. – Jestem zachwycony, widząc, że się nie rozmyśliłeś. Tutaj masz bicz do *buzkaszi*. A teraz zaprowadzę cię do twojego wierzchowca. – Po przekazaniu Rossowi krótkiego obciążonego ołowiem pejcza, Turkmen się odwrócił i ruszył przed siebie, na skraj obozowiska.

Ponieważ plac do gry znajdował się jeszcze dalej, większość ludzi z karawany nie szła pieszo. Juliet jednak zsiadła z wielbłąda i przekazała wodze Muradowi. Potem, jak na dobrego sługę przystało, ruszyła za swoim panem, ochraniając jego tyły. Ross nie czuł, że coś mu zagraża; jeśli Dil Assa postanowił złamać słowo dane kalifowi i zabić *ferengi*, uczyni to, ale poczekaj, aż Ross zrobi z siebie głupka w grze.

Dil Assa poprowadził go do miejsca, gdzie stało dwanaście koni przywiązanych do wbitych jeden za drugim palików.

–Proszę – rzekł Turkmen, wskazując na podstarzałą gniadą klaczkę. – To dobra i spokojna sztuka, doskonała dla *ferengi*, który nigdy nie brał udziału w *buzkaszi*.

Ross obszedł konia, kręcąc przy tym głową z dezaprobatą.

–Chyba nie masz zmiłowania dla wieku tej klaczki, Dil Asso. Padnie z wyczerpania jeszcze przed wieczorem. – Poklepał zwierzę po kanciastym zadzie. – Bardzo bym żałował, gdybym przyczynił się do zejścia tej biedaczki.

Dil Assa zmarszczył brwi.

–Wybrałem ją, bo pomyślałem, że nawet *ferengi*, który siedzi w siodle jak worek ziarna, będzie umiał na niej jeździć. Ale jeśli uważasz, iż dasz sobie radę z prawdziwym wierzchowcem *buzkaszi*, wybierz sobie któregoś spośród moich innych koni.

Ross przeszedł do palików, przyglądając się wierzchowcom eksperckim okiem. Przypominały legendarną rasę, którą Chińczycy nazywali „niebiańskie konie z Fergany”. Hodowane bardziej z powodu ich siły, a nie szybkości, nie miały eleganckiej sylwetki arabów, ale najlepsze z nich potrafiły przejechać sześćset mil krócej niż w tydzień.

Podjechało do nich kilku innych Turkmenów. Żaden nie okazywał takiej wrogości jak Dil Assa, za to każdy chętnie dzielił się uwagami na temat poszczególnych koni. Ross nie znał języka na tyle dobrze, żeby zrozumieć szybką mowę Turkmenów, ale wychwycił takie opinie jak: koń *buzkaszi*

musi być szybki jak jastrząb, zwinny jak kozica, mieć serce lwa... z galopu do zatrzymania w sekundę... musi być cierpliwy, mieć ducha, spryt...

Większość przywiązanych do palików koni zdawała się mieć wymagane cechy, ale wybór Rossa padł na wysokiego białego ogiera, najbardziej ognistego z grupy. Oczy konia jarzyły się inteligencją. Wiercił się niespokojnie w miejscu, a srebrne płytki na jego uździe pobłyskiwały w promieniach słońca. Ross domyślał się, że wierzchowiec będzie dla niego wyzwaniem, uznał jednak, że warto włożyć wysiłek w okiełznanie go.

– Ten.

Stojący za plecami Rossa Dil Assa sapnął z oburzenia.

– Rabat to mój najlepszy koń. Ja miałem go dzisiaj dosiadać!

– Och, wybacz. – Ross wcale się nie zdziwił, bo ogier naprawdę był wspaniały. – Nie śmiałybym pozbawiać cię konia, który pomoże ci w zwycięstwie.

Turkmen posłał Rossowi wściekłe spojrzenie, ale duma kazała mu powiedzieć:

– Nie potrzebuję Rabata, żeby zwyciężyć. Możesz go sobie dosiąść, *ferengi*... jeśli tylko ci na to pozwoli.

– Jesteś naprawdę bardzo łaskawy – odparł Ross, hamując złośliwy uśmiezek. – Domyślałem się, że Rabat został nauczony specjalnych manewrów, potrzebnych do gry. Co muszę wiedzieć, żeby odpowiednio go poprowadzić?

Na szczęście przynajmniej pół tuzina mężczyzn rzuciło się do wyjaśnień, bo Dil Assa wyraźnie nie miał na to ochoty. Po kilku minutach słuchania Ross uznał, że chyba już zrozumiał, czego może się spodziewać po wyszkolonym przez Turkmenów koniu.

Żeby oswoić go ze swoim głosem, spędził kilka chwil, głaszcząc zwierzę po szyi i przemawiając do niego po angielsku. Potem sprawdził napięcie popręgu, podłżył strzemiona i wskoczył lekko na siodło.

Oburzony impertynencją obcego, Rabat natychmiast ruszył do akcji, napinał mięśnie i cofał się w dzikiej próbie zrzucenia jeźdźca. Miał naprawdę imponujący repertuar wierzgnięć, skrętów i skoków, ale Ross pamiętał ostrzegawczy ton Dil Assy, więc był przygotowany na takie zachowanie. Kiedy publiczność roztropnie oddaliła się na bezpieczną odległość, nastąpi-

ła krótka, ale intensywna walka między człowiekiem i zwierzęciem.

Ross musiał użyć całej swojej siły i koncentracji, żeby utrzymać się na grzbiecie konia, pokazując mu, kto rządzi. Kiedy Rabat skoczył dziko w bok, Ross kątem oka pochwycił spojrzenie Juliet. Nawet mimo zasłony na twarzy żony wyczuł, że jest zadowolona z jego występu. Punkt dla Brytyjczyków.

Biały ogier nie był z natury złośliwy, a tylko bardzo porywczy i dumny. Nie chciał bez walki poddać się nieznanemu jeźdźcy. Kiedy już wytracił trochę energii, uspokoił się i zaczął reagować na bodźce.

Pragnąc się przekonać, co potrafi jego wierzchowiec, Ross wyjechał na otwartą przestrzeń. Popędzał konia od kłusa do galopu, ucząc się przy tym, jak skutecznie zatrzymywać Rabata, obracać go i zmuszać do skoków. Wierzchowiec okazał się zadziwiająco szybki i natychmiast wyczuwał, czego chce jeździec. Potrafił też obracać się w mgnieniu oka i skakać tak wysoko, jak jeszcze żaden koń, którego Ross dosiadał. Sprawdzanie umiejętności Rabata przypominało testowanie nowej broni, tylko że było większym wyzwaniem, bo wierzchowiec potrafił myśleć.

Po czterdziestu pięciu minutach ogromnie wyczerpujących ćwiczeń jeździec i wierzchowiec zaczęli się rozumieć. W ostatnim eksperymencie Ross zmusił Rabata do pełnego galopu, potem złapał za róg przy siodle i zsunął się w dół, tak że prawie całym ciałem wisiał niebezpiecznie nad kamienistą ziemią. Próba była groźna, bo nagły skręt ze strony konia skończyłby się upadkiem jeźdźcy i uderzeniem głową o ziemię przy ogromnej prędkości.

Ross podciągnął się na siodło, zwolnił do kłusa i tak wrócił do Turkmenów, będąc w bardzo pogodnym nastroju. Większość widzów uśmiechała się i chwaliła głośno jego wyczyny, ale Dil Assa z ponurą miną przyglądał się mu w milczeniu.

– Wspaniały ten wierzchowiec, Dil Asso! – krzyknął Ross, nie przejmując się wyrazem twarzy Turkmena. – Jeśli to ty wytrenowałeś Rabata, należą ci się pochwały.

– Zgadza się. Ja go wytrenowałem. – Dil Assa był poirytowany i niemile zaskoczony umiejętnościami jeździeckimi *ferengi*. – Kiedy Rabat się rodził, złapałem go w ręce, żeby nie upadł na ziemię i nie połamał sobie skrzydeł.

Karmiłem jego matkę tuzinem jajek dziennie, żeby miał lśniące futro. Przez trzy lata biegał na wolności, nie znając ani uzdy, ani siodła. Przez następne sześć lat nauczyłem go wszystkich manewrów używanych w grze. Nie ma lepszego konia do *buzkaszi*. Traktuj go z szacunkiem.

– Spróbuję udowodnić, że jestem wart go dosiadać – odpowiedział Ross.

– A przy okazji, czy masz jeszcze jednego wierzchowca dla mojego służącego, żeby mógł na nim dojechać do miejsca, gdzie odbędzie się mecz?

Z oczami zwężonymi ze złości Dil Assa przesunął wzrokiem po pozostałych koniach.

– Twój służący może sobie wziąć tamtego kasztanka. – Wskazał konia ruchem głowy, wskakując na ognistego ciemnego gniadosza.

– Uważaj, sługo – odezwał się Ross do Juliet, używając tamaszka, jakby tłumaczył słowa Dil Assy – Wydaje mi się, że naszemu gospodarzowi bardzo zależy na tym, żeby ktoś dzisiaj skręcił sobie kark.

Nie racząc odpowiedzieć, Juliet poprawiła kasztankowi popręg i strzemiona, a następnie go dosiadła. Młody, nerwowy kasztanek nie bronił się przed nowym jeźdźcem z takim uporem jak Rabat, ale i tak straszliwie wierzgał, więc doszło do następnego pojedynku. Juliet nie miała takiej siły jak mąż, za to nadzwyczajną zdolność wyczuwania każdego następnego posunięcia konia, dzięki czemu dość szybko nad nim zapanowała. Dil Assa się skrzywił.

– Może twój sługa także z nami zagra.

– Nie – odparł zdecydowanie Ross. – Kto zajmie się wielbłędami, jeśli Jallal coś sobie złamie?

Godząc się z logiką odpowiedzi, Dil Assa rozkazał swoim ludziom wsiąść na konie, a potem cała grupa wyruszyła w kierunku placu do *buzkaszi*. Znajdował się jakieś dwie mile dalej i, zgodnie z przewidywaniem Juliet, było już przy nim tłumnie. Widzowie rozsiedli się na wydmach, podniekcytowani i gotowi do kibicowania. Pomiedzy nimi krążyli kramarze, oferujący jedzenie i picie.

Gracze jeździli leniwie po placu na swoich wierzchowcach. Było ich ponad trzydziestu, każdy szczupły, o groźnym wyglądzie. Większość miała na głowie czapy wykonane futrem karakułowym albo lisim, i wszyscy trzymali w rękach krótkie pejcze.

Juliet zsunęła się z kasztanka i oddała wodze jednemu z Turkmenów, a potem już pieszo poszła odnaleźć Saleha i Murada. Nadjechał Dil Assa i zwięźle poinformował Rossa o zasadach.

– Tam jest *buz*, kozioł.

Pozbawione głowy zwierzę, utyłane w piasku, leżało na środku narysowanego wapnem kręgu.

Dil Assa machnął dłonią w stronę horyzontu.

– Tam jest słupek, wokół którego trzeba przewieźć kozła. Ponieważ słońce stoi wysoko, a rozgrywamy tylko mały przyjacielski mecz, słupek ustawiliśmy bliżej niż zazwyczaj. – W rzeczywistości prawie nie było go widać z tej odległości.

W końcu wskazał na okrąg.

– *Buz* musi wrócić do *hallal*, okręgu sprawiedliwości. Ten, kto wrzuci kozła do okręgu, wygrywa. – Pokazując zęby w cwaniackim uśmiechu, dodał:

– Zaczynamy, mój przyjacielu *ferengi*?

– Jestem gotowy – odpowiedział uprzejmie Ross.

Na znak Dil Assy, mistrz *buzkaszi*, straszny mężczyzna z twarzą poznaną bliznami po pejczu, gwizdnął przenikliwie na palcach.

Zawodnicy natychmiast zebrali się wokół okręgu, w którym leżał kozioł. Ross stanął naprzeciwko Dil Assy. Powietrze wibrowało napięciem. Jeźdźcy ustawiali się na swoich pozycjach, a na ich twarzach malowały się podekscytowanie i zaciekleść.

Mistrz podniósł rękę i opuścił.

– Zaczynajcie!

W jednej chwili krąg zawodników rozbił się, a oni sami, kłując ostrogami konie, rzucili się do chaotycznej walki. Tylko Ross trzymał się z boku, chcąc najpierw poobserwować przeciwników, żeby lepiej zrozumieć grę.

Zawodnicy szaleli po placu, przechwytyjąc jeden od drugiego ciało kozła, które latało to w górę, to w dół, nad siodłami i pod brzuchami koni. Dwukrotnie spadło na ziemię, ale zaraz ktoś je poderwał. Dzikość leżała w naturze graczy. Powietrze wypełniło się zapachem końskiej sierści, potu, krwi i skórzanych uprzęży. Ross szybko się zorientował, że pejczy nie tyle są przeznaczone dla koni, ile dla przeciwników. Ręce i twarze zawodników już po kilku minutach meczu poprzecinane były do kości, ale w ferworze

walki nikt nie zwracał na to uwagi. Wysokie buty trzymały jeźdźców w strzemionach, kiedy wyrwali się po zdobycz z obłędem w oczach i pejcami pomiędzy zaciśniętymi zębami.

W pewnej chwili całe to kłębowisko wpadło w tłum widzów. Ludzie, wyjąc, rozbiegli się na boki, ale niektórzy nie byli dość szybcy i, gdy zawodnicy przenieśli się na inną część placu, została po nich grupa poranionych, jęczących ofiar.

Ross doszedł do wniosku, że spora liczba zawodników i ich wierzchowce wyczerpią energię, na długo zanim dotrą do okręgu sprawiedliwości. Mieliby większe szanse na wygraną, gdyby bardziej oszczędzali i siebie i konie. Ale mężczyźni przed nim nie zaprzatali sobie głowy strategią; walczyli dla czystej barbarzyńskiej radości płynącej z gry.

Napęczniałe agresją powietrze wokół Rossa i Rabata burzyło w nich krew, coraz bardziej pragnęli przyłączyć się do dzikiej orgii.

Wytrenowany do *buzkaszi* ogier rwał się do walki, ale Ross go powstrzymywał, choć musiał użyć całej siły ramion i kolan.

Nawet bardziej niż z koniem Ross walczył ze sobą. Kiedy już na własne oczy przekonał się, na czym polega *buzkaszi*, postanowił, że będzie uczestniczyć w grze, zachowując umiar, ale teraz bał się do niej dołączyć. Tak łatwo można było – zbyt łatwo – dać się wciągnąć w wir zawziętej bitwy, stracić rozsądek i opanowanie.

Choć nieraz w życiu znajdował się w sytuacjach, w których groziła mu utrata kontroli nad sobą, jeszcze nigdy nie uległ pokusie poddania się szaleństwu, bo gdzieś w głębi obawiał się, co mogłoby się stać, gdyby do tego dopuścił. Jeśli raz ulegnie, czy zdoła później powrócić do normalności? Tak więc trzymał się z boku, stojąc z Rabatem na obrzeżach placu.

Rozgrywka toczyła się powoli, z ponurą determinacją, aż w końcu *buz* znalazł się w trzech czwartych odległości od słupa. Wtedy jednemu z jeźdźców udało się wyrwać na wolność z ciałem kozła przewieszonym przez siodło.

Był to Dil Assa. Pomimo ścigających go zawodników, przez kilka krótkich, wspaniałych minut gnał przez plac samotnie, przy wtórze zachęcających wrzasków tłumu. Okrążył słup, krzycząc triumfalnie, ale żeby osiągnąć cel, musiał wrócić tam, skąd przyjechał – gdzie czekali już przeciwni-

cy. Po raz wtóry rozgrywka zamieniła się w walkę bez zasad.

Ross jechał obok głównej grupy zawodników, ale nie brał udziału w meczu, bardziej był skupiony na wewnętrznej walce ze sobą niż na tym, kto przechwyci kozła. Wtedy pojawił się przed nim Dil Assa.

– Tchórz! – wysyczał. – Marnujesz najlepszego konia *buzkaszi*. Nie jesteś mężczyzną. – Zupełnie zapominając o przyrzeczeniu złożonym kalifowi, uniósł obsadzony ołowiem, ciężki pejcz i zamachnął się nim na Rossa. – Pluję na ciebie, *ferengi*!

Ross w porę cofnął konia, unikając smagnięcia batem. Dil Assa, nie zwracając na to uwagi, pchnął swojego wierzchowca do przodu i z furią wymachując biczem, znów się zamierzył.

Ross z kocią zwinnością pochwycił rzemień lewą ręką. Nie zważając na piekący ból, z całych sił pociągnął za pejcz, wyrywając go z rąk przeciwnika.

– Jeśli chcesz przegrać, Turkmenie, niech tak będzie! – Rzucił bicz na ziemię. – Teraz walczę o zwycięstwo!

Okręcił Rabata i rzucił się w stronę głównej grupy zawodników. Ogier Rossa gnał po placu niczym anioł zemsty, radując się, że wreszcie pozwolono mu dołączyć do gry. Wiedząc, że ciało kozła znajdzie w samym środku tłumu jeźdźców, Ross pędził prosto na nich, zamierzając się przebić siłą.

Wtem zorientował się, że Rabat szykuje się do skoku. W krótkiej chwili doskonałego porozumienia między człowiekiem i zwierzęciem Ross wy czuł, że ogier chce runąć wprost na kłębowisko walczących zawodników i ich konie.

To było szaleństwo, ale Ross nie zastanawiał się ani sekundy. W *buzkaszi* nie obowiązują reguły. Żadne. Miał wrażenie, że napięte mięśnie konia, buchająca od niego agresja wyrażają to, co dzieje się także z jego własnym ciałem. Razem wzbili się w powietrze i przez moment Rabat szybował jak Pegaz.

Potem człowiek i zwierzę runęli na kłębiący się, wykrzykujący przekleństwa tłum. Powstał kompletny chaos. Kopnięcia, ciosy pięściami i uderzenia biczami spadały na Rossa i jego wierzchowca, ale otworzyła się dla nich przestrzeń, tuż przy miejscu, gdzie walczono o kozła.

Nieświadomy, że uderza o innych jeźdźców, Ross wsadził sobie pejcz między zęby, potem runął w duszącym kurzu w stronę kozła, przyczepiony

do konia tylko jedną stopą i ręką zaciśniętą na rogu przy siodle. Wyciągnąwszy ramię, zdołał pochwycić tylną nogę *buz*. Zawodnik, który wcześniej trzymał kozła, walczył wściekle o odzyskanie go, ale brakowało mu zacieklej i świeżej siły przeciwnika, więc już po kilku sekundach Ross wyrwał mu łup z rąk.

Ciężar ciała kozła sprawił, że Ross prawie runął na kamienistą glebę. Zebrał się w sobie i udało mu się jakoś wrócić na siodło.

Przerzucił poszarpanego kozła przez siodło i wjechał w tłum. Nie czuł spadających na niego razów i nie miał skrupułów, żeby je oddawać. Wszystkie pięści i bicze celowały w niego i Rabata, ale i oni parli wytrwale przed siebie. Gnali przez tłum, rozpędzając zawodników na boki.

W końcu wypadli na otwartą przestrzeń. Kurz tak kłuł Rossa w oczy, że ledwie widział cel, ale zmusił Rabata do galopu, polegając na zdolnościach konia i jego instynkcie; musieli się dostać do koła w najkrótszym czasie. Chcąc obetrzeć oczy, Ross puścił kozła i sięgnął ręką po rąbek turbanu. W tej samej chwili ktoś pochwycił jego zdobycz. To znowu był Dil Assa. Z furją w oczach przeciągał *buz* na swoje siodło. Zaraz też wbił pięty w boki gniadosza, chcąc uciec, ale nie zdążył, bo Ross złapał ręką za tylną nogę kozła. Próbował wyrwać ścierwo, ale Dil Assa z takim samym uporem i siłą trzymał przednią nogę kozła i nie puszczał.

Dwa konie pędziły w stronę celu jeden przy drugim, bo żaden z mężczyzn nie zamierzał ustąpić. Otoczyli ich inni jeźdźcy, wrzeszcząc i strzelając pejcami, ale Ross skupiony był tylko na przeciwniku i brutalnej rywalizacji o wygraną.

Żeby przerwać niebezpieczną patową sytuację, Ross zaczepił jedną nogę o wysoki róg siodła, a potem przechylił się na bok konia, i wykorzystując swój ciężar jako dodatkową siłę. Kozioł przeleciał na stronę Rossa, tak że ten niemal stracił równowagę. Niewiele brakowało, żeby wraz z koniem przewalił się na ziemię, wprost pod kopyta koni nadjeżdżających zawodników, ale raz jeszcze uratował go przed tym róg na siodle.

Kiedy się wyprostował, zobaczył, że przednia noga kozia, oderwana od ciała, znajduje się w rękach Dila Assy. Resztę ciała miał Ross. Z okrzykiem wściekłości Dil Assa zamachnął się nogą na przeciwnika i znowu rzucił się na niego, by odzyskać łup, ale było już za późno, bo właśnie docierali do



celu.

Gdy Ross rzucił kozła do wyznaczonego wapnem okręgu, z ust widzów wyrwały się głośne okrzyki: *Hallal, hallal!* Zaraz potem przeszły w śpiewne: „Kilburn, Kilburn!” Tłum szalał.

Ross uniósł ramię w geście zwycięstwa. Poczł w sobie przyptływ dzikiej prymitywnej radości. Choć nieraz, będąc uczniem, brał udział w różnych sportowych zawodach, jeszcze nigdy wygrana nie sprawiła mu takiej satysfakcji z własnej sprawności.

Już wcześniej wyszukał wzrokiem miejsce, z którego przyglądali się grze Juliet, Saleh i Murad. Pragnął, by żona dzieliła z nim triumf. Łatwo było ją dostrzec, bo wysoka i szczupła, wyróżniała się spośród tłumu kolorowo odzianych Turkmenów.

Na chwilę ich oczy się spotkały. Ross poczuł ukłucie w sercu, ale odległość była zbyt duża, by mógł odczytać wyraz twarzy Juliet. Zaraz zresztą odwróciła głowę na bok. Być może była przygnębiona, że zapomniał, iż miał przetrwać mecz bez narażania się na ryzyko. Bez względu na jej intencje, gest żony sprowadził Rossa na ziemię. Kiedy emocje zaczęły opadać, poczuł wdzięczność za to, że bez szwanku powrócił do zdroworozsądkowego stanu umysłu, choć zarazem zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo jest zgrzany, zmęczony i poobijany. Z trudem oddychał, a żebra kłuły go przy każdym oddechu.

Z pobocza podszedł do niego mistrz *buzkaszi*, chcąc odprawić rytuał kończący zwykle zabawę. W zgiełku nikt nie mógł usłyszeć jego słów, ale promieniał radością, kiedy wręczał zwycięzcy mały przedmiot.

Ross się nie spodziewał, że dostanie nagrodę. Trzymał w ręku starożytną złotą monetę, za którą, żeby ją pozyskać, profesorowie z Oxfordu nie cofnęliby się nawet przed zabójstwem. Sądząc po profilu greckiej twarzy wybitej na monecie, pochodziła z czasów Aleksandra Wielkiego. W Rossie odezwał się instynkt naukowca, ale nie był to czas na takie rozważanie, więc skinął tylko głową w wyrazie wdzięczności i schował monetę do kieszeni.

Mecz był ciężki i zewsząd dobiegały słowa pochwały dla zawodników, jednak głównym bohaterem pozostawał *ferengi* i to wokół niego tłoczyli się ludzie, chcąc podać mu dłoń i podzielić się uwagami.

Potrząsając ręką następnej z kolei osoby, Ross zdał sobie sprawę, że wró-

cił mu nie tylko zdrowy rozsądek, ale też pamięć o zasadach sportowej rywalizacji, które wpojono mu w dzieciństwie. Rozejrzał się dokoła, szukając swojego przeciwnika. Dil Assa stał nieopodal, otoczony kółkiem wielbicieli. Jadąc ostrożnie, żeby nikogo nie zranić, Ross podjechał na Rabacie do Turkmena. Dil Assa posłał mu wrogie spojrzenie.

– Miałeś szczęście, *ferengi*.

– To prawda – zgodził się Ross. – Gdyby nie ten wspaniały koń... – pogładził spocony kark Rabata – ... albo fakt, że kozioł miał słabszą przednią nogę od tylnej, nigdy bym nie wygrał.

– A jednak triumfujesz.

– Wcale nie. – Ross wysunął do wroga rękę. – W moim kraju obowiązuje taka tradycja, że po zaciętej walce zwycięzca podaje dłoń szacownemu przeciwnikowi.

Dil Assa, zdumiony i niepewny, przyglądał się tylko wyciągniętej ręce.

– I to ja jestem tym szacownym przeciwnikiem *ferengi*?

– Tak. – Nie cofając dłoni, Ross dodał: – Mam imię, wiesz? Nazywam się Kilburn. A tobie, Dil Asso, udało się wyprowadzić mnie z równowagi jak jeszcze nikomu w moim życiu.

Turkmen wybuchnął skrzekliwym śmiechem.

–A więc jednak odniosłem jakieś zwycięstwo, choć postąpiłbym mądrzej, gdybym nie wrywał cię z twojego letargu. – Złapał dłoń Rossa i silnie nią potrząsnął. – Jak na *ferengi*, bardzo dobrze jeździsz konno, Kilburn.

Ross roześmiał się, uradowany, ale w jakiś inny sposób niż kiedy wrzucał kozła do okręgu.

–Chwalić Turkmena za jego jazdę, to tak samo zbyteczne, jak powiedzieć, że słońce parzy, a woda jest darem Boga dla jego dzieci. – Puścił dłoń przeciwnika. – Powiem jednak, że obserwując ciebie, pojąłem, jak należy grać w tę grę: z zawziętością i radością.

Dil Assa uśmiechnął się i pochylił, żeby zerwać turban z głowy Rossa. Potem zdjął swoją wykończoną wilczym futrem czapę i wepchnął mu ją na głowę.

– Jeśli się zjawisz na tych terenach w zimowym sezonie, Kilburn, zagramy jeszcze raz. I jeśli, z wolą boską, do tego dojdzie, będziesz jechał jako czapendoz, mistrz *buzkaszi*.

Ross, posyłając Turkmenowi uśmiech wdzięczności, pomyślał, że przepocona stara czapa jest cenniejsza od każdego orderu, którym mogłaby go odznaczyć królowa Wiktorja.

Juliet oglądała rozgrywkę z mieszanymi uczuciami. Rozumiała jednak entuzjazm obserwatorów, bo mecz był dramatyczny i trzymał w napięciu.

Cieszyła się, że Ross nie oddał się grze całym sercem. Wprawdzie zawodnikom nie groziło nic więcej poza zranieniami, istniało jednak niebezpieczeństwo, że mogli spaść z konia i przetrącić sobie kark lub dać się strącić rozpędzonym wierzchowcom. Było też możliwe, że Dil Assa wykorzysta sytuację i spróbuje się pozbyć znieawidzonego *ferengi*.

Kiedy Ross i Dil Assa starli się, mąż stał się nagle innym człowiekiem. Juliet wiedziała, że jest wyśmianym jeźdźcem i że szybko się uczy nowych rzeczy, a mimo wszystko nie mogła uwierzyć w to, co rozgrywało się na jej oczach. Ross, dziko walczący o zwycięstwo, wyglądał jak pradawny wiking. Kiedy wrzucił kozła do okręgu sprawiedliwości, Juliet ogarnęło szaleństwo. Podskakiwała i krzyczała tak samo dziko jak wszyscy wokół. Roznosiła ją wprost nie tylko sama gra, ale też niepohamowana, prymitywna duma ze swojego mężczyzny, bo choć żyli w separacji, Ross nadal należał do niej. Gdyby znajdowała się blisko niego, mogłaby nawet rzucić się mu na szyję z radości.

Potem mąż rozejrzał się po tłumie i napotkał jej spojrzenie. Poczowała się tak, jakby coś w nią uderzyło. Robił wrażenie dzikiego i groźnego; zupełnie nie przypominał tego kulturalnego mężczyzny, którego znała. A już z pewnością nie był to opiekuńczy, opanowany towarzysz ostatnich kilku tygodni podróży.

Ale Juliet rozdrażniło nie tylko to, że wydał jej się kimś zupełnie obcym. W oczach Rossa dostrzegła coś intensywnie, niebezpiecznie zmysłowego, co wywoływało w niej taką samą reakcję.

Emanował czysto zwierzęcą męskością, która bez jej woli rozbudzała w niej samą esencję kobiecego instynktu. Gdyby byli sami, zdzierałaby już z siebie ubranie.

Zanim odwróciła głowę, przyglądali się sobie tylko chwilę, ale to wystarczyło, żeby zaczęła drzeć. Ze ściśniętym gardłem rzuciła jakąś bezmyśl-

ną uwagę do Saleha. Rozradowany Murad już przedzierał się przez tłum do swojego pana, ale Juliet została z Salehem i z wielbłądami. Bliskość Rossa była ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała.

Tłum rzednął, widzowie powoli się rozchodzili, choć o meczu z pewnością będą rozprawiać jeszcze przez następne kilka lat. Ross zsiadł z konia i oddał wodze Dil Assie. Pożegnał się, po czym wraz z Muradem ruszyli w stronę Juliet i Saleha.

– Dobra robota, Kilburn – rzekł Saleh, wstając. – Staniesz się legendą w Turkiestanie: *ferengi*, który został mistrzem *buzkaszi*.

Ross wybuchnął śmiechem.

– Muszę przyznać, że ta gra przypadła mi nawet do gustu. *Buzkaszi* jest tak samo podniecające jak w Anglii polowanie na lisa, z tą przewagą, że tutaj zwierzyna jest już martwa. Nigdy nie widziałem sensu w tym, że kilkanaście ogarów i koni ugania się za jednym małym zwierzątkiem.

Na twarzy Rossa nie pozostał nawet ślad po niedawnej dzikości, nadal jednak przypominał romantycznego pirata. Mokra od potu biała koszula rozpięta do pasa odsłaniała owłosioną pierś. W wykończonej wilczym futrem czapie wyglądał jak barbarzyńca, co robiło wrażenie.

Przyglądając się mężowi, Juliet zażartowała w myśli, że Ross ma dwukrotnie szersze ramiona i dwukrotnie węższe biodra od przeciętnego mężczyzny. Potem zarumieniła się. Dzięki niebiosom za tagelmoust.

Bliskość męża sprawiała, że Juliet czuła słabość w nogach i zawroty głowy, więc się odwróciła, żeby nie pozwolić sobie na jakiś zawstydzający gest. Ross pewnie musi być głodny po meczu, bo przecież zużył tyle energii. Bez słowa podała mężowi płaski chlebek i kawałek owczego sera.

– Dziękuję – rzucił, a potem, cicho, żeby Murad nie usłyszał, dodał: – Wybacz, że zapomniałem o obietnicy i nie zachowałem angielskiej powściągliwości. Mam nadzieję, że mecz nie wydał ci się przesadnie ekscytujący.

Juliet chciała odpowiedzieć, ale głos odmawiał jej posłuszeństwa.

– Nie obraziłabym się, gdybyś tak nie szalał – mruknęła, przetykając z trudem ślinę. – Ale przynajmniej wyszedłeś z meczu bez szwanku. – Spojrzała na dłonie męża. Były podrapane i posiniaczone, z kilkoma ociekającymi krwią rozcięciami. – No może nie tak zupełnie bez szwanku.

Rozprostował palce i skrzywił się.

– Zadrapania trochę pieką, ale nic nie jest złamane.

Juliet przywiozła ze sobą kawałki czystego płótna, w razie gdyby potrzebne były bandaże, więc teraz wyciągnęła je z torby i namoczyła. Potem podniosła prawą rękę Rossa i oczyściła ją z krwi i kurzu. Przyjęcie roli pielęgniarki uspokoiło ją, dzięki czemu mogła bez większych emocji dotykać męża.

Kiedy skończyła opatrywać mu rękę, Ross, jakby przypadkowo, przesunął koniuszkami palców po wierzchu jej dłoni, co było tak zmysłowym doznaniem, że Juliet zakręciło się w głowie. Nie potrafiła nad sobą panować. Spojrzała na męża podejrzliwie, ale on zajęty był rozmową z Salehem i Muradem, nie zwracał na żonę uwagi. Muśnięcie musiało być przypadkowe, ale Juliet i tak zadbała, by coś podobnego się nie powtórzyło, kiedy opatrywała mężowi drugą rękę.

To, co zobaczyła pod kurzem i zaschniętą krwią, było niepokojące, zwłaszcza że kilka głębszych skaleczeń nadal krwawiło: należało poważniej się nimi zająć. Zerknęła na Murada, zajętego gaszeniem małego ogniska, które rozpalili, żeby w trakcie meczu móc napić się herbaty.

– Nie gaś – powstrzymała go.

Przypalone włosy to stary i sprawdzony sposób na mniejsze skaleczenia. Juliet najchętniej użyłaby własnych, gdyby nie kamuflaż. Tak więc wyciągnęła nóż i ucięła kilka długich czarnych włosów z zarostu na gardzieli wielbłąda. Położyła je na kamieniu, przysypała rozżarzoną węglem, tak żeby włosy zajęły się płomieniem. Potem zebrała pozostały po nich popiół. Ross przyglądał się jej poczynaniom z zaciekawieniem.

Roztarła w palcach trochę popiołu i posypała nim najgłębsze skaleczenia. Krew natychmiast zakrzepła.

– Interesujące – powiedział. – To jakiś perski sposób na rany?

– Afgański – uściśliła. – Popiół ze spalonych włosów działa tylko na mniejsze skaleczenia, ale zatrzymuje krwawienie i zmniejsza ryzyko infekcji. Nadają się do tego każde włosy.

– I po co nam chemiczne preparaty! A przy okazji, jak tam twoje ramię?

– Dobrze. Prawie o nim zapomniałam – odpowiedziała zgodnie z prawdą, kończąc opatrywanie dłoni męża. Choć, tak po prawdzie, kiedy Ross przypomniał jej o obrażeniu, uświadomiła sobie, że ramię jeszcze pulsuje

lekkim bólem. Podeksycytowana meczem, zupełnie nie zwróciła na to uwagi.

W drodze powrotnej do Mary co jakiś czas zaczepiali ich ludzie, składając Rossowi gratulacje. Wyglądało na to, że mecz oglądali wszyscy mieszkańcy z terenu Kara–Kum. Ross szybko stawał się legendą.

Podążali wzdłuż rzeki. Wąska i obrośnięta sitowiem, wiała się przez pustynię leniwymi zakolami, przyciągając wzrok zielonym nabrzeżem kontrastującym z piaskowym terenem wokół. Dotarli do miejsca, w którym brzeg porastały wierzby. Ross zatrzymał Juliettę i tęsknie spojrzął na wodę. Potem z szelmowskim uśmiechem skierował wielbłądźcę w stronę rzeki.

– Wracajcie beze mnie. Niedługo do was dołączę.

Zeskoczył na ziemię, zdjął buty, koszulę i czapkę Dil Assy, po czym z okrzykiem radości zanurkował w wodę.

Widok na wpół nagiego męża wzbudził w Juliet pożądanie, mimo że bardzo chciała panować nad emocjami. Ten dzień był wyjątkowo upalny, a teraz na dodatek uderzyła w nią taka fala gorąca, iż myślała, że zemdleje.

– Doskonały pomysł, Kilburn! – zawołał z entuzjazmem Murad, ignorując polecenie swojego pana, żeby wracali do obozowiska bez niego. – Dołączymy do ciebie. – Podprowadził wielbłąda, którego dzielił z Salehem, do brzegu rzeki. Potem zmusił zwierzę do ukłęknięcia, wykaraskał się ze swojego kosza i też zaczął się rozbierać.

Saleh również wysiadł i zdjął sandały. Spoglądając na Juliet, której wielbłąd podążył za resztą, zaproponował:

– Jeśli nie pływasz, przynajmniej przespaceruj się ze mną po płyciźnie.

Nie tak szybko jak reszta Juliet zsiadła z wielbłąda. Była rozgoryczkowana, czuła, jakby objął ją ogień i zaraz miała spłonąć, więc woda kuśiła niczym raj, ale nie wyobrażała sobie, że dołączy do męża w rzece.

Ross obejrzał się i prysnął w jej stronę wodą.

– Tak, Jalal. Przynajmniej zamocz stopy.

Pokręciła głową. Najlepiej by zrobiła, gdyby wróciła do obozowiska, ale w tej chwili nie miała w sobie na tyle siły, żeby się do tego zmusić. Odwróciła się i poszła przed siebie, znikając towarzyszącom z oczu.

Oddychała ciężko i nieregularnie, podążając wzdłuż brzegu, aż znalazła niewielką ustronną zatoczkę, z rosnącymi na brzegu wierzbami i wysokimi trzcinami. Nie potrafiła już nad sobą panować – osunęła się na kolana tuż

przy wodzie i drżącymi rękami zdarła z głowy tagelmoust. Od wyjazdu z Serevanu nieustannie, dniem i nocą, jej ciało krępowwały warstwy materiału, i teraz czuła, że się udusi, jeśli nie odsłoni twarzy i głowy.

Rzuciła tagelmoust na ziemię, potem nabrała wody w dłonie i skropiła nią twarz i szyję. Błogosławiony chłód mógł uspokoić zarówno umysł, jak i ciało.

Sądziła, że z czasem przebywanie w pobliżu Rossa będzie łatwiejsze. W rzeczywistości z każdym dniem stawało się trudniejsze. A już dzisiaj jej podniecenie sięgnęło naprawdę niebezpiecznego pułapu; oznaczało to, że Juliet traci samokontrolę.

Nie, nieprawda. Będzie robiła to, co do niej należy. Sama przecież nalegała, żeby Ross zabrał ją ze sobą, musi więc pogodzić się z konsekwencjami swojej decyzji. Za jakieś dziesięć dni dotrą wreszcie do Buchary, a tam na pewno będą mniej czasu spędzać razem. Wtedy odzyska spokój ducha.

Juliet szukała ustronnego miejsca, bo potrzebowała samotności, ale kiedy odzyskała panowanie nad sobą, uznała, że byłaby głupia, gdyby nie wykorzystała sytuacji i nie wykąpała się. Pospiesznie zrzuciła ubranie, rozpłótkła warkocz i weszła do wody. Przyjemnie chłodna w zetknięciu ze skórą była niczym jedwab. Zanurzyła się I aż po ramiona, a następnie zanurkowała, żeby zmoczyć włosy, potem zaczęła trzeć je palcami.

Z wielką ochotą zostałyby w rzece przez resztę dnia, ale bała się, że jeśli zabawi zbyt długo, któryś z jej towarzyszy zacznie jej szukać, musiała więc się pospieszyć. Po wyjściu na brzeg wytarła się opończą, a potem ubrała. Żałowała, że nie ma świeżego ubrania na zmianę.

Włożyła strój Tuarega, usiadła po turecku i palcami zaczęła rozczesywać splątane, wilgotne włosy. Postąpiłaby rozsądniej, gdyby przed wyprawą je obcięła, ale nie mogła się do tego zmusić. Rossowi zawsze się podobały długie, więc nie skracając ich, zrobiła mu potajemny prezent, taki, o którym nigdy się nie dowie.

Splatając warkocz, zastanawiała się, co też mąż naprawdę o niej myśli. Choć był opiekuńczy, a nawet życzliwy i odnosił się do niej z taką samą jak do innych uprzejmością, podejrzewała, że jest dla Rossa godnym pożałowania wspomnieniem z przeszłości, może nawet utrapieniem, choć nadal czuł się za nią w jakimś stopniu odpowiedzialny. Poza pocałunkiem w Sereva-



nie, wyglądało na to, że przestała go pociągać. Ten brak zainteresowania był dla Juliet zbawczy, bo wcale nie miała pewności, czy, gdyby Ross na poważnie próbował ją uwieść, potrafiłaby mu się oprzeć. Jeśliby uległa, doszłoby do katastrofy.

Zaabsorbowana własnymi myślami, nawet nie usłyszała odgłosu kroków za plecami. Gdy jednak do niej dotarło, że ktoś idzie, wpadła w pośluch, myśląc, że to Ross, choć miała nadzieję, iż zobaczy Saleha.

Ale nie pojawił się ani Ross, ani Saleh. Murad wykrzyknął:

– Jalal, gdzie jesteś?! Już odjeżdżamy.

Odwróciła głowę akurat w chwili, gdy młody Pers wychynął z wysokiego sitowia. Z otwartymi ustami wpatrywał się osłupiały w miedziane włosy Juliet. Spojrzał na znajomą ciemną szatę, potem wrócił wzrokiem do twarzy.

– Jalal? – wykrztusił.

Juliet zerwała się na nogi, klnąc w duchu we wszystkich znanych sobie językach. Swoją niefrasobliwością sprawiła, iż cały wysiłek, żeby ukryć jej tożsamość przed Muradem, poszedł na manie: mogła nie przypominać mu żadnej kobiety z jego życia, ale przecież nie był głupcem.

W tej sytuacji musi wyjawic prawdę i wciągnąć Murada do spisku, albo utopić go w rzece. Pers wykazał się wielką lojalnością wobec Rossa, więc uznała, że raczej można służącemu zaufać.

– Czy istnieje szansa, że dasz się przekonać, iż wszyscy Tuaregowie mają rude włosy i kobiece twarze o jasnej karnacji? – powiedziała płynnie po persku, porzucając szorstki ton i twardy akcent.

– Na Boga, ty naprawdę jesteś kobietą, i to *ferengi!* – wykrzyknął Murad, upewniony słowami Juliet, że wzrok go nie mylił.

– Zgadza się. Uznaliśmy jednak, że w tej podróży powinnam występować w przebraniu mężczyzny.

Ciemne oczy młodzieńca zwęziły się w szparki.

– Czy Kilburn o tym wie?

– Wie. Tak się składa, że jestem jego żoną.

Murad rozważał coś w zamyśleniu.

– Ale przyłączyłaś się do nas dopiero w Serevanie. Jeśli jesteś jego żoną, skąd się tam wzięłaś?

– Jestem właścicielką Serevanu i żyję w Persji już od wielu lat, bez męża.

Saleh jest moim zarządcą – wyjaśniła. – A więzień emira to mój brat i dlatego postanowiłam towarzyszyć Kilburnowi w wyprawie do Buchary.

– To mężczyźni *ferengi* pozwalają swoim kobietom zachowywać się w taki sposób? – dziwił się chłopak.

– Kilburn różni się od innych mężczyzn, a ja także nie jestem podobna do większości kobiet – odpowiedziała pokrętnie Juliet, nie chcąc podkopywać autorytetu Rossa.

– To święta prawda. – Patrzył z podziwem na jej ogniste włosy. Juliet wtknęła warkocz pod togę, potem podniosła tagelmoust i zaczęła okręcać nim głowę i twarz.

– Uważaliśmy, że będzie bezpieczniej, jeśli się nie dowiesz, kim jestem, ale skoro los chciał inaczej, ułatwi to życie nam wszystkim.

Murad pokiwał głową, zastanawiając się nad czymś.

– Pokonałaś Habiba!

– Oczywiście – przyznała spokojnie. – Lepiej od niego posługiwałam się nożem, więc wygrałam. Fakt, że jestem kobietą, nie miał tu nic do rzeczy.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Jak naprawdę masz na imię?

– Juliet.

Zamrugął oczami.

– Tak jak wielbłąd Kilburna?

– To rzeczywiście podobne imiona – skwitowała krótko, myśląc zarazem, że niestety Pers dość szybko kojarzy fakty. Podnosząc czarną opończę, ruszyła przez sitowie. Chłopak szedł za nią, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

– Murad przyłapał mnie bez osłony na twarzy, więc wszystko mu wyznałam – powiedziała Juliet po angielsku, kiedy dołączyli do reszty.

– Obawiałem się, iż może do tego dojść, kiedy poszedł cię szukać. Cóż, musimy zrobić z tego jak najlepszy użytek.

– Nie zaufałeś mi, panie. – Murad był zrozpaczony. Ross patrzył na niego z powagą.

– Nie chodziło o to, że ci nie zaufałem, Murad, ale o to, że mężczyzna musi być bardzo ostrożny, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo jego żony. – Widząc, że tym wyjaśnieniem ukoił trochę rozżalenie chłopaka, ciągnął: – Teraz, kiedy tożsamość Juliet nie jest już tajemnicą, możemy całą czwórką

zastanowić się, co będziemy robić w Bucharze.

Na jego znak wszyscy usiedli pod wierzbą.

– Masz jakiś plan? – zapytał Saleh.

– Buchara to miasto szpiegów. Jako *ferengi* wzbudzę tam wiele zainteresowania – zaczął Ross. – Najlepiej, jeśli wasza trójka wynajmie sobie oddzielne pokoje. Poza tym, że będziecie mieć większą swobodę poruszania się po mieście, może nie ściągniecie też na siebie gniewu emira.

Saleh zmarszczył czoło.

– Jest w tym trochę racji. Mam rodzinę w Bucharze i dzięki niej mogę zdobyć jakieś przydatne nam informacje. Ale ktoś musi z tobą zostać, bo twoja ranga wymaga, byś miał służącego. Poza tym, jeśli zostaniesz sam, dotarcie do ciebie będzie dla mnie niebezpieczne i trudne.

Ross zastanowił się nad uwagą starca.

– To ma sens. Juliet zostanie z tobą, a Murad ze mną.

– Nie – sprzeciwiła się natychmiast. – Gdzie ty. tam i ja. Trzej mężczyźni popatrzyli na nią z uwagą, a ona poczuła, że się rumieni. Jej protest był irracjonalny, ale wypowiedziała go z pełną mocą. Jeszcze pół godziny temu zapewniała samą siebie, że musi się oddalić od Rossa, a jednak teraz na samą myśl o rozstaniu robiło jej się słabo. Na szczęście, gdy próbowała znaleźć jakieś rozsądne uzasadnienie dla swojego uporu, odezwał się Murad:

– Zgadzam się. Szaleńcy są w islamie traktowani jak święte krowy i dzięki temu mają dużo swobody. – Przez usta przemknął mu uśmieszek. – Choć „Jalal Tuareg” nie jest szalony, lady Kilburn doskonale odgrywa na wpół zdziczałego syna pustyni. Inni członkowie karawany wiedzą, że Jalal jest nieprzewidywalny i dlatego trzymają się od niego z daleka. W Bucharze lady Kilburn będzie mogła wchodzić i wychodzić prawie niezauważona, jak pies nomadów. – Uśmiechnął się. – Poza tym, czy mąż i żona nie powinni być razem?

Ross zerknął w stronę Juliet. Jego brązowe oczy pociemniały, a na twarzy malowały się te same mieszane uczucia, które rozpoznawała także u siebie. Obydwoje mogą pragnąć, by dzieliła ich jak największa odległość, ale dopóki ta misja się nie skończy, są ze sobą związani. To tak, jakby dwie osoby zmuszone były spać w wąskim łóżku, i z powodu niewygody nie mogły się dobrze wyspać.

– Więc dobrze – rzekł Ross. – Niech tak będzie. A teraz zastanówmy się, czego możemy się spodziewać w urzędzie celnym w Bucharze. Ciekaw jestem, czy pozwolą nam wnieść do miasta naszą broń.

– Z pistoletami nie powinno być problemów – uznał po namyśle Murad.  
– Ale te dwie piękne strzelby z pewnością skonfiskują.

– Może powinniśmy je w coś owinąć i zostawić przed miastem – zasugerował Saleh. – Mój brat nadal jest właścicielem rodzinnej rezydencji, niedaleko szlaku karawan. Myślę, że strzelby da się z łatwością ukryć w jednym z budynków gospodarczych.

Mężczyźni omawiali tę kwestię w szczegółach, ale Juliet się nie włączyła. Żywiła głębokie przekonanie, że podjęła słuszną decyzję, postanawiając trzymać się męża, niemniej domyślała się, że z tego powodu czeka ich oboje wiele trudnych chwil.

**P**odchodząc pod stromą piaszczystą wydmy, wielbłąd Juliet przechylił się tak niebezpiecznie, że zsiadła z niego i na piechotę prowadziła jego i drugiego wielbłąda, jucznego. Zwierzęta, nienawykłe do takiej wspinaczki, zaczęły ryczeć ze złości.

Na szczycie wydmy Juliet wskoczyła na siodło, a potem pozwoliła sobie na niewielki łyk wody. Zanim ją przełknęła, trzymała długo w ustach. Choć nagrzana w bukłaku i oleista, smakowała niczym ambrozja, bo dzień był tak upalny, jakby mieli lato, a nie wiosnę.

Po opuszczeniu Mary karawana spędziła trzy dni, przemierzając obszar pustyni, gdzie nie było żadnej oazy. W Rafitak mogli napełnić bukłaki, ale dopiero po odkopaniu dwóch studni, które bandyckie zgraje Turkmenów zasypały piaskiem i kamieniami.

Juliet ze znużeniem potarła czoło, myśląc, że byłoby cudownie poczuć wiatr na twarzy; miała już dosyć gorąca. Jednakże, niezależnie od tego, że musiała pozostawać w przebraniu, wysokie temperatury na pustyni zmuszają do noszenia kilku warstw odzieży, co ochrania ciało przed utratą zbyt dużej ilości wody.

Kiedy przedzierali się między wydmami, spod kopyt wielbłądów w powietrze pryskał piach, roznoszony dalej przez wiatr. Kara-Kum byłaby nie do zniesienia latem, gdyby nie coś, co mieszkańcy Turkiestanu nazywają poetycko „wiatrem stu dni”. Wiał z północy, czasami z południa, ale nigdy nie ustawał. W oddali Juliet dostrzegła „piaskowego diabła”, trąbę powietrzną, która wzbijała piasek wysoko w górę. Takie trąby często się zdarzały na tych terenach; raz udało jej się naliczyć sześć różnych „piaskowych diabłów” w tym samym czasie.

Z westchnieniem odwiesiła bukłak. Do Buchary zostało im mniej niż tydzień drogi. Dopiero wtedy zaczęła się prawdziwe kłopoty.

Pod koniec dnia karawana dotarła do dołu z wodą i postanowiono zatrzymać się tu na noc, bo do następnej studni mieli jakieś dwa dni drogi. Ponieważ podróżnicy rozbili się wcześniej, było jeszcze jasno, gdy Juliet i jej to-

warzyże skończyli skromny posiłek składający się z chleba, zmieszanego z szafranem ryżu, herbaty i daktyli. Zaraz potem Ross przeprosił wszystkich i gdzieś się oddalił, prawdopodobnie, żeby porozmawiać z jednym z przyjaciół, których pozyskał w czasie podróży. Saleh i Murad ułożyli się do drzemki w miejscu zacienionym kocem, rozwieszonym między ich dwoma koszami, a wielbłądy pasły się w pobliżu. Juliet natomiast, choć była zmęczona, odczuwała jakiś dziwny niepokój. Pomyślawszy, że przyjemnie by było mieć chwilę samotności, postanowiła się przejść.

Poszła w stronę wysokich na dwieście stóp wydmy. Ku jej zdumieniu, kiedy już nasyciła się samotnością i postanowiła wracać do obozowiska, ominąwszy wydmy, zauważyła, że na piasku siedzi Ross. Można by sądzić, że kontempluje krajobraz, ale spojrzenie miał niewidzące.

Już chciała zawrócić, lecz mąż, usłyszawszy cichy odgłos kroków, odwrócił się czujnie. Kiedy zobaczył Juliet, twarz mu się rozpozodziła.

– Widzę, że ty też nie byłaś jeszcze gotowa na odpoczynek. A więc dołącz do mnie. Zapraszam.

Po chwili wahania, Juliet siadła obok niego na piasku. To z jej wyboru od opuszczenia Mary niewiele ze sobą rozmawiali, ale przez te ostatnie kilka dni niszczące ją pożądanie nieco osłabło – gorąco, zmęczenie i pragnienie nie sprzyjały erotycznym fantazjom – uznała więc, że może bez obaw spędzić kilka chwil w towarzystwie męża.

– Myślałam, że wybrałeś się z wizytą do jakiegoś znajomego z karawany – powiedziała.

– Czasami lubię być sam na sam z pustynią. Jest piękna, nie i uważasz? – Wskazał szerokim gestem na wydmy. W przyćmionym blasku zachodzącego słońca ich falujące zbocza i osobliwe cienie ścielące się za nimi sprawiały niesamowite wrażenie.

– Tak, piękne, ale też ponure – przyznała. – Nie umiem zapomnieć, jak zielona jest Szkocja. I że tyle tam wody.

Ross ze zdziwienia aż uniósł brwi.

– Tęsknisz za Szkocją?

– Czasami. W końcu pierwsze pięć lat mojego życia spędziłam właśnie tam. Myślę, że to, co się pokochało w dzieciństwie, zostaje w sercu na zawsze.

– To prawda. Anglia, królestwo położone nad morzem, będzie zawsze moim domem. – Patrzył z zachwytem na rozpościerający się przed nimi widok. – Ale pomimo niebezpieczeństw, jestem wdzięczny za to, że dostałem drugą szansę podróżowania po Jedwabnym Szlaku. Fascynuje mnie myśl, że ludzie przemierzają tę dzicz, z Rzymu do Chin i z powrotem, od tysięcy lat. Podążamy śladami samego Marco Polo oraz innych podróżników i kupców.

– To bardzo romantyczne. – Ponieważ mąż patrzył w inną stronę, Juliet wykorzystała okazję, by przyrzeć się jego profilowi. Z powodu ograniczonej ilości wody Ross nie golił się już od kilku dni, dlatego policzki i broda były pokryte ciemnozłotym zarostem. Nie patrząc już na niego, powiedziała: – To dlatego tak dużo podróżujesz: ze względu na romantyzm i przygody?

– Poniekąd. – Zanim zdążyła skomentować jego odpowiedź, dodał w zamyśleniu: – Przypuszczam, że moja następna książka, jeśli ją napiszę, będzie właśnie o Jedwabnym Szlaku.

– Twoja następna książka? Nie wiedziałam, że napisałeś jakieś książki. – Była zdumiona i zaintrygowana. – Na jaki temat?

– Po prostu opisywałem w nich swoje podróże. Jedna dotyczyła centralnej Sahary, druga północno-zachodniego pogranicza Indii, trzecia Lewantu i północnej Arabii.

– Imponujące. – Nie kryła podziwu. – Spodobały się czytelnikom?

Ross wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Każda była bogato ilustrowana, ale czytelników najbardziej przyciągał szlachecki tytuł autora. Mój wydawca twierdził, że „Lord” lub „Lady” na okładce podwaja sprzedaż.

Juliet miała wrażenie, że mąż, mówiąc w ten sposób o popularności swoich książek, jest zbyt skromny, ale nie zamierzała mu tego wytykać.

– W takim razie sprzedaż jeszcze się zwiększy, kiedy na okładce pojawi się napis „książę Windermere”.

– Być może – zgodził się Ross bez entuzjazmu. Zapatrzył się w horyzont. Nagle na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Do diabła. Nadciąga burza piaskowa.

W ciągu kilku minut niebo pociemniało, a wiatr się nasilił. Juliet podąży-

ła spojrzeniem za wzrokiem męża. Nad wydmami kłębiły się złowieszczo niebiesko–żółte chmury, a wirujący piasek tworzył ścianę.

– Wygląda groźnie. – Ross się podniósł. – Chodźmy. Musimy ostrzec ludzi, żeby zdążyli się zabezpieczyć.

Juliet wstała, ale przed odejściem poświęciła chwilę, żeby uważnie przyjrzeć się nadciągającej burzy, i to, co zobaczyła, zmroziło ją do szpiku kości. Chmura piasku zbliżała się do nich szybciej niż biegnący człowiek. Wzmacniało się coraz głośniejsze, szarpiące nerwy, niesamowite wycie wiatru.

Juliet, która biegła za mężem, przekrzykiwała ogłuszający ryk:

– Ross, nie mamy czasu! Połóż się i nakryj głowę!

Uderzył w nią podmuch wiatru, tak silny, że prawie zwałił ją z nóg. Nawet Ross się zachwiał. Kiedy odzyskał równowagę, odwrócił się i ruszył w stronę żony, której sylwetka stawała się coraz bardziej niewyraźna w wirującym piasku. Na nos i usta naciągnął skraj turbanu, ale Juliet wiedziała, że cienka tkanina nie będzie wystarczającą ochroną. Nawet gruby, wielowarstwowy tagelmoust nie stanowił dostatecznej osłony przed miotanym wiatrem kłującym piaskiem.

Nadal dzieliła ich odległość pięćdziesięciu stóp, kiedy pustynny wichur uderzył z całą mocą. Juliet nie widziała jeszcze tak szalejącej burzy piaskowej. Piach podrywany wiatrem kłębił się w powietrzu i mógł zadusić każdego, kto byłby pozbawiony odpowiedniej osłony. Widoczność spadła do zera, a ostre jak czubek noża drobiny piasku wbijały się Juliet w odkryte dłonie i kłuły w twarz, w miejscu nieosłoniętym przez tagelmoust.

– Ross! – zawołała głośno, pochyliwszy się, żeby jak najmniejszą część ciała wystawiać na wiatr.

Wydawało jej się, że usłyszała głos męża, lecz w huku huraganu nie mogła być pewna. Wiedząc, że ma ubranie lepsze na taką okoliczność niż Ross, starała się podążać w kierunku miejsca, w którym widziała go ostatnio, ale pogubiła się, błędząc w tumanie wirującego piasku. Choć raz po raz wykrzykiwała imię męża, nikt jej nie odpowiadał.

Bliska paniki, powtarzała sobie, że Ross nie jest głupcem; dobrze wie, że powinien się położyć i owinać głowę długim płaszczem, tyle że zdjęcie go – przewiązany był szarfą – zajęłoby mu więcej czasu niż jej zdjęcie oponczy. Jeśli rozglądał się za żoną... jeśli jego usta i płuca wypełniły się piaskiem...



Kiedy już prawie straciła nadzieję, dosłownie się potknęła o Rossa. Klecząc, starając się bardziej rozwinąć turban i zakryć nim twarz, ale przeszkadzał mu w tym silny, duszący kaszel.

Juliet zerwała z siebie długą, gęsto tkaną opończę, złożyła ją na pół, żeby mieli jak najgrubszą ochronę. Padła na ziemię i przyciągnęła męża do siebie. Wiatr szarpał za opończę z taką mocą, że w każdej chwili mogła ją puścić. Trzymała ją więc, jak mogła najsilniej, starając się zakryć siebie i męża. W mniej niż minutę zdołała stworzyć z opończy przytulny kokon, chroniący ich przed tnącymi drobinami piasku.

Ross, walcząc o oddech, drżał, więc podsunęła mu do ust małą butelkę z wodą, którą zawsze, kiedy znajdowała się na pustyni, miała przytroczone do paska. Trudno jej było manewrować butelką, tak żeby nie puścić opończy, ale jakoś zdołała przystawić ją Rossowi do ust.

Wyczuła poruszenie mięśni, kiedy przetykał. Później udało mu się wziąć głęboki oddech. Odchrząknął, jeszcze raz napił się wody. aż wreszcie mógł mówić.

– Dziękuję – wycharczał. – Cieszę się, że jesteś lepiej przygotowana ode mnie. Nigdy nie widziałem tak szalejącej burzy piaskowej.

– Siedem lat temu znalazłam się w podobnej. Zginęło w niej wtedy dwóch ludzi i kilka koni. – Juliet musiała podnieść głos, żeby było ją słychać. Ona takie upiła łyk z bukłaka, zakorkowała i zawiesiła z powrotem przy pasku. Potem zaczęła się wiercić, robiąc ciałem dół w piasku. – Ponieważ spędzimy tu od piętnastu minut do trzech godzin – powiedziała – nie zaszkodzi, jeśli zrobimy sobie wygodne poślanie.

Ross zaśmiał się i wsunął rękę pod jej ramię.

– Nawet jest tu przyjemnie, ale kiedy przejdzie huragan, będziemy wyglądać jak miniaturowa wydma. Już czuję, że za moimi plecami jest dużo piasku. To dobra ochrona przed wiatrem.

Ponieważ leżeli twarzą w twarz, Juliet przekonała się, że najwygodniej jej będzie, jeśli przełoży rękę przez pierś męża. Wiatr dał jemu w plecy, więc miała osłonę przed najsilniejszymi podmuchami.

– Jeśli nie będziemy się poruszać, nasz prowizoryczny namiot nas ochroni. Mam nadzieję, że Saleh i Murad też są bezpieczni.

– Na pewno – przytaknął szybko Ross, chcąc dodać żonie otuchy. – Jeśli

nie brać pod uwagę zagrożenia, to burza piaskowa jest niczym w porównaniu z topieniem się w rwącej rzece, pojedynkiem na noże, a nawet z meczem *buzkaszi*. Wystarczyło, że Saleh i Murad owinęli się w koc, z którego zrobili osłonę przed słońcem. A ponieważ większość uczestników karawany już udała się na spoczynek, burza nie mogła wybrać sobie lepszej pory.

– To prawda – zgodziła się Juliet. – Byliśmy chyba jedynymi głupcami, którzy udali się na spacer, żeby podziwiać krajobraz.

– Oczywiście. Wszyscy wiedzą, że Brytyjczycy są nieustrudzonymi turystami.

Juliet się uśmiechnęła. Ponieważ była zmęczona i nie miała nic do powiedzenia, postanowiła się zdrzemnąć. Na zewnątrz przyroda może sobie szaleć, ale oni znaleźli sobie bezpieczną oazę spokoju.

A jednak nie mogła zasnąć. Teraz, kiedy już wiedziała, że nic im nie grozi, gwałtowność huraganu przejął jej organizm; reagował na szaleńcze wibracje na zewnątrz, stapiając się z ryczącym wiatrem i dudniącą ziemią — i z Rossem, bo, jak zawsze, ich ciała dopasowały się do siebie niczym kawałki układanki. Nie widziała twarzy męża, ale czuła w nozdrzach jego zapach i bicie jego serca pod swoim policzkiem.

Znów musiała walczyć z pożądaniem. Z początku był to tylko lekki niepokój, przechodzący w stan podniecenia, które jednak się nasilało, burząc krew w żyłach, aż w końcu przeniknęło każdą komórkę jej ciała. Gdyby byli kochankami, zareagowałyby na to całkiem naturalnie. Objęłyby męża, przycisnęła usta do jego szyi i rozpoczęłyby grę, do której on chętnie by dołączył.

Zamiast tego, leżała jak kłoda i choć tak bardzo pragnęła dotknąć Rossa, walczyła ze sobą, żeby nie wyciągnąć ręki. Tak samo blisko byli w obozowisku w Sarakhs, kiedy przebudziła się w ramionach męża, tylko że wtedy on spał, a ona mogła bez kłopotu się od niego odsunąć. Upominała się surowo, że nie wolno jej dać się ponieść pożądaniu, ale głos rozsądku nie przekonał ciała.

Juliet lekko się uniosła, ale mimo że chciała się odsunąć, znalazła się jeszcze bliżej męża. Zakłęła w duchu, przekonawszy się, że nie jest panią własnego ciała. Próbując odzyskać równowagę, skupiła się na kontrolowaniu oddechu; prosiła Boga, by Ross się nie domyślił, co ona czuje.

Wtedy, niespodziewanie, zdała sobie sprawę, że nie jest osamotniona w

swoich doznaniach. Ross, leżąc na boku, opierał się o jej udo. Nie miała wątpliwości, co oznacza zgrubienie, które wyczuła. Najwyraźniej na męża też podziałała bliskość ciała.

Chyba oboje zwariowali. Wokół nich przewalała się mordercza burza, a ich zżerała namiętność. I co śmieszniejsze, oboje udawali, że nie mają pojęcia, co się dzieje.

Miała tak wysuszone gardło, że o mało się nie udusiła. Sięgnęła szybko po butelkę z wodą. Wróciła myślą do czasów, które dobrze pamiętała – namiętnej, szalonej miłości. Intymność obecnej sytuacji bardzo przypominała chwile, gdy nocą leżała obok Rossa w ich małżeńskim łóżu. Wtedy nie dzieliły ich żadne bariery.

Niespodziewaną konsekwencją rozmyślań Juliet było to, że jej ręka nagle znalazła się w kroczu Rossa. Poczowała, jak członek twardnieje pod jej dotykiem. Wciąż żyjąc przeszłością, zaczęła gładzić go dłonią.

Trwało to tylko chwilę, bo zaraz Ross się wyprężył i zwiotczał.

– Jezu Chryste, Juliet! – krzyknął, odpychając jej rękę. – Też sobie znalazłaś moment na te swoje diabelskie gierki!

Szok przywrócił ją do rzeczywistości. Przerażona tym, co zrobiła, głośno sapnęła. Nie myślała, pragnęła uciec, oderwała się od męża, zdarła opończę z twarzy i próbowała stanąć na nogi. Szorstki, duszący piach natychmiast wypełnił jej usta i nos.

Kiedy krztusząc się upadła, Ross pochwycił ją wpół i przyciągnął do siebie, tak że plecami wtulała się w niego. Potem, precyzyjnymi, gniewnymi ruchami, ponownie naciągnął na nią opończę, odtwarzając ich bezpieczny raj.

Juliet drżała, zarówno z poczucia upokorzenia, jak i z braku powietrza. Od początku wyprawy kosztem dużego wysiłku starała się ukryć, że mąż ją pociąga, a teraz jej słabość wyszła na jaw. Czuła się bardziej obnażona, niż gdyby ktoś rozebrał ją do naga.

Tym razem Ross podsuwał jej butelkę z wodą do ust. Zaczęła oddychać normalnie, ale nadal drżała. Bariera, którą z taką starannością utworzyli między sobą, z niewypowiedzianych słów, z niewykonanych gestów, pękła, leżała teraz między nimi, całkowicie zniszczona – niczym ofiara burzy piaskowej.

– Wybacz mi, Ross – odezwała się Juliet, a w jej głosie brzmiała desperacja. – Nie chciałam tego zrobić. Nie bawiłam się tobą... Ja tylko. Ja... nie mogłam się powstrzymać. Wiem, że źle postąpiłam, że powinnam się wstydzić, że to takie kłopotliwe w tych okolicznościach, ale nawet po tylu latach nadal cię pożądam. To, że jesteśmy razem, dniem i nocą doprowadza mnie do szaleństwa. – Gardło znowu się jej zacisnęło, więc z trudem przełknęła ślinę i zakończyła szeptem: – Przepraszam, bardzo cię przepraszam.

Mimo że leżała odwrócona do męża plecami, byli w sobie tak bardzo wtuleni, że natychmiast wyczuła reakcję jego ciała. Po chwili zaskoczenia Ross nieco się rozluźnił.

– Jedne przeprosiny wystarczą, Juliet. Zareagowałam przesadnie, ale to dlatego, że tak cholernie mnie zaskoczyłaś, a na dodatek w momencie, kiedy z całych sił starałam się zapanować nad swoimi reakcjami. – Objął żonę. – Jak mogłaś zauważyć, nie udało mi się to. Zawsze doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Zawstydzające i, jak powiedziałaś, bardzo kłopotliwe, ale jest, jak jest.

Jego spokojne słowa sprawiły, że Juliet nie czuła się już jak idiotka.

– Dlaczego tak musi być? – powiedziała bardziej do siebie niż do męża. – Dlaczego, kiedy małżeństwo się kończy, nie może się ono zakończyć całkowicie?

Ross westchnął.

– Moja matka, która, jeśli sobie przypominasz, wie wszystko na temat związków damsko-męskich, powiedziała mi kiedyś, że pierwsze dwa lata małżeństwa są najbardziej namiętne i intensywne. Później, szalony, niekontrolowany ogień zazwyczaj się uspokaja i przechodzi w dający się opanować płomień. Niestety uciekłaś, zanim do tego doszło. Nie byliśmy ze sobą na tyle długo, żeby cykl mógł się zakończyć, a ogień uciszyć. Tak więc, nawet jeśli „reszta” naszego małżeństwa jest już przeszłością, fizyczny pociąg nadal żyje i dobrze się miewa. Teraz, gdy znowu znaleźliśmy się w swoim towarzystwie, tłumione pożądanie wróciło.

– To ma sens. – Juliet wybuchnęła krótkim, urywanym śmiechem. – Ciągle przychodzi mi na myśl słup ognia, który wskazywał Izraelitom drogę przez pustynię. Taki sam stoi między nami podczas tej wyprawy, ale ty tak dobrze kryjesz swoje reakcje, że sądziłam, iż ten ogień działa tylko na mnie.

Lżej mi, kiedy wiem, że szaleństwo i ciebie dotknęło.

– Tak jest. – Przytulił ją mocniej. – Zdajesz sobie sprawę, że jeśli w Bucharze zamieszkamy pod jednym dachem, możemy doprowadzić się do prawdziwego obłądzenia.

– Myślałam o tym. Ale czuję się za ciebie odpowiedzialna. Gdyby nie moja matka i brat, byłbyś teraz bezpieczny w Anglii. Choć wiem, że nie będę mogła pomóc, jeśli emir cię uwięzi, i tak odczuwam tę irracjonalną potrzebę, by trzymać się blisko ciebie, tak żebym mogła być dostępna w razie konieczności.

–O dobry Boże, ja czuję dokładnie to samo w stosunku do ciebie. Mam wrażenie, że muszę mieć cię blisko, bo nikt inny nie zaopiekuje się tobą tak dobrze jak ja. – Zaczął wodzić kciukiem po boku żony. Podczas gdy po ciele Juliet rozchodziło się zwodnicze ciepło. Ross dodał miękko: – Wygląda na to, iż oboje mamy poczucie, że musimy troszczyć się o siebie, a na dodatek dręczy nas pożądanie. Mogłoby nam być łatwiej, gdybyśmy w sprawie tego drugiego zrobili coś, co wydaje się logiczne i naturalne.

Już sama ta propozycja sprawiła, że Juliet zaczęła drżeć. Ponownie stali się kochankami, poddali się wreszcie żądzy, zamiast z nią walczyć – to byłby raj na ziemi.

Ale tylko do czasu powrotu Rossa do Anglii. Odejście od niego już raz niemal ją zabiło; gdyby odbudowali dawną bliskość, wątpiła, czy przetrwałyby ponowne rozstanie.

–Byłoby łatwiej, ale tylko przez chwilę – powiedziała łamiącym się głosem. – A potem doszłoby do katastrofy.

Ross znieruchomiał, cofnął rękę.

– Masz rację – rzucił chłodno. – Dobrze, że mi to uświadomiłaś. Tak, jak większości mężczyzn, pożądanie odbiera mi rozum.

– Mnie też – przyznała cicho. – To następna z moich bardzo niekobiecych cech.

Poczuła, że Ross się rozluźnia.

–I następna, którą w tobie lubiłem. Twoja bezpośredniość jest jak obojętny miecz, ale wolę to niż nieszczerzy flirt.

Ucieszyło ją, że mężowi podoba się w niej coś więcej niż ciało. Nie żeby przeszkadzało jej, że jest dla niego pociągająca, pomimo wszelkich kompli-

kacji wynikających z tego faktu. Po latach odgrywania aseksualnej, silnej Gul-i-Sarahi, bardzo ją cieszyło, że może znowu poczuć się jak kobieta i że nadal potrafi zainteresować sobą mężczyznę. Zwłaszcza tego obok.

Leżeli w milczeniu, rozluźnieni, choć nie do końca spokojni. Juliet musiała zapomnieć o pożądaniu, ale przynajmniej mogła napawać się bliskością. Niestety nie na długo, bo wiatr cichł, więc wkrótce powrócą do swoich zwyczajowych ról.

Kiedy ryk wiatru przeszedł w miękki szum, charakterystyczny dla „wiatru stu dni”, Ross wysunął ramię, przygotowując się do wstania. Wiedząc, że czas ucieka, Juliet powiedziała pospiesznie:

– Mimo że czuję się jak idiotka, cieszę się, że stało się to, co się stało. Teraz, kiedy atmosfera się oczyściła i oboje przyznaliśmy, że między nami istnieje... silny fizyczny pociąg, będzie nam łatwiej sobie z nim radzić.

– Chyba masz rację – odpowiedział Ross po dłuższej chwili milczenia. Jego głos brzmiał dziwnie oschle. – Burza już się skończyła. Sprawdźmy, jak wygląda świat na zewnątrz?

Ściągnął z nich opończę, wzniecając wokół tumany piasku wydobywającego się z każdego załamka tkaniny. Zapadła już ciemność, ale niebo było czyste, a woskowy księżyc eterycznym światłem obmywał blade, falujące wydmy. Temperatura znacznie opadła, przyjemnie się oddychało świeżym, rześkim powietrzem, zwłaszcza po czasie spędzonym pod prowizorycznym dusznym namiotem.

Wziąwszy głęboki oddech, Juliet przekreśliła się na plecy i rozpostarła zdrtwiałe nogi i ręce.

– Pustynne gwiazdy są wspaniałe – powiedziała, spoglądając na aksamitne niebo. – Patrzenie na nie nigdy mi się nie znudzi.

Bardziej zainteresowany przyziemnymi sprawami Ross, usiadłszy, rozglądał się po okolicy.

– Dobrze, że zabrałem ze sobą kompas, inaczej musielibyśmy wracać do obozu, korzystając z gwiazd. Burza tak bardzo zmieniła wygląd wydm, że łatwo się teraz zgubić.

– Przynajmniej nie musimy się spieszyć. Jestem przekonana, że wyruszymy jutro dużo później, bo odnalezienie rzeczy zakopanych w piasku zaj-

nie wszystkim mnóstwo czasu.

Juliet właśnie miała usiąść, gdy zobaczyła, że Ross bacznie się jej przygląda. Światło bladego księżyca było na tyle silne, że widziała wyraźnie twarz męża.

– Jak dobrze, że oboje przyznaliśmy się do tego głupiego pożądanego – mruknął, wysuwając dłoń, żeby powieść palcem po twarzy żony. Szorstka skóra na czubkach palców, które z policzków zsunęły się na usta, była przyjemna, a dotyk zmysłowy.

Juliet wstrzymała oddech, chcąc powiedzieć mężowi, że to nierozsądne, ale nim zdążyła się odezwać, on pochylił się i pocałował ją namiętnie. Pożądanie wybuchło w niej z nową mocą. Przyjęła pocałunek z taką radością, że sama była tym zaskoczona. Zapomniała już, a może nie chciała pamiętać, jakie to wspaniałe doznanie, czuć usta męża na swoich.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, pociągając go w dół, pragnęła czuć go całą sobą. Osunął się na nią, nie przerywając pocałunku. Uniosła biodra, delektując się ciężarem jego ciała.

Kiedy się wtulała, Ross przygarnął żonę, a ona usłyszała długie, drżące westchnienie. Potem ściągnął z twarzy Juliet tagelmoust, odsłaniając szyję. Całował ją namiętnie, łaskocząc szorstkimi węsami, ale gorące usta i język były niczym balsam.

Kiedy zsunął rękę na piersi, Juliet wygięła się pod tym dotykiem, zirytowana, że oddziela ich od siebie tyle warstw odzieży. Niczego bardziej teraz nie pragnęła, jak złączyć się z nim, czuć go w sobie.

Wtedy doznała szoku. Ross odsunął się, zostawiając ją tylko z chłodnym nocnym powietrzem opływającym jej rozgorączkowane ciało. To, co się stało, było nie do zniesienia.

Przestraszona i zmieszana, drżąc na całym ciele, Juliet otworzyła oczy. Ross, ciężko dysząc, stał nad nią, szerokimi ramionami zasłaniając jej gwiazdy.

Mimo że był pobudzony, kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała ostra, wyrafinowana ironia.

– Jak sama zauważyłaś, teraz, kiedy już wiemy o naszym pożądanym, będzie nam ogromnie łatwo sobie z nim poradzić. Jak to się dobrze składa, prawda?

Przez chwilę nic nie rozumiała. Potem oburzenie przeszło w złość, pojęła, że ten fizyczny kontakt był ze strony męża umyślnym droczeniem się, chciał jej w ten sposób pokazać, w jak bardzo frustrującej i kłopotliwej sytuacji się znaleźli. Gdyby miała Rossa w zasięgu ręki, zdzieliłaby go pięścią po tej idealnie zarysowanej szczęce; Ian zawsze twierdził, że jak na dziewczynę dobrze bije.

Pohamowała jednak gniew. Mąż swoim zachowaniem sprawił, że dosłownie na własnej skórze mogła się przekonać, jak w praktyce wygląda powściągliwość, i jak łatwo jest nad sobą panować. To ona sama narzuciła ograniczenia na ich dziwny związek, i to ona zrobiła pierwszy krok do fizycznego zbliżenia. Po czym wygłosiła idiotyczną mowę, jak to teraz ich relacje ulegną poprawie.

Z poczucia bezradności zaczęła się śmiać.

– Tylko ty, Ross, potrafisz zamienić dżentelmeńskie zasady w broń. I dobrze. Udowodniłeś swoje racje, choć zrobiłeś to w bardzo paskudny sposób.

Wstała i otrzepując się z piasku, mówiła dalej:

– Moja uwaga, że teraz będzie nam łatwiej, należała do jednych z najgłupszych. – Pochyliła się, żeby podnieść oponczkę, a następnie energicznie ją strzepnęła. – Jednak nadal uważam, że lepiej, iż przyznaliśmy się, że między nami... stoi słup ognia.

– Może i lepiej, choć i tak nie widzę dobrych stron w obecnej sytuacji – odparł Ross ze smutkiem. – Teraz moja kolej na przeprosiny. Jak powiedziałaś, dowiodłem swoich racji w paskudny sposób. Jeśli cię to jakoś pocieszy, ciężko mi było się pohamować.

– Przynajmniej zachowałeś przytomność umysłu, co mnie się niestety nie udało. I jestem ci za to wdzięczna. – Juliet ściągnęła tagelmoust i też go strzepnęła. – A teraz, kiedy już mamy za sobą odpowiednią dawkę wstrząsów, powinniśmy chyba wracać do obozu.

Zanim zdążyła ponownie okręcić twarz tagelmoustem, Ross objął żonę i przyciągnął do siebie, składając na policzku czuły pocałunek. Potem wypuścił ją z ramion.

– Czy już ci mówiłem, że jesteś najwspanialszą i najbardziej denerwującą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem?



– A ty, dżentelmenie w każdym calu, nawet świętego doprowadziłbyś do wściekłości. Ja niestety nie jestem święta.

– I dobrze, bo święci są chyba nudni, a tobie to raczej nie grozi.

W drogę powrotną do obozu ruszyli w przyjaznym milczeniu, jednak kiedy tak mijali ciche wydmy, poczucie spokoju stopniowo gdzieś się ulatniało, pozostawiając Juliet z zimnym strachem o to, co przyniesie przyszłość.

Przyszła jej do głowy ponura myśl, że to nie fizycznej bliskości powinna się obawiać. Burza piaskowa przyniosła ze sobą coś o wiele niebezpieczniejszego: bliskość emocjonalną, bardziej uwodzicielską niż pocałunki.

**P**onieważ tożsamość Rossa dawno już przestała być tajemnicą, ostatni etap podróży przebiegał w oczyszczonej atmosferze. Wieść meczu *buzkaszi* i misji, z którą Ross udawał się do emira, wyprzedzała podróżnych, więc, kiedy karawana pokonała szeroką rzekę Oxus, wkraczając na bardziej zaludnione tereny, zaczęli się przy niej pojawiać różni ludzie, pragnący zobaczyć sławnego *ferengi*. Uzbekcy i turkmeńscy goście byli ciekawscy i chcieli dotykać jasnych włosów Rossa, choć nie wykazywali przy tym wrogości, a życzliwość.

Były też wyjątki. Ostatnią noc przed dotarciem do Buchary karawana spędziła w obozowisku w Karakul. Kiedy spożywali wieczorny posiłek, na dziedzińcu pojawił się obdarty Uzbek; przykucnął nieopodal ogniska i przyglądał się podróżnikom.

Myśląc, że może być głodny, Saleh zainteresował się nim.

Mężczyzna splunął na ziemię.

– Nie zamierzam się hańbić, dzieląc się chlebem i solą ze szpiegiem *ferengi* i jego psami. Przyszedłem tylko dlatego, że to ostatnia okazja, żeby zobaczyć, jak wygląda innowierca.

– Jak sobie życzysz – odezwał się spokojnie Ross.

Uzbek zmrużył oczy, zatrzymując spojrzenie na jego twarzy.

– Jutro spotkasz się z urzędnikami emira. Przywiozą ze sobą kosze wypełnione bandażami, którymi owiną ci oczy, łańcuchami, w które cię skują, i nożami, żeby cię nimi zakłuć na śmierć – wyrzucił z siebie jednym tchem z wyraźną radością. – Jesteś synem śmierci, *ferengi*.

– Czyż nie jest tak z każdym człowiekiem? – Ross ugryzł następny kęs chleba. Już dawno się przekonał, że odwołanie się do pobożności jest najlepszą obroną w tego rodzaju wymianie zdań, więc teraz dodał: – Tylko w Bogu człowiek odnajduje życie wieczne.

Uzbek patrzył na niego z nienawiścią.

– Raj jest tylko dla wiernych, *ferengi*, ty świński pomiole. Jutro wieczorem będziesz się posilać w piekle. – Po tych słowach wstał i się oddalił.

Ross przełknął ostatnią cząstkę chleba, a potem rzucił w przestrzeń:

– Ktoś chce się założyć, czy ten człowiek mówił prawdę o tym, co ma się jutro wydarzyć?

– Nie ma sensu zakładać się z kimś, kto może nie być w stanie wypłacić się po przegranej. – Juliet, odkąd Murad odkrył jej tożsamość, odzywała się częściej.

– Brytyjczycy mają bardzo dziwne poczucie humoru – zauważył młody Pers, spoglądając z niechęcią na małżeńską parę. – Ale to bez znaczenia, bo ten psi syn łąał jak z nut. Skąd ktoś taki miałby znać plany emira?

– Bardzo prawdopodobne, że wymyślił sobie całą historię, żeby zepsuć nam nocny odpoczynek. Niemniej... – Ross strzepnął okruszyny z kolan. – Jeżeli jutro podjadą do karawany jacyś żołnierze z koszami, macie, cała trójka, odsunąć się ode mnie. Jeśli rzeczywiście mam być zaszlachtowany, nie potrzebuję do tego towarzystwa.

Zerknął w stronę Murada. Kilka dni temu odciągnął chłopaki na bok i wytłumaczył mu, że gdyby jemu, Rossowi, coś się przytrafiło, obrona jego żony i usługiwanie jej będzie ze strony Persa czynem wielkiego honoru. Pamiętając tamtą rozmowę, Murad skinął głową.

Ross spojrział na Juliet.

– Jeśli coś się będzie działo, trzymaj się ode mnie z daleka – powtórzył.

Też skinęła głową, a potem odwróciła wzrok. Ross, usatysfakcjonowany, dolał sobie herbaty. Co do Saleha, to wiedział, że zawsze może liczyć na jego zdrowy rozsądek.

Popijając herbatę, zastanawiał się, na ile incydent, do którego doszło w czasie burzy piaskowej, wpłynął na jego stosunki z żoną. Tak jak przewidywała, przyznanie się do pożądania oczyściło atmosferę – przynajmniej pod pewnymi względami. Ross nie usiłował już tak bardzo kryć się ze swoimi uczuciami i oboje byli mniej skrupowani w swojej obecności.

Ale tak jak przypuszczał, pod innymi względami ich sytuacja stała się trudniejsza, ponieważ drzemiące w nim pożądanie zaczynało osiągać punkt krytyczny. Zastanawiał się, co było większym szaleństwem: to, że pocałował żonę, czy może to, że przestał ją całować, choć pragnęła mu się oddać.

Ale chodziło też o coś więcej; Juliet bardzo dążyła do zbliżenia i świadomość tego dręczyła Rossa, zwłaszcza nocami, kiedy próbował zasnąć. Ściga-

ło go wspomnienie jej szczupłego ciała wijącego się pod nim, spragnionych ust, gorączkowego dotyku. Na dodatek, co wywoływało w nim jeszcze większą furję, pamięć podsyłała mu wspomnienia z przeszłości, kiedy kochali się bez żadnych zahamowań.

Chciał dać żonie nauczkę, a w rezultacie sam zadał sobie cierpienie. Nadal nie do końca rozumiał, dlaczego odrzucił to, co było jego pragnieniem. Rzeczywiście, zniechęcił go sprzeciw Juliet, gdy zaproponował, by zostali kochankami, ale tak naprawdę próbował chyba siebie chronić. Był jeszcze na tyle zdolny do logicznego myślenia, że wiedział, iż popełniłby kardynalny błąd, gdyby przespał się z szaloną Amazonką, z którą kiedyś się ożenił; po ochłonięciu Juliet z pewnością znienawidziłaby go za to, że wykorzystał jej chwilową słabość, a przecież ich związek i tak opierał się na bardzo kruchych podstawach.

Niestety świadomość, że postąpił rozsądnie, nie potrafiła zdławić frustrującego, stale tłącego się w nim pożądania, które rosło, ilekroć myślał o żonie. Skończywszy herbatę, podziękował Bogu za luźny azjatycki strój. Musiał jednak przyznać, że tęsknota za zbliżeniem z żoną miała jedną dobrą stronę: nie myślał o tym, że następnego dnia może zostać zaszlachtowany.

Choć żaden z jego towarzyszy nie odzywał się słowem na ten temat, cały czas atmosfera była napięta. Jak do tej pory zagrożenia przychodziły do nich ze strony natury; teraz wrogiem mieli się stać ludzie, a ci są o wiele bardziej niebezpieczni.

Następnego dnia rano Ross włożył swoje angielskie ubranie. Tak jak oświadczył Juliet jeszcze w Serewanie, jedyną rzeczą, która mogła mu pomóc, było to, że się przedstawi jako rodak i krewny Iana; dobrze skrojony niebieski surdut, biała koszula i bryczesy stanowiły wyraźny symbol jego europejskości. Założył nawet czarny angielski melonik, z rodzaju tych składanych, który zabrał ze sobą w podróż właśnie dlatego, że można go było bez szwanku spakować do bagaży.

Uzbek o szczurzej twarzy musiał roznieść plotkę po karawanie, bo większość podróżujących trzymała się z daleka od Rossa. Jedni unikali go dyskretnie, inni uciekali przed *ferengi*, jakby był trędowaty. Ponieważ emir okryty był złą sławą i mówiono, że jest okrutnym szaleńcem, Ross wcale się

temu nie dziwił.

Jednak w pierwszej części dnia nic specjalnego się nie wydarzyło. W południe zostawili wreszcie za sobą bezdroża pustyni i wkroczyli na zacieniony, obrosnięty topolami szlak. Okolica była równinna, a nawadniane sady i pola rozciągały się aż po horyzont. Po wyludnionej Kara-Kum, kraina wyglądała na obfitą i gęsto zaludnioną, bo na drodze roило się od zmierzających w obu kierunkach podróżnych; obładowane tobołami kucyki współzawodniczyły ze znudzonymi osiołkami, ciągnącymi fury na wysokich kołach.

Po minięciu wioski Shahr Islam, jakieś pięć czy sześć mil od Buchary, Ross dostrzegł w oddali tuman kurzu, jaki podnoszą zwykle galopujący jeźdźcy. Zdziwił się, ponieważ na tym terenie w środku dnia prawie nikt nie poruszał się z taką prędkością.

– Potrafisz dostrzec, co to za ludzie jadą w naszą stronę? – zapytał Murada, który miał najlepszy wzrok w grupie.

Młody Pers osłonił oczy dłonią.

– Jacyś trzech mężczyźni. Są ubrani jak dworscy szambelanowie, dwóch z nich wiezie kosze.

Ross przypomniał sobie słowa Uzbeka. W czasie podróży z Konstantynopola nieraz się zdarzało, że znajdował się w trudnej sytuacji, ale nie były one groźniejsze od innych, których też nie uniknął, podróżując po dzikich, niespokojnych krainach. Jednak Buchara stanowiła zupełnie inne zagrożenie, ponieważ oddanie się w ręce ksenofobicznego szaleńca przypominało zachowanie muchy, która usiadłszy na pajęczej sieci, błaga pająka o łaskę.

Do tej pory mógł w każdej chwili zawrócić, ale zbliżał się moment, kiedy nie będzie już odwrotu. Jeśli nadjeżdżający mężczyźni rzeczywiście są królewskimi szambelanami i przyjeżdżają po niego, istniało małe, ale bardzo realne prawdopodobieństwo, że w następnej godzinie straci życie. Nie uważał, że jest to przesądzone; nawet jeśli dworscy urzędnicy będą wrogo nastawieni – a przecież nie musiało tak być – to raczej wezmą go w niewolę, niż zaszlachtują na miejscu.

Co miało być, zdaniem Uzbeka, w tych koszach – bandaże, łańcuchy i sztylety? Przyszła chyba pora, by Ross dał wyraz wrodzonej angielskiej powściągliwości. Trzeba specjalnego rodzaju odwagi, żeby zachować zimną krew, oczekując na najgorsze. Gdyby miał wybór, wolałby być w starciu z

bandą Turkmenów, ale i tak jego głos brzmiał spokojnie, kiedy powiedział:

– Wszyscy wiecie, co macie robić, więc zróbcie to teraz.

Jego towarzysze zmusili wielbłądy do spowolnienia kroku i zmieszali się z resztą karawany. Kiedy urzędnicy dworscy skęcili w ich stronę, podróżnicy przyglądali się im czujnie. Niektórzy rzucali w kierunku Rossa współczujące spojrzenia, ale nikt się nie odzywał, choć w powietrzu czuło się napięcie.

Ponieważ jechał osamotniony, w europejskim stroju, Ross rzucał się w oczy, i galopujący jeźdźcy osadzili konie tuż przed nim.

Przywódca, ubrany w bogato zdobioną jedwabną szatę, oświadczył:

– Jestem głównym szambelanem emira. A ty jesteś tym Anglikiem, lordem Kilburnem?

Ross ściągnął wodze wielbłąda i z szacunkiem pochylił głowę.

– To prawda, słuگو wielkiego i wpływowego króla, następcy Proroka.

Szambelan uśmiechnął się szeroko, ujawniając ubytki w uzębieniu.

– Nasrullah Bahadur, król królów i wódz wiernych, przysyła ci pozdrowienia. Pragnie, by między naszymi wspaniałymi krajami panował pokój, i na potwierdzenie tego zaprasza cię, byś gościł u niego w czasie pobytu w Bucharze. – Mężczyzna machnął ręką na swoich sługusów, a ci otworzyli kosze i wyjęli z nich różne pokarmy, między innymi owoce, pieczoną koninę i dzbanki z herbatą.

Było to najbardziej miłe zaskoczenie, jakiego Ross doświadczył w życiu.

– To wielki zaszczyt dla tak mało znaczącego podróżnika jak ja – rzekł poważnym tonem, powstrzymując westchnienie ulgi.

Szambelan spojrzał na niego uważniej, a potem na pozostałych uczestników karawany, którzy się zatrzymali, żeby przyglądać się widowisku.

– Nie masz żadnego sługi, panie?

Ross szybko podjął decyzję. Choć zaproszenie emira nie stanowiło gwarancji nieograniczonej królewskiej przychylności, na jakiś czas przynajmniej głowa Rossa pozostanie na ramionach. Nadszedł czas na rozdzielenie się, tak jak ustalili wcześniej w grupie. Nadal nie podobało mu się to, że Juliet zostanie z nim, zważywszy na niebezpieczeństwa, które mu grożą.

– Mam jednego, ale wolał się usunąć, chcąc się przekonać, czy los się do mnie uśmiechnie, czy raczej ode mnie odwróci.

Szambelan wykrzywił usta.

– Uciekający z podkurczonym ogonem pies.

Ze względu na dobro Juliet lepiej było, żeby nie postrzegano jej jako lojalnego sługi, więc, machnąwszy ręką. Ross stwierdził rzeczowo:

– Każdy ceni sobie własne życie. Dlaczego syn Proroka miałby ryzykować je dla jakiegoś tam *ferengi*?

Juliet podjechała do nich w milczeniu. Prowadziła jucznego wielbłąda, wiozącego bagaże Rossa, drugi został pod opieką Murada.

– Teraz się posilimy, a później odeskortujemy was do królewskiego pałacu, żebyście mogli oddać hołd emirowi – oznajmił szambelan, obrzuciwszy Juliet ciekawskim spojrzeniem.

– Chcesz powiedzieć, że już dzisiaj będę mógł przedstawić moją prośbę emirowi? – zapytał Ross, zdumiony szybkością rozwoju wydarzeń.

– Jeśli tylko jego wysokość będzie miał na to ochotę. – Szambelan odwrócił się i warknął: – Reszta niech wraca do swoich zajęć!

Uczestnicy karawany popędzili swoje zwierzęta i ruszyli w dalszą drogę. Saleh i Murad umyślnie starali się nie patrzeć w stronę niegdysiejszych kompanów, podczas gdy inni, łącznie z Muhammadem i Hussajnem Kasemem wykrzykiwali do nich przyjazne słowa pożegnania i życzenia pomyślności. Kasemowie już wcześniej wyjaśnili Rossowi, jak ma odnaleźć ich dom w Bucharze, a także szczerze go zapewnili, iż może liczyć na ich pomoc.

Po kilku minutach Ross i Juliet zostali sam na sam z dworskimi urzędnikami.

– Wielki szambelanie, z pewnością słyszałeś, jaka sprawa sprowadza mnie do Buchary. Czy mój brat, brytyjski major Cameron, znajduje się nadal wśród żywych? – zapytał Ross, kiedy cała grupa się rozsiała.

Ciemne oczy szambelana były nieprzeniknione.

– Na ten temat musisz rozmawiać z najwyższym. Ja jestem tylko jego sługą. – Otwierając dzban, dodał: – Specjalnie dla ciebie przywieźliśmy herbatę z mlekiem i cukrem. Tak się ją pije w Anglii, prawda?

– Rzeczywiście. Jeszcze raz dziękuję wam za uprzejmość.

Był to najlepszy posiłek, jaki Ross miał w ustach od tygodni, a ponieważ dowiedział się przy okazji o zawieszeniu wyroku, jedzenie ogromnie mu smakowało. Juliet także sobie nie odmawiała, ale cały czas milczała. Dosko-

nale odgrywała rolę ponurego, tajemniczego pustynnego bandyty i rozglądała się dokoła czujnie, jakby spodziewała się ataku. Po nabraniu sobie jedzenia, odeszła z nim dalej i dopiero tam usiadła.

Urzednicy przyglądali się z zainteresowaniem, jak podnosi pożywienie do ust, nie zdejmując zasłony z twarzy. Jeden z nich powiedział do drugiego po uzbecku:

– Ten Tuareg to dzikus. *Ferengi* ma szczęście, że jego sługa nie okradł go jeszcze ze złota, a może nawet nie pozbawił życia.

Ross o mało nie parsknął śmiechem; postanowił mówić po persku, dzięki czemu mógł bez kłopotu porozumieć się z królewskimi urzędnikami, ale też nie zdradzać się ze znajomością uzbeckiego, licząc na to, iż przy okazji może usłyszeć coś, co mu się przyda. A nawet jeśli nic, to i tak miał niezłą zabawę z komentarzy Uzbeków, jak choćby z tego ostatniego.

– Twój niewolnik to Tuareg z Sahary, prawda? Raz czy dwa widziałem jego krajanów w Bucharze – odezwał się szambelan, kiedy skończyli posiłek.

– Tak. Jest służącym, nie niewolnikiem. Wśród swoich to ktoś ważny. Służy mi, dopóki będzie mu taka rola odpowiadać. – Ross zatopił zęby w dojrzałym, soczystym daktylu. – Tuaregowie nie są złodziejami. W ich własnym języku słowa „plądrować” i „wolność” znaczą to samo. Co do Jalala, to robi on wszystko, o co go proszę, no i dobrze opiekuje się wielbłędami.

– Czy mówi po persku albo rozumie ten język?

– Myślę, że trochę tak. – Ross wzruszył ramionami, pokazując tym gestem, że nudzi go rozmowa o służącym. – Trudno powiedzieć, na ile rozumie.

– Ten ma jakieś dziwnie szare oczy, jak Beludżowie – rzekł z zastanowieniem szambelan, przyglądając się Juliet. – Mówi się, że Tuaregowie są przy stojni.

– Kobiety są bardzo ładne. Jaki jest Jalal, nie mam pojęcia, bo nigdy nie widziałem jego twarzy.

Zaspokoiwszy wreszcie ciekawość, szambelan wstał.

– A teraz, lordzie Kilburn, pojedziemy do Buchary.

Jedwabny Szlak uczynił z Buchary jedno z najbogatszych miast środkowej Azji – potężną twierdzą otoczoną niebezpieczną pustynią. Miasto nie



zmieniło się od ostatniej wizyty Rossa przed laty; w rzeczywistości, jego zdaniem, masywne mury miasta i wysokie wieże obserwacyjne pozostawały takie same przez wieki.

Kiedy dotarli do olbrzymiej bramy zachodniego wejścia do miasta, Ross zatrzymał wielbłąda. Szambelan się zdziwił.

– Dlaczego się zatrzymujesz?

Ross uniósł brwi.

– Przecież innowiercom nie wolno jeździć po mieście?

– Zazwyczaj tak, ale dla gości emira robi się wyjątki – wyjaśnił urzędnik.

– Oczywiście będziesz musiał zsiąść z wielbłąda, kiedy dojedziemy do pałacu. Ja także, bo tylko emir i jego najważniejsi dworzanie mogą jeździć w granicach pałacu.

Ross skinął głową i kazał Juliet ruszać. On i Alex Burnes, jako innowiercy, nie tylko musieli po wjeździe do miasta zsiąść z koni, ale także zmuszono ich do przebrania się w skromniejszą odzież. Ponieważ podróżowali jako prywatne osoby, a nie przedstawiciele rządu brytyjskiego, bez sprzeciwu podporządkowali się wtedy miejscowym zwyczajom, żeby nie ściągać na siebie uwagi.

Linie horyzontu przecinały spiczaste wieże i kopuły świątyń. Buhara była jednym z najważniejszych religijnych miast islamu i mówiło się, że zagorzały muzułmanin może tu modlić się codziennie w innym meczecie. Ross i Burnes nie wierzyli w tę plotkę, ale tak czy inaczej w mieście rzeczywiście znajdowały się co najmniej setka meczetów i tuzin zakonnych kolegiatów.

Podczas tej wyprawy nie dało się uniknąć zainteresowania. Szeroka ulica prowadząca od bramy wjazdowej do pałacu roiła się od ludzi, którzy zatrzymywali się i wpatrywali w Rossa, a wielu, żeby go zobaczyć, wspinało się nawet na niskie dachy. Dochodziły go komentarze na temat jego odzieży, koloru skóry i ogólnie jego cudzoziemskości. Tak jak w trakcie całej podróży przez Kara-Kum, więcej było zaciekawienia niż wrogości. Raz nawet nosiciel wody, który przywarł do ściany, żeby przepuścić jeźdźców, zawołał do nich wesóło: *Salaam Aleikum!*

Ross uśmiechnął się i podniósł rękę, odpowiadając:

– Pokój z tobą.

Wielki publiczny plac rozciągający się przed pałacem królewskim nosił nazwę Registan. Ross pamiętał go z poprzedniej wizyty, bo plac był sercem miasta; roilo się na nim od ludzi i cały dzień panował nieznośny harmider. W samym jego centrum znajdował się bazar z osłoniętymi baldachimami straganami, gdzie handlowano owocami, herbatą i dobrami z całej Azji, ale większość ludzi przychodziła, żeby porozmawiać, zobaczyć się ze znajomymi i żeby się pokazać.

Tłum zdumiewał różnorodnością. Przeważali skośnoocy Uzbegy z bucharskiej klasy średniej lub ludzie z perskim pochodzeniem, których, kiedy zamieszkiwali Turkiestan, nazywano Tadżykami. Ale poza tym można było spotkać przedstawiciela prawie każdej azjatyckiej rasy, od Hindusów i Ujgurów, po Chińczyków. Kobiet było niewiele, a te obecne, tak jak mężczyźni jeździły konno okrakiem, ubrane w ciemne szaty okrywające je od stóp do głów.

Po dwóch stronach Registanu stały medresy, teologiczne szkoły muzułmańskie, a na przeciwległych bokach wielkie, ocienione drzewami fontanny. Nad wszystkim dominował ogromny, tysiącletni budynek pałacu nazywany Ark.

Przed wjazdem na pałacowy dziedziniec zsiadli z wielbłądów. Juliet pośpieszyła do Rossa, żeby odebrać od niego wodze. Ich spojrzenia na chwile się spotkały.

– To jest to – szepnął Ross.

Skinęła głową.

– Jutro o tej samej porze będziemy już w drodze do domu. – Wątpił, żeby żona wierzyła w to bardziej niż on, ale zakładał, że przynajmniej teoretycznie taka możliwość istnieje. Kiedy szli podjazdem prowadzącym do bramy z wieżyczkami, Ross poczuł, że włosy lekko unoszą mu się na karku. Pierwszy raz znalazł się w Ark. On i Burnes nie starali się o audiencję u emira, choć wiele o tych audiencjach słyszeli. Bywało, że ci, którzy weszli do pałacu, już nigdy z niego nie wychodzili.

Ark przypominał europejskie zamki; w rzeczywistości największe ze średniowiecznych fortec zaprojektowane były przez budowniczych, którzy podczas wypraw krzyżowych studiowali saraceńską architekturę. Zewnętrzne mury zamykały w sobie miasteczko składające się z budynków i

dużego dziedzińca, po którym krążyli zajęta swoimi zadaniami królewska służba i niewolnicy.

Szambelan gestem dłoni wezwał pachółka, który miał odebrać od nich wielbłądy i odprowadzić je do stajni.

– Wprawdzie jest w zwyczaju, że zabiera się ze sobą do pałacu służącego – powiedział, zarazem podejrzliwie spoglądając na Juliet – ale musi on zachować milczenie i nie sprawiać kłopotów.

– Myślisz, że będziesz się umiał zachować, sługo? Może lepiej i zostań przy wielbłądach – zwrócił się Ross do żony, używając języka Tuaregów. Wyjął przy tym z sakwy przy siodle oprawioną w skórę skrzyneczkę.

– Za nic nie chciałabym tego stracić – odburknęła Juliet, odbierając pakunek od męża.

Do pałacu prowadziły szerokie schody. Wewnątrz wysokie pomieszczenia i marmurowe posadzki zapewniały chłód. Szambelan w milczeniu prowadził gości licznymi korytarzami, aż w końcu dotarli do wielkiej Sali, gdzie inni petenci czekali na audiencję u emira. Zgodnie ze słowami urzędnika, większości towarzyszyli ich niewolnicy, tak więc obecność Juliet nikogo nie zdziwiła.

Podszedł do nich bogato odziany mężczyzna. Miał około sześćdziesiątki i wyglądał na Persa. Ku zaskoczeniu Rossa zaczął mówić po angielsku, choć z silnym akcentem i niewyraźnie.

– Witam w Bucharze. – Pokłonił się. – Nazywam się Abdul Samut Khan. Jestem dowódcą artylerii emira, nayebe. Miałem zaszczyt walczyć z przedstawicielami pańskiej wspaniałej rasy w Afganistanie.

Ross oddał ukłon.

– Cały zaszczyt po mojej stronie. – Zmieniając język, dodał: – Choć wspaniale pan opanował mój ojczysty język, wolę mówić po persku, tak żeby wszyscy słuchający mogli mnie rozumieć. Inaczej pomyślą, że mam coś do ukrycia.

– Bardzo rozsądnie, lordzie Kilburn – odparł nayebe, kiwając głową. – Zwłaszcza że niewielu ceni sobie Brytyjczyków tak jak ja. – Przechodząc na perski, dodał: – Przysłano mnie, żebym się dowiedział, czy zastosuje się pan do zwyczajowego sposobu powitania emira.

– A na czym on polega?

– Ten, który staje przed obliczem jego królewskiej mości, musi pogładzić brodę i pokłonić się trzykrotnie, mówiąc: *Allah Akbar, Salaamat Padishah*.

Domyślając się, że w przeszłości zdarzało się, iż jacyś *ferengi* nie chcieli uznać rytuału, Ross odpowiedział przyjaźnie:

–Z chęcią pokłonię się nawet trzydzieści razy, jeśli będzie trzeba, bo wypada przyznać, że Bóg jest wielki, i życzyć królowi pokoju.

Abdul Samut Khan, usatysfakcjonowany, skinął głową, potem wskazał na skrzyneczkę, którą trzymała Juliet.

– A to co?

– To skromny prezent dla emira, jako wyraz mojego dla niego szacunku.

Juliet otworzyła skórzaną wieko, a Ross wyjął płaskie drewniane pudełko z mosiężną płytką na pokrywie. Uniósł ją i ich oczom ukazała się para wspaniale wykonanych krzemiennych pistoletów umieszczonych w aksamitnych zagłębieniach.

Na widok pistoletów, które lśniły jak klejnoty, nayeb wciągnął powietrze. Broń była wykwintnie rzeźbiona, a orzechowe łożyska wykładane złotym drutem. Co więcej, pistolety wykonał jeden z najlepszych brytyjskich rusznikarzy, więc były one nie tylko piękne, ale też bardzo precyzyjne. Ross zakupił je, uznawszy, że mogą mu się przydać, być może jako prezent dla jakiegoś arabskiego wodza z Lewantu. Instynkt go nie zawiódł, bo pistolety były rzeczywiście podarkiem godnym króla.

Abdul Samut Khan z czcią podniósł i obejrzał każdy po kolei, ale przed odłożeniem sprawdził, czy nie są naładowane.

–Bardzo dobrze – stwierdził, oddając skrzynkę Juliet. – A teraz niech mi pan da swój paszport i listy polecające.

Ross wyciągnął dokumenty podrózne oraz listy, które zbierał już od Konstantynopola. Było ich równo tuzin, poczynając od referencji od sułtana i kończąc na liście od kalifa Turkmenów. Każdy zawierał elegancko wyrażoną prośbę do emira, aby ten potraktował z łaskawością petycję Rossa.

Nayeb przyjął dokumenty, potem wskazał na kamienną ławeczkę stojącą pod ścianą.

–Tam zaczekajcie.

Ross usiadł i skrzyżował nogi, przybierając znudzoną minę ze względu na ciekawskie spojrzenia innych gości emira, a Juliet ukucnęła pod ścianą

kilka kroków dalej. Ich oczekiwanie trwało zaskakująco krótko – mniej niż pół godziny – zanim ponownie pojawił się nayeab.

Pod obstrzałem niechętnych spojrzeń tych, którzy czekali dłużej, Ross opuścił salę i poszedł za przewodnikiem. Juliet ze skrzynką podążała za nimi. Po krótkim marszu znaleźli się w zatłoczonej sali audiencyjnej. Po lewej sala otwierała się na pięknie ukwiecony dziedziniec. Wewnątrz bogato odziani dworzanie, których szaty dokładnie reprezentowały ich status, z zaciekawieniem przyglądali się *ferengi*.

Ale Ross nie zwracał większej uwagi na otoczenie, bo przecież znalazł się w końcu, po długich miesiącach wędrówki, przed obliczem samego emira Nasrullaha, nazywanego najbardziej brutalnym władcą Azji. Mężczyzna, który aby zająć miejsce na tronie, zabił własnego ojca i braci, miał około czterdziestu lat, był postawny, z długą czarną brodą. Choć sala audiencyjna zwracała uwagę bogactwem, on miał na sobie bardzo skromne szaty, prawie jak muła.

Ross zdjął kapelusz, a następnie rytualnie się przywitał. Ponieważ nie miał zarostu, pogłaskał gołą brodę, skłonił się głęboko, a formułkę powitalną prawie wykrzyczał.

Prostując się, spojrział emirowi prosto w twarz. Nasrullah miał małe oczka, lekko lśniące, a mięśnie twarzy drgały mu nerwowo. Otaczała go specyficzna aura władzy i sprawiał wrażenie człowieka popędliwego. Mówiono, że jego cztery perskie żony nienawidziły go.

– To dla nas zaszczyt gościć pana, lordzie Kilburn – odezwał się wysokim, niespokojnym głosem. – Czy przybył pan z misją od angielskiej królowej?

Ross się domyślał, że Nasrullah doskonale zna powód jego wizyty, niemniej postanowił uczestniczyć w komedii.

– Nie – odparł, złożyłwszy najpierw jeszcze jeden pokłon. – Nie przybyłem z oficjalną wizytą, ale żeby szukać u waszej wysokości łaski dla mojego brata, brytyjskiego majora, Iana Camerona.

Emir uniósł dłoń, przerywając mu.

– Powiedziano mi, że przywiozłeś dla mnie jakiś prezent.

– To tylko drobnostka. – Juliet zrobiła krok do przodu, a Ross wyciągnął ze skrzynki pudełko z pistoletami, które następnie otworzył. – Niemniej błą-

gam, byś zgodził się, panie, przyjmąc ode mnie skromny podarek.

Oczy Nasrullaha rozszerzyły się z zadowolenia, a z ust wypłynęło miękkie westchnienie. Wyglądał jak dziecko, które dostało wreszcie coś długo wyczekiwanego.

– Wspaniale. – Uniósł jeden z pistoletowi pogładził go, przesuwając palcami po lśniącej powierzchni niczym kochanek pieszczący ciało kochanki. – Chodźmy. Chcę je wypróbować. – Podniósłszy się, szybko przemierzył pomieszczenie i wyszedł na dziedziniec.

Ross, Juliet i dworzanie podążyli za nim. Dziedziniec okazał się uroczym ogrodem, w którego centrum stała fontanna z różowego marmuru, a wysokie palmy falowały nad klombami obsadzonymi niespotykanej urody goździkami i różami. Ross wciągnął powietrze i przekonał się, że poza zapachem kwiatów dochodzi go też woń paczuli. Domyślił się, że woda w fontannie jest perfumowana. Nad ich głowami szeleściły liście palm.

Nasrullah zatrzymał się i zażądał, żeby gość załadował broń. Ross był na to przygotowany. W obitej skórą skrzynce znajdowały się proch i ołowiane kule. Po nasypaniu odpowiedniej ilości prochu do lufy, wsadził do niej kule, jeszcze dosypał prochu i podał pistolet emirowi.

Ten bez namysłu wystrzelił w stronę fontanny. Kula zrobiła wyrwę w różowym marmurze i odbiwszy się, śmignęła w powietrze. Z szerokiej niecki przez dziurę zaczęła wyciekać perfumowana woda.

– Wspaniale, wspaniale!

Podczas gdy dworzanie kaszleli od gryzącego dymu, Nasrullah wymienił pistolety i wystrzelił ponownie, tym razem rozrywając na strzępy kępkę goździków.

– Fenomenalne!

Ross ponownie załadował broń, a wtedy emir rzucił żartobliwie:

– Oczywiście prawdziwy test broni polega na użyciu jej w celu, do którego została stworzona. – Podnosząc jeden z pistoletów, ciągnął: – A broń ma za zadanie zabijać.

Widząc obłąkańcze rozbawienie władcy, Ross był pewien, że szykują się kłopoty. Ale nic nie mogło go przygotować na paraliżujący strach, który go ogarnął, kiedy emir okręcił się i wycelował prosto w głowę Juliet.



Przez jedną przerażającą chwilę, która zdawała się trwać wieczność, Juliet wpatrywała się w śmiercionośną czarną lufę pistoletu. W innej sytuacji starałaby się gdzieś ukryć, wyciągnąć ukryty nóż, ale tutaj, w pałacu emira, otoczona strażnikami, nie odważyła się tego uczynić, bo ucieczka była po prostu niemożliwa, a każde jej posunięcie mogłoby zagrozić Rossowi.

Potem widok lufy przysłoniła jej szeroka pierś męża opięta niebieskim surdudem, bo Ross stanął między nią a emirem.

–W moim kraju zabicie sługi drugiego człowieka poczytywane jest za wielkie uchybienie etykiety – powiedział nie bez wyrzutu.

Juliet usłyszała wybuch szaleńczego śmiechu, któremu towarzyszył huk następnego wystrzału. Przez jeden rozdzierający serce moment myślała, że Nasrullah strzelił do Rossa, ale po chwili opadł na nich trafiony liść palmy.

–Niech Bóg broni, żebym obraził zwyczaj kraju mojego gościa – rzekł przyjaźnie emir. – Masz rację, lordzie. O wiele grzeczniej będzie, jeśli zabiję jednego z moich niewolników.

Z sercem bijącym jak młotem, Juliet wycofała się w stronę tłumu podeńnerwowanych dworzan, odbijając trochę w bok, żeby móc lepiej widzieć, co się dzieje. Dworzanie, którzy mieli tyle szczęścia, że stali z tyłu, już zdążyli umknąć.

Nasrullah z zastanowieniem przyglądał się grupie tłoczących się na dziedzińcu ludzi.

– Który z tych szakali ma najmniejszą wartość? – Jego wzrok padł na chłopca, wchodzącego właśnie do ogrodu z mosiężną tacą wypełnioną świeżymi owocami. Juliet pomyślała się, że chłopiec wybrał drogę na skróty przez dziedziniec, idąc do innej części pałacu.

– Ty, chłopcze. – Władca machnął pistoletem, wskazując odległy kąt dziedzińca. – Idź i stań tam.

Nie miał więcej niż dziesięć lat i był perskiego pochodzenia. Od razu zrozumiał, co go czeka; przerażony sapnął i upuścił tacę, która upadła na ziemię z łomotem, a owoce poturlały się we wszystkie strony. Chłopak rzu-



cił się do ucieczki, ale dwóch strażników natychmiast go pochwyciło.

Pierwszy zaciągnął ofiarę do wskazanego miejsca na dziedzińcu, drugi w tym czasie zerwał chłopcu turban z głowy i rozdarł go na dwa długie pasy. Jednym związał mu ręce w nadgarstkach. Po wykonaniu zadania strażnicy pospiesznie usunęli się na bok, obawiając się, by Nasrullah nie wpadł na pomysł, że większy cel będzie lepszy.

Chłopiec wpatrywał się z rozpaczą w emira. Twarz miał lśniąca od potu, zdjęty strachem oddychał szybko i urywanie. Na dziedzińcu zapanowała cisza, tylko woda chlupotała w fontannie i niestosownie do sytuacji świergotały ptaki ukryte w palmach.

Władca z całym spokojem wycelował broń w żywą tarczę i pociągnął za spust. Gdy odgłos wystrzału odbił się echem od marmurowych ścian i następna chmura dymu zasnuła wszystko w około, przerażony chłopiec krzyknął przeraźliwie.

Dopiero po kilku sekundach dym się rozwiął na tyle, że można było zobaczyć, iż nadal stoi pomiędzy drzewami. Dławiony łkaniem szarpał desperacko za więzy na dłoniach.

Nasrullah zmarszczył czoło.

–Spudłowałem. Daj mi drugi pistolet, lordzie. To może nam zająć trochę czasu, ponieważ nie jestem zbyt biegły w strzelaniu.

Na myśl, że będzie stała i patrzyła, jak maniak próbuje trafić kulą dziecko, Juliet poczuła skurcz w żołądku. Ile będzie tych kul? I czy emirowi wystarczy, że zrani chłopca, czy będzie strzelał, dopóki go nie zabije? Przez krótką chwilę myślała, że pójdzie po swój nóż i wbije go w gardło szaleńca, ale zdrowy rozsądek zatrzymał ją w miejscu. Ledwo.

Potem odezwał się Ross, tym charakterystycznym dla niego tonem, który w zależności od sytuacji bywał albo denerwujący, albo pocieszający. Teraz był to głos przytomności w świecie obłądu.

–Jeśli pragniesz, panie, dowodu, że broń jest śmiertelna, można to sprawdzić w prostszy sposób.

Podniósłszy drugi pistolet, wycelował w palmę i wystrzelił. Chwilę później na ziemię spadło drobne, skręcone ciało ptaka.

–Szkoda tracić niewolnika – dodał spokojnie. – Zestrzelenie ptaka to o wiele trudniejszy test dla broni.

Skonsternowany emir przez chwilę spoglądał raz na martwego ptaka, raz na Rossa. Potem uśmiechnął się z lodowatym okrucieństwem.

–Jesteś pan doskonałym strzelcem, lordzie Kilburn. A skoro tak się martwisz o mojego niewolnika, możesz mu pomóc, prezentując nam swoje umiejętności.

Przywołał jednego ze strażników i wydał rozkaz, którego Juliet nie usłyszała. Strażnik pochylił się i podniósł granat, który spadł z tacy, potem położył owoc chłopcu na głowie, ostrym głosem nakazując mu stać nieruchomo.

Nasrullah zwrócił się do gościa:

–Zestrzel granat, a dam ci chłopaka w prezencie. Jeśli spudłujesz, sam go zastrzele, i nieważne, jak długo miałyby to potrwać.

Tylko ktoś, kto znał Rossa tak dobrze jak Juliet, mógł dostrzec, że zaciśnął szczęki.

–Bardzo dobrze – powiedział głosem pozbawionym emocji, godząc się na zasady tej makabrycznej zabawy w Wilhelma Tella.

Kiedy ładował broń, Juliet całą sobą czuła jego napięcie. Chłopiec stał dość daleko, zatem Ross musiał się liczyć z ewentualnością, że albo zabije dziecko, albo spudłuje i chłopak padnie ofiarą obłąkanego emira. Jedyłą jego szansą na życie było to, że Ross nie spudłuje – a Juliet wiedziała, że gdyby tak się stało, nigdy by sobie tego nie darował.

Nic nie zdradzało jego niepokoju, kiedy podnosił pistolet i precyzyjnie mierzył do celu. Dla Juliet był to jeden z tych momentów, które na zawsze zapisują się w pamięci. Ross, przystojny i spokojny, prawdziwie angielski, wydawał się tak rozluźniony, jakby brał udział w strzelaniu do celu w londyńskiej galerii. Przez liście palm przedarł się promyk słońca, rzucając mu na włosy złote refleksy. Chłopiec zamarł, stał z oczami wytrzeszczonymi tak, że widać mu było całe białka. Powietrze wypełniał odgłos jego przerażonego oddechu.

Juliet odmówiła żarliwą modlitwę zarówno za chłopca, jak i za męża. Potem padł strzał.

Chmura dymu była jeszcze gęstsza niż poprzednio i coraz dłużej utrzymywała się w powietrzu. Emir szybkim krokiem ruszył przed siebie, żeby sprawdzić wynik. Ross podążył za nim, ale wolniej. Zanim dotarli do połowy dziedzińca, dym się unióś na tyle, że mogli się przekonać, iż chłopcu

nic się nie stało, a na białej ścianie za nim widnieją szkarłatne smugi po roztrzaskanym owocu. Nasrullah wybuchnął śmiechem i poklepał Rossa po plecach.

– Wspaniale, wspaniale! Naprawdę jesteś, lordzie, wyśmienitym strzelcem. – Podeszedłszy do ledwie żywego ze strachu chłopca, przeciągnął leniwie dłonią po jego policzku. – Wygrałeś niewolnika, lordzie – rzucił emir. – To ładne dziecko. Ciesz się nim.

Trzęsąc się od tłumionej wściekłości, Juliet podeszła do chłopca i rozwiązała mu rękę. Spojrzał na nią niepewnie, wystraszony jej zasłoniętą twarzą.

– Nie bój się – powiedziała do niego cicho. – Wszystko będzie dobrze.

Potem wzięła go za rękę i przeszli do miejsca, gdzie stali dworzanie. Nie puścił jej dłoni nawet wtedy, kiedy stali, obserwując, co będzie dalej.

– Wasza wysokość jest wielce łaskawy i szczodry – mówił Ross z nieznaną nutką ironii w głosie. – Bardzo dziękuję za podarek.

– Twierdzisz, lordzie Kilburn, że major Cameron jest twoim bratem. – Emir niespodziewanie i bezceremonialnie zmienił temat. – Ale nie jesteś do niego podobny, oprócz wzrostu. Czy pochodzicie od różnych matek?

– Nie. Major Cameron nie jest moim bratem z urodzenia, a z małżeństwa – wyjaśnił Ross. – Jego siostra jest moją żoną.

– Aha. – Nasrullah gładził brodę. – Masz tylko jedną żonę? Wiem wprawdzie, że to zwyczaj *ferengi*, ale z pewnością człowiek takiej rangi jak ty nie musi przestrzegać bzdurnych zasad.

– Niektórzy mężczyźni w Anglii rzeczywiście poza żoną mają też kochanki – przyznał Ross. – Ale żona jest jedna, bo nasze prawo nie zezwala na więcej.

Emir prychnął pogardliwie.

– Jakież to nużące. Mężczyzna potrzebuje urozmaicenia.

– Urozmaicenie to nic złego, ale płaci się za nie brakiem głębszych uczuć – odparł Ross. – Człowiek mający tuzin koni nie będzie się nimi tak cieszył jak ten, który posiada tylko jednego. Tak samo mężczyzna, który ma jedną żonę, zna ją lepiej i bardziej ją sobie ceni niż inny swoje małżonki, czy nałożnice w haremie.

Choć Ross nawet nie mrugnął w jej stronę, Juliet odniosła wrażenie, że te słowa skierowane zostały także do niej. Pochlebiały jej, ale wzbudziły też

poczucie winy Ross był dla niej stanowczo za dobry. No, ale przecież zawsze o tym wiedziała.

Nasrullah wydawał się mniej zachwycony.

– Tak mówią ludzie, którzy chcą wierzyć w podobne rzeczy, kiedy nie mają innego wyboru.

Ross się uśmiechnął.

– Jak wolisz, wasza wysokość. Istnieje wiele prawd. Ja honoruję akurat tę.

– To niesamowite – rzucił emir, znowu niespodziewanie zmieniając temat. – Trzymam w Bucharze dwa tysiące perskich niewolników i jakoś nikt się nimi nie przejmuje. A gdy tylko uwięziłem jednego Brytyjczyka, aż z Anglii przybywa osoba domagająca się jego uwolnienia.

Juliet spięła się, czując, że to samo dzieje się z Rossem. Dotarli do sedna ich misji.

Pokornie, niepomny na dumę, Ross padł przed emirem na kolana.

– Ja się nie domagam, ja błagam. Jeśli więzisz, panie, mojego brata, błagam cię, abys go uwolnił. Znając zasady dobrego obyczaju, powszechnie obowiązujące w twoim kraju, nie mogę uwierzyć w pogłoski, że mój brat został brutalnie zamordowany.

– Twoja prośba, lordzie Kilburn, jest zaiste bardzo wzruszająca. Być może, gdybyś się zjawił tu kilka miesięcy wcześniej, wypełniłbym ją. Ale, niestety, przybyłeś zbyt późno. – W głosie Nasrullaha pojawiła się nutka fałszywego żalu, a ciemne oczy roziskrzyła złośliwość. – Z przykrością muszę cię poinformować, że major Cameron został stracony.

Juliet, tracąc ostatnią nikłą nadzieję, przymknęła powieki i wstrzymała drżący oddech. Jej brat nie żyje.

Poczuła mocny uścisk dłoni i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że trzyma za rękę perskiego chłopca. Musiał zauważyć, że coś ją gnębi i tym gestem może chciał dodać jej otuchy. Dobrze o nim świadczyło, że po tym, co przeżył, potrafi być wrażliwy na zmartwienia innych. Zmusiwszy się do otwarcia oczu, przekonała się, że na tę wiadomość jej mąż zareagował tak samo jak ona: znieruchomiał.

– Ośmielę się zapytać, czym mój brat zasłużył sobie na taką karę? – odezwał się Ross po długiej, długiej chwili.

Zapadła grobowa cisza, wypełniona przerażeniem, rzadko się bowiem zdarzało, żeby ktoś podważał wyroki emira. Jednak ten wzruszył tylko ramionami.

– Było coś nie w porządku z jego referencjami, więc mieliśmy wątpliwości, czy rzeczywiście reprezentuje rząd brytyjski. Złapaliśmy Camerona na szpiegostwie. Kiedy przedstawiono mu dowody, przeszedł na islam i przyrzekł mi lojalność, ale już po kilku dniach wszystkiego się wyparł. – Oczywiście Nasrullaha zrobiły się zimne jak śmierć. – Zgodnie z naszym prawem, jeśli człowiek deklaruje, że zostanie muzułmaninem, musi to zrobić lub umrzeć.

– Rozumiem. – Ross westchnął ciężko. – To rzeczywiście poważne przewinienie. Niemniej, ponieważ zapłacił za swoją zbrodnię, błagam cię, panie, byś pozwolił mi zabrać jego zwłoki do domu, gdzie...

– Już i tak dzisiaj poświęciłem tej sprawie zbyt dużo czasu –przerwał opryskliwie Nasrullah. – Zastanowię się nad twoją prośbą i porozmawiam o niej innym razem. – Zaczął się rozglądać, aż napotkał wzrokiem jednego ze strażników. – Minister spraw zagranicznych ma pytania do lorda Kilburna. Zaprowadź do niego *ferengi*. – Odwrócił się i wyszedł.

Ross, patrząc za nim, zaciskał ręce w pięści. Zaraz jednak zmusił się do rozluźnienia palców. Nasrullah był rzeczywiście tak okrutny i szalony, jak o nim opowiadano. Będą mieć szczęście, jeśli ujdą z życiem i wydostaną się z Buchary. Przybierając na twarz maskę obojętności, poszedł za strażnikiem, a za nimi Juliet i perski chłopiec.

Abdul Sarnut Khan wprowadził ich do małego biura, gdzie bucharski minister spraw zagranicznych dyktował coś perskiemu skrybie. Minister był Uzbekiem, miał krzaczaste brwi i niezmiennie ponurą minę. Przez kilka godzin poddawał Rossa ostremu przesłuchaniu, podczas gdy Juliet i chłopiec siedzieli cicho w kącie pod ścianą.

Minister zaczął od pytania, czy Brytyjczycy będą źli, kiedy się dowiedzą o śmierci majora Camerona. Ross powiedział, że byli zasmuceni wieścią o uwięzieniu majora, a jego śmierć po prostu ich rozwścieczy. Minister z jeszcze bardziej ponurą miną zapytał, jak daleko jest z Anglii do Buchary. Wyraźnie odetchnął, kiedy się dowiedział, że bardzo daleko, po czym wypytywał o wewnętrzną politykę Brytanii i Rosji. O tej ostatniej wiedział bardzo dużo, i nic dziwnego, skoro jakiś czas temu zawładnęła niemal całą Azją.

Atmosfera zrobiła się napięta, kiedy zapytał o nazwiska czterech brytyjskich „wielkich wezyrów”, a następnie oskarżył Rossa o kłamstwo, ponieważ nazwiska różniły się od tych, które przed rokiem podał mu Ian Cameron. Ross ze znużeniem tłumaczył, że w rządzie angielskim doszło niedawno do zmian na stanowiskach ministrów, ale kolejne pytania Uzbeka doprowadziły do tego, że musiał mu wyjaśnić zasady funkcjonowania całej monarchii brytyjskiej.

Bucharczyk dał się wreszcie przekonać, gdy usłyszał nazwiska głównych ministrów poprzedniego rządu, choć Ross wątpił, czy śledczy rzeczywiście uwierzył, iż administracja może się zmienić pokojowo. Zmiana rządu bez przelewu krwi, w świecie azjatyckim jest raczej niemożliwa.

Pytaniom nie było końca. Ross czuł się już tak wyczerpany, że z trudem utrzymywał koncentrację. Karawana wyruszyła w drogę jeszcze przed świtem, a poza tym miał za sobą długi i stresujący dzień. Teraz zapadał już zmrok. Ale minister spraw zagranicznych był niestrudzony.

– Czy mój służący może pójść z darowanym mi niewolnikiem, po jego rzeczy? – zapytał w końcu Ross.

Minister wyraził zgodę i posłał z nimi strażnika do części zamieszkałej przez niewolników. Wrócili po półgodzinie. Juliet niosła bawełniane tobołki z rzeczami chłopca. Kiedy się pojawili, minister stał się nagle bardzo przyjazny.

– Proszę wybaczyć, lordzie Kilburn, że tak długo pana trzymałem – Będę chciał z panem jeszcze porozmawiać, ale na dzisiaj wystarczy. Musi być pan zmęczony po podróży. – Klaszcząc w dłonie, wezwał uzbrojonych strażników, którzy mieli odprowadzić gości do miejsca ich zakwaterowania.

Po odebraniu wielbłądów opuścili pałac królewski i zostali odeskortowani do otoczonej masywnymi murami rezydencji położonej jakieś pół mili od cytadeli. W progu przywitał ich nayeab.

– Witam, przyjaciele. – Ukłonił się. – Witam w moich skromnych progach.

– To pański dom? – Ross nie krył zdziwienia.

– W istocie. Emir pozwala mi czasami przyjmować u siebie wyjątkowych gości. Pozwólcie, że zaprowadzę was do waszego apartamentu.

Dwa przeznaczone dla nich pokoje znajdowały się na piętrze i dzieliły ze

sobą balkon wychodzący na olbrzymi ogród za domem. Były urządzone skromnie, ale wygodnie, miały białe ściany, wyłożone poduchami kanapy i piękne bucharskie chodniki na podłogach. W jednym stało sznurkowe łóżko, w drugim stół, przy którym można było jeść i pisać. Służba już wносиła ich bagaże i układała je w sypialni.

– Wydam rozkaz, żeby za kilka minut podano wam tu posiłek – poinformował nayeab, zapalając kilka oliwnych lampek. – Chcesz panie, żeby twój służący został z tobą, czy mam go odesłać do części dla niewolników?

– Jalal może spać na podłodze. Chłopiec... – Ross przez chwilę przyglądał się dziecku. – Chciałbym z nim dzisiaj spożyć posiłek i porozmawiać, ale nie musi tu spać. Domyślam się, że masz wśród służących chłopców w jego wieku.

Nayeab skinął głową.

– Czy jest coś jeszcze, czego byś pragnął, panie?

– Kąpiel – rzucił pośpiesznie Ross.

– Możesz skorzystać z hammamu.

Ross oddałby za to pół roku życia, ale niestety Juliet nie mogłaby pójść do łaźni, a z pewnością czuła się tak samo brudna jak on.

– Niestety. Brytyjczykom nie wolno korzystać z łaźni – powiedział ponuro, przywołując resztkę szlachetności. – Czy macie może wielką balię, którą można by przynieść i jakiś parawan do jej zasłonięcia?

– Balię? – powtórzył zafrasowany Abdul Samut Khan. – Major Cameron także był moim gościem i wcale nie miał nic przeciwko łaźni.

– Ale on był Szkotem, a ja jestem Anglikiem. – Ross postarał się, by zarówno jego głos, jak i mina świadczyły o przygnębieniu. – Zdaję sobie sprawę, że to duży kłopot, bo trzeba przynieść tu wodę, a potem ją wynieść. Jeśli nie jest to możliwe...

– Nie, nie, da się to zrobić – zapewnił nayeab, choć wyraz jego twarzy mówił, że uważa prośbę gościa za wielce ekscentryczną. – Myślę, że w pralni są jakieś wielkie kadzie. Wydam rozkaz, żeby przygotowano panu kąpiel zaraz po posiłku.

Abdul Samut Khan odwracał się już, żeby wyjść, ale zatrzymało go pytanie Rossa.

– Wspominał pan, że gościł u siebie majora Camerona. Chciałbym z pa-

nem o tym porozmawiać.

Nayeb strzelał spojrzeniem na boki, jakby się obawiał, że są podsłuchiwani.

– Ja także chciałbym z panem porozmawiać na ten temat – powiedział, zniżając głos. – Jutro z rana. – Potem wyszedł.

W pokoju mieli dzban z wodą i miednicę. Cała trójka zdążyła właśnie umyć ręce, kiedy przyniesiono posiłek. Chłopiec pochłaniał łapczywie ryż z jagnięciną; sądząc po tym, jak bardzo był wychudzony, musiał w pałacu nie dojadać.

Kiedy skończyli, Ross zaczął przepytować nowego niewolnika. Juliet już wcześniej przedstawiła mu chłopca, który miał na imię Reza.

– Urodziłeś się w Bucharze, Reza, czy sprowadzono cię tutaj jako niewolnika?

Chłopiec utkwiał w nim roziskrzony wzrok. Nie był już przerażony i wyglądał na bystrego.

– Jestem Persem z pochodzenia, lordzie. Mój ojciec handluje zbożem w Meshhedzie.

– Jak to się stało, że zostałeś wzięty do niewoli?

– Odwiedzałem farmę wuja na wsi. On nie pozwalał mi chodzić daleko w pola, ale byłem wtedy mały i go nie posłuchałem. Nadjechali turkmeńscy bandyci i mnie porwali. – Ponuro niczym stary człowiek dodał: – Jako *ferengi* możesz, lordzie, o tym nie wiedzieć, ale muzułmanie nie mogą brać do niewoli innych muzułmanów. Jednak szyitów uważa się za heretyków, więc jesteśmy jak owce dla turkmeńskich wilków. – Twarz Rezy przybrała wyraz zaciętości i powagi. – Pewnego dnia wrócę do domu, choćby zajęło mi to dwadzieścia lat, i nauczę się posługiwać bronią. Nigdy więcej tacy jak oni mnie nie pojną.

– Jak długo byłeś niewolnikiem?

– Dwie zimy.

– Wiele narodów uważa, że nie powinno się trzymać niewolników, dlatego teraz cię uwalniam. Jesteś wolny – oświadczył Ross zadowolony, że sprawę chłopca można tak łatwo rozwiązać. – Zanim nadejdzie zima, znowu będziesz ze swoją rodziną w Meshhedzie.

Reza wstrzymał oddech; najwyraźniej nawet mu przez myśl nie prze-



szło, że jego nowy pan zechce go uwolnić. Odskoczył od stołu, padł na kolana i złapał Rossa za rękę.

– Niech Bóg pana błogosławi! – wykrzyknął, obcałowując dłoń dobroczyńcy. – Już drugi raz mnie pan dzisiaj uratował: najpierw moje życie, a teraz duszę. Nigdy panu tego nie zapomnę. Nigdy nie pozwolę, żeby ktoś przy mnie wyklinał *ferengi*. Nigdy...

– Spokój, spokój – przerwał mu Ross, śmiejąc się. Uwolnił rękę i pogładził chłopca po jedwabistych ciemnych włosach. Zawsze lubił dzieci; gdyby miał syna, chciałby, żeby był taki bystry i silny psychicznie, jak ten chłopak. Spoglądając znad jego głowy na Juliet, dodał: – Jalal, zabierzesz go jutro do Saleha. Kiedy Abdul Wahab znowu poprowadzi karawanę na zachód, weźmie ze sobą Rezę i dostarczy do rodziny w Meshedzie.

Reza wstał. Teraz, gdy nie był już niewolnikiem, postanowił skorzystać ze swojej wolności i zarzucił Rossowi ramiona na szyję, obejmując go serdecznie. Potem uściskał Juliet.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym Ross kazał chłopcu znaleźć sobie miejsce na noc w części domu przeznaczonej dla niewolników. Teraz dopiero zauważył, że jedyne drzwi prowadzące do ich apartamentu zrobione są z solidnego drewna i od wewnątrz zabezpiecza je masywny rygiel. Uradowała go myśl, że mogą z Juliet cieszyć się prywatnością, nie obawiając się nieproszonych gości.

Odwrócił się, żeby coś do niej powiedzieć, ale usłyszał pukanie do drzwi. Dwaj niewolnicy *nayeba* przynieśli wielką balię do prania. Za nimi szła następna para niewolników z chińskim składanym parawanem, a orszak zamykały kobiety z ręcznikami, mydłami i kubłami parującej wody. Ross przyglądał się tej procesji z rozbawieniem. Balię postawiono w rogu sypialni, a przed nią parawan. Po nalaniu perfumowanej wody, służący ukłonili się i wyszli.

W końcu Ross i Juliet zostali sami. On poczuł się dziwnie; do tej pory obecność innych podróżników w karawanie zmuszała go, by powściągał swój temperament, teraz nie wiedział, jak będzie. Zaryglował drzwi i odwrócił się do żony. Bardziej niż czegokolwiek w życiu pragnął wziąć ją w ramiona i przytulić – po prostu czuć ją przy sobie, nic więcej.

Ale oczywiście, gdyby już znalazła się w jego objęciach, posunąłby się

dalej, więc powiedział tylko:

– Wykąp się pierwsza. – Ściszył głos, ponieważ było możliwe, że ktoś ich podsłuchuje. Na szczęście w całym domu chyba tylko nayeab znał angielski, ale z pewnością miał coś lepszego do roboty niż stanie z uchem przy drzwiach do pokoju gościnnego.

Juliet siedziała po turecku na kanapie i kiedy Ross mówił, ona ściągała tagelmoust. Potem ze znużeniem oparła głowę na rękach.

– Dziś zrobiłeś trzy dobre uczynki – stwierdziła, unosząc głowę. – Uratowałeś komuś życie, zwróciłeś wolność niewolnikowi i wymusiłeś kąpiel na styl europejski, żebym ja też mogła z niej skorzystać. I z tych trzech uczynków największe pochwały należą ci się za ostatni.

Ross się uśmiechnął.

– Jak to?

– Co do uratowania życia Rezie – nie potrafiłbyś go nie ratować. Uwolnienie go nic cię nie kosztowało, ale zrezygnowanie z rozkoszy hammamu to prawdziwe poświęcenie – powiedziała z czułością, podnosząc się. Z nutką ironii dodała: – Gdyby ktoś zażądał, żebym oddała moje życie dla ratowania ciebie, uczyniłabym to, ale nie jestem aż taka szlachetna, żeby nie wykapać się pierwsza.

Roześmiał się, potem zaczął szperać w bagażach, aż znalazł prostą i lekką bawełnianą szatę.

– Przypuszczam, że nie będziesz chciała wkładać na siebie tych ubrań, zanim ich nie wypierzesz, więc możesz włożyć to.

– Święty. – Odbierając od męża powiewną szatę, pamiętała, żeby przy tym nie dotknąć jego ręki. – Wyszłam za mąż za świętego.

– Tylko nie siedź tam tak długo, aż woda wystygnie – ostrzegł. – Bo możesz się przekonać, że mylnie mnie oceniasz.

– Nie ma mowy o pomyłce – odparła wyniośle. – Kobiety zawsze lepiej oceniają ludzi i sytuacje niż mężczyźni.

– A dowodem na to jest fakt, że ty wyszłaś za mnie, a ja ożeniłem się z tobą – mruknął Ross podkuszony przez szatana.

Duże oczy Juliet zrobiły się jeszcze większe, ale zaraz parsknęła śmiechem.

– Prawda, prawda, to wszystko prawda – wysapała. – Moja ocena była

doskonała, twoja bardzo chybiona.

Dlaczego ona musi się tak śmiać? Ross myślał, że żona obrazi się na jego uwagę i dołoży jeszcze jedną cegłę do muru między nimi: ale jej zdolność do kpienia z samej siebie okazała się zbawienna.

– Nie wiem, w czym tkwił błąd – zaczął z półuśmiechem – ale nie sądzę, że chodziło o mylną ocenę.

– Och Ross. – Juliet nagle spoważniała. – Tak cię lubię. Gdyby tylko... – Umilkła.

– Gdyby tylko co? – Poczucił niepokój.

Przez chwilę patrzyła na niego bezradnie, potem odwróciła się i zniknęła w sypialni. Ross wyszedł przez łukowe drzwi na balkon. Zacisnął dłonie na barierce i oddychał głęboko. Juliet go lubi. Wspaniale. Podziwia jego umiejętność oceny sytuacji. Jakież to pochlebne. W czasie burzy piaskowej dała dowód, że go pożąda.

Jaka szkoda, że na tej liście nie ma miłości, bo rozdźwięk między nimi był tak duży, że tylko miłość zdołałaby go zniwelować. A nawet i ona mogłaby nie wystarczyć; na pewno nie wystarczyła przed dwunastu laty. Jak zawsze najbardziej złościło go to, że nadal nie rozumiał, dlaczego Juliet od niego odeszła. Powody, które podała, miały sens, a jednak nadal dręczyło go przecucie, że były tylko zasłoną dymną, kryjącą głębszą prawdę.

Oddychał wolno i głęboko, uświadamiając sobie, że znowu jego myśli krążą wokół bardzo bolesnej dla niego sprawy i podążają w niebezpieczne rejony. Skupił uwagę na otoczeniu i stwierdził, że temperatura powietrza przyjemnie spadła. Choć z oddali dochodziły słabe odgłosy miasta, na terenie rezydencji Abdula Samut Khana panował błogi spokój. Było tak cicho, że dało się słyszeć nawet dochodzące z sypialni pluskanie wody. Nie potrafił się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie żony, która wchodzi do kadzi, najpierw jedną zgrabną nogą, potem drugą. Następnie zanurza się aż po piersi. Czy najpierw umyje włosy, czy raczej ciało? Mydło ślizga się po pięknej, jasnej jak alabaster skórze...

Uzmysłowił sobie, że oddycha szybciej, że ręce zaciskają się na poręczy balkonu. Jeśli nie weźmie się w garść, wybuchnie i pozostanie po nim tylko kupka prochu na posadzce z błotnych cegieł.

Uśmiechnął się smętnie. To byłby najprostszy sposób na opuszczenie Bu-

chary, ale postąpi mądrzej, jeśli zamiast tego przyjrzy się rezydencji nayeba. Był to w gruncie rzeczy mały pałacyk, otoczony wysokimi murami, które chroniły przed ludźmi z zewnątrz, ale też więziły tych, którzy znajdowali się wewnątrz. Może z rana, kiedy spotka się z Abdulem Samut Khanem, uda mu się przejść po terenie. Ross powrócił myślami do audiencji u emira, analizując każdy niuans i wrażenie, by nie umknęło mu coś, co mogłyby się okazać przydatne na przyszłość.

– Twoja kolej. – Cichy i ciepły głos żony wyrwał go z zamyślenia.

– Szybko się uwinęłaś – zauważył, wracając do pokoju. Juliet stała jak najdalej od okna, żeby nikt z zewnątrz nie mógł jej zobaczyć.

– Przestraszyłam się twojej groźby, że jeśli woda za bardzo ostygnie, zrobisz mi coś złego – wyznała z udawaną powagą. – Ubrania upioreę później, bo nie zaryzykowałbyś kąpieli, gdybym zrobiła to teraz.

Przeczesała splecione włosy palcami. Ciężkie rdzawe pasma zwieszały się jej prawie do pasa i nawet mokre lśniły jak ogień. Ross zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, dając żonie szatę z tak cienkiego materiału. Przywierała do jej wilgotnej skóry i widać było wyraźnie, że nic nie ma pod spodem. Kiedy szła przez pokój, żeby usiąść na kanapie, kilka centymetrów szaty ciągnęło się za nią, co sprawiało mylne wrażenie, że Juliet jest kobietą kruchą i delikatną. Szczupłą, tak; kruchą, z pewnością nie. Wszak pokonała poganiacza wielbłądów w walce na noże.

Zanim jego gapienie stałoby się krępujące, przeszedł do sypialni, zerwał z siebie energicznymi ruchami odzież i wskoczył do balii. Ciepła woda wspaniale na niego podziałała i pomogła rozluźnić mięśnie. Zabierając się do mycia włosów, pomyślał z drwiną, że lepiej by się stało, gdyby woda była zimna – choć nawet kawałki lodu wrzucone do kadzi nie ostudziłyby gorącej krwi w jego żyłach.

Kiedy Ross się wykapał, Juliet wyprała swoje ubrania, wyżeła, a potem rozwiesiła. W suchym pustynnym powietrzu wyschną do rana. Potem wróciła do saloniku. Mąż leżał rozciągnięty na kanapie, z rękami pod głową. On także przebrał się w luźną azjatycką szatę, ciemnoniebieską w pasy, która podkreślała kolor jego włosów.

Uśmiechnął się, a potem znów przeniósł spojrzenie na sufit. Wyglądał

na wyczerpanego, co było zrozumiałe; sama czuła się wymęczona, a przecież nie musiała konwersować z emirem ani znosić drobiazgowego przesłuchania ministra spraw zagranicznych.

Wieczór miał w sobie coś tak swojskiego, że wydawało się, iż podzielenie się sznurkowym łóżkiem to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Dzięki Bogu, że Ross ma żelazną wolę; bo ona, przyglądając się jego szczupłemu, zgrabnemu ciału, nie dałaby za swoją złamanego grosza.

Usadowiła się na podłodze, kilka kroków od męża, skromnie podciągając szatę pod stopy. Ciemnoszkarłatny dywan, na którym siedziała, był przepiękny; przyjrząwszy mu się dokładnie, stwierdziła, że został zrobiony przez turkmeńskie plemię Tekke. Turkmeni może i są bandytami, ale potrafią tkać naprawdę cudowne dywany.

Nieco skrępowana zaczęła rozczesywać wilgotne włosy, z nadzieją, że może dzięki temu przestaną się tak mocno skręcać.

– Uwierzyłeś emirowi?

Ross zmarszczył czoło.

– Powody, dla których kazał zabić Iana, wydają się wyssane z palca. Ian z pewnością przybył do Buchary jako wysłannik rządu brytyjskiego, ale kto wie, co jeszcze emir może uznać za szpiegostwo.

– Nie umiem sobie wyobrazić, żeby Ian przeszedł na islam – powiedziała ze smutkiem Juliet. – Przypuszczam, iż emir wymyślił to sobie, żeby móc go zgładzić.

– Być może jutro nayeab powie mi coś więcej, ale moim zdaniem powodem śmierci Iana były ostatnie porażki Anglii w Afganistanie – mówił w zamysleniu Ross. – Wojska brytyjskie wycofały się, więc emir uznał, że nie ma potrzeby przejmować się *ferengi*, i kazał Iana zabić. – Westchnął. – To ironia losu: gdyby Brytyjczycy wygrali, twój brat mógłby przeżyć.

– A więc Ian zapłacił życiem za rozrost imperium. – Juliet była rozgoryczona. – Cholerne brytyjskie imperium.

– To wielka strata – odezwał się cicho Ross. – Ale Ian wiedział, co robi. Czy mówiłem ci, że widziałem go kilka lat temu, kiedy byłem w Indiach? Wziął sobie miesiąc urlopu i cały ten czas spędziliśmy na włóczędztwie. Bardzo kochał wojsko, wiesz. I godził się z ryzykiem, jakie nakładał na niego taki styl życia.

– Powinien był zostać oficerem, a nie pozwolić, żeby wysłali go z misją dyplomatyczną. – Juliet zacisnęła usta. – A więc ty widziałeś Iana, a ja nie. Chociaż zakopałam się w Serevanie, nawet nie przeszło mi przez myśl, że już nigdy więcej nie zobaczę brata. Myślałam, że pewnego dnia jakoś się zjedziemy i tak jak kiedyś opowiemy sobie o wszystkich naszych przygodach...

Głos jej się załamał. Potem mocno pokręciła głową. To ona ponosi winę, że tyle lat się nie widzieli. Nie ma prawa uzalać się teraz nad sobą, a tym bardziej obciążać męża swoimi smutkami.

– Co teraz? – zapytała przez zaciśnięte gardło.

Ross, nie odrywając wzroku od sufitu, wzruszył ramionami.

– Za tydzień albo dwa emir wezwie mnie na audiencję. Jeśli nam się poszczęści, dostaniemy zgodę na zabranie ciała Iana do Anglii. Wtedy jak najszybciej opuścimy Bucharę.

– A jeśli nam się nie poszczęści?

– Emir odmówi wydania ciała, co będzie przykre, ale jeszcze nie tragiczne – odparł bezbarwnym głosem. – O tragedii można mówić wtedy, gdy się okaże, że emir nie pozwoli nam wyjechać z Buchary.

Juliet kiwała głową; słowa męża potwierdzały jej przypuszczenia.

– I wtedy co?

– Będziemy się o to martwić, kiedy tak się stanie. – Ross usiadł i spuścił nogi na ziemię. – Chcesz spać w łóżku? Ja mogę położyć się na podłodze.

– Ja też. – Juliet uśmiechnęła się i wskazała na posłanie, które przygotowała dla siebie pod ścianą. – To ja jestem służącym, który powinien leżeć przy drzwiach z nożem w ręce, żeby cię strzec.

Nóż przyda się jej nie tylko po to, żeby go strzec, ale też do obrony własnej, pomyślał posepnie Ross. Starał się nie patrzeć na żonę, wychodząc do sypialni i życząc jej dobrej nocy. I tak trudno mu będzie zasnąć, wiedząc, że ona leży obok w pokoju; nie było sensu dolewać oliwy do ognia.

Kiedy o świcie rozległ się zawodzący głos muezzina, Ross się obudził krześki i odświeżony. Dane mu było przespać się w łóżku, a bliskość Juliet spowodowała, że sny miał przyjemne, a nie takie, które uniemożliwiałyby wypoczynek.

Po ubraniu się, ziewając, przeszedł do saloniku. Okazało się, że żona jest już na nogach, ponownie odziana w strój anonimowego Tuarega. W czarnych szatach i w welonie okalającym twarz przypominała trochę średnio-wieczną zakonnice. Świętokradcze skojarzenie; żadna zakonnica nie powinna emanować takimi pokładami niepokojącej energii i taką zmysłowością.

– Czy potrzebujemy jakiegoś planu na ten dzień? – zapytała, nieświadoma myśli męża.

Ross zastanowił się; zaraz po przebudzeniu nigdy nie funkcjonował najlepiej. Z rana tylko jedno wychodziło mu dobrze, ale bez kobiecej współpracy nie mógł tego zademonstrować. Zmuszając umysł do wysiłku, powiedział:

– Przede wszystkim chciałbym jak najszybciej porozmawiać z Abdulem Samut Khanem. Zapytam go o Iana, no i dowiem się, czy jestem jego gościem, czy raczej więźniem.

– Prawdopodobnie i tym, i tym.

– Też tak sądzę. Ale ty pewnie nie będziesz miała problemów z wychodzeniem na zewnątrz. – Zamilkł i myślał, co powinna zrobić. – Mogłabyś pójść do Saleha i Murada, żeby sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. Zapytaj Saleha, czy przyjmie Rezę. Moim zdaniem im szybciej chłopiec znajdzie się z daleka ode mnie, tym lepiej.

– Czy mam kupić parę koni? – zasugerowała Juliet. – Ciężko jest jeździć po mieście na wielbłądach.

– Świetny pomysł. A potem zaprowadź wielbłądy do Hussajna Kase-ma. Powiedział, że je dla nas przetrzyma w swojej stajni, a jeśli nie będziemy ich więcej potrzebować, zapewni mojej pupilce dobry dom.

Juliet uśmiechnęła się krzywo.

– Ty naprawdę czujesz sympatię do tego głupiego zwierzęcia.

Ross chciał już powiedzieć, że wielbłądzica jest bardziej uczuciowa niż jej imienniczka, ale uznał, że jeszcze za wcześnie na takie kąśliwe komentarze.

– To chyba dobra pora, żebym ci wreszcie pokazał podarki na łapówki i broń; wszystko ukryłem w bagażu.

– Wspaniale. – Juliet lekko poderwała się na nogi. – Zawsze kiedy grzebiez w swoich torbach, zastanawiam się, jakie jeszcze cudo z nich wyciągniesz.

– Dobry badacz zawsze ma w zanadrzu kilka ciekawych prezentów – wyjaśniał, przechodząc do sypialni. – Myślę, że rozbroję Abdula Samut Khana jednym z moich kompasów. Wyjaśnię mu jego działanie, dzięki czemu, kiedy każe przeszukać moje bagaże, nie przyjdzie mu do głowy, że kompasy to jakieś niebezpieczne szpiegowskie urządzenie.

Ross pokazał Juliet wszystko, co mogłoby być jej przydatne, w razie gdyby coś mu się stało. W chwili gdy przekazywał jej mały woreczek wypełniony złotymi monetami, w drugim pokoju rozległo się pukanie do drzwi. Juliet schowała pieniądze, zasłoniła twarz i poszła otworzyć. Za drzwiami stał chłopiec służący, który grzecznie zaprosił szacownego lorda Kilburna na posiłek w towarzystwie Abdula Samut Khana.

Zadowolony, że nayeab tak szybko zdecydował się na rozmowę, Ross poszedł za służącym do prywatnej części domu zamieszkaną przez jego właściciela. Ten powitał gościa z ogromną wylewnością.

Ross odwzajemnił pozdrowienia, a potem przeszedł do małego stolika pod ścianą i położył na nim dwa z wybranych przez siebie prezentów. Pierwszym było arabskie tłumaczenie *Robinsona Crusoe*, bardzo popularne w świecie islamskim. Domyślał się, że Abdul Samut Khan zna arabski, bo w tym właśnie języku wykładany jest Koran i posługuje się nim każdy wykształcony muzułmanin. I rzeczywiście, nayeab przyjął prezent z wielkim zadowoleniem.

Potem Ross podniósł kompas: lśniące, mistrzowskiej roboty mosiężne cacko.

– To może pana zaciekawić.

Wyjaśniał zastosowanie przyrządu, a nayeab oglądał go dokładnie ze wszystkich stron; był bardzo przejęty, o czym świadczył roziskrzony wzrok.



– Mówisz, lordzie, że zawsze wskazuje północ? – Abdul Samut Khan obracał kompasem, zafascynowany poruszającą się igłą.

– Dokładnie. Można go użyć, chcąc na przykład wyznaczyć kierunek do Mekki.

– Ach... – Abdul Samut Khan skinął głową z entuzjazmem. – To naprawdę wielce świątobliwy przedmiot. Czy mogę go od ciebie, lordzie, odkupić?

– Nie, ponieważ jest to podarunek w ramach wdzięczności za to, że gościsz mnie w swoim domu.

Po kilku słowach sprzeciwu Abdul Samut Khan przyjął kompas, wielce zadowolony z prezentu; wyglądało na to, że ogromnie lubił podarki – im wartościowsze, tym lepiej. W dobrych nastrojach, gospodarz i jego gość skupili się na posiłku, składającym się z jagnięcych kebabów, ryżu, chleba, herbaty i luksusowej kawy.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o śmierci majora Camerona – zaczął Ross, kiedy skończyli jeść.

Abdul Samut Khan westchnął.

– Tak, to smutna historia. Mój pan bardzo się zdenerwował, że major Cameron pojechał najpierw do Kokandu, wroga Buchary. Być może zostałoby mu to jakoś wybaczone, gdyby się nie okazało, że major nie miał ze sobą listów uwierzytelniających od królowej Anglii. Ten brak rzucił cień na jego referencje.

Ross uniósł brwi.

– Ian mógł nie mieć listów od królowej, ale z pewnością miał ze sobą dokumenty od lorda Aucklanda, generalnego gubernatora w Indiach.

– Tak, ale mojemu panu nie wystarczyły te dokumenty, dlatego uwięził majora i zażądał listu od waszej królowej, w którym zostałyby potwierdzone jego tożsamość. Wysłaliśmy wiadomość do Londynu, ale, niestety, nie otrzymaliśmy żadnego takiego zapewnienia. Emir czekał na odpowiedź wiele miesięcy. Kazał nawet pobudować budki pocztowe na pustyni, chcąc przyspieszyć odbiór potwierdzenia, ale na próżno. Żeby uznać Camerona za prawdziwego angielskiego wysłannika, niezbędne było poręczenie waszego rządu.

Ross poczuł, że ogarnia go wściekłość; wyglądało na to, że Ian by żył, gdyby tylko do Buchary dotarł odpowiedni list, który jednak do niej nie do-

tarł, bo pewnie jakiś przeklęty oficjel w Whitehall uznał, że taka odpowiedź byłaby „niestosowna”. Mimo wszystko Ross czuł się w obowiązku bronić stanowiska swojego kraju.

–Ponieważ majora Camerona przysłano tu z Indii, odpowiednią osobą do konsultacji był generalny gubernator. Sama królowa nie mogła udzielić odpowiedzi, zwłaszcza że Buchara więziła jej poddanego.

Nayeb, podenerwowany, obstawał przy swoim.

–Ale Cameron twierdził, że służy królowej, a ona za niego nie poręczyła. Co mógł o tym myśleć mój pan?

Ross się zastanawiał, czy emir zdaje sobie w ogóle sprawę, jak wielkie i skomplikowane jest brytyjskie imperium: prawdopodobnie nie, a w takim wypadku rzeczywiście mógł oczekiwać odpowiedzi od brytyjskiej monarchini. Ale równie możliwe, że brak odpowiedzi był tylko pretekstem do popełnienia morderstwa.

–Powiedział pan, że major Cameron został przyłapany na szpiegostwie – Ross zmienił temat. – Co takiego zrobił? Szpiegowanie całkiem nie pasuje do Iana.

– Próbował przesznułować listy z więzienia.

– Czy w tych listach było coś, co świadczyło o zdradzie? Jakież informacje szkodliwe dla Buchary?

Gospodarz odwrócił wzrok.

– Niezaprzeczalnie.

– Ponieważ major Cameron był w więzieniu – tłumaczył cierpliwie Ross – nic dziwnego, że próbował powiadomić rodzinę i przełożonych w wojsku o swojej sytuacji. To naturalne.

– Może i naturalne – Abdul Samut Khan nadal unikał wzroku gościa – ale niezbyt rozsądne. Na listy *ferengi* zawsze się patrzy podejrzliwie.

Zapewne dlatego, że nikt nie zna angielskiego na tyle dobrze, żeby stwierdzić, czy w liście znajduje się jakaś wzmianka o zdradzie, czy nie, pomyślał z goryczą Ross. Doszedł do wniosku, że rozmowa z nayeblem nic mu nie da, bo Abdul Samut Khan miał obowiązek wspierać swojego władcę. Postanowił zapytać o sprawy ważne dla rodziny.

– Jak umarł major Cameron?

Oczy gospodarza pojaśniały.

– Bardzo odważnie. Przez wiele miesięcy siedział zamknięty w Czarnej Studni i kiedy go z niej wyciągnięto, skórę miał białą jak śnieg, owrzodzoną, i nie mógł patrzeć na słońce. Ale trzymał się prosto, robił znak krzyża i deklarował, że umiera jako chrześcijanin. Potem kat jednym cięciem odciął mu głowę. Umarł szybko, bez bólu.

Ross miał ponurą minę. Relacja gospodarza zgadzała się z tym, co mówił w Sarakhs Abdul Wahab. Nayeb rozłożył ręce.

– Co robić? Może zaszła pomyłka, a list emira albo odpowiedź waszej królowej zagubiły się, bo przecież droga do Anglii jest długa i niebezpieczna. Wielka szkoda, ale już nic się na to nie poradzi, bo major Cameron nie żyje. Uważasz, lordzie, że wasz kraj będzie się mścił za to na Blicharze?

Gdyby emir uwierzył, że nie ma szans na pojednanie między dwoma państwami, nie widziałby powodu, żeby darować Rossowi życie; szybko wynalazłby kilka dobrych powodów, żeby go uwięzić czy zabić.

– Jak sam powiedziałaś, panie, to wielka szkoda, ale państwa nie powinny ze sobą wojować z powodu jakiegoś nieporozumienia – odparł Ross ostrożnie. – Kiedy będę wracać do Anglii, może emir wyśle ze mną ambasadora, który złoży naszemu rządowi wyrazy żalu z powodu pomyłki. To dobra okazja na zacieśnienie więzi pomiędzy naszymi krajami.

Nayeb się rozpromienił.

– Wspaniały pomysł. Podsunę go mojemu panu. – Wstał. – Chodźmy, obejrzymy mój ogród. Najładniej wygląda właśnie z rana.

Ross poszedł posłusznie za gospodarzem. Zaraz po opuszczeniu domu natknęli się na olbrzymiego Uzbeka o posturze wojskowego.

– Lordzie Kilburn – rzekł Abdul Samut Khan. – Przedstawiam panu yawera, czyli adiutanta, Shahida Mahmuda. Jest kapitanem mojej straży domowej i będzie odpowiedzialny za pańskie bezpieczeństwo.

Innymi słowy, Mahmud był nadzorcą Rossa. Miał stopień wojskowy porównywalny z brytyjskim majorem i od razu dało się zauważyć, że jest przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Jak na Uzbeka był dość wysoki – tylko kilka centymetrów niższy od Rossa – i dobrze zbudowany. Sądząc po minie, niezbyt przepadał za *ferengi*, choć zachował się uprzejmie, kiedy zostali sobie przedstawieni.

Odchodząc z gospodarzem, Ross czuł na plecach jego palące spojrzenie.

Od razu pomyślał, iż ten mężczyzna to źródło potencjalnych kłopotów; sprawiał wrażenie osoby, która najpierw przyjmuje łapówkę, a potem oskarża łapówkowicza o zdradę.

Szli z Abdulem Samut Khanem alejkami, a nayeab wskazywał na poszczególne kwiaty i opowiadał o nich z zapalem.

– Istnieje takie stare perskie przysłowie. Może je znasz, lordzie? „Jeśli masz dwa bochenki chleba, sprzedaj jeden i kup hiacynta”.

– Słyszałem to powiedzenie i uważam, że zawarta w nim jest wielka mądrość. – Ross zastanawiał, co tak naprawdę gospodarz ma na myśli; wątpił, że chodziło tylko o filozofię.

Ogród był duży i kiedy znaleźli się na tyle daleko, że nikt nie mógłby ich podsłuchać, nayeab przestał nagle być taki oficjalny.

– Nie mogę rozmawiać swobodnie w domu, bo Buchara to kraj szpiegów – powiedział, gwałtownie odwracając się do Rossa. – Niewolnicy podsłuchują swoich właścicieli, uliczni chłopcy sprzedają informacje każdemu, kto tylko zechce za nie zapłacić, nawet mężowie nie mogą spokojnie w nocy rozmawiać ze swoimi żonami. Jestem Persem i mam tu licznych wrogów, bo wielu zazdrości mi moich wpływów u emira. Z tego powodu muszę zachować szczególną ostrożność, ale teraz powiem ci, lordzie, że stracenie pańskiego brata było niewybaczalnym postępkem. Skazano go, mimo że nie popełnił żadnego grzechu ani przestępstwa.

Nayeab patrzył na niego z powagą, oczy mu błyszczały. Raczej nie budził w Rossie zaufania. Może i Abdul szczerze wierzył, że egzekucja Iana była pomyłką, ale służył emirowi i nie należało o tym zapominać.

– Śmierć Iana – zaczął ostrożnie Ross – to dla mnie cios, ale z tego, co mówiłeś, panie, egzekucja wynikała raczej z pomyłki niż ze złej woli.

– Próbowałem przekonać emira do zmiany zdania. Nawet zaproponowałem mu pięć tysięcy dukatów za uwolnienie Camerona, ale Nasrullah powiedział tylko, że major jest szpiegiem i musi zginąć. – Abdul Samut Khan miał przebiegłe spojrzenie. – Nie jestem bogatym człowiekiem i poświęcając taką sumę, stałbym się biedakiem, ale byłem pewny, że królowa zrefundowałaby mi koszty, gdybym moim złotem uratował życie jej oficera. Nie uważasz, lordzie, że życie majora warte było tych pięć tysięcy dukatów?

– Nie da się wycenić ludzkiego życia, ale jestem przekonany, że mój rząd nigdy nie zapłaciłby takiej kwoty. Wyglądałoby to na okup, a zapłacenie go zagroziłoby życiu i wolności każdego brytyjskiego podróżnika.

Nayeb zdawał się zaskoczony tymi słowami.

– Jeśli królowa by tyle nie zapłaciła – rzekł po chwili zastanowienia – może zrobiłaby to rodzina Camerona?

Ross pokręcił głową: rozmowa o pieniądzach budziła jego niepokój.

– Cameronowie to szacowna rodzina o starych wojskowych tradycjach, ale nie są bogaci. Nawet gdyby chcieli, nie mogliby zapłacić tak wielkiej sumy.

Abdul Samut Khan wyglądał na zasmuconego.

– No tak, za to pan jest lordem, a Cameron był pana krewnym; jestem pewny, że pańska rodzina wykupiłaby majora, podobnie jak pana, gdyby dostał się pan do niewoli.

Ross domyślił się, że dotarli do sedna sprawy; nayeb próbował się dowiedzieć, ile jest warte życia Rossa, nadszedł więc czas na kłamstwa.

– Gdybym to ja znalazł się w więzieniu, moja rodzina bardzo by rozpaczała, ale nie wykupiłaby mnie, ponieważ uważałaby, że mój los spoczywa w rękach Boga. Mam wielu braci i mój ojciec nie uznałby za stosowne ratować moje mało wartościowe życie za cenę огоłocenia z majątku reszty synów.

Musiał przekonać nayeba, bo ten westchnął ciężko; był wyraźnie rozczarowany.

– Szkoda. – Nagle jego twarz rozjaśnił chytry uśmiezek. – Mówią, że kiedy Nasrullah został emirem, przez jakiś czas był sprawiedliwy i bogobojny, ale szybko przerzucił się na okrucieństwo i tańczących chłopców. To wrzód na tyłku Turkiestanu. Namów, panie, brytyjski rząd, żeby posłał do Chiwy i Kokandu swoich oficerów, a ci namówią tamtejszych chanów do napaści na Bucharę. Potem niech królowa angielska podaruje mi skromną sumkę, może jakieś dwadzieścia, trzydzieści tysięcy dukatów, a ja, dowódca artylerii Buchary, wesprę inwazję.

Słyszając to, Ross wiedział, że musi być jeszcze bardziej ostrożny. Nayeb albo próbował namówić go do niedyskrecji, albo rzeczywiście chciał się sprzedać temu, kto da więcej; z pewnością nie należało mu ufać.

– Nie reprezentuję mojego rządu. Nie przybyłem tu też po to, żeby wzniecać rebelię przeciwko władcy Buchary. Pragnąłem tylko poznać prawdę o losie mojego brata, i teraz już ją znam.

– Nie ufasz mi, lordzie, prawda? – zagadnął Abdul Samut Khan. – To dobrze. Mądry człowiek jest ostrożny. Ale ja byłem przyjacielem majora Camerona. Własną ręką spisał wszystko, co dla niego zrobiłem. – Sięgając za połę płaszcza, wyciągnął kawałek papieru i podał go gościowi.

Ross, rozkładając kartkę, czuł na plecach dziwne mrowienie. List był napisany nierównym pismem, ale podobnym do charakteru pisma Iana:

*„Piszę ten dokument, aby potwierdzić dobrą opiekę, którą roztoczył nade mną nayeab Abdul Samut Khan”.* Potem Ian wyliczał przykłady uprzejmości nayeaba, a list kończył się stwierdzeniem: *„Autorem listu jest Ian Torquil Cameron. Buchara, 14 wrzesień roku pańskiego 1840”.*

List od nieboszczyka. Drżącymi dłońmi Ross złożył kartkę i oddał gospodarzowi.

–W imieniu rodziny majora i moim własnym składam panu wielkie podziękowania za wszystko, co zrobił pan dla Iana.

Abdul Samut Khan skinął ponuro głową.

–Tak jak byłem przyjacielem majora, będę też pańskim przyjacielem.

Może i tak, ale mimo wszystko Ross mu nie ufał.

Po wyjściu męża na spotkanie z nayebem Juliet poszła szukać czegoś do zjedzenia dla siebie. Wreszcie odnalazła kuchnię i izbę jadalną dla służby. Reza już tam był i przywitał się z nią serdecznie. Poza chłopcem Juliet nie zamieniła słowa z nikim więcej, po prostu zjadła chleb, wypła herbatę i wyszła. Jak zawsze przyglądano się jej z umiarkowanym zaciekawieniem, ale oprócz jednej lub dwóch prób nawiązania rozmowy, potem już nikt jej nie zaczepiał.

Do prawdziwego wyzwania doszło, gdy Juliet opuściła budynek i skierowała się do głównej bramy rezydencji. Natychmiast drogę zastąpił jej strażnik z mieczem i lancą.

– Stać!

Zatrzymała się, ale nie cofnęła. Zsunęła rękę na trzonek noża i spojrzała żołnierzowi prosto w twarz. Był od niej nieco niższy.

– Jestem więźniem? – zapytała gardłowym głosem po persku.

Strażnik zawahał się, wyraźnie nie wiedząc, jaki status przysługuje Tura-aregowi. Potem, uznawszy, że dziwaczny służący *ferengi* nie może być kimś ważnym, odsunął się na bok.

Nie oglądając się za siebie, Juliet ruszyła dumnym krokiem w dół ulicy, jakby wiedziała, dokąd się udaje. Wcześniej Saleh naszkicował jej mapkę miasta, zaznaczając na niej najważniejsze ulice i budynki. Zależało jej, żeby jak najszybciej rozeznać się w terenie. Na szczęście błyszcząca turkusowa kopuła Wielkiego Meczetu stanowiła punkt orientacyjny widoczny prawie z każdej części miasta. Kierując się nią, ruszyła w stronę Registanu.

Ciekawie było przyglądać się życiu tego placu z poziomu ziemi, a nie z grzbietu wielbłąda. Skromna odzież nie uchodziła tutaj za cnotę; każdy, kogo było na to stać, miał na sobie szaty z wzorzystych jedwabi. Bucharasłyły z ich produkcji, tak jak i z tego, że była oazą na Jedwabnym Szlaku.

Saleh opowiadał kiedyś, że wiele rodzin w Bucharze hodowało jedwabniki. Zakładano w domach wylęgarnię ich jajeczek, karmiono je liśćmi morwy, a potem cierpliwie zbierano cenne kokony. Z lekkim uśmiechem dodał, że jedyną rzeczą, za którą nie tęsknił po opuszczeniu rodzinnego miasta, były właśnie jedwabniki.

W samym centrum Registanu Juliet kupiła sobie smakowitą mieszankę kruszonego lodu polanego syropem z winogron. Dzięki zręcznie zaprojektowanym lodowniom mieszkańcy Buchary mogli się raczyć pysznymi lodami przez całe lato. Takiego luksusu nigdy nie zaznałyby w Brytanii.

Po przejściu ogromnego placu, ruszyła wąskimi, wijącymi się uliczkami, szukając dzielnicy Djuibar, w której mieszkał brat Saleha. Wspomagając się mapą i własnym doskonałym zmysłem orientacji, dotarła na miejsce bez przeszkód.

Brat Saleha, Tura, był mistrzem tkackim, a jego dom stanowił świadectwo dobrej koniunktury w branży jedwabniczej. Służący, który otworzył drzwi, był już wcześniej powiadomiony o jej wizycie, tak więc od razu zaprowadził ją do ładnie urządzonego pokoju, gdzie Saleh i Murad raczyli się późno poranną filiżanką kardamonowej herbaty.

Przywitanie było tak wylewne, jakby rozstali się przed wielu miesiącami, a nie dwadzieścia cztery godziny temu. Saleh czuł się szczęśliwy z po-

wodu spotkania z bratem po rozłące trwającej prawie trzydzieści lat, nie-  
mniej, usłyszawszy o audiencji u emira i o potwierdzeniu śmierci Iana Ca-  
merona, posmutniał. Potem zrelacjonował wszystko, czego się dowiedział  
od brata na temat nieprzewidywalnego władcy Buchary i trującej atmosfery  
podejrzliwości i nietolerancji, którą emir specjalnie podsycił. To dobrze, że  
Ross i Juliet byli ostrożni poprzedniej nocy, bo rezydencja Abdula Samut  
Khana z pewnością naszpikowana jest szpiegami, prawdopodobnie służący-  
mi kilku różnym panom.

Rozmowa podzielała na Juliet otrzeźwiająco. Kiedy wracała do rezydencji  
nayeby, nie była już tak radosna jak wcześniej, gdy z entuzjazmem oglądała  
nieznane, egzotyczne miasto. Im więcej dowiadywała się o Bucharze, tym  
bardziej zdawała sobie sprawę, w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźli. A  
Ross wiedział to od początku i mimo wszystko miał odwagę tutaj przybyć.  
Zawsze był cierpliwy i opanowany, w przeciwieństwie do niej; Juliet posta-  
nowiła uczynić wszystko, co w jej mocy, by mu dorównać.



Juliet mogła bez przeszkód wychodzić i wracać do rezydencji Abdula, ale Ross, choć pozwolono mu zwiedzać miasto, to tylko w towarzystwie trzech szambelanów, rzekomo dla jego bezpieczeństwa. Mógł też przyjmować gości, w związku z czym do domu nayeba przybywało ich mnóstwo. Byli wśród nich ludzie, których poznał przed ośmiu laty. Przychodzili, żeby odświeżyć znajomość, pojawiali się również muzulmańscy mułlowie, żydowscy farbiarze i hinduscy bankierzy – wszyscy zachwyceni, że mogą porozmawiać z *ferengi*. Raz lub dwa złożyli wizytę fanatyki islamscy, którzy próbowali nakłonić innowiercę do powiedzenia czegoś niestosownego, ale Ross miał wprawę w unikaniu takich pułapek. Pozostałymi gośćmi byli emisariusze od emira, którzy zadawali niekończące się pytania, głównie na temat europejskich technologii i rolnictwa.

Choć Juliet większość czasu spędzała na zwiedzaniu Buchały, czasami jednak zostawała w domu i wbita w kąt sali recepcyjnej przysłuchiwała się toczącym się w trakcie wizyt rozmowom. Była zafascynowana rozległością wiedzy męża; zawsze potrafił znaleźć odpowiedź na zadawane mu pytania. Pewnego dnia, kiedy mijał już trzeci tydzień ich pobytu w Bucharze, wróciła do rezydencji wczesnym wieczorem i zastała u Rossa wysłannika emira, który pytał o czary stosowane w Anglii.

Ross bez mrugnięcia okiem wspominał o ustawie przeciwko czarom, a następnie zaczął opowiadać o druidach i średniowiecznych procesach, i o ewolucji zwyczajowego prawa anglosaksońskiego. W trakcie tego wykładu pojawił się Abdul Samut Khan i uprzejmie zaprosił swojego gościa na obiad.

Ponieważ mąż był ciągle zajęty, Juliet spożywała posiłki przeważnie w towarzystwie niewolników z rezydencji. Traktowali ją jak mebel, który się omija, nie zwracając na niego szczególnej uwagi. Kiedyś po kolacji nie miała ochoty wracać do pustego pokoju i została w jadalni z resztą służących. Jeden ze stajennych opowiadał różne historyjki – był to tradycyjny i bardzo przyjemny wschodni sposób spędzania wolnego czasu.

Jednak gdy opowieści się skończyły, a rozmowa zesła na tematy ogólne. Juliet wróciła do apartamentu i zasiadłszy na kanapie, zabrała się do na-

prawiania odzieży. Śmieszyło ją, że odgrywając mężczyznę, zajmuje się kobiecymi zajęciami częściej niż zazwyczaj, ale nuda stanowiła bardzo silną motywację. Poza tym cieszyła się w skrytości ducha, że, skoro nie wolno jej zająć się nim samym, może zadbać o męża, naprawiając jego rzeczy.

Niestety z żalem musiała pogodzić się z tym, że swoboda i życzliwość w jej stosunkach z Rossem zniknęły, zniszczone „słupem ognia”. Mąż postanowił wycofać się za nieprzekraczalną barierę. Juliet to raniło, ale rozumiała, że utrzymanie takiego dystansu jest konieczne. Ross, kiedy mówił w czasie burzy piaskowej, że przebywając ze sobą, doprowadzą się do szaleństwa, jak zawsze miał rację. W związku z tym Juliet cały czas starała się czymś zajmować. Miała nadzieję, że dręczące ją pożądanie w końcu osłabnie, ale niestety tak nie było.

Gorące dni i niespokojne noce sprawiały, że atmosfera stawała się coraz bardziej męcząca. Częściowo wynikało to z niepewności co do intencji emira, ale głębszym powodem stała się głęboka frustracja – rezultat fizycznej bliskości połączonej z emocjonalnym oddzieleniem. Był to okres napiętego milczenia i wzajemnego unikania, ale Juliet wiedziała, że coś musi się wkrótce zmienić, bo dalej nie mogą tak żyć.

Tego wieczoru Ross wrócił z obiadu u nayeba wcześniej niż zwykle. Kiedy wszedł i zaryglował drzwi, ona opuściła robótkę na kolana i założyła ręce za głowę.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać zasobem swojej wiedzy – powiedziała cicho w obawie, że ktoś ich podsłucha. Szeptanie stało się już jej zwyczajem.  
– Czy nigdy nie brakuje ci odpowiedzi, bez względu na rodzaj pytania?

– Moje wykształcenie z Cambridge okazuje się w takich wypadkach nieocenione, ale i tak czasami muszę coś wymyślać – odparł Ross z lekko drwiącym uśmiechem. – Przyznanie się do niewiedzy może być groźne, bo wysłannicy emira myślą wtedy, że specjalnie staram się coś przed nimi ukryć. Bezpieczniej jest podać błędną informację niż milczeć.

– Może i zmyślasz, ale dobrze ci to wychodzi. Dla mnie jesteś przekonujący. – Juliet powróciła do szycia, chcąc dokończyć kilka ostatnich ściągów. Fotem zrobiła węzełek na końcu nitki i oderwała ją zębami. – Proszę, twoja koszula jest już gotowa. Zaczyna mi brakować zajęć. Może szkoda, że nie posłuchałam matki i nie nauczyłam się robienia na drutach.

Podniosła się, zamierzając zanieść rzeczy męża do sypialni, ale Ross zastąpił jej drogę. Chciał chyba odebrać od niej ubrania, ale nie zdążył, bo zderzyli się ze sobą i Juliet na chwilę straciła równowagę. Ross odruchowo chwycił ją za ramię.

Taki zabawny incydent nie powinien mieć żadnego znaczenia, gdyby nie to, że wszystko, co się między nimi działo, naładowane było znaczeniem. Kiedy się wyprostowała twarz męża była tuż przy jej twarzy. Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnęła pocałować Rossa. Wstrzymywała ją tylko świadomość konsekwencji tego pocałunku.

Uniosła głowę i popatrzyła mężowi prosto w oczy. Zobaczyła w nich cierpienie. Przez ostatnie tygodnie Ross wykazywał się mistrzostwem w opanowywaniu emocji, ale teraz Juliet mogła się przekonać, że ten powierzchowny spokój wiele go kosztował. Zrozumiała, że wystarczy bardzo niewiele, żeby dali się ponieść namiętności, sprowadzając tym na siebie katastrofę.

Odwróciła wzrok. Ross opuścił rękę i się odsunął.

– Ty i druty? Nie umiem sobie wyobrazić; to dla ciebie zbyt monotonne. – Starał się mówić naturalnie. – Może powinnaś się zająć rzeźbieniem w drewnie. Nóż bardziej do ciebie pasuje niż druty. – Potem powiedział dobranoc i zniknął w sypialni.

Całe zdarzenie trwało tylko kilka sekund, ale to wystarczyło, żeby oboje zdołali zdusić w sobie bolesne pożądanie, udając, że nic wielkiego się nie stało. Juliet zdmuchnęła lampy i zwinęła się na swoim pościeliu.

W sypialni nadal paliło się światło; słyszała zgrzyt pióra. Zawsze naukowiec i obserwator, Ross nie zapominał o robieniu notatek; Juliet domyślała się, że jest to jego sposób na radzenie sobie z napięciem. Ona po prostu leżała nieruchomo i gryzła tagelmoust, czekając, że w końcu jej ciało podda się zmęczeniu.

Właśnie pogrążała się we śnie, kiedy ktoś zaczął mocno walić w drzwi. Całkiem rozbudzona, poderwała się na nogi, naciągnęła zasłonę na twarz i poszła otworzyć. W progu stało sześciu żołnierzy. Odepchnęli ją i weszli do środka. Na czele znajdował się yawer Shahid Mahmud, kapitan straży nayeba.

– Idziesz ze mną, *ferengi*, świniu – warknął Shahid na widok Rossa, który

w koszuli z podwiniętymi rękawami wyłonił się z sypialni. – Jego królewska mość życzy sobie widzieć cię natychmiast. – Na szerokiej twarzy strażnika pojawił się wyraz triumfu. Juliet przeszedł zimny dreszcz. Shahid od samego początku nienawidził Rossa, a teraz otwarcie cieszył się, że może go upokarzać.

Ross znieruchomiał, domyślając się, co to wezwanie może oznaczać.

–Dobrze – powiedział spokojnie, odwijając rękawy koszuli. – Już idę, tylko włożę surdut. – Odprężony, jakby wybierał się na proszoną herbatę, odwrócił się i wyszedł do sypialni.

Przez chwilę Juliet zastanawiała się, czy mąż pojawi się z powrotem uzbrojony w pistolety i gotowy do walki. Zaciśnęła dłoń na trzonku noża, gotowa w każdej chwili włączyć się do bijatyki. Jednak Ross nie był głupi. Nie miał zamiaru stawać samemu przeciwko sześciu uzbrojonym mężczyznom, i dlatego, kiedy powrócił do salonu, jego ręce były puste. Odszukał żonę wzrokiem. Miał kamienną twarz, ale kiedy spotkali się wzrokiem, w jego spojrzeniu można było odczytać wyraźne przesłanie.

Żołnierze otoczyli Rossa i wyprowadzili go z apartamentu. Wyszli, trzaskając za sobą drzwiami. Juliet została sama, wiedząc, że ostatnim spojrzeniem mąż nie tylko się z nią żegnał, ale też przypominał, że nie wolno jej działać pochopnie.

Po raz pierwszy w życiu strach ją sparaliżował. Upadła na kolana i zwinęła się w kłębek, drżąc gwałtownie na myśl, że być może już nigdy nie zobaczy Rossa.

Niemożliwe.

Jednak zdawała sobie sprawę, że emir może zrobić z Rossem co chce, nawet go zabić. Zagryzła mocno usta, próbując bólem przezwyciężyć panikę. Zamiast pławić się w lęku, musi się zastanowić, co zrobić, żeby pomóc mężowi. Podniosła się i zaryglowała drzwi.

Co mogłaby zrobić? Tej nocy już nic, bo mieszkańcom Buchary nie wolno wychodzić na ulicę po odbębnieniu przez królewskich strażników godziny policyjnej. Abdul Samut Khan też na nic się jej nie przyda; fakt, że to Shahid zabrał Rossa, oznaczał, że nayeab był albo bezradny, albo on też uczestniczył w spisku przeciwko mężowi.

Największą nadzieję pokładała w rodzinie Kasemów, oni bowiem mieli

w Bucharze duże wpływy. Uda się do nich z samego rana i poprosi o pomoc. Wiedziała też, że w mieście rezyduje perski ambasador; jeśli przedstawi mu się jako Gul-i Sarahi, może ambasador, pamiętając o tym, że forteca w Serevanie pomogła szachowi utrzymać wschodnią granicę, poczyni jakieś kroki, by uwolnić Rossa.

Dochodziła północ, kiedy ponownie ktoś zapukał do drzwi. W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi, bo pukanie było bardzo ciche i delikatne. Jeśli to strażnicy, dojdzie do walki; Ross nie stawiał oporu ze względu na nią, ale jej to nie dotyczy. Bardziej niż żołnierzy spodziewała się jednak nayeba. Sądziła, że przyszedł, żeby ronić krokodyle łzy nad losem gościa, a zarazem zarekwirować jego dobytek. Juliet zasłoniła twarz i odryglowała drzwi. Potem zrobiła krok w tył. Na widok męskiej postaci ścisnęła rękojeść noża. Światło padające z sypialni było słabe i dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że przybysz ma jasne włosy.

Stał przed nią mąż. Wpatrywała się w niego, nie wierząc, że to naprawdę on. Potem, nie sprawdzwszy nawet, czy są sami, z uczuciem ulgi zarzuciła mu ramiona na szyję.

Ross objął ją jedną ręką, a drugą zamknął za sobą drzwi.

– Myślałam, że zabrali cię do więzienia albo że zdarzyło się coś jeszcze gorszego – mówiła przez łzy.

Ross przez chwilę dotykał policzkiem jej skroni. Potem roześmiał się niepewnie, wypuścił żonę z objęć i odwrócił się, żeby zaryglować drzwi.

– Takie właśnie wrażenie chciał wyrzucić na nas Shahid. I mogło się na tym skończyć. – Zdjął surdut i przeszedł do sypialni, gdzie rzucił go na kanapę.

– Co się stało? – Juliet deptała mężowi po piętach.

– Zabrali mnie do małej sali audiencyjnej, po której krążył Nasrullah niczym tygrys w klatce. Gdyby miał ogon, z pewnością by nim machał – opowiadał ze znużeniem Ross, ściągając buty. – Kiedy go przywitałem zwyczajowym *salaam*, powiedział, iż zastanawiał się nad moją prośbą o wydanie ciała Iana, ale jej nie spełni, ponieważ „major Cameron był zdrajcą i odstępca od wiary, i nawet śmierć nie zmyła plam z jego honoru”.

– To przykre. – Juliet z westchnieniem usadowiła się na kanapie niedaleko męża i ściągnęła z twarzy zasłonę. – Ale dla nas ważniejsze jest to, czy

będziemy mogli stąd wyjechać.

Ross zdjął fular i rzucił go obok surduta. Kiedy to zrobił, koszula rozchyliła się na piersi, na co Juliet zareagowała naturalnym w tej sytuacji niepokojem, zwłaszcza że nie mogła oderwać oczu od mężowskiego torsu. Wcześniejsze zamieszanie poważnie nadszarpięło jej nerwy, więc teraz niewiele już było trzeba, żeby całkiem straciła nad sobą panowanie.

Nieświadom jej reakcji, Ross rozparł się na poduchach kanapy z wyrazem twarzy, który przypominał średniowieczne malowidła przedstawiające cierpiących świętych.

– Emir oświadczył jowialnie, że zamiast odsyłać kości Iana, z chęcią odeśle moje.

Juliet się wzdrygnęła.

– Jego poczucie humoru jest tak samo odrażające jak on sam.

– Nie powiem, żeby te żarty przypadły mi do gustu. Spotkanie z takim potworem jest ogromnie wyczerpujące – mówił Ross. – Poprosiłem go, żeby pozwolił mi opuścić Bucharę, ponieważ moja misja dobiegła końca. Nasrullah odpowiedział gwałtowną tyradą, w której chodziło głównie o to, że nie rozumie, dlaczego po tym, co dla mnie uczynił, w tak nieładny sposób odrzucam jego gościnność. Mówił, że trzech przybyłych z Heratu ambasadorów namawiało go, żeby mnie zgładził, ale on ich nie posłuchał. Jak mogę domagać się pozwolenia na wyjazd, skoro on traktuje mnie prawie jak brata?

– O ile dobrze pamiętam, Nasrullah zabił swoich czterech braci. Czy może było ich pięciu?

– To zależy, kogo zapytasz. – Ross oparł głowę o białą ścianę. – Pamiętając o manierach... matka byłaby ze mnie dumna... odpowiedziałem emirowi, że jestem głęboko wdzięczny za jego łaskawość, ale niestety muszę już wracać, bo mój ojciec jest bardzo stary i schorowany, i jeśli się nie pospieszę, mogę już nigdy więcej go nie zobaczyć.

– To przynajmniej jest prawdą.

Ross uniósł brew i spojrział na żonę ze zdziwieniem.

– Nie mam nic przeciwko używaniu prawdy, jeśli tylko jest przydatna. Tak czy inaczej, moje oświadczenie zmiękczyło nieco serce emira, co jest zdumiewające, bowiem jak wieść gminna niesie, Nasrullah swojego ojca

otruł. Po przyznaniu mi racji, że rodziców należy szanować, zapytał zbolalym tonem, czy wolę opuścić Bucharę w hańbie i niełasce, czy raczej honorowo i z jego przychylnością.

– Naturalnie wyraziłem pragnienie wyjazdu, któremu towarzyszyłaby jego przychylność; uznałem, że tak będzie lepiej. Nasrullah stwierdził, że jeśli wykazę się cierpliwością, już wkrótce otrzymam jego błogosławieństwo i pozwolenie na wyjazd. Potem odwrócił się na pięcie i zniknął za zasłoną, co oznaczało koniec audiencji. Shahid był bardzo zawiedziony, kiedy się dowiedział, że musi mnie tu z powrotem odeskortować.

Juliet ukryła twarz w dłoniach. Drżała od chłodu, mimo że noc była ciepła. Ross miał tym razem szczęście, ale Nasrullah w każdej chwili może zacząć go zgładzić. Szczęście nigdy nie trwa wiecznie.

– Myślisz, że emir w końcu pozwoli ci wyjechać?

– Zamykając mnie w więzieniu, nic nie zyska – odparł spokojnie Ross po chwili zastanowienia.

To była prawda. Ale ponieważ Brytyjczycy doznali porażek w Afganistanie, Nasrullah może równie dobrze uznać, że wprawdzie, usuwając swojego „gościa”, nic nie zyska, ale też nic nie straci – a przecież wszyscy wiedzieli, jak bardzo nienawidzi Europejczyków.

– Powiedz mi szczerze, Ross – poprosiła Juliet zduszonym głosem, podnosząc głowę. – Uważasz, że nie wyjedziesz stąd żywy, prawda?

Ross popatrzył na żonę. Wyczytała z jego oczu, że pogodził się z prawdopodobieństwem rychłej śmierci.

– Najpewniej nie – padła cicha odpowiedź. – Ale ty i reszta wyjedziecie stąd bez większych kłopotów. Uważam, że powinniście dołączyć do jakiejś udającej się na zachód karawany.

Może Saleh i Murad tak, ale Juliet nie potrafiła sobie wyobrazić, że zostawia męża, dopóki ten jeszcze żyje. Popatrzyła na niego bezradnie. W gardle czuła grudę. Od spotkania w Persji trzymała się od Rossa z daleka, nie chcąc dopuścić do zbliżenia, ponieważ wiedziała, że w końcu ją opuści. Nie było dla nich przyszłości. Gdyby nawet nadal jej pragnął, zmuszona by była dokonać prawie niemożliwego wyboru między życiem w kłamstwie a ujawnieniem bulwersującej prawdy, której on nigdy by jej nie wybaczył.

Ale teraz sytuacja się zmieniła, Ross nie miał już przed sobą żadnej przy-

szości. Cień śmierci zacieśnił czas do tej chwili, do tych nieskończone cennych momentów. Jakie znaczenie mają konsekwencje, gdy życie mierzy się w dniach, a może nawet godzinach.

–Czas ucieka, Ross – powiedziała z rozpaczą. – Nie marnujmy tego, co nam zostało.

Atmosfera nagle uległa zmianie. Powietrze było jak przed burzą. Ross znieruchomiał, a w jego brązowych oczach Juliet zobaczyła zdumienie i nieufność.

Przez chwilę sądziła, że mąż jej nie zrozumiał albo, co gorsza, odrzucił ofertę.

–Masz wszelkie prawo mnie nienawidzić – mówiła, zapominając o dumie. – Ale jeśli na tę noc odrzucisz przeszłość... Jeśli jeszcze mnie chcesz, z powodu pożądania, dla pocieszenia, a nawet, żeby ukoić gniew... – Umilkła. Wiedząc, że robi to tak samo dla siebie jak i dla męża, wyciągnęła do niego rękę w proszącym geście. – Jestem twoja – powiedziała cicho.

Ross ze ściągniętą twarzą, nic nie mówiąc, wyciągnął rękę i ujął dłoń żony.

Przywarli do siebie, usta do ust, ciało do ciała. Juliet czuła się tak, jakby zrobili krok w przepaść i otworzyła się przed nim otchłań.

Chwilę później uzmysłowiła sobie, że rzeczywiście spadają, z kanapy na turkmeński dywan. Nadal złączeni, turlali się po podłodze. Żadne nie chciało przerwać uścisku. Gwałtowne emocje domagają się gwałtownego wyrazu. Zdzierali z siebie ubrania, ale nagle Ross znieruchomiał, a potem, ciężko dysząc, wtulił twarz w szyję Juliet. Kiedy się nieco uspokoił, odsunął się i wstał.

–Czekałem na to dwanaście lat. Niech będzie tak, jak należy. – Pochyliwszy się, pochwycił żonę za rękę i bez wysiłku podciągnął ją na nogi.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale mąż zamknął je pocałunkiem.

–Zwolnij, moja piękna lisico. – Obejmując żonę jednym ramieniem, drugą ręką gładził ją delikatnie po głowie i plecach. – Jesteś jak błyskawica: ekscytująca, ale tak szybko znikasz, że nie można się nacieszyć twoim pięknem. Wprawdzie nie zostało nam zbyt wiele czasu, ale przynajmniej mamy tę noc. Jak powiedziałaś, nie marnujmy jej.

Juliet nieco ochłonęła. Pragnęła kochać się z mężem, ale Ross miał rację:



ich zbliżenie powinno być wyjątkowe, muszą zachować tę chwilę na zawsze.

Rozluźniła się i wtopiła w jego objęcia.

–Jeśli ja jestem błyskawicą, to ty jesteś piorunochronem, który chroni mnie przed samozniszczeniem. – Przycisnęła usta do szyi męża, delektując się słonym smakiem jego skóry, intymnym biciem pulsu, który stawał się coraz silniejszy.

Ross westchnął głęboko, a potem się odsunął.

–Najpierw musimy się pozbyć tych wszystkich niepotrzebnych rzeczy. – Zręcznymi ruchami odwinął tagelmoust i rzucił go na ziemię. Sięgnął po nóż wsunięty za szarfę. – Nie będziesz tego potrzebować. – Nóż i szarfa wyładowały na podłodze.

Rozplótł warkocz i włosy spłynęły kaskadą na ramiona Juliet.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie ciebie najczęściej – powiedział ciepło. – Z włosami jak ogień rozsypanymi na poduszce. Gul-i Sarahi, kwiat pustyni. – Zanurzył twarz w ciężką jedwabną masę, ciepłym oddechem pieszcząc szyję żony.

– Dopóki cię nie spotkałam, nienawidziłam moich włosów – szepnęła Juliet.

Ross masował głowę żony opuszkami palców. Czując w całym ciele rozkoszny dreszczyk, Juliet przytuliła się do męża. Wiedział, że uwielbiała jego dotyk.

Po chwili uznała, że czas na następny pocałunek, więc uniosła twarz.

– Jeszcze nie – sprzeciwił się.

Ponieważ nie miała na sobie opończy, następną częścią ubrania, której musiała się pozbyć, była długa suknia. Uniosła ręce, a mąż oswobodził ją z tuareskiej szaty. Została tylko w luźnych spodniach i opasce, którą spłaszczyła biust.

Ross nagle znieruchomiał. Juliet po chwili zrozumiała, co go tak zaintrygowało. Zarumieniła się i osłoniła ręką obrączkę zawieszoną na złotym łańcuszku.

Mąż wyłuskał pierścień spomiędzy jej drżących palców. Nie musiał o nic pytać. Wewnątrz były wygrawerowane ich imiona i data zaślubin. Juliet zdjęła obrączkę kilka tygodni po opuszczeniu Anglii, ale zawsze nosiła ją na

łańcuszku, poza nielicznymi okazjami, jak choćby kolacja z mężem w Serevanie.

Ross, obracając ją w palcach, przyglądał się obrączce, jakby się spodziewał, że ta zaraz zniknie. Potem spojrzął na żonę trochę kpiąco. Juliet wyczuwała intuicyjnie, że mąż niczego nie skomentuje, a zarazem wiedziała, że to ona powinna coś powiedzieć.

– Były też rzeczy, o których nie chciałam zapomnieć – odezwała się cicho.

– To dobrze. – Ross przestał się zajmować obrączką i przeniósł uwagę na otaczającą piersi bawełnianą opaskę, przypiętą czterema małymi agrafkami. Odpiął pierwszą i odchylił kawałek tkaniny, przyciskając usta do odsłoniętego zagłębienia. Pozbywał się agrafek, całując każdy następny odsłonięty kawałek ciała. Kiedy ściągnął całą opaskę, na skórze Juliet widniały różowawe pręgi.

– To zbrodnia ścisnąć takie piękności – wymamrotał Ross, otaczając piersi dłońmi.

Od tego dotyku krew zawrzała jej w żyłach, w piersiach pojawiło się przyjemne mrowienie, a sutki stwardniały.

– Warto było je przewiązywać, skoro ich widok sprawia ci taką przyjemność.

Spodnie też miała pospinane agrafkami. Ross zabrał się do ich usuwania i po chwili bezkształtna cześć garderoby leżała na ziemi.

Juliet się zawstydzila; minęło wiele lat od czasu, gdy stała przed mężem naga. Martwiła się, że nie wyglądała już tak powabnie, jak kiedyś.

Jednak Ross nie wydawał się rozczarowany.

– Czy zawsze byłaś taka piękna, czy tylko o tym zapomniałem? – Pełne podziwu spojrzenie działało na nią tak samo podniecająco, jak pieszczoty. – Czy może piękniałaś z każdym rokiem?

Juliet oblała się rumieńcem, ucieszyło ją, że pytanie nie należało do takich, na które trzeba odpowiadać, niemniej aprobatą męża sprawiła jej wielką przyjemność. Nigdy nie uważała, że jest atrakcyjna. Tylko Ross potrafił sprawić, że czuła się najbardziej pożądaną kobietą od czasów Heleny Trojańskiej.

– Teraz moja kolej – powiedziała, decydując, że aktywność jest najlep-

szym lekarstwem na skrępowanie. Sięgnęła do guzików koszuli męża.

– Zaraz, zaraz. – Uśmiechając się, Ross dotknął ust żony palcem wskazującym. – Na razie jestem ciekawy, co się zmieniło, a ponieważ światło jest słabe, muszę się zdać na dotyk. Na przykład ta wydaje się taka sama. – Pochylił głowę do lewej piersi i otoczył ustami sutek, który stwardniał jeszcze bardziej. – Dokładnie tak, jak zapamiętałem – mruknął Ross. Juliet oblała fala gorąca. – I twoje reakcje także się nie zmieniły.

Przeszedł do następnej piersi, a potem obie otoczył dłońmi.

– Wydają się tylko bardziej obfite.

– Czy to źle? – Kiedy zmieniała pozycję, piersi zakołysały się prowokacyjnie.

– W żadnym wypadku.

Rozwarł dłonie i płynnym ruchem przesunął ręce na biodra żony.

–Tyle cudownych załamań. – Nie przerywając kontaktu, obszedł Juliet, uniósł jej włosy i przycisnął usta do karku.

Całował ją powoli po plecach, schodząc w dół, potem obrócił żonę do siebie. Ukląkł, przeciągając rękami po biodrach i udach.

–Tutaj też się zaokrągliłaś, bardzo ponętnie.

Łaskotał ją po brzuchu wąsami. Przesuwając usta niżej, prawą rękę wsunął pomiędzy kolana i wodził kusząco palcami po wewnętrznej stronie ud, wznosząc rękę coraz wyżej. Juliet rozsunęła nogi.

Lewa dłoń Rossa znalazła się na jej pośladku, a palce prawej przedzierały się przez rudobrazowe loczki do miękkich fałdek w kroku. Juliet cicho jęknęła. Żeby nie stracić równowagi, przytrzymała się ramion męża. Zapomniała, o Boże, zapomniała, że można się tak czuć...

Położyła mu dłonie na biodrach, a on nagłym ruchem wsunął palce w jej wnętrze.

Zbyt oszołomiona, zbyt urzeczona tym, co się dzieje, nawet nie była w stanie odwzajemnić pieśczoły; miała wrażenie, że świat się rozpląnął, została tylko moc bijąca od Rossa.

On zawsze był szczodrym kochankiem i to się nie zmieniło. Zakochałaby się w nim ponownie, gdyby nie to, że nigdy nie przestała go kochać. Nawet na chwilę.

–Wybacz, trochę mnie poniosło – usłyszała szept tuż przy uchu.

Ale wcale tego nie żałował; w jego głosie brzmiało zadowolenie.

– Nie mam ci czego wybaczać. To raczej mnie powinno ponieść.

Mąż wziął ją na ręce.

– Wspaniały pomysł, ale czas udać się do łóżka.

– Nie! Teraz moja kolej. – Wreszcie wracały jej siły; nie na tyle, by mogła zmierzyć się z tygrysem, ale zawsze. Rozpięła i ściągnęła mężowi koszulę.

– Prawdziwym powodem, dla którego tak paskudnie zachowałam się w Serevanie – zaczęła, lekko się uśmiechając – było to, że chciałam zobaczyć trochę więcej twojego ciała.

Ross lekko ścisnął ją za kark.

– Bezwstydna kobieta.

– Bezsprzecznie. – Przesunęła dłońmi po torsie męża. – Zapłaciłam jednak za swoje grzechy, bo zobaczywszy, zapragnęłam dotknąć, ale nie śmiałam. Kusilo mnie, żeby zrobić na przykład coś takiego. – Przycisnęła usta do szramy po kuli. – Przeraziłam się na myśl, że byłeś tak blisko śmierci.

Położyła rękę na piersi męża. Serce biło mu równomiernie, miał bardzo ciepłą skórę i miękkie włosy, gęstsze niż zapamiętała.

– Ty także się zmieniłeś. Kiedy się pobieraliśmy, myślałam, że jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, i nie umiałam sobie wyobrazić, żebyś mógł wypięknieć.

– Zmieniłem się na lepsze czy na gorsze?

Zdumiało ją to pytanie; był tak przystojny, że aż trudno uwierzyć, że o tym nie wiedział. Kiedy się poznali, miał gibką sylwetkę młodzieńca. Teraz dojrzałość dodała masywności i mocy jego klatce piersiowej i ramionom. Wyglądał teraz na o wiele silniejszego i bardziej męskiego niż w wieku lat dwudziestu.

– Zdecydowanie na lepsze. To niesprawiedliwe, że czas jest przychylny dla mężczyzn, a mniej łaskawy dla kobiet.

Powiodła koniuszkiem języka po obrzeżu ucha, potem po szyi i zagłębieniu pod brodą. Teraz, gdy napięcie spadło, mogła się delektować subtelnymi oznakami reakcji męża – jego skóra naprężała się w każdym miejscu, gdzie go dotykała, oddech miał przyspieszony. Kiedy się pochyliła i zaczęła pieścić językiem sutek, otoczył ich piżmowy zapach seksu. Wrażliwa skóra na sutku natychmiast stwardniała, a z ust Rossa wypłynęło długie, drżące

westchnienie.

Powoli Juliet traciła już cierpliwość. Odpięła guziki przy rozporoku, odsłaniając linię włosów w dole silnie umięsnionego brzucha. Zsunęła rękę, a potem wetknęła ją za poluzowane spodnie.

W przeciwieństwie do tego, co się działo w czasie burzy piaskowej, tym razem Ross nie był zaskoczony i domagał się pieszczot.

– Kiedy wspominałam o słupie ognia, mówiłam metaforycznie, ale teraz widzę, że nie odbiegłam daleko od rzeczywistości – powiedziała nie bez satysfakcji, gładząc męża po nabrzmiałym członku.

Ross wbił się boleśnie palcami w jej ramiona i drżał na całym ciele.

– Zaczekaj – wysapał.

Znieruchomiała i podniosła oczy. Mąż miał odrzuconą w tył głowę, pierś lśniła mu od potu.

– Jest cudownie – wydusił – ale wolałbym być w tobie.

Znowu miał rację. Sam orgazm to nie wszystko; żeby zaspokoić się emocjonalnie, muszą być ze sobą tak blisko, jak to tylko możliwe między kobietą i mężczyzną. Uklękła na kolana i ściągnęła mężowi spodnie. Przeciągała z zachwytem po jego biodrach, zsuwali dłonie aż do kostek, czując pod palcami napięte ścięgna i mięśnie.

– Zazwyczaj mam dużo cierpliwości, ale chyba już się wyczerpuje. – Ross porwał żonę w ramiona i zaniósł do łóżka. Ściągnął narzutę i położył Juliet na środku wypełnionego bawełną materaca.

Śmiejąc się, złapała go za rękę.

– Przypomnij mi, co będzie się działo potem.

Oczy Rossa pociemniały. Nie powiedział ani słowa, ale Juliet wiedziała, że myśli o straconych latach, kiedy to do Anglii docierały pogłoski o jej niestosownym zachowaniu. Teraz już nie należeli do siebie ani do nikogo innego; to była jedyna rzecz, która uległa zmianie, i to na gorsze. Domyślała się, że w ciągu tych dwunastu lat rozłąki w życiu Rossa pojawiały się inne kobiety. A wszystko z jej winy.

Choć była przekonana, że kiedy się pobierali, Ross nie był prawiczkim, nie miała wątpliwości, że on dochowa wierności przysiędze małżeńskiej, bo wierność leżała w jego naturze. Podobnie było z nią, choć, na całe nieszczęście, zdała sobie z tego sprawę zbyt późno.

Ta chwila wprowadziła dysonans do ich miłosnej gry. Tylko namiętność mogła pokonać rozdźwięk, który powstał między nimi. Z nagłą desperacją Juliet pociągnęła męża na łóżko.

– Teraz, Ross. Proszę.

Te słowa przerwały tamę kontroli, którą Rossowi udawało się utrzymać aż do tego momentu. Rzucił się na żonę, wpił się ustami w jej usta, rozsunał nogami uda. Ich ciała połączyły się z absolutną pewnością; uniosła biodra, on poruszał się wolno, aż znalazł dla siebie odpowiednie miejsce. Wchodząc w nią głębiej, jęknął.

– Tak długo na to czekałem, Juliet. Niemal całe życie.

Otworzyła się przed nim cała, rozkoszując odwiecznym, niezmiennym rytmem; czuła, jak Ross ją wypełnia, czuła jego moc. Jak to możliwe, że przez chwilę sądziła, iż inny mężczyzna mógłby jemu dorównać?

Od początku wiedziała, że w zbliżeniu z mężem odnajdzie emocjonalną i fizyczną satysfakcję, ale zupełnie się nie spodziewała, że będzie aż tak rozpalona. Podniecenie wsysało ją niczym potężny wir. Zaciskając mięśnie ud, głośno krzyknęła. Ross znieruchomiał, a potem wbił się w nią jeszcze mocniej, przyspieszając rytm silnych, głębokich pchnięć.

Leżeli wyczerpani w swoich objęciach. Juliet głaskała męża po plecach i pośladkach. Milczeli. Zresztą słowa nie były potrzebne. Kiedy poczuła, że mąż próbuje się odsunąć, przytrzymała go mocno. Opadł na nią, mruczając z zadowolenia, potem otarł się policzkiem o jej policzek i odgarnął włosy z wilgotnego czoła. Spokojnym oddechem pieścił jej skroń.

Zacisnęła mięśnie na członku, który wciąż w niej pozostawał, i poczuła, że robi się twardszy. Jeśli Bóg da, ta noc nie będzie dla nich ostatnia, ale cokolwiek miało się wydarzyć, nie wolno marnować czasu, który im pozostał.

Przyciskając usta do policzka męża, wymamrotała cichą modlitwę dziękczynną. Znów zaczęli się kochać, nie zdając sobie sprawy, że rozniecili ogień, który miał w nich płonąć całą nadchodzącą noc.

Ross budził się powoli, czując tak głęboki spokój, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Kiedy zenił się z Juliet, nie cenił sobie spokoju, bo w wieku dwudziestu jeden lat nie zaznał jeszcze duchowego spustoszenia; poznał je po odejściu żony. Ból następnych lat sprawił, że teraz szczęście miało dla niego jeszcze większą wartość.

Lampy zdążyły się już wypalić, ale rozrzedzająca się ciemność wskazywała na nadchodzący świt. Leżeli z Juliet na boku; ona wtulona plecami w jego brzuch, on obejmował ją w pół ramieniem. Nogi mieli splecione. Cieszył się, że noc jest na tyle chłodna, że taka bliskość nie była nieprzyjemna; a nawet, zanim zasnęli, przykryli się narzutą.

Kiedy się kochali, było tak, jak pamiętał, a nawet lepiej. A jednak, gdyby miał zatrzymać czas i wybrać z życia tylko jeden moment, wybrałby taki jak ten teraz, kiedy leżeli obok siebie, zrelaksowani i spokojni.

Zastanawiał się, ile jeszcze przed nim podobnych chwil. Chociaż o spotkaniu z emirem mówił lekkim tonem, w trakcie audiencji nie wierzył, że opuści pałac żywy, może tylko na czas podróży do Czarnej Studni, w której, zanim został stracony, Ian Cameron umierał za życia. Ross nie do końca pojmował, dlaczego emir pozwolił mu wrócić do domu nayeba, podejrzewał jednak, że Nasrullah po prostu się z nim droczył, czerpiąc niezdrową przyjemność z tego, iż może dawać i odbierać komuś nadzieję.

Pomyślał, że po zeszłej nocy mógłby umrzeć szczęśliwy, bo on i Juliet wreszcie się odnaleźli. Ale nie chciał umierać: pragnął żyć, wrócić z żoną do Anglii, wychowywać dzieci i założyć wymarzony instytut. Ale przede wszystkim mogliby z Juliet po prostu być ze sobą.

Wkrótce będą musieli się zastanowić nad planem ucieczki, ale na razie delectował się tym, że odzyskał Juliet; znowu była jego żoną faktycznie, a nie tylko na papierze.

Usłyszał ciche westchnienie. Juliet poruszyła się w półśnie i mocniej przytuliła. Natychmiast zareagował podnieceniem. Uwielbiał kochać się z żoną z samego rana; było to jedyne zajęcie, które przed śniadaniem wykonywał z entuzjazmem.

Pomrukując jak kotka, Juliet otarła się o niego plecami. Ross pocałował ją za uchem, pieszcząc przy tym dłońmi każde zagłębienie i krągłość, do których mógł dosięgnąć. Kiedy dotarł do miękkich kręconych włosów łonowych i ukrytego pod nimi wrażliwego ciała, Juliet mocno wciągnęła powietrze. Wilgoć w jej wnętrzu mówiła, że jest już całkowicie rozbudzona.

Ponieważ Ross czuł się rozleniwiony, uznał, że pozycja, w której się znajdowali, jak najbardziej mu odpowiada. Zgadując jego intencje, Juliet uniosła nogę. Wzdychała z rozkoszy i rytmicznie poruszała biodrami, kiedy wszedł.

Ponieważ leżał za nią, mógł pieścić ją prawie w każdym miejscu, ale zarazem miał nad nią kontrolę, pilnował, by jej tempo dopasowane było do jego tempa. I kiedy, co wkrótce nastąpiło, zaczęła poruszać się gwałtowniej, przytrzymał żonę, żeby się nie rozłączyli, i szczytowali jednocześnie.

Cała hardość Juliet gdzieś się ulotniła, kiedy tak wtulała się w niego, miękka jak poduszka, choć o wiele przyjemniejsza do obejmowania.

– To najwspanialszy sposób na powitanie dnia – wyszeptał jej do ucha.

– Czy wydarzyło się coś, co przeoczyłam? – zapytała z udawaną niewinnością, otwierając oczy.

Nadal byli złączeni, więc pchnął ją lekko biodrami.

– Czy to odświeża ci pamięć?

Uśmiechnęła się.

– Chyba tak. – Krztusząc się chichotem, przekręciła się na bok i przyciągnęła męża do siebie, tak żeby oparł głowę na jej piersiach. – Pod pewnymi względami przypomina mi to naszą noc poślubną.

– Bardziej poranek po niej – poprawił, rozkładając się wygodnie.

– To prawda, poranek po nocy poślubnej był taki jak ten dzisiaj. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że można uprawiać miłość w takiej pozycji. Ale, oczywiście – dodała z uśmiechem – wtedy w ogóle mało wiedziałam o takich sprawach.

– Za to szybko się uczyłaś.

– Tamtej nocy byłam tak samo zdziwiona i zaciekawiona jak dzisiaj, ale teraz czułam się lepiej, bo jakieś doświadczenie już mam – wyznała z lekkim zażenowaniem. – Dzięki Bogu, ty wiedziałeś, co masz robić.

Uśmiechnął się drwiąco i owinał sobie wokół palca pasmo jej włosów.

– Przypuszczam, że denerwowałem się nawet bardziej niż ty. Dla mnie



to też był pierwszy raz.

– Naprawdę? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, nagle poważniejąc. – A ja myślałam, że byłeś... że miałeś już w tych sprawach doświadczenie.

– Oczywiście, że mogłem je zdobyć. To żaden problem dla zamożnego młodego mężczyzny. Tylko że myśl o kupowaniu miłości wydawała mi się odrażająca. Pokojówek też nie miałem ochoty uwodzić. Lepiej było wykorzystać energię, robiąc inne rzeczy, choćby ucząc się arabskiego.

– Nic dziwnego, że poznałeś tyle języków. – Juliet roześmiała się. – Ale skąd wiedziałeś...? – Nie dokończyła pytania, zawstydzona.

– Czasami naukowe podejście okazuje się przydatne. Na dwa tygodnie przed naszym ślubem wynająłem ekskluzywną kurtyzanę i poprosiłem ją, żeby mi pokazała, co lubią kobiety. Rozbawiłem ją tą prośbą, ale zademonstrowała mi wszystko bardzo dokładnie, choć powtarzała, że byłoby lepiej, gdybym aktywnie uczestniczył w jej pokazie.

Juliet się uśmiechnęła.

– Naprawdę zdołałeś się oprzeć kurtyzanie?

– Tak. Po poznaniu ciebie, nie chciałem już żadnej innej kobiety.

Wierzchem dłoni czule pogłaskała męża po policzku.

– Twój projekt badawczy zakończył się sukcesem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to nasz wspólny debiut.

– Cieszę się, że tak było, choć z perspektywy lat nie wydaje mi się to szczególnie istotne. Wtedy jednak bardzo mi zależało, żebym nie wyszedł na ignoranta.

W głosie Juliet pojawiła się nuta niepewności.

– Trzeba przyznać, że obecnie nie brakuje ci już doświadczenia.

Zirytowała go.

– Robisz mi wyrzuty, Juliet? Chyba nie spodziewałaś się, że po twoim odejściu zachowam abstynencję.

– Nie – odparła miękko – oczywiście, że nie. Po prostu jestem trochę zazdrosna.

Gdyby temat rozmowy nie był tak drażliwy, szczerść żony sprawiłaby Rossowi przyjemność. Zamiast tego jednak narastało w nim wzburzenie. Przekreślił się na plecy, odsuwając od żony.

– Moim zdaniem, nie masz prawa być zazdrosna, choć, jeśli będzie to dla ciebie jakimś pocieszeniem, jestem pewien, że przez te wszystkie lata moje uchybienia wobec wierności były o wiele mniejsze niż twoje.

– Pogłoski o moim rozpasaniu były przesadzone.

– Może i przesadzone, ale przecież nie wyssane z palca – wycedził przez zaciśnięte gardło. Wróciło wspomnienie, które wywoływało w nim furję. Nie mógł go wyprzeć ze świadomości, choć tak bardzo się starał. – Nie wiem, ile z tych opowieści było zgodnych z prawdą, ale nie mogłem nie uwierzyć w to, co sam widziałem na własne oczy.

Juliet usiadła, odsuwając się na brzeg łóżka. W świetle brzasku jej twarz wydawała się blada i zmizerowana.

–Co... co masz na myśli?

Ross zacisnął dłonie.

–Pamiętasz, jak zatrzymałaś się w hotelu Bianca na Malcie? Ja pamiętam.

Oparł się na łokciu, po czym, zmrużywszy oczy, spojrzał na żonę.

–Co, do diabła, myślałaś, że robiłem? Musiałem za tobą pojechać. Byłaś moją żoną. Sądziłaś, że zakończysz nasze małżeństwo jednym niejasnym liścikiem?

Serce zaczęło mu walić, bo pamięć odsłoniła obrazy z przeszłości, a towarzyszył temu taki sam ból, jak kiedyś. Było późno, kiedy zszedł ze statku w porcie Valetta. Udał się prosto do hotelu Bianca, o którym mówiono, że jest najlepszy na Malcie. Wiedział, że Juliet znajduje się wyspie. Wiedział też, że zajmie mu trochę czasu, zanim ją odnajdzie. Niemniej, kiedy rejestrował się w recepcji hotelu, licząc na łut szczęścia, zapytał, czy jego żona, lady Rossowa Carlisle, już się w nim pojawiła, bo mieli się tu spotkać.

Opisał wygląd Juliet, a twarz recepcjonisty rozjaśniła się uśmiechem. O tak, piękna angielska dama o płomienistych włosach zarejestrowała się już w hotelu. Recepcjonista kazał chłopcu bagażowemu przenieść bagaże Rossa do windy, a do klucza do pokoju dołączył drugi i z uśmiechem poinstruował gościa, jak ma dotrzeć do pokoju lady Carlisle – „w razie gdyby angielski milord nie chciał odwlekać spotkania z żoną do rana”.

Było już późno i Ross wiedział, że powinien poczekać, ale nie umiał się pohamować, żeby nie skorzystać z niedyskretnej pomocy recepcjonisty. Po-

kój Juliet, który się znajdował na drugim piętrze w południowym skrzydle, odnalazł bez kłopotu.

Na myśl, że żona jest tylko kilka kroków od niego, serce biło mu jak oszalałe, jednak zanim zapukał do drzwi, przystanął, żeby się zastanowić. Choć coś mu mówiło, że kiedy tylko na siebie spojrzą, wszystko dobrze się ułoży, z drugiej strony mógł się spodziewać, że Juliet będzie zdumiona i może zmieszana jego nagłym pojawieniem się. Ale i tak wierzył, że szybko zdołają rozwiązać ich problemy, czegokolwiek by one dotyczyły; za bardzo się kochali, żeby nie próbować naprawić małżeństwa.

Kiedy tak stał, niezdecydowany, drzwi do pokoju Juliet otworzyły się niespodziewanie. Pojawił się w nich jakiś mężczyzna. Kiedy wyszedł na korytarz, ktoś od wewnątrz zamknął drzwi i przekreślił klucz. Ross czuł się tak, jakby otrzymał cios w brzuch.

Ubranie mężczyzny było w nieładzie, najwyraźniej wciągał je na siebie w pośpiechu, na jego przystojnej twarzy widniał sprytny uśmiezek zadowolonego kocura. Nawet płomienny napis na ścianie nie przekazałby jaśniej faktów; nieznajomy, który wyszedł właśnie z pokoju Juliet, jeszcze przed chwilą był z nią w łóżku. Na dodatek Ross rozpoznał nieznajomego, co tylko pogorszyło sytuację. Miał przed sobą hrabiego d'Auxerre'a, francuskiego dyplomate, którego widział kiedyś na jakimś balu w Londynie. Trzydziestolatek, wysoki i jasnowłosy, cieszył się wielkim powodzeniem u pań z towarzystwa.

Hrabia natomiast nie miał zielonego pojęcia, kim jest Ross, ponieważ nigdy nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni, a Ross nie był na tyle ważną osobistością, żeby tak dystyngowany obcokrajowiec zwracał na niego uwagę. Po chwili zaskoczenia Francuz dostrzegł w rękach stojącego pod drzwiami mężczyzny ciężki stary klucz i roześmiał się gardłowo.

– Ach, więc ta młoda dama o rudych włosach naprawdę posiada ognisty temperament. Dobrej zabawy, przyjacielu. Ta osóbka warta jest nieprzespanej nocy. – Potem hrabia okrążył uprzejmie Rossa, nieświadom, jak blisko był wtedy śmierci.

Ross stał skamieniały, zlodowaciały, oblany potem. Zaciskał i otwierał dłonie, myśląc przy tym, że jego świat właśnie się skończył.

Ból wbijających się w dłonie paznokci przywrócił go do rzeczywistości;

teraźniejszość była prawie tak samo bolesna jak przeszłość.

– Kiedy przyjechałem do hotelu Bianca – odezwał się zachrypniętym głosem – powiedziano mi, że ty także w nim się zatrzymałaś, poszedłem więc do twojego pokoju. Właśnie miałem zapukać, gdy w drzwiach pojawił się jeden z twoich kochanków. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Hrabia d'Auxerre. Pamiętasz go, czy był tylko kimś, o kim zapomina się już następnego dnia rano?

Na twarzy Juliet pojawił się grymas bólu. Opuściwszy głowę, skuliła się, ale nic nie powiedziała. Zabłąkany promyk porannego słońca odbił się jakby z kpiną od złotego łańcuszka zawieszzonego na jej szyi.

Milczenie żony jeszcze bardziej zirytowało Rossa. Wcześniej nie mówił o tym, co zobaczył na Malcie, ale teraz nie mógł już pohamować wściekłości.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że znajdę cię w łóżku z innym mężczyzną – mówił z goryczą. – Minęły tylko trzy tygodnie, Juliet. Trzy cholerne tygodnie. Czy ten był pierwszy, czy może w każdym hotelu, od Chapelgate do Malty, znajdowałaś sobie innego?

Juliet, pochyliwszy głowę, pokręciła nią, ale nie próbowała się bronić.

Ross wstał z łóżka i przeszedł do okna zasłoniętego żaluzją, przez którą napływało świeże powietrze i przedzierało się światło poranka.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – Spoglądał przez szpary na pusty dziedziniec. – Jakieś wyznanie, zaprzeczenie, a może zechcesz pochwalić się przede mną swoimi podbojami. Do cholery, powiedz cokolwiek. Wysił się i spróbuj mnie przekonywać, że trafiłem do niewłaściwego pokoju.

– Nie mogę. To, co myślisz, że wydarzyło się tamtej nocy.. – rzeczywiście się wydarzyło – szepnęła Juliet prawie niesłyszalnie. – Masz pełne prawo mną pogardzać. Tylko, skoro już przyjechałeś za mną aż z Anglii, dlaczego nie próbowałeś się ze mną zobaczyć, choćby po to, żeby mi powiedzieć, co o mnie myślisz?

Ross odwrócił się gwałtownie od okna, przywarł plecami do chropowatej ściany i wbił w nią paznokcie. Gdyby odpowiedział żonie na pytanie, ujawniłby najczarniejszą prawdę o sobie, a tej się wstydził. Niemniej, podżegany wściekłością, zrobił to, chcąc uświadomić Juliet, do czego doprowadziła.

– Wyjechałem, ponieważ się bałem, że jeśli cię zobaczę, po prostu cię za-

bije.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko płytki oddech Juliet.

– To właśnie dlatego w Serevanie chciałam trzymać się od ciebie z daleka – odezwała się po dłuższej chwili. – Obawiałam się, że jeśli znowu się do siebie zbliżymy, rozpadną się wszystkie bariery, dzięki którym udawało nam się do tej pory żyć w miarę normalnie. I właśnie teraz do tego doszło.

Ześliznęła się na podłogę, uklękła i przyciągnęła zmięty strój Tuarega. Drugą ręką po omacku zbierała resztę swojej odzieży. Z oddali z tuzina różnych meczetów popłynęły zawodzące śpiewy muezinów. Rozwidniło się już na tyle, że można było odróżnić kształt przedmiotów, choć jeszcze nie ich kolor.

Ross się zastanawiał, jak to możliwe, że w ułamku sekundy z radości spadł na dno rozpacz.

Pogrążony w myślach, nie zwracał uwagi na żonę. Zbierała ubrania, a po jej policzkach płynęły wielkie, ciche łzy. Smutek Juliet, wyrażany w milczeniu, mocno nim wstrząsnął.

Ból, który odczuwał, nie zmniejszył się, ale zmieniła się jego natura. Gniew także zelżał. Przeklął się w duchu. Czuł, że Juliet odsuwa się od niego emocjonalnie i wiedział, że za chwilę odejdzie od niego na zawsze. Nie mógł znieść tej myśli. Przez chwilę pragnął zranić żonę, sprawić, żeby cierpiała tak jak on. Ale gdyby to uczynił, przysporzyłby cierpienia nie tylko jej, ale także sobie, bo nie potrafił napawać się jej bólem bez względu na to, jak bardzo zasługiwała na karę.

– Juliet – odezwał się oschle. – Wybacz, że na ciebie napadłem.

– Ty także mi wybacz... wszystko. Byłam szalona, sądząc, że da się zapomnieć o przeszłości. Pamiętasz poezję Omara Khayyama? – Podniosła na męża szeroko otwarte, przepelnione smutkiem oczy; długie rzęsy posklejane były przez łzy. – „Poruszające się palce piszą, a napisawszy, dalej się poruszają. Cała twoja pobożność i mądrość nie zetrze nawet połowy linijki, a twoje łzy nie zmyją nawet jednego słowa”. – Zamknęła oczy, twarz wykrzywiła w grymasie bólu. – Zeszłej nocy chciałam ci podarować jedyną rzecz, jaką miałam do oddania. Zamiast tego straszliwie cię zraniłam. Zresztą nie po raz pierwszy.

Ross uklękął przy żonie. Rana po nożu, którą przypiekl rozgrzaną stalą,

zamieniła się już w bliźnę wijącą się wokół jej ramienia. Przypomniała o tym, że nie ma na świecie drugiej takiej kobiety jak Juliet i... właśnie tę niezwykłość tak w niej kochał.

– Nie mogę powiedzieć – zaczął, starannie dobierając słowa – że przeszłość się nie liczy, ponieważ się liczy i to bardzo. Ale ona już minęła. Teraz jest teraz.

– Przeszłość jest częścią terażniejszości, bo to ona nas uformowała. Zeszła noc była pomyłką. Otworzyliśmy puszkę Pandory. Poza tym nie sądzę, żeby można było doznawać przyjemności bez bólu. – Przytłoczona poczuciem winy, Juliet nie była w stanie spojrzeć mężowi w oczy. Nie mogła znieść myśli, że on podążył za nią przez połowę kontynentu i że znalazł ją na Malcie akurat w tę feralną noc. Gdyby się zjawił kilka godzin wcześniej, przyjęłaby go z otwartymi ramionami; ich małżeństwo by przetrwało, a może nawet by się wzmocniło. Ale kiedy dotarł do hotelu Bianca, było już za późno.

Ross dotknął podbródka Juliet i zwrócił jej twarz do siebie.

– Nie! Zeszła noc nie była pomyłką. Miałaś rację; zgrzeszylibyśmy, marnując czas, który nam pozostał. – Z lekkim, ponurym uśmiechem zacytował wiersz innego perskiego poety: – „Korzystajmy z tego, co mamy, zanim zamienimy się w pył”. Nie odwracaj się ode mnie znowu, Juliet. Bardzo cię potrzebuję.

Pochyliła się, i pocałowała go w usta, a on zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie. Nadal klęczeli nadzy na podłodze Ross oplótł żonę ramionami, kładąc ręce na plecach i pośladkach. Pociągnął ją na podłogę. Ich ciała splątały się. Ból i gniew przeistoczyły się w namiętność. Pożądanie, niczym narkotyk, miało pomóc im zapomnieć o tym, o czym nie dało się zapomnieć.

Kochając się z mężem, Juliet wyczuwała w nim tę samą dziką pasję, którą widziała u niego w czasie meczu *buzkaszi*. Mężczyzna–władca brał kobietę w posiadanie. Oddała mu się bez sprzeciwu, starając się całą sobą powiedzieć to, co wypowiedziane za pomocą słów zabrzmiałoby fałszywie; że go kocha, że kochała go zawsze, choć ma on prawo w to nie wierzyć.

Być może ich zbliżenie było błędem, bo gdzieś tuż pod powierzchnią czaiło się cierpienie. Na dobre czy na złe znowu stali się jednym, choć temu

złączeniu, niestety, towarzyszyło widmo śmierci.

**L**eżeli obok siebie w milczeniu. Nie odzywali się z obawy, że ich słowa mogą przynieść jeszcze więcej cierpienia. Juliet trzymała głowę na ramieniu męża.

Teraz wyglądało na to, że udało im się zawrzeć kruchy rozejm, choć tak naprawdę nic nie zostało ustalone. Domyślał się, że ich stosunki się nie zmieniają, wrócą do poprzedniego stanu: uzbrojeni w ostrożność, będą unikać poruszania bolesnych spraw, które znowu by ich mogły rozdzielić, gdyby przez moment przestali nad sobą panować.

Nagle rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Służący powiadał Rossa, że Abdul Samut Khan zaprasza go na śniadanie. Poderwali się na równe nogi i szybko zaczęli ubierać, a Ross odkrzyknął, że jest zaszczycony zaproszeniem nayeba.

Spojrząwszy na żonę, pozazdrościł jej prostego odzienia Tuarega; zdążyła się już ubrać, on zaś nadal mocował się ze swoim fularem.

– Prawdopodobnie nie będzie mnie cały dzień – powiedział cicho, zanim poszedł otworzyć służącemu. – A ty, będziesz tutaj wieczorem?

Uniosła brwi.

– Oczywiście.

Odpowiedź żony go ucieszyła; nie wiedział, co usłyszy. Po założeniu surduta, przecesał włosy, przywołał na twarz wyraz spokoju i wyszedł dołączyć do gospodarza.

Nayeb powitał go żarliwie.

– Mój drogi lordzie Kilburn! Czy rozmowa z emirem należała do bardzo trudnych? Gdybym tylko wiedział, że zostanie pan zeszłej nocy wezwany, poszedłbym z panem. – Wziął Rossa za rękę i poprowadził do miejsca przy stole; jego zimne spojrzenie kontrastowało z wylewnymi słowami. – Niestety zajęty byłem ważnymi sprawami związanymi z artylerią, i o tym, co się wydarzyło, dowiedziałem się dopiero dzisiaj rano. Cóż takiego chciał od pana nasz władca?

– Nic ważnego – rzucił lekko Ross, sadowiąc się na poduszce. Podejrzał, że nayeb dokładnie wie, co się działo poprzedniej nocy w czasie au-



diencji. – Emir powiadomił mnie tylko, że nie zgadza się wydać ciała majora Camerona. Oczywiście jest mi z tego powodu przykro, ale jego wysokość ma prawo do odmowy. Kiedy zapytałem o pozwolenie na wyjazd, zapewnił, że wkrótce je otrzymam.

Abdul Samut Khan rozejrzał się ostrożnie dokoła. W dalekim końcu pokoju, przy drzwiach stał znudzony strażnik. Poza nim w pobliżu nie było nikogo.

–Gdyby tylko była to prawda – mruknął nayeab. – Niestety emir jest bardzo zmienny w nastrojach. Wyda zgodę, a za chwilę ją cofnie, tak jak to robił w wypadku pana brata. I tak będzie się działo, aż wreszcie się obrazi na coś, co pan robi, lordzie, lub też bez żadnego powodu.

Ross spojrział na niego z zaciekawieniem.

– A potem co: Czarna Studnia, czy każe mnie stracić na miejscu?

– Nie umiem powiedzieć. – Nayeab zmarszczył czoło. – Sytuacja jest trudna i będzie jeszcze trudniejsza. Musiałeś słyszeć, lordzie, że doszło do kłótni między Bucharą a Kokandem. Wczoraj emir postanowił, że osobiście poprowadzi wojsko przeciwko wrogowi. Jako dowódca artylerii, ruszam razem z nim. Dlatego właśnie byłem wczoraj taki zajęty: przygotowywałem się do wojny, bo Nasrullah życzy sobie wyruszyć już za dziesięć dni, a jest przecież wiele do zrobienia.

– Rozumiem. – Ross zastanawiał się nad konsekwencjami, pogryzając kawałek soczystego melona; Bucharianie twierdzą, że ich melony są najlepsze na świecie, i prawdopodobnie mają rację. – Jaki to będzie miało wpływ na moją sytuację?

– Skoro emir nie kazał pana wczoraj zabić, myślę, że do jego wyjazdu jest pan bezpieczny, bo będzie zbyt zajęty, by o panu myśleć, lordzie. – Zamilkł, żeby upić herbaty. – Jeśli kampania przeciwko Kokandowi się powiedzie, Nasrullah wróci w dobrym nastroju, chętny do obdzielania laskami. Ale jeśli się nie powiedzie, a obawiam się, że tak się stanie, emir będzie przygnębiony, a wtedy staje się... niebezpieczny. Nawet bardzo.

– Co pan mi radzi?

Abdul Samut Khan ponownie rozejrzał się dokoła, a potem pochylił się do gościa.

–Powinien pan uciec z Buchary podczas nieobecności emira. Niech pan

jedzie do Chiwy: tamtejszy emir jest przyjacielem Europejczyków.

To było bardzo interesujące, ale Ross zgadywał, że szykuje się coś jeszcze.

– Droga do Chiwy jest długa i niebezpieczna. Samotnemu *ferengi* trudno będzie uciec.

– Uczynię, co w mojej mocy, żeby panu pomóc, przyjacielu, nawet ryzykując własne życie. – Nayeb w zamyśleniu gładził brodę. – Choć ucieczka nie jest niemożliwa, będzie wiele kosztować. Naprawdę wiele. Jeśli posiada pan, lordzie, odpowiednią ilość złota, mogę wszystko załatwić jeszcze przed odjazdem. Emir nie dowie się o pańskiej ucieczce przed swoim powrotem, a pan do tego czasu będzie już w Chiwie. – Rozłożył ręce. – Gdybym był bogaty, sam pokryłbym wszystkie wydatki. Niestety nie posiadam wymaganych zasobów.

Innymi słowy, *ferengi* miał złożyć w niepewne ręce gospodarza wszystkie swoje pieniądze i mieć nadzieję, że plan ucieczki się powiedzie. Ross nie dał się zwieść zapewnieniom nayeba. Chociaż, kto wie, być może, gdyby Abdul Samut Khan został sownie wynagrodzony, rzeczywiście pomógłby mu uciec; a może nie.

– To wielka odwaga z pana strony, że oferuje pan taką pomoc – powiedział, nie zdradzając się ze swoimi wątpliwościami. – Ale postąpiłbym niehonorowo, gdybym uciekł z Buchary, biorąc pod uwagę, że emir potraktował mnie z taką łaskawością.

Abdul Samut Khan spojrzał na niego niemal z rozpaczą.

– Honor to bardzo ważna sprawa, lordzie Kilburn, ale tu chodzi o pańskie życie. Nic nie ochroni pana przed gniewem emira, poza ucieczką.

– Zastanowię się nad tym.

Wyraz twarzy nayeba się zmienił.

– Istnieje jeszcze jedna opcja. Niech pan przyjmie naszą wiarę. Jeśli przejdzie pan na islam, emir wyznaczy panu stanowisko zaufanego doradcy, obdarzy też pięknymi żonami i wielkim bogactwem. Niech pan z nami zostanie, lordzie Kilburn.

Ross odnosił dziwne wrażenie, że choć raz nayeb mówi szczerze; jednak doradzanie Nasrullahowi go nie pociągało, i zresztą byłoby tak samo ryzykowne, jak jego obecna sytuacja.

– Taka propozycja to dla mnie zaszczyt, Abdulu Samut Khanie – rzekł po prostu. – Ale to niemożliwe. Mam w kraju żonę, rodzinę i obowiązki.

Nayeb westchnął.

– Chyba nie zdaje sobie pan sprawy z powagi pańskiej sytuacji. Martwy nie przyda się pan nikomu, także rodzinie; w Bucharze pozostanie pan przynajmniej przy życiu.

– Przemyśleń wszystko, co mi pan powiedział – zapewnił Ross. – Ale teraz proszę mi wybaczyć. Imam zakonu tekke, Khalta Husein, zechciał zaprosić mnie do swojego klasztoru, mam tam być dziś o poranku. Nie mogę pozwolić, by na mnie czekał.

Abdul Samut Khan ze smutkiem kręcił głową.

– To nie jest możliwe, szacowny lordzie Kilburn. Emir wydał rozkaz, który zakazuje panu poruszać się po mieście.

– Rozumiem. – Ross nie pokazał po sobie, jakim ciosem było to dla niego. – Czy mogę wysyłać listy i przyjmować gości, czy może zostaną zamknięty w pokoju?

– Może pan pisać listy i przyjmować gości, a także poruszać się po całym terenie rezydencji, ale poza pańskim pokojem, będzie pan pod stałą strażą – wyjaśnił skruszonym tonem nayeb. Ponownie zniżył głos. – Jak pan widzi, pańska sytuacja wygląda naprawdę ponuro. Ponownie namawiam do ucieczki. Wystarczy, że da mi pan swoje złoto, a ja wszystkim się zajmę.

– Ile złota panu potrzeba?

Chciwy gospodarz spoglądał chytrze.

– Jakieś... dziesięć tysięcy dukatów?

Ross pokręcił głową.

– Nie mam takiej fortuny. Wygląda na to, że mój los musi pozostać w rękach Boga.

– Niech mi pan da to, co pan posiada – padła szybko propozycja – wraz z listem, że brytyjski ambasador w Teheranie dopłaci resztę. Sam pan widzi, jak panu ufam.

– Ale brytyjski ambasador nie uhonoruje takiego listu, bo przybyłem tu prywatnie, a nie jako przedstawiciel mojego kraju. Nie mogę dopuścić, żeby się pan ze względu na mnie zrujnował. – Uznawszy, że czas wyjść, Ross wstał. – Dziękuję za pańską troskę. Dał mi pan wiele do myślenia.

– Proszę dobrze się zastanowić, *ferengi* – powiedział nayeab z rozdrażnieniem. Podnosząc głos, zawołał do strażnika przy drzwiach: – Zadeh, masz towarzyszyć lordowi przez cały czas, kiedy nie jest w swoim pokoju! Nie spuszczać go z oczu.

Strażnik otworzył drzwi przed gościem, potem poszedł za nim.

Skoro nie mógł opuścić rezydencji, Ross postanowił wrócić do swojego pokoju i napisać liścik do imama tekke z wyjaśnieniem swojej nieobecności. Postanowił napisać także do innych znajomych; może któryś zechce go odwiedzić.

W drodze powrotnej doszedł go zza pleców czyjś szept.

– Nie ufaj Abdulowi Samut Khanowi, lordzie Kilburn. Udawał, że jest przyjacielem yawera Camerona, a potem go zdradził. Z tobą postąpi tak samo.

Ross zaskoczony, zdał sobie sprawę, że ostrzeżenie musiało paść z ust strażnika, Zadeha, jednego z niższych rangą żołnierzy przydzielonych nayebowi.

– Co myślisz o jego zapewnieniach, że mi pomoże? – zapytał, nie odwracając głowy i mówiąc przyciszonym głosem.

– On chce tylko zabrać twoje złoto, a potem oskarży cię o szpiegostwo.

– Tego akurat się domyślałem – mruknął Ross. – Powiedz mi, gdybym chciał pewnej nocy uciec z rezydencji, czy są tu strażnicy, którzy... patrzyliby wtedy w innym kierunku?

– Jest tu wielu, którzy chcieliby ci pomóc, lordzie – odparł ostrożnie Zadeh. – Ale, ponieważ to ryzykowne, przydałoby się coś na osłodę.

Ross skinął głową, a potem zniknął w swoim apartamencie. Przypuszczał, że przekupienie strażników będzie i mniej kosztowne, i bezpieczniejsze niż zdanie się na niepewną pomoc nayeaba. Jednak ucieczka z rezydencji to tylko pierwszy krok, najłatwiejszy.

Juliet spędziła poranek z Salehem i Muradem. Rozprawiali o różnych możliwościach rozwoju wypadków. Instynkt podpowiadał Juliet, że czasu jest coraz mniej. Rozmowa była dla niej chwilą wytchnienia; oderwała ją od myśli o nocy spędzonej z mężem.

Później odwiedziła kilka zajazdów dla karawan, żeby się dowiedzieć, kiedy i które wyruszają w drogę i w jakim kierunku. Pod koniec popołudnia, gdy upał dawał się najbardziej we znaki, a miasto piekło się pod bezlitosnym słońcem środkowej Azji, wróciła do domu nayeba.

Właśnie minęła bramę rezydencji i szła słabo oświetlonym korytarzem, gdy natknęła się na yawera Shahida Mahmuda. Do tej pory strażnik nigdy nie zwracał na nią uwagi, ale tego dnia, na jej widok, w oczach krzepkiego oficera pojawił się błysk zainteresowania.

W pobliżu nie było nikogo. Juliet nerwy miała napięte. Chciała minąć Uzbeka, ale ten, zanim zdążyła się prześliznąć, chwycił ją za ramię.

–Nie tak szybko, Tuaregu. Nie byłem dla ciebie do tej pory zbyt gościnnie. Masz na imię Jalal, prawda?

Nie odpowiedziała, tylko zerknęła na strażnika, mrużąc oczy. Był od niej trochę wyższy i o wiele cięższy. Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył.

–Ciągle się zastanawiam – ciągnął Shahid – dlaczego twój pan toleruje takiego opryskliwego sługę, ale teraz widzę, że masz ukryte zalety. – Rozchylił usta w lubieżnym uśmiechu. – Trzeba było zeszłej nocy zachowywać się ciszej.

Juliet zakłęta w duchu. Mimo że starali się pamiętać o dyskrecji, zostali jednak podsłuchani, i bez wątpienia była to przede wszystkim jej wina. Spróbowała się wyrwać, ale Uzbek wykręcił jej ramię, popychając ją pod ścianę.

–Jest taka sławna pieśń miłosna w języku pusztu *Zakim Dii*, co znaczy „Zranione serce” – powiedział ciepło. – Może ją słyszałeś? Idzie tak: „Za rzeką mieszka chłopiec z siedzeniem jak brzoskwinia, ale ja, niestety, nie potrafię pływać”.

Znowu się uśmiechnął oblesnie i dotknął ust językiem.

–Mamy szczęście w Bucharze, bo wielka rzeka Arnu znajduje się wiele mil stąd, więc nie musimy się przez nią nigdzie przedzierać. – Okręcił Juliet dokoła, wykręcając jej prawe ramię na plecy i przycisnął jej twarz do ściany. – Poruszasz się jak młodzieniec, szczupły i zgrabny niczym kobieta.

Wolną ręką złapał Juliet za pośladek i mocno uściśnął.

– O tak, chłopcze – wycharczał. – Masz tyłek jak brzoskwinia. Nie powi-

nienes marnować go na innowiercę.

Później przyjdzie czas na dziękowanie Bogu za to, że strażnik się nie domyślił, z kim naprawdę ma do czynienia; tymczasem Juliet martwiła się tylko o to, żeby nie dać się zgwałcić. Postanowiła, że nie zaatakuje napastnika od razu. Zamiast tego znieruchomiła, pomimo że strażnik zaczął ją obmacywać, oddychając przy tym coraz szybciej.

– Lubisz to, co, chłopcze? – Zaśmiał się chrapliwie. – Teraz ci pokażę, co to znaczy prawdziwy mężczyzna. Nigdy więcej nie pozwolisz się dotknąć temu białasowi. – Napierał na nią, przyciskając do ściany całą siłą masywnego ciała. Juliet znosiła to z ponurym spokojem, czekając na odpowiednią chwilę, w której uda jej się wywinąć z uścisku.

Chwila ta nadeszła w momencie, kiedy strażnik sięgnął ręką do skraju jej szaty. Owładnięty żądzą i zwiedziony spokojem ofiary, stał się mniej ostrożny. Kiedy tylko Juliet poczuła, że uścisk na ramieniu osłabł, uniosła nogę i obcasem z całych sił kopnęła go w kolano.

Shahid jęknął z bólu i zaskoczenia, zatoczył się w bok, bo nogi się pod nim ugięły. Padając, zdążył zacisnąć dłoń na ramieniu Juliet, ale ona była na to przygotowana. Wykręciła się tak, że złamałaby napastnikowi łokieć, gdyby jej nie puścił, i wyciągnęła zza pasa nóż.

Nim yawer zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z naprawdę groźnym przeciwnikiem, Juliet już za nim stała, przytknąwszy mu nóż do gardła.

– Ty brudny wieprzu! – Użyła najgorszego z perskich przekleństw. – Masz ochotę na spółkowanie, to znajdź sobie maciorę podobną do swojej matki.

Strażnik zaczął się jej odgrażać, więc mocniej przycisnęła mu nóż do krtani.

– Jeśli jeszcze raz staniesz mi z tym swoim mizernym fajfusem na drodze, obetnę ci go i wepchnę do gardła. – Potem odsunęła się i żeby unie możliwić przeciwnikowi pogoń, kopnęła go z całych sił w nerkę.

Kiedy yawer, jęcząc, upadł, ona odwróciła się i mszyła w stronę pokoju, starając się zachować spokojne tempo, jakby zupełnie nie obawiała się odwetu. Niemniej nóż trzymała w pogotowiu i nasłuchiwała kroków, w razie gdyby strażnik pozbierał się szybciej, niż założyła. Dopóki nie skręciła w boczny korytarz, czuła, że jego wściekły wzrok wypala jej dziurę na ple-

cach.

Zniknąwszy strażnikowi z widoku, przeciągnęła drżącą dłonią po czole i dopiero wtedy oczyściła i schowała nóż do pochwy. Miała szczęście. Gdyby nie to, że Shahid zlekceważył ją jako przeciwnika, znalazłaby się w niezłych opałach. Musi uważać, przebywając na terenie rezydencji, bo strażnik należał do tego rodzaju ludzi, którzy nienawidzą przegrywać.

Po dotarciu do apartamentu wpadła na wychodzącego właśnie służącego. Prześliznęła się obok niego i zamknęła za sobą drzwi. Po ich zaryglowaniu ściągnęła tagelmoust i zanurzyła w nim spoconą twarz.

Ross siedział na otomanie z notesem w rękach. Z troską popatrzył na żonę.

– Czy coś się stało?

– Niezupełnie. – Odejmując tagelmoust od twarzy, Juliet zmusiła się do lekkiego uśmiechu. – Shahid Mahmud robił mi awanse, ale nie docenił moich umiejętności i chęci obrony. Na szczęście miałam na nogach ciężkie buty, a nie sandały.

– Do diabła! – Ross był wściekły. Wstał i objął żonę. – Skąd ten sukinsyn się dowiedział, że jesteś kobietą?

– Wcale się nie dowiedział. – Pomimo popołudniowego upału, Juliet drżała, doznawszy ulgi w ramionach męża. Nie istnieje nic lepszego niż jakiś kryzys, żeby w związku zaczęły się liczyć rzeczy najistotniejsze; w ich wypadku były to troska i wsparcie. – Podśluchiwał nas poprzedniej nocy i wywnioskował, że nasza relacja nie jest jedynie relacją pana i sługi, ale jakoś nie przyszło mu do głowy, że jestem kobietą.

Uścisk Rossa się wzmocnił.

– Rozumiem. Szkoda, że nie możemy go zabić. Ale przynajmniej nie będzie mógł się poskarżyć nayebowi, że mój sługa nie pozwolił mu się zgwałcić. Myślę, że teraz powinnaś być szczególnie ostrożna i unikać Shahida, i nie zaszkodziłoby, na wszelki wypadek, nosić ze sobą pistolet.

– Będę go unikać. Gdybym go zraniła albo zabiła, doszłoby do przesłuchania, a na to nie możemy sobie pozwolić. – Juliet odsunęła się od męża i opadła ciężko na kanapę. Na stole stał lekko oszroniony dzban z syropem winogronowym z lodem, przyniesiony przed chwilą przez służącego. Nalała do szklanek obojgu. – Czas porozmawiać o sposobie opuszczenia Bucha-

ry.

– Sytuacja jeszcze się pogorszyła. – Ross usiadł i zdał żonie relację z rozmowy z Abdulem Samut Khanem.

Kiedy skończył, Juliet zmarszczyła czoło.

– A więc znalazłeś się w domowym areszcie. Mam nadzieję, iż nayeby się nie myli, twierdząc, że emir nie będzie miał teraz czasu o tobie myśleć. Uważam, że powinniśmy uciec, kiedy tylko Nasrullah opuści miasto.

– Od pierwszego dnia przyjazdu zbierałaś informacje na temat możliwości ucieczki; co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

Juliet uśmiechnęła się czule do męża; podobało jej się to, że Ross jest otwarty na propozycje, co charakteryzuje tylko silnych mężczyzn.

– Najpierw powinniśmy wysłać Saleha i Rezę do Persji. Za kilka dni do Teheranu wyrusza duża karawana. Zostaniemy tylko ty, Murad i ja.

Ross kiwał głową, domyślając się, do czego żona zmierza.

– A z całej grupy nasza trójka jest najsilniejsza. Zapewne uważasz, że powinniśmy wynająć turkmeńskie konie i pognać na zachód. Myślałem o tym i zgadzam się, że być może jest to nasza największa szansa, niemniej ryzyko jest też ogromne. Nawet wiosną przejście Kara–Kum było kłopotliwe: latem upał jest zabójczy, no i nie zapominaj, że przynajmniej przez część drogi będziemy ścigani.

– Ty zaś nie zapominaj, że Turkmeni szwendają się po pustyni od czasów Czyngis–chana. My też damy sobie radę, jeśli tylko będziemy jechać szybko i bez zbędnego bagażu. – Juliet pochyliła się, wymachując przy tym wymownie rękoma. – Do Buchary przybyliśmy głównym szlakiem, ale istnieje też inna droga, prowadząca na południe do Mary i Rafitaku. Jeśli ją wybierzemy, raczej nikt za nami nie podąży, a poza tym będziemy mieli mniejsze szanse na spotkanie się z Turkmenami.

– Ta droga jest dlatego mniej używana, że wzdłuż niej prawie w ogóle nie ma studni z wodą – zauważył Ross. – Bez dobrego przewodnika pewnie nie uda nam się ich odnaleźć. Wprawdzie konie poruszają się szybciej od wielbłądów, ale potrzebują więcej wody, a przecież nie zdołamy zabrać jej ze sobą tyle, żeby starczyło nam na setki mil.

– Murad nigdy nie szedł tym szlakiem, ale przez ostatnie tygodnie rozmawiał z ludźmi, którzy go znają. Ze szczegółami opisali mu miejsca, w



których znajdują się studnie.

Ross skrzywił się i oparł o ścianę.

– Murad ma dobre intencje, ale zgubił się nawet w Persji, choć twierdził wcześniej, że zna ją jak własną kieszeń. Chcesz mu zawierzyć swoje życie?

– Tak, ponieważ uważam, że to nasza jedyna szansa – odparła Juliet. – Pustynia rozciąga się w każdym kierunku, ale nie możemy iść na wschód lub południe z powodu walk wokół Kokandu i Heratu. Kierunek północny na Chiwę byłby lepszy, ale w końcu i tak musielibyśmy przejść przez Karakum. Jeśli udamy się na zachód, naszym zadaniem będzie tylko dotarcie do Serevanu, co zajmie nam pięć lub sześć dni ostrej jazdy.

– Nie wykluczam takiego wariantu, wątpię jednak w powodzenie. – Ross przeciągnął dłonią po złotych włosach. Jego twarz wyrażała z troską. – Jestem gotów podjąć to ryzyko, ale nie podoba mi się, że ty i Murad będziecie niepotrzebnie narażać życie. Może Murad narysuje mi mapę i pojedę sam.

– W trójkę będziemy mieli większe szanse. – Juliet ponownie się schyliła. Twarz miała zaróżowioną z przejęcia. – Już raz o tym dyskutowaliśmy. Murad jest świadom zagrożeń, a mimo to chce zaryzykować. Co do mnie, to zapamiętaj sobie, Ross, że za nic na świecie nie pozwolę ci przejść pustyni beze mnie.

Milczał przez chwilę, wyraźnie zaskoczony słowami żony. Potem uśmiechnął się i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Jesteś niesamowitą kobietą. Wygląda na to, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zaakceptować twój plan.

– Tak jest, *ferengi*.

Powważając, Ross sięgnął do kieszeni surduta po mały złożony kawałek papieru, po czym podał go żonie.

– Napisałem to dzisiaj. Prawdopodobnie nigdy się nie przyda, ale pomyślałem, że powinnaś to mieć.

Juliet patrzyła na kartkę podejrzliwie. Była zapieczętowana laską, z odciskiem pierścienia Rossa.

– Co to jest? Twoja ostatnia wola i testament?

– Nie, te zostały w Anglii, takie sprawy porządkuję przed każdym wyjazdem z kraju. Choć, skoro już poruszyliśmy ten temat, dochód masz za-

pewniony do końca życia – dodał bezbarwnym głosem. – To, co ci teraz daję, to oświadczenie, w którym przyznaję się do bycia ojcem dziecka, które być może urodzisz.

– To pismo będzie miało znaczenie tylko wtedy, jeśli ty zginiesz, a ja przeżyję i urodzę to dziecko – powiedziała głosem pełnym napięcia. – A to mało prawdopodobne.

– Zgoda. Ale to nie znaczy, że nie powinienem zabezpieczyć cię na taką ewentualność. W grę wchodzi spory majątek; gdybyśmy doczekali się syna, zostanie on przyszłym księciem Windermere. Zresztą, córka też odziedziczyłaby po mnie pokaźny spadek. Ponieważ od lat żyliśmy w separacji, sama tylko wiadomość, że pozostawiłem po sobie legalnego spadkobiercę, spotkałaby się zapewne z powątpiewaniem, a może nawet któryś dziedziczący po mnie krewny wytoczyłby ci sprawę. Nie chcę, żebyś coś takiego przechodziła.

Drżące palce Juliet zamknęły się nerwowo na kawałku papieru. Nasz syn, nasza córka, powtarzała w duchu.

– Myślisz o wszystkim. – W jej głosie zabrzmiała nuta gorzkości. – Ale czy pomyślałeś o tym, że mogę mieć dziecko i nie chcieć go oddać?

– Nie sugeruję, że masz je oddawać, chcę tylko zadbać o to, żeby mój potomek dostał to, co mu się prawnie należy. – Głos Rossa stał się ostrzejszy. – To prawdopodobnie jedyna moja szansa na dziecko. Jeśli za kilka dni emir postanowi skrócić mnie o głowę, pragnę umierać ze świadomością, że być może pozostawiłem po sobie coś znaczącego.

Juliet nie miała pojęcia, że mężowi tak zależało na dziecku. Do tej pory nie miała odwagi o to pytać.

– Nie martw się. Jeśli to... o czym rozmawiamy, się wydarzy, możesz wierzyć, że uczynię wszystko co w mojej mocy, aby zapewnić twojemu dziecku taką przyszłość, jaką sam chciałbyś mu zapewnić.

– Ufam ci. – Ross wziął żonę za rękę i ich palce się splotły. – Staram się tylko jak najbardziej to wszystko uprościć.

Jeśli Ross zginie, już nic nigdy nie będzie proste. Juliet zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy; już raz tego dnia płakała i to wystarczy. Była wdzięczna losowi, że zanim się odezwała, rozległo się pukanie do drzwi.

Tym razem służący zaprosił lorda Kilburna na obiad. Ross wymamrotał

na to pod nosem kilka brzydkich słów.

– Jestem już trochę zmęczony towarzystwem naszego gospodarza, ale przypuszczam, że nic na to nie można zaradzić. – Podnosząc głos, upewnił się, czy służący pamięta o kąpeli, i kazał mu przynieść gorącą wodę.

Po umyciu się poszedł do Abdula Samut Khana, Juliet zaś, korzystając z okazji, wskoczyła do balii. Moczyła się w niej przez dłuższy czas, traktując to jako antidotum na stres. Potem, czysta i sucha, usiadła przy stole i krok po kroku jeszcze raz przemyślała plan ucieczki, notując sprawy, którym należało poświęcić więcej uwagi.

Wreszcie Ross wrócił. Juliet nie wiedziała, czego ma oczekiwać po mężu. Ponieważ ostatnimi dniami albo się kochali, albo kłócili, wieczór mógł się zakończyć różnie. Ale Ross wszystko uprościł, bo ziewnąwszy, wyciągnął do niej dłoń i powiedział: – Już późno, Juliet. Chodźmy spać.

Złapała go za rękę i poszła za nim, jakby robiła to codziennie.

W pięć dni po brzemiennym skutku audiencji u emira Juliet umówiła się na spotkanie z Muhammadem i Hussajnem Kasemami. Mając świadomość, że idąc do domu Kasemów w stroju Tuarega, wzbudziłaby podejrzliwość wszechobecnych w Bucharze szpiegów, posłała Kasemom wiadomość, że odwiedzi ich sklep z tkaninami, w którym będzie mogła wtopić się w tłum klientów.

Kiedy już znalazła się w ciemnym wnętrzu sklepu, Hussajn podszedł do niej, jakby była zwykłym kupującym, ale zaraz, pod pretekstem, że chce pokazać jej nowe dostawy, zaprowadził ją na tyły budynku. Sklep składał się z labiryntu pokoi, a w każdym piętrzyły się bele materiałów mieniących się wszystkimi kolorami tęczy. Przesuwając ostatnią haftowaną zasłonę, Hussajn wprowadził Juliet do wyłożonego grubym dywanem pokoju, w którym obok samowaru siedział po turecku jego ojciec.

Kasem, nie spiesząc się, poczęstował gości herbatą i imbirowymi ciasteczkami, składając wszystkim życzenia dobrego zdrowia.

– Słyszałem, że Kilburn jest teraz zakładnikiem Abdula Sarnin Khana – powiedział Muhammad po zadośćuczynieniu etykietce. – Martwi mnie to, bo tak samo postępowano z brytyjskim oficerem, Cameronem, na krótko przedtem jak został posłany do Czarnej Studni.

– Dobrze słyszałeś. – Juliet ostrożnie odstawiła na podłogę delikatną porcelanową filiżankę. – Kilburn uznał, że emir nie pozwoli mu opuścić Buchary, musimy więc uciec. Przysłał mnie, żebym błagał was o pomoc.

– Nie ma potrzeby błagać, bo to dla nas zaszczyt, że będziemy mogli go wesprzeć – oświadczył Muhammad. – Co możemy dla was zrobić?

– Ucieczka z domu nayeba nie stanowi problemu, gorzej z opuszczeniem miasta, bo bramy są nieustannie strzeżone. Poza tym będziemy potrzebować przyzwyczajonych do pustynnych warunków turkmeńskich koni, których zapewne nie da się kupić w Bucharze. – Juliet wyciągnęła małą skórzaną sakiewkę, w której pobrzękiwały złote monety. Położyła ją obok samowaru. – Musimy mieć trzy konie. Oczywiście Kilburn za nie zapłaci, bo to drogie wierzchowce.

– Nie wypada mi przyjąć pieniędzy od człowieka, który uratował życie mojemu ojcu – rzekł Hussajn, odsuwając sakiewkę. Rozmyślając nad czymś, gładził się po brodzie. – Nie powinno być problemu z opuszczeniem miasta, jeśli dołączycie do karawany, bo w takim tłumie strażnicy interesują się bardziej sprawdzaniem towaru niż ludzi. Jeśli zdołacie wymknąć się z domu nayeba tej nocy, kiedy wyrusza nasz transport, będziecie mogli do nas dołączyć. Wtedy bezpiecznie wydostaniecie się na zewnątrz. Najlepiej byłoby, gdybyście opuścili miasto wschodnią bramą, bo ta znajduje się najbliżej naszej wiejskiej posiadłości, gdzie będą czekać na was konie i zapasy.

Na taką właśnie deklarację liczyła Juliet.

–Wspaniale. – Pochyliła głowę w podziękowaniu. – Czy znacie już termin wymarszu karawany?

Po naradzie Kasemowie wymienili kilka możliwych dat. Potem rozmowa przeszła na inne aspekty ucieczki. Kiedy już omówili wszystko, co tylko przyszło im na myśl, Juliet wstała z zamiarem wyjścia.

–Mówisz po persku o wiele lepiej, niż to pokazywałeś w czasie przeprawy przez Kara-Kum, Jalal – zauważył przebiegle Hussajn. – Naprawdę jesteś Tuaregiem?

Zastanowiła się nad odpowiedzią. Szukała wyjaśnienia, które zawierałoby jak najwięcej prawdy.

– Nie, panie, to tylko przebranie. Ja także jestem *ferengi*. Od wielu lat... służę Kilburnowi i nie dopuściłbym, żeby podjął się tak niebezpiecznej misji beze mnie.

– Rozumiem – mruknął Hussajn. – Kilburn ma szczęście, posiadając tak oddanego sługę. Ale to mnie wcale nie dziwi, bo jest człowiekiem, który inspiruje do lojalności. Niech Bóg czuwa nad wami, w waszej drodze powrotnej do domu.

Juliet pokłoniła się na pożegnanie i, przyklaskując w duchu życzeniom handlarza, opuściła sklep Kasemów.

Czekanie męczyło, zwłaszcza Rossa, którego jedynym zajęciem było zachowywać się tak, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Juliet, dzięki temu, że mogła bez ograniczeń opuszczać rezydencję, nie narzekała na brak zajęć. Po rozmowie z Kasemami, korzystając z obszerności tuareskiego stro-

ju, przemyciła pod nim do domu nayebya różne przedmioty potrzebne do ucieczki. W ten sam sposób wyniosła na zewnątrz wszystko, co jej mąż postanowił ocalić. Poza złotem, bronią i czapką od Dil Assy, zależało mu jeszcze tylko na dziennikach, w których notował swoje spostrzeżenia na temat Turkiestanu i jego mieszkańców; jednak nie było w nich nawet słowa na temat o wiele ciekawszy – jego życia osobistego.

Ross znosił jakoś swoje więzienie wyłącznie dzięki dwóm rzeczom. Pierwsza i najistotniejsza to noce spędzane z Juliet, namiętne i przynoszące spełnienie, o jakim nawet nie marzył. Choć widmo śmierci nieustannie nad nimi wisiało, nigdy w życiu nie był szczęśliwszy. Przypuszczał nawet, że to właśnie zagrożenie życia sprawiało, iż chwile z żoną wydawały mu się tak cenne; było tak, jakby w tych zaczarowanych godzinach skumulowało się całe jego szczęście.

Niestety istniała między nimi niewidzialna bariera, trudniejsza do przejścia niż mury wokół rezydencji nayebya. Temat, który bali się poruszyć, dotyczył przede wszystkim przeszłości, ale wiązał się też z przyszłością – poza tym żadne nie wspominało ani słowem o miłości.

Drugą rzeczą, która pozwalała Rossowi nie zanudzić się na śmierć, były wizyty jego przyjaciół. Przyjmował je z wdzięcznością, zwłaszcza że w mieście przepełnionym szpiegami odwiedziny u osoby, która utraciła łaskę emira, wymagały odwagi. W pokoju, gdzie przyjmował gości, stało zawsze dwóch lub trzech strażników, a ci nieustannie wtrącali się do rozmów. Na dodatek musiały być one prowadzone w języku perskim, żeby nadzorcy mogli je rozumieć.

Ross przekonał się, że dzięki znajomości uzbeckiego mógł, podsłuchując strażników, zebrać sporo interesujących informacji. Dowiedział się na przykład, że strażnicy założyli się o to, czy lord Kilburn zostanie stracony od razu, czy najpierw emir wtrąci go do Czarnej Studni, a jeśli tak, to jak długo uda mu się w niej przetrwać.

Nikt się nie zakładał o to, czy *ferengi* opuści Bucharę żywy.

Od spotkania z Kasemami minęły trzy dni. Juliet jak zwykle wyszła na miasto, a Ross spędzał popołudnie, grając w szachy z pewnym armeńskim handlarzem, który wytwornym zachowaniem maskował żarliwe pragnienie pokonania przeciwnika w „grze królów”. Ów Armeńczyk pierwszą wizytę

złożył Rossowi pod pretekstem chęci odwiedzenia drugiego chrześcijanina. Ponieważ przypadli sobie do gustu, handlarz zjawiał się u *ferengi* często. Ross właśnie się z nim żegnał, gdy przyszli nowi goście.

Przybysze należeli do śmietanki lokalnej społeczności żydowskiej; był między nimi Ephraim ben Abraham, którego Ross poznał w czasie poprzedniej wizyty w Bucharze. To wtedy Ephraim poprosił Rossa, aby zawiózł do Anglii list do Mosesa Montefiore'a, finansisty i filantropa, którego sława dotarła nawet do Turkiestanu. Montefiore odpowiedział na list i po ośmiu latach obie strony nadal utrzymywały ze sobą okazjonalny kontakt.

Kiedy Ross po raz drugi pojawił się w Bucharze, Ephraim ben Abraham zaprosił go do swojego domu. Podziękował mu za umożliwienie nawiązania kontaktu z Londynem, a następnie zapytał o najświeższe wieści dotyczące brytyjskiego filantropa. Ross opowiedział o tym, jak to Montefiore, pomimo sprzeciwu niektórych ministrów, otrzymał od królowej angielskiej tytuł szlachecki. Młoda królowa oświadczyła, że Brytyjczyk to Brytyjczyk, bez względu na wyznawaną religię. Jej decyzja spotkała się z wielką aprobatą w Bucharze.

Teraz, gdy zakazano mu opuszczać rezydencję nayeby, przyjaciele przychodzili do niego.

– Szacowny lordzie Kilburn – zaczął Ephraim ben Abraham po zwyczajowych zawiłych powitaniach i po wypiciu ceremonialnej różanej herbaty – przychodzę do ciebie z wielką prośbą. Ponieważ masz przepiękny głos, zechciej zaśpiewać z nami jedną z naszych hebrajskich pieśni.

Ross popatrzył na gościa ze zdziwieniem. Znał hebrajski, bo w dzieciństwie namówił lokalnego wikarego, żeby dawał mu lekcje tego wschodniego języka – jedyne, którego mógł się nauczyć na pustkowiu Norfolk. Jednak, choć znajomość hebrajskiego zdobyła mu przychylność Żydów z Buchary, jeszcze nigdy dla nich nie śpiewał. Ale lubił to robić, a jako dziecko brał nawet udział w próbach chóru. Zabrał się więc do odśpiewania swojego ulubionego psalmu.

Jako dowódca straży yawer Shahid Mahmud nie musiał, tak jak pozostali strażnicy, pilnować gościa, ale i tak codziennie zatrzymywał się na godzinę lub dwie w pokoju audiencyjnym *ferengi*, żeby przyglądać się Rossowi z nienawiścią. Teraz też był obecny. Rozmawiał z podwładnym w drugim

krańcu pokoju. Po wysłuchaniu kilku zwrotek psalmu, przerwał rozmowę i uniósł rękę.

– Co tam gadasz, *ferengi*? – zapytał podejrzliwie.

Ross przetłumaczył słowa, zaczynając od „Siedzieliśmy i płakaliśmy nad rzekami Babilonu, bo nie zapomnieliśmy Syjonu”. Gdy dotarł do „Jak możemy śpiewać pieśni Panu w obcej krainie?”, Shahid stracił zainteresowanie. Prychnąwszy, odwrócił się i na nowo wszczął dyskusję z podwładnym.

Ross rozpoczął zwrotkę od nowa. Docierając do połowy pieśni, gardło miał zaciśnięte, bo słowa o wygnaniu, o którym opowiadał psalm, były bardzo bliskie jego sercu. Żałował, że nie wybrał innego.

Kiedy skończył, w pokoju zaległa głęboka, pełna szacunku cisza.

–Wielkie dzięki, szacowny Kilburnie – odezwał się w końcu Ephraim. – A teraz nauczę cię hymnu Żydów z Turkiestanu. Ja zaśpiewam zwrotkę, a moi przyjaciele będą śpiewać refren. Słowa są proste, więc szybko je zapamiętasz.

Ross mógł już po pierwszych frazach dołączyć do śpiewających. Tak jak zapowiedział Ephraim, pieśń była prosta i przypominała modlitwę dziękczynną. Uzbegy, obrzuciwszy gości i *ferengi* znudzonymi spojrzeniami, już więcej nie zwracali na nich uwagi.

Po zakończeniu hymnu Ephraim popatrzył promiennie na swojego gospodarza.

–Wspaniale. A teraz zaśpiewamy inną, nieco trudniejszą pieśń. Jeśli nie zrozumiesz słów, powiedz, a my je powtórzymy. – Na twarzy Żyda pojawił się wyraz napięcia. – Rozumiesz mnie, lordzie?

Ross, coraz bardziej zaintrygowany, pokiwał głową. Ephraim rozpoczął żałosnym, zawodzącym głosem.

–Właśnie się dowiedziałem, że w Czarnej Studni zamknięci byli nie jeden, a dwaj Europejczycy, choć ani jeden, ani drugi nie popełnili żadnej zbrodni.

Dwóch znajomych Ephraima zaintonowało:

– „On jest najpotężniejszym z potężnych”.

– Jeden z nich to twój brat – śpiewał Ephraim. – Drugi był rosyjskim oficerem.

Ross znieruchomiał, wpatrywał się ze zdumieniem w swoich gości, zbyt



zszokowany, by wraz z resztą odśpiewać następujący po zwrotce refren.

Spoglądając mu prosto w oczy, Ephraim kontynuował:

– Jeden z więźniów został stracony, niech spoczywa w spokoju, choć wcześniej zdołał jeszcze zapewnić, że nie wyrzekł się swojej wiary.

Reszta mężczyzn zgodnym chórem zaśpiewała:

– „On jest błogosławiony między błogosławionymi”.

Serce Rossa zaczęło bić mocno, bo zdał sobie sprawę, że to nie pieśń, ale odważna próba przekazania mu informacji tuż pod nosem strażników. Szokujących informacji.

– Drugi więzień nadal umiera za życia w Czarnej Studni – śpiewał Ephraim. – Nikt jednak nie zna jego imienia.

Ross, który dłużej nie mógł już tego słuchać przerwał nerwowo:

– Wybaczcie, ale nie zrozumiałem ostatnich słów. Czy brzmiały tak: Nie wiecie, kto żyje, a kto zginął?

– Niestety, nie wiemy – odpowiedział ze smutkiem Ephraim. – Świadkowie, którzy znali obu więźniów i widzieli egzekucję, nie potrafią dojść, kto został stracony.

– „On jest największy z największych” – odśpiewało refren dwóch pozostałych mężczyzn.

Ross zadał następne pytanie:

– Ale ten, który przeżył, nadal znajduje się w Czarnej Studni?

– Wiemy, że żyje, i nic ponad to.

Ross z trudem przełknął ślinę.

– A więc mój brat może nadal pozostawać między żywymi – zaśpiewał, kiedy przebrzmiał refren.

– Tak, choć może już go nie być na tej ziemi. Wiem tylko, że w Czarnej Studni marnieje jakiś Europejczyk – odpowiedział Ephraim.

– „On jest królem królów” – dośpiewali jego przyjaciele.

– Ciężko nam przekazywać ci tę wiadomość, ale brat ma prawo wiedzieć o losie brata – zakończył ze współczuciem Ephraim.

Ross aż palił się, żeby pytać dalej, choć wiedział, że nie ma to sensu, bo Ephraim zaznaczył już przecież, że nie wie nic więcej. Zanim zdążył się zastanowić, co powiedzieć, do pokoju wszedł Abdul Samut Khan.

Ephraim natychmiast przywołał na twarz mdły uśmiech.

– Szacowny Kilburnie, bardzo cię proszę, opowiedz nam jeszcze raz historię o kurczaku sir Mosesa Montefiore'a.

– Lordzie Kilburn, zapraszam pana na wczesny obiad. – Odwróciwszy się do gości swojego gościa, nayeab dodał: – Oczywiście, panowie, także jesteście mile widziani.

Zaproszenie było wyłącznie grzecznościowe i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

–To dla nas wielki zaszczyt, Abdulu Samut Khanie – odparł, podnosząc się, Ephraim. – Niestety nasza wiara każe nam odmówić. Poza tym czas, abyśmy się pożegnali.

Ross także wstał.

– Dziękuję wam za wasze pieśni – powiedział cicho, potrząsając ręką przyjaciela. – Zachowam je w sercu na zawsze.

– Tak jak my twoje – odparł Ephraim. – *Shalom*, bracie Kilburn.

Wyszli, a Ross wiedział, że raczej już nigdy nie zobaczy ponownie trójki żydowskich przyjaciół, bo za kilka dni albo ucieknie z Bucharj, albo nie będzie już żył. Na widok niecierpliwego gestu gospodarza skupił się na tym, co w tej chwili było istotne. Zajmie mu trochę czasu, zanim dotrą do niego implikacje tego, czego się przed chwilą dowiedział, jednak na razie musi powrócić do roli uprzejmego gościa.

Pomimo początkowego pośpiechu nayeaba, obiad minął im w leniwej atmosferze. Kiedy skończyli, Abdul Samut Khan kazał przynieść nargilę, fajkę wodną. Publiczne palenie było zakazane, ale nie we własnym domu, i nayeab często oddawał się temu nawykowi. Przyniesiona przez służbę nargila była jednym z piękniejszych okazów; kryształowa, kunsztownie rzeźbiona.

Woda cicho w niej bulgotała, kiedy nayeab zaciągał się dymem z giętkiej rurki. Westchnąwszy z zadowolenia, podał ją Rossowi wraz z ustnikiem z kości słoniowej.

–Proszę do mnie dołączyć.

Ross nie przepadał za paleniem, ale na szczęście fajka wodna ochładzała wciągany w płuca dym, dzięki czemu jego smak nie był tak nieznośny.

–Czy miał pan czas, lordzie, przemyśleć sprawy, o których rozmawialiśmy kilka dni temu? – zapytał gospodarz, kiedy Ross odjął rurkę od ust.

Wyglądało na to, że Abdul Samut Khan nadal żywił nadzieję, iż uda mu

się zyskać jakąś korzyść ze swojego gościa.

– Przemyslałem je dokładnie i moja odpowiedź się nie zmieniła. – Ross oddał nayebowi rurkę. – Nie posiadam wymaganego złota ani też nie chcę sprzeciwiać się woli emira. Niech się dzieje, co ma się dziać.

Twarz Naycbab stężała.

– Yawer Shahid Mahmud pozostanie tu nadal, żeby pana pilnować. Oczywiście jest bardzo zawiedziony, że nie pójdzie z nami na wojnę, ale pańska ranga, lordzie, domaga się, żeby był pan strzeżony przez oficera. – Abdul Samut Khan zniżył nagle głos. – Choć trzymam go w swoim domu, Shahid służy przede wszystkim emirowi, i nie wiem, co zrobi, kiedy wieści z wojny nie będą pomyślne.

Innymi słowy, jeśli emir poniesie klęskę, Shahid może postanowić zabić więźnia. Ross ponownie przyjął od gospodarza rurkę od nargili i zaciągnął się żółtawym dymem, który następnie wolno wypuścił ustami. Słowa nayeby były mało subtelną groźbą, która miała zmusić Anglika do ustępstw. Dobrze trafił; gdyby Ross miał wybierać między Shahidem a Abdulem Samut Khanem, wybrałby nayeby, bo ten prawdopodobnie wypełniłby swoje przyrzeczenia, gdyby otrzymał okup. Na szczęście Ross miał w zanadrzu jeszcze inne wyjście.

– Doceniam pańską troskę, ale z pańskim talentem wojskowym Buchara z pewnością wygra.

– Zręcznie pan przemawia, lordzie Kilburn. – Nayeby uśmiechnął się niechętnie. – Nie umiem stwierdzić, czy jest pan naiwny, czy raczej przebiegły. Ale dosyć tych ponurych rozmów. Przechodząc do przyjemniejszych spraw, powiem panu, że mam zamiar w wieczór przed wymarszem wojsk wydać u siebie małe przyjęcie. Odbędzie się ono w moich ogrodach. Będą muzyki i tańce: wystąpią perskie tancerki, o wiele bardziej utalentowane od tych z Turkiestanu. Wyprawa na wojnę to być może wyprawa na spotkanie ze śmiercią, dlatego wcześniej należy uczcić samo życie. Jak to powiedział wielki perski poeta Omar Khayyama: „Korzystaj z tego, co masz, zanim zamienisz się w pył”. Słuszna rada, nie uważa pan?

Słyszając ten sam urywek, który zacytowała Juliet, Ross się uśmiechnął. W sprawie korzystania z uciech życia on i jego gospodarz zgadzali się ze sobą całkowicie.

Kiedy Ross wrócił z obiadu, Juliet zaczekała, aż zarygluje on drzwi, potem ściągnęła tagelmoust i uściskała męża.

– To był owocny dzień – mruknęła, obejmując ramionami szeroką pierś Rossa. Nigdy nie miała dość dotykania go. – Opuściłam miasto bez żadnych problemów, a strzelby i amunicję znalazłam tam, gdzie zostawiliśmy. Teraz wszystko jest już ukryte w posiadłości Kasema i czeka na nas. Za dwa dni Saleh i Reza opuszczą Persję, a za następne trzy my także wyruszymy w drogę do domu.

Ross nic nie powiedział, tylko zanurzając twarz w jej włosach, mocno tulił do siebie żonę. Juliet ściągnęła brwi.

– Czy coś się stało?

– Obawiam się, że tak. – Puścił żonę i zdjął surdut. – I sam nie wiem, czy to coś dobrego, czy złego.

Zaintrygowana, ale nie przestraszona, Juliet poszła za mężem, który zniknął w sypialni. Podniósłszy grzebień, przysiadła na jedwabnej poduszce.

–A więc nie może to być aż tak złe. Powiedz, o co chodzi.

Ross ściągnął fular, potem ze znużeniem potarł dłonią kark.

–Odwiedzili mnie dzisiaj Ephraim i jego dwaj przyjaciele. Powiedzieli mi, że w Czarnej Studni uwięzionych zostało dwóch Europejczyków. Jednym z nich był Ian, drugim jakiś rosyjski oficer. Stracono jednego. – Ross nabrał głęboko powietrza. – Najgorsze jest to, że nie wiadomo, którego.

Juliet pobladła.

–A więc jest możliwe, że Ian żyje, choć nie możemy być tego pewni?

Od tygodni nosiła w sercu żalobę po bracie; wieść, że prawdopodobnie Ian żyje, wywołała w niej taki sam szok, jak informacja o jego śmierci. A nawet większy z powodu niepewności, którą ze sobą niosła.

–Od początku uważałam – mówiła – że ten *ferengi*, który przeżegnał się przed śmiercią, nie mógł być Ianem. Taki gest bardziej pasuje do kogoś, kto należał do Kościoła ortodoksyjnego.

Spojrzenie Rossa wyrażało współczucie, ale nie zamierzał on wzbudzać w żonie złudnych nadziei.

–Może i masz rację, jednak musimy pamiętać, że ostatnio emir był w lep-

szych stosunkach z Rosją niż z Anglią. Bardziej prawdopodobne, że kazał stracić Brytyjczyka.

Juliet zadała pytanie, które samo się nasuwało:

– Dobrze, ale dlaczego emir twierdził, że kazał zabić Iana, skoro to może nie jest prawdą!?

– Nie mam pojęcia. Może z powodów politycznych, a może z czystej perfidii.

Juliet uniosła zaciśniętą pięść do ust i wbiła się zębami w knykcie. Potem przez dłuższą chwilę stała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Kiedy ponownie je otworzyła, w jej twardym spojrzeniu była determinacja.

– Co więc zrobimy, skoro już wiemy, że być może Ian żyje?

Ross skrzywił się i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Wątpię, żebyśmy mogli coś zrobić.

– Musimy spróbować go uratować.

Ross spojrział na nią kpiąco.

– Innymi słowy, chcesz, żebyśmy po ucieczce z domu nayeba dostali się do strzeżonego przez wielu żołnierzy więzienia, wyciągnęli z głębokiego lochu człowieka, który prawdopodobnie jest już wrakiem, wyprowadzili go po kryjomu z miasta, a potem przeprowadzili bezpiecznie przez Kara-Kum w najbardziej ryzykownej porze roku. I na dodatek tym człowiekiem może nie być Ian.

– Przybyliśmy tu, żeby spróbować go uratować – przypomniała z uporem Juliet. – Przecież nie odjedziemy ot tak, mając świadomość, że może nadal żyje.

Ross westchnął.

– Po raz wtóry wracamy do pytania, czy warto jest popełnić samobójstwo w dobrej sprawie. Wiesz przecież, co myślę na ten temat.

Juliet poczuła, że rośnie w niej gniew.

– To znaczy, że jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby podjąć się tego wyzwania, tak?

– Oczywiście, że jestem tchórzem – odparł natychmiast Ross. – Strach towarzyszy mi już od Konstantynopola, a przez ostatnie tygodnie po prostu trzęsę się jak galareta. Ale nie chodzi tu o lęk; chodzi o to, czy rzeczywiście jesteśmy w stanie cokolwiek zrobić.

– Wybacz mi – powiedziała ze skruczą. – Nie powinnam była tego mówić. Tylko nie mogę znieść myśli, że Ian znajduje się tak blisko nas i cierpi. Musimy coś z tym zrobić. – Przeciągnęła drżącą ręką po włosach. – Myślisz, że Abdul Samut Khan wie, kto znajduje się w Czarnej Studni? Jeśli tak, może go przekupisz, żeby wyznał nam prawdę.

– Jeśli wie, nie sądzę, żeby zechciał nam powiedzieć, inaczej już by coś na ten temat wspominał. – Ross miał ponurą minę. – W pewnym sensie nie ma znaczenia, czy więźniem jest Ian, czy Rosjanin. I tak pewnie nie zdołamy się dowiedzieć, kto siedzi w Czarnej Studni. – Przestał krążyć po pokoju i zatrzymał się tuż przed żoną. – Chcę ci zaproponować pewną transakcję.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Co ci chodzi po głowie?

– Musimy zdecydować, czy istnieją szanse na uratowanie więźnia. Jeśli uznamy, że to możliwe nie stuprocentowo, ale jednak możliwe, przyrzekam, że całym sercem zaangażuję się w akcję ratowniczą. – W głosie Rossa zadźwięczała stal. Spojrzał żonie prosto w oczy. – W zamian chcę twojej zgody, że nie podejmiemy tego samobójczego kroku, jeśli się okaże, że więzienie jest tak dobrze strzeżone, że nasza akcja nie miałaby szans na powodzenie. Po prostu opuścimy wtedy Bucharę, tak jak zaplanowaliśmy. Kiedy, i jeśli dotrzemy do Teheranu, skontaktujemy się z brytyjskimi oraz rosyjskimi władzami. Nacisk dyplomatyczny może działać więcej niż nasze heroiczne wyczyny.

Chyba że człowiek w Czarnej Studni do tej pory pożegna się już z życiem. Ale Ross miał rację; należało odrzucić emocje i popatrzeć na sytuację racjonalnie. Jest różnica między podejmowaniem ryzyka z nadzieją na choćby najmniejszy sukces a skazaniem się na pewną śmierć; muszą zdecydować, jaki sposób ratunku wybiorą. Niemniej...

– Kto zdecyduje, co jest możliwe?

– Obawiałem się, że o to zapytasz – rzekł Ross ze smutkiem. – Ponieważ dysponujemy niepełnymi informacjami, będziemy musieli je przedyskutować. Mam tylko nadzieję, że zachowasz zdrowy rozsądek. Inaczej znajdziemy się w sytuacji patowej; wątpię, żebyś zdołała sama, bez mojej pomocy, wdrzeć się do więzienia, a ja znowu nie opuszczę Bucharę bez ciebie.

Juliet uniosła brwi.

– Chyba wiesz, że nie należy liczyć na mój zdrowy rozsądek.  
– Powiedziałem, że mam nadzieję, a nie, że liczę. – Uśmiechnął się lekko.  
– Pamiętaj tylko, że im dłużej tu jesteśmy, w tym większe kłopoty się pakujemy.

– W takim razie nie mamy czasu do stracenia. Musimy znaleźć kogoś, kto zna więzienie; może brat Saleha albo Hussajn Kasem znają kogoś, kto odpowie na nasze pytania. I może warto porozmawiać jeszcze raz z Ephraimem ben Abrahamem.

– Jeśli będziesz chciała go odwiedzić, zabierz ze sobą Saleha – zasugerował Ross. – Ma uczciwą twarz, co zachęci Ephraima do rozmowy.

– Chcesz powiedzieć, że ja nie mam uczciwej twarzy?

– Jako Jalal nie masz żadnej. – Ross zaczął rozpinąć koszulę. – Zdajesz sobie sprawę, że nasze szanse dotarcia do Persji znacząco się zmniejszyły? Do dzisiaj uważałem, że najbardziej niebezpieczne będzie przejście przez Kara-Kum. Po odbiciu więźnia będziemy mogli mówić o wielkim szczęściu, jeśli choćby zdołamy minąć z nim bramy miasta.

Juliet się wzdrygnęła.

– Może nasi muzułmańscy przyjaciele mają rację i to, co ma się wydarzyć, jest już gdzieś zapisane. A może się mylą, i nie jest nigdzie zapisane. – Wstała i przeszła do męża, chcąc sama się zająć rozpinaniem mu koszuli. – Twój sługa powinien cię rozbierać, o panie – mruknęła, dotykając palcami ciepłej skóry na piersi męża.

Ross uśmiechnął się i wziął żonę za rękę, przyciskając ją przez chwilę do serca.

– Rzadko kiedy przypominasz oddanego sługę, ale lubię, kiedy tak jest.

Juliet poczuła przepływającą przez nią zniewalającą falę czułości. Pochyliła się i pocałowała męża w odsłoniętą szyję. Nie istnieje drugi taki mężczyzna jak Ross. Przyrzekła sobie, iż nie zabraknie jej odwagi, żeby powiedzieć mu, jak bardzo go kocha.

Informacje dotyczące więzienia pojawiły się niespodziewanie szybko. Następnego dnia już z samego rana Juliet odwiedziła Saleha i Murada. Reza bawił się na podwórku z kuzynem Saleha, więc mogli rozmawiać swobodnie. Bez wymieniania źródła opowiedziała, czego dowiedział się Ross.

Kiedy skończyła, Saleh zmarszczył czoło.

– To będzie trudne, ale na waszą korzyść przemawia fakt, że armia wkrótce opuszcza miasto. Wyjedzie tylu żołnierzy, że w pałacu i w więzieniu zapanuje chaos. Może nawet zabraknie strażników. Istnieją szanse, że uda się wam zrobić coś, co w innej sytuacji byłoby niemożliwe, ale najpierw trzeba zebrać jak najwięcej informacji o więzieniu.

– Miałam nadzieję, że może twój brat zna kogoś, kto w nim pracuje albo kogoś, kto zna jakiegoś człowieka stamtąd.

– Nie musisz szukać – odezwał się Murad, uprzedzając odpowiedź Saleha. – Znam taką osobę.

Popatrzyli na niego ze zdumieniem, a on tylko uśmiechnął się szeroko.

– Ma na imię Hafiz, a jego ojciec prowadzi na następnej ulicy sklep z jedwabiem. Poznaliśmy się w herbaciarni i szybko się zaprzyjaźniliśmy. Hafiz w dzień pracuje u ojca, a nocą w więzieniu, choć niezbyt mu się tam podoba. Chce zarobić pieniądze, żeby otworzyć własną herbaciarnię.

Saleh pogładził długą brodę.

– To doprawdy łaska boska, żeście się poznali.

Juliet z podekscytowania aż się pochyliła.

– Jeśli Hafiz nam pomoże, swoją herbaciarnię będzie miał o wiele szybciej. Czy można mu zaufać?

Murad się zamyślił. Przez ostatnie tygodnie Pers stał się jakby dojrzałszy. Nadal uśmiechał się chłopięco, ale teraz, zanim się odezwał, zawsze się zastanawiał. Juliet przypuszczała, że starał się naśladować Rossa.

– Tak – powiedział w końcu. – Uważam, że Hafiz jest uczciwym człowiekiem, a poza tym bardzo zależy mu na pieniądzach.

Saleh skinął głową z aprobatą.

– Pomyślna kombinacja.

– Czy mogę się z nim spotkać teraz? – zapytała Juliet.

– Pewnie jest w sklepie ojca. – Murad zerknął na Juliet. – Pragnie pani kupić od ojca Hafiza trochę jedwabiu, lady Kilburn? Myślę, że to dobre miejsce na takie zakupy.

Udali się więc razem po jedwab.

Juliet wróciła do rezydencji nayeba dopiero przed ogłoszeniem godziny



policyjnej. Wpadła do pokoju, ściągnęła tagelmoust, a jej twarz promieniała.

– Znasz arabskie słowo *baraka*? Oznacza ono łaskę albo moc bożą.

– Znam. – Ross, odetchnąwszy z ulgą, przywitał żonę pocałunkiem i przytulił. – Tak właśnie się czułem pod koniec meczu *buzkaszi*, jakby przepełniała mnie nadludzka moc.

Juliet opuściła na kanapę miękką paczkę owiniętą w tanią bawełnę.

– Cóż, *baraka* jest z nami.

– Czy to znaczy, że dowiedziałaś się czegoś pożytecznego? – Ross zerknął na pakunek. – Czy może raczej udały ci się zakupy na bazarze?

Niezrażona kpina, Juliet się uśmiechnęła.

–Rzeczywiście kupiłam sporo dość drogiego jedwabiu. Kompletna strata pieniędzy, ale musiałam go kupić, żeby uzyskać cenne informacje. Okazało się, że jakiś przyjaciel Murada pracuje w więzieniu. Dowiedziałam się od niego, że obowiązujące w nim procedury nie są zbyt rygorystyczne. Wygląda na to, że zdołamy tam wejść. Widziałam się też z Kasemem i Ephraimem ben Abrahamem.

Ross posadził żonę na otomanie, a następnie ściągnął jej buty i zaczął masować stopy. Były długie, szczupłe i zgrabne, jak ona cała.

– A więc masz za sobą pracowity dzień.

– Ach, cóż to za wspaniałe uczucie. – Juliet wzdychała z przyjemności i poruszała palcami u nóg. – Kiedy usłyszysz, czego jeszcze się dowiedziałam, nawet ty przyznasz, że mamy duże szanse na wydostanie Iana.

–To może nie być Ian – przypomniał Ross delikatnie. Juliet posmutniała. Zaraz jednak pokręciła głową, postanawiając, że na razie nie będzie myśleć o trudnych sprawach.

–W każdym małżeństwie przynajmniej jedno z małżonków powinno się zajmować martwieniem. W naszym tę rolę przejąłeś ty.

Lekko urażony, Ross przestał masować żonie stopy.

–Zawsze myślałem, że to, co nazywasz martwieniem, nie jest dowodem przesadnego pesymizmu, a raczej zdrowego rozsądku.

Juliet pocałowała go czule w usta.

–To także jest twoja dziedzina. – Zaczęła zdawać relację z tego, czego się dowiedziała.

Kiedy skończyła, Ross zgadzał się już, że prawdopodobnie zdołają wejść

do więzienia, a co ważniejsze, może nawet uda im się z niego wyjść – jeśli tylko wszystko przebiegnie pomyślnie.

Być może rzeczywiście dopisywało im *baraka*, ale kiedy zamiast poprzestać na stopach Ross zaczął masować inne, bardziej interesujące części ciała żony, na myśl nasuwało mu się powiedzenie wcale nie arabskie, a ironiczne motto rzymskich gladiatorów: *Nos morituri, te salutamus*. „My, którzy zaraz zginiemy, oddajemy ci honory”.

**K**iedy z nieba spadł deszcz srebrno–bursztynowych gwiazd, Abdul Samut Khan radośnie klepnął swojego gościa po plecach.

– Wspaniałe sztuczne ognie, prawda? Chiński inżynier, który je dla mnie przygotował, jest mistrzem w swoim fachu.

– Rzeczywiście – zgodził się Ross. – Pańskie przyjęcie na długo pozostanie gościom w pamięci.

Gdy rozwiął się dym po fajerwerkach, służba zapaliła lampy i pochodnie. Zapowiedź nayeby, że wydaje tylko małe przyjęcie dla przyjaciół, okazała się dużym niedopowiedzeniem, ponieważ w rezydencji pojawiło się co najmniej kilkuset gości, w tym wielu oficerów. Mimo że już następnego dnia przy wtórze werbli i salw armatnich wojsko miało wyruszyć na Kokand, tego wieczoru, który wypełniało radosne podniecenie zabawą, nikt jeszcze o tym nie myślał.

Serwowano góry jedzenia, a Ross wyczuł nawet w powietrzu zapach haszyszu. Jednak z powodu braku alkoholu goście zachowywali się o wiele bardziej stosownie, niż gdyby przyjęcie odbywało się w którymś z krajów europejskich. W jednym z rogów ogrodu jakiś bazarz opowiadał słynne baśnie o Hodży Nasreddinie, a w drugim mimowicie przedstawiali improwizowane scenki.

Oczywiście na przyjęciu nie było kobiet, poza Juliet, która obserwując gości, przycupnęła gdzieś w cieniu. Co do kobiet z haremu nayeby, Ross domyślał się, że przyglądają się one temu, co się dzieje w ogrodzie, tyle że przez osłonięte kotarami okna.

– A teraz czas na tańce – oznajmił podekscytowany Abdul Samut Khan. – Usiądziesz, lordzie, w pierwszym rzędzie tuż przy mnie. – Nayeby przez cały wieczór nie odstępował swojego gościa. Oczywiście był to wyraz szacunku, choć zarazem dobry sposób na przypilnowanie *ferengi*, żeby ten nie wykorzystał zamieszania do ucieczki. Yawer Shahid Mahmud także cały czas trzymał się w pobliżu.

– Mimo że wyruszam już jutro z samego rana – mruknął nayeby, kiedy przedzierali się przez tłum wytwornych gości – nie jest jeszcze za późno na

zmianę zdania w sprawie ucieczki. Błagam cię, lordzie Kilburn, posłuchaj mnie, bo jeśli wyjadę, nie będę mógł zapewnić ci bezpieczeństwa. Dzisiejsza noc to doskonała okazja do wymknięcia się z Bucharu.

Nayeb zachowywał się co najmniej natarczywie, niemniej Ross w odpowiedzi uśmiechał się do niego uprzejmie.

– To miłe, że tak się pan o mnie martwi, ale to przecież nie ja wybieram się na wojnę, tylko pan. Zatem panu grozi większe niebezpieczeństwo.

Abdul Samut Khan skrzywił usta.

– Widziałem się dzisiaj z emirem, który powiedział, że nie będzie pan mógł więcej przyjmować gości. Nie chce, żeby podczas jego nieobecności dopuścił się pan jakiejś zdrady.

– Rozumiem. – Mało brakowało, a Ross potknąłby się o żółwia z małą lampką przytwierdzoną do skorupy. Kilku jego tak samo udekorowanych braci krążyło po spokojniejszej części ogrodu, oświetlając lampkami ukwiecone klomby. Pochylił się i ostrożnie przeniósł go w bezpieczniejsze miejsce.  
– Czy mam nie ruszać się z pokoju?

Nastąpiła chwila ciszy, gdy nayeb zastanawiał się, czy warto aż tak bardzo ograniczać więźnia.

– Emir sobie tego życzył, ale wstawiłem się za panem i przekonałem go, żeby pozwolił panu poruszać się po całej rezydencji. Oczywiście w towarzystwie strażnika.

– Oczywiście.

Dotarli do obwiedzonego linami placu, na którym miały się odbyć występy. Ze stojącego w rogu namiotu, w którym oczekiwały tancerki, dochodziły piski i wybuchy śmiechu. Muzycy już grali; powietrze przeszywały dźwięki fletów i bębnów oraz instrumentów strunowych, których Ross nie potrafił nawet nazwać. Płynęła namiętna, tęskna melodia.

Abdul Samut Khan zaprowadził Rossa do rogu tanecznego podestu, gdzie na wyłożonym dywanami i poduchami podium znajdowały się miejsca dla ważniejszych gości. Pozostałe trzy rogi zajmowała reszta widzów. Ross przekonał się, że Juliet stoi dokładnie naprzeciwko niego. Milcząca i z zasłoniętą twarzą wyglądała jak upiór. Przypominała też o tym, że już wkrótce cała ta wesołość się skończy.

Ross miał nadzieję, że mimo wszystko za swoim tagelmoustem jego

żona naprawdę dobrze się bawi. Bo też przyjęcie było niczego sobie, jeśli tylko choć na chwilę zapomniało się, że ta noc mogła być ostatnią spędzoną wspólnie. Już za dwadzieścia cztery godziny dojdzie do niebezpiecznej próby ucieczki; jeśli coś się nie powiedzie, mogą nie dożyć świtu. Ross oderwał wzrok od żony, czując nagłe pragnienie, by znaleźć się z nią sam na sam. Postanowił, że obejrzy tylko kilka występów, a potem jakoś się wytłumaczy i wróci do pokoju.

Nagle rozległy się okrzyki zachwytu, bo na podeście pojawiło się pół tuzina wirujących tancerek, które pobrzękiwały trzymanymi w dłoniach dzwoneczkami. Zazwyczaj na takich przyjęciach występują tancerze, ale u nayeby tańczyły kobiety, i poruszały się tak, żeby przykuć uwagę mężczyzn. Ich złote ciała osłaniały skąpe wielobarwne kostiumy. Twarze miały zasłonięte. Tyle że woalki były półprzezroczyste. Takie ledwo widoczne oblicze przez wschodnią widownię uważane jest za równie prowokacyjne, jak przez europejską odsłonięte piersi.

Pierwszy taniec był wolny, każdy następny coraz szybszy. Wirujące spódnice i ruchy bioder tancerek pobudzały emocje stare jak świat, i już wkrótce wszyscy widzowie klaskali w takt muzyki, a hałas sprawiał, że atmosfera przyjęcia stawała się coraz bardziej naelektryzowana. Przy czwartym tańcu muzyka nagle zmieniła rytm, a prowadząca tancerka padła na kolana. Poruszając kusząco biodrami, wygięła do tyłu połyskujące świecidełkami ciało, a głową dotknęła ziemi.

Obrazy i dźwięki, z pominięciem umysłu, oddziaływały na zmysły z prymitywną mocą. Czując przyspieszenie oddechu, Ross spojrział przez plac i spotkał się wzrokiem z Juliet. Zaraz jednak utracił z nią kontakt, bo widok żony przysłoniły mu dwie tancerki. Wszystko w Rossie aż rwało się do spełnienia wezwania, do którego zachęcały na wskroś erotyczne tańce, ale jako partnerkę chciał mieć jedynie swoją żonę.

Kiedy wreszcie tancerka powróciła do normalnej pozycji, Abdul Samut Khan wezwał ją do siebie skinieniem dłoni. Kobieta prześliznęła się między swymi towarzyszkami, a potem opadła na ziemię tuż przed nayebem w pozycję całkowitej uległości. Znajdowała się tylko kilka kroków od Rossa; z łatwością mógłby dosięgnąć jej lśniącego kropelkami potu, ponętne ciało.

– Tak, panie? – odezwała się zachrypniętym głosem. Nayeby wskazał ręką

na Rossa.

– To jest mężczyzna, o którym ci wcześniej wspominałem.

Tancerka przesunęła się zwinnie i uklękła przed Rossem. Nadal ciężko oddychała, i zdawało się, że bujne piersi zaraz rozerwą skąpy staniczek.

– Powiedz mi, czego pragniesz, o panie wszystkich *ferengi* – zamruczała, pobrzękując złotymi bransoletami.

Przez ciało Rossa przelała się fala gorąca, bo tancerka była ucieleśnieniem zmysłowości, a ponadto jej zachowanie budziło do życia najskrytsze męskie fantazje. Żaden mężczyzna nie potrafiłby się jej oprzeć i także Ross, zanim się odezwał, musiał najpierw odchrząknąć.

– Twój taniec był bardzo piękny.

– Zahra jest moim podarunkiem dla ciebie na tę noc, lordzie Kilburn. – Abdul Samut Khan, mówiąc to, szturchnął gościa pod żebro. – Byłeś, panie, przez długi czas pozbawiony tego, czego mężczyzna potrzebuje dla zachowania zdrowia i dobrego samopoczucia, więc zabierz ją do swojego pokoju i tańcz z nią aż do utraty tchu.

Zahra przysunęła się bliżej i podniosła woalkę, żeby *ferengi* mógł zobaczyć jej twarz. Choć uczyniła to z nieśmiałością, gest był tak jednoznaczny, jakby zdarła z siebie stanik. Czarne rzęsy, okalające ciemne aksamitne oczy trzepotały zalotnie. Uniosła dłoń i powoli przesunęła palcami po włosach Rossa.

– Jak złoto – wyszeptała.

Była podarunkiem, którego żaden mężczyzna nie zdołałby odrzucić. Gdyby Ross rzeczywiście był tym, za kogo się podawał, mężczyzną, na którego w Anglii oczekuje wierna małżonka, z pewnością poddałby się pokusie. Ale prawda wyglądała inaczej.

Podniósłszy wzrok, przekonał się, że Juliet wpatruje się w niego; czuł jej wściekłość nawet przez szerokość podestu. Z trudem pohamował wybuch śmiechu. Postanawiając, że nadszedł już czas na prawdziwą przyjemność tej nocy, odsunął ciepłą dłoń wspinającą się po jego udzie.

– Wielkie dzięki za pamięć, Abdul Samut Khanie. Zahra jest wspaniała. To podarek godny króla, ale nie mogę go przyjąć, ponieważ jestem żona ty.

Nayeb spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Twoja żona znajduje się po drugiej stronie świata, a Zahra jest tutaj.

– To prawda, jednak moja religia zabrania zdradzania żony, bez względu na to, czy jest blisko, czy daleko.

Gęste brwi gospodarza zeszyły się razem.

– Zaraz zaczną się występy chłopców. Może wolisz któregoś z nich? To już przecież nie będzie zdrada.

Po oderwaniu pulchnych palców spoczywających na jego kolanie, Ross wstał. Zauważył, że miejsce, w którym do tej pory stała Juliet, jest puste. Miał nadzieję, że żona nie podkrada się właśnie do niego od tyłu, z zamiarem wbicia mu noża w plecy.

– Będzie. W oczach moich ludzi to taki sam grzech.

Nayeb wciąż patrzył na Rossa z niedowierzaniem, ale też z pewnym szacunkiem.

– Doprawdy, lordzie, jest pan wyjątkowo pobożnym człowiekiem.

– Być może, co nie znaczy, że nie jestem podatny na pokusy. Dlatego też lepiej już pójdę do siebie, zanim im ulegnę. – Ross pogładził Zahrę po głowie. – Grzech jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak słodki.

Tancerka, wyraźnie zawiedziona i rozzłoszczona, naciągnęła woalkę na twarz i odeszła. Sądząc po sposobie, w jaki Abdul Samut Khan za nią patrzył, Ross nie miał wątpliwości, z kim Zahra spędzi tę noc.

Przedarł się przez tłum rozentuzjasmowanych widzów, a Shahid Mahmud i jeszcze jeden strażnik podążyli za nim. Wewnątrz domu powietrze wydawało się świeższe, ale nie było tu wcale ciszej, bo pulsujący rytm muzyki przenikał nawet przez ściany. Po dotarciu do apartamentu Ross odwrócił się do strażników, żeby życzyć im dobrej nocy.

Młodszy żołnierz uprzejmie pochylił głowę, ale Shahid odpowiedział skrzywieniem ust.

– Przez ciebie, *ferengi*, odebrano mi przyjemność udania się na wojnę.

– Bardzo mi z tego powodu przykro – odparł Ross, co było prawdą z kilku powodów – Żałuję, że twoje wojenne talenty nie zostaną wykorzystane, ale to nie ja postanowiłem, że zostaniesz w Bucharze.

Yawer skinął głową na strażnika, który posłusznie usunął się na bok, na taką odległość, żeby nie mógł nic słyszeć.

– Ale właśnie ty jesteś za to odpowiedzialny – ciągnął Shahid, mrużąc

oczy. – I dlatego zapłacisz mi za to.

Ross stłumił westchnienie.

– Jestem pewny, że już nawet wiesz, w jaki sposób mam ci wyrównać krzywdy.

– Złotem albo krwią. Wybór należy do ciebie. – Twarz Shahida przybrała groźny wyraz. – Daj mi dwa tysiące złotych dukatów, a będę cię strzegł jak matka swoje pierworodne dziecko. Jeśli odmówisz... – Yawer wzruszył masywnymi ramionami.

– Nikt w Bucharze w to nie wierzy, ale Anglicy naprawdę nie są ze złota. – Ross zachował spokój. – Dobrej nocy, yawerze Mahmudzie.

– A więc nasz pobożny innowierca udaje się do łóżka – wysyczał Shahid. – W towarzystwie swojego tuareskiego chłopaczka.

Dłoń Rossa zacisnęła się na klamce. Obrócił twarz do Uzbeka.

– Nie sypiam z chłopcami, ani tuareskimi, ani żadnymi innymi – powiedział wolno i dobitnie, mrużąc oczy. – To chyba bardziej zwyczaj wojskowych.

– Ty kłamliwy wieprzu. – Shahid splunął na ziemię. – Niech tylko Abdul Samut Khan wyjedzie, a zajmę się tobą. – Przywołał młodszego żołnierza. – I nie myśl, że uda ci się dzisiaj uciec, bo twoje drzwi będą dobrze strzeżone.

Ross wszedł do apartamentu, zamknął i zaryglował drzwi, myśląc sobie, że ma już dosyć naciągania go na łapówki i gróźb.

W saloniku paliła się pojedyncza lampa, a drzwi balkonowe były otwarte na oścież, słychać więc było w pomieszczeniu odgłosy przyjęcia. Ross się zdziwił, że nie ma Juliet. Sądził, że wróciła do pokoju przed nim. Potem uświadomił sobie, że tak musiało być, inaczej lampa by się nie paliła. Pragnąc wziąć ją już w ramiona, przeszedł do sypialni.

W świetle drugiej migoczącej lampki dostrzegł Juliet, która skulona siedziała w rogu kanapy.

– Co, nie przyprowadziłeś ze sobą tej tłustej ślicznotki? – zapytała lodowatym tonem, kiedy stanął w progu.

Uśmiechnął się i zaczął ściągać surdut i buty.

– To jasne, że mnie kusiło, ale świadomość, że wytniesz mi potem wątrobę, nieco ostudziła mój zapał.

– Bardzo rozsądnie. – Wodziła wzrokiem za mężem, ale nie wstawiała.



Ross pomyślał, że pokpiwanie sobie z zazdrości to ich następny sposób na droczenie się, niemniej powściągliwość żony kazała mu się zastanowić, czy przypadkiem Juliet nie jest naprawdę przygnębiona.

– Chyba nie myślisz, że ta tancerka naprawdę mnie zainteresowała.

– Ależ oczywiście, że cię zainteresowała. Każdy mężczyzna zwróciłby na nią uwagę.

– Ale nie ja. Nawet owinięta w koc i skrzywiona jesteś od niej sto razy bardziej pociągająca.

– Cieszę się, że tak uważasz. – W ułamku sekundy stanęła na nogach, odrzuciła opończę i tagelmoust, odsłaniając jedwabny czarny kostium tancerki, tak przezroczysty, że widać było każdy kawałek jej ciała. Podkreślone czarną surmą oczy błyszczały. Posłała mężowi zmysłowy, prowokacyjny uśmiech.

– Uszyłam ten strój z jedwabiu, który kupiłam od ojca Hafiza. A teraz udowodnię ci, że potrafię to samo, a nawet więcej niż tamta pulchna tancerzka.

Ross wstrzymał oddech. Zwiewna jak mgiełka tkanina, która owijała się wokół ciała żony kilkoma warstwami, zakrywała ją od stóp do głów, ale była tak przezroczysta, że w gruncie rzeczy Juliet zdawała się naga.

Juliet przeszła z wdziękiem na środek pokoju.

– Czy mam dla ciebie zatańczyć, mój panie? – zapytała, ponętna jak sama Dalila.

– O tak... – wyszeptał Ross. Opadał na kanapę, nie odrywając od żony wzroku. – Jak najbardziej.

Była urodzoną tancerką. Ross wiedział, że jako dziecko uczyła się tańców szkockich, a w młodości towarzyskich. Nie miał pojęcia, skąd znała figury tańców egzotycznych, ale teraz widać było, że korzystała z całej swojej wiedzy, tworząc własną, oryginalną choreografię tańca erotycznego, który właśnie mu prezentowała.

Jak zaczarowany przyglądał się żonie, która zamieniła taniec w prawdziwe arcydzieło. Jej dusza, ciało i muzyka złączyły się ze sobą w harmonijną całość, tak że w pewnej chwili nie można już było odróżnić tancerki od tańca. Juliet kojarzyła się z ogniem, była wdziękiem, wolnością – była tym wszystkim, co Ross tak w niej uwielbiał i co zarazem nieraz stanowiło po-

wód jego rozpaczy.

Ale przede wszystkim była ucieleśnieniem zmysłowości. Bez jednego dotyku rozbudziła w Rossie podniecenie. Unoszące się i falujące warstwy przezroczystej materii to odsłaniały, to zasłaniały jej ciało. Ogniste włosy, alabastrowe ciało, powiewna szata; nie trzeba było więcej, by krew w żyłach Rossa zawrzała.

Po jakimś czasie poczuł, że samo przyglądanie się już mu nie wystarcza. Kiedy w pewnej chwili Juliet, wirując, znalazła się w zasięgu jego ręki, Ross pochwycił za koniuszek jedwabiu zasłaniającego głowę. Tkanina została mu w dłoni.

Juliet roześmiała się i pochwyciła za drugi róg.

– Zatańcz ze mną, mój panie.

Natychmiast zrozumiał, o co żonie chodzi; w wielu środkowo-wschodnich krajach kobietom i mężczyznom nie wolno się dotykać publicznie, natomiast mogą ze sobą tańczyć. Tak więc teraz on i Juliet, połączeni szarfą, mieli zatańczyć ze sobą, nie dotykając się. Dołączył do niej i zaczął się kołysać w takt muzyki.

Potem, patrząc sobie w oczy, zaczęli krążyć wokół siebie, powoli i z takim skupieniem, iż wydawało się, że stoją, a zamiast nich kręci się cały świat. Ross poznał Juliet właśnie podczas tańca – był to walc, taniec niby to spokojny, a jednak potajemnie wyrażający tęsknotę za zmysłowością i pożądaniem. Już wtedy on i żona potrafili się ze sobą doskonale zgrać. Tak samo było teraz, w tę upalną azjatycką noc.

Poddawszy się muzyce, Ross przekonał się nagle, że wykonuje kroki i figury, których nigdy wcześniej się nie uczył. Wkrótce poruszali się w coraz bardziej skomplikowany sposób, w tak doskonałej harmonii, że wydawało się, iż prowadzi ich jeden umysł. Tańczyli coraz szybciej, z coraz większą ekspresją. Odsuwali się na całą długość szarfy, potem zbliżali do siebie na tyle, że oboje czuli bijące od nich ciepło. Ale przez cały czas ani razu się nie dotknęli.

Owładnięci namiętnością, tańczyli szybciej i szybciej; wydawało się, że za chwilę wzbiją się w powietrze. Łącznikiem między nimi nie była tylko szarfa, którą ściskali w rękach, ale także ich wzajemne pożądanie, ich nieporozumienia, czułość i troska. Ross napotkał wzrok Juliet i zachęcił ją spojrze-

niem, aby się do niego przysunęła, ale ona, nie słuchając, oddaliła się jeszcze bardziej. Pociągnął więc za szarfę, żeby ją do siebie przyciągnąć.

– Nie tak daleko, moja hurysso.

Uniół ramię, a Juliet, wirując, przemknęła pod nim. Rozwiane włosy wznosiły się i opadały bursztynową kaskadą.

– Hurysę nie tak łatwo złapać, panie – usłyszał jej gardłowy głos.

Muzyka przyspieszyła. Powietrze i ciała tańczących wibrowały od pogańskich rytmów. Ross mimo całego uroku tej chwili, zaczynał tracić cierpliwość. Chwycił mocno za szarfę i przyciągnął żonę do siebie.

– A jednak cię złapałem – wyszeptał ochryple do partnerki, która teraz wirowała prawie w miejscu, smagając go włosami po twarzy.

Wreszcie się zatrzymała, wtulając plecami w pierś męża. Pachniała różami, piżmem i kobiecością.

Oddychając urywanie, Ross upuścił łączący ich kawałek tkaniny. Potem wsunął ręce pod cieniutki jedwab, wreszcie mógł się delektować powabnym ciałem Juliet. Wodził dłońmi po wąskiej talii i płaskim brzuchu, dotknął pępka, kciukami gładził skórę pod piersiami, potem pocałował żonę w ucho. Zadrzała, a wtedy on objął dłońmi idealnie krągłe piersi. Wyczuł twarde już sutki. Juliet jęknęła, wtuliła się w męża mocniej, wciskając się pośladkami w jego krocze.

Ross sapnął i błędził dłońmi między warstwami jedwabiu, aż dotarł do miejsca pod brzuchem porośniętego delikatnymi włosami, i do miękkich, wilgotnych fałdek pod nimi. Juliet znowu zadrzała i cicho krzyknęła. Głowę oparła o policzek męża. Pozostali w tej pozycji przez dłuższą chwilę.

Potem, jak na prawdziwą kusicielkę przystało, Juliet niespodziewanie oderwała się od partnera. Kiedy mu się wyslizgiwała, Ross pochwycił za rąbek jedwabnej szaty i pociągnął. Materia opadła miękko na ziemię. Juliet stała przed nim całkiem naga.

Roześmiała się i złapała męża za poły koszuli.

– Nie tylko ja biorę udział w tej zabawie. – Szarpnęła za koszulę, która rozdarła się na ramieniu. Lekko je ugryzła.

To wystarczyło, żeby płomień namiętności rozgorzał w Rossie na dobre. Na nic już nie zważając, porwał żonę w ramiona, przeniósł na łóżko i rzucił się na nią, przygniatając swoim ciałem. Juliet walczyła z nim niczym dzikie

zwierze, które nie chce dać się zniewolić bez walki.

I rzeczywiście, walczyli jak pantery, drapiąc się i gryząc, turlając po całym łóżku. Była to ostatnia i najgorętsza faza ich tańca godowego, możliwa tylko dlatego, że za dzikością kryło się całkowite zaufanie. W pewnej chwili Ross jedną dłonią niemal przygwoździł ręce żony do łóżka, kolanem rozsunął jej nogi, i po prostu w nią wtargnął. W tym momencie Juliet pojęła, że ich zabawa dobiegła końca, że teraz to już nie zabawa, ale najwspanialsza rzeczywistość, fizyczny wyraz wszystkich targających nimi emocji. Ugryzła męża w ramię i na języku poczuła słony smak jego potu. Nie mogła się doczekać, kiedy zespoli się z nim tak, że staną się jednym ciałem.

Oboje byli bliscy orgazmu, ale Ross nie pozwolił, by tak od razu sięgnęli szczytu. Zamiast tego z istic diabelską finezją pobudzał Juliet do granic wytrzymałości, tak że całe jej ciało płonęło ogniem żądz, a potem się uspokajał, żeby nieco ochłoneła.

– Och, Ross, kocham cię – wyrzuciła z siebie słowa, których wcześniej tak się bała.

Czekała, że mąż odwzajemni się jej tym samym. Pragnęła, by on też powiedział, że ją kocha, nawet gdyby miało to być kłamstwem lub tylko małą częścią skomplikowanej prawdy.

Ale nie usłyszała tego. Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem wszedł w nią jeszcze głębiej, wypełniając tak całkowicie, że nie było miejsca na nic więcej poza namiętnością i spełnieniem. Czowała głęboko w sobie rytmiczne pulsowanie jego członka. Poddała się temu rytmowi i w końcu nie odróżniała już swojego ciała od ciała męża. Pragnęła, by stali się jednością, i przez chwilę tak właśnie było.

Jednak, kiedy trochę ochłoneła, zorientowała się, że policzki ma mokre od łez. Choć wraz z mężem osiągnęli najwyższe szczyty namiętności, dotarli do miejsca obezwładniającej radości, przekraczającej wszelkie fantazje, jakie roiły się jej w głowie podczas długich samotnych lat, wszystko to zamieniła by na jedno wyznanie – na jedno „kocham cię”.

Oddałyby to wszystko za miłość.

Ross z trudem zebrał siły, żeby ściągnąć całkiem spodnie i usunąć jedwabny kostium żony z łóżka. Kiedy wreszcie się położyli, objawszy Juliet

ramieniem, powiedział, że gdyby Zahra weszła teraz do ich pokoju, nie zdołałby nawet podnieść głowy, aby na nią spojrzeć. Juliet parsknęła śmiechem, a potem zdmuchnęła lampę. Przytuliła się do męża i razem zapadli w głęboki sen.

Obudzili się, kiedy świt przeciągał już po niebie różowe smugi. Znowu się kochali, ale tym razem spokojnie i z czułością. Juliet leżała na Rossie, łaskocząc go w policzek i szyję pasmami zmierzwionych włosów. Nie mógł uwierzyć, że ta czuła i delikatna kobieta, poruszająca wolno biodrami, jest tą samą, która parę godzin temu mocno go podrapała. Ale to właśnie stanowiło o tajemniczości i wyjątkowości jego żony.

Patrząc w przeszłość, uznał, że jego małżeństwo przypomina trochę podzieloną na akty sztukę teatralną. Zaczęło się od wręcz magicznego spotkania i przeszło spełnienie, separację, rozstanie i cierpienie. Kolejny akt, być może ostatni, opisywał ciepłe pojednanie. Teraz właśnie dobiegał on końca i choć ze wszystkich najkrótszy, był za to najbardziej emocjonalny.

Dziwił się, że nachodzą go takie melancholijne myśli. Może ich źródłem było wyznanie Juliet, którego jednak Ross nie potraktował poważnie. Było wypowiedziane w chwili, kiedy rządziła namiętność, a ta bywa zwodnicza. Zresztą nie chciał się nad tą sprawą rozwodzić.

Dzięki Bogu, że już za kilka godzin będzie mógł zabrać się wreszcie do działania. Życie i śmierć są o wiele prostsze, o wiele bardziej jednoznaczne niż miłość.

**W**reszcie nadeszła wyczekiwana pora ucieczki. Było późno i większość mieszkańców rezydencji zapewne już spała, zmęczona uroczystością z poprzedniego wieczora i zamieszaniem wokół wyprawy na wojnę Abdula Samut Khana. Po przywiązaniu sznura do nogi łóżka, Ross zatrzymał się, żeby przyjrzeć się twarzy żony.

– Wąsy raczej ci nie pasują.

Juliet uśmiechnęła się szeroko.

– A za to tobie do twarzy z ciemną brodą.

–Daj mi znać, jeśli zaczniesz się odklejać. – Pocałował ją czule. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że opuszczając pokój, oddają się w ręce losu, ale nie rozwodzili się na tym faktem, żeby ich werwa nie osłabła.

Ross obwiązał się sznurem, wspiał na parapet i zniknął z widoku. Juliet poprawiła tagelmoust, myśląc przy tym, że gdyby spotkała męża tak przebranego na ulicy, z pewnością by go nie rozpoznała. Zamienił europejski strój na szaty i turban królewskiego szambelana, co było jednym z najprostszych aspektów jego kamuflażu.

Nad przygotowaniem strojów spędzili tego dnia kilka wesołych godzin, a zabrali się do tego zaraz po wczesnym obiedzie. Wykorzystali materiały, które Saleh i Juliet zakupili na bazarze. Najpierw, żeby przyciemnić skórę, posmarowali twarze i ręce słabym roztworem soku z orzechów i sody kaustycznej. Potem Ross przefarbował sobie na ciemnobrązowo brwi i rzęsy. Najbardziej jednak ich wygląd zmienił się za sprawą sztucznych wąsów i bród, zakupionych od handlarza o sprytnym spojrzeniu, który jednak o nic nie pytał. Dodatkowy zarost był konieczny, bo w Azji Środkowej to norma u mężczyzn. Broda, przyklejona klejem z żywicy, zasłoniła Rossowi prawie całe policzki i podbródek.

Potem Juliet bardzo skrupulatnie wyrównała linię brody i wąsów pojedynczymi włosami, tak żeby zarost nawet przy bliskich oględzinach wyglądał naturalnie. Wprawdzie, gdyby ktoś za niego pociągnął, z pewnością by odpadł, ale liczyło się to, że Ross wyglądał w nim jak prawdziwy buchar-

czyk, afgańskiego lub perskiego pochodzenia.

Wygląd Juliet mógł budzić zastrzeżenia, bo pomimo wąsów nadal jej rysy wydawały się bardziej kobiece niż męskie. Niemniej, ponieważ miała bucharską szatę, w przyćmionym świetle i z pewnej odległości mogła uchodzić za młodego chłopca, służącego.

Wychyliwszy się przez okno przyglądała się, jak mąż, bardzo skoncentrowany, zsuwa się na linie po ścianie budynku. Już wcześniej opowiadał jej, w jaki sposób alpiniści używają sznurów, żeby szybko opuszczać się w dół zbocza. Teraz mogła zobaczyć to na własne oczy.

Ross w końcu dotarł na ziemię i przysła kolej na nią. Weszła na parapet. Po dotarciu na ziemię pociągnęła za sznur, który prześliznął się całą długością wokół nóg łóżka i upadł obok jej stóp. Ross pospiesznie go zwinął i przewiesił przez tułów, tak żeby nie rzucał się w oczy. Ponieważ drzwi do ich apartamentu były zaryglowane od wewnątrz, jeśli dopisze im szczęście, służący nayeba dopiero w połowie dnia się zorientują, że więźniowie uciekli.

Juliet pierwsza, a Ross kilka kroków za nią, ruszyli wzdłuż brzegów ogrodu, trzymając się cienia, mimo że dokoła panowała ciemność, nie licząc srebrnej poświaty księżyca. Ponieważ było lato, większość mieszkańców posesji dla ochłody spała na płaskich dachach budynków gospodarczych. Trzeba było zachować wielką ostrożność, bo każdy hałas mógł łatwo ich zbudzić.

Za bardzo rozsądną opłatą, Zadeh, pomocny strażnik, przyrzekł, że otworzy dla nich rzadko używane boczne drzwi znajdujące się w odległym krańcu posesji, tak więc opuszczenie domu nayeba wydawało się najłatwiejszym zadaniem nocnego planu. Nawet gdyby Zadeh się rozmyślił albo nie mógł zdobyć klucza, mieli ze sobą linę, więc tak naprawdę nie martwili się o to, czy zdołają pokonać mur dzielący ich od ulicy.

Niestety cała akcja mogła skończyć się niepowodzeniem, gdy Juliet, zachowując czujność, minęła róg stajni i stanęła twarzą w twarz z chwiejącym się na nogach yawerem Shahidem Mahmudem. Zalaływało od niego końmi i alkoholem; pił w jakiejś zakazanej tawernie i teraz, na całe nieszczęście, wracał akurat do domu.

– Uważaj, jak chodzisz, *daous* – warknął żołnierz, używając obraźliwego

epitetu. Juliet pospiesznie się cofnęła.

Ochryplym głosem wybąkała jakieś przeprosiny, próbując obejść strażnika, ale było już jednak za późno, bo jej ciemny tagelmoust, którym się okryła, żeby nie rzucać się w oczy, od razu ją zdradził.

Shahid, zorientowawszy się, kto wpadł mu w łapska, pochwycił Juliet za nadgarstki.

– Niech mnie diabli. Toż to ten chłopaczek *ferengi*! – Uśmiechnął się obłeśnie. Wykręcił Juliet ramię na plecy. – To dopiero szczęśliwy przypadek. Akurat jestem w doskonałym nastroju, żeby dokończyć to, co wcześniej zacząłem. I tym razem nie uda ci się mnie zaskoczyć.

Juliet znieruchomiała; nie zamierzała uciekać. Wiedziała, że Ross jest za nią, więc się nie martwiła tym, co zrobi Shahid, tyle tylko że strażnik mówił głośno, i obawiała się, iż obudzi parobków śpiących nad stajniami.

– Czas, żebym zobaczył twoją twarz. – Z zadziwiającą szybkością yawer pochwycił Juliet jedną ręką za oba nadgarstki, drugą zaś wyciągnął w stronę zasłony.

Nie czekając dłużej, Juliet z całych sił wymierzyła napastnikowi kopniaka w kostkę. Gdzie, do diabła, podziewa się Ross?

W tym momencie za plecami Uzbeka coś się poruszyło. Jednak zanim Ross zdążył zadać cios, strażnik wyczuł jego obecność. Puścił Juliet i z rykiem odwrócił się do napastnika. W tym momencie na jego głowę opadła ciężka kolba pistoletu. Zwalił się na ziemię niczym ścięty dąb.

– Myślisz, że nie żyje? – zapytała Juliet, spoglądając na rozciągnięte na ziemi cielsko.

– Niestety żyje, ale kiedy się ocknie, będzie miał potężny ból głowy. – Ross ukrył pistolet pod płaszczem. – I tyle z naszego starannie opracowanego planu. Uciekajmy stąd i miejmy nadzieję, że nikt się nie obudził i nie zjawi się tu, żeby sprawdzić, co się stało.

W chwili gdy Ross zamykał za sobą bramkę, w ogrodzie rozległy się podniesione głosy. Najwyraźniej znaleziono nieprzytomnego strażnika. Juliet zakłęta pod nosem.

Po piętnastu minutach szybkiego marszu dotarli do bram zadaszzonego bazaru, w którym nocą nie było żywego ducha. Czekał tam na nich Murad z czterema końmi. Aż podskoczył na widok Juliet, która nagle wyłoniła się



przed nim z cienia. Przyjrzał się kompanom z uznaniem.

– Bardzo dobrze, lordzie Kilburn. Wygląda pan dokładnie jak bucharski urzędnik sądowy.

– Miejmy nadzieję, że tak samo pomyślą więzienni strażnicy. – Ross położył rękę na ramieniu młodego Persa. – Jesteś gotowy na wejście do paszczy lwa? Może być niebezpiecznie.

Murad zdołał przywołać uśmiech na twarz, choć w jego głosie można było wyczuć napięcie.

– Bardziej dla pana niż dla mnie.

– Ja robię to z miłości do brata. Trzeba odwagi, żeby ryzykować życie dla kogoś obcego. – Ross ścisnął ramię Persa, potem dodał już innym tonem: – A teraz czas na wejście królewskiego szambelana.

Ostatnie przygotowania zajęły im tylko kilka chwil. Podczas gdy Murad odstąpił jedną lampę i zapalił drugą, Ross usunął ciemną szarfę z białego turbanu, założoną na czas podróży przez miasto, a Juliet ściągnęła tagelmo-ust. Ona także pod spodem miała na głowie biały turban.

Wskoczyli na konie, żeby już na nich przebyć ostatnie pół mili oddzielające ich od więzienia. Znajdowało się ono na tyłach pałacu i było masywną, otoczoną wysokimi murami budowlą. Prowadziła doń duża brama z małymi drzwiami po środku. Kiedy do nich dotarli, Ross wyciągnął pistolet i nie zsiadając z konia, walnął w nie rękojeścią.

– Kto tam? – rozległ się głos ze stróżówki nad ich głowami. Ross nabrał powietrza. Dotarli do miejsca, z którego nie ma odwrotu.

– Saadi Khan, z rozkazami od emira – powiedział po uzbecku.

– Saadi Khan? – powtórzył strażnik niepewnie.

– Jestem *makhram*, królewski szambelan, ty durniu. Natychmiast otwieraj.

Słyszając ostry, rozkazujący ton, strażnik dał znak koledze, żeby ten otworzył drzwi, w których mieścił się tylko jeden siedzący na koniu człowiek. Ross wjechał na dziedziniec, a za nim Murad i Juliet.

– Zaprowadź mnie do oficera dowodzącego – polecił Ross, kiedy tylko znaleźli się w środku.

– Tak jest, sir. – Żołnierz w stopniu, który odpowiadał angielskiemu kapralowi, zaprowadził ich do schodów prowadzących do głównego budynku.

Tam Ross i Murad zsiadli z koni, pozostawiając je pod opieką Juliet.

Z arogancją podpatrzoną u Shahida Mahmuda Ross wspiął się na schody, a za nim Murad. Kapral przekazał gości następnemu strażnikowi, który zaprowadził ich do pokoju oficera dowodzącego nocną zmianą.

Porucznik przywitał przybyłych wyniosłym spojrzeniem. Jeśli znajomy Murada, Hafiz, miał rację, porucznik pracował w więzieniu dopiero od niedawna, dzięki czemu mógł nie znać wszystkich dostojników i nie zorientować się, że Ross nie jest prawdziwym pałacowym oficjalem. Poza tym był to osobnik, który lubił znęcać się nad podwładnymi, a nadskakiwał przełożonym, czyli był idealnym kandydatem do zastraszenia.

Porucznik potarł brodę, przyglądając się Rossowi nieprzychylnie.

– Emira nie ma w mieście, więc nie rozumiem, cóż to macie za sprawę, która nie może zaczekać do rana.

– Tę sprawę. – Ross wyciągnął z płaszcza dokument i z nonszalancją podał go oficerowi. Pismo było sfałszowane, napisane stylem urzędowym, z podrobioną królewską pieczęcią. Ross dostał je od Ephraima ben Abrahama i choć był ciekawy, w jaki sposób udało mu się je zdobyć, wolał o to nie pytać.

Widząc, że porucznik ogląda dokument i marszczy czoło, Ross wstrzymał oddech.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu oficer.

– Bo nie macie nic rozumieć – rzucił ostro Ross, któremu kamień spadł z serca, że chodzi o treść dokumentu, a nie o jego formę. – Waszym zadaniem jest wydanie mi więźnia, a nie zadawanie głupich pytań.

– Ale dlaczego teraz, pod nieobecność jego wysokości?

– Właśnie dlatego, ty głupcze! Ten zagraniczny szpieg to kłopot dla państwa! Nie możemy go ani więzić, ani zabić. Takie sprawy najlepiej załatwiać wtedy, kiedy wiadomo, że emir jest zajęty czymś ważniejszym. Koniec z tym gadaniem. Wypełnicie rozkazy, czy zamierzacie stwarzać kłopoty?

– Ja nie mam zgody mojego przełożonego na wypuszczenie tego więźnia – upierał się porucznik, ale pod wpływem władczego zachowania gościa zaczynał tracić pewność siebie.

– Wystarczy wam dokument, który trzymacie w ręce. – Ross był synem księcia i kiedy potrzebował, potrafił zachowywać się wyniośle i despotycz-

nie. Wyprostował się i zaczął mówić niskim, groźnym głosem. – Mam już was dosyć. Saadi Khan nie jest przyzwyczajony do czekania. Proszę natychmiast zaprowadzić mnie do więźnia.

Jeszcze nim skończył, na twarzy porucznika pojawił się wyraz służalczej uległości.

– Proszę wybaczyć, sir! – zawołał, stając na baczność. – Nie chciałem pana obrazić. Tylko że taka procedura wydała mi się jakaś dziwna.

– Podobnie jak trzymanie w więzieniu tego *ferengi* – skwitował Ross.

– Proszę za mną, sir. – Porucznik podniósł lampę, potem powiodł gości w dół wąskiej, krętej klatki schodowej, prowadzącej na najniższy poziom wiekowego budynku.

Idąc z surową miną, Ross nie patrzył ani na lewo, ani na prawo. Podążający za nim dwaj strażnicy z poziomu lochów przyświecali gościom pochodniami, ale ich słabe płomienie nie mogły rozświetlić gęstej, duszącej ciemności. Ross pomyślał, że wystarczy najmniejsze podejrzenie, iż on i Murad są oszustami, a już nigdy więcej nie zobaczą światła dnia.

Dotarli wreszcie do lochu na końcu korytarza. Dziura w ziemi zakryta była drewnianą przykrywą, a z sufitu zwisał sznur na bloczku. Ross zapatrzył się w drewnianą przykrywę. A więc znalazł się ostatecznie w Siah Cha, Czarnej Studni, azjatyckiej wersji średniowiecznego lochu.

Jeden ze strażników pochylił się i podniósł klapę. Z dziury buchnął taki smród, że stojący wokół ludzie musieli się cofnąć. Ross poczuł skurcz żołądka, ale pomyślał, że nie jest to pora na okazywanie słabości.

– Na brodę Proroka! – warknął. – Czy ten więzień w ogóle żyje?

– Myślę, że tak, bo chyba zjada jedzenie, które mu wrzucamy – powiedział jeden ze strażników, przysadzisty mężczyzna o prostackich rysach twarzy.

Drugi strażnik, o fizjonomii gryzonia, wzdrygnął się.

– To nic nie znaczy. Jedzenie mogą zjadać szczury albo kleszcze owcze, które hodujemy.

Ross dziękował Bogu za fałszywą brodę; pomogła mu ukryć grymas obrzydzenia.

– Wyciągnijcie więźnia na powierzchnię – rozkazał. Przysadzisty strażnik pociągnął za sznur i spuścił go do dziury.

– Załóż na siebie pętlę, a my cię wciągniemy! – zawołał po persku. – Jakiś dygnitarz chce się z tobą widzieć. – Uśmiechnął się złośliwie. – Mówi, że emir chce cię uwolnić.

Widocznie strażnicy już nieraz drwili sobie z więźnia, bo z dziury doszło ich tylko jakieś wypowiedziane gardłowo niezrozumiałe zdanie.

Porucznik nastawił uszu.

– Nie znam rosyjskiego, więc nie wiem, co mówi – rzucił z żalem – ale przynajmniej mamy pewność, że żyje.

Ross się skrzywił. On także rozpoznał język. Niestety nie znalazł rosyjskiego, ale teraz już wiedział, że w dziurze siedzi rosyjski oficer a nie Ian. Postanowił, że czas na rozczarowanie przyjdzie później, a tymczasem musi się zająć wyciągnięciem więźnia z tego piekielnego miejsca.

– Coś mi się wydaje, że to rosyjska wersja „idźcie do diabła” – rzucił.

Porucznik uśmiechnął się, ale strażnik zmarszczył czoło.

–Prawdopodobnie nie zgodził się złapać sznura, więc nie będziemy mogli go wyciągnąć.

– Więc zejdźcie po niego – rozkazał Ross. Strażnicy popatrzyli po sobie z wyraźną niechęcią.

–To złośliwy psi syn – odezwał się potężniejszy z nich. – Może zaatakować każdego, kto tam wejdzie.

– Boicie się więźnia, który siedzi w tym dole od miesiący i z głodu jest słaby jak dziecko? – Ross patrzył na nich z pogardą.

– Wciągnij sznur, żebyśmy mogli cię tam spuścić – rozkazał porucznik, który chciał pokazać, że posiada nad strażnikami jakąś władzę.

Strażnik o szczurzej twarzy pokręcił głową i odsunął się do drzwi.

– Czas, żebym wrócił na swoje stanowisko. Moim rejonem są cele w drugim skrzydle.

Porucznik aż poczerwieniał z wściekłości. Drugi strażnik także się cofnął. Widząc, że dojdzie do awantury, co byłoby tylko stratą cennego czasu, Ross pozwolił sobie na wybuch gniewu.

– Głupcy. Czy sam muszę wszystkim się zająć?!

Sięgnął po sznur i zabezpieczył jego koniec na górze. Potem ze zniecierpliwieniem odebrał strażnikowi o szczurzej twarzy pochodnię, okręcił się liną i opuścił ostrożnie do lochu. Jego ściany były wilgotne, a smród, który

wykręcał nos już na górze, stał się wprost nie do zniesienia.

Po chwili powolnego opuszczania się w dół dotknął wreszcie posadzki, nieomal tracąc równowagę, bo pośliznął się na omszałych kamieniach. Pomieszczenie miało nie więcej niż dziesięć stóp kwadratowych. Człowiek by się w nim nie zgubił. Ale było tak zaśmieczone, że Ross z trudem dojrzał człowieka leżącego pod ścianą.

Zbliżył się do niego z pochodnią: mężczyzna miał skołtunione ciemne włosy i brodę. Zasłonił głowę ramieniem, zapewne, żeby ochronić wzrok przed światłem. Miał na sobie tylko postrzępione kontynentalne spodnie. Pomimo brudu skóra mężczyzny wydawała się trupio blada. Można mu było policzyć wszystkie żebra. Całe ciało miał w otwartych ranach. Gdyby nie to, że więzień wcześniej się odzywał, Ross myślałby, że trafił na zwłoki.

Ukląkł przy więźniu, mówiąc cicho po francusku, który powinien być zrozumiały dla wykształconego Rosjanina, ale nie dla osobników na górze.

– Jestem przyjacielem i przybyłem, żeby cię stąd zabrać. Możesz chodzić? Będzie mi wtedy łatwiej ci pomóc.

Niespodziewanie mężczyzna odwrócił się i rzucił na niego ze zdumiewającą siłą. Ross, zaskoczony, poderwał się na nogi i cofnął pod ścianę, żeby uniknąć ataku. Wciągnął głośno powietrze.

Twarz więźnia była wymizerowana i brudna, i zdaje się, że stracił jedno oko, bo prawa powieka opadała bezwładnie nad małym zagłębieniem, ale to nie jego wygląd sprawił, że Ross skamieniał. O wiele bardziej szokujące było to, że gdy mężczyzna padał na ziemię, z jego ust popłynęły przekleństwa wypowiedziane po angielsku z lekkim i znanym Rossowi szkockim akcentem.

–Nie dam się znowu wywieść w pole, wy cholerne sukinsyny.

Człowiekiem, który leżał rozciągnięty na posadzce lochu, był Ian Cameron.

Shahidowi Mahmudowi nieraz mówiono, że głowę ma twardą jak skała. Yawer udowodnił to, odzyskując przytomność w mniej niż godzinę po uderzeniu. Stajenni przenieśli go do domu, więc obudził się we własnym pokoju. Po otwarciu oczu leżał jeszcze jakiś czas nieruchomo, próbując przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Tawerna, tadżycki tańczący chłopiec z pięk-

ną pupą, powrót do domu. Uniósł dłoń do czoła i nieco skonsternowany pomyślał, że taki mocny ból głowy nie może być chyba rezultatem wyłącznie zbyt dużej ilości wina.

Stajnie... Co się wydarzyło przy stajniach?

Wtem wszystko sobie przypomniał i usiadł, krzycząc wściekle.

–Do diabła. Ten psi syn uciekł!

Natychmiast wysłał dwóch strażników do pokojów *ferengi*. Musieli wyważyć drzwi, żeby się przekonać o tym, czego Shahid już się domyślił: lord Kilburn i jego tuareski służący wymknęli się z rezydencji.

Było nie do pomyślenia, żeby taka bezczelność uszła Kilburnowi płazem; na szali stał honor Shahida.

Pościg będzie utrudniony, ponieważ większość żołnierzy opuściła miasto z emirem. Gdzie tu się udać po wsparcie w ludziach? Shahid uznał, że najpierw pojedzie do pałacu, a potem do więzienia, które jest tak zabezpieczone, że strażnicy prawie nie są tam potrzebni.

Podерwał się energicznie na nogi i obwiązał obolałą głowę turbanem. Uśmiechał się zjadliwie. Kiedy już dorwie Kilburna, wymierzy mu odpowiednią karę za wszystkie poniżenia, które musiał znieść z powodu obrzydliwego *ferengi*. Przecież często się zdarza, że przestępcy, którzy opierają się przed pojmaniem, tracą przy tym życie. Dokładnie to samo przytrafi się Kilburnowi. A co do tego Tuarega... Jalal spotka się ze swoim przeznaczeniem.

Zanim Ian nabrał sił do następnego ataku, Ross wyszeptał do niego napiętym głosem:

–Ian, to ja, Ross Carlisle. Nie marnuj czasu na zastanawianie się, jak to możliwe. Po prostu uznaj, że to ja i już.

Więzień z trudem usiadł, potem utkwiał wzrok w stojącym przed nim mężczyźnie.

– To... to niemożliwe. To jakiś cholerny sen. Koszmar. Nawet nie wyglądasz jak Ross.

– Mylisz się. To nie sen. Jestem tak samo realny jak i ty. Zmienił mnie kamuflaż. Pamiętasz, jak zabrałeś mnie w Indiach na polowanie, jak byłeś wściekły, bo nie trafiłem do tygrysa i ten uciekł, mimo że stał mi prosto na celowniku?

– Jezu Chryste. – Zdrowe oko mężczyzny na chwilę się przymknęło. Miało jaśniejszy odcień szarości niż u Juliet. – Ross? – wycharczał.

Nuta nadziei i zarazem rozpacz w łamiącym się głosie szwagra niemal złamała Rossowi serce. Zdusił jednak emocje.

– Nikt inny – rzucił lekko. – To zasługa twojej matki, która nie chciała pogodzić się z myślą, że nie żyjesz. Ale teraz musimy stąd wyjść, zanim ci na górze zaczną się zastanawiać, co tu tak długo robimy.

Wolną ręką objął Iana w pasie, pomagając mu wstać.

– Gram rolę królewskiego szambelana; wystarczy, że będziesz milczał i udawał, że mnie nie znasz.

– Zaczekaj – poprosił Ian. – Muszę to ze sobą zabrać. – Pochylił się i podniósł prostokątny przedmiot owinięty w brudną szmatę. Kiedy ją zdjął, Ross ujrzał małą oprawioną w skórę książkę, na której okładce widniał tytuł wydrukowany cyrylicą.

– Biblia Piotra Andrejowicza – wyjaśnił Ian, wsuwając książkę do kieszeni poszarpanych spodni. – Przyrzekłem, że prześlę jego rodzinie, jeśli... kiedykolwiek stąd wyjdę. – Nagle twarz Iana wykrzywiła się spazmatycznie, a on sam zaczął się trząść.

Nie oglądając się na to, że szwagier jest brudny i cały w ropiejących ranach, Ross otoczył go ramionami, z nadzieją, że ten uścisk pomoże Ianowi wziąć się w garść.

– Wyjdiesz stąd. Przyrzekam ci to – powiedział ciepło. – Chodź ze mną, za kilka minut będziesz wolny. Wprawdzie jeszcze nie do końca bezpieczny, ale wolny.

Kiedy Ian nieco się uspokoił, Ross owinał go sznurem pod ramionami, a potem krzyknął po uzbecku:

– Wciągajcie! I przestańcie się bać, psie pomioty. Ten więzień nic wam nie zrobi.

Lina zacisnęła się na piersi Iana, a on sam po chwili znalazł się w powietrzu. Minutę później stał już na twardym gruncie.

Ross został sam w Czarnej Studni. Choć wiedział, że to iluzja, odniósł wrażenie, że wilgotne kamienne ściany przysuwają się do niego. Upomniał sam siebie, żeby nie był głupcem, ale gdy chwilę później za jego plecami rozległ się jakiś dziwny cichy szelest, odwrócił się instynktownie.

A jeśli porucznik domyślił się, że to podstęp i postanowił go tu zostawić? Ile czasu minie, zanim pochodnia dopali się do końca, a on padnie ofiarą demonów ciemności? Serce zaczęło mu bić szybciej. Jeśli Juliet i Murad także zostali pojmani, kto, w tej odległej krainie, przejmie się losem Rossa Carlisle'a?

Zagryzł mocno usta, wykorzystując ból do zwalczania rosnącej paniki. Opanował się, ale krótki moment strachu dał mu posmak tego, jak wyglądało życie Iana w lochu. Aż trudno uwierzyć, że szwagier miał siłę go zaatakować.

Z rozważań wyrwał go odgłos opadającego sznura; jeszcze nigdy widok zwykłej liny tak Rossa nie ucieszył. Do wyciągnięcia go potrzebna była siła obu strażników i Murada. Po zeskoczeniu na ziemię, odwrócił się i wrzucił pochodnię do cuchnącego lochu, mając nadzieję, że ogień pochłonie przynajmniej część gnieźdzącego się tam robactwa.

Murad wpatrywał się w Iana, który stał pod ścianą z zamkniętymi oczami i związanymi nadgarstkami – pożegnalny prezent od strażników emira. W mocniejszym świetle wyglądał gorzej niż w lochu. Kiedy Ross odwrócił oczy od Czarnej Dziury, Murad spojrział na niego z niepokojem. Ross doskonale wiedział, o czym myśli młody Pers: jak, na Boga, uda im się przebieść przez pustynię kogoś tak osłabionego jak Ian.

Postanowił, że nie będzie się teraz o to martwił.

– Chodźmy – rzucił szorstko. – Już i tak zmarnowałem tu zbyt wiele czasu.

Porucznik posłusznie wyprowadził ich z celi. W biurze oficera dowodzącego poprosił o pokwitowanie za wydanie więźnia. Ross pospiesznie je wypisał, pragnąc tylko, by jak najszybciej wydostać się z więzienia. Wydawało mu się, że spędził tutaj całą wieczność, a przecież przed nastaniem świtu mieli jeszcze wiele do zrobienia. Po wyjściu na dziedziniec przekonał się, że na szczęście nadal jest ciemno. Juliet czekała na nich przed drzwiami, a wraz z nią ich konie. Nie przestawała wpatrywać się w więźnia, ale nawet kiedy Ian znalazł się na koniu nie mogła rozpoznać w nim swojego brata.

Marszcząc czoło, posłała Rossowi pytające spojrzenie. Ten lekko skinął głową i dosiadł swojego wierzchowca.

Odjechali przez nikogo nie zatrzymywani. Czekala ich teraz przeprawa



przez miasto do ich bezpiecznej kryjówki, gdzie będą mieli około godziny na przygotowanie się do dołączenia do karawany, która właśnie się zbierała.

– Czy to naprawdę Ian? – zapytała Juliet zduszonym głosem.

– Z pewnością – uspokoił ją Ross. – Nie wie jeszcze, że tu jesteś. Uważałem, że może nie znieść tylu nowin naraz.

Juliet nie czekała już na dalsze słowa męża, tylko zawróciła konia i ruszyła w stronę brata.

– Ianie to ja, Juliet! – zawołała.

Choć opierał się piersioma o siodło, na dźwięk głosu siostry uniósł głowę. Światło lampy bezlitośnie ujawniło jego wymizerowaną twarz. Rozpoznał ją.

– Mój Boże, Juliet. Mogłem się domyślić, że moja niepoprawna młodsza siostra maczała w tym palce. – O dziwo, w zachrypniętym głosie mężczyzny zabrzmiała słaba, ale charakterystyczna dla Iana nuta humoru. – Wąsy zupełnie ci nie pasują.

Śmiejąc się i płacząc, Juliet wyściskała brata, niemal zwalając go przy tym z konia. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on. Ian także uściśnął siostrę, ale nie trwało to długo, bo nie mieli zbyt wiele czasu na czułości.

– Musimy już jechać – przerwał im Ross. – Juliet, wyjmij czapan dla Iana.

Powróciwszy do rzeczywistości, Juliet puściła brata i wyciągnęła z torby przy siodle ciemny płaszcz. Pomogła bratu go włożyć, a Ross pospiesznie zrobił mu na głowie turban z białego muślinu. Odsunął się potem, żeby przyjrzeć się rezultatowi.

– Pewnie wyglądam strasznie – rzucił szorstko Ian.

– To prawda – zgodził się Ross – ale o wiele mniej podejrzanie niż człowiek bez koszuli, z włosami i brodą jak u pustelnika. To wystarczy na przejazd przez miasto.

Ross ruszył w stronę Murada, gdy nagle ten zaczął machać gorączkowo rękami, dając znak, żeby byli cicho. Po zejściu z konia, Ross podszedł do wejścia, żeby sprawdzić, co się dzieje.

W ich stronę galopowało z pół tuzina żołnierzy, a pochodnia w ręku prowadzącego oświetlała ponurą twarz yawera Shahida Mahmuda.

Przez chwilę Ross stał jak zamurowany, bo wydawało się, że żołnierze jadą prosto na nich. Już sięgał po pistolet, ale okazało się, że grupa minęła ich pędem, kierując się w stronę więzienia.

Do diabła, jakim cudem Shahid tak szybko wpadł na ich trop? Ross wskoczył na konia i machnął na resztę. Wypadli na ciemną ulicę i ruszyli w przeciwną stronę niż droga prowadząca do więzienia. Im szybciej opuszczą miasto, tym lepiej.

Porucznik jak na jedną noc dosyć już miał aroganckich zwierzchników i wcale mu się nie uśmiechało wspierać Shahida Mahmuda. Niestety ten go zakrzyczał, więc w końcu przydzielił mu trzech strażników.

Osiągnąwszy swoje, Mahmud odwrócił się do drzwi, żeby wyjść. Czyniąc to, powiedział bardziej do siebie niż do reszty obecnych w stróżówce osób:

– Ten *ferengi* nie wyjedzie z Buchary żywy.

– Saadi Khan już to pewnie załatwił. Przynajmniej tak wyglądał, jakby bardzo mu się spieszyło, żeby pozbyć się tego *ferengi*.

Shahid spojrzał na niego czujnie.

– Co ty mówisz?

Minęło kilka minut gorączkowej dyskusji, zanim ustalono, że chodzi o dwóch różnych *ferengi*.

– Szambelan? Opisz go – rzucił Shahid podejrzliwie, kiedy usłyszał, że jakiś królewski urzędnik zabrał więźnia z Czarnej Studni.

Porucznik wzruszył ramionami.

– Saadi Khan jest wyższy od was, sir, ale oprócz tego niczym więcej się nie wyróżniał. Ciemna broda, ciemne oczy, wiek około trzydziestki. – Oficer zamilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Chyba miał obce pochodzenie, bo mówił po uzbecku z lekkim obcym akcentem. Może jest Persem albo Afgańczykiem.

– Mówił po uzbecku? – Shahid zmarszczył czoło, dochodząc do wniosku, że usunięcie *ferengi* z więzienia akurat tej nocy musiało być zwykłym zbiegiem okoliczności. Potem przyszła mu do głowy straszna myśl; a jeśli Kilburn zna uzbecki? W takim razie przez cały czas rozumiał wszystko, co się mówiło w jego obecności i śmiał się do rozpuku. Broda mogła być

sztuczna, a porucznik dał się nabrać, bo jest głupcem. Poza tym Shahid nigdy nie słyszał o urzędniku królewskim, który by się nazywał Saadi Khan. – Czy szambelanowi towarzyszył młodzieniec z czarną przepaską na twarzy?

– Był z nim jakiś młody chłopak, ale nie miał zasłoniętej twarzy.

Shahid przeklął siarczyście. Nawet nie posiadając na to dowodów, był przekonany, że Kilburn i jego przeklęty Tuareg zjawili się w więzieniu i porwali z niego szpiega *ferengi*.

Okręcając się na pięcie warknął do nowych rekrutów:

– Idziemy. Musimy szybko dotrzeć do bram miasta. Dostanę tych sukinsynów, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Ross nie wiedział, do kogo należy pusty dom, ale wiedział, że możliwość zatrzymania się w nim zawdzięcza Hussajnowi Kasemowi; jednym słowem, wyciągnięcie Muhammada, ojca Hussajna, z wadi okazało się wyjątkowo opłacalnym uczynkiem. Nawet, kiedy wieści o Ianie zmusiły grupę *ferengi* do zmiany planów, Hussajn bardzo elastycznie dostosował się do sytuacji i zaoferował im dodatkowego wierzchowca oraz kryjówkę, w której Ian, gdyby udało się go wyciągnąć z więzienia, mógłby się umyć.

Po dotarciu na miejsce Ian i Ross zsiadli z koni, a Juliet z Muradem odprowadzili je do pobliskich stajni należących do rodziny Kasemów. Zgodnie z nowymi planami mieli teraz zamienić konie na wielbłąda i dwa osiołki, i na nich dołączyć do karawany, z którą przekroczyliby bramy miasta.

Ross zdecydował, że będzie opiekować się szwagrem, domyślając się, że on wolałby jego pomoc, a nie Murada czy Juliet. Ian sprawiał wrażenie prawie nieprzytomnego, kiedy prowadził go przez dziedziniec do niewielkiego budynku, ale gdy już znaleźli się w środku, mężczyzna powoli zaczynał dochodzić do siebie.

– Oddałbym duszę, żebym tylko mógł się umyć – powiedział. – Czy to możliwe?

– Myślę, że tak. Zebraliśmy tu chyba wszystko, czego może potrzebować oswobodzony więzień. – Ross zapalił lampę i zajął do dwóch pokoiów znajdujących się na tyłach domu. – Widzę tu balię do prania, wiadra z wodą, mydło i ręczniki. Przykro mi, ale wody nie ma jak podgrzać.

– W moim obecnym stanie zbyt wielki luksus mógłby być dla mnie zabójczy – stwierdził żartobliwie Ian, wchodząc do pokoju. – W lochu najbardziej we znaki dawał mi się chyba właśnie brud.

Balia była na tyle duża, że mógł w niej usiąść. Ross zdjął czapan i pomógł przyjacielowi w kąpieli. Musiał aż trzy razy myć mu głowę, zanim włosy szwagra powróciły do normalnego koloru, złoty-rudawego, o kilka tonów ciemniejszego od barwy włosów Juliet.

– Wyglądasz znacznie lepiej niż przed godziną – zauważył Ross, kiedy Ian wygramolił się z balii.

Szwagier uśmiechnął się słabo.

– I o wiele lepiej się czuję, choć jeszcze nie doskonale. – Z trudem przełknął ślinę. – Cały czas mam wrażenie, że to sen i że zaraz się obudzę.

Domyślając się, że Ian czuje się źle zarówno fizycznie, jak i psychicznie, Ross postanowił trzymać się lekkiego tonu.

– To dopiero sen. Chyba za nic masz mój status społeczny, skoro we śnie, ja markiz, jestem twoim kąpielowym.

Ian spoważniał.

– A więc twój brat zmarł, nie pozostawiając dziedzica?

– Niestety tak. – Ross podniósł ręcznik i zaczął nim osuszać szwagra. – Myślisz, że utrzymasz się w siodle? Kiedy już wyjedziemy z miasta, przesiądziemy się na turkmeńskie konie, a potem popędzimy na nich do Persji.

– Miło, że pytasz, czy wytrzymam tę podróż, ale chyba nie mamy czasu na czekanie, aż wydobrzeję. Nie martw się, jestem silniejszy, niż można sądzić po moim wyglądzie. Jeśli będzie trzeba, przywiąż mnie do konia. A kiedy dojdzie do sytuacji, że zagrozi nam pojmanie... – Oddech Iana stał się ostrzejszy, twarz mu stężała. – Przyrzeknij mi, że mnie zabijesz.

Ross już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Ian wbił mu w ramię kościste, chude palce.

– Przyrzeknij mi to!

Pamięć podsunęła nagle Rossowi wspomnienie strasznej chwili, gdy stał samotnie w Czarnej Studni; nie dziwił się Ianowi, że woli śmierć.

– Przyrzekam, ale nie sądzę, żeby do tego doszło. – Starał się mówić normalnym głosem. – Usiądź. Musisz coś zjeść i trzeba się zająć ranami.

Ian opadł na kanapę.

– Pomyślałeś o wszystkim.

– Staraliśmy się. – Wiedząc, że człowiek, który przez miesiące prawie głodował, będzie miał trudności ze strawieniem mięsa. Ross poprosił, żeby w kryjówce czekało na więźnia jakieś danie lekkostrawne. I rzeczywiście, w pokoju stał wiklinowy kosz z dwoma glinianymi garnkami. W jednym z nich znajdował się pilaw z ryżu zmieszanego z kawałkami kurczaka, warzywami i jogurtem. W koszu stał też dzbanek z herbatą, owinięty w słomę, żeby napój nie wystygł. Ross podał Ianowi dzbanek i garnek z ryżem. – Nie przesadzaj, ale jednak spróbuj trochę zjeść. Musisz się wzmocnić.

– Już od miesięcy nie czuję głodu. Wygląda na to, że mój żołądek, nieużywany, po prostu się poddał. – Ian nabrał troszkę ryżu, wsadził go do ust, a potem wziął łyk herbaty. – Jak, do diabła, udało się wam mnie odnaleźć?

Podczas gdy szwagier się posilał, Ross smarował maścią owrzodzenia. Rany wyglądały paskudnie, ale były raczej powierzchowne. Przy okazji pokrótce streścił Ianowi, co się działo z jego siostrą przez ostatnie dwanaście lat, a potem opowiedział, jak doszło do tego, że on i Juliet znaleźli się w Bucharze.

Kiedy wspomniał Abdula Samut Khana, Ian skrzywił usta.

– A więc ty też miałeś do czynienia z tym podstępny sukinsynem. Potrafi być uroczy, kiedy chce, ale jest tak chciwy, że sprzedałby własną matkę, jeśli tylko zapłata byłaby odpowiednia.

Ross spojrzał szwagrowi w twarz.

– Pokazywał mi twój list, w którym napisałeś, że był ci bardzo pomocny.

– Napisałem go, zanim kazał mi wypisać pokwitowanie na dziesięć tysięcy dukatów, które miał zapłacić brytyjski ambasador w Teheranie. Odmówiłem, a on wtedy zadenuncjował mnie jako szpiega. Dla emira już i tak byłem podejrzany, więc kiedy nayeab zaświadczył przeciwko mnie, nie miałem szans. Następnego dnia zostałem aresztowany i wsadzili mnie do Czarnej Studni.

– Ode mnie też chciał wyłudzić pieniądze. Szczęście, że emir wysłał go na wojnę, bo też padłbym ofiarą. Uciekamy w dobrym czasie. – Po zakończeniu opatrywania ran, Ross przyciął szwagrowi włosy i brodę, żeby ten nie przypominał już pustelnika, a upodobił się bardziej do mieszkańca Buchar. – Kiedy się dowiedzieliśmy, że może żyjesz w Czarnej Studni, nie mogliśmy wyjechać, nie próbując najpierw wyciągnąć cię z więzienia. Nie rozumiem tylko, dlaczego emir utrzymywał, że zostałeś stracony.

– Bo tak myślał. A naprawdę zamiast mnie zginął Piotr Andrejowicz. – Ian westchnął ciężko i oparł głowę o ścianę. – Rosyjski pułkownik Piotr Andrejowicz Kuszutkin. Złapano go na kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Buchary.

– Też sfabrykowano oskarżenie?

– Nie, on rzeczywiście jako fanatyk Wielkiej Gry zajmował się szpiegowaniem. Jedyne czego żałował, to tylko tego, że dał się złapać. Piotr Andre-

jowicz był kilka lat ode mnie starszy i dłużej siedział w Czarnej Studni. Nabawił się strasznego kaszlu: czasami kaszlał całymi godzinami i pluł krwią. – Ian przymknął oczy, a jego twarz pod wpływem wspomnień wykrzywiła się spazmatycznie. – Kiedy przybyli po mnie, żeby mnie stracić, powiedział, że on i tak umiera, więc równie dobrze może iść na ścięcie zamiast mnie.

– I nikt nie zauważył tej zamiany? – zdziwił się Ross. Ian posłał szwagrowi sardoniczny uśmiech.

– Byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu i mieliśmy podobny kolor włosów, on bardziej brązowe. Poza tym tak samo wychudzeni i zarośnięci niczym małpy, więc tylko ktoś, kto nas znał, potrafiłby nas odróżnić. – Ian z trudem przełknął ślinę. – Koniec końców Piotr zginął zamiast mnie. Pamiętam, że wtedy bardzo gorączkowałem, inaczej nie zgodziłbym się na coś takiego. Zresztą nie miało to większego znaczenia, tyle tylko, że on szybciej uwolnił się od cierpienia. Ale teraz... – Mężczyzna nagle ucichł.

– Gdziekolwiek jest teraz pułkownik Kuszutkin, musi być zadowolony ze swojej decyzji – powiedział cicho Ross. – Z powodu ciężkiej choroby, nie przetrwałby do tej pory, a tobie się udało. Możesz teraz przesłać Biblię jego rodzinie, tak jak sobie tego życzył.

Twarz Iana jakby pojaśniała.

– Pisał dziennik na czystych stronach, na początku i na końcu Biblii, ołówkiem, który miał przy sobie, kiedy go pojmano. Uczył mnie rosyjskiego, a ja pomagałem mu w angielskim. Szpieg czy nie, nie mogłem sobie wymarzyć lepszego kompana. Oczywiście poza wami. – Ian wkładał na siebie turkiestańskie ubranie, które podał mu Ross. – Ponieważ strażnicy myśleli, że jestem nim, ilekroć się do mnie odzywali, wyklinałem ich po rosyjsku. Nikt się nie domyślił, że nie jestem Piotrem Andrejowiczem.

Owinał głowę turbanem, przysłaniając nim martwe oko.

– A ty i Juliet? – zapytał, kiedy skończył. – Pogodziliście się?

Ross przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, nie bardzo wiedząc, jak powinna ona brzmieć.

– Tak, na ten moment – odrzekł w końcu.

– To dobrze. – Ian usiadł i wciągnął na nogi najlepszą parę skórzanych butów Rossa. – Przynajmniej tyle dobrego wyszło z tego bałaganu.

Z pokoju obok doszedł ich jakiś hałas. Ross szybko się odwrócił w tamtą

stronę, ale to była tylko Juliet. Wróciła po zamianie koni na wielbłąda i osły. Zrobiła wielkie oczy, kiedy zobaczyła brata.

– Zdumiewające. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, który przed dwiema godzinami wyszedł z Czarnej Studni.

– Eton i służba w brytyjskiej armii doskonale mnie przygotowały do pobytu w lochu – odparł Ian z humorem.

Juliet uściskała brata. Teraz czyniła to o wiele swobodniej niż wcześniej.

Choć żona przyjęła słowa brata z radością, Ross widział, ile wysiłku kosztowało szwagra, żeby zdobyć się na taki ton. Udawanie spokoju nie przychodzi łatwo.

– Powiedziałeś już Ianowi, jak on i ja opuścimy Bucharę? – zapytała Juliet.

– Jeszcze nie. – Ross podniósł dwie kupki poskładanych ubrań i dał po jednej żonie i szwagrowi. – W koszach zawieszonych na wielbłądach i w tych kobiecych fatałaszki będą z was ładne żony.

– Pomysłowe. Ubrania całkowicie nas zakryją, a w koszach nie będzie widać naszego wzrostu. – Ian uniósł opończę z końskiego włosia i zarzucił ją sobie na głowę. Nazywała się czador. Był to duży bezkształtny czarny worek z niewielkim otworem na oczy, przez który nieszczęsna właścicielka ogląda świat.

Juliet odkleiła sztuczne wąsy i także włożyła czador. Muzułmański strój był za krótki na nich oboje, ale ponieważ mieli siedzieć w koszach, było to bez znaczenia.

– Czas ruszać. Im szybciej wyjedziemy z miasta, tym szybciej pozbędziemy się tych strasznych worków.

Kiedy Ross wyszedł na dziedziniec, doszły go odgłosy porykiwań zwierząt i przekleństw poganiaczy – niewątpliwy znak, że w pobliżu zbiera się karawana. Był zachwycony, gdy się okazało, że wielbłądem, którego przyprowadziła żona, była jego ulubiona wielbłądzica Julietta. A więc Hussajn pomyślał także i o tym. Podczas gdy Juliet i Ian pakowali się do koszy, Ross witał się z ulubienicą. Dał jej jabłko, które ta od razu radośnie pożarła. Nie było jednak czasu na czułości. Ross wskoczył na jednego osła, Murad na drugiego. Po kilku minutach jazdy znaleźli się na dużym placu, gdzie karawana przygotowywała się do odjazdu. Zmieszali się z tłumem ludzi i zwie-



rząt. Jeśli szczęście nadal będzie im dopisywać, za godzinę znajdą się poza miastem.

Shahid Mahmud dowiedział się, że tej nocy z Buchary wyruszały dwie karawany, mniejsza na południe przez bramę na Namazgah i większa na wschód w stronę Samarkandy. Po wysłaniu patrolu do bramy na Namazgah, sam ruszył do drugiego wyjścia, skąd odjeżdżała karawana kierująca się na wschód. Na noc zamykano główne bramy i przechodzić można było tylko przez małe boczne drzwi, w których mieściło się jedno zwierzę. Właśnie z tego powodu Shahid miał nadzieję, że większa karawana znajduje się jeszcze w mieście. Okazało się jednak, że się spóźnił; kiedy dotarł do bramy, po karawanie nie było już śladu. Niemniej zastał tam jeszcze celników, którzy sprawdzali bagaże i paszporty podróżników. Poddał ich ostremu przesłuchaniu, w którego wyniku dowiedział się, że w karawanie znajdowało się przynajmniej kilka osób pasujących do opisu Kilburna.

Shahid uczył się polować na zwierzynę już we wczesnym dzieciństwie, kiedy tylko posiadał umiejętność jazdy konnej. Wyrobił sobie wtedy niezawodny instynkt myśliwego, który mówił mu teraz, że Kilburn opuścił miasto właśnie tą bramą. Wybrawszy tuzin najlepiej wyszkolonych i najlepiej uzbrojonych żołnierzy, ruszył wraz z nimi w nocną pogoń za uciekinierami. Poprzysiągł sobie, że dorwie psiego syna.

Ostatni etap zaplanowanej ucieczki z Buchary zakończył się sukcesem, tak jak poprzednie; zgodnie z ustaleniami cztery silne turkmeńskie konie pustynne czekały na nich przy samotnej stodole. Oprócz nich uciekinierzy znaleźli tu strzelby i amunicję, które Juliet tydzień wcześniej wydostała z ukrytego miejsca.

Ogromnym zaskoczeniem była dla nich obecność samego Hussajna Kasema. Podczas gdy Juliet nadzorowała przejęcie koni, Ross z ulgą pozbył się sztucznej brody i pożegnał z Juliettą, która zaryczała smutno, jakby się domyślała, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Wytargawszy ją czule za uszy, odwrócił się i prawie wpadł na Hussajna, stojącego tuż za nim. Miał rozbażwioną minę.

– Jestem szczęśliwy, że mogę ci podziękować i pożegnać się z tobą – po-

wiedział Ross, kiedy już przywitał się z przyjacielem. – To, co dla nas zrobiłeś, jest nieocenione.

Hussajn machnął lekceważąco ręką.

– Ty oddałeś mi ojca, a ja tobie brata.

– Pomogłeś mi o wiele bardziej. – Ross nie mógł zaproponować Hussajnowi zapłaty, bo obraziłby tym bucharczyka, niemniej pod wpływem impulsu wyciągnął starożytną monetę: nagrodę po meczu *buzkaszi*. – Czy przyjmiesz ten drobiazg jako pamiątkę po podróży, której nigdy nie zapomnę?

Hussajn uśmiechnął się, pokazując równe białe zęby.

– Przyjmę to jako pamiątkę po człowieku, którego nigdy nie zapomnę.

– Po powrocie do Anglii zamierzam otworzyć instytut, gdzie będą mogli się spotykać ludzie dobrej woli z całego świata, żeby zachęcać innych do poznawania ich krajów i tradycji – zaczął z wahaniem Ross. – Może pewnego dnia ty także odwiedzisz mój instytut.

Hussajn pokręcił głową.

– Ja raczej nie wybiorę się już w taką podróż. Ale kto wie, może mój syn do ciebie przyjedzie.

Wymienili uściski dłoni, wiedząc, że robią to ostatni raz. Potem Ross wskoczył na swojego gniadosza. Na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać. Do czasu gdy słońce na dobre pojawi się na niebie, grupa Rossa zdąży okrążyć Bucharę i wjechać na drogę prowadzącą do Persji. W południe powinni przekroczyć Oxus.

Ross pozwolił sobie nawet na myśl, że być może ich szaleńcza ucieczka zakończy się jednak powodzeniem.

Wrzeszcząc i strzelając z długolufowych strzelb Shahid Mahmud i jego ludzie zatrzymali się przy karawanie zmierzającej do Samarkandy, po czym rzucili się do przeszukiwania bagaży i ludzi. Wysoki Pasztun z długą brodą, którego pojмали bucharscy żołnierze, przeżył chwile grozy, zanim yawer osobiście nie stwierdził, że podejrzany nie jest Kilburnem.

Kiedy słońce stanęło nad horyzontem, Shahid zebrał podróżników i zagroził im, że uzna wszystkich za współwinnych, jeśli któryś z nich nie udzieli mu informacji na temat *ferengi* i jego towarzyszy. Jakiś młody Ka-

zach o niepewnej minie wyznał wtedy, że widział ludzi na wielbłądzie i dwóch osłach, którzy w pewnym momencie odłączyli się od karawany.

Ta informacja potwierdziła przypuszczenia Shahida. Domyślał się, że *ferengi* uczyni dokładnie to, co uczynił, czyli okrąży Bucharę i zamiast ruszyć w głąb Turkiestanu, wybierze drogę do domu.

Poderwał swoich ludzi. Sądził, że zdoła dopaść uciekinierów, nim ci przekroczą Oxus. A jeśli nawet nie, i tak nie miało to dla niego większego znaczenia. Jeśli będzie trzeba, będą gonić Kilburna także przez pustynię.

Niczym psa myśliwskiego, który złapał trop, nic poza śmiercią nie mogło go zatrzymać.

Nawet dwanaście lat spędzonych w Persji nie przygotowało Juliet na trudy ich ucieczki przez Kara-Kum. Parzące piaski były kowadłem dla słońca, a jego bezlitosne promienie młotem, który uderzał w kruche ludzkie ciała. Gdyby nie ochładzający „wiatr stu dni”, podróż przez pustynię nie wchodziłaby w grę.

Ale wiatr bywa też wrogiem, bo lato to pora burz piaskowych. Przynajmniej sześć razy w ciągu każdego dnia musieli stawiać czoło takim nawałnicom, które straszliwie spowalniały ich podróż. Na dodatek gryzący piasek zatykał im płuca. Na szczęście żadna z burz nie była tak silna, jak ta, którą Juliet i Ross przeżyli w drodze do Bucharzy.

Po pokonaniu rzeki Oxus jechali nieprzerwanie przez dwadzieścia cztery godziny, aż w końcu wyczerpanie zmusiło ich do zatrzymania się na odczynek pod naprędce zrobionymi namiotami z rozciągniętych koców. Ale nawet wtedy gorąco nie pozwalało im zasnąć.

Kiedy słońce zawisło daleko nad horyzontem, dosiedli koni i ruszyli dalej. Jechali przez całą noc i następnego dnia, aż koło południa dotarli do małej studni. Nie było w niej dostatecznie dużo wody, żeby mogli uzupełnić bukłaki, więc zostali przy niej kilka godzin, czekając, aż się napełni. Potem znowu ruszyli.

Decyzja, żeby wybrać mniej używany szlak, okazała się słuszna, bo po przekroczeniu rzeki Oxus nie spotkali już więcej innych podróżników. Jechali po bezdrożach, kierując się kompasem, gwiazdami i wiedzą Murada, który w Bucharze zebrał o trasie tyle informacji, ile tylko zdołał. Trzeciego dnia Juliet uznała, że nie grozi im już pościg. Niemniej, kiedy zatrzymali się na popołudniowy posiłek, Ross wspiał się na pobliskie wzgórze, żeby przez lornetkę obejrzeć okolicę. Zbyt zmęczona, żeby zasnąć, Juliet postanowiła dołączyć do męża, sądząc, że rozmowa z nim nieco ją zrelaksuje.

Ross siedział w cieniu odsłoniętej skały, przyglądając się okolicznym wzgórzom. Juliet wiedziała, że mąż spał najmniej z całej grupy, bo nawet w czasie postojów zachowywał czujność. Zdołał jednak przywołać na usta słaby uśmiech, kiedy obok niego usiadła.

– Jak ci się jedzie?

– Zupełnie nieźle. – Westchnęła i poluzowała taglmoust, żeby poczuć wiatr na twarzy – Ale kiedy dotrę do domu, przez tydzień będę tylko spała i siedziała w łaźni.

– Już niewiele nam zostało – powiedział Ross. – Jesteśmy w połowie drogi.

Siedzieli w milczeniu, napawając się momentem bliskości.

– To interesujące – odezwała się Juliet, przerywając ciszę. – Ian nie słabnie, a staje się wręcz silniejszy. Pierwszej nocy, kiedy musiałeś przywiązać go do siodła, bałam się, że nie przeżyje tej podróży.

– A on jadł, ile tylko mógł, na każdym postoju spał jak zabity, a potem budził się na tyle wzmocniony, że sam mógł już wsiąść na konia. Jest bardzo silny, inaczej nie przeżyłby pobytu w Czarnej Studni. – Oczy Rossa zamigotały. – Bez wątpienia Ian powiedziałby, że pobyt w lochu dobrze go przygotował na taką przeprawę.

Juliet zacisnęła palce na dłoni męża.

– Boję się powiedzieć to na głos, ale wiele wskazuje, że może nam się udać. – Uśmiechnęła się. – I, mimo że z niechęcią, to przyznaję, iż tym razem intuicja nie zawiodła mojej matki.

– Co się stanie, gdy dotrzemy do Serevanu? – zapytał ciepło Ross.

Juliet zadrżała.

– Nie wiem – odparła prawie szeptem.

– Ja też nie. – Ross puścił dłoń żony i podniósł do oczu lornetkę. Zmarszczył czoło.

– Widzisz coś?

– Chmurę kurzu, która bardziej kojarzy się z jeźdźcami niż burzą piaskową. – Podał lornetkę żonie. – Zobacz.

Juliet z uwagą przyjrzała się wyblakłemu horyzontowi.

– Grupa jeźdźców. Dziesięciu albo dwunastu ludzi – stwierdziła pewnie. – I nadjeżdżają od strony Buchary. Myślisz, że to pościg?

– Możliwe. Jeśli ktoś za nami jechał na tyle daleko, bo chciał się upewnić, że zdążamy do Persji, domyślił się zapewne, że wybierzemy tę drogę, bo innej nie ma.

Juliet poderwała się na nogi.

– Chyba powinniśmy stąd uciekać.

Nie ruszając się z miejsca, Ross pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Nawet konie Turkmenów potrzebują odpoczynku w takim gorącu. A Ian nie jest z żelaza, mimo że tak doskonale sobie radzi. Zostanę tu i będę obserwować jeźdźców. Kiedy się zbliżą, sprawdzimy, czy są groźni. Idź i odpocznij — ty też nie jesteś z żelaza.

– Mogę się położyć tutaj, obok ciebie? – zapytała Juliet nieco zawstydzona, ale wiedziała, że najlepiej odpocznie, będąc w pobliżu męża. – Przyrzekam, że spróbuję się przespać.

Zamiast odpowiedzi Ross pociągnął ją za rękę i zmusił, żeby się położyła obok. Ułożyła się wygodnie z głową na jego kolanach i odpłynęła w sen.

Cienie się już wydłużały, kiedy Ross potrząsnął jej ramieniem.

– Czas ruszać w drogę. Jeźdźcy przed nami ubrani są jak bucharscy żołnierze. To musi być pościg, inaczej nie mieliby po co aż tutaj się zapuszczać.

– Do diabła. – Juliet wpatrywała się ze zdumieniem w chmurę kurzu, którą teraz widać już było nawet bez lornetki. – Nie mogę uwierzyć, że można być takim upartym.

– To pasuje do Shahida Mahmuda. Podpadliśmy mu oboje, a on jest jak buldog, który nigdy nie rezygnuje z walki.

Pospiesznie zeszli ze wzgórza, żeby zbudzić resztę. Po pięciu minutach byli już w drodze. Jechali, nie zatrzymując się, przez całą noc, a jednak kiedy następnego dnia Ross wspiał się na najwyższy szczyt w okolicy, stwierdził, że niewiele się oddalili od ścigających.

Marszcząc czoło, opuścił lornetkę. Jadący za nimi żołnierze wiedzieli chyba o ich obecności, bo pomimo warunków atmosferycznych poruszali się tak szybko, jak tylko mogli. Jeśli Ross i jego towarzysze zdołają utrzymać dotychczasowe tempo, wkrótce będą bezpieczni. Wystarczyła jednak jakakolwiek przeszkoda w podróży, a konsekwencje spowolnienia mogą okazać się katastrofalne.

Ale kłopoty i tak się pojawiły, choć nieco później, kiedy dotarli do następnej studni i ta okazała się wyschnięta. Minęły dwa dni od ostatniego napełniania bukłaków. Zostało w nich już bardzo mało wody. Jeśli będą ją wydzielać rozważnie, dla ludzi starczy na jeszcze jakieś dwa dni. Jednak konie będą musiały się napić o wiele wcześniej.

Z ponurymi minami ruszyli w stronę następnej studni.

Bez cienia litości dla swoich żołnierzy Shahid gnał ich przez ruchome piaskowe wydmy w pogoni za uciekającą grupą jeźdźców, która, o czym yawer wiedział bez cienia wątpliwości, składała się z *ferengi* i jego kompanów. Podpowiadały mu to instynkt oraz niesamowita umiejętność wczuwania się w sytuację i przewidywania posunięć przeciwników. Gdy dotarł do Oxus, przewoźnik na promie potwierdził jego przypuszczenia, że osobnik podobny do Kilburna i jakiś Tuareg przeprawiali się wcześniej przez rzekę. Ale już to, że *ferengi* wybierze rzadko używany szlak, Shahid wyczuł intuicyjnie.

Kiedy wraz z żołnierzami dotarł do wyschniętej studni, wiedział, że czeka go zwycięstwo, bo w przeciwieństwie do uciekającej grupy, miał ze sobą dwa konie juczne wiozące nadal pełne dodatkowe bukłaki z wodą. Wkrótce Kilburn i jego przyjaciele zwolnią tempo, a wtedy Shahid napadnie na nich jak sokół na bezbronne ptaszyny. Z dzikim błyskiem w oczach zmusił swoich żołnierzy do szybszej jazdy.

Mijał następny wyczerpujący dzień ucieczki. Juliet nie mogła uwierzyć, że ścigający ich żołnierze są coraz bliżej. Oglądając się za siebie, stwierdziła, że nie znajdują się jeszcze na tyle blisko, by ich kule mogły dosięgnąć uciekających, ale już wkrótce mogło się to zmienić.

– Myślę, że czas znaleźć miejsce na zasadzkę, w którym zaczekamy na Shahida – powiedziała do męża, podjeżdżając do niego.

Ross się skrzywił.

– Pewnie niedługo tak zrobimy. Nasza broń to nasz największy atut, zwłaszcza że Uzbegy nie są dobrymi strzelcami, jak choćby Afgańczycy. Niemniej ich jest około tuzina, a my mamy tylko dwie strzelby.

Juliet z obawą spojrzała w niebo.

– Jeśli mamy się zatrzymać, powinniśmy to zrobić szybko, przed zachodem słońca.

Ross rozejrzał się po okolicy, której krajobraz stanowiły niskie, falujące piaskowe wzgórza.

– Z radością przehandlowałbym te piaski na porządny skalny wąwóz,

gdzie moglibyśmy ustawić się na szczycie.

Uśmiechnęła się słabo.

– Ja przehandlowałabym ten piasek na wszystko, co tylko przysłoby ci do głowy.

Ich rozmowę przerwał okrzyk Murada, który właśnie okrążył jedno z piaskowych wzgórz.

Mniej niż ćwierć mili przed nimi znajdowała się grupa Turkmenów w czarnych czapach. Składała się z przynajmniej dwudziestu mężczyzn. Nie było wśród nich ani kobiet, ani dzieci. Turkmeni dostrzegli nadjeżdżających i zawrócili, żeby im się przyjrzeć.

– Prawie jak między młotem a kowadłem – sarknęła Juliet.

– Szczerze mówiąc, wolałbym naprawdę znaleźć się między młotem a kowadłem niż w tej sytuacji – odparł cierpko Ian.

Juliet próbowała coś wymyślić, ale w głowie miała pustkę. Choć goniących ich żołnierzy mogliby jeszcze od biedy próbować powystrzelać, to już Turkmenów było tylu, że wdawać się z nimi w bijatykę graniczyłoby z szaleństwem. Ucieczka przed obiema grupami też nie wchodziła w grę, bo ich konie były za bardzo wymęczone.

Ross westchnął ciężko.

– Istnieje tylko jedno wyjście. Musimy porozmawiać z Turkmenami, licząc na to, że uratuje nas azjatycka zasada gościnności. – Z ręką uniesioną na znak pokojowych zamiarów ruszył na oczach zatrwożonej Juliet w stronę dzikich koczowników.

– Ross ma rację – stwierdził krótko Ian i podążył za szwagrem.

Juliet i Murad popatrzyli na siebie z przerażeniem.

– Chyba zwariowali, licząc na honor u turkmeńskich bandytów! – zawołał Murad.

Juliet całkowicie się z nim zgadzała, ale nie miała innych pomysłów.

– Czy szaleńcy nie są w islamie uważani za świętych? – rzuciła kpiąco i poprawiła tagelmoust. – I czy zasada gościnności też nie jest święta? Módlmy się, żeby ci Turkmeni tak właśnie myśleli.

Ruszyła za mężem i bratem, którzy dojechali już do Turkmenów. Za nią rozległ się tupot kopyt – to Murad poszedł w jej ślady. Dotarli do Rossa, w chwili gdy ten mówił:



– Błagamy was o pomoc, bo ostatnia studnia, którą mijaliśmy była wyschnięta i nasze konie umierają z pragnienia.

– Błagacie nas o pomoc? – Młody mężczyzna w kolorowych szatach, zdaje się, że przywódca grupy, wyglądał na zdumionego: nie ulegało wątpliwości, że był przyzwyczajony, iż napotkani na pustyni podróżnicy raczej uciekali na jego widok, niż zwracali się z prośbą o wsparcie.

Przez chwilę Turkmen wahał się, czy zastosować się do odwiecznych zasad gościnności, czy wybrać pazerność.

– To Kilburn, ten *ferengi*, który pokonał Dil Assę i zwyciężył w meczu *buzkaszi*! – zawołał nagle któryś z kompanów bandyty. Podjechał nawet bliżej, żeby się przyjrzeć Rossowi. – Na własne oczy widziałem, jak to zrobił. Nie mogłem uwierzyć, że innowierca tak dobrze sobie radzi.

Zawtórowało mu dwóch innych mężczyzn, którzy także widzieli mecz. Jeden z nich był kuzynem Dil Assy. Opowiedział, jak po meczu Dil Assa podarował Rossowi swoją wykończoną wilczym futrem czapę.

W tym momencie z twarzy Turkmenów zniknęła podejrzliwość, uśmiechali się przyjaźnie.

– Słyszałem, Kilburn, że udałeś się do Buchary, żeby prosić o uwolnienie brata. Czy emir go wypuścił? – zapytał ten, który pierwszy rozpoznał Rossa.

– Nie, nie chciał tego zrobić. – Powiedziawszy to, Ross zamilkł dla wywołania większego wrażenia. – I dlatego, ponieważ Nasrullah nie pozostawił nam wyborują i moi przyjaciele, Murad i Jalal – skinął w stronę towarzyszy – musieliśmy wykraść brata z Czarnej Studni.

Słuchacze sapnęli ze zdumienia, a Ross wskazał na Iana.

– I oto on, wykradzony z lochu emira. – Wysoki, z zabandażowanym okiem i rudą brodą, zrobił wrażenie nawet na turkmeńskich bandytach.

Zapytany, jak udało mu się uwolnić brata, Ross opowiedział pokrótce o przebraniu, fałszywych dokumentach i o tym, jak wrzeszczał na więziennego porucznika. Historia ogromnie Turkmenów ubawiła.

– Część żołnierzy emira udała się za nami w pościg – wyjaśnił Ross, kiedy już ucichły wybuchy śmiechu. – Są już niedaleko. Mają dwanaście strzelb na nasze dwie. To następny powód, dla którego zwracamy się do was o pomoc.

Przywódca, który przedstawił się jako Subhan, uśmiechnął się szeroko.

– Z przyjemnością pomożemy legendarnemu Kilburnowi. – Odwracając się do swoich kompanów, dodał: – Jedziemy prosto z oazy i mamy spore zapasy wody.

Doszło do wymiany bukłaków, po czym Subhan powiedział:

– Jedziemy w przeciwną stronę niż wy. Jeśli spotkamy żołnierzy, którzy was śledzą, spuścimy im cięgi za to, że mieli czelność jechać za wami aż na pustynię. Kara–Kum należy do nas i nikt nie będzie się po niej szwendał bez naszej zgody. – Rozbrzmiały groźne okrzyki potwierdzające jego słowa.

– Wielkie dzięki. – Ross z powagą pochylił głowę. – Taka odwaga płynie prosto z serca i nie ma na nią ceny, jednak, jako wyraz naszej wdzięczności, chciałbym wam coś podarować. – Wcześniej, przy zamianie bukłaków, wyciągnął coś z sakwy przy siodłach, i teraz podał przywódcy Turkmenów skórzany woreczek. – Choć nie będę mógł uczestniczyć w tej uczcie, proszę, żebyś taką wyprawiał. Jesteście wielkoduszni i odważni.

Subhan, przy wtórze wiwatów, wepchnął woreczek za czapan.

– Będziemy przez całą noc śpiewać i tańczyć, i to na twoją cześć, *ferengi* – przyrzekł. – A pewnego dnia powiem mojemu synowi, jeśli go będę miał, że poznałem legendarnego Kilburna.

Wymieniwszy uprzejmości, obie grupy rozjechały się – oni na zachód, Turkmeni na wschód. Po mniej więcej półtoragodzinnej jeździe, gdy Ross i jego towarzysze zatrzymali się, żeby napoić konie, z oddali dobiegły odgłosy wystrzałów. Zamarli.

Murad uśmiechnął się szeroko.

– Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień, w którym będę się cieszyć z tego, że Turkmeni to krwiożerczy barbarzyńcy.

– Dokąd są po naszej stronie, mogą sobie być krwiożerczy, ile tylko chcą. – Juliet skończyła poić konie i sama wzięła łyk wody, wcześniej zwilżając nią spękane usta. Dosiadając konia, pomyślała, iż to typowe dla jej męża, że potrafił sprawić, by bezwzględność Turkmenów przyniosła im korzyść. To jedyny mężczyzna na milion. Jaka szkoda, że ona nie jest jedyną kobietą na milion, która byłaby go warta.

Bandażując otarty nadgarstek, Shahid kłął siarczyście pod nosem. Mało co, a ci przekłeci Turkmeni wszystko by zepsuli tym swoim niespodziewa-

nym atakiem. Zaczęło się ostro, jednak z czasem walka na śmierć i życie zamieniła się w zwykłą potyczkę, której towarzyszyły okazjonalne wystrzały i wykrzykiwane głośno wymyślne wyzwiska. Ta wymiana trwała aż do nocy. Żołnierze Shahida rozpiezchli się; ośmiu w ogóle zniknęło, co nie znaczy, że stracili życie, a po prostu stchórzyli i uciekli. Pewnie te świnie są teraz w połowie drogi do Bucharu, myślał ze wściekłością Shahid.

Na szczęście zostało mu jeszcze trzech ludzi, najsilniejszych, najgroźniejszych i najbardziej zajadłych z całego patrolu. Powinni wystarczyć. Uzbek obliczył, że nadrobienie godzin, które stracił z powodu Turkmenów, zajmie mu jakieś dwa dni; dogonią Kilburna gdzieś w okolicy miejsca, w którym pustynia przechodzi w teren górzisty.

Shahid zaskoczy go przy skalistych wzgórzach, znaczących początek granic Persji. Nierówny teren sprzyjał ścigającym. Prowadził swoich ludzi kamienistym szlakiem, aż w końcu ujrzeni przed sobą uciekinierów. Kilburn i jego kompani znajdowali się na przeciwległym końcu wąwozu, poniżej bucharczyków. Cała grupa zaczynała się właśnie wspinać na strome wzgórze. Był to doskonały moment na zasadzenie się na uciekinierów.

Shahid kazał swoim ludziom zsiąść z koni i się ukryć. Kiedy załadowali już wszystkie strzelby i wycelowali je w ludzi na dole, z dodatkową amunicją leżącą pod ręką, yawer dał znak żołnierzom, żeby strzelali.

On na swój cel wybrał samego Kilburna.

Kiedy dotarli do wzgórz, Juliet rozpoznała teren i poprowadziła towarzyszy na szlak będący najkrótszą drogą do Serevanu. Teraz, gdy wspinali się w górę zbocza, wiatr przywiał w ich stronę górskie chłodniejsze powietrze. Wszyscy od razu poczuli przyływ energii.

– Jesteśmy pięć mil od fortecy – oświadczyła z satysfakcją. – Jeszcze przed obiadem zdążymy zażyć rozkoszy łaźni.

Ross zachichotał.

– Jesteś jak koń, który zwietrzył zapach własnej stajni.

Juliet uśmiechnęła się, wcale nie obrażona porównaniem. Jechali blisko siebie, Ian tuż za nią, Ross i Murad na przedzie.

– Udało ci się, Muradzie – powiedział radośnie Ross. Droga stała się szersza, więc jechał teraz obok Persa. – Przeprowadziłeś nas bezpiecznie

przez Kara-Kum, szlakiem, którym nigdy wcześniej sam nie podróżowałeś. Jesteś mistrzem przewodników.

Murad wybuchnął śmiechem.

– Cieszę mnie twoje pochwały, Kilburn – Pers dla podkreślenia swoich słów pochylił się do przodu – jeśli tylko nie zapomniałeś o premii, którą mi przyrzekłeś!

Koniec radosnej atmosfery nastąpił nagle, wraz z hukiem wystrzałów i gradem kul spadających na podróżników. Któryś z mężczyzn przed Juliet krzyknął, ale ona nie traciła czasu, żeby sprawdzić, który. Kule odbijały się rykoszetem od skał, więc zeskoczyła szybko na ziemię i ciągnąc za sobą konia, ukryła się za stertą kamieni.

Znajdujący się kilka kroków od niej Ross, który już wcześniej zdążył się ukryć, wyciągnął strzelbę i zaczął obstrzeliwać wąwóz. Sprawiał wrażenie opanowanego, Ian ukrył się za tą samą stertą kamieni, co Juliet.

– Dzięki Bogu, że ci strzelcy, kimkolwiek są, nie są zbyt celni.

Juliet nie podzielała zdania brata. Kule nie trafiły ich tylko dzięki silnie wiejącemu w wąwozie wiatrowi. Poza tym napastnicy nie byli tak całkiem nieskuteczni, bo jeden z nich trafił Murada. Leżał teraz nieprzytomny z rękawem przesiąkniętym krwią, w miejscu zbyt odsłoniętym, żeby można mu było pomóc.

Klnąc pod nosem, Juliet ostrożnie wyjrzała zza kamieni. Jeden z napastników wystrzelił ponownie; chmurka ciemnego dymu ujawniła jego pozycję, zanim jeszcze ostry odgłos wystrzału odbił się od poboczy wąwozu. Ross i Juliet odpowiedzieli na obstrzał, potem szybko padli na ziemię. Czując w nosie gryzący zapach prochu, Juliet zastanawiała się nad liczbą napastników. Sądząc po obstrzałach, doszła do wniosku, że musi ich być od trzech do pięciu.

Załadowała broń i rozejrzała się za następnym celem, ale nikogo nie zobaczyła.

– Jeden kryje się za tą poskręcaną sosną. Dostrzegłeś gdzieś innych, Ross?

– Dwóch jest za tamtym ciemnym osypiskiem, a jeden poniżej nich, na lewo. – Dla podkreślenia słów Ross oddał do przeciwników jeden strzał i znowu się pochylił. – Coś mi się wydaje, że Shahid Mahmud i jego ludzie

jednak nas dogonili.

Juliet nie zamierzała się sprzeczać; przypuszczała, że mąż ma rację. Nawet banda Turkmenów nie zdołała zniechęcić Shahida. Dostrzegłszy jaśniejszą plamkę nad ciemnym osypiskiem, oddała w tamtą stronę strzał, a potem jeszcze jeden, nieco w bok, z nadzieją, że trafi ukrytego za skałą osobnika rykoszetem.

Zaległa cisza. Juliet wyciągnęła z sakwy przy siodle pistolet i podała go bratu wraz z dodatkową amunicją.

– Żałuję, że nie mamy jeszcze jednej strzelby, ale to może ci się przydać, gdyby ktoś się do nas zakradł.

– Szkoda na mnie porządnej strzelby, bo bez jednego oka pewnie nie potrafiłbym już celnie strzelać. – Ian sprawdził, czy pistolet jest nabity, potem go odbezpieczył. – Ale biorąc pod uwagę fakt, że teren jest rzeczywiście idealny do podchodów, z pistoletem w dłoni będę się czuł o wiele pewniej.

Miał rację co do ukształtowania okolicy, bo była ona pokryta większymi i mniejszymi odłamkami skał, dzięki czemu można było przemieszczać się między nimi, prawie nie wystawiając się na obstrzał.

– Na razie mamy sytuację patową – rzuciła ponuro Juliet.

– Jeśli szybko nie zmieni się na naszą korzyść, Murad może wykrwawić się na śmierć – rzekł twardo Ross. Znowu oddał strzał i szybko załadował broń. – Nie zamierzam pozostawiać inicjatywy w ich rękach. Wdrapię się na tamten skalny występ, skąd będę miał widok na cały wąwóz.

Juliet obejrzała się na ostre zbocze wzgórza za jej plecami.

– Zajmę ich, żeby nie mieli czasu do ciebie strzelać.

Ross posłał żonie czuły uśmiech, jakby znajdowali się w sypialni w Bucharze, a nie w wąwozie, walcząc o życie.

– Dobrze, że w dzieciństwie chodziłaś na strzelnicę zamiast uczyć się gry na jakimś instrumencie albo haftować.

Z trudem pohamowała śmiech.

– Tylko nie zapomnij kryć głowy i innych cennych części twojego ciała. – Przez chwilę przyglądała się mężowi, który ze strzelbą w ręku zaczął wspinać się na zbocze. Poruszał się zwinnie i szybko, kryjąc się, za czym tylko mógł. Nie były to umiejętności charakterystyczne dla markiza; przynajmniej w tym względzie do siebie pasowali.

Potem Juliet odwróciła się i skupiła uwagę na przeciwległym zboczu wąwozu, dziękując Bogu za szybkostrzelną broń; ich przeciwnicy nie zorientują się, że strzela do nich tylko jedna osoba.

Shahid Mahmud klął już prawie nieprzerwanie; okazało się, że wybrane przez niego na zasadzkę miejsce wcale nie było takie idealne. Przeszkadzał im mocny wiatr i teren obsypany skałkami, za którymi uciekinierzy z łatwością mogli się ukryć. Przez błędną ocenę siły wiatru bucharczycy stracili początkową przewagę wynikającą z zaskoczenia. Do diabła z wiatrem, do diabła z żołnierzami, którzy nie potrafią celnie strzelać, myślał ponuro Shahid. Przede wszystkim jednak miał pretensję do siebie za to, że trafił w przewodnika zamiast w *ferengi*.

W pewnej chwili zmrużył oczy, bo zobaczył jakąś zieloną smugę, jakby ktoś poruszał się po przeciwległym zboczu wąwozu. Tylko Kilburn był ubrany w strój tego koloru. Uzbek nie odrywał wzroku od zbocza. Wkrótce spotkała go nagroda, bo znowu dostrzegł wyżej na zboczu coś zielonego.

Yawer zaczął kłać, domyślając się, że *ferengi* wspina się na górę, by zająć lepszą pozycję. Ponieważ zbocze po drugiej stronie kończyło się płaskowyzem, psi syn mógł znaleźć się nad bucharczykami; jeśli nikt go nie zatrzyma, zajmie pozycję nie do zdobycia. Należy przeszkodzić *ferengi*, ale żeby tego dokonać, najpierw Shahid będzie musiał przedrzeć się na przeciwległy stok, bo dopiero stamtąd dosięgnie innowiercę kulą.

Kucając, przemieścił się w prawo, do leżącego niżej następnego usypiska z kamieni. Natychmiast świsnęła obok niego kula, tak blisko, że miał już śmierć w oczach. Po chwili druga odłamała kawałek skały, za którą krył się następny bucharczyk. Do diabła, ludzie *ferengi* są celami. Ale zanim kogoś trafią, muszą najpierw go zobaczyć, a Shahid, skacząc od skałki do skałki, bardzo się pilnował, żeby nikt go nie zauważył.

Wspinaczka po nierównym zboczu szła Rossowi wolno, ale Juliet doskonale go kryła, więc udało mu się dotrzeć na wybrane miejsce niezauważonym. Półka skalna, do której zmierzał, okazała się pochylonym usypiskiem kamieni, bardziej stromym niż to się wydawało z dołu. Położywszy się na płask, przeczołgał się po ostrym żwirze na brzeg usypiska.

Na miejscu ostrożnie uniósł głowę i rozejrzał się po wąwozie. Tak jak przypuszczał, poniżej zobaczył trzech niczego niepodważających bucharczyków. Zacisnął usta, kiedy stwierdził, że żaden z mężczyzn nie przypomina sylwetką potężnego Shahida Mahmuda. Szkoda, gdyby zastrzelił oficera, walka mogłaby zakończyć się bez dalszych ofiar.

Ross nienawidził zabijania, ale w sytuacji, gdy musiał wybierać między życiem przyjaciół a życiem kompletnie obcych mu osób, musiał odstąpić od swoich zasad. Dokładnie namierzał cel, starając się myśleć, że żołnierze to tarcza strzelecka, a nie prawdziwi ludzie. Potem przystawił strzelbę do ramienia, zmrużył oczy i pamiętając o wietrze, pociągnął za spust.

Pierwsza kula trafiła jednego z żołnierzy prosto w serce. Nie patrząc, jak człowiek w dole pada, ponownie załadował broń i oddał następny strzał. Cel był ruchomy, bo drugi żołnierz uciekał. Ross trafił go w ramię; mężczyzna, krzyknąwszy, upuścił broń. Padł na kolana i złapał się za krwawiące miejsce. Tego dnia już nie użyje swojej strzelby.

Po ponownym załadowaniu broni Ross jeszcze bardziej przesunął się w stronę brzegu, pocieszając się tym, że jeśli nawet spadłby z usypiska, dwadzieścia stóp poniżej znajdowało się następne, więc przy upadku raczej nie skręciłby sobie karku. Uniósłszy głowę, próbował odnaleźć wzrokiem Shahida, który zapewne znajdował się gdzieś po drugiej stronie wąwozu.

Ross nie zdążył poczuć uderzenia kuli, która go trafiła.

Kiedy w wąwozie rozległ się huk wystrzałów, które padły z broni Rossa, Juliet miała ochotę głośno krzyknąć z radości. Gdy po drugim wystrale usłyszeli jęk, Ian z zadowoleniem kiwnął głową.

– Wygląda na to, że Ross jednego trafił.

– Dwóch – rzuciła Juliet z entuzjazmem. – Jest tak dobry, że pierwszy strzał z pewnością był śmiertelny.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że z miejsca, gdzie znajdował się jej mąż, unosi się smużka ciemnego dymu. Dostrzegła biały turban i nieco się zdziwiła, bo głowa Rossa zwisała niebezpiecznie nad usypiskiem; dobrze, że mąż lepiej od niej znosi wysokość.

Rozległ się następny wystrzał. Juliet od razu się zorientowała, że coś jest nie tak, bo strzał padł z broni bucharczyków, tyle że z miejsca, w którym

znajdował się Ross.

W następnej chwili, ku jej przerażeniu, mąż zsunął się z brzegu usypiska i spadł w dół. W tym samym czasie przez wąwóz przeleciał ochryply okrzyk zwycięstwa.

– Ross! – krzyknęła Juliet. Ogarnęło ją takie przerażenie, że sama o tym nie wiedząc, rzuciła się przed siebie, ale powstrzymał ją Ian, zmuszając do padnięcia na ziemię.

– Jezu Chryste, Juliet! Jeśli chcesz iść do Rossa, musisz się kryć, nie możesz mu, jeśli cię zabiją. Daj mi strzelbę, spróbuję cię osłaniać. – Wyrwał broń z zaciśniętych palców siostry, potem odbezpieczył pistolet i wetknął go w jej dłoń. – Weź to. Może ci się przydać.

Przyjęła pistolet bez słowa, a gdy brat puścił jej ramię, rzuciła się w górę zbocza, kryjąc się wprawdzie, ale niezbyt starannie.

Ian przez chwilę patrzył za siostrą, potem się odwrócił i wycelował w stronę wąwozu. Oddał strzał, żeby przeciwnicy wiedzieli, że ich grupa nadal się trzyma.

Shahid z radością ruszył w stronę swojej ofiary. Istniała możliwość, że Kilburn wciąż żyje, bo Shahid strzelał do niego z niewygodnej pozycji, a sam upadek, choć wyglądał dramatycznie, nie musiał pozbawić *ferengi* życia, chyba że ten upadł na skałę tak niefortunnie, że jednak się zabił. Trzeba więc było przekonać się najpierw, czy *ferengi* rzeczywiście jest martwy. Z bronią gotową do strzału, pochylony przedzierał się do miejsca, w którym leżała jego ofiara.

Kiedy Juliet wdrapała się wreszcie na półkę, na którą upadł Ross, przekonała się, że o dziwo pokryta jest ona łatami piasku i żwiru porośniętego kępkami ostrych traw. Miała nadzieję, że względnie miękkie podłoże złagodziło nieco upadek.

Ross leżał na boku, twarz miał spokojną, jakby spał. Jasne włosy splamiła krew. Juliet uklękła przy mężu i sprawdziła puls. Nie mogła go odnaleźć i wpadła w panikę. Dopiero po chwili wyczuła pod palcami słabe tętno, które oznaczało nie tylko, że mąż żyje, ale i to, że ona sama odzyskała życie, bo gdyby Ross zginął, wraz z nim umarłaby najlepsza część niej samej.



Odłożyła pistolet na ziemię i szybko przyjrzała się zranieniom. Wyglądało na to, że kula drasnęła Rossa w głowę, ale poza tym raczej nie odniosła większych obrażeń.

Potrzebny był bandaż, więc zerwała z głowy tagelmoust i porwała go na pasy. Uwolnione włosy rozsypały się po plecach i ramionach. Właśnie kończyła owijać Rossowi głowę, kiedy za jej plecami rozległ się chrzęst kamyczków, jakby ktoś się zbliżał.

Odwróciła głowę dokładnie w chwili, gdy uzbrojony Shahid zeskakiwał na półkę. Wylądował jakieś dziesięć kroków od niej. Oboje wpatrywali się w siebie z zaskoczeniem.

–Kobieta! – wysapał Uzbek, przyglądając się ze zdumieniem twarzy Juliet i jej rudym włosom powiewającym na wietrze. – A więc tuareski chłopiec Kilburna to w rzeczywistości chuda ladacznica i to na dodatek *ferengi*.

Koran nakazuje być litościwym dla dzieci i kobiet, ale Shahid nigdy nie przestrzegał tego przykazania. Z wyrazem diabelskiego zadowolenia na twarzy uniósł strzelbę, mierząc do Juliet.

–Teraz dołączysz do swojego kochanka.

Ale był za wolny. W czasie gdy Uzbek gapił się na Juliet, ona zdążyła chwycić pistolet i odbezpieczyć.

Teraz uniosła go i trzymając w obu rękach, strzeliła Shahidowi prosto w serce.

Ogłuszający huk wystrzału przywrócił Rossowi przytomność, choć nadal czuł się oszołomiony. Ciało wprawdzie odmówiło mu posłuszeństwa i nie mógł się poruszyć, ale zdołał lekko unieść powieki, akurat w chwili, gdy kula trafiła Shahida, a ten pod wpływem uderzenia przekreślił się i spadł z półki. Juliet opuściła broń.

– Bucharzczycy – zawołała nieco drżącym głosem – wasza misja się skończyła, bo yawer Shahid Mahmud nie żyje, a *ferengi* jest śmiertelnie ranny! Jeśli się wycofacie, pozwolimy wam odejść w pokoju i z honorem. Jeśli jednak będziecie dalej walczyć, wystrzelamy was jak psy.

Ross poczuł osobliwą satysfakcję. Słowa, że jest śmiertelnie ranny, wyjaśniły mu jego dziwne odczucie – wychodził poza własne ciało. Ogarnęło go wielkie znużenie. Czuł się tak, jakby dryfował po wodach Styksu.

Juliet wciąż krzyczała; jej głos odbijał się echem od ścian wąwozu.

– Nazywam się Gul-i Sarahi. Moja twierdza znajduje się niedaleko stąd. Moi ludzie już tu jadą, przywołani odgłosem strzelaniny. Nie dacie im rady.

Początkowo nie było żadnej odpowiedzi.

– A co z naszymi zmarłymi? – pytanie padło z drugiej strony wąwozu.

– Shahid był podłym człowiekiem, ale odznaczał się odwagą i zginął na służbie! – odkrzyknęła. – Jeśli odjedziecie w spokoju, przyrzekam, że on i pozostali zostaną pochowani jak należy, zgodnie z sunnickimi zwyczajami.

Znowu zapadła cisza, jakby bucharzczycy się namawiali.

– Dlaczego mamy ci wierzyć? Ujawnijcie się, a my zrobimy to samo.

Ross chciał krzyknąć do żony, że nie może się na to zgodzić, ale nie mógł się ani odezwać, ani poruszyć. Patrzył więc bezradnie, jak Juliet podchodzi do krawędzi półki skalnej.

Wysoka i dumna, Juliet Cameron Carlisle, Kwiat Pustyni, markiza Kilburn, uniosła ręce nad głowę, aby pokazać, że nie trzyma w nich broni. Wokół panowała martwa cisza. Z płomienistymi włosami i w czarnej szacie Juliet wyglądała jak starożytna bogini wojny, oferująca pokój, ale też zdolna zadać śmierć każdemu, kto zawiedzie jej zaufanie.

Ross patrzył na żonę, wiedząc, że nigdy nie zapomni tego widoku, że za-

pamięta go do końca życia – które, jak się zdawało, i tak dobiegało już kresu. Ta myśl go zmobilizowała. Jeśli to koniec, musi powiedzieć żonie, że ją kocha. Dziwne, że u schyłku życia tak niewiele rzeczy wydaje się istotne; z pewnością nie liczą się ani dobra materialne, ani wiedza, ani nawet duma. Tylko miłość.

– Zgadźmy się na wasze warunki! – krzyknął któryś z żołnierzy; w jego głosie brzmiało zaskoczenie, zapewne wywołane wyglądem Juliet. – Zginął jeszcze jeden nasz człowiek. Nazywa się Meshedee Rajib. Zostawimy tu jego ciało, a wy je później pogrzebiecie.

– Tak się stanie! – odkrzyknęła Juliet, opuszczając jedną rękę. Wyglądała tak, jakby udzielała błogosławieństwa. – Jesteście walecznymi żołnierzami. Życzę wam bezpiecznego powrotu do Buchary. Odejdźcie w pokoju.

– Ty też zostań w pokoju. – Po chwili po drugiej stronie wąwozu rozległ się stukot końskich kopyt.

Ross pragnął wykorzystać tę chwilę, by powiedzieć żonie, że nie żałuje, iż się w niej zakochał, ani małżeństwa z nią. Ostatkiem sił wyciągnął rękę, próbując zwrócić na siebie uwagę Juliet, ale ruch spowodował kłujący ból w głowie i Ross znowu osunął się w ciemność.

Ponownie odzyskał przytomność, gdy czyjeś ręce obmacywały jego zbolęte ciało.

– Juliet – wyszeptał, rozpoznając dotyk żony. Nie był pewien, czy go usłyszała, dopóki nie odwróciła w jego stronę twarzy, na której malowała się prawdziwa radość.

Chciał znowu się odezwać, ale położyła mu palec na ustach.

– Cii, kochanie, oszczędzaj siły.

Roześmiałby się, gdyby nie kręciło mu się tak w głowie.

– Po co... umierającemu siły?

– O Boże, usłyszałaś, co mówiłam buharczykom. Powiedziałam, że jesteś śmiertelnie ranny tylko dlatego, żeby odjechali. – Pochyliła się i lekko pocałowała go w czoło. – Ty nie umierasz, kochanie. Szczerze mówiąc, miałeś wielkie szczęście. Kula Shahida drasnęła cię w głowę i spadłeś z półki skalnej, ale krzaki na zboczu spowolniły upadek, a podłoże było dość miękkie. Będziesz miał śliczną kolekcję siniaków, ale chyba nic sobie nie złamałeś.

Trzeba było czasu, żeby Ross zebrał myśli.

– A Murad? – zapytał, kiedy już wyjaśniało mu w głowie.

– Ian mówi, że kula przeszła przez ramię i rana jest czysta. Spadając z konia, uderzył się w głowę, ale nic mu nie będzie.

Odetchnął z ulgą.

– Mieliliśmy szczęście.

– To prawda, ale teraz czas przewieźć rannych do Serevanu. Myślisz, że dasz radę zejść do koni, jeśli ci pomogę?

– Zobaczymy. – Przytrzymując się ramienia żony, Ross zdołał usiąść. Potem pojawiały się mgliste obrazy tego, co się działo. Kiedy półprzytomnego przytroczono do konia, odniósł wrażenie, że to, czego doświadcza, to déjà vu. Tak, zupełnie podobnie czuł się wtedy, gdy został ranny podczas wyprawy z Mikahlem. Czuł się tak samo wyczerpany i tak samo jak teraz przewożono go na koniu niczym worek z ziemniakami.

Uznał, że byłoby prościej, gdyby pozwolił sobie na odpłynięcie w ciemność, i tak też się stało.

Kiedy wrócił do przytomności, umysł miał jasny i czuł się wypoczęty. Poza kłuciem w głowie, nic mu nie dokuczało. Otworzywszy oczy, stwierdził, że pokój, w którym się znajdował, zalewa miękkie, czyste światło poranka. Domyślił się, że jest w Serevanie i to w sypialni Juliet, sądząc po wzorzystych starodawnych makatach wiszących na bielonych ścianach.

Kiedy już to ustalił, wcale się nie zdziwił, gdy nagle sobie uświadomił, że nie leży w łóżku sam. Obrócił głowę i zobaczył śpiącą obok żonę. Jedną rękę miała przełożoną przez jego ramię. Był to piękny widok o poranku, bo Juliet miała na sobie tylko złoty łańcuszek, z wiszącym na nim zaręczynowym pierścieniem. W bladym świetle jej skóra lśniła perłowo, a włosy wydawały się ciemne, z lekkimi tylko przebłyskami czerwieni. Ross ostrożnie ściągnął kołdrę, chcąc przyjrzeć się wdzięcznym kształtom małżonki. Uznał, że śmierć z pewnością mu nie grozi, inaczej jego ciało nie reagowałoby tak, jak właśnie zareagowało.

Jednak to, co wydawało się takie naturalne wtedy, kiedy myślał, że śmierć się o niego upomnią, teraz wcale nie było oczywiste.

Nie miał wątpliwości, co do tego, że kocha żonę; kochał ją i to bardzo. Problemem nie okazała się miłość, tylko życie. Zagrożenie ponownie ich

zbliżyło; ale czy bez tej więzi ich małżeństwo nadal by trwało? W Bucharze, ponieważ siebie potrzebowali, zgodnie ignorowali różnice między nimi. Pomimo przeciwności, przetrwali, ale teraz czeka ich trudna rozmowa na temat nierozwiązanych spraw z przeszłości.

Ross pragnął do bólu, by Juliet wróciła z nim do Anglii, by była jego żoną faktycznie i przed prawem. Gdyby chodziło o każdą inną kobietę, wiedziałby, że radość, namiętność i gorące uczucia wystarczą do utrzymania małżeństwa, jednak obawiał się, że w wypadku Juliet, to wszystko może nie wystarczyć.

Drżącą dłonią lekko pogładził żonę po głowie. Juliet otworzyła oczy i uśmiechnęła się do męża słodko. Potem uniosła rękę i dotknęła jego twarzy, przesuwając palcami po policzkach i ustach, jakby pragnęła je zapamiętać. Chciała coś powiedzieć, ale Ross nie mógł jej na to pozwolić, bo rozmowa zmusiłaby ich do skonfrontowania się z problemem ich przyszłości. Pragnąc odwlec ten moment, przycisnął usta do ust żony, przekazując pocałunkiem cały strach i pożądanie, które odczuwał.

Z gardła Juliet wyrwał się zduszony jęk, jakby ona także obawiała się nadchodzącego końca. Ich języki się połączyły, oddechy zmieszały, objęli się ramionami. Ross czuł się tak swobodnie w obecności żony, tak dobrze, że nie mógł uwierzyć, iż to zbliżenie miałoby być ostatnie.

Może już nigdy nie będzie mógł dotknąć miękkiej skóry Juliet, nie będzie mógł musnąć językiem jej stwardniałych sutków, nie usłyszy, jej nierównego, przyspieszonego oddechu, będącego odpowiedzią na jego pieszczoty. Nie sprawi, tak jak teraz, że Juliet wstrzyma oddech, kiedy on będzie w nią wchodził.

Pragnął całkowicie zatracić się w miłości, zapomnieć o wszystkich swoich obawach i kochać się z żoną tak intensywnie, że związałyby ją ze sobą na zawsze. Wyczuwał niepokój w jej pocałunkach, widział bezbronność w oczach. Nie mógł uwierzyć, że już nigdy nie zazna takiej jedności, takiego uniesienia, że nie powtórzy się już uczucie, że traci nad sobą kontrolę – tak jak teraz, o Boże, tak jak teraz...

Po namiętnym stosunku zapadła między nimi ciepła, delikatna cisza. Objęci czule odpiłynęli w sen, ale kiedy się obudzili, oboje wyczuwali, że coś

ich dzieli.

– Gdyby hakim, lekarz, dowiedział się, że zmusiłam rannego do takiego wysiłku, nigdy by mi tego nie wybaczył – powiedziała Juliet, przerywając krępujące milczenie.

– Widocznie nie jestem ciężko ranny, inaczej taki wysiłek nie byłby w ogóle możliwy. – Ross, nieco się krzywiąc, dotknął ostrożnie bandaża na głowie. – Będzie mnie jeszcze jakiś czas bolała i zdaje się, że zużyłem już większość energii przeznaczoną na cały dzień, ale i tak powiem temu hakimowi, że twoja kuracja dokonuje cudów.

Poważniejąc, wyciągnął dłoń do pierścionka na łańcuszku wiszącym na szyi żony. Przekonana, że mąż zaraz powie coś na temat ich przyszłości, Juliet udała, że nie zauważyła tego gestu. Pragnąc opóźnić nieuniknione, tchórzliwie wymknęła się z łóżka.

– Musisz być głodny – powiedziała, przybierając przesadnie radosny ton głosu. – Przysłać ci tu śniadanie? Melony są teraz doskonałe, zwłaszcza po tygodniu spędzonym na suchej pustyni. A może masz ochotę na coś innego? Poza śledziami, oczywiście. Albo owsianką. Tylko kto by miał ochotę na owsiankę?

– Juliet – odezwał się miękko Ross. – Zdajesz sobie sprawę, że papłasz trzy po trzy?

– Wiem. – Przesunęła nerwowo ręką po włosach, zmuszając się do opamiętania. – Przez to, że nie było mnie w Serevanie tak długo, nabrało się wiele zaległości. Mam mnóstwo roboty. Tym bardziej że nie ma jeszcze Saleha, wróci najwcześniej za jakieś dziesięć dni. Muszę porozmawiać z nadzorcą i z przełożonym służących, w ogóle mam do zrobienia tysiące rzeczy. – Mówiła prawdę, tyle tylko, że to nie zaległe obowiązki wywoływały w niej takie zdenerwowanie.

Ross uśmiechnął się kpiąco, dając do zrozumienia żonie, iż doskonale wie, co ją trapi.

– W takim razie lepiej od razu zabierz się do pracy. Ja jestem zmuszony skorzystać z mojego stanu i będę się lenić przez cały dzień. Jeszcze kilka godzin snu, a nabiorę sił na łaźnię, a potem znowu się prześpię.

– Doskonały plan – zgodziła się Juliet, po czym pochyliła się i pocałowała męża w usta. Potem umknęła. Wiedziała jednak, że nadal czeka ich trud-

na rozmowa.

Ross rzeczywiście spędził dzień tak leniwie, jak zapowiadał; poza tym, że był w łaźni, poszedł jeszcze tylko odszukać pozostałych dwóch towarzyszy podróży, Ian spał, pozwalając, by jego wymęczone ciało nabierało sił.

Za to Murad miał wyśmienity nastrój. Siedział w ogrodzie pod drzewem i popijając zmrożony sorbet z melona, flirtował z młodą rozchichotaną pokojówką. Zobaczywszy Rossa, uśmiechnął się szeroko.

– I tak nasza wielka przygoda dobiega końca. Może zamiast przewodnikiem zostanę bajarzem i zacznę zarabiać na życie opowieściami o legendarnym Kilburnie.

Ross się uśmiechnął.

– Przynajmniej będzie to bezpieczniejsze od spotkań z Turkmenami. – Usiadł i przyjął kielich z sorbetem. – Wkrótce wyruszam do Teheranu. Może nawet jutro. Z chęcią wynająłbym cię na przewodnika, ale może lepiej, jeśli zostaniesz w Serevanie do czasu, aż ramię całkiem się zagoi.

– Jadę z tobą, lordzie – postanowił Murad. – Z ramieniem nie jest aż tak źle, a poza tym z chęcią odwiedzę rodzinne strony. Ale czy lady Kilburn zdąży się tak szybko przygotować do podróży? Z pewnością czeka ją wiele pakowania. Przynajmniej tak by było z moją matką, gdyby przenosiła się do innego kraju.

Ross, popijając sorbet, powiódł zamglonym wzrokiem po ogrodzie.

– Wątpię, żeby Juliet chciała mi towarzyszyć. Musimy jeszcze na ten temat... porozmawiać, ale moim zdaniem zdecyduje się pozostać w Serevanie. To przecież jest jej dom.

– Ale... wyglądało na to, że jesteście razem – dziwił się Murad. – Myślałem, że chce pan, żeby żona z panem wyjechała.

– Bo chcę, ale nie sędzę, aby Juliet tego chciała.

– To przecież pańska żona! – zakrzyknął Pers z oburzeniem. – Miejsce żony jest przy mężu. Powinien pan jej rozkazać, żeby z panem jechała.

– Rozkazy nic nie pomogą, bo lady Kilburn sama o sobie decyduje – odparł sucho Ross. – Chyba już to zauważyłeś. W naszym kraju kobiety cieszą się większą swobodą niż w waszym.

– Nic nie rozumiem – przyznał chłopak po chwili zastanowienia.

– Ja też nie, Muradzie. Ja też nie. – Może gdybym rozumiał swoją żonę, sytuacja wyglądałaby inaczej, myślał ponuro Ross. A może nie.

Do rozmowy doszło jeszcze tego samego wieczoru, po kolacji. Juliet cały dzień była czymś zajęta i trzymała się z dala od męża. Kilkakrotnie zaglądała do brata, ale ten spał, więc go nie budziła.

W końcu nadszedł wieczór. Kolację jedli w towarzystwie rodziny Saleha, co oznaczało, że nie było czasu na prywatne rozmowy. Nieubłaganie zbliżała się pora snu. Juliet wiedziała, że nie może przenieść męża do innej sypialni, tym bardziej że pragnęła jego towarzystwa ponad wszystko. Nie, bardziej pragnęła prostoty, która była ich udziałem w czasie pobytu w Bucharze, kiedy liczyła się tylko chwila obecna i nie było żadnej przeszłości ani przyszłości.

Nie patrząc na męża, przebrała się w haftowany zielony kaftan z jedwabiu. Potem przysiadła na otomanie i zaczęła rozczesywać włosy, zastanawiając się nad jakimś neutralnym tematem rozmowy. Być może, tak jak Szeherezadzie, uda jej się opowieściami odwlec w nieskończoność niechcianą dyskusję.

Na nieszczęście, Rossa cechowała typowo zachodnia bezpośredniość. Nie zmieniwszy prostego brązowego czapana, w który był ubrany, usiadł obok żony i powiedział po prostu:

– Juliet, jedź ze mną do Anglii. Jesteśmy teraz o dwanaście lat starsi i mądrzejsi. Poza tym mam wrażenie, że moje towarzystwo nie jest ci niemiłe. Jestem przekonany, iż potrafimy rozwiązać nasze małżeńskie problemy, na czymkolwiek by one miały polegać.

Juliet zamarła. Ręka ze szczotką opadła jej na kolana. Już wcześniej przećwiczyła w myślach przemowę, podczas której przekonywała męża, że ich ponowne zejście się nie jest możliwe. Miała nadzieję, że Rossowi wystarczą powierzchowne argumenty, że się nimi zadowoli, nie dociekając głębszej prawdy, do której nie miała odwagi się przyznać.

– Obawiam się, że pierwszym problemem, którego nie zdołamy rozwiązać, jest problem miejsca zamieszkania – odparła z udawanym rozbawieniem. – Gdybyś nie był spadkobiercą ojca, mógłbyś zostać w Persji, ale znam cię dobrze i wiem, że poczucie odpowiedzialności nie pozwoli ci od-



wrócić się plecami do rodziny.

Ross oparł się o poduszki i obrzucił żonę chłodnym spojrzeniem. Widać było, że nie zamierzał się łatwo poddać.

– Masz rację. Moja przyszłość związana jest z Anglią. Nie rozumiem tylko, dlaczego ty nie miałabyś się do niej przenieść? Kiedyś ci się tam podobało.

– Boję się, że w Anglii będę się dusić. Za dużo zasad, za dużo możliwości popełnienia błędu.

– Przystosowałaś się przecież do nich, akceptując zasady, które ci odpowiadały i ignorując te denerwujące – zauważył Ross. – Co więcej, jesteś teraz markizą, a z czasem zostaniesz księżną. Mówiąc inaczej, będziesz mogła robić wszystko, co zechcesz. Czy aż tak bardzo krytykowałem twoje zachowanie? Mówiłaś, że moje uwagi cię bolały, a ja nie byłem zbyt wrażliwy, ale przecież nie byłem tyranem.

– Nie chodzi o to, co ty mi zrobiłeś, ale co ja zrobiłam samej sobie. – Nieświadczym wzrokiem popatrzyła na szcztokę, którą trzymała w drżących dłoniach. – Tak bardzo cię kochałam, że, aby ci się przypodobać, niszczyłam samą siebie. Moje poczucie wartości, moja niezależność, wszystko, co we mnie lubiłeś... czułam, że to wszystko gdzieś ginie. Nie chciałam tak żyć i nie chciałam stać się taka jak te nudne, uległe kobiety, o których mówiłeś, że nigdy nie mógłbyś ich pokochać.

Ross zaplótł ręce na piersiach i uważnie przyglądał się żonie.

– To dla mnie pochlebne, że byłaś we mnie tak szaleńczo zakochana – odezwał się po chwili milczenia. – I choć rozumiem, że w przeszłości martwiłaś się o swoją niezależność, nie sądzę, żebyś obecnie miała z tym jakiś problem. Nie jesteś już tą niepewną dziewczyną. Przybyło ci lat i stałaś się silna. Nie załamiesz się, kiedy jakaś zgorzkniała wdowa spojrzy na ciebie z góry.

Juliet wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Zielona jedwabna szata szeleściła przy każdym jej kroku.

– Wszystko, co mówię, upraszczasz, ale sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. – Odwróciła się twarzą do męża. – Nie chodzi o to, czy zdołam znieść pobyt w Anglii... Zdołam... ale wolę zostać w Serevanie. Udało mi się tu stworzyć coś wartościowego, pomogłam ludziom wyjść

z biedy i rozpocząć szczęśliwe życie. Jak mogłabym ich teraz opuścić?

Ross westchnął.

– Mam wrażenie, że unosi się nad nami duch lady Hester Stanhope. Dobrze świadczy o tobie, iż martwisz się o swoich podopiecznych, ale Serevan nie rozpadnie się po twoim wyjeździe, zbudowałaś tu silną społeczność. Oddaj rządy Salehowi, kiedy wróci z Buchary. Poradzi sobie tak samo dobrze jak ty.

To, że mąż miał rację, wcale nie ułatwiało sprawy.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać z Serevanu – broniła się. – Jestem tu wolna.

– To iluzoryczna wolność, a tak naprawdę czujesz się tu wyobcowana. Od prawdziwej Persji oddzielają cię twoje pieniądze i to, że jesteś cudzoziemką. Czy rzeczywiście tak właśnie chcesz spędzić resztę życia: niby wolna, ale tak naprawdę z powodu własnej ekscentryczności wyrzucona na obrzeże świata?

Juliet się wzdrygnęła.

– Lady Hester jakoś nie narzekała.

– Czas zburzyć twoje romantyczne iluzje. – Poderwał się z otomany i podszedł do żony. – Tak, lady Hester była wyjątkową kobietą, ale też próżną do cna i obsesyjnie zajęta własną osobą. Zamieszkała w Syrii nie dla wolności, a dlatego, że uwielbiała władzę. Tyranizowanie innych sprawiało jej satysfakcję. Wiem, że zbierałaś o niej różne opowieści; słyszałaś, że pewnego razu nasza heroina uznała, że musi pomóc śmierć swojego znajomego, lekkomyślnego francuskiego badacza? Namówiła lokalnego paszę, żeby zrównał z ziemią tuzin wsi, a potem chwaliła się wszędzie, jaka to świetna z niej przywódczyni. Była dumna, że przyczyniła się do śmierci setek niewinnych ludzi!

Juliet, zszokowana, wpatrywała się w męża szeroko otwartymi oczami.

– Lady Hester nie mogła tego zrobić! To była kobieta pełna współczucia, która broniła ludzi przed wszelkimi niesprawiedliwościami.

Ross się skrzywił.

– Może czasami okazywała jakieś współczucie, ale dla najbliższych i najbardziej lojalnych nie miała litości. Im większa lojalność, tym większym okrucieństwem ją nagradzała. Wolała podziw prostych wieśniaków niż szacunek i przyjaźń osób równych jej statusem. Nie starczało jej na utrzymanie,

choć miała dochody kilkakrotnie przewyższające twoje. Pożyczała od ludzi wielkie sumy i nigdy ich nie zwracała. A potem się żaliła, że nikt nie chce pomóc, by mogła żyć dostatnio, bo tak powinna. Na koniec, odstraszywszy od siebie wszystkich, którym kiedykolwiek na niej zależało, umierała w samotności, nękana przez wierzycieli i okradana przez służbę.

Juliet chciała by wierzyć, że mąż zmyśla, ale jego głos świadczył o tym, że mówi samą prawdę. Nie mogła już tego słuchać.

– Tego właśnie dla siebie pragniesz, Juliet? Umierać samotnie, niekochana, na obcej ziemi, otoczona resztkami iluzorycznej władzy? Jeśli tak, życzę ci powodzenia.

– Jeśli lady Hester była taka, jak mówisz, to ja w niczym tej kobiety nie przypominam, i nie skończę tak jak ona. – Machnęła nerwowo ręką. – Dlaczego w ogóle kłócimy się o osobę, której nawet nie znałam?

Ross nabrał głęboko powietrza.

– Masz rację – powiedział cicho. – Trochę odbiłem od tematu. Pora wrócić do podstaw, jak choćby do tego, że cię kocham, a ty mnie podobno też, tak przynajmniej powiedziałaś w Bucharze. Mówiłaś prawdę, czy tylko tak, pod wpływem chwili?

Juliet poczuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie. Bardzo pragnęła, żeby mąż ją kochał; jednak teraz, kiedy już wiedziała, że tak jest, wszystko stało się o wiele bardziej skomplikowane.

– Mówiłam prawdę – wyszeptała. – Kocham cię i nigdy nie przestałam, nawet na moment.

Ross zamknął oczy, twarz mu się ściągnęła. Zaatakował ją prostym pytaniem, na które jednak nie istniała prosta odpowiedź:

– Jeśli mnie kochałaś, dlaczego uciekłaś?

– Mówiłam ci już! – Znowu zaczęła krążyć po pokoju. – Tłumaczyłam ci to niejednym razem. Miłość jest bezcenna, ale nie tylko ona się liczy. Gdybyś uważał, że miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie, nie wyjeżdżałbyś do Anglii, tylko został ze mną w Serevanie.

– Tak się składa, iż uważam, że miłość jest najważniejsza, tylko że nie zawsze przyjmuje ona romantyczną formę. – Ross zmrużył oczy. – Twoje zaproszenie, żebym tu został, wydaje mi się lekko podejrzanym. Niby ta propozycja jest racjonalna, a ty, składając ją, wychodzisz na osobę skłoną do

kompromisów, ale zanim ją złożyłaś, dobrze wiedziałaś, że ją odrzucę, więc czułaś się bezpieczna. Nadal uważam, że istnieją jakiś inne powody, dla których mnie porzuciłaś.

Juliet popatrzyła na męża z przerażeniem. Mogła się domyślić, że Ross nie pozwoli wystrychnąć się na dudka. Nie on. Znał ją lepiej niż ktokolwiek na świecie.

– Doszukujesz się tajemnic, których nie ma. Powiedziałam ci prawdę.

– Całą? Odnoszę wrażenie, że nie. – Głos mu stwardniał. – Bóg wie, że starałem się być wobec ciebie w porządku. Czy w zamian nie należy mi się prawda?

Atak męża zbił ją z tropu. Nim zdążyła pomyśleć, zawołała:

–Gdybym powiedziała ci całą prawdę, znienawidziłbyś mnie, a tego bym nie zniosła!

Ross znieruchomiał. Twarz mu pobieliała.

–A więc jest coś jeszcze. Powiedz, o co chodzi, Juliet, bo sam nie umiem wymyślić nic, przez co mógłbym się czuć gorzej niż w tej chwili.

Opadła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

– Dlaczego po prostu nie pogodzisz się z faktem, że nasze małżeństwo się skończyło? – zapytała zbolalym głosem. – Mówiłam to już wcześniej i powtórzę jeszcze raz: rozwiedź się ze mną. A potem ożeń się z kobietą, która będzie cię kochać tak, jak na to zasługujesz. Zapomnij o mnie.

– Naprawdę uważasz, że to takie proste? – mówił z goryczą. – Żaden sąd nie zniszczy więzów, które nas łączą: nie zrobiły tego ani lata, ani odległość. Nic nie jest w stanie ich zerwać.

– Tylko teraz tak myślisz – odparła ze znużeniem. – Po powrocie do Anglii cała ta historia wyda ci się jedynie złym snem. Poza tym, ponieważ nie będą cię już męczyć pytania, gdzie i jak żyję, wreszcie się ode mnie uwolnisz.

Ross przeszedł przez pokój i uniósł jej podbródek, zmuszając, żeby na niego spojrzała.

–Bardzo dobrze, możemy to zakończyć już teraz. W islamie rozwód jest bardzo prosty: wystarczy, że któreś z małżonków powie trzykrotnie „rozwodzę się z tobą”. Oczywiście nie wpływa to na stan legalny, ale masz szansę. Proszę, rozwiedź się ze mną, skoro uważasz, że to takie łatwe.

Patrzyła na męża z zakłopotaniem.

– Powiedz to, Juliet! – nalegał ostrym tonem. – Powtórz trzy razy „rozwodzę się z tobą”, a wrócę do Anglii i znajdę jakiś sposób, żeby nasz rozwód stał się faktem.

Kiedy zdała sobie sprawę, że mąż mówi poważnie, przełknęła z trudem ślinę i wyjąkała:

– Ja... ja rozwodzę się z tobą. – Zamilkła, bo przez zaciśnięte gardło nie mogła mówić dalej.

– Powiedz to jeszcze dwukrotnie, a uznam, że nasze małżeństwo się skończyło.

Przesunęła językiem po wyschniętych ustach, szykując się do powtórzenia formułki.

Jeszcze tylko dwa razy, a będzie miała za sobą słuszny czyn; uwolni Rossa.

– Ja... ja rozwodzę... – Głos się jej załamał i zaczęła drżeć. – Nie mogę. Po prostu... nie mogę tego powiedzieć.

– Nie sądziłem, że będziesz mogła. – Odwrócił się od niej. Po chwili, nie hamując gniewu, dodał: – Jeśli sama nie potrafisz zmusić się do zakończenia naszego małżeństwa, nie oczekuj, że zrobię to za ciebie.

Juliet zawsze uważała, że mąż potrafi panować nad emocjami, w każdej sytuacji, a jednak okazało się, że wyprowadziła go z równowagi. Zdała sobie sprawę, jak bardzo go rani swoim, zupełnie dla niego niezrozumiałym, zachowaniem.

– Wspaniale, udowodniłeś mi, że rozwód właściwie nie wchodzi w rachubę – powiedziała niepewnie. – W takim razie, skoro nie możemy się rozwieść, przynajmniej rozejdźmy się w zgodzie i pokoju.

– Dziwne, ale jakoś wcale nie czuję się spokojny. – Znowu się do niej odwrócił. – Mówisz tak, jakby nasze małżeństwo dotyczyło tylko nas, ale czy pomyślałaś o tym, że możesz być w ciąży? To całkiem prawdopodobne. Rozmawialiśmy o tym w Bucharze, kiedy myślałem, że mogę zginąć, ale teraz, ponieważ przeżyłem, sprawa wygląda nieco inaczej. Jeśli urodzisz dziecko, zamierzasz wychowywać je tutaj, tysiące mil od ojczyzny? Czy będę miał coś do powiedzenia w sprawie jego przyszłości?

Nie spodziewała się takich pytań. Kręciła głową, ale nie w odpowiedzi

na pytania, tylko nieświadomie dając wyraz niemożności poradzenia sobie z tematem.

Zapadła cisza pełna napięcia.

–Rozumiem! – wybuchnął w końcu Ross. Juliet nie widziała jeszcze męża tak zagniewanego. – Rozumiem. Domyślam się, że chcesz powiedzieć, że ta kwestia w ogóle nie wchodzi w grę. Jakież jestem naiwny, nawet gdybyś pechowo padła ofiarą biologii, są przecież sposoby na pozbycie się problemu. Jestem przekonany, że je znasz. – Odwrócił się ze złością i ruszył w stronę drzwi. – Jeśli się okaże, że jesteś w ciąży i postanowisz ją usunąć, nie mów mi, bo nie chcę tego wiedzieć.

Na te słowa Juliet poczuła, że coś w niej pęka. Miała wrażenie, że cała ich kłótnia prowadziła do tego właśnie momentu, w którym zdała sobie niezaprzeczalnie sprawę, że miała rację, uważając, iż nie da się odtworzyć ich małżeństwa.

– Nie zachowuj się tak. – Jej słowa płynęły prosto ze zbolełego serca. – Straszliwie wszystko utrudniasz. – Już nie potrafiła dłużej się kontrolować. Padła na kolana, zasłoniła twarz rękami i zaczęła głośno łkać.

– Cholera jasna! – Ross rzucił się do żony, wziął ją w objęcia i zaczął kołysać, jakby była dzieckiem. – Wybacz mi, Juliet – szeptał przerażony. – Wybacz mi, proszę. Nie chciałem cię skrzywdzić, ale nic nie rozumiem, i przez to mam ochotę zniszczyć cały świat. Kocham cię, a ty kochasz mnie. Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie możemy być razem.

Na te słowa, ta część Juliet, która zachowała jeszcze zdrowy rozsądek, podpowiadała jej, że może wynieść pewną korzyść z całej tej dramatycznej sytuacji. Jeśli wzmocni w mężu poczucie winy, zapewne przestanie on doszukiwać się straszliwej prawdy, której nie chciała mu ujawnić. Nie była z siebie dumna, że chce użyć takiej manipulacji, ale nic innego jej nie pozostawało.

–Ross, musimy przestać się nawzajem dręczyć – powiedziała, kiedy już nieco się uspokoiła. Podniosła głowę, żeby spojrzeć mężowi w twarz. – Pogódź się z tym, że inaczej być nie może, a rozstaniemy się w spokoju, a nie w kłótni. – Sięgnęła niepewnie do dłoni męża. – Chodźmy do łóżka. Zostań jakiś czas w Serevanie, aż nieco ochłoniesz po wydarzeniach ostatnich dwóch miesięcy. Potem wyjedziesz, ale już nie tak cierpiący, bo najsilniejsze

emocje ucichną.

– Twoim zdaniem, o wiele mnie nie prosisz, prawda? – Ross ze znużeniem dotknął zabandażowanej głowy. – Nie sądzę, żeby moja miłość do ciebie mogła osłabnąć; nie stało się tak pomimo upływu dwunastu lat. I choć zgadzam się, że mądrzej jest się dogadać niż zadreć, nie mógłbym iść z tobą teraz do łóżka, wiedząc, że to ostatni raz. Nawet rano było mi trudno, a przecież miałem jeszcze jakąś nadzieję. Teraz to niemożliwe. – Uśmiechnął się smętnie. – Najwyraźniej mój instynkt samozachowawczy nadal dobrze funkcjonuje. Chociaż robiłem w życiu wiele niebezpiecznych rzeczy, nie jestem aż takim głupkiem, żeby pozwolić ci rozedrzeć mi serce na strzępy.

Juliet poczuła, że strach skuwa lodem jej ciało. Zaczęła drżeć. A więc to koniec.

– Będę spał w pokoju, w którym mieszkałem w czasie pierwszej wizyty. Jutro, jeśli przydzielisz mi eskortę, wyruszę do Teheranu. Im szybciej to przerwiemy, tym lepiej dla nas obojga.

Juliet zagryzła usta, żeby się nie rozplakać. Skinęła głową.

Ross odwrócił się i przeszedł przez pokój. Odgłosy jego kroków tłumił miękki, puszysty dywan. Patrzyła za mężem, zapamiętując każdy szczegół jego sylwetki – jego wzrost, zamaszysty krok, sposób, w jaki brązowy czapan układał mu się na szerokich barkach i złote falujące włosy, które domagały się już podcięcia, bo sięgały mu prawie do ramion.

Otworzył drzwi i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju.

Juliet nie wiedziała, ile czasu spędziła na otomanie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ścianę. Zdawała sobie sprawę, że zasłużyła na wszystko, co usłyszała od męża, a nawet na więcej, ale ta świadomość wcale nie zmniejszała jej bólu.

Poczuła, że jeśli zaraz nie wyjdzie z tego pokoju, udusi się. Wsunęła stopy w sandały i wyszła na dziedziniec, a potem wspięła się na otaczające fortecę wysokie mury. Jak we wszystkich średniowiecznych zamkach były na tyle szerokie, że mieściło się na nich kilka osób naraz. Miały też gzyms chroniący od zewnątrz stojących na nich ludzi.

O tej porze większość mieszkańców Serevanu spała, poza strażnikami w wieżyczkach obserwacyjnych. Juliet zaczęła przechadzać się po murze, wdzięczna za lekką bryzę i otwartą przestrzeń. Sceneria była piękna: woskowy księżyc oblewał bladym światłem nierówne wzgórza. Niestety widok ten nie stanowił antidotum na mrok w duszy Juliet.

Z zachodniej strony muru widać było wzgórza, przechodzące w płaskowyż Kara-Kum, której piaski ciągnęły się aż do Buchary. Odwróciła wzrok ze znużeniem, nie chcąc myśleć o wszystkim, co się wydarzyło od ostatniego razu, gdy tak jak teraz przechadzała się po murach.

Kiedy ruszyła przed siebie, zauważyła, że nie jest sama. Na widok wysokiej postaci opierającej się o gzyms, serce uderzyło jej mocniej ze strachu. Obawiała się, że natknęła się na Rossa. Potem mężczyzna usłyszał jej kroki i zerknął w jej stronę. Przekonała się, że to Ian.

Od czasu jego oswobodzenia niewiele ze sobą rozmawiali i to nie tylko dlatego, że nie sprzyjała temu ciężka przeprawa przez pustynię. Pobyt w więzieniu bardzo zmienił Iana, czemu trudno było się dziwić, niemniej wydawał się teraz Juliet jakiś obcy, zamknięty i z tego powodu nie wiedziała, jak z nim rozmawiać.

Nie miała ochoty na towarzystwo, ale skoro brat już ją zobaczył, nie mogła odejść. Podeszła do niego, mając nadzieję, że Ian w ciemności nie dostrzeże wyrazu jej twarzy. Księżyc świecił na tyle mocno, iż mogła się przekonać, że brat wygląda już o wiele lepiej: był spokojny, ogolony i miał pod-



strzyżone włosy.

– Naprawdę nieźle się prezentujesz – zauważyła.

– To zadziwiające, co mogą zdziałać dobry sen, jedzenie i wizyta w łaźni – odparł, odwracając twarz do siostry.

Pokazała na jego prawe oko, które teraz zakryte było porządną czarną przepaską.

– Zapiera dech.

– Nad tym się nie zastanawiałem, ale nie będę przynajmniej straszył małych dzieci. – Dotknął przepaski. – To stało się wtedy, kiedy ludzie emira biciem próbowali mnie zmusić do przyznania się, że jestem szpiegiem. Drugie oko też wtedy ucierpiało, ale jakoś się zagoiło.

– Dzięki Bogu. Miałeś szczęście.

– To prawda. Utrata jednego oka to utrapienie, ale utrata obojga to prawdziwa katastrofa. – Zwrócił wzrok w stronę pustyni. – Za jakieś dwa tygodnie będę już gotowy do wyjazdu. Pojadę do Zatoki Perskiej i stamtąd statkiem do Indii.

Juliet zmarszczyła brwi. Nie chciała, żeby brat wyjechał, zanim nie nadrobią straconych lat.

– Nie musisz się spieszyć, możesz tu zostać, jak długo zechcesz. – Żartobliwie pchnęła brata palcem w zębra. – Muszę cię trochę podkarmić. Poza tym w Konstantynopolu na przyjazd Rossa czeka nasza matka: zarzekła się, że do jego powrotu nie ruszy się z miejsca. O tej porze roku wyprawa do niej zajęłaby ci tylko kilka tygodni. Byłaby zachwycona, gdyby cię zobaczyła. Przekonałaby się, że instynkt macierzyński dobrze jej podpowiadał, że nie zginąłeś.

– Choć raz się nie myliła. – Ian uśmiechnął się lekko. Błady księżyc oświetlił jego chudą twarz. – Bardzo chciałbym ją zobaczyć, ale nie mam tyle czasu. Pamiętaj, że jestem żołnierzem i muszę wracać na służbę. Muszę też zdać raport z tego, co się wydarzyło. Poza tym... mam w Indiach jeszcze inne zobowiązania.

– Wybacz, zapomniałam. Ross mówił, że jesteś zaręczony. Opowiedz mi o swojej narzeczonej.

– Georginie? – Ian się zawahał. – Jest piękna i czarująca. Ma jasne włosy i niebieskie oczy. Jej ojciec jest pułkownikiem, więc to doskonała żona dla

wojskowego. Zawsze wie, co chce robić albo powiedzieć. – Po chwili milczenia dodał: – Była najbardziej popularną panną w północnych Indiach.

Z pewnym smutkiem Juliet pomyślała, że z opisu przyszła szwagierka wydaje się tego typu kobietą, która nie zaakceptowałaby siostry męża.

– Czy polubiłybyśmy się z Georginą?

– Cóż, chyba tak. – Ian pokiwał głową, a potem zacisnął dłonie na gzym-sie. – W tym przeklętym lochu myślałem o niej każdego dnia. Stała się symbolem czystości, normalności, pełni: wszystkiego, czego się obawiałem, że już nigdy nie zaznam. A jednak jej obraz w mojej pamięci jest jakiś zamazany, nie umiem sobie dokładnie przypomnieć, jak wygląda.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że ostatni raz widziałeś ją dwa lata temu – pocieszyła brata Juliet. – Teraz Indie muszą wydawać ci się odległe, niczym sen, ale kiedy wrócisz do dawnego życia, wszystko się ułoży.

– Nie wiem, czy zdołam wrócić do dawnego życia – stwierdził ponuro Ian. – Wszystko, w co wierzyłem, rozpadło się. Nie wiem, czy uda mi się to na nowo złożyć.

Pełne rozpacz słowa sprawiły, że brat stał się jej teraz bliższy. Ich smutek był podobny. Dotknęła dłoni Iana spoczywającej na zimnym kamieniu.

– Daj sobie czas – powiedziała ciepło. – Jesteś na wolności dopiero od tygodnia. A po tym, co przeszedłeś, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rany duszy goiły się dłużej niż ciała.

Mówiła to bratu, ale oganiał ją żal, który wyciskał łzy z oczu. Żeby je ukryć, musiała schylić głowę.

– Co się stało, Juliet? – Ian zapomniał na chwilę o własnych problemach. – Coś nie tak z Rossem?

– Wyjeżdża jutro do Anglii. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali. – Wytarła oczy rękawem jedwabnego kaftana i dodała bezradnie: – Och, Ianie, narobiłam tyle bałaganu. Dwanaście lat temu opuściłam Rossa pod wpływem zaćmienia umysłu, a moje szaleństwo wcale się na tym nie skończyło. Pograżałam się coraz bardziej, aż popełniłam takie rzeczy, których nigdy sobie nie wybaczę. A teraz jest już za późno, żeby to odwrócić.

– Ross nie chce cię ze sobą zabrać? – zdumiał się Ian. – Uważałem go zawsze za jednego z najbardziej wyrozumiałych ludzi na świecie. No i wygląda na to, że on nadal cię kocha.

Juliet pokręciła głową.

– Nie, nie. Ross chce, żebym z nim jechała. To ja się nie zgadzam. On nie wie, co naprawdę się wydarzyło, a ja nie mam odwagi mu powiedzieć. – Głos się jej załamał. – Okropnie go ranię moją odmową, ale gdybym powiedziała mu prawdę, zraniłabym go jeszcze bardziej.

– A co takiego się wydarzyło? – zapytał cicho Ian. – Może mnie się zwierzysz, skoro nie możesz powiedzieć tego mężowi.

Juliet z wielką chęcią wylałaby z siebie całą okropną prawdę, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że nie potrafi.

– Nie – wyszeptała. – Nie powiem tego nikomu. Po prostu nie mogę.

– Spróbuj – zachęcił ją Ian rzeczowo. – Jeśli twoja tajemnica ma związek z Rossem, ukrywanie jej świadczy o egoizmie. – Ton głosu brata złagodniał. – Poza tym pamiętaj, że szczęście to delikatna rzecz, łatwo je stracić, trudniej odzyskać. Nie odrzucaj go tylko dlatego, że przed dwunasty lata zrobiłaś coś głupiego. – Objął siostrę ramieniem. – Kiedy napisałaś do mnie, że tak młodo wychodzisz za mąż, uznałem, że oszalałaś. Potem przyjechałem na wasz ślub i poznałem Rossa. Doszedłem do wniosku, że to on jest szalony, skoro żeni się z taką nieobliczalną kobietą jak moja mała siostrzyczka.

Czując się urażona słowami brata, Juliet chciała się odsunąć, ale Ian tylko wzmocnił uścisk na jej ramieniu.

– Uszanuj głowę rodziny, lisico – nakazał z nutą wesołości w głosie. – Rzecz w tym, że wy dwoje jesteście dla siebie stworzeni. Było tak, kiedy się pobieraliście, a teraz widać to jeszcze bardziej. Nie dopuść do utraty czegoś tak cennego, nie próbując najpierw tego ratować.

Nie potrafiła dłużej nad sobą panować, wybuchnęła płaczem. Brat nadal obejmował ją, i mimo że był wychudzony, czuła bijącą od niego siłę.

Nie puścił jej, aż nie przestała płakać.

– Kiedy byliśmy dziećmi, uważałem, że jesteś najodważniejszą osobą na świecie. Musiałem się bardzo starać, żeby ci dorównać. Użyj teraz tej swojej odwagi. Nie dopuść, żeby strach powstrzymał cię przed powiedzeniem Rossowi prawdy. Może nawet twój mąż cię zaskoczy.

Juliet wydała z siebie dźwięk, który przypominał coś pomiędzy śmiechem a atakiem czkawki.

– Uważałaś, że jestem odważna? Chodząc z tobą na różne eskapady by-

łam przerażona, ale nie pokazywałam tego po sobie, bo się bałam, że będziesz mną gardził i nigdy więcej mnie ze sobą nie zabierzesz.

– Naprawdę? W takim razie to cud, że nie zginęliśmy, próbując jedno drugiemu udowodnić, jacy to jesteśmy nieustraszeni. – Wierzchem dłoni otarł łzy z policzka siostry. – Idź i bądź odważna, Juliet. Utrzymywanie tajemnicy więcej kosztuje i bardziej boli niż przyznanie się do prawdy.

Przymknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu. Powiedzenie Rossowi prawdy będzie straszliwie bolesne i trudne.

A jednak musi to zrobić. Da mu ten dziwny miłosny podarunek, za to najcenniejszy, na jaki ją stać.

– Dobrze, Ianie – powiedziała niepewnie, otwierając oczy. – Po raz kolejny zmuszasz mnie, żebym udawała odważniejszą, niż jestem. Tak jak radzisz, zrobię to, co zresztą powinnam była zrobić już dawno temu.

– Grzeczna dziewczynka. Zawsze wiedziałem, że stać cię na wszystko.

– Czyli znowu dałeś się oszukać – rzuciła, śmiejąc się przez łzy. Potem, w przypiływie czułości, zawołała: – Ianie, tak się cieszę, że żyjesz!

– Ja też się z tego cieszę. – Uścisnął siostrę. – W trakcie naszej dramatycznej ucieczki z Bucharu nie miałem okazji ci podziękować, ale wierz mi, że jestem niewypowiedzianie wdzięczny i tobie, i Rossowi za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Matce też. Mam szczęście, że posiadam taką rodzinę.

Nie potrzebowali już nic więcej mówić, bo żadne słowa nie przekazałyby tego ciepła, które się między nimi pojawiło. Juliet była wdzięczna losowi za zbliżenie z bratem, zwłaszcza że wcześniej myślała, iż ich kontakt nigdy już nie będzie taki jak kiedyś.

Mając świadomość, że silnej woli może nie starczyć jej na długo, Juliet pobiegła do swojej sypialni, gdzie szybko przeczesła włosy, spryskała twarz chłodną wodą i zaopatrzyła się w zestaw chusteczek do nosa. Potem podniosła lampkę oliwną i ruszyła ciemnymi korytarzami do pokoju męża.

Drzwi nie były zamknięte, więc weszła do środka, zawiesiła lampę na haku, a następnie przeszła do łóżka i popatrzyła na śpiącego w nim mężczyznę. Mięśnie twarzy nawet we śnie wydawały się napięte.

Kiedy dotknęła jego ramienia, natychmiast otworzył oczy, ale się nie poruszył.

– Mam nadzieję, że to nie jest próba uwiedzenia mnie i zmuszenia do za-

warcia tymczasowej zgody – powiedział po chwili milczenia, podczas której obydwójce przyglądali się sobie uważnie.

Juliet zrozumiała, że mąż nie ułatwi jej zadania.

– Nic z tych rzeczy. Przyszłam, bo rozumiałam, że miałeś rację. Jestem ci winna prawdę, bez względu na to, jak bardzo jest ona bolesna. – Głos jej zadrżał. – Tylko nie mów później, że cię nie ostrzegałam.

– A potem co? – Ross usiadł na łóżku. Pomięta kołdra zsunęła mu się z piersi, a miodowe światło lampy oblało jego goły tors. Na widok szerokich ramion męża, silnych mięśni i kręconych włosów Juliet poczuła, że zaczyna jej brakować tchu. Gdyby nie bandaż zasłaniający ostatnią ranę po kuli i siniaki po upadku z konia, wyglądałby jak jakiś bożek, a nie zwykły człowiek.

– To już zależy od ciebie. – Odwróciła wzrok. Zaczęła nerwowo przechadzać się po ciemnej części pokoju. – Lepiej powiem to od razu, zanim stracę odwagę.

– Słucham. – Ross mówił prawie szeptem, jakby się bał, że ostrzejszy ton głosu wystraszy żonę.

– To, co mówiłam, iż boję się, że jeśli zostanę w Anglii, stracę własną tożsamość, było prawdą – zaczęła, zaciskając i rozprostowując dłonie. – Czasami przychodziło mi na myśl, że mnie pochłoniesz, że zniknę... i nie chodziło o to, co robiłeś, ale o moją słabość. Dorastając, nieustannie musiałam walczyć z ojcem, żeby pozwolił mi być sobą. I nawet mi się to udało, ale z tobą było inaczej. Nasze małżeństwo całkowicie mnie oszołomiło: tak się w tobie zakochałam, że gdybyś poprosił o moją duszę, oddałabym ci ją bez wahania. Teraz myślę, że z czasem nabrałabym sił i pewności siebie, żeby być zarówno twoją żoną, jak i zachować własną odrębność. Ale wydarzyło się coś, co tak mnie przeraziło, że musiałam uciec. Odkryłam... – Zatrzymała się w miejscu i odchrząknęła. Wydawało jej się, że nie zdoła wydusić z siebie tego, czego nigdy do tej pory nie śmiała powiedzieć na głos. – Odkryłam, że jestem w ciąży.

Zaryzykowała i spojrzała na męża, który ze skamieniałą twarzą przyglądał jej się tak, jakby była kimś zupełnie obcym. Szybko powróciła do wyznań:

– Tak naprawdę uważałam, że jestem za młoda, żeby wychodzić za mąż, ale nie mogłam tego nie zrobić, bo przecież tak nieprzytomnie byłam w to-

bie zakochana. Jednak świadomość, że wkrótce zostanę także matką, przerażała mnie. Wiele lat później zrozumiałam, że bałam się, iż czeka mnie los mojej matki. W młodości ona także miała dużo energii, ale straciła ją przy czwórce dzieci i mężu, od którego była całkowicie zależna. Przysięgłam sobie, że nigdy nie będę taka jak ona.

– Byłem dla ciebie takim samym tyranem jak twój ojciec? – zapytał Ross niebezpiecznie opanowanym głosem.

Machnęła ręką.

– Oczywiście, że nie, z tym że ty dążyłeś w przeciwnym kierunku, stałeś się zbyt czuły, zbyt opiekuńczy. Gdybyś się dowiedział, że jestem w ciąży, owinąłbyś mnie w kłębek waty, a już z pewnością nie zabrałbyś mnie na wycieczkę na Środkowy Wschód, tak jak planowaliśmy.

Poczuła lekką satysfakcję, kiedy mąż potwierdził jej przypuszczenia.

– Ale to tylko część problemu – dodała pośpiesznie. – Większość moich lęków miała całkowicie irracjonalne podłoże.

Znowu zaczęła krążyć po pokoju, szukając słów, które by wyjaśniły to, czego tak naprawdę nie dawało się wyjaśnić.

– Miałam wrażenie, że ciąży nade mną jakies... fatum. Myślałam, że jeśli nie odejdę, zniszczę i siebie, i ciebie; gdybym została, zamieniłabym się w osobę, którą bym gardziła. Nie mógłbyś mnie takiej kochać i tylko poczucie obowiązku trzymałoby cię przy mnie. Nie mogłam jednak zwierzyć ci się z moich obaw, bo ciąża to przecież okazja do radości, byłam przekonana, że nikt mnie nie zrozumie, że jestem bardzo złą kobietą, skoro czuję to, co czułam. Znalazłam się w potrzasku. Kiedy wyjechałeś na kilka dni w odwiedziny do chorego ojca chrzestnego, wybierałam się na przejażdżki konne i jeździłam jak szalona z nadzieją, że dojdzie do jakiegoś wypadku, który rozwiąże problem. To wtedy pojęłam, że muszę uciec, zanim wydarzy się coś strasznego i zanim moja ciąża stanie się widoczna. Postanowiłam wyjechać na Malte, na której byłam kiedyś z rodzicami i pamiętałam, że bardzo mi się podobała.

W głowie jej pulsowało. Dotknęła skroni, wiedząc, że tępy ból pojawił się dlatego, iż docierała do najgorszej części opowieści.

– Jeszcze zanim wyładowałam na Malcie, zrozumiałam, że popełniłam straszliwy błąd, ale uważałam też, że spaliłam za sobą wszystkie mosty i nie

ma dla mnie drogi powrotu. Chora logika podpowiadała mi, że nawet gdybym próbowała wrócić, przyjąłbyś dziecko, po to, żeby mieć dziedzica lub z poczucia obowiązku, ale nigdy nie przyjąłbyś z powrotem żony, która narażiła cię na takie upokorzenie.

Przymknęła oczy, oglądając w wyobraźni sceny z przeszłości.

– Gdybym wiedziała, że za mną pojedziesz, gdybyś się zjawił tylko kilka godzin wcześniej, wszystko ułożyłoby się inaczej.

Z trudem nabrała powietrza.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego postąpiłam tak, jak postąpiłam. Nie pamiętam chwili, w której podjęłam decyzję, że cię zdradzę. Chyba po prostu takiej nie było. Miałam osiemnaście lat, byłam głupia, straszliwie samotna i przekonana, że zrujnowałam sobie życie. Hrabia d'Auxerre był zabawny, prawił mi komplementy, a poza tym wyglądał trochę tak jak ty. – Odchrząknęła. – Pomyślałam, że jego towarzystwo przynajmniej przez jedną noc pomoże mi pozbyć się poczucia osamotnienia. Tak więc, kiedy zaproponował, że odwiedzi mnie w moim pokoju... zgodziłam się.

– Na rany boskie, Juliet, już więcej nic nie mów! – krzyknął Ross łamiącym się głosem.

– Błagam cię, musisz to znieść – powiedziała twardo. – Musisz znać szczegóły, żeby zrozumieć to, co się wydarzyło później. – Na jej twarzy pojawił się grymas gorzkiego żalu. – Trudno uwierzyć, jak byłam naiwna. Dziewczęta często są ostrzegane, żeby nie zostawały sam na sam z mężczyzną, bo męski dotyk może nas sprowokować do rozwiązłości. Wierzyłam w to, bo kiedy ty mnie dotykałeś, całkowicie traciłam nad sobą kontrolę. Och, doskonale wiedziałam, że pójście do łóżka z innym mężczyzną nie będzie tym samym, co miłość z tobą, ale sądziłam, że dzięki temu przynajmniej na kilka godzin zapomnę o mojej rozpaczliwej sytuacji.

Krążąc nerwowo po pokoju, dotarła do ściany. Zatrzymała się przed nią i zapatrzyła niewidzącym wzrokiem w chropowaty tynk.

– Tak strasznie się myliłam – rzuciła z bólem. – Bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że popełniłam następny tragiczny błąd, ale... czułam, że nie mogę się cofnąć, nie po tym, kiedy wyraziłam już zgodę na spotkanie. Nie nawidziałam każdej chwili spędzonej z tym człowiekiem, nie z powodu tego, co on robił, ale dlatego, że nie był tobą. Czułam się jak dziwka, gardziłam

nim, a przede wszystkim gardziłam sobą. Nie przyznałam się do tego, jak się czuję, bo się wstydziłam, ale próbowałam jak najszybciej się go pozbyć.

Juliet odwróciła się do męża, jej szare oczy pociemniały.

– To był jedyny raz, kiedy zламаłam naszą małżeńską przysięgę. Ross. Tak bardzo nienawidziłam tego, co zrobiłam, że później nie byłam w stanie nawiązać kontaktu z żadnym innym mężczyzną. Plotki, które napływały do Anglii, były tylko... plotkami. Przypuszczam, że ludzie opowiadali o mnie takie rzeczy, bo byłam młoda i szalona, ale przysięgam, że po tamtej nocy nie miałam już nikogo.

Ross nie mógł już dłużej siedzieć nieruchomo w łóżku, więc wstał, ale nie podszedł do żony; nie miał śmiałości. Z ironią myślał, że gdyby wcześniej dotarł do hotelu Bianca, Juliet przywitałaby go z otwartymi ramionami.

Ponieważ się spóźnił, nie doszło między nimi do pogodzenia. Oboje znajdowali się wtedy na skraju rozpacz, niezdolni do wybaczenia. Świadomość tego wszystkiego bolała, ale nie było teraz czasu na żal; wiedział, że musi się przygotować na jeszcze gorsze rewelacje.

– I co było potem? – zapytał przez ściśnięte gardło. Juliet odwróciła się gwałtownie od ściany.

– Czułam się brudna, zbrukana... jakby ktoś mnie zgwałcił. Ale było gorzej, bo przecież sama zgodziłam się na zbliżenie. Nikt mnie do niego nie zmuszał. Najbardziej na świecie chciałam wtedy umrzeć. – Jej głos przeszedł w ochryply szept. – I dlatego następnego dnia z rana pojechałam do samotnej zatoczki za Valetta, rozebrałam się do bielizny i... i weszłam do wody.

Ross patrzył na żonę z rosnącym przerażeniem. Przed oczami miał jej wyraźny obraz, kiedy zrozpaczona zanurza się w wodzie. On sam nigdy, nawet w największych cierpieniach, nie myślał o odebraniu sobie życia, dlatego trudno mu było sobie wyobrazić, co czuła Juliet, posuwając się aż do takiego czynu.

– Co albo kto cię uratował?

– Fakt, że byłam zbyt wielkim tchórzem – odparła z niesmakiem. – Płynęłam przed siebie do chwili, gdy ze zmęczenia nie mogłam już poruszać rękami. Potem po prostu dryfowałam na wodzie, modląc się o śmierć, że bym już więcej nic nie czuła. Ale przekonałam się, że śmierć przez utonięcie



wcale nie jest łagodna. Moje usta wypełniły się wodą, płuca płonęły. Przerazenie i panika dodały mi sił. Znowu zaczęłam płynąć. Byłam jednak daleko od brzegu, więc i tak nie miałam szans na uratowanie się, gdyby nie to, że nadszedł szkwał. Rozpętał się sztorm, a ja myślałam, że już nic mnie nie ocali – pamiętam każdy przerażający szczegół mojej walki z falami, do chwili gdy straciłam przytomność. Musiałam być już wtedy blisko brzegu, bo morze mnie wyrzuciło, w pobliżu domku jakichś rybaków. Przenieśli mnie do niego, nagą i krwawiącą.

Juliet odwróciła się do męża. Jej twarz była trupiobladą.

– Tam, w domku tych rybaków, poroniłam. Zabiłam nasze dziecko, Ross. – Po policzkach spływały jej ciche łzy. – Chciałeś poznać najgorsze, teraz już wiesz. Chciałam zabić siebie, a zamiast tego pozbawiłam życia nasze dziecko.

Ostrzegą go. Mimo to szok był o wiele silniejszy, niż mógł się spodziewać. Czuł się tak, jakby wokół jego piersi zaciskała się żelazna opaska, druzgocząc mu serce i duszę. Dusząc się z braku powietrza, rzucił się do okna i otworzył je na całą szerokość. Potem zapatrzył się w ciemność, wszędzie wokół wyczuwał cierpienie; jego własne i Juliet.

A więc już raz spłodzili dziecko. Miałoby teraz prawie dwanaście lat. Jakiej było płci, dziewczynka, chłopiec? Byłoby rudowłose? Wysilał wyobrażenie, ale na próżno. Zamiast tego z pamięci wypłynęły dawno zapomniane szczegóły z przeszłości.

Ross był jedynym dzieckiem, które jego matka donosiła do końca ciąży. Kiedy już dorósł, powiedziała mu, że po urodzeniu go jeszcze trzy razy zachodziła w ciążę, ale każdą poroniła. Z powodu jej żywotności matkę nazywano „roześmianą księżną”, a jej spokojniejszą siostrę, bliźniaczkę, matkę Sary, „uśmiechniętą księżną”. A jednak, kiedy Ross miał około czterech lat, natknął się na matkę, która skulona w rogu holu histerycznie płakała. Ross przeraził się na ten widok i pobiegł po pomoc.

Minęły godziny, zanim ojciec mógł pozostawić żonę samą na tyle długo, żeby poszukać syna, który ukrył się w niskim rogu poddasza. Ojciec Rossa nie zmieściłby się tam, więc musiał namawiać syna, żeby ten do niego wyszedł. Kiedy mu się to udało, wziął go w objęcia i wyjaśnił, sam bardzo przygnębiony, że wraz z matką starali się o drugie dziecko, które kochaliby

tak samo jak jego, ale nie udało im się to i dlatego matka płacze. Ross nigdy nie zapomniał o wielkim smutku, który przeżywali wtedy jego rodzice. A teraz sam opłakiwał utratę własnego dziecka.

Kiedy poznał całą prawdę, mógł uwierzyć Juliet, że nigdy nie przestała go kochać. Rozumiał też, że to nie brak miłości oddzielał ich od siebie, a wyrzuty sumienia targające sercem żony. Gdyby to on znalazł się na jej miejscu, prawdopodobnie czułby się tak samo, gardziłby sobą i pragnął śmierci; mając świadomość tego, nie mógł potępić Juliet za jej czyny.

Twarz owiała mu chłodna bryza. Zdał sobie nagle sprawę, że jego policzki są wilgotne. Było coś symbolicznego w jego łzach, bo ostami raz płakał właśnie na Malcie, kiedy rozpaczał po stracie ukochanej żony. Wtedy rozpaczał nad sobą, teraz żał mu było Juliet.

Pomyślał, że zachowała się bardzo honorowo, biorąc całą odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło, na siebie. A przecież była wtedy prawie dzieckiem, tak zagubionym i udręczonym, że chciała nawet odebrać sobie życie. Potem nie myślała już więcej o samobójstwie, jednak uznała, że jej winy niczym nie da się odkupić, dlatego też odsunęła się od wszystkiego, co było jej bliskie, uciekła na kraj świata, gdzie poświęciła się pomocy innym, na co wydawała wszystkie swoje pieniądze.

Odwrócił się w stronę pokoju. Juliet siedziała skulona w najdalszym rogu kanapy. Włosy spływały jej na kolana niczym żałobny welon. Oto jego żona – pełna ciepła, odwagi, oryginalności i wdzięku. Zupełnie niepodobna do żadnej innej kobiety. Gdyby miała mniej skomplikowaną naturę, gdyby nie była taka harda, jak to mają w naturze wszyscy Szkoci, ich małżeństwo nie doznałoby tylu wstrząsów – a jednak, gdyby była inna, Ross nigdy by jej tak bardzo nie pokochał.

Nabrał głęboko powietrza, przemierzył pokój i usiadł obok niej.

– Teraz już znam najgorszą prawdę, Juliet. Miałaś rację, że mnie ona zabolowała, ale myliłaś się, sądząc, że cię znienawidzę. Nadal cię Kocham i nadal pragnę spędzić z tobą życie.

Uniosła głowę, pokazując zapłakaną twarz.

– Ross, przecież cię zdradziłam. Zawiodłam cię i to na tyle sposobów. Moje uczynki są niewybaczalne. Jak możesz mnie chcieć?

– Niewybaczalne było twoje odejście. Ale to można naprawić. – Sięgnął

do jej zaciśniętych na kolanach dłoni, podniósł jedną i skrył w chłodnym uścisku. – Zresztą, nie mojego wybaczenia potrzebujesz, Juliet, a swojego.

Skrzywiła się.

– Mówiłeś, że jestem jak lady Hester Stanhope, i to prawda. Najbardziej ranię tych, którzy najmniej na to zasługują, którym należy się ode mnie miłość i lojalność. Zraniłam cię, moją rodzinę i dziecko.

Ross pokręcił głową.

– Myliłem się, bo w sprawach, które się liczą najbardziej, wcale nie przypominasz lady Hester. Posiadasz jej odwagę, ale ty nie okazujesz arogancji, lecz miłość. Osądzasz się stanowczo zbyt surowo. Przyczyną twoich błędów były młody wiek i zagubienie, a nie złośliwość i małostkowość.

Widział po wyrazie twarzy żony, że jej nie przekonał, postanowił więc użyć łżejszego tonu.

– Moja wyemancypowana matka zawsze starała się przekazać mi jak najwięcej wiedzy na temat kobiet, ponieważ wierzyła, że mężczyźni i kobiety powinni siebie znać i rozumieć. Kiedyś opowiadała mi, że wczesne miesiące ciąży mogą spowodować u kobiety nieprzewidywalne wahania nastrojów; jestem przekonany, że właśnie stąd się wziął twój irracjonalny lęk, kiedy się dowiedziałas, że jesteś w ciąży.

Zaczął pocierać ręce żony, żeby przywrócić im ciepło.

– Być może, nawet gdybyś została w domu, i tak byś poroniła: wiele ciąż kończy się poronieniem w drugim lub trzecim miesiącu. Zresztą, jeśli z ciążą było coś nie tak, mogło to wpływać na stan twojego samopoczucia. Tak właśnie działo się z żoną mojego przyjaciela. Ona także uciekła, ale ponieważ była mniej odważna od ciebie, dotarła tylko do domu matki, gdzie poroniła. Później już bez problemów urodziła dwoje dzieci.

– Jeśli rzeczywiście takie rzeczy zdarzają się kobietom w ciąży, wiele by to wyjaśniało – powiedziała Juliet po długiej chwili milczenia. – Ale i tak nic nie usprawiedliwi mojego zachowania. Popełniłam mnóstwo błędów.

– A kiedy mamy popełniać błędy jak nie w wieku osiemnastu lat? – Ross rozprostował dłoń żony i zaczął wodzić palcem po jej wnętrzu. – Wiadomo, że należy postępować słusznie, ale uczymy się tego właśnie na błędach, które popełniamy. Zbłądziłaś, ale też poniosłaś konsekwencje swoich czynów. Nie sądzisz, że dosyć już za nie wycierpiałaś?

– Ale ty cierpiełaś tak jak ja, a może bardziej, i to przede mną – mówiła z żalem. – Nie zdołam ci tego nigdy wynagrodzić.

Uśmiechnął się.

– To akurat jest proste. Bądź mi żoną, zamiast skazywać mnie na życie w samotności.

Juliet opłótła palce wokół jego dłoni.

– Nie rozumiem, dlaczego nadal mnie pragniesz.

Przez chwilę Ross czuł zakłopotanie. Nie wiedział, co jeszcze może zrobić albo powiedzieć, aby przekonać żonę, że ją kocha i że jej pragnie. Nagle pomyślał o wschodnich bajarzach, którzy doskonale wiedzą, że czasami do ludzkich serc najłatwiej dotrzeć za pomocą symbolicznych opowieści. Warto było spróbować.

– Opowiem ci bajkę.

Żona popatrzyła na niego ze zdumieniem, ale Ross niezrażony pociągnął ją za rękę, chcąc, żeby przeniosła się z rogu kanapy i usiadła obok niego.

– Dawno temu, w krainie pełnej zieleni – zaczął – żył sobie młody mężczyzna o imieniu Ross. Choć był on osobnikiem bardzo odpowiedzialnym, poważnym, inteligentnym i honorowym, niestety był też mało interesujący. – Zamilkł i przez chwilę się nad czymś zastanawiał. – Być może właśnie z powodu tych cech był taki nudny.

Juliet otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał jej stanowczo, nakazując milczenie.

– To moja bajka i opowiem ją na własny sposób.

– Mężczyzna ów snuł romantyczne marzenia – ciągnął ściszym głosem – o podróżach do dalekich krain i o licznych przygodach. Ponieważ jednak był taki rozsądny... raczej obserwował świat, zamiast działać... mogło się zdarzyć, że nigdy nie zabrałby się do realizowania swoich marzeń. Nie był żadnym księciem, nie był nawet lordem, choć nosił taki tytuł, za to pewnego dnia spotkał na swojej drodze prawdziwą księżniczkę, która miała na imię Juliet. Była to nie tylko najpiękniejsza kobieta na świecie, ale na dodatek mieszkała w odległej obcej krainie i przeżywała różne przygody, o których nasz bohater tylko marzył. Kiedy Ross przebywał w towarzystwie ukochanej, wydawało mu się, że wszystko jest możliwe, nawet słońce świeciło jaśniej, a jego ukochana swoim poczuciem humoru rozśmieszała go do

łez. Przy niej Ross naprawdę żył. Przestał być tylko obserwatorem. Juliet sprawiła, że ujawniła się namiętna strona jego natury, choć myślał, że wcale takiej nie posiada. Księżniczka rozbudziła w nim namiętność, i to nie jedynie fizyczną, ale też duchową.

Ross uniósł dłoń żony i złożył na niej pocałunek, przyciskając usta do linii serca.

– Nie wiedział, co traci, dopóki jej nie spotkał. Ponieważ nie był głupcem i ponieważ zakochał się w niej po uszy, namówił księżniczkę, żeby za niego wyszła, zanim ta zdążyła się nad tym porządnie zastanowić. Na początku myślał, że, tak jak to jest we wszystkich bajkach, będą żyli ze sobą długo i szczęśliwie. Jednak w bajkach, przynajmniej tych wartych opowiadania, pojawia się też jakiś problem. W tej problem pojawił się w chwili, gdy straszny smok wątpliwości porwał naszą księżniczkę. A może nawet uciekła ona z nim z własnej woli; ta część opowieści jest trochę niejasna, ale też niezbyt istotna. Liczyło się to, że kiedy odeszła, zabrała ze sobą całe słońce i całą radość.

Ross wyczuł, że Juliet zamierza się od niego odsunąć, więc objął ją ramieniem, żeby mu nie umknęła.

– Nie bój się. To jeszcze nie koniec bajki. Przez następne dwanaście lat nasz bohater, jak na bohatera przystało, dokonywał różnych bohaterskich czynów. Odwiedzał egzotyczne krainy, doświadczał wielu przygód, oglądał piękne widoki i poznawał fascynujących ludzi. Czasami wracał do ojczyzny, pisał książki i dawał wykłady, a wszyscy go chwalili i mówili, że jest wspaniały i bardzo odważny. Czasami, choć zdarzało się to dość rzadko, poznawał jakąś miłą damę, ale nigdy nie spotkał takiej, która pomogłaby mu zapomnieć o utraconej księżniczce i która potrafiłaby dotrzeć do głębin jego serca. Widzisz więc, że nasz bohater wiódł całkiem porządne życie, zwłaszcza że udało mu się spełnić niektóre najskrytsze marzenia, a na dodatek przestał być taki nudny. Niestety nie udało mu się spełnić marzenia, którego spełnienia pragnął najbardziej – nie odnalazł swojej księżniczki. Kiedy już miał zaprzestać podróży, podczas swojej ostatniej wyprawy, odnalazł ją wreszcie i przekonał się, że księżniczka nie tylko jest najpiękniejszą kobietą na całym świecie, ale też najodważniejszą. Zdarzało się wprawdzie, że jej zachowanie doprowadzało go do wściekłości i wtedy miał ochotę przełożyć

ją przez kolano i wymierzyć jej klapsa, ale o wiele częściej pragnął uprawiać z nią miłość. I kiedy w końcu do tego doszło, okazało się, że nasz bohater kocha ją tak samo mocno jak wtedy, gdy miał dwadzieścia jeden lat.

Ross odwrócił się, tak że patrzył żonie prosto w twarz. Juliet nie była już tak spięta i nie opierała się, kiedy przyciągnął ją do siebie. Nawet objęła go w pasie i oparła głowę na jego ramieniu.

– Księżniczka czuła, że zdradziła męża – mówił dalej łagodnie – ale on wiedział, że można jej ufać. Przeżyli razem wielką przygodę, podczas której udało im się zrobić coś, co wydawało się niemożliwe, a na dodatek księżniczka, zabijając straszego smoka, uratowała mężowi życie. Wprawdzie zazwyczaj damy nie walczą ze smokami, ale ta sytuacja była wyjątkowa.

Ross przesunął dłoń po włosach żony, pozwalając, by lśniące pasma przepływały mu między palcami.

– Zanim jeszcze ich przygoda dobiegła końca, nasz bohater zorientował się, że kocha swoją księżniczkę nawet bardziej niż przed laty. Wiedział, że jeśli nie namówi jej do powrotu z nim do jego ojczyzny, nigdy więcej nie zazna miłości, radości i namiętności.

Porzucając rolę bazarza, szepnął:

– Uwierz mi, Juliet. Kiedy mówię, że cię kocham. A potem zacznijmy nasze życie na nowo.

Juliet chwyciła męża za rękę i przycisnęła ją do policzka, ale nie patrzyła mu w oczy.

– To dziwne – powiedziała z niepokojem. – Najbardziej ze wszystkiego pragnę sprawić ci przyjemność. Śniłam, że oddaję za ciebie własne życie, a ty, tuż przed moją śmiercią, wybaczasz mi moje winy. Wydaje się, że o wiele łatwiej byłoby mi cierpieć dla ciebie niż poczuć się szczęśliwa, kiedy na to nie zasługuję.

– Jeśli chcesz mojego szczęścia, sama też musisz być szczęśliwa, inaczej będę cierpieł razem z tobą. – Palce Rossa zacisnęły się na dłoni żony. – Oddzielnie jesteśmy dwójką sfrustrowanych, samotnych ludzi. Będąc razem, możemy pomóc sobie osiągnąć pełnię. Wystarczy już tego bólu, kochana. Czas na radość.

Juliet czuła się tak, jakby pękało jej serce. Nie zasługiwała na taką miłość i lojalność, a jednak Ross miał rację. Byli złączeni ze sobą na całe życie; do tej

pory nic nie zdołało zniszczyć ich więzi, i coś jej podpowiadało, że także w przyszłości nic jej nie zniszczy. Ross nie mylił się także, kiedy mówił, że to nie jego wybaczenia jej potrzeba, że przede wszystkim Juliet musi wybaczyć sobie.

Nabrała powietrza, potem uniosła głowę i spojrzała mężowi w oczy.

– Często się zastanawiałam, dlaczego wtedy na Malcie nie zginęłam. Może... może dostałam drugą szansę, żebym mogła wynagrodzić ci krzywdy. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Jeśli jesteś przekonany, że chcesz, żebym była szczęśliwa, nie odmówię ci, ponieważ za bardzo cię kocham.

Po tych słowach zapadła cisza. Wszystko już zostało powiedziane. Ross wyciągnął rękę do jedwabnego kaftana, w który ubrana była Juliet, odstąpił jego poły i dotknął zawieszzonego na łańcuszku pierścionka spoczywającego na sercu żony. Potem chwycił za łańcuszek i zerwał go jednym silnym pociągnięciem. Złapał pierścionek, a łańcuszek rzucił na ziemię.

– Ja, Ross, biorę sobie ciebie, Juliet, za żonę – zaczął, wsuwając jej pierścionek na palec – na dobre i na złe, w biedzie i bogactwie, w zdrowiu i chorobie, aby cię kochać, szanować i być ci wiernym, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Tym pierścieniem poślubiam cię ponownie. – Potem uniósł dłoń żony i ucałował.

Łzy, które Juliet tak usilnie starała się powstrzymać, spływały jej teraz po policzkach strumieniami. Prawą rękę przycisnęła do serca. Powtórzyła za mężem formułkę przysięgi małżeńskiej, a następnie dodała kilka słów od siebie.

– Gdzie ty, tam i ja, ukochany mężu, bo należę do ciebie ciałem, umysłem i duszą. – Pochyliwszy się, pocałowała Rossa. W pocałunku zawarła zarówno podziękowania, jak i obietnicę szczęścia na przyszłość.

Z bijącym sercem Ross porwał żonę w ramiona i przeniósł ją do łóżka. Tam poświęcili ich odświeżone zaślubiny. Po raz pierwszy od ich ponownego spotkania nie dzieliły ich żadne cienie przeszłości; najgorsze zostało ujawnione, a mimo to ich małżeństwo przetrwało, a nawet stało się silniejsze. Kochali się z pasją i głęboką czułością, która w młodości nawet im się nie śniła.

Po stosunku leżeli w objęciach, rozprawiając o przyszłości, która nie była już terenem zakazanym. W końcu ogarnęło ich zmęczenie, ale zanim odpły-

nęli w sen, Juliet postanowiła zadać mężowi pytanie, którego wcześniej nie śmiałyby zadać.

– Czy wtedy, gdy przyjechałeś na Malte, gdybyśmy się spotkali, wybaczyłbyś mi zdradę?

Ross zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Zabrałbym cię ze sobą, ponieważ cię kochałem i dlatego że byłaś moją żoną – powiedział w końcu. – Sądzę, że bylibyśmy szczęśliwi, ale o zdradzie chyba nie umiałbym zapomnieć. Wbiłaby się ona między nas niczym żelazny klin. Jednak udręka ostatnich czterech miesięcy zupełnie mnie wypaliła. Przestałem zważać na nieistotne sprawy. Teraz Malta wydaje mi się odległa i nieważna. To, przez co razem przeszliśmy, tak nas zbliżyło, że nie ma miejsca na żal i urazy. Dla mnie przeszłość już się nie liczy. Ważna jest chwila obecna i to, że się kochamy.

Juliet oparła głowę na ramieniu męża, szykując się do zaśnięcia w jego objęciach. Bardziej do siebie niż do niego powiedziała cicho:

– Teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.



# Epilog

*Port Southampton Październik 1841*

Oparta leniwie o poduchy kanapy, Juliet lekko rozmarzonym wzrokiem przyglądała się, jak bagażowi wynoszą z kabiny ich walizy. Ostatnio, odkąd między nią a Rossem zapanowała zgoda, odkąd ich związek nabrał nowych barw, coraz częściej zdarzały jej się takie chwile błogiego spokoju.

Minął miesiąc, zanim uporządkowała wszystkie swoje sprawy związane z Serevanem. Ale do matki do Konstantynopola napisała od razu. Tak jak radził Ross, Juliet nadzór nad fortecą przekazała w ręce Saleha. Wyjechali z Serevanu w tym samym dniu, co Ian – oni na zachód, a brat, nadal chudy, ale opalony i silny, na południe w kierunku Zatoki Perskiej.

Podróż do Konstantynopola minęła im bardzo przyjemnie. W Mieszehdzie odwiedzili Rezę, żeby się upewnić, że chłopak czuje się dobrze. Jego rodzina, wdzięczna za uratowanie syna, przyjęła ich tak gościnnie, że mogliby u niej spędzić nawet całe życie, gdyby tylko chcieli. W Teheranie pożegnali się z Muradem, pozostawiając go z taką premią, że Pers po prostu zaniemówił.

Po przyjeździe do Konstantynopola doszło do bardzo emocjonalnego spotkania matki z córką. Oczywiście lady Cameron nieustannie z zadowoleniem przypominała dzieciom o trafności jej macierzyńskiego instynktu. Ponieważ jej misja dobiegła końca, wyruszyła wraz z córką i zięciem w drogę powrotną do Anglii przez obszar śródziemnomorski, ale oddzieliła się od nich na Gibraltarze, postanawiając spędzić zimę u przyjaciół.

A teraz Ross i Juliet dotarli wreszcie do Anglii. Z rozmarzenia wyrwało Juliet pojawienie się męża, który wpadł do kabiny i rzucił się obok niej na kanapę.

– Gotowa do wyjścia na brzeg?

– Tak, ale będzie mi brakowało kochania się na statku. Tak przyjemnie nami kołysało.

Ross wybuchnął śmiechem.

– Pamiętasz tę małą rzeczkę przy Chapelgate? Jeśli będziesz chciała, popłyniemy łódką. I zabierzemy ze sobą koce.

– Brzmi zachęcająco. – Juliet popatrzyła na męża z podziwem. – Ty naprawdę jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, sama elegancja. – Potem skrzywiła kpiąco usta. – Kto by pomyślał, że brałeś udział w czymś takim jak mecz *buzkaszi* i że zachowywałeś się tak samo barbarzyńsko jak reszta zawodników.

– Jeszcze dzisiejszej nocy przypomnę ci, jakim potrafię być barbarzyńcą. – Położył dłoń na brzuchu żony, w odpowiedzi dostając kopniaka. – Hm, nasz dziedzic jest dzisiaj jakiś niespokojny.

Juliet przykryła dłoń męża swoją.

– Wie, że wraca do domu.

– Jeśli to chłopiec, pomyśl, jaki będzie dumny, kiedy opowie kolegom, że poczęliśmy go w Bucharze. – Ross wstał i podał żonie rękę. – Czas się zbierać. Już nie mogę się doczekać przyjazdu do Chapelgate. Jutro możemy odwiedzić Sarę i Mikahla. I poznamy moją nową córkę chrzestną.

Juliet z wdzięcznością przyjęła pomoc męża, bo nie była już tak zwinna jak kiedyś. Dość późno zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, a to dlatego, że czuła się wspaniale, zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Oczekiwanie na dziecko cudownie wyleczyło ją z żalu i wyrzutów sumienia.

Znalazłszy się na szczycie trapu, zatrzymała się, przymknęła oczy i mocno zaciągnęła się powietrzem.

– Cudownie pachnie roślinnością.

– Cieszę się, że Brytania z nami współpracuje i twój powrót do domu wita takim pięknym słonecznym dniem. – Ross podał żonie ramię, żeby pomóc jej w schodzeniu z trapu.

– Nawet gdyby padało, wcale bym się nie obraziła – odparła radośnie. – Bez deszczu nie byłoby pięknych drzew i kwiatów.

Znajdowali się w połowie trapu, kiedy Ross niespodziewanie wykrzyknął:

– Popatrz! Sara i Mikahl wyszli nam na spotkanie.

Juliet chwyciła ramię męża w nagłej panice.

– Nie jestem jeszcze gotowa na zobaczenie się z Sarą! Za to, co zrobiłam,

wrzuci mnie do morza jako pokarm dla ryb.

Ross nie obnosił się publicznie z uczuciami, ale tym razem obrócił żonę do siebie i złożył na jej ustach gorący pocałunek.

– Nie, nie zrobi tego. Kilka tygodni temu wysłałem do niej list, więc miała czas na przyzwyczajenie się do nowin. – Uśmiechnął się podstępnie. – Napisałem jej, że dałem za ciebie trzy wielbłądy, a to dużo. Nie mogłem porzucić takiej inwestycji. – Poklepał żonę po brzuchu. – I na dodatek ta inwestycja robi się coraz cenniejsza.

– Ty nędzniku! – zawołała Juliet niby to zła, ale żarty męża pomogły jej odzyskać równowagę. Podążając za jego wzrokiem, dostrzegła Sarę, która machała do kuzyna, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Jej dawna przyjaciółka wyglądała piękniej niż kiedykolwiek; wydawała się szczęśliwa. Towarzyszył jej wysoki, ciemnowłosy dżentelmen o silnej budowie, który pomagał jej przedzierać się między ludźmi tłoczącymi się na nabrzeżu.

Kiedy Ross i Juliet zeszli z trapu, Sara oderwała się od męża i podbiegła do kuzyna, żeby paść mu w ramiona. Juliet stała z boku. Domyślała się, że teściowie chętnie wybaczą jej błędy przeszłości, zwłaszcza że spodziewała się dziecka, spadkobiercy ich fortuny. Ale łagodna Sara, która chętnie wybaczała winy, gdy chodziło o nią, kiedy krzywdzono jej bliskich, zamieniała się w tygrysicę.

Zanim Juliet zdążyła rozpaść się ze zdenerwowania na kawałki, mąż Sary obrócił się do niej i złożył jej głęboki ukłon.

– Wygląda na to, że nasi mało kulturalni małżonkowie są zbyt zajęci, żeby nas sobie przedstawić. Jestem Mikahl, a ty, oczywiście, jesteś tą kobietą, za którą Ross oddał trzy wielbłądy. – Mężczyzna obrzucił Juliet wzrokiem pełnym aprobaty. – Zrobił dobry interes.

Wybuchnęła śmiechem i podała Mikahlowi dłoń.

– Ogromnie się cieszę, że cię poznałam, Mikahl. Ross dużo mi o tobie opowiadał.

Mężczyzna przewrócił oczami.

– Domagam się tyle samo czasu na obronę.

Juliet nadal jeszcze chichotała, kiedy Sara wypuściła z objęć Rossa i zwróciła się do niej. Przez długą chwilę dwie kobiety przyglądały się sobie – Sara z zastanowieniem, Juliet z napięciem. Potem na twarz Sary wypłynął

powoli żartobliwy uśmieszek.

– Za rok albo dwa dam ci taki wykład, że po nim wszystkie te twoje loczki natychmiast się rozprostują. Ale nie teraz. Teraz jestem szczęśliwa, że cię widzę.

Padły sobie w ramiona, śmiejąc się i płacząc. Juliet powinna była się domyślić, że Sara zaakceptuje wszystko, co czyni Rossa szczęśliwym. Ściskając przyjaciółkę, czuła, że jej obawy przed zamieszkaniem w Anglii zaczynają się rozwiewać.

Puściła Sarę i spojrzała w stronę męża, który też akurat wyrywał się z objąć przyjaciela. Obie pary ruszyły do powozu Mikahla.

– Książę i księżniczka powrócili wreszcie do domu – szepnął żonie do ucha Ross, biorąc ją pod ramię. – I od teraz, jak w bajkach, które dobrze się kończą, będą żyli długo i szczęśliwie.

– Ten książę ma szczęście – odszepnęła Juliet, spoglądając na męża pełnym miłości wzrokiem. – Nie mówiąc już o księżniczce.